


Genialna i oszałamiająca.
Książka, którą musi przeczytać każdy.

Gillian Flynn

autorka *Zaginionej dziewczyny*



**MOJA
MROCZNA
VANESSA**

K A T E

E L I Z A B E T H

R U S S E L L



KATE ELIZABETH
RUSSELL

**MOJA
MRO CZNA
VANESSO**

tłumaczenie Robert Sudół


OTWARTE
KRAKÓW 2020

*Dla prawdziwych z krwi i kości Dolores Haze
i Vanessy Wye, których historii dotąd nie wysłuchano,
nie rozumiano, nie przyjęto do wiadomości*

Dorastałam i kształciłam się w Maine – najpierw w prywatnej szkole, z której odeszłam z przyczyn osobistych, potem w college’u. Jestem świadoma, że z powodu podobieństw między ogólnymi faktami z mojego życia a pewnymi wątkami tej powieści czytelnicy obeznani z moją biografią mogą wyciągnąć pochopny wniosek, że relacjonuję nieznanne dotąd prawdziwe wydarzenia. Nie jest tak – moja książka to w całości fikcja literacka, a postacie i miejsca są zmyślane.

Każdy, kto śledzi doniesienia medialne w ostatnich latach, zetknął się z przypadkami, które mogą przywołać na myśl fabułę mojej powieści, jest ona jednak dziełem wyobraźni. Wplotłam w nią również inne elementy takie jak teoria traumy, popkultura, postfeminizm na początku trzeciego tysiąclecia i własne ambiwalentne odczucia związane z Lolitą. Wszystko to stanowi normalny proces tworzenia fikcji literackiej. Powodowana nadmierną ostrożnością, pragnę powtórzyć, że nic w mojej powieści nie stanowi relacji z rzeczywistych wydarzeń. Oprócz ogólnych podobieństw, o których wspomniałam powyżej, nie jest to historia mojego życia, życia moich nauczycieli ani nikogo, kogo znam osobiście.

2017

Szykuję się do pracy, a wpis widnieje tam już od ośmiu godzin. Podkręcając włosy, odświeżam stronę. Jak dotąd 224 udostępnienia i 875 polubień. Wkładam czarny wełniany żakiet, znowu odświeżam. Szperam pod kanapą, żeby wyciągnąć czarne półbuty na płaskim obcasie, odświeżam. Do klapy przypinam złotą plakietkę z nazwiskiem, odświeżam. Za każdym razem liczby rosną, mnożą się komentarze.

Jesteś bardzo silną osobą.

Odważna kobieta z Ciebie.

Co za potwór jest zdolny zrobić coś takiego dziecku?

Zerkam na swój ostatni esemes wysłany do Strane'a cztery godziny temu: „Wszystko u Ciebie w porządku?”. Wciąż nie odpisał, nawet go nie przeczytał. Piszę następny – „Jestem tutaj, jeśli chcesz pogadać” – ale rozmyślam się i go kasuję, wysyłam tylko wymowny ciąg znaków zapytania. Odczekuję kilka minut, dzwonię do niego, lecz włącza się poczta głosowa, więc wciskam telefon do kieszeni i wychodzę z mieszkania, domykając drzwi za sobą. Nie ma sensu za bardzo się starać. To on narobił tego całego syfu. Jego problem, nie mój.

Po przybyciu do pracy siadam na recepcji w kącie hotelowego lobby i daję różnym gościom wskazówki, dokąd iść i gdzie zjeść. Jest koniec gorącego sezonu, ostatni nieliczni turyści przewijają się tędy, żeby zobaczyć przyrodę, zanim Maine zabarykaduje się przed nadejściem zimy. Z dyżurnym uśmiechem, który nie obejmuje oczu, rezerwuję stolik na kolację dla pary świętującej pierwszą rocznicę ślubu i polecam wstawić do ich pokoju butelkę szampana, aby czekała tam na nich po powrocie – gest, który daleko wykracza poza to, co gwarantuje dobry napiwek. Dzwonię do korporacji taksówkarskiej, żeby jedna rodzina dotarła na lotnisko. Mężczyzna na delegacji, który zatrzymuje się w naszym hotelu co drugi poniedziałek, przynosi mi trzy brudne koszule i pyta, czy pralnia chemiczna upora się z nimi na jutro.

– Zajmę się tym – odpowiadam.

Uśmiecha się i mruga do mnie.

– Jesteś najlepsza, Vanesso.

Podczas przerwy siadam w pustym biurowym boksie na zapleczu i wpatrzona w telefon jem pozostałą po cateringowej imprezie kanapkę z poprzedniego dnia. Sprawdzanie wpisu na Facebooku stało się kompulsywne, nie mogę powstrzymać ruchliwych palców ani oczu zerkających na ekran, chłonących coraz większą liczbę polubień i udostępnień, dziesiątek pochwał w rodzaju „jesteś nieustraszona, mów dalej prawdę, wierzymy Ci”. Gdy to czytam, miga wielokropki – w tej właśnie sekundzie ktoś pisze komentarz. A potem, jak za sprawą czarów, pojawia się kolejny wpis, kolejne słowa otuchy i wsparcia, a ja w reakcji na to odsuwam telefon i wrzucam resztę czerstwej kanapki do kosza na śmieci.

Właśnie zamierzam wrócić do recepcji, gdy aparat zaczyna wibrować: „Połączenie: Jacob Strane”. Odbieram, śmiejąc się, czując ulgę, że on żyje, że dzwoni.

– Wszystko u ciebie w porządku?

Przez moment panuje głucha cisza, zastygam ze spojrzeniem wbitym w okno, które wychodzi na Monument Square, a tam targ owoców rolnych i gastrobusy. Jest początek października, jesień w pełnej krasie, pora, kiedy wszystko w Portland wygląda jak rodem z katalogu L.L.Bean – dynie i tykwy, dzbany cydru. Plac przecina kobieta w kraciastej flaneli i półgumiakach, uśmiechając się do niemowlaka w nosidełku na jej klatce piersiowej.

– Strane.

Wzdycha ciężko.

– Domyślam się, że widziałaś.

– Tak – odpowiadam. – Widziałam.

Nie zadaję pytań, ale i tak zaczyna wyjaśniać. Mówi, że szkoła wszczyna dochodzenie, a sam przygotowuje się na najgorsze. Spodziewa się, że każą mu zrezygnować. Wątpi, że dotrwa do końca roku szkolnego, może nawet nie dociągnie do przerwy bożonarodzeniowej. Słyszając jego głos, przeżywam taki szok, że z trudem nadążam za tym, co mówi. Minęły miesiące, odkąd rozmawialiśmy ostatni raz, kiedy to dopadła mnie panika po śmierci mojego ojca, który zmarł na zawał serca. Wtedy powiedziałam Strane'owi, że dłużej nie dam rady. Był to taki sam przypływ wyrzutów sumienia, jakiego doznawałam przez lata pełne porażek – utrata jednej i drugiej pracy, rozstania, załamania – jakby nagle bycie dobrym człowiekiem mogło cofnąć czas i naprawić wszystko, co spieprzyłam.

– Ale przecież przeprowadzili dawniej dochodzenie, kiedy była twoją uczennicą – mówię.

– Wznowili. Przesłuchują wszystkich drugi raz.

– Skoro wtedy uznano, że nie zrobiłeś nic złego, dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Oglądałaś ostatnio wiadomości? – pyta. – Żyjemy w innych czasach.

Chcę mu powiedzieć, że dramatyzuje, że wszystko będzie dobrze, skoro jest niewinny, ale wiem, że ma rację. W ostatnim miesiącu to nabrało rozmachu – rzesza kobiet demaskujących mężczyzn jako sprawców molestowania seksualnego. Na celowniku znaleźli się głównie celebryci – muzycy, politycy, gwiazdorzcy filmowi – ale nazwiska mniej znanych sprawców również się pojawiły. Bez względu na swój status przechodzą przez to samo. Najpierw wszystkiemu zaprzeczają. Potem, gdy staje się jasne, że oskarżenia nie ucichną, skompromitowani mężczyźni składają dymisję i mgliste przeprosiny, które nigdy nie oznaczają wyraźnego przyznania się do winy. I wreszcie ostatni etap: milkną i znikają. To wręcz surrealistyczne doznanie, gdy dzień w dzień oglądam tę samą sensację, widzę, jak łatwo idą na dno.

– Będzie dobrze – mówię. – Wszystko, co napisała, to stek kłamstw.

Strane robi wdech, powietrze świszczuje mu przez zęby.

– Nie wiem, czy kłamie, przynajmniej formalnie to nie!

– Ale przecież ledwo jej dotknąłeś. A w tym wpisie ona twierdzi, że ją napadłeś.

– Napadłem – prycha. – Napaść to może być prawie wszystko, tak samo jak naruszenie nietykalności cielesnej może oznaczać, że chwyciłaś kogoś za nadgarstek albo go odepchnęłaś. To nic nieznaczący termin prawniczy.

Patrzę przez okno na targ rolny: gęsty tłum, stado mew. Kobieta sprzedająca jedzenie otwiera metalowy pojemnik. Gdy wyciąga dwa tamales, bucha para.

– Skontaktowała się ze mną w zeszłym tygodniu – mówię.

Chwila ciszy.

– Ach tak?

– Chciała wiedzieć, czy też się zgłoszę. Pewnie uznała, że będzie bardziej wiarygodna, jeśli mnie w to wciągnie.

Strane milczy.

– Nie odpisałam oczywiście.

– No tak. Oczywiście.

– Uznałam, że blefuje. Nie myślałam, że starczy jej odwagi. – Nachyliłam się do przodu, przyciskam czoło do szyby. – Wszystko będzie dobrze. Wiesz, po której stronie jestem.

W reakcji na te słowa Strane wzdycha głośno. Wyobrażam sobie uśmiech ulgi na jego twarzy, zmarszczki w kącikach oczu.

– To mi wystarczy – odpowiada.

Po powrocie do recepcji odpalam Facebooka, wpisuję do wyszukiwarki „Taylor Birch” i na ekranie od razu pojawia się jej profil. Pomijam krótki biogram, który przeglądam od lat, zdjęcia i drobne uaktualnienia i teraz, u góry, widzę wpis o Strane. Liczby ciągle rosną – 438 udostępnień, prawie dwa tysiące polubień oraz nowe komentarze, więcej tego samego.

To bardzo inspirujące.

Imponuje mi Twoja siła.

Głoś dalej swoją prawdę, Taylor.

Kiedy się poznaliśmy, ja miałam piętnaście lat, Strane – czterdzieści dwa, prawie idealnie trzydzieści lat różnicy. Tak właśnie wtedy myślałam. Że różnica jest idealna. Lubiłam tę matematykę, trzy razy mój wiek, łatwo wyobrażałam sobie trzy Vanessy wpasowujące się w niego: jedna owinięta wokół jego mózgu, druga wokół serca, trzecia zamieniona w stan ciekły i krążąca w jego żyłach.

Powiedział, że od czasu do czasu słyszało się w Browick o romansach między nauczycielami i uczennicami, ale on nigdy nie uwikłał się w nic takiego, bo przed poznaniem mnie nie miał podobnych ciągót. Byłam pierwszą uczennicą, która go do tego pchnęła. Podobno dostrzegł we mnie coś takiego, co sprawiło, że warto było zaryzykować. Pociągał go mój powab.

Nie chodziło o to, że jestem bardzo młoda, nie w jego przypadku. Nade wszystko pokochał mój umysł. Powiedział, że mam inteligencję emocjonalną na poziomie geniusza, że mam talent literacki, że umiemy ze sobą rozmawiać, że może mi się zwierzyć. Że głęboko we mnie kryje się ciemny romantyzm, taki sam, jaki dostrzega w sobie. Że dopóki mnie nie poznał, nikt nie rozumiał tej jego mrocznej cechy.

– Taki mój pech – rzekł. – Że kiedy w końcu spotykam swoją bratnią duszę, ona ma piętnaście lat.

– Skoro narzekasz na swojego pecha – zripostowałam – to spróbuj postawić się na moim miejscu: mieć piętnaście lat i odnaleźć bratnią duszę w mocno starszym facecie.

Gdy to powiedziałam, zajrzał mi w twarz, aby się upewnić, że żartuję – oczywiście żartowałam. Nie chciałam mieć nic wspólnego z chłopcami w moim wieku, z ich łupieżem i trądzikiem, z ich okrucieństwem, z krojeniem dziewcząt na kawałki, ocenianiem naszych części ciała w skali od jeden do dziesięciu. To nie był mój świat. Uwielbiałam dojrzałą ostrożność Strane’a, jego nieśpieszne zaloty. Kolor moich włosów przyrównywał do barwy klonowych liści, wsuwał mi wiersze do ręki – Emily, Edna, Sylvia. Sprawił, że postrzegałam siebie jego oczami – jako rudowłosą dziewczynę, która powstanie „z popiołów, by jeść mężczyzn jak powietrze”. Kochał mnie tak bardzo, że czasem, gdy wyszłam z klasy po skończonej lekcji, siadał na moim krześle, kładł głowę na biurku i próbował wchłonąć to, co po mnie zostało. A to wszystko działo się, zanim choćby się pocałowaliśmy. Postępował ze mną bardzo ostrożnie. Starał się mnie nie skrzywdzić.

Nietrudno wskazać, kiedy to się zaczęło, tę chwilę, gdy weszłam do zalanej słońcem klasy i poczułam, jak pożera mnie oczami po raz pierwszy, trudniej natomiast wskazać, kiedy to się skończyło. Chyba gdy miałam dwadzieścia dwa lata, gdy powiedział, że musi się wziąć w garść, że nie może wieść przyzwoitego życia, skoro wciąż jestem w zasięgu, niemniej w ostatnich dziesięciu latach były późnowieczorne telefony, oboje przeżywaliliśmy na nowo naszą przeszłość, rozdrapując ranę, której nie pozwalaliśmy się zbliżnić.

Przypuszczam, że to do mnie zwróci się Strane za dziesięć, piętnaście lat, kiedy jego ciało zacznie szwankować. Taki prawdopodobnie będzie koniec tej miłosnej historii: ja rzucam wszystko i staram się ze wszystkich sił, wierna jak pies, a on wciąż bierze ode mnie, bierze i bierze.

O jedenastej wychodzę z pracy i ruszam przez puste śródmiejskie ulice, odliczając każdą kolejną przecznicę, uznając niezaglądanie na Facebooka za swoje osobiste zwycięstwo. W mieszkaniu nadal nie sprawdzam wpisu w telefonie. Odwieszam biurowy żakiet, zmywam makijaż, palę marychę w łóżku, gaszę światło. Samokontrola.

Ale po ciemku coś się we mnie budzi, czuję, jak kołdra ociera się o moje nogi. Nagle odczuwam silną potrzebę – aby zyskać pewność, aby mi powiedział w niedwuznacznych słowach, że nie zrobił niczego, o co oskarża go ta dziewczyna. Muszę znowu usłyszeć od niego, że ona kłamie, że kłamała dziesięć lat temu i kłamie teraz, porwana przez syrenią pieśń kobiet skrzywdzonych.

Odbiera, gdy jeszcze nie przebrzmiał pierwszy sygnał, jakby spodziewał się, że zadzwonię.

– Tak, Vanesso?

– Przepraszam, wiem, że jest późno. – Wzdragam się, bo nie wiem, jak poprosić o to, czego chcę. Minęło tyle czasu, odkąd zrobiliśmy to ostatni raz. Moje oczy błądzą po ciemnym pokoju, dostrzegając zarys uchylonych drzwi do szafy, na suficie poblask poświaty latarni ulicznej. W kuchni szumi lodówka i woda kapie z kranu. Jest mi to winien, za moje milczenie, za moją lojalność.

– Szybko się uwinę – mówię. – Tylko kilka minut.

Słysząc szelest pościeli, bo on siada i przekłada telefon od jednego ucha do drugiego. Przez chwilę myślę, że mi odmówi. Ale zaraz potem półszepem, który zmienia moje kości w mleko, zaczyna opowiadać o tym, jaka byłam:

– Vanessa, taka młoda, skąpana we własnym pięknie. Nastolatka, taka erotyczna i pełna życia, że piekielnie się bałem.

Przekręcam się na brzuch i wsuwam poduszkę między nogi. Proszę, aby podsunął mi jakieś wspomnienie, coś, w co mogłabym się wślizgnąć. Milczy, przeglądając sceny w swojej głowie.

– W gabinecie, na tyłach klasy – mówi. – Był środek zimy. Leżałaś na kanapie, gęsia skórka na całym ciele.

Zamykam oczy i już jestem w tym gabinecie – białe ściany i połyskująca drewniana podłoga, na stole plik niesprawdzonych wypracowań, szorstka kanapa, syczący kaloryfer, pojedyncze okno, ośmioboczne, z szybą koloru morskiej piany. Wbiłam spojrzenie w to okno, gdy się do mnie dobierał, czułam, jakbym była pod wodą, ciało nieważkie i ruchliwe, obojętne, gdzie góra, gdzie dół.

– Całowałem cię, coraz niżej. Aż się zagotowałaś. – Parska cichym śmiechem. – Tak to nazywałaś. Że się gotujesz. Wymyślałaś te śmieszne wyrażenia. Byłaś bardzo wstydliva, nie cierpiałaś mówić o tym, chciałaś tylko, żebym to robił. Pamiętasz?

Nie pamiętam, w każdym razie niezbyt dokładnie. Wiele moich wspomnień z tamtych dni się zatarło, podziurawiło. To on musi zappełnić luki, choć czasem opisywana przez niego dziewczyna wydaje się obcą osobą.

– Z trudem zachowywałaś ciszę – ciągnie. – Zagryzałaś język. Pamiętam, że raz tak mocno ugryzłaś się w dolną wargę, że zaczęła ci lecieć krew, ale nie pozwoliłaś mi przestać.

Weiskam twarz w materac, ocieram się o poduszkę, a jego słowa wlewają mi się do umysłu i przenoszą mnie z łóżka w przeszłość, w której mam piętnaście lat i jestem naga od pasa w dół, rozłożona na kanapie w jego gabinecie, drzę, płonę, gdy on kłęczy między moimi nogami, wpatrzony we mnie.

– Mój Boże, Vanesso, twoje usta – mówi. – Krew ci leci.

Kręcę głową i wbijam palce w poduszkę. Nie szkodzi, nie przerywaj. Dokończ.

– Byłaś nienasycona – dodaje. – To twoje jędrne ciało.

Dochodzę, oddychając ciężko przez nos, a on pyta, czy pamiętam, co wtedy czułam. Tak, tak, tak. Pamiętam. Tak, uczucia potrafiłam w sobie zachować – doznania, gdy to ze mną robił, gdy sprawiał, że moje ciało wilo się i błagało o więcej.

Z Ruby spotykam się od ośmiu miesięcy, a więc odkąd umarł mój ojciec. Na początku była to terapia żałoby, ale potem przemieniła się w sesje, na których mówiłam o matce, byłym chłopaku, o tym, że czuję się wypalona w pracy, wypalona w życiu. To rozrzutność, nawet pomimo zaniżonych cen u Ruby – pięćdziesiąt doliców za to, żeby ktoś mnie wysłuchał raz w tygodniu.

Jej gabinet znajduje się kilka przecznic od hotelu, łagodnie oświetlony pokój z dwoma fotelami i pudełkami chusteczek higienicznych na stolikach. Okna wychodzą na Casco Bay: mewy roją się nad molami rybackimi, powolne tankowce, amfibijne „kaczory” z turystami, które kwaczą, gdy ześlizgują się na wodę, przemieniając z pojazdu kołowego w statek. Ruby jest starsza ode mnie, starsza raczej jako siostra, a nie matka, z szarawymi włosami, w hipisowskim ubraniu. Uwielbiam jej drewniaki, stuk-stuk-stuk, gdy stąpa po podłodze.

– Vanesso!

Uwielbiam też, jak wymawia moje imię, gdy otwiera drzwi, jakby odczuwała ulgę, że to mnie widzi w progu, a nie kogoś innego.

W tym tygodniu rozmawiamy o perspektywie mojego powrotu do domu na zbliżające się wakacje, pierwsze bez taty. Martwię się, że moja matka ma depresję, i nie wiem, jak poruszyć z nią ten temat. Razem z Ruby opracowujemy plan. Omawiamy różne scenariusze, najbardziej prawdopodobne reakcje mamy na moją sugestię, że być może potrzebuje pomocy.

– Jeśli podejdziesz do tego empatycznie, to wszystko będzie okej – mówi Ruby. – Jesteście sobie bliskie. Potrafcie chyba rozmawiać o trudnych sprawach.

Jesteśmy sobie bliskie? Nie oponuję, ale się nie zgadzam. Czasem aż się dziwię, że tak łatwo potrafię wprowadzać ludzi w błąd, chociaż wcale mi na tym nie zależy.

Udaje mi się powstrzymać od zajrzenia na Facebooka aż do końca sesji, kiedy to Ruby wyjmuje telefon, żeby wstukać do kalendarza datę naszego następnego spotkania. Podnosi wzrok i dostrzega moje wściekle przewijanie. Pyta, czy są jakieś sensacyjne wiadomości.

– Niech zgadnę – mówi. – Kolejny dewiant zdemaskowany?

Spoglądam na nią, czując zimno w kościach.

– To nie ma końca, prawda? – ciągnie. Uśmiecha się smętnie. – Już się nie wywiną.

Zaczyna mówić o ostatniej kompromitacji w wielkim świecie, o reżyserze, który zrobił karierę na kręceniu filmów o skrzywdzonych kobietach. Okazało się, że poza kadrem lubił obnażać się przed młodymi aktorkami i namawiał je, żeby mu zrobiły loda.

– Kto by pomyślał, że z faceta taki gagatek? – pyta Ruby ironicznie. – Właściwie to jego filmy są wystarczającym dowodem. Najciemniej pod latarnią.

– To nasza wina – odpowiadam. – Przymykamy oczy.

Kiwa głową.

– Święta racja.

Czuję dreszczyk emocji, gdy tak ocieramy się o sprawę Strane’a.

– Nie wiem, co myśleć o tych wszystkich kobietach, które ciągle z nim pracowały – mówię. – Nie mają szacunku do siebie?

– Nie można ich obwiniać – odpowiada Ruby.

Nie spieram się, podaję jej tylko czek.

W domu upalam się i zasypiam na kanapie, z niepogaszonymi światłami. O siódmej rano mój telefon wibruje na podłodze, więc wlokę się przez pokój, żeby go podnieść. Mama.

Cześć, skarbie, myślę o Tobie.

Wpatrzona w ekran próbuję wyczuć, ile ona wie. Wpis Taylor widnieje na Facebooku już trzeci dzień, a choć mama nie ma żadnych związków z nikim w Browick, to jednak pojawiło się jego mnóstwo udostępnień. Poza tym w dzisiejszych czasach ona ciągle siedzi w internecie, bez końca lubi, nie lubi, udostępnia i awanturuje się z konserwatywnymi trollami. Bardzo prawdopodobne, że widziała ten wpis.

Zamykam esemesa i wyświetlam Facebooka: dwa i pół tysiąca udostępnień, siedem tysięcy dziewięćset polubień. Wieczorem Taylor uaktualniła swój wpis.

WIERZCIE KOBIE TOM.

2000

Gdy skręcamy na dwupasmową szosę prowadzącą do Norumbegi, mama mówi:

– Naprawdę chciałam, żebyś w tym roku znalazła przyjaciół.

Zaczynam drugą klasę w szkole średniej, to dzień przeprowadzki do internatu, a ta podróż to ostatnia szansa dla mamy, żeby skłonić mnie do dotrzymania obietnic, zanim Browick mnie wchłonie, a jej kontakt ze mną będzie ograniczony do telefonów i przerw semestralnych. W zeszłym roku martwiła się, że internat mnie zdemoralizuje, więc zmusiła mnie, abym przyrzekła, że nie będę piła alkoholu i uprawiała seksu. W tym roku chce, abym przyrzekła, że nawiążę nowe przyjaźnie, co odczuwam jako wielokrotnie bardziej obraźliwe, może nawet okrutne. Mój rozłam z Jenny nastąpił pięć miesięcy temu, ale rana ciągle jest świeża. Od słów „nowe przyjaźnie” wywracają mi się bebecchy, sam pomysł wydaje się zdradą.

– Nie chcę, żebyś całe dni i wieczory spędzała sama w pokoju – mówi. – Czy to źle?

– Gdybym była w domu, też siedziałabym w swoim pokoju.

– Ale nie będziesz w domu. O to przecież chodzi. Pamiętam, jak mówiłaś coś o „tkance społecznej”, gdy namawiałaś nas, żebyśmy pozwolili ci tu przyjechać.

Wciskam się w fotel, pragnąc się zdematerializować, żeby nie musiała słuchać, jak mama używa moich słów przeciwko mnie. Półtora roku temu, gdy przedstawiciel Browick przyjechał do nas, ośmioklasistów, i zaprezentował wideo w celu naboru nowych uczniów, ukazujące wypielęgowany kampus skąpany w złotych promieniach słońca, rozpoczęłam długą kampanię namawiania rodziców, aby pozwolili mi ubiegać się o miejsce w tej szkole. Sporządziłam dwudziestopunktową listę pod tytułem „Oto dlaczego Browick jest lepsze niż liceum państwowe”. Jednym z punktów była właśnie „tkanka społeczna” szkoły razem z wysokim wskaźnikiem przyjęć na studia wśród tamtejszych absolwentów, szeroką ofertą zajęć dodatkowych, korzyściami, o których przeczytałam w broszurze. W końcu wystarczyły tylko dwa punkty z tej listy, żeby przekonać rodziców. Uzyskałam stypendium, dzięki czemu nauka nie musiała ich nic kosztować, poza tym właśnie wtedy doszło do masakry w Columbine. Przez całe dni oglądaliśmy CNN, zapętlone ujęcia dzieci uciekających przed śmiercią. Gdy stwierdziłam, że w Browick nie doszłoby do niczego podobnego, rodzice wymienili spojrzenia, jakbym wyraziła na głos ich myśli.

– Przez całe lato użalałaś się nad sobą – mówi mama. – Czas się otrząsnąć, żyć dalej.

– Nieprawda – mruczę, ale owszem, to prawda.

Jeśli nie wpatrywałam się tępo w telewizor, to wylegiwałam się w hamaku, ze słuchawkami na głowie, słuchając piosenek, które gwarantowały, że popłyną mi łzy. Mama twierdzi, że roztkliwianie się nad sobą nie jest sposobem na życie, że zawsze coś będzie nas gnębić, a sekretny przepis na szczęście to nie popadać w negatywizm. Nie rozumie, jak satysfakcjonujący bywa smutek; godziny spędzone w hamaku, z muzyką Fiony Apple w uszach sprawiają, że czuję się lepiej, niż czułabym się, gdybym była szczęśliwa.

Zamykam oczy w samochodzie.

– Szkoda, że tata z nami nie jedzie, bo wtedy nie rozmawiałabyś tak ze mną.

– Powiedziałby ci dokładnie to samo.

– Tak, ale nie tak ostro.

Nawet z zamkniętymi oczami widzę wszystko, co przemyka za oknem. To dopiero druga klasa w Browick, ale pokonałyśmy tę drogę już kilkanaście razy. Są gospodarstwa mleczne i pagórkowate tereny zachodniego Maine, sklepy wielobranżowe reklamujące zimne piwo i żywe

przynęty, wiejskie domy z zapadniętymi dachami, skupiska zardzewiałych samochodów na podwórkach z trawą i nawłocią sięgającymi do pasa. Gdy wjeżdża się do Norumbegi, wszystko staje się piękne – idealne śródmieście, piekarnia, księgarnia, włoska restauracja, sklep z dopalaczami, biblioteka publiczna i kampus liceum Browick na wzgórzu, połyskujący białą oblicówką i cegłą.

Mama skręca w stronę głównego wejścia. Wielki szyld „Szkoła Browick” udekorowano bordowymi i białymi balonami z okazji otwarcia internatu, a wąskie drogi w obrębie kampusu są zapchane samochodami i SUV-ami z dobytkiem, zaparkowanymi gdzie popadnie, rodzice i uczniowie przechadzają się dokoła, popatrując na budynki. Mama siedzi pochylona, zgarbiona nad kierownicą, i napięcie między nami rośnie, gdy samochód bryka do przodu, zastyga, znowu bryka.

– Jesteś bystrą, interesującą dziewczyną – stwierdza. – Powinnaś mieć duże grono przyjaciółek. Nie daj się wciągnąć w spędzanie czasu tylko z jedną osobą.

Zapewne nie chciała, żeby jej słowa zabrzmiały tak ostro, mimo to zaraz odwarknę:

– Jenny nie była jedną osobą. Mieszkałyśmy razem.

Mówię to tak, jakby „mieszkanie razem” oznaczało oczywiste relacje – oszałamiającą bliskość i to, jak czasem świat poza wspólnym pokojem cichł i bladł – ale mama tego nie rozumie. Nigdy nie mieszkała w akademiku, nie chodziła na studia, a co dopiero do szkoły z internatem.

– Razem czy nie razem, mogłaś mieć jeszcze inne koleżanki. Chcę ci tylko powiedzieć, że skupienie całej uwagi na jednej osobie nie jest zbyt zdrowe.

Z przodu w łańcuchu samochodów pojawia się rozstęp, zbliżamy się do błoni. Mama włącza prawy kierunkowskaz, potem lewy.

– Którędy mam jechać? – pyta.

Wzdycham i wskazuję w lewo.

Gould to mały internat, właściwie dom z ośmioma pokojami i jednym mieszkaniem dla opiekunki. Pod koniec zeszłego roku szkolnego wylosowałam niski numer w loterii, więc dostałam jednoosobowy pokój – rzadkość w przypadku drugoklasistki. Trzeba aż czterech kursów z mamą, żebym zwiozła cały swój dobytek: dwie walizki pełne ubrań, pudło książek, dodatkowe poduszki, pościel, kołdrę uszytą z T-shirtów, z których wyrosłam, i wentylator na nóżce, który ustawiamy na środku pokoju, żeby wachlował wszystko.

Gdy się rozpakowujemy, ludzie przechodzą obok moich otwartych drzwi – rodzice, uczniowie; czyjś młodszy brat biega po korytarzu, aż w końcu się przewraca i zaczyna płakać. W pewnej chwili mama idzie do toalety i słyszę, że wita się z kimś tym swoim fałszywie uprzejmym tonem, a odpowiada jej głos innej kobiety. Przerywam układanie książek na półce, żeby posłuchać. Mrużąc oczy, usiłuję skojarzyć głos – oho, to pani Murphy, matka Jenny.

Mama wraca do pokoju, zamyka za sobą drzwi.

– Okropny tam hałas – mówi.

– To była mama Jenny? – pytam, przesuwając książki na półce.

– Mhm.

– A Jenny widziałaś?

Kiwa głową, ale nic więcej. Przez moment rozpakowujemy rzeczy w milczeniu.

Odzywam się, gdy naciągamy prześcieradło na pasiasty materac:

– Naprawdę bardzo jej współczuję.

Podoba mi się, jak to brzmi, ale oczywiście to kłamstwo. Zaledwie poprzedniego wieczoru przez godzinę oglądałam się w lustrze, usiłując zobaczyć siebie oczami Jenny, zastanawiając się, czy dostrzeże, że włosy rozjaśniłam sun in i mam nowe kolczyki w uszach.

Mama w milczeniu wyjmuje kołdrę z foliowej torby. Wiem, że się martwi, iż zatoczę koło i znowu będę miała pęknięte serce.

– Gdyby nawet chciała się znowu zaprzyjaźnić, ja nie będę już marnowała na nią czasu – mówię.

Uśmiecha się blado, wygładzając kołdrę na łóżku.

– Ciągłe chodzi z tym chłopakiem?

Ma na myśli Toma Hudsona, sympatię Jenny, powód naszego konfliktu. Wzruszam ramionami, że niby nie wiem, ale wiem. Oczywiście, że wiem. Przez całe lato podglądałam profil Jenny na AOL, a jej status wciąż pozostawał „zajęty”. Nadal są razem.

Przed odjazdem mama daje mi cztery dwudziestodolarowe banknoty i wymusza na mnie obietnicę, że będę dzwoniła do domu w każdą niedzielę.

– Tylko nie zapomnij – przykazuje. – I masz się zjawić na urodziny taty.

Ścisła mnie na pożegnanie tak mocno, że kości bołą.

– Nie mogę oddychać.

– Oj, przepraszam.

Wkłada okulary przeciwsłoneczne, żeby zakryć załzawione oczy. W drodze do wyjścia wskazuje mnie palcem.

– Bądź dla siebie dobra. I nie bądź odludkiem.

Macham lekceważąco ręką.

– Jasne, jasne.

Z progu patrzę, jak idzie korytarzem, znika na klatce schodowej i już jej nie ma. Stojąc w drzwiach, słyszę dwa zbliżające się głosy, dudniący radosny śmiech matki i córki. Gdy obie się pojawiają, dają nura w bezpieczną przestrzeń swojego pokoju. Jenny i jej mama. Dostrzegam je ledwie w przelocie, ale wystarczy, aby zobaczyć, że niedawna przyjaciółka skróciła włosy i ma na sobie sukienkę, która przez cały ostatni rok wisiała w szafie, ani razu niewłożona.

Leżąc na wznak w łóżku, błędzę spojrzeniem po pokoju i słucham pożegnań na korytarzu, pochlipywania i cichych płaczów. Wracam pamięcią do chwil sprzed roku, gdy jako pierwszoklasistka wprowadziłam się do internatu, do tego wieczoru zapoznawczego, kiedy to nie spałyśmy z Jenny aż do późna, a z jej boom boxa grali The Smiths i Bikini Kill, zespoły, o których nigdy wcześniej nie słyszałam, ale udawałam, że jest inaczej, bo bałam się, że w przeciwnym razie wyjdę na frajerkę i wieśniarę. Bo bałam się, że mnie nie polubi. W ciągu tych pierwszych dni w Browick napisałam w swoim pamiętniku: „Najbardziej podoba mi się to, że poznaję tutaj nowych ludzi, takich jak Jenny. Ona jest SUPER i wystarczy, że znajduję się obok niej, żeby się nauczyć, jak być taka sama”. Potem wyrwałam tę kartkę, wyrzuciłam ją. Na jej widok twarz paliła mnie ze wstydu.

W internacie Gould opiekunką jest profesor Thompson, nowa nauczycielka hiszpańskiego, prosto po studiach. Na zebranie pierwszego wieczoru w świetlicy przynosi kolorowe markery i kartoniki, żebyśmy zrobiły wywieszki na drzwi. Pozostałe mieszkanki internatu to dziewczyny najstarszego rocznika, tylko ja i Jenny jesteśmy drugoklasistkami. Odsuwamy się od siebie jak najdalej, siadamy po przeciwnych stronach stołu. Jenny nachyla się, żeby wykonać wywieszkę, ciemne włosy przycięte na chłopczycę opadają jej na policzki. Gdy podnosi głowę, żeby wciągnąć powietrze i zmienić flamaster, jej spojrzenie przesuwają się po mnie, jakbym w ogóle nie istniała.

– Zanim się rozejdziecie, weźcie sobie po jednym – mówi profesor Thompson, otwierając foliową torebkę. Najpierw myślę, że to cukierki, ale potem widzę garść srebrnych gwizdków. – Najprawdopodobniej nie przydadzą się wam – dodaje – ale lepiej zaopatrzyć się na wszelki wypadek.

– Po co nam gwizdki? – pyta Jenny.

– No wiesz, to jeden ze środków bezpieczeństwa na kampusie.

Profesor Thompson uśmiecha się tak szeroko, że widać, iż jest zażenowana.

– W zeszłym roku ich nie miałyśmy.

– To w razie, gdyby ktoś próbował cię zgwałcić – wtrąca Deanna Perkins. – Gwizdziesz, żeby przestał. – Wsuwa gwizdek do ust i dmucha mocno.

Dźwięk rozchodzi się po korytarzu, jest tak imponująco głośny, że wszystkie musimy spróbować.

Profesor Thompson próbuje przekrzywić hałas:

– Dobrze już, dobrze. – Śmieje się. – W sumie warto sprawdzić, czy działają.

– Poważnie myślisz, że gwizdek powstrzymałby kogoś, kto chciałby cię zgwałcić? – pyta Jenny.

– Gwałciciela nic nie powstrzyma – stwierdza Lucy Summers.

– Nieprawda – zaprzecza profesor Thompson. – Poza tym te gwizdki to nie są żadne antygwałty. To taki ogólny środek bezpieczeństwa. Jeśli coś złego dzieje się na kampusie, po prostu gwizdźcie.

– Chłopcy też dostali takie? – pytam.

Lucy i Deanna wywracają oczami.

– Po co chłopakom gwizdki? – odpowiada ta druga. – Zrób czasem użytek z szarych komórek.

W reakcji na to Jenny parska głośnym śmiechem, jakby nigdy wcześniej Lucy i Deanna nie wywracały oczami z jej powodu.

Jest pierwszy dzień roku szkolnego, kampus tętni życiem, okna w domach z oblicówką są pootwierane na oścież, parkingi kadry wypełnione po brzegi. Podczas śniadania piję czarną herbatę, przycupnąwszy przy końcu stołu, z żołądkiem tak ściśniętym, że nie mogę jeść. Krążę spojrzeniem po stołówce z katedralnym sufitem, chłonę nowe twarze i zmiany w tych znajomych. Zauważam wszystko u wszystkich – że Margo Atherton nosi przedziałek po lewej stronie, aby przysłonić niesprawne prawe oko, że każdego ranka Jeremy Rice kradnie banana. Zanim jeszcze Tom Hudson zaczął chodzić z Jenny, zanim pojawił się jakikolwiek powód, żeby się interesować jego poczynaniami, zauważyłam u niego kolekcję T-shirtów z nazwami zespołów, noszonych pod koszulą. To lekko upiorne i całkowicie poza moją kontrolą, ta umiejętność zauważania wielu szczegółów u innych ludzi, gdy jestem przekonana, że u mnie nikt nic nie dostrzega.

Akademia powitalna ma się odbyć zaraz po śniadaniu. Właściwie już po pierwszych słowach przeradza się w odprawę pomyślaną po to, żeby nas wdroić w nowy rok szkolny. Tłoczmy się w środku, aula to ciepłe drewno i czerwone aksamitne zasłony, krzesła ustawione w półkolistych rzędach jarzą się od wpadających do środka snopów światła. Przez pierwsze kilka minut tego zgromadzenia, gdy dyrektorka szkoły, pani Giles, ze szpakowatymi włosami zatkniętymi za uszy i chronicznie drżącym głosem świergoczącym po całej sali, omawia szkolne obyczaje i zasady, wszyscy wyglądają na wypucowanych, jak spod igły. Ale gdy schodzi ze sceny, w pomieszczeniu już jest duszno, a na wielu czołach perli się pot. Kilka rzędów z tyłu ktoś donośnie sęka: „Długo jeszcze?”. Profesor Antonova rzuca groźne spojrzenie przez ramię. Obok mnie Anna Shapiro wachluje się dłonią. Podmuchy wiatru wpadają przez otwarte okna i poruszają krajem zaciągniętych aksamitnych zasłon.

A potem na scenę wkracza pan Strane, kierownik studium języka angielskiego, nauczyciel, którego rozpoznaję, ale z którym nigdy nie zamieniłam słowa. Ma faliste czarne włosy i czarną brodę, okulary, które odbijają światło, więc nie widać jego oczu, ale ja w pierwszej kolejności dostrzegam – pewnie dostrzega każdy – jego posturę. Nie jest gruby, ale

duży, szeroki i tak wysoki, że garbi ramiona, jakby ciało chciało przeprosić za zajmowanie tak dużej przestrzeni.

Stanąwszy przy mównicy, musi wydłużyć nóżkę mikrofonu do oporu. Gdy zaczyna przemawiać – słońce odbija się od jego okularów – sięgam do plecaka i sprawdzam swój plan lekcji. Jest, ostatnia tego dnia: rozszerzona literatura amerykańska z profesorem Strane'em.

– Dziś rano widzę tutaj młodych ludzi u progu dokonywania wielkich rzeczy.

Jego głos dudni z głośników, wszystko wymawiane tak starannie, aż prawie niemiło słyszeć te długie samogłoski, twarde spółgłoski, jakby ktoś kołysał nas do snu tylko po to, żeby nas obudzić. To, z czym się do nas zwraca, daje się sprowadzić do kilku wytartych frazesów – „sięgnąć gwiazd”, „nieważne, czy sprostacie temu, czy tamtemu zadaniu, może kiedyś wyładujecie na Księżycu?” – ale jest dobrym mówcą i nadaje tym słowom głębszy sens.

– W tym roku szkolnym zawsze starajcie się dać z siebie wszystko, co najlepsze – ciągnie. – Stawiajcie sobie wyzwania, aby Browick stało się jeszcze lepszą szkołą. Pozostawcie po sobie ślad. – Sięga do tylnej kieszeni, wyjmuje czerwoną chustkę i ociera nią czoło, odsłaniając ciemną plamę przesączającą się przez koszulę pod pachą. – Jestem tutaj nauczycielem od trzynastu lat – mówi – i w tym czasie byłem świadkiem niezliczonych aktów odwagi ze strony uczniów tej szkoły.

Wiercę się na krześle, świadoma potu zbierającego się w zgięciach kolan i łokci. Próbuję sobie wyobrazić, co Strane rozumie przez „akty odwagi”.

Mój jesienny semestr to rozszerzony francuski, rozszerzona biologia, historia powszechna, geometria (dla „geniuszy niematematycznych”, profesor Antonova nazywa to „geometrią dla tępaków”), zajęcia fakultatywne pod nazwą „wychowanie obywatelskie i media”, na których oglądamy CNN i rozmawiamy o zbliżających się wyborach prezydenckich, oraz rozszerzona literatura amerykańska. Pierwszego dnia kursuję po kampusie, od klasy do klasy, obładowana książkami – natychmiast stają się oczywiste zwiększone obciążenia w drugiej klasie w porównaniu z pierwszą. W miarę upływu godzin, gdy każdy nauczyciel zapowiada czekające nas wyzwania, prace domowe, egzaminy, przyspieszone, czasem wręcz zawrotne tempo nauki – bo to nie jest zwykła szkoła, a my nie jesteśmy zwykłymi młodymi ludźmi, jesteśmy przecież wyjątkowi i powinniśmy stawiać czoło trudnościom, rozkwitać dzięki nim – ogarnia mnie zmęczenie. W środku dnia z trudem trzymam głowę prosto, więc zamiast coś zjeść podczas przerwy obiadowej, wślizguję się z powrotem do Gould, zwijam na łóżku i płaczę. Skoro zapowiada się tak ciężko, to po co w ogóle się starać? Niedobrze mieć takie nastawienie, zwłaszcza pierwszego dnia, zaczynam się więc zastanawiać, co ja w ogóle robię w Browick, dlaczego dali mi stypendium, dlaczego sądzili, że jestem dostatecznie bystra, żeby się tu uczyć. Po tej spirali zsuwałam się już wcześniej i za każdym razem dochodzę do tego samego wniosku: że coś chyba jest ze mną nie tak, że mam w sobie jakąś wrodzoną słabość, która daje o sobie znać jako lenistwo, lęk przed ciężką pracą. Poza tym wydaje się, że mało kto w Browick męczy się tak bardzo jak ja. Biegają z klasy do klasy, znają każdą odpowiedź, są zawsze przygotowani. Jakby wszystko łatwo im przychodziło.

Gdy idę na zajęcia z literatury amerykańskiej, ostatnią lekcję tego dnia, to najpierw zauważam, że profesor Strane zmienił koszulę po akademii powitalnej. Stoi z przodu, oparty o tablicę, z rękoma założonymi na piersi, wygląda na jeszcze większego mężczyznę niż wcześniej na podium. Klasa składa się z dziesięciorga uczniów, w tym Jenny i Toma, a gdy zjawiamy się w sali, profesor przygląda się nam kolejno, mierzy nas wzrokiem. Kiedy wchodzi Jenny, siedzę już przy stole, dwa krzesła od Toma. On rozpromienia się na jej widok, wskazuje jej puste miejsce między nami – jest nieświadomy, w ogóle nie rozumie, dlaczego to niemożliwe. Ściskając ramiączka plecaka, Jenny posyła mu szybki uśmiech.

– Lepiej tam usiądźmy – mówi, mając na myśli przeciwną stronę stołu, mając na myśli krzesła stojące jak najdalej ode mnie. – Będzie lepiej.

Przemyka spojrzeniem po mojej twarzy tak samo jak podczas zebrania w internacie. W pewien sposób to wydaje się głupie, cały ten wysiłek wkładany w udawanie, że nasza przyjaźń nigdy nie istniała.

Rozbrzmiewa dzwonek oznaczający rozpoczęcie lekcji, lecz profesor Strane się nie porusza. Czeka, żeby w sali zapadła cisza, dopiero potem mówi:

– Przypuszczam, że wszyscy dobrze się znacie. Ale ja nie znam wszystkich.

Podchodzi do stołu i wskazując nas na chybił trafił, pyta o nazwiska i pochodzenie. Niektórym zadaje dodatkowe pytania – czy mamy rodzeństwo, gdzie najdalej dotąd podróżowaliśmy, gdybyśmy chcieli mieć inne imię, to jakie? Profesor pyta Jenny, ile miała lat, kiedy zakochała się po raz pierwszy, a ona czerwieni się jak burak. Obok niej czerwieni się Tom.

Wreszcie przychodzi moja kolej i mówię:

– Nazywam się Vanessa Wye i właściwie pochodzę znikąd.

Profesor Strane siada na krzesło.

– Vanessa Wye pochodząca znikąd.

Śmieję się nerwowo, słyszę, jak głupio brzmią moje słowa, gdy powtarza je ktoś inny.

– To znaczy, to nie jest właściwie żadne miasto. Nie ma nawet nazwy. Ludzie mówią o nim „miejsce numer dwadzieścia dziewięć”.

– Tu w Maine? – pyta profesor Strane. – Przy autostradzie na wschód? Wiem, gdzie to jest. Macie tam jezioro o takiej ładnej nazwie. Whales jakoś tam.

Mrugam zaskoczona.

– Whalesback Lake. Mieszkamy nad samym jeziorem. To jedyny całoroczny dom. – Gdy to mówię, w sercu czuję stare ukłucie. W Browick rzadko tęsknię za rodzinnymi stronami, ale może to dlatego, że nikt nie wie, skąd pochodzę.

– Poważnie? – Profesor Strane zamyśla się na moment. – Nie czujesz się tam czasem samotna?

Przez moment jestem osłupiała. To pytanie otwiera bolesną ranę, szokująco głęboką. Chociaż nigdy nie użyłabym słowa „samotna” na określenie tego, jak się czuję, żyjąc na naszym odludziu, to słysząc je teraz z ust profesora Strane’a, myślę, że to chyba prawda, że prawdopodobnie to zawsze była prawda, i nagle się peszę, wyobrażam sobie, że mam tę samotność wypisaną na twarzy, że to na tyle oczywiste, że nauczycielowi wystarczy jedno spojrzenie, aby wiedział, że jestem osobą samotną.

– Czasem chyba tak – wyduszam z siebie, ale profesor Strane już przechodzi dalej, pyta Grega Akersa, jak to jest przenieść się z Chicago na wzgórze zachodniego Maine.

Gdy już się wszyscy przedstawiliśmy, mówi, że jego zajęcia będą najtrudniejsze ze wszystkich w tym roku.

– Od wielu uczniów dowiaduję się, że jestem najsurowszym nauczycielem w całym Browick – dodaje. – Słyszałem, że surowszym niż nauczyciele na studiach. – Bębni palcami w stół i odczekuje, żebyśmy przyswoili sobie wagę tej informacji. Następnie podchodzi do tablicy, chwyta kawałek kredy i zaczyna pisać. – Powinniście już notować – mówi, zerkając przez ramię.

Rzucamy się na zeszyty, a on tymczasem rozpoczyna wykład o Henrym Wadsworthie Longfellowie i wierszu *Pieśń Hiawathy*, o którym nigdy nie słyszałam, niemożliwe, że tylko ja jedna, ale gdy pyta nas, czy go znamy, wszyscy kiwamy głowami. Nikt nie chce wyjść na ignoranta.

Wykład trwa, a ja zerkam ukradkiem po sali. Wnętrze jest takie samo jak w innych

pomieszczeniach wydziału nauk humanistycznych – deski podłogowe, ściana z wbudowanymi biblioteczkami, zielona tablica, stół konferencyjny – ale wydaje się zamieszkałe i wygodne. Widzę dywan z wydeptaną ścieżką pośrodku, duże dębowe biurko oświetlone bankierką, ekspres do kawy i kubek z godłem Harvardu na szafce kartotekowej. Przez otwarte okno wpada woń skoszonej trawy i warkot uruchomionego silnika, a na tablicy profesor Strane pisze wers z Longfellowa z takim przejęciem, że kreda kruszy mu się w palcach. W pewnym momencie zastyga, odwraca się do nas i stwierdza:

– Jeśli jest coś, co powinniście wynieść z tych zajęć, to to, że świat składa się ze wzajemnie przecinających się historii, a każda ma sens i jest prawdziwa.

Staram się zapisywać dokładnie to, co mówi, każde słowo.

Wykład dobiega końca, gdy zostaje pięć minut do dzwonka. Profesor Strane opuszcza ręce po bokach, garbi ramiona. Odkłada kredę i siada za stołem, pociera twarz, wzdycha ciężko. Następnie odzywa się zmęczonym głosem:

– Pierwszy dzień jest zawsze taki długi.

Czekamy wszyscy przy stole, niepewni, co powinniśmy zrobić, z długopisami wzniesionymi nad kartkami zeszytów.

Odsuwa ręce od twarzy.

– Będę z wami szczerzy – mówi. – Jestem kurewsko zmęczony.

Zaskoczona Jenny śmieje się po drugiej stronie stołu. Czasem nauczyciele pozwalają sobie na żarty podczas lekcji, ale jeszcze nigdy nie słyszałam podobnego przekleństwa. Do głowy by mi nie przyszło, że któryś mógłby tak powiedzieć.

– Nie przeszkadza wam, że używam niecenzuralnych słów? – pyta. – Zdaje się, że powinienem był was najpierw spytać o zgodę. – Klaszcze w dłonie, jest ironicznie szczerzy. – Jeśli mój dosadny język obraża kogoś z was, to niech przemówi teraz albo zamilknie na wieki.

Oczywiście nikt się nie odezwał.

*

Pierwsze kilka tygodni nauki mija szybko, ciąg lekcji, śniadań złożonych z czarnej herbaty i lunchów złożonych z kanapek posmarowanych masłem orzechowym, ślęczenie w bibliotece, wieczory z siecią telewizyjną WB w świetlicy. Dostaję godzinny szlaban za opuszczenie zebrania w internacie, ale przekonuję profesor Thompson, żeby pozwoliła mi wyprowadzić jej psa, zamiast siedzieć z nią w gabinecie, co nie uśmiecha się żadnej z nas. Większość poranków przed lekcjami spędzam na odrabianiu zadań w ostatniej chwili, bo bez względu na to, jak bardzo się staram, zawsze się możolę, zawsze grozi mi pozostanie w tyle. Nauczyciele powtarzają, że powinnam z tym coś zrobić, mówią, że jestem bystra, ale nieskoncentrowana, a to taki delikatny sposób powiedzenia, że leń ze mnie.

W ciągu zaledwie kilku dni od przeprowadzki mój pokój zmienia się w pobożowisko ubrań, luźnych papierów i kubków niedopitej kawy. Gubię gdzieś terminarz, który miał mi pomóc kontrolować bieg spraw, ale nic dziwnego, bo przecież wszystko potrafię zapodziać. Co najmniej raz w tygodniu okazuje się, że ktoś powiesił moje klucze na klamce od zewnątrz, bo znalazł je w łazience, w klasie albo na stołówce. Wszystko mi się wymyka – podręczniki wpadają między łóżko a ścianę, wypracowania lądują pogniecione na dnie plecaka. Nauczyciele bez przerwy irytują się z powodu moich pomiętych zeszytów, przypominają, że odejmą mi punkty za niechlujstwo.

– Musisz być systematyczna! – krzyczy mój nauczyciel historii, gdy rozpaczliwie wertuję kartki w poszukiwaniu notatek z poprzedniego dnia. – Przecież to dopiero drugi tydzień. Jak to możliwe, że masz już wszystko tak rozgrzebane?

W końcu odnajduję notatki, lecz to niczego nie zmienia: jestem bałaganiarą, a to oznaka słabości, duża wada charakteru.

W Browick wychowawcy i ich podopieczni raz w miesiącu jedzą razem kolację, tradycyjnie w domu nauczyciela, ale moja wychowawczyni, profesor Antonova, nigdy nas do siebie nie zaprasza.

– Trzeba stawiać granice – mówi. – Nie wszyscy z ciała pedagogicznego się ze mną zgadzają, trudno. Ich całe życie to uczniowie, trudno. Ze mną jest inaczej. Pójdziemy gdzieś, zjemy, porozmawiamy trochę, a potem do domu. Granice.

Na pierwszą wspólną kolację w roku profesor Antonova zaprasza nas do włoskiej restauracji w centrum. Gdy skupiona nawijam makaron na widelec, ona stwierdza, że niesystematyczność uczniów jest w tej chwili najważniejszym tematem rozmów w pokojach nauczycielskich. „Spróbuję się poprawić”, mówię, starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt lekceważąco. Profesor Antonova krąży wokół stołu i podaje nam kolejno liczbę zaliczonych punktów. Nikt oprócz mnie nie ma problemu z systematycznością, ale i tak nie jestem najgorsza: Kyle Guinn nie złożył prac domowych z dwóch przedmiotów, a to spore przewinienie. Gdy profesor Antonova czyta jego ocenę ogólną, wszyscy patrzymy w swoje talerze, odczuwając ulgę, że wypadliśmy lepiej niż on. Pod koniec kolacji, kiedy nasze talerze są już puste, nauczycielka puszcza w obieg puszkę ciastek własnego wypieku, pączuszków z wiśniowym nadzieniem.

– To pampuszki – oznajmia. – Ukraińskie, takie, jakie robiła moja matka.

Gdy wychodzimy i ruszamy pod górę w stronę kampusu, profesor Antonova idzie obok mnie.

– Zapomniałam ci powiedzieć, Vanesso, że w tym roku powinnaś wziąć zajęcia dodatkowe. Może nawet kilka. Musisz mieć na względzie późniejsze studia. Bo na razie to wygląda marnie.

Zaczyna sugerować to i tamto, a ja kiwam głową. Zdaję sobie sprawę, że powinnam się bardziej zaangażować, próbowałam nawet – w zeszłym tygodniu poszłam na kółko języka francuskiego, ale zaraz zrezygnowałam, bo zobaczyłam, że członkowie wkładają małe czarne berety na każde zebranie.

– A może kółko pisarskie? – pyta. – To by pasowało, skoro piszesz wiersze.

Też o tym pomyślałam. Kółko pisarskie wydaje magazyn literacki, w zeszłym roku czytałam go od deski do deski, porównywałam swoje wiersze z wydrukowanymi, próbując zachować obiektywizm ocen.

– Może tak – odpowiadam.

Profesor Antonova dotyka mnie dłonią w ramię.

– Zastanów się – mówi. – W tym roku opiekunem jest profesor Strane. On zna się na rzeczy.

Zerkając przez ramię, klaszcze w dłonie i woła coś po rosyjsku do maruderów wlokących się z tyłu, a to, nie wiedzieć czemu, o wiele skuteczniej skłania do przyśpieszenia kroku niż cokolwiek powiedziane po angielsku.

Oprócz mnie do kółka pisarskiego należy jeszcze tylko jedna osoba – trzecioklasista Jesse Ly, największy w Browick wyznawca gotyckiego rocka i domniemany gej. Gdy wchodzę do klasy, on już siedzi przy stole konferencyjnym z plikiem papierów przed nosem, z nogami w wojskowych buciorach opartymi na krześle i długopisem zatkniętym za ucho. Zerka na mnie, ale nic nie mówi. Wątpię, czy wie choćby, jak mam na imię.

Natomiast profesor Strane zrywa się zza biurka i maszeruje przez pokój w moim kierunku.

– Ty do naszego kółka?

Otwieram usta, ale nie mam pojęcia, co odrzec. Gdybym wiedziała, że oprócz mnie będzie tylko jedna osoba, prawdopodobnie bym się na to nie zdecydowała. Najchętniej wycofałabym się teraz, lecz profesor Strane wydaje się zachwycony, ściska mi dłoń i mówi:

– Dzięki tobie liczba członków wzrośnie o sto procent.

Chyba za późno, żeby się rozmyślić.

Prowadzi mnie do stołu, siada obok i wyjaśnia, że ten plik papierów to teksty złożone do redakcji magazynu.

– Prace uczniów – dodaje. – Nie zwracaj uwagi na nazwiska. Ale czytaj uważnie teksty do końca, dopiero potem podejmij decyzję.

Mówi, żebym na marginesie pisała komentarze, później każdą pracę oceniła w skali od jednego do pięciu – jeden punkt to zdecydowane „nie”, pięć – zdecydowane „tak”.

– Do tej pory ja sam sprawdzałem – wtrąca Jesse, nie podnosząc głowy. – Przez cały ostatni rok.

Wskazuje plik tego, co już przerobił – w prawym górnym rogu widnieje ptaszek, ptaszek z minusem albo ptaszek z plusem. Profesor Strane unosi brwi, najwyraźniej poirytowany, ale Jesse tego nie zauważa. Nie odrywa wzroku od czytanego wiersza.

– Jakąkolwiek metodę obierzecie we dwoje, i tak będzie dobrze – mówi nauczyciel. Uśmiecha się do mnie, mruga powieką. Wstając, klepie mnie po ramieniu.

Gdy wraca za biurko po drugiej stronie pomieszczenia, wydaję z pliku pierwszy tekst, opowiadanie zatytułowane „Najgorszy dzień w jej życiu” napisane przez Zoe Green. W zeszłym roku chodziłam z nią na zajęcia z algebry. Siedziała z tyłu i śmiała się, ilekroć Seth McLeod przezywał mnie „Ruda Maruda”, jakby to była najzabawniejsza rzecz na świecie. Kręcę głową, próbuję wyzbyć się uprzedzeń. No właśnie, dlatego profesor Strane powiedział, żeby nie patrzeć na nazwiska.

To historia dziewczyny, która czeka w szpitalu, bo umiera jej babcia. Jestem znudzona już po pierwszym akapicie. Jesse przyłapuje mnie na wertowaniu kartek, bo chcę sprawdzić, czy tekst jest długi, i mówi do mnie półgłosem:

– Nie musisz czytać do końca, jeśli to naprawdę kiepskie. Redagowałem nasz magazyn w zeszłym roku, gdy opiekunką była profesor Bloom. Nie miała nic przeciwko.

Zerkam na Strane’a, siedzącego za biurkiem, pochylonego nad plikiem papierów. Wzruszam ramionami.

– Nie szkodzi, przeczytam.

Jesse rzuca okiem na kartkę w moich dłoniach.

– Zoe Green, co? – pyta. – To ta, która w zeszłym roku rozkleiła się na szkolnej debacie.

Owszem, ta. Zoe, która miała za zadanie argumentować na rzecz słuszności kary śmierci, zalała się łzami w ostatniej rundzie, bo jej adwersarz Jackson Kelly nazwał jej stanowisko rasistowskim i niemoralnym, co prawdopodobnie nie ubodłoby jej tak bardzo, gdyby chłopak nie był czarny. Gdy obwołano go zwycięzcą konkursu, Zoe powiedziała, że poczuła się osobiście dotknięta jego ripostą, stanowiącą złamanie zasad debaty, więc skończyło się na tym, że obojgu przyznano zwycięstwo, co było idiotyczne i każdy o tym wiedział.

Jesse nachyla się do przodu, wyrywa mi wypociny Zoe z ręki, stawia ptaszka z minusem w górnym prawym rogu i papiery fruną na stos tekstów odrzuconych.

– *Voilà* – mówi.

Przez następną godzinę oboje czytamy, a profesor Strane sprawdza wypracowania za biurkiem pod ścianą, od czasu do czasu podnosi się i wychodzi, żeby coś skserować albo nabrać wody do zaparzenia kawy. W pewnej chwili obiera pomarańczę i zapach owocu wypełnia całą

salę. Gdy upływa godzina, wstaję od stołu, a on pyta mnie, czy przyjdę na następne spotkanie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam. – Próbuję różnych rzeczy.

Uśmiecha się i odczekuje, żeby Jesse wyszedł, po czym mówi:

– Domyślam się, że to mało rozrywkowe zajęcie.

– To mi nie przeszkadza. Nie jestem szczególnie towarzyską osobą.

– A to czemu?

– Nie wiem. Po prostu nie mam rzeszy przyjaciół.

Kiwa głową w zamyśleniu.

– Rozumiem. Ja też lubię być sam.

W pierwszym odruchu chcę zaprzeczyć, nie, wcale nie lubię być sama, ale może to i racja? Może z wyboru jestem odludkiem, wolę własne towarzystwo?

– Przyjaźniłam się z Jenny Murphy – wyznaję. – Z klasy angielskiego. – Słowa same płyną z ust, zaskakując mnie. Nigdy dotąd nie zwierzałam się w ten sposób nauczycielom, zwłaszcza mężczyźnie, ale on tak na mnie patrzy – łagodny uśmiech w oczach, podbródek podparty dłonią – że pragnę mówić, otworzyć się.

– Ach – wzdycha. – Z Królową Nilu.

Gdy zmieszana marszczę czoło, wyjaśnia, że jej fryzura na chłopczycę przypomina mu Kleopatę, a słysząc to, czuję ukłucie w dołku. Zazdrość albo coś gorszego.

– Nie wydaje mi się, żeby miała aż tak świetną fryzurę – odpowiadam.

Profesor Strane uśmiecha się pod nosem.

– A więc przyjaźniłyście się. I co się stało?

– Zaczęła chodzić z Tomem Hudsonem.

Zastanawia się przez chwilę.

– Z tym, który ma baki.

Kiwam głową i myślę o tym, że nauczyciele prawdopodobnie klasyfikują nas i kategoryzują. Ciekawe, jakie ma skojarzenia, gdy ktoś wspomni o Vanessie Wye. O tej rudej. Tej, która zawsze jest sama.

– A więc przecierpiałaś zdradę – stwierdza, mając na myśli moje rozstanie z Jenny.

Nigdy dotąd nie przyszło mi to do głowy i teraz czuję ciepło w sercu. Cierpiałam. Przecież nie było tak, że zraziłam Jenny do siebie nadmiarem uczuć albo nazbyt wielkim przywiązaniem. Nie, wyrządzono mi krzywdę.

Profesor Strane wstaje i podchodzi do tablicy, zaczyna ścierać tekst napisany podczas lekcji.

– Dlaczego postanowiłaś przyjść do naszego kółka? – pyta. – Luki w planie zajęć?

Kiwam głową; wydaje mi się, że nie warto kłamać.

– Profesor Antonova zasugerowała, że powinnam przyjść. Ale oprócz tego coś tam sobie piszę.

– Co?

– Przeważnie wiersze. Ale nie są dobre.

Zerka przez ramię i uśmiecha się, życzliwie i zarazem protekcjonalnie.

– Chętnie przeczytałbym coś z twojej twórczości.

Mój umysł chwyta się słowa „twórczość”, jakby cokolwiek z tego, co piszę, było warte poważnego potraktowania.

– Dobrze – odpowiadam – jeśli pan profesor naprawdę ma ochotę.

– Mam. Nie prosiłbym, gdybym nie miał.

Czuję, że czerwienię się w reakcji na te słowa. Według matki moją najgorszą wadą jest odrzucanie komplementów z powodu niskiej samooceny. Muszę nauczyć się przyjmowania

pochwał. To wszystko sprowadza się do pewności siebie, twierdzi mama, albo jej braku.

Profesor Strane odkłada gąbkę na półeczkę pod tablicą i przygląda mi się z końca klasy. Wsuwa ręce do kieszeni, mierzy mnie wzrokiem.

– Ładne ubranie – stwierdza. – Podoba mi się twój styl.

Bąkam „dziękuję”; maniery zakorzenione tak głęboko, że są odruchem. Patrzę po sobie: ciemnozielony sweter, niby rozkloszowany, ale tak naprawdę bez fasonu, sięgający do kolan. Wcale nie jest stylowy, a noszę go wyłącznie dlatego, że lubię kolorystyczny kontrast z włosami. To chyba dziwne, że mężczyzna w średnim wieku zwraca uwagę na stroje dziewcząt. Mój tata nie potrafi odróżnić spódnicy od sukienki.

Profesor Strane odwraca się do tablicy i zaczyna znowu ścierać, choć jest już czysta. Wygląda na speszzonego, a ja w głębi ducha mam mu ochotę znowu podziękować, tym razem szczerze. „Bardzo panu dziękuję”, mogłabym powiedzieć. „Nikt dotąd nic takiego mi nie mówił”. Czekam, żeby znowu na mnie spojrzął, lecz on przeciąga szmatą po tablicy w jedną i drugą stronę, białawe maźnięcia na zielonym tle.

A potem, gdy zbliżam się do drzwi, mówi:

– Mam nadzieję, że zobaczymy się w czwartek.

– Tak – odpowiadam – przyjdę.

Przychodzę więc w następny czwartek, potem we wtorek i następny czwartek. Staję się oficjalnie członkinią kółka pisarskiego. Sprawdzenie tekstów złożonych do publikacji w naszym magazynie literackim zajmuje mnie i Jessemu więcej czasu, niż się spodziewałam, głównie z powodu mojego niezdecydowania, ciągłego, wielokrotnego zmieniania wystawionych ocen. Jesse z kolei błyskawicznie i bezlitośnie podejmuje decyzje, chlasta długopisem kartki. Gdy pytam go, jakim cudem tak szybko się rozeznaje, odpowiada, że już po pierwszym zdaniu widać, czy tekst jest dobry, czy nie. Pewnego czwartku profesor Strane znika w gabinecie na tyłach sali i wraca ze starymi numerami magazynu, abyśmy się zorientowali, jak to powinno wyglądać, choć w zeszłym roku to przecież Jesse go redagował, więc wie. Wertując jeden z egzemplarzy, dostrzegam nazwisko Jessego w spisie treści pod hasłem „Fikcja literacka”.

– Ej, ty tu jesteś – mówię.

Spogląda i stęka.

– Błagam cię, nie czytaj tego przy mnie.

– Dlaczego?

Przekartkuję do pierwszej strony.

– Bo nie.

Wsuwam czasopismo do plecaka i zapominam o całej sprawie, ale po kolacji grzęznę w niezrozumiałych zadaniach z geometrii i za wszelką cenę chcę się od nich oderwać. Wyjmuję magazyn i odszukuję opowiadanie Jessego. Czytam dwa razy. Jest dobre, naprawdę dobre, lepsze niż wszystko, co ja do tej pory napisałam, lepsze niż złożone do redakcji teksty, które przeczytałam. Chcę mu to powiedzieć na następnym zebraniu naszego kółka, ale natychmiast mi przerywa:

– Mnie już pisanie za bardzo nie interesuje.

Któregoś popołudnia profesor Strane pokazuje nam nowe oprogramowanie do formatowania naszego czasopisma. Siedzimy z Jessem obok siebie przed komputerem, a nauczyciel stoi za nami, patrzy i koryguje. W pewnej chwili popełniam błąd, więc wyciągam rękę i przesuwam za mnie myszkę, dłonią tak dużą, że całkowicie zakrywa moją. Jego dotyk sprawia, że czuję nagle gorąco w ciele. Gdy popełniam drugi błąd, profesor Strane znowu robi to samo, tym razem lekko ściskając moją rękę, jakby chciał mi dodać otuchy, powiedzieć, że na pewno sobie poradzę, ale wobec Jessego tak się nie zachowuje, nawet gdy chłopak wyłącza oprogramowanie

bez zapisania zmian i trzeba wszystko wyjaśnić od początku krok po kroku.

Nadchodzą ostatnie dni września i przez tydzień panuje idealna pogoda, jest słonecznie i rześko. Każdego ranka liście stają się bardziej kolorowe, przeobrażając faliste wzgórza Norumbegi w feerię barw. Kampus wygląda tak jak w broszurze, na której punkcie miałam obsesję, gdy wypełniałam podanie o przyjęcie do Browick – uczniowie w swetrach, trawniki soczyście zielone, „złota godzina” rozpromieniająca budynki z białą oblicówką. Powinnam się tym rozkoszować, a jednak piękna aura budzi we mnie niepokój, wręcz panikę. Po lekcjach nie umiem się opanować, idę to do biblioteki, to do świetlicy w internacie, to do swojego pokoju i z powrotem do biblioteki. Nie mogę sobie znaleźć miejsca.

Pewnego popołudnia trzy razy okrążam kampus, chcąc być zawsze gdzieś indziej, niż jestem – w bibliotece za ciemno, w niesprzątniętym pokoju przygnębiająco, wszędzie indziej tłumy ludzi uczących się w grupach, co tylko dodatkowo uwidocznią moją samotność; zawsze ta moja samotność – wreszcie zmuszam się, żeby przystanąć na trawiastym stoku za wydziałem nauk humanistycznych.

Uspokój się. Oddychaj głęboko.

Opieram się o sierocy klon, który przyciąga mój wzrok w trakcie lekcji angielskiego, i przykładam dłoń do rozpalonych policzków. Jestem tak nakręcona, że się pocę, a przecież nie ma chyba nawet dziesięciu stopni.

Nic się nie dzieje – powtarzam sobie. Uspokój się i popracuj tutaj.

Siadam oparta plecami o pień i sięgam do plecaka, głębiej, pod podręcznik do geometrii, żeby wyjąć kołonoratnik. Uznaję, że czuję się lepiej, jeśli najpierw zajmę się swoją poezją, otwieram na stronie z ostatnim wierszem, to kilka strof o dziewczynie usidłonej na wyspie i przyzywającej żeglarzy, czytam te linijki i uświadamiam sobie, że to grafomania – niezdarne, rozlazłe, niespójne. A wydawało mi się, że jest dobre. Jak to możliwe, że tak myślałam? Chała bez dwóch zdań. Zapewne wszystkie moje wiersze są do niczego. Kulę się i wbijam nasady dłoni w oczodoły, aż nagle słyszę zbliżające się kroki, szelest deptanych liści i trzaski gałązek. Spoglądam do góry – rosła postać przyćmiewa słońce.

– Cześć – mówi.

Oślaniam oczy – profesor Strane. Twarz mu się zmienia, gdy widzi moją minę, zaczerwienione oczy.

– Coś się stało?

Kiwam głową, patrząc na niego. Nie ma sensu zaprzeczać.

– Wolisz zostać sama?

Waham się, a potem kręcę głową.

Osuwa się na trawę obok mnie, w odległości kilku kroków. Wyciąga długie nogi przed siebie, pod materiałem widać zarys jego kolan. Obserwuje mnie, gdy ocieram łzy.

– Nie chcę się narzucać. Zobaczyłem cię z okna, pomyślałem, że się przywitam. – Wskazuje do tyłu, na wydział nauk humanistycznych. – Mogę spytać, co cię tak rozstroił?

Wzdycham, zastanawiam się nad doborem słów, ale po chwili tylko kręcę głową.

– Ciężko wyjaśnić – odpowiadam.

Bo przecież chodzi o coś więcej niż tylko kiepski wiersz, niż to, że czuję się skonana i nie mogę znaleźć miejsca do nauki. To coś mroczniejszego, lęk, że ze mną jest coś fundamentalnie nie w porządku i nie będę potrafiła tego naprawić.

Spodziewam się, że po tych słowach profesor Strane odpuści. Ale on czeka, tak samo jak czeka w klasie na odpowiedź na trudne pytanie. „Oczywiście, że ciężko to wyjaśnić, Vanesso. Tak właśnie powinniśmy się czuć w obliczu trudnych pytań”.

Wciągam powietrze w płuca.

– W tym roku dostaję tu obłądu. Jakby czas mi uciekał albo coś. Jakbym marnowała życie.

Profesor Strane mruga oczami. Widzę, że spodziewał się czegoś innego.

– Jakbyś marnowała życie? – powtarza.

– Wiem, że to brzmi bezsensownie.

– Wcale nie. To ma głęboki sens. – Odchyła się do tyłu wsparty na rękach i przekrzywia głowę. – Wiesz, gdybyś była w moim wieku, powiedziałbym, że tak daje o sobie znać kryzys wieku średniego.

Patrzy na mnie przyjaźnie i nagle moja twarz staje się odbiciem jego twarzy. Uśmiech za uśmiech.

– Wygląda na to, że coś pisałaś – mówi. – Dobrze ci idzie?

Unoszę ramiona, nie wiem, co odrzec. Dobrze? Gdybym tak powiedziała, byłoby to samochwalstwo, a to do mnie niepodobne.

– Chciałabyś mi pokazać?

– Wykluczone. – Ściskam notatnik w dłoniach, przysuwam do piersi, a w oczach profesora Strane'a widzę błyski niepokoju, jakby moje nagłe ruchy go przestraszyły. Opanowuję się i dodaję: – Jeszcze nie skończyłam.

– A czy pisanie kiedykolwiek jest ukończone?

Oho, podchwytliwe pytanie. Zastanawiam się przez chwilę, po czym odpowiadam:

– Jedne teksty bywają bardziej ukończone niż inne.

Uśmiecha się, te słowa wyraźnie przypadły mu do gustu.

– A masz coś, co jest bardziej ukończone i co mogłabyś mi pokazać?

Rozluźniam palce i otwieram brulion na pierwszej stronie. Są na niej niedokończone wiersze, przepisywane bazgroły. Zaczynam przerzucać ostatnie kartki, szukam wiersza, nad którym pracowałam przez ostatnie tygodnie. Jest niedokończony, ale ujdzie. Podaję nauczycielowi kołonoratnik, mając nadzieję, że nie zauważy gryzmołów na marginesie i rysunku kwitnącej winorośli ciągnącej się przy spirali.

Trzyma go ostrożnie w dłoniach. Na sam widok mojego brulionu w jego rękach przeszywa mnie prąd. Dotąd nikt go nie dotykał, a cóż dopiero mówić o czytaniu zawartości.

– Hm – wzdycha profesor Strane po dłuższej chwili.

Czekam na bardziej jednoznaczną reakcję, na to, by mi powiedział, czy w jego ocenie wiersz jest dobry czy zły.

– Przeczytam jeszcze raz – mówi. Wreszcie podnosi wzrok. – Vanessa, to bardzo śliczne.

Wzdycham z tak wielką ulgą, że z moich ust wyrывa się śmiech.

– Długo to pisałaś?

Wzruszam ramionami, uznając, że bycie geniuszem spontanicznej poezji będzie bardziej imponujące.

– Niedługo – kłamię.

– Mówiłaś, że dużo piszesz.

Oddaje mi kołonoratnik.

– Właściwie codziennie.

– To widać. Świetnie sobie radzisz. Mówię to jako czytelnik, nie nauczyciel.

Jestem tak zachwycona, że znów chichoczę, a on posyła mi ten swój czuły i zarazem protekcjonalny uśmiech.

– Co w tym zabawnego? – pyta.

– Nic, to najmiłsze słowa, jakie usłyszałam na temat swojego pisania.

– Żartujesz sobie? To jeszcze nic. Zaslugujesz na coś o wiele miłszego.

– Właściwie to nigdy nie pokazywałam nikomu swojej... – W ostatniej chwili powstrzymuję się od wypowiedzenia słowa „pisanina”. – Swojej twórczości – dodaję.

Między nami zapada milczenie. Wsparty na rękach profesor Strane kontempluje widok w dole: malownicze centrum, odległa rzeka, faliste wzgórza. Zerkam na swój brulion, spojrzenie wbite w kartki, ale tak naprawdę niczego nie widzę. Jestem nazbyt świadoma obecności Strane’a, siedzącego tuż obok mnie, jego pochylonego tułowia i brzucha opiętego koszulą, długich nóg skrzyżowanych w kostkach, tego, jak jedna nogawka się zmarszczyła, odsłaniając pół centymetra gołej łydki nad butem górskim. Bojąc się, że wstanie i odejdzie, zastanawiam się gorączkowo, co mogłabym powiedzieć, żeby go zatrzymać, ale zanim zdążam cokolwiek z siebie wydusić, podnosi z ziemi klonowy liść, obraca go w dłoni, trzymając za szypułkę, przygląda mu się przez chwilę, a potem przysuwa go do mojej twarzy.

– Popatrz – mówi. – Idealnie pasuje do twoich włosów.

Zastygam z rozdziawionymi ustami. Wciąż trzyma liść w wysuniętej ręce, muskając nim moje włosy. A potem, lekko kręcąc głową, upuszcza go na ziemię. Wstaje, znowu zasłaniając słońce, ociera dłonie o uda i bez pożegnania odchodzi w stronę wydziału nauk humanistycznych.

Gdy znika, dopada mnie jakaś mania, potrzeba ucieczki. Zatrząskuję brulion, chwytam plecak i ruszam do internatu, ale potem się rozmyślam i wracam, żeby przeczesać teren w poszukiwaniu tego liścia, który Strane przysunął do mojej twarzy. Przemierzam się przez kampus jakby niesiona wiatrem, ledwo dotykając ziemi przy stawianiu kroków. Dopiero gdy znajduję się z powrotem w swoim pokoju, przypominam sobie, że powiedział, iż zobaczył mnie z okna, więc zaciskam powieki w obronie przed myślą o tym, że stał potem w klasie i widział, jak szukam liścia.

W następny weekend jadę do domu na urodziny taty. Mama daje mu w prezencie biszkoptowego szczeniaka ze schroniska – labradorkę, którą właściciel porzucił z powodu maści „o jeden ton za jasnej”. Tata nadaje suczce imię Babe, po tej śwince z filmu, no i dlatego, że sierotka rzeczywiście wygląda jak prosiaczek, z tym dużym brzuszkiem i różowym nosem. Nasz ostatni pies umarł latem, dwunastoletni bezpieczki owczarek, którego ojciec znalazł w miasteczku, więc nigdy wcześniej nie mieliśmy szczenięcia. Od razu zakochuję się w suni tak mocno, że przez cały weekend noszę ją na rękach jak niemowlaka, łaskocząc fasolkowate poduszki jej łap i wachając słodziutki oddech.

Wieczorem, gdy rodzice idą spać, stoję przed lustrem w pokoju, przyglądam się swojej twarzy i włosom, usiłując zobaczyć siebie oczami profesora Strane’a – dziewczynę o klonoworudych włosach, która nosi ładne ubrania i ma dobry gust. Ale widzę tylko blade, piegowate dziecko.

Mama odwozi mnie do Browick, a tata zostaje z Babe. W zamkniętej przestrzeni samochodu moje serce pali się do wyznania. Ale niby co miałabym wyznać? Że dotknął kilka razy mojej dłoni, powiedział coś miłego o moich włosach?

Gdy wjeżdżamy przez most do miasta, pytam najbardziej niezobowiązującym tonem:

– Mamo, zauważyłaś kiedykolwiek, że mam włosy koloru klonu?

Zerka na mnie zdziwiona.

– Są różne gatunki klonu – odpowiada – a na jesień przybierają różne kolory. Jest klon cukrowy, pensylwański, czerwony. No i na północy mamy jeszcze klon kłosowy....

– Nieważne, dajmy spokój.

– Od kiedy to interesujesz się drzewami?

– Mówiłam o swoich włosach, nie o drzewach.

Pyta, kto mi powiedział, że moje włosy wyglądają jak klonowe liście, nie wydaje się jednak zaniepokojona. Ton ma łagodny, jakby spodobało się jej to porównanie.

– Nikt.
– Ktoś musiał ci to powiedzieć.
– A sama nie mogę czegoś takiego zobaczyć?
Zatrzymujemy się na czerwonym świetle. W radiu czytają najważniejsze doniesienia serwisu informacyjnego.
– Dobrze, powiem ci, ale musisz przyrzec, że nie zrobisz z tego afery.
– Nie zrobię.
Posyłam jej powłóczyście spojrzenie.
– Przyrzeknij.
– Dobrze, przyrzekam.
Biorę wdech.
– Nauczyciel mi tak powiedział. Że moje włosy mają kolor czerwonych klonowych liści. – Czuję oszałamiającą ulgę, wypowiadając te słowa. Nieomal parskam śmiechem.
Mama mruży oczy.
– Nauczyciel?
– Patrz na drogę.
– Czyli mężczyzna?
– A jakie to ma znaczenie?
– Nauczyciel nie powinien mówić takich rzeczy. Kim on jest?
– Mamo.
– Kto to? Chcę wiedzieć.
– Obiecałaś, że nie będziesz robić afery.
Zaciska wargi, jakby chciała się uspokoić.
– Twierdzą tylko, że to nienormalne mówić takie rzeczy piętnastoletniej dziewczynie.
Jedziemy przez miasteczko: pierzeje podupadłych wiktoriańskich rezydencji podzielonych na osobne mieszkania, puste centrum, rozległy szpital, pomnik uśmiechniętego drwała Paula Bunyana, który z powodu czarnych włosów i brody trochę przypomina profesora Strane'a.
– Owszem, to mężczyzna – mówię. – Naprawdę uważasz, że to nienormalne?
– Tak, naprawdę. Chcesz, żebym z kimś porozmawiała? Pójdę i zrobię awanturę.
Wyobrażam sobie, jak matka wpada do budynku administracji i żąda spotkania z dyrektorką. Kręcę głową. Tylko nie to.
– On to powiedział od niechcenia – mówię. – Nic wielkiego.
Mama trochę się uspokaja.
– Kto to był? – pyta znowu. – Nic nie zrobię. Chcę tylko wiedzieć.
– Nauczyciel od wychowania obywatelskiego – kłamię bez wahania. – Profesor Sheldon.
– Profesor Sheldon. – Cedzi sylaby, jakby to było najgłupsze nazwisko, jakie kiedykolwiek słyszała. – Nie powinnaś się zadawać z nauczycielami. Znajdź sobie koleżanki.
Patrzę na drogę znikającą pod kołami. Mogłybyśmy dotrzeć do Browick międzystanówką, ale matka mówi, że to tor wyścigowy pełen wściekłych ludzi. Wybiera dwupasmową szosę i jazda potrwa dwa razy dłużej.
– Mamo, ze mną jest wszystko w porządku.
Zerka na mnie, marszcząc czoło.
– Wolę być sama. To zupełnie normalne. Nie powinnaś się tak o to czepiać.
– Nie czepiam się – odpowiada, ale obie wiemy, że to nieprawda. Po chwili dodaje: –
Przepraszam, po prostu martwię się o ciebie.
Przez resztę podróży prawie nie rozmawiamy. Patrzę za okno, mając nieodparte poczucie,

że wygrałam.

W bibliotece siedzę w solidnej kabinie, z rozłożoną pracą domową z geometrii. Próbuję się skupić, ale mój umysł przypomina kamyk prześlizgujący się po wodzie. Albo nie, lepiej kamyk grzechoczący w puszczy. Wyjmuję brulion, żeby zapisać te słowa, i moją uwagę pochłania wiersz o dziewczynie na wyspie, który wciąż szlifuję. Gdy wreszcie podnoszę głowę, widzę, że minęła cała godzina, a praca domowa z geometrii jest nietknięta.

Pocieram dłońmi twarz, biorę do ręki długopis i próbuję ruszyć z miejsca, ale po upływie kilku minut już patrzę przez okno. Nastąpiła „złota godzina”, światło maluje drzewa ognistą barwą. Z boisk wracają chłopcy w piłkarskich koszulkach, z korkami przewieszonymi przez ramie. Dwie dziewczyny niosą skrzypce w futerałach jak plecaki, bliźniacze warkoczyki podskakują przy każdym kroku.

I nagle widzę profesor Thompson i profesora Strane'a kierujących się razem w stronę wydziału nauk humanistycznych. Idą powoli, nie śpieszą się. Profesor Strane z rękami założonymi na plecach, profesor Thompson uśmiechnięta, dotyka swojej twarzy. Próbuję sobie przypomnieć, czy widziałam ich wcześniej razem, próbuję ocenić, czy ona jest ładną kobietą. Ma niebieskie oczy i czarne włosy, to połączenie, które moja mama niezmiennie uważa za frapujące, ale jest krępa, a tyłek sterczy jej jak odwłok. Boję się, że właśnie takiego ciała nabiorę, jeśli nie będę uważała.

Wpatruję się zmrużonymi oczami w dal, żeby dostrzec więcej szczegółów. Idą blisko siebie, ale się nie dotykają. W pewnej chwili profesor Thompson odchyła głowę i wybucha śmiechem. Przyciskając twarz do okna, staram się nie tracić ich z oczu, ale suną za róg i znikają za pomarańczowymi liśćmi dębu.

Przystępujemy do testów kompetencyjnych z matematyki i angielskiego. Dostaję dobre oceny, podobnie jak inni drugoklasiści, i wszyscy zaczynamy znajdować broszury z najlepszych uniwersytetów w swoich skrzynkach na listy. Kupuję drugi terminarz, żeby lepiej radzić sobie z organizowaniem zajęć, co nie uchodzi uwagi moich nauczycieli i o czym informują oni profesor Antonovą, która wręcza mi puszkę cukierków orzechowych jako nagrodę za dobrą pracę.

Na lekcjach z literatury amerykańskiej czytamy Walta Whitmana i profesor Strane opowiada nam o tej idei, że w ludziach kryje się mnogość różnych cech i sprzeczności. Zaczynam dostrzegać, że on też jest pełen przeciwieństw: mówi, że skończył Harvard, ale dorastał w biedzie, jego krasomówcze wypowiedzi usiane są obscenicznością, marynarki od krawca i wyprasowane koszule nosi do kompletu ze zdartymi butami górskimi. Jego styl nauczania też wydaje się niekonsekwentny. Zabieranie głosu na zajęciach jest zawsze ryzykowne, bo jeśli profesorowi Strane'owi podoba się wypowiedź ucznia, wtedy klaszcze w dłonie i doskakuje do tablicy, żeby zapisać i rozwinąć wspaniały komentarz, jeśli natomiast jest inaczej, nie pozwala nawet dokończyć – przerywa tym swoim „dobrze, wystarczy”, które rani jak nóż. Boję się zgłaszać do odpowiedzi, mimo że czasem zadaje pytanie i patrzy wprost na mnie, jakby chciał wiedzieć, co myśle.

Na marginesie swoich notatek z lekcji starannie zapisuję autobiograficzne szczegóły, które profesor Strane czasem niechcący wyjawia: wychował się w Butte w stanie Montana, potem w wieku osiemnastu lat rozpoczął studia na Harvardzie, a wcześniej nigdy nie widział oceanu; mieszka w centrum Norumbegi, naprzeciw biblioteki publicznej; nie lubi psów, bo jako dziecko został pogryziony. We wtorek, po zajęciach kółka pisarskiego, gdy Jesse wychodzi z klasy i rusza korytarzem, profesor Strane mówi nagle, że ma coś dla mnie. Otwiera dolną szufladę w swoim biurku i wyjmuje książkę.

– To na lekcje? – pytam.

– Nie. Dla ciebie. – Obchodzi biurko i wkłada mi tomik w dłonie. *Ariel* Sylvii Plath. – Czytałaś?

Kręcę głową i obracam książkę w dłoniach. Niebieska płócienna oprawa jest wyświechtana. Spomiędzy kartek sterczy kawałek papieru jako prowizoryczna zakładka.

– Ona czasem trochę przedobrza – stwierdza profesor Strane. – Ale młode kobiety ją uwielbiają.

Nie wiem, co rozumie pod słowem „przedobrza”, lecz nie zamierzam pytać. Zaczynam wertować – błyski poezji – i zatrzymuję się na założonej stronie. *Pani Łazarz* – widnieje wytłuszczonymi wersalikami.

– Dlaczego akurat tu zakładka? – pytam.

– Pokażę ci.

Podchodzi do mnie, przewraca kartkę. Stojąc blisko niego, czuję się połknięta; głową nie sięgam mu nawet do ramienia.

– Tutaj – mówi i wskazuje wersy.

Rudowłosa

powstanę z popiołów,

by jeść mężczyzn jak powietrze.

– Te słowa kojarzą mi się z tobą – wyznaje.

Potem sięga ręką za moje plecy i ciągnie mnie za koński ogon.

Patrzę na książkę, jakbym wczytywała się w wiersz, ale druk na żółtej kartce rozmazuje się przed moimi oczami jak czarne bazgroły. Nie wiem, jak mam zareagować. Czuję, że powinnam się roześmiać. Czy to flirt? Nie, niemożliwe. Flirt ma być zabawny, a to wydaje się bardzo poważne.

Profesor Strane pyta cichym głosem:

– Nie masz nic przeciwko temu, że tak mi się kojarzysz?

Zwilżam wargi językiem, unoszę ramiona.

– Jasne, że nie.

– Bo za żadne skarby świata nie chciałbym przekroczyć granicy.

„Przekroczyć granicy”. Nie wiem, co ma na myśli, ale patrzy na mnie w taki sposób, że nie ośmielam się zapytać. Wydaje się jednocześnie zażenowany i zachęcony. Odnoszę wrażenie, że rozpląkałby się, gdybym powiedziała, że jednak przekracza granicę.

Uśmiecham się.

– Wszystko w porządku.

Wypuszcza powietrze z płuc.

– To dobrze. – Odsuwa się, wraca do biurka. – Poczytaj i powiedz, co o tym myślisz. Może znajdziesz w tym inspirację do napisania wiersza lub dwóch.

Wychodzę z klasy i idę prosto do internatu, kładę się do łóżka i czytam cały tomik od deski do deski. Wiersze mi się podobają, ale bardziej intrygujące jest to, dlaczego kojarzą się profesorowi Strane'owi ze mną i w jakich okolicznościach to się stało – może chodzi o to popołudnie z liściem? Klonoworude włosy. Zastanawiam się, od jak dawna trzymał ten tomik w szufladzie. Czy czekał przez pewien czas, wahał się, czy dać mi książkę? Może musiał zebrać się na odwagę?

Wyjmuję kawałek papieru, którym założył stronę na *Pani Łazarz*, i piszę starannym pochyłym pismem: „Rudowłosa powstanę z popiołów”, a potem przypinam skrawek do tablicy korkowej nad biurkiem. Dorośli to jedyni ludzie, którzy kiedykolwiek mówią coś miłego o moich włosach, ale w tym przypadku to coś więcej niż bycie miłym. On myśli o mnie. Myśli o mnie tak bardzo, że różne rzeczy kojarzą mu się ze mną. To coś znaczy.

Odczekuję i po kilku dniach zwracam *Ariela*, ociągając się w klasie, żeby wszyscy inni wyszli. Kładę książkę na biurku profesora Strane'a.

– No i? – pyta. Pochyla się wsparty na łokciach, ciekaw mojej opinii.

Waham się, marszczę nos.

– Ona jest bardzo zaabsorbowana sobą.

Śmieje się – szczerze.

– Dobrze powiedziane. Doceniam twoją szczerłość.

– Ale podoba mi się – dodaję. – Zwłaszcza ten wiersz, który pan zaznaczył.

– Właśnie myślałem, że ci się spodoba. – Podchodzi do biblioteczki wbudowanej w ścianę, wpatruje się w grzbiety książek. – Jest. – Podaje mi inną książkę. Emily Dickinson. – Zobaczymy, co o tym myślisz.

Z Dickinson nie zwlekam. Nazajutrz po lekcji kładę książkę na jego biurku.

– Nie moja bajka.

– Żartujesz?

– Trochę nudne.

– Nudne?! – Przykłada dłoń do piersi. – Vanesso, łamiesz mi serce.

– A mówił pan, że ceni moją uczciwość – odpowiadam ze śmiechem.

– Cenię. Ale najbardziej wtedy, gdy jesteśmy tego samego zdania.

Następna książka wybrana dla mnie to wiersze Edny St. Vincent Millay, o której – według niego – można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest nudna.

– Była rudowłosą kobietą z Maine – dodaje. – Taką jak ty.

Tomiki od profesora Strane'a noszę przy sobie, czytam, gdy tylko nadarza się okazja, w każdej wolnej chwili, przy każdym posiłku. Zaczynam sobie uświadamiać, że nie chodzi o to, czy mi się podobają – jest raczej tak, jakby profesor Strane dawał mi różne okulary, przez które mogę patrzeć na siebie. Wiersze są wskazówkami mającymi pomóc mi zrozumieć, dlaczego go pociągam, co we mnie widzi.

Jego zainteresowanie ośmiela mnie na tyle, że pokazuję mu robocze wersje swoich wierszy, gdy wyznaje, że chciałby przeczytać coś więcej z mojej twórczości. Wprawki wraca mi opatrzone uwagami – to nie tylko pochwały, ale także sugestie, jak coś poprawić. Zaznacza słowa, co do których sama nie jestem pewna, i pisze: „Najtrafniej ujęte?”. Inne skreśla i dodaje: „Można by lepiej?”. Wiersz, który ułożyłam w środku nocy, przebudziwszy się ze snu osadzonego w miejscu będącym połączeniem jego gabinetu i mojego pokoju, profesor Strane komentuje następująco: „Vanesso, to mnie trochę przeraża”.

Godzinę zajęć dodatkowych zaczynam spędzać w jego klasie. Uczę się przy stole konferencyjnym, on pracuje za swoim biurkiem, a październikowe słońce zza okien oblewa nas złotym światłem. Czasem wchodzą inni uczniowie, żeby prosić o pomoc w nauce, ale najczęściej jesteśmy tylko we dwoje. Wypytuje mnie o różne rzeczy, o dorastanie nad jeziorem Whalesback i co myślę o Browick, co chcę robić, gdy będę starsza. Mówi, że mogę sięgnąć gwiazd, że mam rzadki rodzaj inteligencji, coś, czego nie da się zmierzyć za pomocą stopni i egzaminów.

– Czasem martwię się o uczniów twojego pokroju – wyznaje. – O tych, którzy przyjeżdżają z małych miasteczek, z podupadłych szkół. Łatwo się zagubić, poczuć przytłoczonym w takim miejscu jak to. Ale ty dobrze sobie radzisz, prawda?

Kiwam głową potakująco, zastanawiam się jednak, co ma na myśli, mówiąc „podupadły”. Moja szkoła nie była taka zła.

– Pamiętaj, że jesteś wyjątkowa – dodaje. – Masz coś, o czym mogą tylko pomarzyć ci wszyscy prymusi, których tu na pęczki.

Wskazuje puste krzesła przy stole, a ja myślę o Jenny – o jej obsesji na punkcie dobrych

ocen, o tym, jak pewnego razu weszłam do naszego pokoju, a ona szlochała na łóżku, w butach, koka na kołdrze, na podłodze pognieciony test z matematyki. Dostała osiemdziesiąt osiem punktów. „Jenny, przecież to ciągle niezła ocena”, powiedziałam wtedy, ale była niepokieszona. Odwróciła się do ściany i płakała, kryjąc twarz w dłoniach.

Pewnego popołudnia, sporządzając plan lekcji, profesor Strane mówi zniechęca:

– Ciekawe, co myślisz o tym, że spędzasz tutaj tak dużo czasu.

Nie wiem, kogo ma na myśli – uczniów, nauczycieli, może wszystkich? Zredukował cały świat do „innych”.

– Nie martwiłabym się tym – odpowiadam.

– Dlaczego nie?

– Bo nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– To nieprawda. Ja cały czas zwracam na ciebie uwagę.

Podnoszę głowę znad zeszytu. Przestał pisać, palce spoczywają nieruchomo na klawiaturze, patrzy na mnie z taką czułością, że aż przeszywa mnie chłód.

Odtąd wyobrażam sobie, że obserwuje mnie przy śniadaniu, gdy wciąż mam zaspane oczy, gdy idę do centrum, siedzę sama w pokoju, gdy ściągam gumkę z włosów i wślizguję się do łóżka z najnowszą książką, którą dla mnie wybrał. W mojej wyobraźni wpatruje się we mnie, gdy przewracam kartki, zahipnotyzowany najdrobniejszym moim ruchem.

Nadchodzi Weekend z Rodzicami, trzy dni starań, aby Browick zaprezentowało się z jak najlepszej strony. W piątek najpierw odbywa się przyjęcie koktajlowe wyłącznie dla rodziców, potem kolacja dla wszystkich w stołówce – serwują potrawy, które z reguły nie figurują w jadłospisie: rostbef z porcją kartofelków, ciepły placek z jagodami. W sobotę przed lunchem są wywiadówki, po południu gry i zabawy, a rodzice, którzy zostają do końca, w niedzielę rano idą do centrum: do kościoła lub na brunch. W zeszłym roku moi wzięli udział we wszystkim, nawet w niedzielnym nabożeństwie, ale teraz mama mówi, że jeśli mieliby z tatą przechodzić przez to wszystko jeszcze raz, straciliby ochotę do życia, więc przyjeżdżają w sobotę tylko na wywiadówki. I dobrze, bo Browick to mój świat, nie ich. Prawdopodobnie prędzej zagłosowałiby na republikanów, niż nalepili na zderzak jedną z tych naklejek „Rodzic ucznia z Browick”.

Po wywiadówkach przychodzą, żeby obejrzeć mój pokój. Tata w czapce Red Soxów i kraciastej koszuli, mama, aby to zrównoważyć, w bliźniaku. On kręci się dokoła, przygląda książkom na półkach, ona wyciąga się obok mnie na łóżku i chce mnie wziąć za rękę.

– Nie – mówię i wrywam dłoń.

– To daj mi chociaż powąchać szyję. Stęskniłam się za twoim zapachem.

W odruchu obrony unoszę ramię do głowy.

– Mamo, mogłabyś zachowywać się normalnie?

W ostatnie ferie zimowe spytała, czy mogłabym dać jej swój ulubiony szalik, bo chciała go trzymać w pudełku i wąchać od czasu do czasu, gdy szczególnie doskwiera jej tęsknota za mną. Muszę natychmiast przepędzić z głowy podobne myśli, inaczej doznaję tak przytłaczającego poczucia winy, że nie mogę oddychać.

Mama zaczyna relacjonować przebieg wywiadówki, a ja pragnę tylko wiedzieć, co mówił profesor Strane, odczekuję jednak, aby opowiedziała o rozmowie z każdym nauczycielem po kolei, nie chcę bowiem budzić podejrzeń poprzez okazywanie zbytniego zainteresowania.

Wreszcie stwierdza:

– Twój nauczyciel angielskiego wydaje się ciekawą osobą.

– To ten wysoki brodaczek? – upewnia się ojciec.

– Tak, ten, który studiował na Harvardzie – potwierdza mama, przeciągając ostatnie słowo.

Zastanawiam się, w jakich okolicznościach profesor Strane pochwalił się Harvardem. A może rodzice zauważyli dyplom wiszący na ścianie za biurkiem?

– Wydaje się bardzo interesującą osobą – powtarza mama.

– Co konkretnie masz na myśli? – pytam. – Co mówił?

– Że w zeszłym tygodniu napisałaś dobre wypracowanie.

– Tylko tyle?

– A co więcej miałby mówić?

Gryzę się w policzek, przerażona, że profesor Strane rozmawiał o mnie jak o każdej innej uczennicy. „W zeszłym tygodniu napisała dobre wypracowanie”. Może nic więcej dla niego nie znaczę?

– Wiesz, kto nie za bardzo przypadł mi do gustu? – pyta mama. – Ten nauczyciel wychowania obywatelskiego. Profesor Sheldon. – Rzuca mi wymowne spojrzenie i dodaje: – Prawdziwy dupek.

– Przestań! – prychna tata. Nie cierpi, gdy mama przeklina w mojej obecności.

Dźwigam się z łóżka, otwieram szafę i zaczynam grzebać wśród ubrań, żeby nie patrzeć na nich, gdy dyskutują, czy powinni zostać na kampusie do kolacji, czy wracać przez zapadnięciem zmroku.

– Byłabyś bardzo niezadowolona, gdybyśmy pojechali wcześniej? – pytają.

Patrzę na ubrania wiszące w szafie i mruczę, że jest mi wszystko jedno. Jak zwykle żegnam się z nimi pośpiesznie, próbuję nie odczuwać irytacji na widok łez w oczach mamy.

W piątek, jeszcze przed terminem oddania wypracowań o Whitmanie, profesor Strane krąży dokoła stołu i pyta nas na wrywki o obrany temat. Natychmiast wydaje oceny – „dobrze, ale trzeba doprecyzować” albo „do kosza, zacznij od nowa”. Wszystkich nas zżera trema. Tom Hudson ma „wywalić do kosza i zacząć od nowa” i przez chwilę wydaje mi się, że biedak się rozplacze. Gdy Jenny słyszy, że „wybrała dobrze, lecz musi doprecyzować”, wtedy naprawdę mruga oczami, żeby powstrzymać napór łez, a we mnie aż budzi się pragnienie, aby zerwać się z miejsca, obieć stół, zarzucić jej ręce na szyję i powiedzieć profesorowi Strane’owi, by zostawił ją w spokoju. Kiedy przychodzi moja kolej, słyszę, że dokonałam doskonałego wyboru.

Po przepytaniu wszystkich zostaje kwadrans do dzwonka, więc profesor Strane mówi, abyśmy wykorzystali ten czas na dopracowanie tematów. Nie wiem, co mam robić, skoro obrałam doskonały temat i nie mam czego poprawiać. Nagle on woła mnie po imieniu. Trzyma w ręku kartkę z wierszem, który dałam mu przed lekcją, kiwa, abym podeszła do jego biurka.

– Porozmawiajmy o tym – mówi.

Wstaję, a moje krzesło szura nogami po podłodze w tej samej chwili, gdy Jenny upuszcza długopis, żeby rozruszać zdrętwiały nadgarstek. Na moment nasze spojrzenia się krzyżują. Podchodzę do profesora Strane’a, czując na sobie wzrok dawnej przyjaciółki.

Siadam obok i widzę, że na marginesie kartki nie ma żadnych poprawek.

– Przysuń się, żebyśmy mogli cicho rozmawiać i nie przeszkadzać pozostałym – mówi.

Zanim zdążam się poruszyć, zaciska palce na oparciu mojego krzesła i przyciąga mnie bliżej, aż dzieli nas najwyżej pół kroku.

Jeśli tamci są zaintrygowani tym, co robimy, to nie pokazują tego po sobie. Dokoła stołu konferencyjnego wszystkie głowy pochylone w skupieniu. Jakby pozostali żyli w jednym świecie, a my dwoje w innym. Nasadą dłoni profesor Strane wygładza kartkę zgiętą przeze mnie na pół i zaczyna czytać. Jest tak blisko, że czuję jego zapach – kawa i miętka kreda – obserwuję jego dłonie, obgryzione paznokcie, ciemne włoski na przegubach. Zastanawiam się, po co mnie przywołał, skoro dotąd nie przeczytał wiersza. Zastanawiam się, co myśli o moich rodzicach, czy uważa ich za wsiochów, tata we flanelowej koszuli, mama przyciskająca torebkę do piersi. „Och,

a więc studiował pan na Harvardzie”, zapewne tak właśnie zareagowali, ich zachwyt równie oczywisty jak ich prowincjonalny akcent.

Profesor Strane stuka długopisem w kartkę i szepcze do mnie:

– Nessa, muszę cię o to spytać. Czy świadomie chciałaś osiągnąć tutaj erotyczny efekt?

Kieruję wzrok na wskazane wersy:

*Chabrowa i lagodna porusza się we śnie,
Stopami z paznokciami z obłupanym lakierem
Koldrę skopuje i ziewa szeroko,
Aby zajrzał w głąb niej.*

Rozpadam się na dwoje, moje ciało pozostaje na miejscu, umysł rejteruje z powrotem do stołu, przy którym siedzą pozostali. Nikt dotąd nie mówił mi, że sprawiam erotyczne wrażenie, a tylko rodzice wołają na mnie Nessa. Czy mówili o mnie w ten sposób podczas wywiadówki z profesorem Strane’em? Może zwrócił na to uwagę i przyswoił sobie od razu to zdrobnienie?

Naprawdę chciałam osiągnąć erotyczny efekt?

– Nie wiem – odpowiadam.

Odchyła się lekko, odrobinę, ale to nie uchodzi mojej uwagi.

– Nie zamierzałem cię zawstydzić.

Uświadamiam sobie, że zostałam poddana próbie. Profesor Strane chce zobaczyć, jak zareaguję na takie słowa. Zawstydenie oznaczałoby, że nie zaliczyłam sprawdzianu. Kręcę więc głową.

– Nie jestem zawstydzona.

Czyta dalej, stawia wykrzyknik przy innym wersie i szepcze, bardziej do siebie niż do mnie:

– Dobrze, to bardzo ładne.

W głębi korytarza trzaskają drzwi. Przy stole Greg Akers strzela po kolei kłykciami, a Jenny trze zapamiętałe gumką po swoim wypracowaniu, najwyraźniej wciąż daleka od usatysfakcjonowania. Przesuwam spojrzeniem w kierunku okna i dostrzegam coś czerwonego. Mrużę oczy i widzę, że to balonik, który zahaczył się sznurkiem o gałąź klonu. Unosi się na wietrze, ocierając o liście i korę. Skąd tu balonik? Patrzą na niego przez długą chwilę, tak skupiona, że nawet nie mrugam powiekami.

Nagle profesor Strane dotyka kolanem mojego gołego uda, tuż pod rąbkiem sukienki. Z oczami wciąż wbitymi w kartkę, z długopisem podążającym za słowami, zagnieżdża się kolanem w mojej nodze. Jestem skamieniała, martwieję. Przy dużym stole dziewięć głów pozostaje pochylonych w skupieniu. Za oknem czerwony balonik unosi się nad gałęzią.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że zrobił to nieświadomie, że bierze moje udo za część biurka albo nogę krzesła. Czekam, żeby dotarło do niego, co się dzieje, żeby odsunął się i przeprosił pośpiesznie, ale nie, nadal przyciska kolano do mojego uda. Próbuję zachować pozory i odsuwam się minimalnie, lecz jego noga podąża za mną.

– Wydaje mi się, że mamy ze sobą mnóstwo wspólnego – szepcze. – Po tym, jak piszesz, Nessa, widzę, że jesteś mroczną romantyczką tak samo jak ja. Lubisz ciemność.

Zasłonięty biurkiem przed swoimi uczniami, wyciąga rękę i klepie mnie po kolanie, delikatnie, acz energicznie, jak można poklepać psa, żeby się upewnić, że nie jest wredny i nie ugryzie. Nie gryzę. Nie poruszam się. Nie oddycham nawet. On jedną ręką notuje uwagi na kartce, drugą głaszcze mnie po kolanie, a ze mnie ulatuje umysł. Ociera się o sufit, widzę siebie jakby z lotu ptaka – zgarbione ramiona, nieobecny wzrok, płomiennie rude włosy.

Potem lekcja dobiega końca. Profesor Strane odsuwa się, czuję chłód w miejscu, w którym przed chwilą spoczywała jego dłoń, a w sali zapanowało poruszenie i hałas, zapinane

suwaki, zatrzaskiwane zeszyty, śmiech i odzywki; nikt z nich nie ma pojęcia, co się rozegrało w ich obecności.

– Czekam na następny – mówi profesor Strane. Podaje mi kartkę z wierszem i swoimi uwagami jakby nigdy nic, normalka.

Pozostałych dziewięcioro uczniów pakuje rzeczy i wychodzi z sali, żeby dalej żyć swoją codziennością: ćwiczenia, praktyki, spotkania kółek naukowych. Ja też wychodzę, ale nie należę do nich. Oni to wciąż ci sami ludzie, lecz ja już jestem inna. Odczłowieczona. Uwolniona. Gdy oni idą przed kampus, przyziemni, zwykli, ja szybuję, pozostawiając za sobą płomiennorudy ogon jak kometa. Nie jestem już sobą, jestem nikim. Jestem czerwonym balonikiem schwytanym w konarach drzewa. Nie, jestem niczym.

2017

Jestem w pracy, patrzę tępo w głąb hotelowego lobby, gdy nagle dostaję esemesa od Iry. Od razu sztywnieję, widzę trzy powiadomienia gromadzące się na ekranie komórki. W efekcie naszego rozstania jego numer wciąż figuruje na liście moich kontaktów jako „NIE PISZ”.

Jak się masz?

Myślę o Tobie.

Miałabyś ochotę na drinka?

Nawet nie dotykam telefonu. Nie chcę, aby wiedział, że przeczytałam esemesy, jednak gdy rekomenduję gościom hotelowym różne restauracje i robię rezerwacje telefoniczne, mówiąc każdemu, że obsługiwanie go to dla mnie czysta przyjemność, w brzuchu czuję coraz gorętszy ogień. Minęły trzy miesiące, odkąd Ira powiedział, że musimy z tym skończyć raz na zawsze. Poradziłam sobie. Żadnych spacerów w pobliżu jego kamienicy w nadziei na „przypadkowe” spotkanie, żadnych telefonów, esemesów – nawet po pijaku. Oto, uznaję, nagroda za moją samokontrolę.

Odpisuję po dwóch godzinach. „Mam się dobrze. Drink chętnie”. Odpowiada natychmiast: „Pracujesz? Jestem teraz na kolacji z kolegami. Moglibyśmy się potem spotkać, po twojej zmianie”. Drżącymi dłońmi wysyłam mu emotikon uniesionego kciuka, jakby nie chciało mi się pisać.

Gdy o wpół do dwunastej wychodzę z hotelu, on już czeka na zewnątrz przy stanowisku parkingowego, zgarbiony wpatruje się w komórkę. Od razu zauważam, że zaszły w nim zmiany, krótsze włosy, modniejsze ciuchy, obcisłe czarne spodnie i dżinsowa kurtka z dziurawymi łokciami. Wyprostowuje się na mój widok, wsuwa telefon do tylnej kieszeni.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – mówię. – Nie mogłam się wcześniej wyrwać, pracowity wieczór.

Stoję z torebką w obu dłoniach, nie za bardzo wiedząc, jak się przywitać, co jest dozwolone.

– Nie szkodzi, przyszedłem zaledwie kilka minut temu. Świetnie wyglądasz.

– Ty też.

– Właściwie zawsze świetnie wyglądałaś.

Wyciąga rękę, aby mnie objąć, ale kręcę głową. Jest zbyt miły. Gdyby chciał się zejść, zachowywałby się ostrożnie i niepewnie tak jak ja.

– Ty wyglądasz... – Szukam właściwego słowa. – Przebojowo.

Chciałam w ten sposób wbić mu szpilę, ale tylko się śmieje i szczerze dziękuje za komplement.

Idziemy do nowego baru ze sfatygowanymi drewnianymi stołami i metalowymi krzesłami, pięciostronicowa lista piw uszeregowanych według gatunków, kraju pochodzenia i zawartości alkoholu. W progu rozglądam się po pomieszczeniu, przypatruję każdej głowie z długimi jasnymi włosami, aby się upewnić, że to nie Taylor Birch, chociaż nie mam pewności, czy rozpoznałabym ją, nawet gdyby stanęła tuż przede mną. W ostatnich tygodniach widuję na ulicach kobiety, które mi ją przypominają, ale zawsze okazuje się, że to nieznajoma z zupełnie inną twarzą.

– Ej, Vanesso. – Ira dotyka mojego ramienia, wrywając mnie z rozmyślań. Zapomniałam o nim. – Wszystko w porządku?

Kiwam głową i uśmiecham się blade, przysuwam puste krzesło.

Kiedy kelnerka podchodzi i zaczyna nadawać jak automat, przerywam jej i mówię:

– To za dużo naraz. Proszę przynieść jakiegokolwiek, będzie mi smakowało.

Chciałam zażartować, ale wyszło obcesowo. Ira posyła kelnerce spojrzenie mówiące: „Przepraszam za nią”.

– Moglibyśmy pójść gdzie indziej – sugeruje.

– Nie, nie ma problemu.

– Wygląda na to, że ci się tu nie podoba.

– Mnie się nigdzie nie podoba.

Kelnerka przynosi piwa – ciemne w kuflu, pachnące jak wino, to dla Iry, a dla mnie puszka miller lite.

– Chce pani szklankę? – pyta. – Czy tak wystarczy?

– A w szklance byłoby więcej, skoro martwi się pani, że w puszcze mi nie wystarczy? – odpowiadam z uśmiechem, starając się być czarującą.

Kelnerka bez słowa odwraca się do sąsiedniego stolika.

Ira patrzy na mnie przeciągle.

– Jak sobie radzisz? Tylko szczerze.

Wzruszam ramionami, biorę łyk.

– Dobrze sobie radzę.

– Widziałem ten wpis na Facebooku.

Paznokciem pstrykam w zawleczkę puszki. Dzyng-dzyng-dzyng.

– Jaki wpis?

Marszczy czoło.

– Ten o Stranie. Nie mów, że nie wiesz, o co chodzi. Jak ostatnio sprawdzałem, było jakieś dwa tysiące udostępnień.

– Ach, ten.

Tak naprawdę to już prawie trzy tysiące udostępnień, chociaż zainteresowanie lekko osłabło. Znowu piję, przeglądam listę piw.

– Martwię się o ciebie – mówi łagodnym tonem Ira.

– Niepotrzebnie. Nic mi nie jest.

– Rozmawiałaś z nim od tej pory?

Zatrząskuję menu.

– Nie.

Wpatruje się we mnie uważnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Ira pyta mnie, czy sądzę, że Strane’a wyleją z pracy. Wzruszam ramionami między jednym łykiem piwa a drugim. Skąd mam wiedzieć? Potem pyta, czy pomyślałam, żeby skontaktować się z Taylor, a ja nie odpowiadam, tylko ciągle pstrykam w zawleczkę, dzyng-dzyng-dzyng – dzyyyng-dzyyyng-dzyyyng, odpowiada echo z niedopitej puszki.

– Wiem, że to dla ciebie trudne – mówi Ira. – Ale jednocześnie to może być szansa, prawda? Żeby dojść z tym do ładu i żyć dalej.

Zmuszam się, aby oddychać miarowo. „Dojść do ładu i żyć dalej”? To brzmi jak skok ze skały, jak śmierć.

– Możemy porozmawiać o czymś innym? – pytam.

– Tak, no pewnie.

Zaczyna więc wypytywać mnie o pracę, o to, czy ciągle szukam innego zajęcia. Mówi, że znalazł mieszkanie na Munjoy Hill, a mnie serce mocniej bije, złudna chwila, bo myślę, że zaraz

poprosi mnie, abym się do niego wprowadziła. Świetne lokum, dodaje, bardzo duże. W kuchni mieści się porządny stół, z sypialni jest widok na ocean. Czekam w nadziei, że przynajmniej zaprosi mnie w odwiedziny, ale on tylko podnosi kufel do ust.

– Pewnie drogie, skoro takie fajne – mówię. – Stać cię?

Ira przełyka, zaciskając usta.

– Poszczyściło mi się – odpowiada.

Zakładam, że będziemy dalej pić – zwykle to właśnie robiliśmy, drink za drinkiem, aż w końcu jedno z nas zdobywało się na odwagę i pytało, czy drugie z nim idzie, czy jak – lecz zanim zdążę zamówić drugie piwo, Ira podsuwa kelnerce swoją kartę kredytową, dając znak, że wieczór dobiegł końca. Jakbym dostała po twarzy.

Gdy wychodzimy z baru na mroźne powietrze, pyta mnie, czy ciągle spotykam się z Ruby. Jestem za to wdzięczna, bo nie muszę kłamać, żeby usłyszał satysfakcjonującą odpowiedź.

– Tak.

– Bardzo mnie to cieszy. Najlepsze rozwiązanie dla ciebie.

Próbuję się uśmiechnąć, ale nie podoba mi się to, co powiedział. „Najlepsze rozwiązanie dla ciebie”. To przywołuje zbyt wiele wspomnień – jak mówił, że niepokoi go moje idealizowanie molestowania seksualnego, podobnie jak to, że wciąż utrzymuję kontakt z mężczyzną, który mnie molestował. Od samego początku twierdził, że potrzebuję pomocy. Po pół roku wspólnego życia dał mi listę psychoterapeutów, których sprawdził, błagając, żebym spróbowała. Odmówiłam, a wtedy powiedział, że jeśli go kocham, to pójdę na terapię. Ja na to, że jeśli on mnie kocha, to pozostawi to mojej decyzji. Po roku postawił mi ultimatum: albo terapia, albo rozstanie. Nawet tym mnie nie zmusił; to on skapitulował. Gdy więc zapisałam się na sesje do Ruby, Ira poczuł triumf, mimo że zrobiłam to z powodu śmierci ojca. „Nieważne, bylebyś chodziła, Vanesso”.

– Co więc Ruby myśli o tym wszystkim?

– O czym?

– O tym wpisie na Facebooku, o tym, co on zrobił tej dziewczynie...

– Aha. Nie rozmawiamy o tym. – Oczami śledzę wzór płyt chodnikowych pod latarniami, a po wodzie toczą się kłęby mgły.

W milczeniu mijamy kolejne dwie przecznice. Gdy docieramy do Congress Street, gdzie ja zamierzam skręcić w prawo, a on w lewo, serce mi pęka, bo pragnę poprosić go, żeby poszedł ze mną, chociaż nie upiłam się dostatecznie, by się ośmielić, chociaż już wcześniej nienawidziłam siebie za to, że spędzałam z nim w ten sposób pół godziny.

Łaknę dotyku drugiego człowieka.

– Nie powiedziałaś jej – mówi.

– Powiedziałam.

Przechyla głowę, mruży oczy.

– Poważnie? Powiedziałaś swojej psychoterapeutce, że mężczyzna, który cię wykorzystał, gdy byłaś dzieckiem, został właśnie publicznie oskarżony przez inną kobietę, a jednak wy dwie o tym nie rozmawiacie? Daj spokój.

Wzruszam ramionami.

– To nie jest dla mnie takie ważne.

– Jasne.

– Poza tym on mnie wcale nie wykorzystał.

Napina nozdrza i mruży oczy – dobrze mi znany objaw frustracji. Odwraca się, jakby chciał odejść – lepiej się oddalić niż stracić panowanie nad sobą w mojej obecności – ale nagle

się zatrzymuje.

– Ona w ogóle wie o nim?

– Nie chodzę na terapię, żeby o tym rozmawiać, rozumiesz? Chodzę z powodu taty.

Nastaje północ. Z oddali dobiega bicie dzwonów katedralnych, światła ruchu zmieniają się z czerwonego, żółtego i zielonego na migoczący oranż, a Ira kręci głową. Jest mną zniesmaczony. Wiem, co myśli, wiem, co każdy by pomyślał – że jestem jedną z tych kobiet, które usprawiedliwiają winowajców, które im to umożliwiają – lecz ja bronię siebie tak samo zawzięcie, jak bronię Strane’a. Bo jeśli nawet czasem używam słowa „przemoc” na określenie tego, co mnie spotkało, to w ustach kogoś innego brzmi ono wstrętne i bezwzględnie. Wchłania wszystko, co się wydarzyło. Wchłania mnie i te chwile, kiedy pragnęłam tego, błagałam o to. Tak samo czyni prawo, które moje współżycie ze Strane’em przed ukończeniem osiemnastego roku życia banalizuje jako formę przestępstwa na tle seksualnym – czy mamy uwierzyć, że określona data zmienia wszystko jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? To arbitralny wyznacznik, jak każdy inny. Czy to się nie liczy, że niektóre dziewczęta są gotowe wcześniej niż inne?

– Wiesz – odzywa się Ira – w ostatnich tygodniach, kiedy o tych wszystkich sprawach mówią w wiadomościach, myślę tylko o tobie. Martwię się o ciebie.

Zbliżają się reflektory, coraz jaśniejsze, światła prześlizgują się po nas, gdy samochód skręca za róg.

– Wydawało mi się, że poruszy cię to, co przydarzyło się tej dziewczynie, ale ciebie to chyba ani ziębi, ani grzeje.

– A powinno?

– Tak, bo identycznie postąpił z tobą! – krzyczy Ira, a jego głos odbija się od murów. Wciąga powietrze w usta i patrzy na ziemię, zawstydzony swoim emocjonalnym wybuchem. Nikt nigdy tak go nie frustrował jak ja. Ciągle to powtarzał.

– Ira, nie powinienes się aż tak bardzo przejmować – mówię.

Prycha, parska śmiechem.

– Wiem, że nie, wierz mi.

– Nie chcę, żebyś mi w tym pomagał. Nie zrozumiesz tego. Nigdy nie rozumiałeś.

Odrzuca głowę do tyłu.

– No cóż, to była moja ostatnia próba. Więc nie będę się starał.

Rusza przed siebie.

– Ona kłamie! – wołam za nim.

Przystaje, odwraca się.

– Dziewczyna, która zamieściła ten wpis. Ona kłamie – powtarzam.

Czekam, ale milczy, stoi nieruchomo. Kolejna para świateł zbliża się i prześlizguje po naszych sylwetkach.

– Wierzysz mi? – pytam.

Kręci głową, ale bez złości. Wyraźnie mi współczuje, a to jest jeszcze gorsze niż zamartwianie się, gorsze od czegokolwiek innego.

– Co musi się stać, żebyś się opamiętała, Vanesso? – pyta Ira. Rusza Congress Street w kierunku wzgórza, po czym zerka przez ramię i woła do mnie: – A przy okazji, wiesz, na ten nowy apartament stać mnie dlatego, że się z kimś spotykam. Zamieszkaliśmy razem.

Idzie teraz do tyłu, wpatrzony w moją twarz, ale ja niczego po sobie nie pokazuję. W gardle mnie pali, przełykam ślinę i mrugam powiekami tak szybko, że Ira staje się cieniem, oparem.

O dwunastej w południe ciągle jeszcze śpię, gdy nagle słyszę charakterystyczny dzwonek, który przypisałam do numeru Strane’a w swoim telefonie. Dźwięk przenika do mojego snu,

odgłos brzęczącej biżuterii. W końcu tak delikatnie przywraca mnie do rzeczywistości, że odbieram wciąż na wpół śpiąca.

– Dziś jest zebranie. Zdecydują, co ze mną zrobić.

Mrugam powiekami, żeby się obudzić. Mój półprzytomny umysł usiłuje się rozeznąć, o co chodzi. „Zdecydują”? Kto? Szkoła?

– Wiem, co mnie czeka – ciągnie Strane. – Uczę tam od trzydziestu lat, a teraz wyrzucą mnie jak śmiecia. Mogliby przynajmniej uporać się z tym jak najprędzej.

– Potwory – stwierdzam.

– Bez przesady – odpowiada Strane. – Mają związane ręce. Jeśli można mówić o jakimś potworze, to jest nim raczej ta jak jej tam i jej zarzuty. Oskarżyła mnie o coś tak mglistego, że aż przerażającego. Horror jak w kinie.

– Dla mnie to bardziej jak z Kafki.

Słyszę, że się uśmiecha.

– Tak, masz rację.

– A więc dziś nie masz lekcji?

– Nie, w ogóle nie mam wstępu na kampus, dopóki nie podejmą decyzji. Czuję się jak przestępca. – Wzdycha przeciągle. – Słuchaj, jestem w Portland. Zastanawiam się, czy moglibyśmy się spotkać.

– Naprawdę tu jesteś?

Gramolę się z łóżka i ruszam korytarzem do łazienki. Aż mnie skręca na widok samej siebie w lustrze, te drobne zmarszczki wokół ust i oczu, które pojawiły się, gdy tylko skończyłam trzydziestkę.

– Mieszkasz w tym samym miejscu? – pyta Strane.

– Nie, przeprowadziłam się pięć lat temu.

Chwila ciszy.

– Dasz jakieś namiary?

Myślę o naczyniach w zlewie lepkich od resztek jedzenia, przepelnionym koszu na śmieci, całym tym moim swojskim syfie. Wyobrażam sobie, że Strane wchodzi do mojej sypialni i widzi sterty brudnych ubrań, puste butelki ustawione przy łóżku, wieczny bałagan.

„Musisz z tym skończyć – powiedziała by. – Vanesso, masz trzydzieści dwa lata”.

– A może lepiej w jakiejś kawiarence? – sugeruję.

Siedzi przy stoliku w kącie, na pierwszy rzut oka mało do siebie podobny, przysadzisty starszy mężczyzna tulący kubek kawy w dłoniach, ale gdy podchodzę, przedzierając się przez ludzi stojących w kolejce do kasy i lawirując między krzesłami, dostrzega mnie i wstaje. Wtedy to już stuprocentowy Strane – olbrzym ponad metr dziewięćdziesiąt, zwarty, godny zaufania – i moje ciało natychmiast się poddaje, zarzucam mu ręce na szyję, chwytam palcami za paltó, przytulając się jak najmocniej. Tonąc w jego objęciach, czuję to samo, co czułam, gdy miałam piętnaście lat – zapach kawy i miałkiej kredy, moja głowa ledwo sięgająca jego ramienia.

Gdy w końcu wypuszcza mnie z rąk, w jego oczach widzę łzy. Zawstydzony przesuwając okulary na czoło i ociera wilgotne policzki.

– Przepraszam – szepcze. – Wiem, że najmniej ci dzisiaj potrzeba starego mazgaja. Po prostu na twój widok... – Urywa wpatrzony w moją twarz.

– Wszystko jest dobrze – odpowiadam. – Dobrze wyglądasz.

Mam tak samo zażawione oczy.

Siadamy naprzeciwko siebie niczym zwykli ludzie, jakbyśmy kiedyś się znali i teraz spotkali się przez wzgląd na dawne dzieje. Niepokojąco się postarzał, posiwił cały, nawet skóra i oczy straciły kolor. Nie ma już brody, pierwszy raz widzę go bez niej, zastąpił ją obwisły

podbródek, który budzi we mnie odrazę. Skóra pod szczęką jest galaretowata jak meduza, ciągnie całą jego twarz do dołu. Szokująca zmiana. Nie widziałam go od pięciu lat, to wystarczająco długo, aby upływ czasu pokancerował ludzką twarz, ale wyobrażam sobie, że to skutek wpisu tej całej Taylor – jak w tym micie, że ludzie tak mocno boją się nad śmiercią bliskiej osoby, że siwieją w ciągu jednej nocy. Nagła myśl przesywa mnie chłodem – może ta cała sprawa go wykończy? Zabije?

Potrząsam głową, żeby przepędzić ponure lęki.

– Może to się skończy nie najgorzej – mówię bardziej do siebie niż do Strane’a.

– Może – odpowiada. – Ale raczej nie.

– Jeśli nawet każą ci odejść, czy to będzie aż taka tragedia? To bardziej jak odejście na emeryturę. Możesz sprzedać dom i wyjechać z Norumbegi. Możesz wrócić do Montany.

– Nie chcę. Moje życie jest tutaj.

– Mógłbyś podróżować, zafundować sobie porządne wakacje.

– Wakacje! – prychna. – Przestań. Jakkolwiek się to skończy, jestem napiętnowany, moja reputacja zszargana na zawsze.

– Prędzej czy później sprawa przycichnie.

– Nie przycichnie.

Na widok błysków w jego oczach przestaję udawać, że wiem, o czym mówię, bo przecież mnie też kiedyś stamtąd przepędzono.

– Vanesso... – Pochyla się nad stołem. – Mówiłaś, że ta dziewczyna napisała do ciebie kilka tygodni temu. Na pewno jej nie odpisałaś?

Patrzę na niego przez długą chwilę.

– Na pewno.

– Nie wiem, czy ciągle chodzisz do tej psychiatry. No i...

Zagryza dolną wargę, nie dopowiada.

Chcę go poprawić – to psychoterapeutka, nie psychiatra – ale wiem, że to nie ma znaczenia, nie o to przecież chodzi.

– Ona o niczym nie wie – mówię. – Nie chcę rozmawiać z nią o tobie.

– W porządku. To dobrze. A ten twój stary blog? Próbowałem tam zajrzeć i...

– Nie ma go. Zamknęłam to parę lat temu. Dlaczego tak mnie przepytujesz?

– Czy ktoś oprócz tej dziewczyny kontaktował się z tobą w mojej sprawie?

– Niby kto? Ktoś ze szkoły?

– Nie wiem. Chciałbym po prostu mieć pewność...

– Myślisz, że będą próbowali mnie w to wciągnąć?

– Nie mam pojęcia. O niczym mnie nie informują.

– Ale czy myślisz, że...

– Posłuchaj, Vanesso.

Zaciskam usta, on zwiesza głowę, bierze głęboki wdech i mówi powoli:

– Nie wiem, co zrobią. Chcę tylko mieć pewność, że nie będzie żadnych innych nieprzyjemnych niespodzianek. I chcę mieć pewność, że czujesz... – Szuka właściwego słowa. – Że czujesz się stabilnie.

– Stabilnie – powtarzam jak echo.

Kiwa głową wpatrzony we mnie, oczami zadając pytanie, którego nie ma śmiałości wypowiedzieć na głos – czy jestem dostatecznie silna, aby poradzić sobie z tym, co ewentualnie nadejdzie.

– Możesz mi zaufać – mówię.

Uśmiecha się, a jego twarz łagodnieje w przepływie wdzięczności. Wyraźnie odczuwa

ulgę, rozluźnia ramiona, rozgląda się po kawiarni.

– No a tak w ogóle jak ci leci? – pyta. – Jak mama bez ojca?

Wzruszam ramionami. Rozmawianie ze Strane'em o matce zawsze wydaje mi się zdradą.

– Ciągle spotykasz się z tym facetem?

Ma na myśli Irę. Kręcę głową, a on, niezaskoczony, wzdycha i klepie moją dłoń.

– Nie był dla ciebie odpowiednią partią.

Siedzimy w milczeniu przy akompaniamencie brzęczących naczyń, syków i warkotu ekspresu do kawy. I bicia mojego serca. Przez całe lata wyobrażałam sobie tę chwilę – że siedzę naprzeciw niego, w zasięgu jego rąk – ale teraz, gdy to się ziściło, czuję się nieobecna, jakbym obserwowała nas z sąsiedniego stolika. To jakoś nie w porządku, że rozmawiamy ze sobą jak zwykli ludzie, że on patrzy na mnie i nie osuwa się na kolana.

– Jesteś głodna? – pyta. – Moglibyśmy coś przegryźć.

Waham się, zerkam na telefon, żeby sprawdzić godzinę, a on dopiero teraz zauważa mój czarny żakiet i złotą plakietkę.

– Ach, pracujesz. Ciągle w tym hotelu, tak?

– Mogłabym się zwolnić.

– Nie, nie trzeba. – Prostuje się na krześle, natychmiast sposepniały.

Wiem, co się stało – powinnam była od razu przystać na jego propozycję. Wahanie było błędem, a w przypadku Strane'a jeden drobny błąd może zepsuć wszystko.

– Spróbuję wyjść wcześniej – mówię. – Moglibyśmy pójść na kolację.

Macha ręką.

– Nie, w porządku.

– Mógłbyś zostać na noc.

Zastyga, przesuwając spojrzeniem po mojej twarzy, chłonąc słowa. Czy myśli o mnie, gdy miałam piętnaście lat, czy myśli o tym dniu, kiedy spróbowaliśmy ostatni raz, pięć lat temu, w jego domu, w jego łóżku z flanelową pościelą? Chcieliśmy odtworzyć nasz pierwszy raz, ja w cienkiej piżamce, przygaszone światło. Nie wyszło. On nadal zabierał się do tego delikatnie, ale już byłam na to za stara. Potem płakałam w łazience, otwarty kran, dłoń na ustach, żeby nie usłyszał. Gdy wyszłam, był już ubrany, siedział w pokoju. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, odtąd ograniczaliśmy się do telefonów.

– Nie – odpowiada cicho. – Powinienem wracać.

– W porządku. – Odsuwam się na krześle od stołu tak gwałtownie, że drewniane nogi szorują o podłogę jak paznokcie o tablicę szkolną. Moje paznokcie o jego tablicę.

Patrzy na mnie, gdy wciągam płaszcz i zarzucam torebkę na ramię.

– Od jak dawna tam pracujesz? – pyta.

Wzruszam ramionami, umysł uwikłany we wspomnienie jego palców w moich ustach, kredowy pył na moim języku.

– Nie wiem – odpowiadam półgłosem. – Trochę już pracuję.

– Za długo. Powinnaś lubić to, co robisz. Nie obniżaj sobie za bardzo poprzeczki.

– Nie jest źle. Praca jak praca.

– Ale zostałam stworzona do lepszych rzeczy. Była z ciebie taka bystra dziewczyna.

Błyskotliwa. Myślałam, że w wieku dwudziestu lat wydasz swoją pierwszą powieść, rzucisz świat na kolana. Pisałaś coś ostatnio?

Kręcę głową.

– Wielka szkoda. Powinnaś pisać.

Zaciskam usta.

– Przykro mi, że sprawiam ci zawód – mówię.

– Ej, przestań, nie o to chodzi. – Wstaje, ujmuję moją twarz w dłonie i zniża głos do szeptu, próbując mnie udobruchać: – Niedługo do ciebie przyjadę i zostanę na noc. Obiecuję.

Żegnamy się suchym pocałunkiem, barista za ladą liczy napiwki w słoiku, starzec przy oknie wciąż rozwiązuje krzyżówkę. Dawniej pocałunki Strane'a były pożywką dla plotek, które rozchodziły się lotem błyskawicy. Gdy dziś się dotykamy, świat nawet tego nie zauważa. Zdaję sobie sprawę, że powinnam to odczuwać jako wolność, odczuwam jednak tylko stratę.

Po powrocie z pracy do domu leżę z telefonem w łóżku, czytam wiadomość, którą przysłała mi Taylor Birch przed upublicznieniem swoich oskarżeń pod adresem Strane'a. „Cześć, Vanessa, nie wiem, czy o mnie słyszałaś, ale Ciebie i mnie łączą pewne przeżycia, które w moim przypadku okazały się traumą, i myślę, że podobnie jest z Tobą”. Gaszę okienko i wyświatlam jej profil, nie ma na nim jednak nic nowego, więc przewijam do staroci: zdjęcia z wakacji w San Francisco, objadanie się burrito, samojebka z mostem Golden Gate w tle, zdjęcia w domu, zapadnięta obita aksamitem kanapa, połyskujący parkiet, bujne kwiaty w donicach. Przewijam dalej aż do fotki Taylor w charakterystycznej różowej czapce z Marszu Kobiet, na tym wcina pączka wielkiego jak jej głowa, tu pozuje z koleżankami w barze, podpis: „Zjazd absolwentów Browick!”.

Przechodzę do swojego profilu, usiłuję zobaczyć siebie jej oczami. Wiem, że do mnie zagląda – rok temu polubiła jedno z moich zdjęć, przypadkowe kliknięcie, zaraz usunęła, ale i tak widziałam powiadomienie. Zrobiłam zrzut ekranu i wysłałam to do Strane'a ze słowami: „Chyba nie może odpuścić”, lecz nie odpisał, niezainteresowany niuansami życia w mediach społecznościowych, tym próżnym poczuciem zadowolenia, gdy podglądacz niechcący się zdradzi. A może w ogóle nie zrozumiał, o co mi chodziło? Czasem zapominam, ile on ma lat; dawniej sądziłam, że różnica wieku między nami będzie się kurczyć, w miarę jak będę coraz starsza, ale jest taka sama jak zawsze.

Mijają godziny, a ja szperam w telefonie, loguję się na swoje dawne konta ze zdjęciami, przewijam kolejne lata, od 2017 do 2010, 2007, wreszcie do 2002 – kiedy kupiłam pierwszy aparat cyfrowy, skończyłam siedemnaście lat. Wstrzymuję oddech, gdy w końcu załadowuje się zestaw zdjęć, których szukałam: mam warkoczyki, letnią sukienkę, podkolanówki, stoję przed zagajnikiem brzozy. Na jednej fotografii podnoszę rąbek sukienki, odsłaniając blade uda. Na drugiej jestem odwrócona tyłem, patrzę przez ramię. Jakość zdjęć jest kiepska, ale nadal są śliczne, brzozy monochromatycznym tłem dla różowych i błękitnych odcieni mojej sukienki i miedzianorudych włosów.

Otwieram ostatnie esemesy wymienione ze Strane'em, kopiuję i wklejam zdjęcia do nowej wiadomości.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek Ci je pokazywałam. Miałam wtedy chyba 17 lat.

Wiem, że położył się spać parę godzin temu, niemniej wciskam „wyślij”, patrzę, jak wiadomość jest przekazywana. Do świtu nie zmrużę oka, przewijam zdjęcia swojej nastoletniej twarzy i ciała. Co jakiś czas sprawdzam, czy status wiadomości zmienił się z „wysłane” na „odebrane”. Przecież Strane może obudzić się w nocy i półprzutomny zajrzeć do telefonu, a wtedy zobaczy nastoletnią Vanessę, cyfrowego ducha sprzed lat. Nie zapomnij o niej, profesorze.

Czasem wydaje mi się, że tylko o to mi chodzi, gdy kontaktuję się ze Strane'em – żeby go nawiedzać, wciągnąć w przeszłość, poprosić, aby przywołał to, co kiedyś się wydarzyło. Sprawić, bym wreszcie ostatecznie zrozumiała to wszystko. Bo ciągle tkwię w miejscu. Nie mogę ruszyć dalej.

2000

W piątkowy wieczór raz na miesiąc urządza się tańce w stołówce. Po usunięciu stołów i przygaszeniu świateł to typowa sceneria, którą można by zobaczyć w każdej innej szkole średniej. Wynajęty didżej, gromadka osób pływających na środku pomieszczenia, nieśmiałe dzieciaki zgarbione na obrzeżach, posegregowane pod względem płci. Niektórzy nauczyciele też przychodzą, w roli przyzwoitki. Kręcą się dokoła, zachowując dystans, zajęci bardziej sobą niż nami.

To zabawa na Halloween, więc uczestnicy są poprzebierani, a obok dwuskrzydłowych drzwi stoją gigantyczne kubły z cukierkami. Większość ma kostiumy zrobione po linii najmniejszego oporu – chłopcy w dżinsach i białych T-shirtach udają Jamesa Deana, dziewczęta w plisowanych minispódniczkach i z kucykami udają Britney Spears. Ale kilka osób zadało sobie trud, wykorzystując rekwizyty kupione w śródmieściu. Jedna z uczennic snuje się po stołówce jako smok o kolczastych skrzydłach i ogonie z niebieskozielonych łusek w asyście swojego chłopca przebranego za rycerza, w tekturowej zbroi cuchnącej farbą w spreju. Uczeń w garniturze wymachuje lipnym cygarem przed nosem koleżanek, śmiejąc się pod gumową maską z twarzą Billa Clintona. Ja jestem mało przekonującą kocicą, czarna sukienka i czarne rajstopy, dorysowane wibrysy i tekturowe uszy, wszystko sklecone w ciągu dziesięciu minut. Przyszłam tylko dlatego, że chciałam zobaczyć profesora Strane'a. Dyżuruje z pozostałymi nauczycielami.

Zwykle nie chodzę na tańce. Wzdrygam się na samą myśl – zła muzyka, zenujący didżej z hiszpańską bródką i utlenioną czupryną, dzieciaki udające, że nie podpatrują ocierających się o siebie par. Postanowiłam przemęczyć się na tej zabawie, bo minął tydzień. Cały tydzień, odkąd profesor Strane mnie dotknął, odkąd położył mi rękę na nodze i powiedział, że jesteśmy do siebie podobni, że jesteśmy dwojgiem ludzi, których przyciągają mroczne sprawy. A potem? Nic. Gdy zabieram głos na lekcji, on wbija spojrzenie w biurko, jakby nie mógł znieść mojego widoku. Na zajęciach kółka pisarskiego zgarnął swoje rzeczy i wyszedł, zostawiając mnie i Jessego („Zebranie rady pedagogicznej”, wyjaśnił, ale skoro to zebranie rady, to czy potrzebny był mu płaszcz i wszystko w aktówce?), a później, gdy go szukałam w trakcie zajęć dodatkowych, zobaczyłam, że drzwi do jego gabinetu są zamknięte, było ciemno za matową szybą.

Jestem więc zniecierpliwiona, może nawet zdesperowana. Chcę, żeby coś się wydarzyło, a na to większe są widoki podczas takiej imprezy, kiedy granice zostają tymczasowo zatarte, uczniowie i nauczyciele tłoczą się razem w nikle oświetlonej sali. Nie obchodzi mnie, co może się wydarzyć – dotknie mnie znowu, powie komplement. To nie ma znaczenia, pod warunkiem że dowiem się, czego chce profesor Strane, dowiem się, o co chodzi, jeśli w ogóle chodzi o cokolwiek.

Małymi kęsami wcinam miniaturowy batonik i patrzę, jak pary tańczą do pościelówki, kiwają się na parkiecie jak butelki w wodzie. W pewnej chwili przez stołówkę maszeruje Jenny, ubrana w aksamitną sukienkę mgliście przypominającą kimono, pałeczki wbite w splecione koński ogon. Przez moment wydaje się, że idzie prosto do mnie, więc się spinam, czekolada rozpuszcza mi się na języku, ale potem za nią pojawia się Tom, w normalnym ubraniu, dżinsy i T-shirt zespołu Beck, żadnego przebrania. Dotyka jej ramienia, ona odskakuje. Muzyka gra za głośno, żeby cokolwiek podслушать, ale nie ulega wątpliwości, że się pokłócili, i to porządnie. Podbródek jej drży, powieki mocno zaciśnięte. Tom muska palcami jej obojczyk, lecz zostaje odepchnięty tak mocno, że się potyka. Pierwszy raz widzę, że się pozarli.

Jestem tak pochłonięta tą sceną, że nieomal umyka mi, że profesor Strane ulatnia się przez dwuskrzydłowe drzwi. Prawie to przegapiam.

Wychodzę na dwór, ciemno choć oko wykol, bez księżyca, temperatura bliska zera. Odgłosy imprezy przygasają do miarowego rytmu basu i odległych wokali, a za mną słychać trzask domykających się drzwi. Rozglądam się; ramiona pokrywa gęsia skórka. Szukam go wzrokiem, lecz widzę tylko cienie drzew i puste błonia kampusu. Już chcę uznać swoją porażkę i wrócić do środka, gdy nagle z cienia rzucanego przez świerk wyłania się postać. Profesor Strane w kamizelce puchowej, flanelowej koszuli i džinsach, w palcach niezapalony papieros.

Nie ruszam się, nie wiem, co robić. Wyczuwam, że jest speszony, bo zobaczono go z papierosem, i puszczam wodze fantazji – widzę go palącego potajemnie, tak jak robi to mój tata wieczorami nad jeziorem. Wyobrażam sobie, że chce zerwać z nałogiem, a swoją niezdolność do tego postrzega jako oznakę słabości. Wstydzi się.

Jeśli nawet się wstydzi, myślę, to może palić po kryjomu. Mógł pozwolić mi odejść.

Kręci papierosem między kciukiem i palcem wskazującym.

– Przyłapałaś mnie.

– Myślałam, że pan już idzie. Chciałam się pożegnać.

Wyciąga zapalniczkę z kieszeni i kilka razy obraca ją w dłoni. Wpatruje się we mnie. Błyska wyraźna myśl, że zaraz coś się wydarzy, i ta pewność mnie spowija, serce spowalnia, ramiona zwisają.

Profesor Strane zapala papierosa i daje mi znak, abym poszła z nim pod drzewo. Jest ogromne, być może największe na kampusie, najniższe konary wiszą sporo ponad naszymi głowami. W pierwszej chwili pod świerkiem wydaje się tak ciemno, że widzę tylko żarzący się koniuszek papierosa wsuwanego do ust. Potem oczy przywykają do mroku i nagle profesor Strane się pojawia, podobnie jak gałęzie powyżej i pomarańczowy kobierzec suchych igieł pod stopami.

– Wystrzegaj się papierosów – mówi. – To okropny nawyk.

Wydmuchuje dym, a moją głowę wypełnia woń tytoniu. Stoimy w odległości pięciu kroków od siebie. Czujemy takie napięcie, że aż trudno pomyśleć, jak wiele razy znajdowaliśmy się znacznie bliżej.

– Ale pewnie przyjemny – odpowiadam. – W przeciwnym razie po co by się paliło?

Śmieje się i zaciąga kolejny raz.

– Chyba masz rację. – Mierzy mnie wzrokiem i wreszcie dostrzega mój kostium. – Proszę, proszę. Mała pusia.

Śmieję się zszokowana użyciem tego słowa, mimo że chyba nie miał nic zdrożnego na myśli. On jednak zachowuje powagę. Tylko patrzy na mnie, z papierosem dymiącym w dłoni.

– Wiesz, co chciałbym zrobić w tej chwili? – pyta. Chwieje się, wskazując mnie papierosem, a jego słowa zlewają się bardziej niż zwykle. – Chciałbym położyć cię do dużego łóżka, przykryć i pocałować na dobranoc.

Przez moment mój umysł jest sparaliżowany, czuję się, jakbym umarła. Pusta chwila, martwy ekran, szum. A potem z hałasem powracam do życia, wydaję z siebie chrapliwy zdławiony dźwięk – ni to śmiech, ni płacz.

Drzwi stołówki otwierają się i na dwór wypływają tony muzyki.

– Jake! – woła kobiecy głos, przekrzykując wrzawę.

Chwila przyska. Profesor Strane odwraca się i rusza w stronę głosu, rzucając papierosa na ziemię, nie przydeptując go. Gdy on kieruje się do drzwi, do wzywającej go profesor Thompson, ja patrzę, jak z leżących na ziemi igieł unosi się dym.

– Chciałem łyknąć świeżego powietrza – mówi.

Razem wchodzą do środka. Ja kryję się za drzewem, tak jak on to zrobił przed momentem, gdy wyrzalam na zewnątrz. Profesor Thompson nie zobaczyła mnie.

Spoglądam na żarzący się papieros i przychodzi mi do głowy, aby go podnieść i włożyć do ust, ale tylko gaszę go obcasem. Wracam na zabawę, odnajduję Deannę Perkins i Lucy Summers, popijające „wodę” z butelki i komentujące kostiumy. Strane stoi kilka kroków dalej, obok profesor Thompson, patrzy na nią. Jenny i Tom stoją blisko siebie pod ścianą, najwyraźniej pogodzeni. Ona obejmuje go ramieniem, wciska twarz w zagłębienie jego szyi. To tak intymna, „dorosła” scena, że instynktownie odwracam wzrok.

Deanna i Lucy podają sobie nawzajem butelkę, rozlewając na podłogę to, co piją zamiast wody. Pierwsza bierze kolejny łyk i dostrzega moje spojrzenie.

– No co? – pyta.

– Dajcie trochę.

Lucy wyciąga rękę po butelkę.

– Przykro nam, ograniczone zasoby.

– Bo was wsypię, jak nie dacie.

– Zamknij się.

Deanna macha dłonią.

– Daj jej.

Lucy wzdycha i podsuwa mi butelkę.

– Ale tylko mały łyczek – mówi.

Alkohol pali mi gardło bardziej, niż się spodziewałam, i zanoszę się kaszlem – ograna scena. Deanna i Lucy nawet nie próbują pohamować śmiechu. Wciskam im z powrotem butelkę do rąk i wypadam ze stołówki, mając nadzieję, że profesor Strane to zauważy, że domyśli się, dlaczego jestem wściekła i czego chcę. Czekam na zewnątrz, bo chcę się przekonać, czy wyjdzie za mną, ale na próżno – oczywiście go nie ma.

Wracam do Gould, w internacie jest cicho i pusto. Drzwi pozamykane, bo wszyscy wciąż są na imprezie.

Patrzę na drzwi do mieszkania profesor Thompson na końcu korytarza. Gdyby go nie zawołała, coś by się stało. Powiedział, że ma ochotę mnie pocałować. Może by się na to poważył? Wciąż w kostiumie pochodzę do tych drzwi. W tej chwili profesor Strane zabawia ją rozmową. Po imprezie prawdopodobnie pójda do jego domu i do łóżka. Może nawet powie jej o mnie, o tym, że wyszłam za nim na dwór, a on mówił mi to wszystko tylko dlatego, że chciał być miły. „Mała podkochuje się w tobie”, stwierdzi profesor Thompson, przekomarzając się. Wszystko rozgrywa się w mojej głowie, historia nakręca się sama, bez powodu.

Chwytam flamaster przywiązany do suchej tablicy magnetycznej obok drzwi. Wciąż widnieją na niej zapiski z poprzedniego tygodnia: dzień i godzina zebrania mieszkanki internatu, zaproszenie na kolację złożoną ze spaghetti. Jednym machnięciem ręki ścieram to wszystko i piszę „DZIWKKA” dużymi wersalikami, które zajmują całą tablicę.

Tej nocy, po imprezie, spadł pierwszy śnieg i okrył cały kampus grubą dziesięciocentymetrową warstwą bieli. W sobotę rano profesor Thompson zwołuje nas do świetlicy, żeby ustalić, kto napisał słowo „dziwka” przy jej drzwiach.

– Nie jestem wściekła – zapewnia. – Po prostu mocno zaskoczona.

Uszy wypełnia mi bicie własnego serca. Siadam z dłońmi splecionymi na kolanach, próbując się nie czerwienić.

Po kilku minutach ciszy profesor Thompson daje za wygraną.

– No dobrze, tym razem nie będzie afery – mówi. – Ale żeby to było pierwszy i ostatni raz. Zgoda?

Kiwa głową, skłaniając nas do wyraźnej odpowiedzi.

W drodze na piętro spoglądam przez ramię i widzę ją stojącą na środku pustego pomieszczenia, pocierającą twarz dłońmi.

W niedzielne popołudnie idę do jej mieszkania, zerkając na białą tablicę, z której wciąż wyziera starte słowo „DZIWKĄ”. Mam wyrzuty sumienia – nie na tyle silne, aby przyznać się do tego, co zrobiłam, ale dostatecznie, aby chcieć to jakoś naprawić. Otwiera drzwi ubrana w spodnie od dresu i szkolną bluzę z kapturem, włosy związane z tyłu, brak makijażu, na policzkach widoczne ślady po trądziku. Zastanawiam się, czy profesor Strane kiedykolwiek widział ją w tym stanie.

– Co jest? – pyta.

– Mogę wziąć Myę na spacer?

– O rany, będzie zachwycona.

Woła przez ramię, ale suka rasy husky już pędzi do mnie, uszy na sztorc, niebieskie ślepią wybałuszone, uradowana słowem „spacer”.

Gdy wsuwam psu szelki przez łeb i przypinam smycz, profesor Thompson przypomina mi, że niedługo się ściemni.

– Nie pójdziemy daleko – mówię.

– I nie puszczaj jej wolno.

– Wiem, wiem.

Gdy ostatnim razem zabrałam Myę na dwór i spuściłam ją ze smyczy, żeby sobie pobiegała, pognęła prosto do ogrodu za wydziałem plastyki i wytarzała się w nawozie.

W nocy temperatura wzrosła do dziesięciu stopni i śnieg stopniał, a ziemia zrobiła się grząska i śliska. Idziemy ścieżką, która wije się między boiskami, i popuszczam smycz, żeby Mya mogła się nawęchać i wyhasać, skakać z boku na bok. Uwielbiam ją; to najpiękniejszy pies, jakiego kiedykolwiek widziałam, sierść ma tak gęstą, że palce zagłębiają mi się do drugiego kłykcia, gdy ją drapię po grzbiecie. Jednak przede wszystkim uwielbiam ją, bo jest przekorna. Krnąbrna. Gdy nie chce czegoś zrobić, pyskuje, skamłując chrapliwie. Profesor Thompson mówi, że mam podejść do psów, bo Mya nie lubi nikogo oprócz mnie. Cóż, psy łatwo sobie zjedną, o wiele łatwiej niż ludzie. Żeby pies nas pokochał, wystarczy nosić smakołyki w kieszeni i drapać go za uszami albo u nasady ogona. Gdy pies pragnie zostać sam, nie chce się bawić, daje nam to wyraźnie do zrozumienia.

Przy boisku do piłki nożnej ścieżka rozwidła się na trzy mniejsze dróżki. Jedna prowadzi z powrotem na kampus, druga do lasu, trzecia do miasteczka. Wybieram ostatnią, chociaż powiedziałam profesor Thompson, że nie pójdziemy daleko.

Z okazji Święta Dziękczynienia witryny sklepów w śródmieściu udekorowano sztucznymi kwiatami i rogami obfitości, a w piekarni zawieszono już lampki bożonarodzeniowe. Ciągnięta przez Myę zerkam na swoje odbicie w każdym oknie, dwusekundowa odsłona włosów rozwianych wokół twarzy, być może pięknej, choć równie prawdopodobne wydaje się, że jestem brzydka. Zatrzymuję się, gdy docieramy do biblioteki publicznej. Zniecierpliwiona Mya patrzy na mnie, błyskając białkami niebieskich ślepi, bo stoję wpatrzona w dom po drugiej stronie ulicy. W jego dom. Tak, to musi być ten. Mniejszy, niż sobie wyobrażałam, z poszarzonym cedrowym gontem i granatowymi drzwiami. Suka przysuwa się z boku do mnie, tryka mnie łbem w nogę. „Chodźże”.

Oczywiście to właśnie dlatego wybrałam tę drogę, dlatego w ogóle chciałam pójść na spacer, poprosiłam profesor Thompson, żeby dała mi psa. Wyobrażałam sobie, że Strane wyjdzie akurat na ulicę, gdy będę przechodziła obok. Zobaczy mnie i zawoła, spyta, dlaczego spaceruję z psem profesor Thompson. Pogadamy chwilę na trawniku przed domem, a potem zaprosi mnie

do środka. Ale na tym etapie fantazja ulatuje, bo dalszy ciąg zależy od tego, czego chce profesor Strane. A ja nie mam pojęcia, czego on chce.

Nie ma go na ulicy, wygląda na to, że nie ma go także w domu. W oknach ciemno, na podjeździe pusto. Profesor Strane jest gdzieś indziej, żyje życiem, o którym wiem frustrująco mało.

Prowadzę Myę po schodach do drzwi biblioteki. U góry jesteśmy ukryte, ale wciąż mamy doskonały widok na całą ulicę. Siadam i zaczynam karmić sukę kawałkami bekonu, które ukradłam z baru sałatkowego w stołówce, aż w końcu słońce jarzy się pomarańczowo i chyli ku zachodowi. Może z powodu Myi nie chciałby, żebym weszła do środka. Przypomniałam sobie, że mówił, że nie lubi psów. Ale przecież musi przynajmniej udawać, że lubi Myę, skoro robi to, co robi z profesorem Thompsonem, w przeciwnym razie jak ona mogłaby z tym żyć? To byłoby niczym zdrada, chodzić na randki z człowiekiem, który nie cierpi twojego psa.

Jest już prawie ciemno, gdy kanciaste niebieskie kombi wtacza się na podjazd. Silnik cichnie, kierowca otwiera drzwi, wyłania się profesor Strane w dżinsach i tej samej flanelowej koszuli, którą miał na sobie w piątek na zabawie halloweenowej. Wstrzymując oddech, patrzę, jak z tylnego siedzenia wyciąga na schodki torby z zakupami. Gmera kluczem w drzwiach, a oburzona Mya skamle o więcej smakołyków. Daję jej całą garść bekonu, a ona pożera go jak najszybciej, liżąc moją dłoń. Wpatruję się w okna małego domu ze spadzistym dachem, w którym zapalają się kolejne światła, gdy profesor Strane krąży po pomieszczeniach.

W poniedziałek po lekcji ociągam się w ławce. Gdy inni w końcu wychodzą, zarzucam plecak na ramię i mówię jak najbardziej beztrosko:

– Pan mieszka naprzeciwko biblioteki, tak?

Zdumiony podnosi na mnie wzrok zza biurka.

– A skąd wiesz? – pyta.

– Wspominał pan kiedyś.

Obserwuj mnie, a im dłużej to robi, tym trudniej zachować mi nonszalancką pozę. Zaciskam usta, powstrzymuję się od grymasu.

– Nie pamiętam.

– No nie, na pewno pan mówił, bo skąd bym wiedziała? – Głos mam chrapliwy, ton poirytowany, widzę, że profesor Strane jest trochę speszony. Jednak przede wszystkim wydaje się rozbawiony, jakby moje zakłopotanie sprawiało mu przyjemność. – Nawet tam poszłam – dodaję. – Żeby sobie obejrzeć.

– Rozumiem.

– Gniewa się pan?

– Nie, wcale. Czuję się mile połączony.

– Widziałam, jak pan wyładowuje zakupy z samochodu.

– Naprawdę? Kiedy?

– Wczoraj.

– Podpatrywałaś mnie?

Kiwam głową.

– Trzeba było podejść, przywitać się.

Mrużę oczy. Nie spodziewałam się, że to powie.

– A gdyby ktoś mnie zobaczył?

Uśmiecha się, przekrzywia głowę.

– A co to ma za znaczenie, gdyby ktoś cię zobaczył, jak mówisz mi „dobry wieczór” na ulicy?

Zaciskam zęby i oddycham mocno przez nos. Jego niewinność wydaje się przywdzianą

maską, jakby bawił się ze mną, udając naiwniaka.

Uśmiecha się i wyprostowuje na krześle, a to – właśnie ta wyprostowana postawa, skrzyżowanie rąk na piersi, mierzenie mnie wzrokiem, jakbym była zabawnym, pociesznym zjawiskiem – budzi we mnie gniew, tak nagły i silny, że zaciskam dłonie w pięści, żeby nie wrzasnąć na niego, nie skoczyć, nie chwycić tego cholernego kubka z biurka i nie trzasnąć go nim w twarz.

Obracam się na pięcie i wypadam z klasy na korytarz. Przez całą drogę do internatu zionę wściekłością, ale gdy znajduję się w swoim pokoju, to uczucie znika i zostaje tylko pragnienie, żeby doszukać się w tym wszystkim sensu, pragnienie, które doskwiera mi od tygodni jak tępy ból. Przecież mówił, że chciał mnie pocałować. Dotknął mnie. Każde nasze spotkanie jest podminowane czymś potencjalnie niszczycielskim. To nie w porządku, że on zachowuje się, jakby tak nie było.

*

Moja ogólna ocena z geometrii w połowie semestru to trójka. Wszystkie spojrzenia kierują się na mnie, gdy profesor Antonova ogłasza to podczas jednego z naszych comiesięcznych spotkań we włoskiej restauracji. W pierwszej chwili nie orientuję się, że ona mówi do mnie, umysł mam rozkojarzony, metodycznie odrywam kawałki chleba i toczę z nich kulki ciasta między palcami.

– Vanesso! – woła, stukając kłykciami w stół. – Trójka.

Podnoszę wzrok i nadziewam się na spojrzenia. Profesor Antonova trzyma kartkę z listą ocen.

– W takim razie jedyną dla mnie drogą jest piąć się do góry – odpowiadam.

Patrzy na mnie znad okularów.

– Możesz spaść jeszcze niżej. I nie zdać.

– Zdam.

– Potrzebujesz planu działania, opieki pedagogicznej. Zadbam o to.

Wbijam spojrzenie w stół, a profesor Antonova przechodzi do ocen następnych uczniów. Żołądek mi się ściska na myśl o opiekunach pedagogicznych, ponieważ spotkania z nimi odbywają się w trakcie dodatkowych zajęć, a to oznaczałoby mniej czasu spędzonego z profesorem Strane'em. Kyle Guinn posyła mi współczujący uśmiech, bo wysłuchuje podobnych wieści o swoich stopniach z hiszpańskiego. Tak głęboko wciskam się w swoje krzesło, że prawie dotykam stołu podbródkiem.

Gdy wracam do internatu, w świetlicy jest tłoczno, w telewizji podają wstępne wyniki wyborów prezydenckich. Wpycham się na jedną z kanap i patrzę, jak stany są grupowane w dwóch kolumnach w miarę napływania danych. „Vermont dla Gore'a”, donosi prowadzący wiadomości. „Kentucky dla Busha”. W pewnej chwili, gdy Ralph Nader miga na ekranie, Deanna i Lucy zaczynają klaskać, a kiedy pojawia się Bush, wszyscy buczą. Wygląda na to, że sprawa jest przesądzona na korzyść Gore'a, lecz tuż przed dziesiątą podają, że na Florydzie wyniki są na tyle wyrównane, że stan uznaje się na razie za „niewiadomą”, a ja jestem tym już tak znużona, że daję spokój i idę spać.

Na początku wszyscy żartują, że wybory nigdy się nie skończą, ale potem robi się poważnie, bo na Florydzie rozpoczyna się na całego ponowne liczenie głosów. Na ogół profesor Sheldon większość lekcji spędza z nogami wyciągniętymi na biurku, teraz jednak ożywia się, rysuje na tablicy rozłożyste pajęczyny ilustrujące niezliczone sytuacje, w których demokracja może zawieść. Nauczają nas o różnych dziurach – w serze, skarpecie, kosmosie i kartach do głosowania – a my ledwo pohamowujemy się od śmiechu.

W tym samym czasie na lekcjach literatury amerykańskiej przerabiamy *Rzekę wspomnień* i przy tej okazji profesor Strane opowiada nam o swoim dorastaniu w Montanie – rancza i autentyczni kowboje, niedźwiedzie grizzly pożerające psy, góry tak wysokie, że zasłaniają słońce. Próbuję ujrzeć go jako chłopca, lecz nie potrafię nawet wyobrazić go sobie bez brody. Po *Rzecz wspomnień* zajmujemy się twórczością Roberta Frosta i profesor Strane recytuje z pamięci *Drogę niewybraną*. Mówi, że nie powinniśmy czuć się podbudowani przez ten wiersz, że przesłanie poety jest często błędnie rozumiane. To nie pochwała płynięcia pod prąd, lecz raczej ironiczne ukazanie daremności naszych wyborów. Twierdzi, że wierząc, iż nasze życie zawiera nieskończone możliwości, odcinamy się od przerażającej prawdy, że żyć znaczy po prostu przemierzać czasoprzestrzeń, a nasz wewnętrzny zegar odlicza do zera, do pożegnalnej chwili.

– Rodzimy się, żyjemy, umieramy – dodaje. – A wybory, których dokonujemy po drodze, te wszystkie rzeczy, którymi zadręczamy się dzień po dniu, w ostatecznym rozrachunku nie mają żadnego znaczenia.

Wszyscy milczą, nie próbując negować jego słów, nawet Hannah Levesque, która jest gorliwą katoliczką i prawdopodobnie wierzy, że nasze decyzje jednak coś znaczą na samym końcu. Tylko patrzy na niego oniemiała, z lekko rozchylonymi ustami.

Profesor Strane rozdaje nam kartki z innym wierszem Frosta, *Zasiewając ziarno*. Każe nam przeczytać w ciszy, a potem, gdy kończymy, prosi, abyśmy przeczytali powtórnie.

– Ale tym razem myślcie o seksie.

Sens tych słów dociera do nas dopiero po chwili, ściągnięcie brwi ustępuje rumieńcom na policzkach. Profesor Strane reaguje śmiechem na wyczuwalne ogólne zakłopotanie.

Tylko ja nie jestem speszona. Wzmiankę o seksie odbieram jak uderzenie w twarz, ciało mi płonie. Może chodzi o mnie? Może to jego następny ruch?

– Chce pan nam powiedzieć, że ten wiersz mówi o seksie? – pyta Jenny.

– Chcę powiedzieć, że ten wiersz zasługuje na to, aby go przeczytać uważnie z otwartym umysłem. I nie ma się co oszukiwać, nie proszę was, abyście pomyśleli o czymś, na myśleniu o czym i tak nie spędzacie sporo czasu. A teraz do roboty – dodaje, klaszcząc w dłonie, żebyśmy zaczęli.

Podczas drugiego czytania, mając głowę wypełnioną seksem, zauważam coś, czego nie dostrzegłam wcześniej: miękkie białe płatki, gładka fasola i pomarszczony groszek, obraz wygiętego ciała na końcu. Nawet sam tytuł, *Zasiewając ziarno*, nagle staje się wymowny.

– I co teraz o tym myślicie?

Profesor Strane stoi zwrócony plecami do tablicy, z jedną stopą wystawioną przed drugą. Milczymy, ale cisza tylko dowodzi, że on ma rację, że ten wiersz to jednak erotyk.

Czeka, błędząc spojrzeniem po klasie, wydaje się, że patrzy na każdego po kolei oprócz mnie. Tom bierze wdech, żeby przemówić, ale wtedy słychać dzwonek i profesor Strane kręci głową, jakbyśmy sprawili mu zawód.

– Jesteście wszyscy purytanami – stwierdza i odprawia nas machnięciem ręki.

Wychodzimy i idziemy korytarzem.

– Co to było, cholera? – pyta Tom.

– To wielki mizogin – odpowiada Jenny ze śmiałą autorytatywnością, od czego aż krew gotuje się we mnie. – Siostra mnie ostrzegła.

Później Jesse nie zjawia się na kółku pisarskim i pomieszczenie wydaje się ogromne, gdy siedzimy w nim tylko we dwoje, ja i profesor Strane. Ja przy stole konferencyjnym, on za swoim biurkiem; patrzymy na siebie z dwóch krańców wielkiego kontynentu.

– Nie masz dziś za wiele do roboty – mówi. – Magazyn literacki jest prawie przygotowany. Adiustację zaczniemy, gdy będziemy mieć tu Jessego do pomocy.

– Więc mogę iść?

– Tak, chyba że chcesz zostać.

Oczywiście, że chcę zostać. Z plecaka wyjmuję zeszyt i otwieram go na stronie z roboczą wersją wiersza z poprzedniego wieczoru.

– Co myślisz o dzisiejszej lekcji?

Przez wychudły teraz klon do środka przedziera się nisko zawieszona słońce. Profesor Strane jest w tym momencie cieniem za biurkiem.

– Pytam, bo widziałem twoją minę – dodaje, zanim zdążę odpowiedzieć. – Wyglądałaś jak mały zaskoczony skrzat. Spodziewałem się, że inni będą zgorzeleni, ale że ty? Nie.

A więc jednak patrzył wtedy na mnie. Zgorzeleni. Myślę o tym, że Jenny nazwała go mizoginem, jak kołtuńsko i sztampowo to zabrzmiało. Ja nie jestem taka. Nie chcę taka być.

– Nie byłam zgorzeleną – odpowiadam. – Podobało mi się.

Oślaniam dłonią oczy od słońca, żeby dostrzec jego twarz, jego czuły protekcyjny uśmiech. Od tygodni nie widziałam tego uśmiechu.

– Z ulgą to słyszę – mówi. – Bo już zaczęło mi się wydawać, że pomyliłem się co do ciebie.

Wstrzymuję oddech na myśl o tym, że o mało nie popełniłam fatalnego błędu. Moja jedna niewłaściwa reakcja może wszystko zepsuć.

Profesor Strane pochyla się i otwiera dolną szufladę biurka, wyciąga książkę, a ja strzygę uszami jak pies, odruch Pawłowa – uczyłam się o tym na fakultecie z psychologii w zeszłym roku.

– To dla mnie? – pytam.

Ma minę, jakby nie wiedział, co odrzec.

– Jeśli ci ją pożyczę, nie możesz nikomu mówić, że masz ją ode mnie.

Wyciągam szyję, próbuję dostrzec tytuł.

– To książka zakazana?

Śmieje się – naprawdę się śmieje, jak wtedy, gdy powiedziałam, że Sylvia Plath jest zaabsorbowana sobą.

– Vanesso, jakim cudem zawsze udzielasz najlepszej odpowiedzi, nawet w sprawach, o których nie masz pojęcia?

Czuję irytację. Nie podoba mi się, że według niego nie mam o czymś pojęcia.

– Co to jest?

Podchodzi do mnie, wciąż zasłaniając dłonią okładkę. Kładzie książkę przede mną, ja natychmiast ją chwytam. Obracam wydanie w miękkiej oprawie, dostrzegam rysunek chudych nóg w skarpetkach i półbutach, plisowaną spódniczkę sięgającą nad guzowate kolana. Przez nogi biegają duże białe litery: *Lolita*. Kiedyś już zetknęłam się z tym słowem – chyba w artykule o Fionie Apple, napisano tam, że jest „lolitowata”, co znaczyło „seksowna i za młoda”. Teraz rozumiem, dlaczego profesor Strane roześmiał się, gdy spytałam, czy to zakazana książka.

– To nie poezja – wyjaśnia – ale poetycka proza. Język ci się spodoba, nawet jeśli nie spodoba ci się reszta.

Czuję na sobie jego spojrzenie, gdy odwracam książkę i zerkam na opis z tyłu. Najwyraźniej znowu zostałam poddana sprawdzianowi.

– Zapowiada się ciekawie. – Wrzucam powieść do plecaka i sięgam po zeszyt. – Dziękuję.

– Daj znać, co myślisz.

– Dobrze.

– A gdy ktoś zobaczy ją u ciebie, to pamiętaj, nie dostałaś jej ode mnie.

– Umiem dotrzymać tajemnicy – odpowiadam, wywracając wymownie oczami.

To nie do końca prawda – zanim go spotkałam, nigdy nie miałam żadnych sekretów – wiem jednak, że chciał to usłyszeć. Jest tak, jak mówił: zawsze udzielam właściwej odpowiedzi.

*

Przerwa z okazji Święta Dziękczynienia. Pięć dni brania prysznicą aż do wyczerpania ciepłej wody, przyglądania się sobie w lustrze wiszącym po wewnętrznej stronie drzwi mojego pokoju, wrywania brwi, aż mama chowa w końcu pęsetkę, przymilania się do szczeniaka, aby pokochał mnie tak mocno jak tatę. Codziennie chodzę na wycieczki, ubrana we wściekle pomarańczową kamizelkę, wędruję po granitowym urwisku, które wznosi się nad jeziorem. Jego lico podziurawione jest grotami i rozstępami w skale na tyle dużymi, że budują tam gniazda jastrzębie i kryją się dzikie zwierzęta.

W największej pieczarze stoi wojskowa prycza. Znajduje się tam, odkąd pamiętam, pozostawiona dawno temu przez jakiegoś wspinacza. Patrzę na metalową ramę i sparciałą płócienną plecionkę i myślę o pierwszym dniu zajęć, gdy profesor Strane powiedział, że zna jezioro Whalesback, że był w tej okolicy. Wyobrażam sobie, że znajduje mnie teraz, samą głęboko w lesie. Mógłby wtedy swobodnie zrobić ze mną to, na co ma ochotę, bez narażania się na przyłapanie na gorącym uczynku.

Wieczorem czytam *Lolite* w łóżku, bezmyślnie wcinając słone krakersy z rękawa do pieczenia, z ustawioną na sztorc poduszką, żeby zasłonić okładkę, gdyby rodzice zajrzeli do mojego pokoju. Wiatr grzechocze szybami, a ja przewracam kartki, czując w sobie ogień, rozżarzone do czerwoności węgle. Nie chodzi tylko o fabułę, o historię z pozoru przeciętnej dziewczyny, która w istocie jest śmiertelnie niebezpiecznym demonem ukrytym pod maską niewinności, i mężczyzny, który ją kocha. Chodzi o to, że to profesor Strane dał mi tę książkę. W naszej więzi pojawił się teraz cały nowy kontekst, nowa odsłona tego, co być może chciałby ze mną robić. Jakie wnioski należy wyciągnąć poza oczywistymi? On to Humbert, a ja – Dolores.

Na Święto Dziękczynienia jedziemy do dziadków w Millinocket. Dzieje się tak od 1975 roku, skołtuniony dywan i promieniste zegary, woń papierosów i kawowego koniaku, choć w piekarniku już dochodzi indyk. Dziadek daje mi paczkę wafelków Necco i pięć dolarów, babcia pyta, czy przybrałam na wadze. Jemy warzywa korzeniowe i bułeczki ze sklepu, tartę cytrynową ze zbrązowiałą polewą, którą tata zeskrobuje, gdy nikt nie patrzy.

W drodze powrotnej do domu nasze auto podskakuje na oszronionej nawierzchni i wybojach, po obu stronach ciągną się w nieskończoność ściany czarnego lasu. W radiu grają przeboje z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, tata stuka w kierownicę do rytmu *My Sharona*, a mama śpi z głową opartą o szybę. „Takie brudne myśli / zawsze mi się dotyk młodszej przyszłości”. Patrzę, jak tata wciąż stuka do rytmu, gdy kolejny raz rozbrzmiewa refren. Czy on zdaje sobie sprawę, o czym mówi ta piosenka, co sam nuci pod nosem? „Zawsze mi się dotyk młodszej przyszłości”. Dostaję od tego obłędu, dostrzegam rzeczy, których najwyraźniej nie dostrzegają inni.

Pierwszego wieczoru po przerwie świątecznej jem sama kolację na końcu stołu, a kilka krzeseł dalej Deanna i Lucy plotkują o jakiejś popularnej uczennicy, która podobno przyszła naćpana na Halloween. Aubrey Dana pyta, jakie to były narkotyki.

– Koka – odpowiada Deanna z wahaniem.

Aubrey kręci głową.

– Nikt tu nie ma koki – mówi.

Deanna nie zamierza się sprzeczać – Aubrey pochodzi z Nowego Jorku, co czyni ją autorytetem w tej sprawie.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że mówią o kokainie, i w normalnych okolicznościach poczułabym się jak wieśniara, ale teraz w reakcji na to plotkowanie robi mi się smutno. Kogo obchodzi, że ktoś przyszedł naćpany na imprezę? Nie mają lepszych tematów? Wbijam spojrzenie w swoją kanapkę z masłem orzechowym i dystansuję się od tej gadaniny, kryję się wśród ostatnich stron *Lolity*, które właśnie przeczytałam ponownie, w końcowej scenie z zakrwawionym oszołomionym Humbertem, który wciąż kocha Lo, mimo że tak bardzo go skrzywdziła, a on skrzywdził ją. Jego uczucia do niej są głębokie i niepohamowane. Jak mogłoby być inaczej, skoro cały świat demonizuje go z ich powodu? Gdyby potrafił przestać ją kochać, przestałby. Jego życie byłoby o wiele prostsze, gdyby zostawił ją w spokoju.

Rwąc skórkę z chleba, próbuję spojrzeć na sprawy z perspektywy profesora Strane'a. Prawdopodobnie się boi – nie, jest przerażony. Mnie przepełniły moja własna frustracja i zniecierpliwienie, nie zastanawiałam się nad tym, ile on ma do stracenia, jak wiele już zaryzykował, dotykając mojej nogi, mówiąc, że pragnąłby mnie pocałować. Przecież nie wiedział, jak zareaguję. A gdybym poczuła się urażona, doniosła na niego? Może to on wykazuje się odwagą, a ja tylko samolubstwem?

No bo tak naprawdę czym ryzykuję? Jeśli wykonam ruch w jego kierunku i zostanę odtrącona, nie wycierpię nic ponad drobne upokorzenie. Wielkie mi rzeczy. Dla mnie życie toczyłoby się dalej tak samo. Więc to nie *fair* oczekiwać, że profesor Strane powinien się narażać bardziej niż do tej pory. Muszę się z nim spotkać przynajmniej w połowie drogi, pokazać mu, czego pragnę i że jestem gotowa na bycie zdemonizowaną przez świat.

Po powrocie do pokoju kładę się do łóżka i wertuję *Lolite*, aż w końcu na siedemnastej stronie znajduję zdanie, którego szukam. Opisując cechy nimfetki ukrytej między zwykłymi dziewczętami, Humbert stwierdza: „stoi w ich gronie nierozpoznana przez nie i sama nieświadoma swej fantastycznej mocy”^{*}.

Mam moc. Moc, aby to się stało. Moc nad nim. Idiotka ze mnie, że nie uświadomiłam sobie tego wcześniej.

Przed lekcją literatury amerykańskiej wchodzę do łazienki, żeby obejrzeć się w lustrze. Mam makijaż – tego ranka nałożyłam na twarz odrobinę każdego kosmetyku, a przedziałek we włosach zrobiłam z boku, nie pośrodku. Zmiana jest na tyle duża, że twarz w lustrze wydaje się nieznajoma – dziewczyna z czasopisma albo wideoklipu. Britney Spears stukająca stopą w biurko, czekająca na dzwonek. Im dłużej patrzę na siebie, tym bardziej rozpada się moje oblicze. Zielone oczy odpływają od piegowatego nosa, różowe wargi się rozdzielają i szybują w przeciwnych kierunkach. Jedno mrugnięcie powieką i wszystko z powrotem gramoli się na swoje miejsce.

Mitrzę w łazience tak długo, że pierwszy raz spóźniam się na lekcję literatury. Wpadając do klasy, czuję na sobie spojrzenie i zakładam, że to wzrok profesora Strane'a, ale gdy zerkam spod ciężkich rzęs, widzę, że to Jenny się we mnie wpatruje, z długopisem zastygłym nad kartkami zeszytu, świadoma zaszłej we mnie zmiany, nowe uczesanie i makijaż.

Tego dnia czytamy Edgara Allana Poe'go, a to się tak idealnie składa, że chętnie spuściłabym głowę na biurko i wybuchła śmiechem.

– Czy on nie ożenił się ze swoją bliską kuzynką? – pyta Tom.

– Owszem, ożenił – odpowiada profesor Spencer. – Formalnie rzecz biorąc.

Hannah Levesque drapie się po nosie.

– Grubo.

Profesor Strane nic wspomina o tym, co w moim przekonaniu jeszcze bardziej zszokowałoby pozostałych, to znaczy, że Virginia Clemm nie była tylko siostrą cioteczną Poe'go, ale w dodatku miała wtedy trzynaście lat. Każdemu z nas każe przeczytać zwrotkę z *Annabel*

Lee, a mnie głos drży, gdy recytuję: „Ja byłem dzieckiem i ona – dzieckiem”***. Obrazy z *Lolity* tłoczą mi się w głowie, mieszają ze wspomnieniem profesora Strane’a szepczącego, że jesteśmy tacy sami, gdy poklepywał mnie po kolanie.

Pod koniec lekcji odrzuca głowę do tyłu, zamyka oczy i deklamuje z pamięci wiersz *W samotności*, głębokim głosem przeciągając słowa: „I nie czerpałem z ich krynicy / uczuć, nie tak jak śmiertelnicy”***, co brzmi jak piosenka. Wsłuchuję się, zbiera mi się na płacz. Widzę go tak wyraźnie, rozumiem, jak czuje się samotny, pragnąc zakazanego owocu i żyjąc w świecie, który uznałby go za przestępcę, gdyby wiedział.

Po lekcji, gdy wszyscy już wyszli, pytam, czy mogę zamknąć drzwi. Zatrząskuję je, nie czekając na odpowiedź. Czuję, jakby to była najodważniejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu. Profesor Strane stoi przy tablicy, z gąbką w rękę, rękawy koszuli ma podwinięte nad łokcie. Mierzy mnie wzrokiem.

– Wyglądasz dziś trochę inaczej – stwierdza.

Milczę, pociągam tylko za mankiety swetra i poruszam stopami.

– Jakby ci przybyło pięć lat w tej przerwie świątecznej – dodaje, odkładając gąbkę i wycierając dłonie. Wskazuje palcem trzymaną przeze mnie kartkę. – To dla mnie?

Kiwam głową.

– Tak, wiersz.

Podaję, a on natychmiast zaczyna czytać, nie podnosi wzroku nawet wtedy, gdy podchodzi do biurka i siada. Bez żadnej zachęty idę za nim i siadam obok. Wiersz skończyłam wczorajszego wieczoru, ale doszlifowywałam wersy tego dnia, żeby brzmiały jak zaczerpnięte z *Lolity*, bardziej wymowne.

Przywołuje statki z mórz,

Jeden za drugim na piaszczysty brzeg,

Grzmotem, który echem się odbija

W jej kościach bez szpiku.

Drży i dygocze,

Gdy marynarze ją biorą.

Potem płacze w utuleniu,

Karmiona przez nich słonym wodorostem,

Kiedy mówią, że żałują,

Tak bardzo żałują tego,

Co jej zrobili.

Profesor Strane odkłada kartkę na biurko i odchyła się do tyłu na krześle, jakby chciał się od niej zdystansować.

– Nigdy ich nie tytułujesz – mówi nieobecny głosem. – A powinnaś.

Mija kolejna chwila, milczy zastygły, wpatrzony w napisane słowa.

W zapadłej ciszy przeszywa mnie uczucie, że jest mną zmęczony, że chce zostać sam. Zaciskam powieki zawstydzona, bo napisałam jawnie erotyczny wiersz w przekonaniu, że mogę knuć i przywdziać kostium, aby dostać to, czego chcę, bo w pożyczonej książce i kilku komplementach dostrzegłam zachętę. Widziałam to, co chciałam zobaczyć, wmówiłam sobie, że moje fantazje to rzeczywistość.

– Przepraszam – szepczę, pociągając nosem jak mała dziewczynka.

– Ej! – woła profesor Strane łagodnym tonem. – Za co przepraszasz?

– Za to – zanoszę się jękiem – że jestem idiotką.

– Dlaczego tak mówisz? – Już mnie otoczył ramieniem i przygarnia do siebie. – Nic podobnego.

Gdy miałam dziewięć lat, spadłam z ostatniego drzewa, na które próbowałam się wdrapać. Być teraz w jego objęciach to jak przeżyć znowu ten upadek – ziemia wybiegła mi na spotkanie, a nie odwrotnie, wchłonęła mnie w chwili zderzenia. On i ja jesteśmy tak blisko siebie, jeśli przekrzywiłabym nieco głowę, dotknęłabym policzkiem jego ramienia. Wdycham zapach jego wełnianego swetra, woń kawy i miałkiej kredy na jego skórze, moje usta zaledwie centymetry od jego szyi.

I tak trwamy, on, obejmując mnie, ja, mając głowę przy jego ramieniu, z korytarza dobiega śmiech, a dzwony śródmiejskich kościołów wybijają pół godziny. Przyciskam kolana do jego uda, wierzchem dłoni ocieram się o nogawkę jego spodni. Chuchając gwałtownie wprost w jego szyję, skłonię go, aby się na coś poważił.

Potem nieznaczny ruch: gładzi mnie kciukiem po obojczyku.

Podnoszę twarz, prawie dotykając ustami jego szyi, i czuję, jak przełyka ślinę, raz, drugi. Właśnie to przełykanie – jakby właczał coś w siebie – daje mi odwagę, żeby przysunąć wargi do jego skóry. To tylko muśnięcie, ale jego przeszywa dreszcz, a we mnie reakcja wzbiera jak fala.

Wtedy on całuje mnie w czubek głowy, to też muśnięcie, a ja znowu dotykam ustami jego szyi. Rozmowa półgębów, żadne z nas niezaangażowane do końca. Wciąż jest droga odwrotu, wciąż można się wycofać. Muśnięcia warg dają się zapomnieć, pocałunki – nie. Ścisła mnie palcami za ramię, coraz mocniej, i coś się budzi w moim ciele. Usiłuję to w sobie zdusić przestraszona, że jeśli nie zdołam, skoczę na niego, chwycę go za gardło, zepsuję wszystko.

I nagle, bez uprzedzenia, puszcza mnie. Odsuwa się, już się nie dotykamy. Mruga za szklami okularów, jakby przyzwyczajając oczy do nowego światła.

– Powinniśmy o tym porozmawiać – mówi.

– Dobrze.

– To nie są żarty.

– Wiem.

– Łamiemy zasady.

– Wiem – powtarzam zirytowana sugestią, że nie zdaję sobie z tego sprawy, że nie spędziłam dotąd długich godzin na zastanawianiu się, w co brniemy.

Przygląda mi się, minę ma zaskoczoną i zaciętą.

– To jakiś sen – mówi pod nosem.

Tyka sekundnik na cyferblacie klasowego zegara. Drzwi są zamknięte, ale w każdej chwili ktoś może wejść.

– Czego ty chcesz? – pyta.

To wielkie pytanie. To, czego chcę, zależy od tego, czego on chce.

– Nie wiem.

Odwraca się do okien, krzyżuje ręce na piersi. „Nie wiem” nie jest dobrą odpowiedzią. Tak zareagowałoby dziecko, a nie ktoś, kto pragnie i jest zdolny do podjęcia decyzji.

– Lubię z panem być – mówię. Czekam, żebym wyznała więcej, szukam więc właściwych słów, błądząc wzrokiem po klasie. – Lubię to, co robimy.

– To, co robimy? Co masz na myśli?

Chcę, żebym powiedziała, lecz ja nie wiem, jak to nazwać.

Wskazuję przestrzeń między naszymi ciałami.

– To.

Uśmiecha się lekko.

– Ja też to lubię. A to? – pyta. Pochyla się i opuszkami palców dotyka mojego kolana. – To też lubisz?

Wpatrzony w moją twarz przesuwa dłoń w górę, aż muska moje krocze w rajstopach.

Odruchowo zaciskam uda, zaklinowując jego rękę.

– Za daleko – przyznaje.

Kręcę głową, rozluźniam nogi.

– Nie, dobrze – zapewniam.

– Wcale nie dobrze. – Wrywa dłoń spod mojej spódnicy i jakby był ciałem ciekłym, spływa z krzesła na podłogę. Klęczy przede mną. Kładzie głowę na moich kolanach i mówi: – Zniszczę cię.

To najbardziej niewiarygodne ze wszystkiego, co się wydarzyło dotąd, bardziej surrealistyczne niż słowa, że pragnie mnie pocałować, czy głaskanie po nodze. „Zniszczę cię”. Mówi to z wyczuwalną udręką – odsłona tego, jak wiele o tym rozmyślał, jak bardzo się z tym zmagał. Pragnie postąpić właściwie, nie chce mnie skrzywdzić, lecz pogodził się już z tym, że prawdopodobnie stanie się inaczej.

Trzymając ręce w górze nad jego głową, przyglądam mu się uważnie: czarne włosy, posiwiałe na skroniach, gładka gęstwina brody kończąca się równo pod wygolonym podbródkiem. Na szyi ma drobne zadrapanie, lekko zaognione; wyobrażam go sobie tego ranka w łazience, z maszynką w dłoni, gdy tymczasem ja stałam bosa w internacie, nakładałam makijaż na twarz.

– Chciałbym być pozytywną osobą w twoim życiu – mówi. – Kimś, kogo po latach wspominałabyś miło jako tego zabawnego podstarzałego nauczyciela, który żałośnie się w tobie zakochał, ale trzymał ręce przy sobie i koniec końców okazał się grzecznym chłopcem.

Czuję ciężar jego głowy na kolanach, nogi zaczynają mi lekko drżeć, pod pachami i w zgięciach kolan bucha pot. „Żałośnie się w tobie zakochał”. Gdy tylko wypowiada te słowa, natychmiast staję się osobą, w której ktoś się kocha, i to nie jakiś głupawy chłopiec w moim wieku, ale mężczyzna, który przeżył już całe życie, który mnóstwo zrobił i widział, a mimo to uważa, że jestem godna jego miłości. Czuję się przepchnięta przez próg, wytracona ze swojej normalnej egzystencji, wykatapultowana do krainy, w której dorośli mężczyźni mogą się we mnie żałośnie zakochać i padać mi do nóg.

– Czasem siadam na twoim krześle, gdy już wyjdiesz z klasy. Opieram czoło o biurko, jakbym próbował cię wchłonąć. – Podnosi głowę z moich kolan, ociera twarz dłonią i siada na piętach. – Co się, kurwa, ze mną dzieje? Nie mogę ci wyjaśnić. Miałabyś koszmary.

Dźwiga się z powrotem na krzesło, a ja wiem, że muszę zareagować, aby go przekonać, że się nie boję. Muszę mu dorównać, pokazać, że nie jest z tym sam.

– Ciągle o panu myślę – wyznaję.

Rozpromienia się na moment. Zaraz jednak reflektuje się i prycha.

– Akurat!

– Ciągle. Mam obsesję.

– Trudno mi w to uwierzyć. Piękne dziewczęta nie zakochują się w zbereźnych starcach.

– Pan nie jest zbereźny.

– Jeszcze nie – odpowiada – ale gdy zbliżę się do ciebie, to będę.

Wiem, że potrzebuje ode mnie więcej, więc daję mu więcej. Wyznaję, że te głupie wiersze piszę tylko po to, żeby on je czytał. („Nie są głupie”, zaprzecza. „Proszę, nie mów tak”). Że przez całą przerwę świąteczną czytałam *Lolite* i czuję się odmieniona dzięki tej powieści, że to dla niego się dziś wystroiłam, że zamknęłam drzwi do klasy, bo chciałam być z nim sama.

– I myślałam, że może... – zawieszam głos.

– Że co?

Wywracam oczami, chichoczę szczebiotliwie.

– No, wie pan.

– Nie wiem.

Obracam się lekko na krześle.

– Że moglibyśmy, no, nie wiem, całować się.

– Chcesz, żebym cię pocałował?

Unoszę ramiona i wciskam głowę w szyję, aż włosy opadają mi na twarz, zbyt speszona, żeby odpowiedzieć.

– Tak czy nie?

Zasłonięta włosami wydaję z siebie cichy jęk.

– Całował cię ktoś już kiedyś? – pyta i odgarnia kosmyki z moich policzków, żeby mnie widzieć.

Kręcę głową, jestem za bardzo zdenerwowana, żeby kłamać.

Wstaje, zamyka drzwi klasy na klucz, gasi światło, żeby nie było niczego widać przez okno. Gdy ujmuję moją twarz w dłonie, zamykam oczy i tak trwam. Wargi ma suche, jak sztywne pranie wywieszzone na słońcu. Brodę miększą, niż się spodziewałam. Jego okulary wbijają mi się w policzki, sprawiając ból.

Jeden pocałunek z zaciśniętymi wargami, potem drugi. Profesor Strane wydaje z siebie ciche „mmm” i teraz już otwieramy usta, i całujemy się przez chwilę. Nie mogę się skupić, umysł odlatuje tak daleko, jakby należał do kogoś innego. Przez cały czas myślę tylko o tym, jakie to dziwne, że on ma język.

Później zęby mi dzwonią. Chcę być nieustraszona, uśmiechnąć się rażno, powiedzieć coś zalotnego i wstydliwego zarazem, ale tylko wycieram nos rękawem i szepczę:

– Dziwnie się czuję.

Całuje mnie w czoło, skronie, w szczękę.

– Ale dobrze, mam nadzieję?

Wiem, że powinnam przytaknąć, upewnić go, nie dawać mu powodu do powątpiewania w moje intencje, ale tylko patrzę przed siebie, aż w końcu nachyla się i znowu mnie całuje.

Siadam na swoim miejscu przy stole konferencyjnym, dłonie płasko na blacie, żeby nie dotykać startej skóry w kącikach ust. Do środka wślizgują się inni uczniowie, rozpinają kurtki, wyjmują z plecaków egzemplarze *Ethana Frome'a*. Nie wiedzą, co się wydarzyło, nigdy się nie dowiedzą, a mimo to mam ochotę to wykrzyknąć. A jeśli nie mogę, to najchętniej wprasowałabym dłonie w stół, przebiła blat na wylot, aż drewno by się rozpadło, a drzazgi ułożyłyby się na podłodze w przesłanie o naszej tajemnicy.

Po drugiej stronie stołu Tom nachyla się, wyciągając rękę do tyłu, aż koszula się zadziera, odsłaniając kilka centymetrów nagiego brzucha. Krzesło Jenny stoi puste. Przed przyjściem Toma Hannah Levesque powiedziała, że się rozstają – od tej plotki dwa miesiące temu dostałabym wypieków na twarzy, teraz ledwo zwracam uwagę. Dwa miesiące to całe życie.

W trakcie lekcji profesor Strane opowiada nam o powieści Edith Wharton. Ręce drżą mu lekko, niechętnie spogląda w moją stronę – och nie, to niedorzeczne myśleć teraz o nim jako o profesorze. Ale mówienie mu po imieniu też wydaje mi się niewłaściwe. W pewnym momencie dotyka dłonią czoła, gubi ciąg myśli, a dotąd nigdy tak się nie zachowywał.

– No właśnie... – mruczy. – O czym to ja mówiłem?

Zegar nad drzwiami wystukuje jedną, drugą, trzecią, czwartą sekundę. Hannah Levesque wskazuje na jakąś boleśnie oczywistą cechę powieści, ale zamiast ją zbyć, Strane mówi:

– Tak, otóż to.

Odwraca się do tablicy i pisze wersalikami: „Kto ponosi winę?”. W moich uszach ryczy ocean.

Streszcza całą fabułę, chociaż na zajęcia mieliśmy przeczytać tylko pierwsze pięćdziesiąt

stron. Powab młodej Mattie i moralne rozterki, w które popada żonaty, starszy Ethan. Czy jego miłość do niej naprawdę jest złem? Ethan żyje w rozpacz. Ma tylko chorą Zeenę na piętrze.

– Ludzie zaryzykują wszystko, żeby przeżyć odrobinę czegoś pięknego – mówi Strane z tak wielką szczerością w głosie, że dokoła stołu rozbrzmiewają śmiechy.

Powinam już przywyknąć, ale ciągle wydaje mi to się surrealistyczne – że on opowiada o książkach i jednocześnie o mnie, a oni wszyscy nie zdają sobie z tego sprawy. Tak jak wtedy, gdy dotknął mnie za biurkiem, a pozostali siedzieli przy dużym stole, wymyślając tematy wypracowań. To dzieje się na ich oczach. Lecz są zbyt przeciętni, żeby to dostrzec.

„Kto ponosi winę?” Strane podkreśla kredą pytanie i patrzy na nas wyczekująco. Zmaga się ze sobą, widzę to teraz. Nie chodzi o to, że jest podenerwowany w mojej obecności, raczej o to, że zastanawia się, czy zrobił coś złego. Gdybym miała więcej odwagi, podniosłabym rękę i powiedziała o Ethanie Fromie i o nim. „Nie zrobił nic złego”. Albo: „Czy Mattie nie jest za to współodpowiedzialna w pewnej mierze?”. Ale siedzę w milczeniu przestraszona jak mała myszka.

Na końcu lekcji pytanie o to, kto ponosi winę, ciągle widnieje na tablicy. Pozostali uczniowie wysypują się na korytarz i dalej na dziedziniec, ja jednak się nie śpieszę. Zaciągam suwak w plecaku, pochylam się i udaję, że zawiązuję buty, powoli jak leniwiec. Strane zwraca na mnie uwagę dopiero wtedy, gdy korytarz przed klasą pustoszeje. Żadnych świadków.

– Jak się masz? – pyta.

Uśmiecham się rażno, pociągam za ramiączka plecaka.

– Dobrze – odpowiadam.

Wiem, że nie mogę okazać nawet cienia niepokoju. Inaczej uznalby, że nie jestem w stanie udźwignąć tej sytuacji.

– Martwiłem się, że może czujesz się przytłoczona.

– Nie.

– To w porządku. – Wzdycha. – Wygląda na to, że radzisz sobie z tym lepiej ode mnie.

Postanawiamy, że przyjdę później, po zajęciach dodatkowych, kiedy na wydziale nauk humanistycznych zapada spokój.

– Wyglądasz ślicznie – mówi, gdy idę do drzwi.

Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu – owszem, wyglądam ślicznie, ciemnozielony sweter, najbardziej dopasowane sztruksy, włosy opadające kaskadą na ramiona. To celowe.

Słońce już zaszło, gdy wracam do klasy. Nie ma żaluzji, więc gasimy światło, siadamy za jego biurkiem i całujemy się po ciemku.

*

Profesor Thompson organizuje mikołajki w internacie. Wylosowuję Jenny, co powinno mnie zabołec, ale czuję tylko mgliste poirytowanie. Biorę dziesięć dolarów, które wolno mi wydać na podarek, i idę do spożywczego. Kupuję dla Jenny paczkę niemarkowej kawy, a resztę wydaję na słodycze dla siebie. Nawet nie zadaję sobie trudu, żeby zapakować podarek; podczas wymiany prezentów po prostu daję Jenny kawę w plastikowej torbie.

– Co to? – pyta, a są to pierwsze słowa, które skierowała do mnie od ostatniego dnia nauki w zeszłym semestrze: „No to do zobaczenia”, rzuciła wtedy przez ramię, wychodząc z internatu.

– Na mikołajki.

– Niezapakowane? – Otwiera torbę ostrożnie opuszkami palców, jakby się bała zawartości.

– To kawa – odpowiadam. – No bo zawsze piłaś kawę czy coś.

Patrzy w głąb torby, mrugając powiekami tak zawzięcie, że w pierwszej chwili aż się boję, że poleją się łzy.

– Masz – mówi, wciskając mi kopertę. – Ja z kolei ciebie wylosowałam.

W kopercie jest podwójna kartka, a w niej dwudziestodolarowy bon na zakupy w śródmiejskiej księgarni. W jednym ręku trzymam kartkę, w drugiej bon, patrzę to na jedno, to na drugie. Na kartce Jenny napisała: „Wesołych Świąt, Vanesso. Zdaję sobie sprawę, że nie rozmawialiśmy ostatnio, ale mam nadzieję, że uda nam się odbudować naszą przyjaźń”.

– Dlaczego tyle? – pytam. – Prezenty miały być za dziesięć dolarów.

Profesor Thompson krąży między uczniami i komentuje odpakowywane prezenty. Podchodzi do nas i widzi wszystko: zaczerwienione policzki Jenny, próżniowo zapieczętowaną tanią kawę, która przed chwilą wypadła z torby na podłogę, i poczucie winy wypisane na mojej twarzy.

– Mmm, jaki miły podarek! – mówi z takim entuzjazmem, że w pierwszej sekundzie sądzę, że ma na myśli bon na książki. – Moim zdaniem kofeiny nigdy dość. A ty co dostałaś?

Pokazuję bon. Profesor Thompson uśmiecha się blado.

– O, też ładnie – kwituje.

– Mam lekcje do odrobienia – oznajmia Jenny.

Podnosi z podłogi kawę dwoma palcami, jakby brzydziła się jej dotknąć, i wychodzi ze świetlicy. Mam ochotę coś powiedzieć, krzyknąć do niej, że chce się znowu ze mną zadawać tylko dlatego, że Tom z nią zerwał, ale już za późno, bo jestem na innym etapie życia. Teraz robię takie rzeczy, o których jej się nie śniło.

Profesor Thompson patrzy na mnie.

– Uważam, że to bardzo przemyślny prezent, Vanesso – mówi. – Nie chodzi tylko o to, ile pieniędzy wydajemy.

Dociera do mnie, dlaczego okazuje mi tyle zrozumienia – myśli, że jestem tak biedna, że nie stać mnie na nic więcej niż paczka kawy za trzy dolary. To zarówno zabawne, jak obelżywe, ale nie wyprowadzam jej z błędu.

– Pani profesor, co pani robi na święta? – pyta Deanna.

– Jadę na trochę do domu w New Jersey. Może skoczę z koleżankami do Vermont.

– Nie ze swoim facetem? – wtrąca Lucy.

– Nie mam żadnego faceta.

Profesor Thompson oddala się, żeby obejrzeć inne prezenty mikołajkowe, a ja patrzę, jak spleta dłonie za plecami i udaje, że nie słyszy szeptu Deanny skierowanego do Lucy:

– Myślałam, że profesor Strane jest jej facetem.

Pewnego popołudnia Strane mówi, że moje imię wymyślił Jonathan Swift, angielski pisarz. Swift znał niegdyś kobietę o nazwisku Esther Vanhomrigh, zwaną Essą.

– Rozdzielił jej imię i nazwisko i złożył od nowa z dwóch połówek – dodaje. – Van-essa stała się Vanessą. Tobą.

Milczę, choć czasem mam wrażenie, że dokładnie to samo Strane robi ze mną – rozłamuje mnie i składa w nową całość.

Opowiada, że pierwsza Vanessa była zakochana w Swifcie, młodsza od niego o dwadzieścia dwa lata. Został jej guwernerem. Strane idzie do półek za biurkiem i wyciąga poemat Swifta pod tytułem *Kadenus i Vanessa*. To długi tekst, sześćdziesiąt stron, o młodej kobiecie zakochanej w swoim nauczycielu. Serce mi bije jak oszalałe, gdy wertuję tomik, czując na sobie spojrzenie Strane'a, próbując zachować spokój. Wzruszam ramionami i odpowiadam nonszalancko:

– To chyba dość zabawne.

Marszczy brwi.

– Dla mnie to raczej niesamowite, a nie zabawne. – Stawia książeczkę z powrotem na półce. – Ta historia mocno we mnie wlaźła – mruczy. – Zacząłem myśleć o przeznaczeniu.

Patrzę, jak siada za biurkiem i otwiera dziennik. Uszy mu poczerwieniały, jakby się wstydził. Czy potrafię go zawstydzić? Czasem zapominam, że on też jest wrażliwym człowiekiem.

– Wiem, co masz na myśli – mówię.

Podnosi twarz znad dziennika; światło odbija się w jego okularach.

– Czuję, jakby wszystko było z góry przesądzone – dodaję.

– Wszystko? – powtarza. – Znaczy to, co jest między nami?

Kiwam głową.

– Tak. Że jakby urodziłam się po to, żeby to się stało.

Sens moich słów dociera do niego, wargi mu drżą, jakby z całej siły powstrzymywał się od uśmiechu.

– Idź zamknąć drzwi – mówi. – I zgaś światło.

W niedzielę przed przerwą bożonarodzeniową dzwonię do domu z telefonu w świetlicy, a mama mówi, że musi po mnie przyjechać we wtorek, a nie w środę, co oznacza o jeden dzień dłuższą labę i zarazem o jeden dzień dłuższą rozłąkę ze Strane'em. Sama myśl o weekendzie bez niego jest torturą; nie wiem, jak przetrwam trzy tygodnie, więc kiedy to słyszę, czuję, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg.

– Nawet mnie nie spytałaś! – krzyczę do słuchawki. – Nie możesz decydować, że zgarniesz mnie cały dzień wcześniej, nie pytając mnie o zdanie! – Panika narasta, z trudem powstrzymuję łzy. – Mam tutaj obowiązki. Rzeczy do zrobienia.

– Jakie rzeczy? – pyta mama. – Mój Boże, dlaczego tak się denerwujesz? Co się dzieje?

Przysuwam czoło do ściany, biorę głęboki wdech i dukam:

– Jest kółko pisarskie. Nie mogę go opuścić.

– Ach! – fuka, jakby spodziewała się czegoś poważniejszego. – To nie szkodzi, przyjadę dopiero o szóstej. Przecież zajęcia masz wcześniej.

Gryzie coś, bo słyhać chrupanie między zębami. Nie cierpię, gdy podczas rozmowy ze mną żre coś, sprząta, gada jednocześnie z ojcem. Czasem idzie z telefonem do toalety, o czym się dowiaduję dopiero, gdy słyszę w tle uruchomioną sfluczkę.

– Vanesso, nie wiedziałam, że tak bardzo lubisz to kółko pisarskie.

Ocieram nos brudnym mankietem bluzy.

– Nie chodzi o lubienie – odpowiadam. – Chodzi o to, żeby poważnie traktować swoje obowiązki.

– Hmm.

Następny gryz, chrzęst w ustach.

W poniedziałek siedzę ze Strane'em w ciemnej klasie, ale nie pozwalam mu się pocałować. Odwracam się i odsuwam kolana z dala od jego rąk.

– Co się stało? – pyta.

Kręcę głową, bo nie wiem, jak to wyjaśnić. Wydaje się, że w ogóle nie martwi go zbliżająca się rozłąka. Nawet o tym nie wspomniał.

– W porządku, skoro nie chcesz, żebym cię dotykał – mówi. – Wystarczy powiedzieć, żebym przestał.

Nachyla się, zagląda mi w oczy, próbuje coś wyczytać z mojej twarzy w mroku. Widzę ruchliwe iskielki w jego źrenicach, bo nie ma okularów – zdejmuję je przed całowaniem, odkąd powiedziałam, że wciskają mi się w policzki.

– Nie umiem czytać w twoich myślach, choćbym chciał.

Dotyka palcami moich kolan, czeka, czy się odsunę. Nie reaguję, więc palce suną wyżej, po udach, do bioder, talii, nogi krzesła skrzypią, gdy Strane mnie obejmuje. Wzdycham, przytulam się do niego, ciało ma wielkie jak góra.

– Chodzi o to, że długo nie będziemy mogli tego robić – mówię. – Całe trzy tygodnie.

Czuję, że się odpręża.

– To dlatego jesteś taka przygnębiona?

Śmieje się, a mnie zbiera się na płacz, bo zareagował, jakbym zachowywała się niedorzecznie, zdolowana perspektywą długiej rozłąki.

– Ja tu zostaję – stwierdza i całuje mnie w czoło. – Jesteś taka wrażliwa. Jak... – Urywa i parska śmiechem. – Chciałem powiedzieć, że jak mała dziewczynka. Zapominam czasem, że właśnie małą dziewczynką jesteś.

Patrzę mu w oczy, szepczę, że nie mam nad tym kontroli. Chcę usłyszeć to samo od niego, ale tylko gładzi mnie po włosach. Może nie musi tego mówić? Myślę o tym, jak położył mi głowę na kolanach tamtego popołudnia, gdy pocałowaliśmy się pierwszy raz, jak wystękał, że mnie zniszczy. To oczywiste, że on też nad tym nie panuje; dopadło nas, dlatego robimy to, co robimy.

Odsuwa się, całuje mnie w kącik ust.

– Mam pomysł.

Ziemię na dworze pokrywa śnieg, który odbija dokoła na tyle dużo światła, że widzę uśmiech na twarzy Strane'a, zmarszczki pojawiające się wokół oczu. Z bliska jego twarz wygląda na rozczłonkowaną, ogromną. Na grzbiecie nosa pozostało wgniecenie po mostku okularów, które nigdy nie znika.

– Ale musisz mi obiecać, że zgodzisz się na to, co zaproponuję, tylko pod warunkiem, że naprawdę będziesz tego chciała. Dobrze?

Pociągam nosem, ocieram policzki.

– Dobrze.

– A gdybyśmy tak po przerwie świątecznej... powiedzmy w pierwszy piątek po powrocie... – Wciąga powietrze w płuca. – A gdybyś przyszła do mnie?

Zaskoczona mrugam powiekami. Zakładałam, że w końcu to się stanie, ale teraz wydaje mi się przedczesne. A może nie? Całujemy się już od dwóch tygodni.

Milczę, więc on mówi dalej:

– Chyba miło byłoby spędzić trochę czasu razem poza tą klasą. Moglibyśmy zjeść kolację, popatrzeć na siebie przy zapalonym świetle. Fajnie by było, co?

Natychmiast ogarnia mnie strach. Chciałabym, żeby było inaczej, więc zagryzając policzek, próbuję przegnać to uczucie racjonalnymi myślami. Nie boję się Strane'a, lecz raczej jego ciała – tego ogromu, oczekiwań, że coś z nim będę robiła. Dopóki zostajemy w klasie, możemy się tylko całować, natomiast wizyta u niego w domu oznacza, że wszystko może się wydarzyć. Że wydarzy się wiadome.

Seks.

– A jak miałabym to zrobić? – pytam. – A cisza nocna?

– Wymkniesz się później z internatu. Mogę na ciebie czekać przy parkingu, zgramę cię stamtąd. A rano odwiozę cię wcześniej i nikt się nie dowie.

Wyraźnie się spina, bo wyczuwa moje wahanie. Odjeżdża na krześle do tyłu, z dala ode mnie, zimne powietrze muska moje nogi.

– Ale nie będę cię namawiał – mówi. – Skoro nie jesteś gotowa.

– Jestem gotowa.

- Nie wygląda na to.
- Jestem – zapewniam. – Dobrze, przyjdę.
- Ale chcesz tego?
- Tak.
- Naprawdę?
- Tak.

Patrzy na mnie, znów migoczą iskierki w jego oczach. Mocniej zagryzam policzek, uznając, że może nie będzie na mnie wściekły, jeśli sprawię sobie tyle bólu, że pocięgną świeże łyzy.

– Posłuchaj – mówi. – Nie mam żadnych oczekiwań. Będę szczęśliwy, jeśli usiądziemy razem na kanapie i obejrzymy film. Nie musimy nawet trzymać się za ręce, jeśli nie masz ochoty, dobrze? Ważne, byś nigdy nie czuła się do niczego przymuszona. Inaczej nie dam sobie z tym rady.

- Nie czuję się przymuszona.
 - Nie czujesz? Poważnie?
- Kręcę głową.

– Nie.

– To dobrze. Dobrze. – Bierze mnie za rękę. – Ty o wszystkim decydujesz, Vanesso. Ty tu rządzisz.

Zastanawiam się, czy naprawdę w to wierzy. Najpierw mnie dotknął, powiedział, że pragnie mnie pocałować, powiedział, że mnie kocha. To on robił zawsze pierwszy krok. Nie czuję presji, wiem, że mam moc powiedzenia, że się nie zgadzam, ale to nie to samo co decydowanie. Ale może on musi wierzyć w to, co mówi? Może musi wierzyć w bardzo wiele.

*

Na Gwiazdkę dostaję: pięćdziesiąt dolarów, dwa swetry, jeden lawendowy w warkocze, drugi moher w białym kolorze, CD z najnowszą płytą Fiony Apple w zastępstwie starej i porysowanej, buty z outletu L.L.Bean, ale wadę w szyciu widać dopiero po uważnym przyjrzeniu się, czajnik elektryczny do internatu, pudełko cukierków nadziewanych syropem klonowym, skarpety, bieliznę i delicje pomarańczowe.

Po przyjeździe do domu, w obecności rodziców, staram się ze wszystkich sił włożyć Strane'a do szuflady i zamknąć ją na klucz. Opieram się pokusie, żeby wylegiwać się w łóżku, rozmyślać i pisać o nim, zamiast tego robię rzeczy dające mi poczucie, że jestem dziewczyną, którą dawniej byłam – czytam przy piecyku, siekam figi i orzechy z mamą w kuchni, pomagam tacie przytaszczyć choinkę, a mała Babe bryka dokoła nas jak kosmaty żółty delfin, gdy człapiemy w śniegu. Wieczorami, kiedy ojciec kładzie się spać, a szczenię biegnie za nim na piętro, siadamy wygodnie z matką na kanapie i oglądamy telewizję. Lubimy to samo: dramaty historyczne, *Ally McBeal*, *The Daily Show*. Śmiejemy się razem z żartów Jona Stewarta, krzywimy boleśnie, gdy na ekranie pojawia się George W. Bush. Ponownie przeliczanie głosów dawno dobiegło końca, Bush ogłoszony zwycięzcą.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że aż tak okantowali w wyborach – mówię.

– Oni wszyscy kantują w wyborach – odpowiada mama. – Tylko że gdy demokraci to robią, nie wygląda to tak źle.

Kiedy oglądamy telewizję, zajadając drogie ciasteczka imbirowe z cytrynowym nadzieniem, ukrywane na najwyższej półce w spiżarni, mama wyciąga nogi i próbuje wcisnąć mi stopy pod tyłek, chociaż wie, że tego nie cierpię. Kwękam, a ona mówi, że bym nie była taka drażliwa.

– Nosiłam cię w brzuchu, nie zapominaj o tym.

Opowiadam jej o kartce, którą dostałam razem z prezentem od Jenny na mikołajki. Wyrażając chęć pojednania. Uśmiecha się i wskazuje mnie palcem.

– A mówiłam ci, że tak będzie. Mam nadzieję, że się na to nie nabierzesz.

Zasypia na kanapie, jej matowe blond włosy splątane na twarzy, a w telewizorze blok reklamowy. W tej właśnie chwili Strane powraca z hukiem, bo w domu zapada cisza i wszyscy śpią oprócz mnie. Patrzę szklistymi oczami na ekran, czuję Strane'a obok, obejmuje mnie, wsuwa mi rękę w spodnie od piżamy. Po drugiej stronie kanapy chrapie moja matka, wyrывая mnie z rozmyślań, uciekam więc na górę. Mój pokój jest jedyną bezpieczną przestrzenią dla ugoszczenia Strane'a, mogę zamknąć drzwi, położyć się w łóżku i wyobrażać sobie, że jestem w jego domu, że się kochamy. Wyobrażać sobie, jak wygląda nago.

Przekopuję stare numery „Seventeen” w poszukiwaniu artykułów o „pierwszym razie”, bo może powinnam się jakoś przygotować, ale we wszystkich są te same idiotyczne rady w rodzaju: „Uprawianie seksu to poważna sprawa, nie czuj się do tego przymuszona, masz mnóstwo czasu, żeby zacząć!”. Uruchamiam więc internet i znajduję forum dyskusyjne pod nazwą „Kiedy dajesz sobie zerwać gwint”, lecz jedyne zalecenie, jakie znajduję, to: „Nie leż jak kłoda”, ale co to niby znaczy? Wleźć na niego? Wyobrażam sobie Strane'a pode mną, ale to wygląda żenująco; całe moje ciało wzdryga się na myśl o tym. Usuwa historię przeglądania, sprawdzam trzy razy, czy na pewno to zrobiłam, a potem zamykam komputer.

Wieczorem przed odjazdem do Browick rodzice oglądają telewizję, a ja zakradam się do ich sypialni, otwieram górną szufladę matczynej komody, gmeram wśród staników i majtek i znajduję czarną jedwabną koszulkę nocną z wciąż doczepioną poźółkłą już metką. Idę do siebie i przymierzam, nie mając nic pod spodem. Jest trochę przydługa, sięga za kolana, ale za to dopasowana, moje kształty widać w taki sposób, że wydają się dorosła i seksowna. Wpatrzona w lustro zbieram włosy na głowie i puszczam, żeby opadły na twarz. Zagryzam dolną wargę, aż puchnie i nabiega krwią. Jedno ramię zsuwa się z obojczyka i teraz widzę Strane'a, ten jego czuły protekcyjny uśmiech, nasuwa mi ramię z powrotem. Rankiem wciskam koszulkę na dno torby i przez całą drogę powrotną do Browick uśmiecham się pod nosem zadowolona, że tak łatwo uszło mi to na sucho, wszystko uchodzi.

Na kampusie zasypane śnieżne są wyższe, dekoracje bożonarodzeniowe znikły, a w internatach cuchnie octem używanym do szorowania drewnianych podłóg. W poniedziałek rano idę na wydział nauk humanistycznych w poszukiwaniu Strane'a. Na mój widok twarz mu się rozpromienia, wygłodniałe usta rozciągają w uśmiechu. Zamyka klasę od środka, przyciska mnie do szafy kartotekowej, całuje tak mocno, że praktycznie się we mnie wgryza, stukamy się zębami. Kolanem rozsuwa mi uda i ociera się o mnie – to dobre uczucie, ale wszystko dzieje się tak szybko, że tracę oddech i jęczę, a on, słysząc to, odsuwa się chwiejnie i pyta, czy sprawił mi ból.

– Nie mogę się powstrzymać, gdy jesteś blisko – wyznaje. – Zachowuję się jak głupi szczeniak.

Pyta, czy nadal jesteśmy umówieni na piątek. Mówi, że przez te ostatnie tygodnie bez przerwy o mnie myślał, aż był zszokowany, że tak bardzo za mną tęskni. Mrużę oczy. Chwilę, dlaczego zszokowany?

– No bo tak naprawdę nie znamy się jeszcze za dobrze – wyjaśnia. – Mój Boże, ale mnie opętałaś.

Gdy pytam go, co robił w Boże Narodzenie, odpowiada:

– Myślałem o tobie.

Mijający tydzień odczuwam jak odliczanie, jak powolne przemierzanie długiego

korytarza. Gdy nadchodzi piątkowy wieczór, czuję się odrealniona, wkładając czarną nocną koszulkę do plecaka, a po sąsiedzku Mary Emmett wyśpiewuje przy otwartych drzwiach po raz sześćdziesiąty piosenkę z musicalu *Rent*, Jenny zaś sunie w szlafroku pod prysznic. Aż dziwnie pomyśleć, że dla nich to po prostu kolejny normalny piątkowy wieczór. Ich zwykle życie toczy się równoległe do mojego.

O wpół do dziesiątej melduję się u profesor Thompson. Mówię, że niezbyt dobrze się czuję, więc idę wcześniej do łóżka, a potem czekam, aż na korytarzu zapadnie spokój, i wyslizguję się tylnym wyjściem, bo tam nie działa alarm. Gnam przez kampus, dostrzegam kombi Strane'a czekające ze zgaszonymi reflektorami na parkingu za wydziałem nauk humanistycznych. Otwieram drzwi od strony pasażera i wślizguję się do środka, a on obejmuje mnie mocno i śmieje się tak, jak jeszcze nie słyszałam – maniacko, konwulsyjnie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

W jego domu jest skromniej i zarazem czystiej, niż kiedykolwiek było w moim domu rodzinnym, zlew w kuchni pusty i błyszczący, myjka suszy się przewieszona na długim kranie. Kilka dni wcześniej zapytał mnie, co lubię jeść, powiedział, że chce mieć pod ręką moje ulubione przysmaki, no i teraz pokazuje mi trzy pojemniki drogich lodów w zamrażalce, sześcioopak wiśniowej coli w lodówce, dwie wielkie torby chipsów na blacie w kuchni. Obok stoi też butelka whiskey i szklanka z prawie roztopionymi kostkami lodu.

Na stoliku w salonie nie ma bałaganu, tylko plik podstawek do piwa i dwa piloty do telewizora. W biblioteczkach są równo ustawione książki, nic wepchniętego krzywo albo do góry nogami. Strane mnie oprowadza, a ja popijam colę, udając, że jestem pod wrażeniem, choć pod niezbyt dużym wrażeniem, że jestem zainteresowana, choć niezbyt zainteresowana. Tak naprawdę cała dygoczę.

Na końcu pokazuje mi sypialnię. Stoimy w progu oboje niepewni, co dalej, w puszcze z colą syczą bąbelki gazu. Już za sześć godzin muszę być z powrotem w internacie, a przecież przyjechałam dopiero przed dziesięcioma minutami. Z przodu rozciąga się łóżko, przykryte starannie kołdrą khaki, z poduszkami w kraciastych poszewkach. Za szybkie tempo dla mnie.

– Jesteś zmęczona? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie bardzo.

– Może więc nie powinnaś tego pić. – Wyjmuje mi puszkę z dłoni. – Tyle tej kofeiny.

Sugeruję pooglądanie telewizji, mając nadzieję, że w ten sposób przypomnę mu o jego propozycji, abyśmy posiedzieli na kanapie i obejrzel film, trzymając się za ręce.

– Wtedy na pewno zasnę – odpowiada. – A może pójdźmy na skrót i przygotujmy się do spania?

Odwraca się do komody, wysuwa górną szufladę i coś wyjmuje. To komplet piżamowy, szorty i bezrękawnik z białej bawełny w czerwone truskawki. Są starannie złożone, z metką, a więc nowe, kupione dla mnie.

– Pomyślałem, że może zapomnisz przywieźć swoje rzeczy – mówi, podając mi piżamę.

Słowem nie wspominam o czarnej koszulce nocnej czekającej na dnie mojego plecaka.

W łazience próbuję zachowywać się jak najciszej, gdy się rozbieram i zrywam metkę z piżamy. Zanim ją włożę, patrzę na siebie w lustrze, zerkam pod prysznic na butelkę szamponu i kostkę mydła, przyglądam się wszystkiemu na półce. Strane ma elektryczną szczoteczkę do zębów, elektryczną golarkę i wagę cyfrową, na której stoję, kuląc palce, gdy na ekranie błyska wynik – sześćdziesiąt pięć kilogramów, o jeden mniej niż w Boże Narodzenie.

Trzymając bezrękawnik, zastanawiam się, dlaczego wybrał dla mnie ten konkretny fason. Być może spodobał mu się wzór – już wcześniej mówił, że moje włosy i skóra przypominają mu

truskawki z bitą śmietaną. Wyobrażam sobie, że kręci się po dziale damskim, wielkimi dłońmi dotyka różnych piżam, a myśl ta przepelnia mnie czułością, podobnie jak wtedy, gdy kilka lat temu zobaczyłam zdjęcie tej słynnej gorylicy tulącej kotka – wrażliwość wielkiej istoty trzymającej coś delikatnego, starającej się okazać troskę i dobroć.

Otwieram drzwi i wychodzę z łazienki do sypialni, zasłaniając piersi ręką. Na stoliku pali się lampka, rozciągając łagodne ciepłe światło. Strane siedzi na skraju łóżka zgarbiony, ze splecionymi dłońmi.

– Pasuje?

Kiwam głową rozdygotana. Za oknem przejeżdża samochód, hałas się wzmacnia, a potem słabnie i zapada głęboka cisza.

– Mogę zobaczyć? – pyta.

Podchodzę do niego na tyle blisko, że chwyta mnie za nadgarstek i pociąga rękę do dołu. Otula mnie spojrzeniem, wzdycha i mówi:

– O nie. – Jakby już pożałował tego, co mamy zrobić. Odgarnia kołdrę i mruczy pod nosem: – Okej, okej.

Mówi, że zostanie w ubraniu, a ja wiem, że to ma mnie uspokoić, być może także jego. Na koszuli pod pachami pojawiają się ciemne plamy, takie same jak pierwszego dnia roku szkolnego, w trakcie akademii powitalnej.

Wsuwam się obok niego do łóżka, leżymy na wznak w pościeli, nie dotykając się, nie rozmawiając. Sufit jest wyłożony kremowymi i złotymi płytkami tworzącymi kręte wzory, za którymi podążam wzrokiem. Stopy i dłonie mam ciepłe pod puchową kołdrą, ale czubek nosa wciąż zimny.

– W moim pokoju też jest zawsze tak chłodno – mówię.

– Tak?

Odwraca się do mnie, wdzięczny, że zainicjowałam normalną rozmowę. Prosi, abym opisała swój pokój, jak wygląda, jak jest zaaranżowany. Rysuję palcem rozkład w powietrzu.

– Tu jest okno wychodzące na jezioro – tłumaczę. – A tu drugie, w stronę gór. Tu szafa, tu stoi łóżko.

Opowiadam o plakatach na ścianach, o kolorowej narzucie. Mówię, że latem budzą mnie czasem w środku nocy pokrzykiwania nurów na jeziorze, a ponieważ dom nie jest dobrze ocieplony, zimą zbiera się lód na ścianach od zewnątrz.

– Mam nadzieję, że kiedyś zobaczę to na własne oczy – mówi.

Śmieję się na myśl o Stranie w moim pokoju, bo wydawałby się tam strasznie wielki, ocierał głową o sufit.

– To chyba się raczej nie zdarzy – odpowiadam.

– Nigdy nie wiadomo. Może trafi się okazja.

Opowiada mi o swoim pokoju z czasów dzieciństwa w Montanie. Też się marzło w zimie, mówi. Opisuje Butte, stare górnicze miasteczko, dawniej najbogatsze miejsce na ziemi, a teraz podupadłe brązowe zagłębienie w otulinie gór. Odmalowuje stare wieże szybowe sterczące między domami, mówi, że śródmieście zbudowano na zboczu wzgórze, na którego szczycie jest wielka jama wypełniona kwasem, pozostała po górnikach.

– Brzmi okropnie – stwierdzam.

– Owszem, ale to takie miejsce, które trudno zrozumieć, jeśli się go nigdy nie widziało.

Osobliwie piękne mimo wszystko.

– Piękne z jamą pełną kwasu?

Uśmiecha się.

– Kiedyś tam pojedziemy i sama się przekonasz.

Splata pod kołdrą palce z moimi i opowiada dalej, mówi o swojej młodszej siostrze, rodzicach, o tym, że ojciec był górnikiem miedzi, człowiekiem onieśmielającym innych, ale o dobrym sercu, matka zaś nauczycielką.

– A ona? – pytam.

– Zawsze była wściekła. Wściekła kobieta.

Zagryzam wargę, nie wiem, co odrzec.

– Nie troszczyła się o mnie – ciągnie Strane. – Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tak jest.

– Żyje?

– Nie, oboje już zmarli.

– Bardzo... – zaczynam, lecz nie pozwala dokończyć, ścisza mnie za rękę.

– W porządku, to stare dzieje.

Leżymy przez chwilę w milczeniu, spleceni dłońmi pod kołdrą. Zamykam oczy i usiłuję zidentyfikować woń tej sypialni. To rozrzedzony męski zapach, echa mydła i dezodorantu we flanelowej pościeli, cedr szafy. Dziwnie myśleć, że Strane właśnie w tym miejscu mieszka jak normalny człowiek, śpi, je posiłki, wykonuje wszystkie monotonne codzienne czynności – zmywa naczynia, sprząta łazienkę, pierze. Czy sam pierze swoje brudy? Próbuję sobie wyobrazić, jak przekłada rzeczy z pralki do suszarki, ale scena rozpada się, gdy tylko wyczarowuję ją w umyśle.

– Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś?

Zerka na mnie i czuję, że rozluźnia na moment palce ściskające moją dłoń, na tyle jednak długo, aby dać mi do zrozumienia, że zadałam niewłaściwe pytanie.

– Małżeństwo nie jest dla wszystkich – odpowiada. – Zrozumiesz to, gdy będziesz starsza.

– Już teraz rozumiem. Nigdy nie chciałam wyjść za mąż.

Właściwie nie wiem, czy to prawda, ale próbuję okazać wielkoduszność. To oczywiste, że Strane się martwi – mną i tym, co robimy. Podryguje w reakcji na najlżejszy ruch, jakbym była zwierzęciem skorym do ataku lub kąsania.

Uśmiecha się odprężony. Powiedziałam to, co należało.

– Jasne, że nie chciałaś. Znasz siebie na tyle, żeby wiedzieć, do czego nie jesteś stworzona.

Korci mnie, aby spytać, do czego w takim razie jestem stworzona, ale nie zamierzam pokazać, że wcale tak dobrze siebie nie znam. I lepiej nie naciskać, skoro znowu trzyma mnie za rękę i przekręcił głowę w moją stronę, jakby szykował się do całowania. Nie pocałował mnie, odkąd przyszłam.

Znowu pyta, czy jestem zmęczona. Kręcę głową.

– Daj znać, jak będziesz – mówi – to pójdę do salonu.

Do salonu? Marszczę brwi, zastanawiam się, co ma na myśli.

– Będziesz spał na kanapie?

Puszcza moją rękę i otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale się waha.

– Wstydzę się tego, jak dotknąłem cię pierwszy raz – wyznaje. – Wtedy, na początku roku. To nie w moim stylu.

– Mnie się podobało.

– Wiem, że ci się podobało, ale czy nie zamąciło ci to w głowie? – Odwraca się do mnie. – Na pewno tak. Przecież nauczyciel dotykał cię znieuważalnie. Niedobrze, że to zrobiłem, że najpierw nie spytałem cię o zgodę. Rozmawianie o tym, co zamierzamy, to jedyny sposób, żeby usprawiedliwić nasze czyny.

Nie mówi tego, ale wiem, czego ode mnie oczekuje – żebym mu powiedziała, co czuję

i czego pragnę. Żebym była dzielna. Przysuwam się do niego, przytulam twarzą do jego szyi.

– Nie chcę, żebyś spał na kanapie.

– Dobrze. A czego chcesz?

Kleję się do niego, zarzucam nogę na jego udo. Nie mogę jednak tego powiedzieć. Pyta, czy chcę, żeby mnie całował, a kiedy kiwam głową, odciąga mi ją do tyłu, chwytając garścią za włosy.

– Mój Boże, wystarczy na ciebie popatrzeć.

Jesteś ideałem, mówi, takim ideałem, że aż nierzeczywistym. Całuje mnie i nagle inne rzeczy już się dzieją, to, czego dotąd nie robiliśmy – podciąga mi bezrękawnik nad piersi, głaszcząc i uciska, wsuwa dłoń w szorty i kładzie dłoń tam na dole.

Za każdym razem prosi o pozwolenie.

– Mogę?

Ściąga ze mnie bezrękawnik.

– Czy tak w porządku?

Zsuwa ze mnie szorty i wkłada palec do środka tak szybko, że jestem zszokowana, moje ciało martwieje.

Nagle wszystko się zmienia, bo najpierw robi, dopiero potem pyta o zgodę.

– Mogę? – Chodzi mu o to, czy może zdjąć mi szorty, ale już jestem rozebrana.

– Czy tak w porządku? – Ma na myśli to, czy może uklęknąć między moimi nogami, ale przecież już klęczy, pojękuje i mówi: – Wiedziałem, że tu też jesteś ruda.

Co się dzieje, rozumiem dopiero wtedy, gdy dzieje się na całego. Całuje mnie tam, pieści. Nie jestem kretynką, wiem, że ludzie czasem to robią, nie przyszło mi jednak do głowy, że tego właśnie będziemy chcieli. Wsuwa mi ręce pod plecy i przyciąga mnie bliżej, wbijam pięty w materac, wyciągam rękę, chwytam garść jego włosów tak mocno, że na pewno go boli, ale on nadal całuje i liże, i co tam jeszcze – skąd wie, co ma robić, żebym czuła rozkosz? Nie przestaje. Zagryzam dolną wargę, żeby nie krzyczeć, a on siorbie, jakby dopijał napój przez słomkę – to byłoby naprawdę żenujące, gdybym nie czuła się tak wspaniale. Zasłaniam oczy ręką, wybuchają miriady barw, wzburzony ocean zalewa górskie szczyty, to doznanie, że jestem taka malutka i wreszcie dochodzę, mocniej, niż gdy sama to sobie robię, tak mocno, że widzę gwiazdy.

– Och, przestań. Przestań, przestań.

Odskakuje, jakbym go kopnęła – siada w kucki, nadal w T-shircie i džinsach, włosy potargane, twarz wilgotna.

– Doszłaś? Naprawdę? Tak szybko?

Zwieram uda i zaciskam powieki. Nie mogę mówić, nie mogę myśleć. To było szybko? A w ogóle ile trwało? Minutę, dziesięć, dwadzieścia? Pojęcia nie mam.

– Doszłaś, tak? Wiesz, jakie to wyjątkowe?

Otwieram oczy i widzę, że ociera usta wierzchem dłoni, potem nieruchomieje, trzyma rękę przy twarzy, wdycha haust powietrza i zamyka powieki.

Mówi, że chciałby to robić ze mną każdego wieczoru. Kładąc się pod kołdrę, zastyga obok mnie i dodaje:

– Każdego wieczoru, zanim zaśniesz.

Leżąc w jego objęciach jest prawie tak samo cudownie jak być pieszczoną tam na dole. Opiera podbródek na mojej głowie, jego ciało mnie otula. Pachnie teraz jak ja.

– Na razie dalej się nie posuniemy – mówi, a ja rozpląwam się jak ciepła ciecz na myśl o tym, że seks to tylko to, co właśnie ze mną zrobił.

Wyciąga rękę i gasi lampkę na stoliku, ale nie mogę zasnąć. Jego ręka ciąży mi na ramieniu, odtwarzam w myśli, jak powiedział: „O nie”, gdy zobaczył mnie w piżamie, jak

chwycił mnie za nogi, żeby przygarnąć bliżej do twarzy, gdy mi to robił. Jak w trakcie wyciągnął rękę i trzymał moją dłoń.

Chciałabym jeszcze raz, lecz nie śmiem go obudzić i poprosić. Może rano, przed moim wyjściem? Może czasem będzie to możliwe w klasie po lekcjach? Albo w jego samochodzie poza kampusem? Mój umysł nie chce się uspokoić, nawet gdy morzy mnie sen, myśli wciąż się kłębią.

Gdy budzę się kilka godzin później, na dworze jest ciemno. Przez drzwi na podłogę w sypialni pada blask świateł z przedpokoju. Strane leży obok mnie, nie śpi, jego gorące wargi na mojej szyi. Obracam się na plecy uśmiechnięta, oczekując, że jego twarz znajdzie się zaraz między moimi nogami, ale nagle okazuje się, że jest całkiem nagi. Błada skóra pokryta czarnymi włosami od klatki piersiowej po nogi, a w połowie jego członek, ogromny, nabrzmiały.

– Och – stękam. – Och, dobrze. – Małe głupie słowa. – Och – powtarzam, gdy bierze mnie za rękę i przesuwa ją ku kroczu.

Zaciska moje palce na swoim członku. Wiem, że mam poruszać w górę i w dół, więc natychmiast trzępię posłuszna jak robot, rozłączona ze swoim umysłem. Luźna skóra ślizgająca się po kolumnie mięśni, chropawa, nieporęczna. Jak pies wykrztuszający coś, co leżało mu na żołądku od kilku dni, gwałtowne targnięcie całego ciała.

– Wolniej, kochanie – mówi Strane. – Troszkę wolniej.

Pokazuje mi, a ja staram się utrzymać właściwe tempo, chociaż ręka mi drętwieje. Chcę mu powiedzieć, że jestem zmęczona, odwrócić się plecami i nigdy więcej na to nie patrzeć, ale to byłoby samolubstwo. Przecież powiedział, że ja naga to najpiękniejszy widok na świecie. Okrucieństwem byłoby reagować z odrazą. Nieważne, że aż mi skóra cierpnie od dotykania go. Nieważne. Jest w porządku. Zrobił mi tamto, teraz ja muszę zrobić mu to. Wytrzymam tych parę minut.

Odsuwa moją dłoń i od razu się boję, że pragnie, abym użyła ust, a tego nie chcę, nie dam rady, ale mówi:

– Chcesz się pieprzyć?

To niby pytanie, lecz tak naprawdę wcale nie pyta.

Nie potrafię pojąć zmiany, która w nim zaszła. Nie jestem już nawet pewna, czy rzeczywiście mówił, że na razie dalej się nie posuniemy. Może to znaczyło coś zupełnie innego, niż myślałam? Czy chcę się pieprzyć? Pieprzyć? Wulgarność tego wyrażenia sprawia, że wciskam twarz w poduszkę. Nawet jego głos brzmi teraz inaczej, jest starty, opryskliwy. Otwieram oczy i widzę, że Strane układa się między moimi nogami, czoło zmarszczone w wyrazie skupienia.

Próbuję go powstrzymać, mówię, że nie chcę zająć w ciążę.

– Nie zajdziesz. To niemożliwe.

Odsuwam biodra.

– Jak to?

– Miałem zabieg. Wazektomię. – Podpiera się jedną ręką, drugą przesuwa moje ciało. – Nie zajdziesz w ciążę. Odpreż się.

Próbuje we mnie wejść, naciska kciukiem mocno na moją miednicę. Nie możemy się dopasować.

– Uspokój się, skarbie – mówi. – Weź głęboki oddech.

Zaczynam czuć ból, lecz on nie przestaje, szepcze tylko, że świetnie mi idzie, próbuje się we mnie wcisnąć. Znowu każe mi oddychać głęboko i gdy wypuszczam powietrze z płuc, on szarpie się i wbija mocniej. Zaczynam płakać, naprawdę płakać, ale nie zwraca na to uwagi.

– Świetnie ci idzie. Weź jeszcze raz głęboki oddech, dobrze? Nic nie szkodzi, że boli. Nie

będzie wiecznie bolało. Jeszcze jeden głęboki oddech, tak? O tak, o jak miło, jak miło.

Potem wstaje z łóżka, odsłania brzuch i tyłek, zanim zdąży zamknąć oczy. Wciąga gatki, a gumka trzaska jak bicz, jakby coś pękło na dwoje. Idzie do łazienki, kaszle mocno i głośno, słyszę, że spluwa do umywalki. Leżę pod kołdrą, obolała i lepka, uda całe oślizłe. Umysł przypomina jezioro w spokojny dzień, szklisty i spokojny. Jestem nikim, niczym, nicością.

Gdy wraca z łazienki, znowu wygląda jak dawny Strane, ubrany w T-shirt i spodnie od dresu, w okularach. Wślizguje się pod kołdrę, przytula do mnie.

– Kochaliśmy się – szepcze.

Dostrzegam przepaść między „pieprzyć” a „kochać”.

Po chwili znowu to robimy, tym razem wolniej, swobodniej. Nie dochodzę, ale przynajmniej nie płaczę. Nawet sprawia mi przyjemność być przygniecioną przez jego ciężkie ciało, tak ciężkie, że aż serce mi spowalnia. Dochodzi, jęcząc, targany dygotem rozprzestrzeniającym się od środka. Spinam mięśnie pod jego drżącą postacią, obejmuję go tam wewnątrz jeszcze mocniej. Zaczynam chyba rozumieć, co dorośli mają na myśli, gdy mówią, że wtedy dwoje ludzi staje się jednością.

Przeprasza mnie, że skończył za szybko, że był taki nieporadny. Mówi, że minęło trochę czasu, odkąd doświadczył z kimś takiej intymności. Intymność. Obracam to słowo na języku i myślę o profesor Thompson.

Po drugim razie to ja idę do łazienki i zaglądam do apteczki, a pomyślałam o tym tylko dlatego, że na filmach widziałam kobiety robiące to po nocy spędzonej w domu obcego mężczyzny. W apteczce są plastry opatrunkowe i maści antybiotyczne, środki na trawienie oraz dwie pomarańczowe buteleczki wydawane na receptę, z nazwami, które rozpoznaję z reklam: viagra i bupropion.

W drodze powrotnej na kampus, w mroku rozpraszonym co chwila przez żółty blask latarni, Strane pyta mnie, jak się czuję.

– Mam nadzieję, że nie jesteś tym zbyt przytłoczona.

Wiem, że oczekuje ode mnie prawdy, że powinnam powiedzieć mu szczerze, że nie podobało mi się, że potraktował mnie tak obcesowo, praktycznie wepchnął się we mnie. Że nie byłam gotowa na taki seks. Że poczułam się przymuszona. Ale brakuje mi odwagi, by wyznać to wszystko – i to, że bebechy mi się wywracają na myśl, że położył moją rękę na członku, że nie przestał, gdy się rozplakałam. Że przez cały czas, gdy robiliśmy to pierwszy raz, w mojej głowie rozbrzmiewała myśl, że chcę do domu.

– Nie, czuję się dobrze.

Przypatruje mi się, jakby chciał się upewnić, że mówię prawdę.

– To dobrze – odpowiada. – Zależy mi na tym, byś czuła się dobrze.

* Vladimir Nabokov, *Lolita*, przekład Michał Kłobukowski, Warszawa 2012. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

** Cyt. za: Wiktor Woroszyński, *Album poezji miłosnej*, Warszawa 1970.

*** W przekładzie Wojciecha Usakiewicza.

2017

Wiadomość od mamy:

Ej, posłuchaj, co się stało. Środek nocy, nie mogę spać, słyszę hałas na dworze, schodzę na dół, zapalam światło na werandzie i widzę NIEDŹWIEDZIA szperającego w naszym pojemniku na śmieci!!! O mało się nie sfajdałam ze strachu. Pobiegłam z wrzaskiem na górę i schowałam się pod kołdrą. LOL. Teraz oglądam brytyjski program kulinarny, żeby się uspokoić. Rany boskie. Poza tym niewiele słyhać. Ta Marjorie, która mieszka po drugiej stronie jeziora, ma raka płuc. Ta, co hoduje kozy. Niewiele czasu jej zostało. Smutne. Auto mi zabrali z powrotem do fabryki z powodu tych felernych drzwi. Potrwa 2 do 3 miesięcy. Dali mi w zastępstwie jakiegoś rżęcha z wypożyczalni. Ble. Koszmar za koszmarem. Tak tylko chciałam spytać, jak Ci leci. Zadzwoń kiedyś do mamusi.

Z półprzetytomnymi oczami, wciąż w łóżku, próbuję zrozumieć sens wiadomości. Nie mam bladego pojęcia, kim jest Marjorie, na czym polega wada drzwi w samochodzie mamy ani o jakim programie kulinarnym ona pisze. Odkąd umarł tata, budzą mnie podobne wiadomości. W tej przynajmniej jest przepisowa interpunkcja, inne to chaotyczne strumienie świadomości podziurawione elipsami, na tyle niespójne, że zaczynam się martwić.

Wychodzę z Facebooka i w Google wpisuję „Henry Plough Atlantica College”. Pierwszy wynik to jego profil, z tym samym zdjęciem sprzed dziesięciu lat, on w gabinecie, z tyłu na półce nieotwarte butelki piwa, które potem razem wypiliśmy. Miał wtedy trzydzieści cztery lata, zaledwie kilka więcej niż ja mam teraz. Drugim wynikiem jest artykuł z gazety studenckiej z maja 2015 roku: „Profesor literatury Henry Plough laureatem nagrody dla nauczycieli”. Nagrodę tę przyznają co cztery lata, zwycięzcę wybierają studenci w drodze głosowania. Studentka filologii angielskiej Emma Thibodeau mówi, że wszyscy są zachwyceni tą decyzją: „Henry jest niesamowitym nauczycielem, bardzo nas inspiruje i można z nim o wszystkim porozmawiać. Niesamowity człowiek. Zajęcia z nim odmieniły moje życie”.

Przewijam na sam dół, gdzie w pustej rubryce miga kursor. „Chcesz napisać komentarz?” Zaczynam stukać w klawisze: „Niesamowity człowiek? W żadnym razie, możecie mi wierzyć”. Lecz artykuł ma dwa lata, a Henry nie zrobił nic aż tak bardzo złego, więc o co chodzi? Rzucam telefon na łóżko i wracam do spania.

Strane do mnie dzwoni, gdy idę ulicą przymulona trawką, którą wypaliłam w trakcie szykowania się do pracy. Telefon wibruje mi w dłoni, na ekranie migocze jego nazwisko, więc przystaję na środku chodnika jak turystka, nieświadoma przepływających fal przechodniów. Podnoszę aparat do ucha i wtedy trąca mnie w ramię – dziewczyna w dżinsowej kurtce, nie, dwie dziewczyny w podobnych kurtkach, jedna brunetka, druga blondynka. Idą pod rękę, z plecakami objającymi się o kości ogonowe. Zapewne licealistki, wyrwały się do miasta na dużej przerwie. Czarnowłosa, ta, która mnie potrąciła, rzuca mi spojrzenie przez ramię.

– Przepraszam! – woła od niechcienia, nieszczerze.

Strane mówi przez telefon:

– Słyszałaś? Powiedziałem, że oczyszczono mnie z zarzutów.

– Czyli wszystko okej?

– Jutro wracam do pracy. – Śmieje się, jakby nie mógł w to uwierzyć. – Byłem pewien, że jestem skończony.

Stoję na chodniku nadal wpatrzona w dwie dziewczyny idące Congress Street, w ich rozwiane włosy. Wraca do pracy, znowu wyszedł bez szwanku z tarapatów. Ogarnia mnie

rozczarowanie, jakbym chciała zobaczyć jego upadek. Jestem kompletnie zaskoczona własną podłością. Może po prostu się naćpałam, a mój umysł wpada do emocjonalnej króliczej nory. Muszę przestać palić trawkę przed pracą. Trzeba dorosnąć, uwolnić się od przeszłości, ruszyć dalej.

– Myślałem, że będziesz zadowolona – mówi Strane.

Dziewczyny znikają w bocznej ulicy, a ja biorę oddech, który nieświadomie wstrzymywałam.

– Jestem. Oczywiście, że jestem. To wspaniała wiadomość. – Ruszam, nogi mam jak z waty. – Pewnie ci ulżyło?

– Mało powiedziane. Zacząłem już godzić się z myślą, że resztę życia spędzę w więzieniu.

Pohamowuję się od wywrócenia oczami w reakcji na to przesadne czarnowidztwo, jakby Strane na mnie patrzył. Naprawdę uważa, że mógłby trafić do więzienia, absolwent Harvardu, elokwentny biały mężczyzna? Te obawy wydają się bezpodstawne i odrobinę kokieteryjne, ale może czepiam się go, bo jestem po prostu okrutna? Przecież bał się panicznie, przeżywał kryzys. Ma prawo zachowywać się trochę melodramatycznie. Nie wiem, co znaczy stanąć w obliczu takiej katastrofy. Zawsze ryzykował więcej ode mnie. „Bądź miła chociaż raz w życiu, Vanesso. Dlaczego ciągle musisz być taka wredna?”

– Moglibyśmy to uczcić – sugeruję. – Zwolniłabym się w sobotę. Jest taka nowa skandynawska restauracja, na której punkcie wszyscy oszaleli.

Strane wsysa powietrze przez zęby.

– To się chyba nie uda – odpowiada.

Otwieram usta, żeby zaproponować coś innego, inną restaurację, inny dzień, dobra, pojedę do Norumbegi, oszczędzę mu przyjazdu tutaj, ale on szybko dodaje:

– Teraz muszę być bardzo ostrożny.

„Ostrożny”. Mrużę oczy, próbuję odgadnąć, co przez to rozumie.

– Przecież nie będzie problemów z powodu tego, że ktoś cię ze mną zobaczy. Mam trzydzieści dwa lata.

– Vanesso.

– Wszyscy zapomnieli.

– Nieprawda – odpowiada zniecierpliwiony, ostrzejszym tonem. Nie musi tłumaczyć, że nawet w wieku trzydziestu dwóch lat wciąż jestem owocem zakazanym, stanowię niebezpieczeństwo – żywy dowód, z krwi i kości, że postąpił podle w swoim życiu. Ludzie mnie pamiętają. Właśnie dlatego, że ludzie pamiętają, Strane znalazł się o krok od katastrofy.

– Najlepiej będzie, jak na razie zachowamy dystans – mówi. – Póki kurz nie opadnie.

Przechodząc przez ulicę w stronę hotelu, skupiam się na oddechu i macham ręką do parkingowego stojącego przed wjazdem do garażu. W zaułku pokojówki zaciągają się papierosami.

– Dobrze – odpowiadam. – Skoro tak chcesz.

Chwila milczenia.

– Nie chcę, ale tak na razie musi być.

Otwieram drzwi wejściowe i w twarz uderza mnie fala ciepłego powietrza pachnącego jaśminem i cytrusami. Oni dosłownie wpompowują wonie do środka przez otwory wentylacyjne. Podobno w ten sposób odżywają i regenerują się zmysły; takie skupienie na szczegółach sprawia, że hotel może uchodzić za luksusowy.

– Tak będzie najlepiej – zapewnia Strane. – Dla nas obojga.

– Jestem w pracy, muszę kończyć.

Rozłączam się bez pożegnania. W tej chwili to wystarczy, abym poczuła, że wyszłam zwycięsko z naszej rozmowy, ale gdy siadam za biurkiem, w brzuchu czuję przepaść, z której wyłania się poczucie upokorzenia – znowu odtrącona przy pierwszej lepszej okazji, odepchnięta na bok jak śmieć. Tak samo postąpił, gdy miałam dwadzieścia dwa lata i gdy miałam szesnaście. To prawda tak oczywista i gorzka, że nawet ja nie potrafię jej osłodzić, aby była łatwiejsza do przełknięcia. Chciał się tylko upewnić, że będę siedzieć cicho. Znowu mnie wykorzystał. Ile razy jeszcze? Czego trzeba, żebym wreszcie zmaźrzała?

Przy biurku wyświetlam na Facebooku stronę Taylor. Na samej górze widnieje najnowszy wpis, sprzed godziny: „Skoła, która zobowiązała się mnie chronić i wychowywać, stanęła dziś po stronie mojego krzywdziciela. Jestem rozczarowana, ale nie zaskoczona”. Zaglądam do komentarzy, jeden z nich ma kilkadziesiąt polubień: „Tak mi przykro. Czy jest możliwa jeszcze jakaś inna droga postępowania, czy to koniec całej sprawy?”. Na widok odpowiedzi Taylor zasycha mi w ustach: „O nie, to jeszcze nie koniec”.

Podczas przerwy idę do zaułka za hotelem i z dna torebki wygrzebuje zmiętą paczkę papierosów. Paląc oparta o schody przeciwpożarowe, przewijam treści na ekranie telefonu, aż nagle słyszę szuranie stóp po chodniku, „psyt!” i zduszony śmiech. Podnoszę wzrok i widzę dwie dziewczyny spotkane po drodze do pracy. Stoją u wylotu zaułka, blondynka ściska za ramię brunetkę.

– No, idź, spytaj ją.

Ciemnowłosa rusza w moją stronę, zatrzymuje się, krzyżuje ręce na piersi.

– Ej! – woła. – Może pani... Hmm. – Zerka do tyłu na blondynkę, która przykładła zaciśniętą pięść do ust, szczerząc zęby w uśmiechu za postawionym kołnierzem dżinsowej kurtki. – Ma pani papierosa na zbyciu?

Wysuwam dwa z paczki i dziewczyny szybko doskakują do mnie.

– Trochę zwietrzałe – mówię.

Nie ma sprawy, odpowiadają, nic nie szkodzi. Blondynka zsuwa plecak z ramienia i z przedniej kieszeni wyjmuje zapalniczkę. Przypalają sobie nawzajem, policzki wkleśnięte od zaciągania się. Stoją na tyle blisko, że widzę kocie modelowanie rzęs, drobnutki grudki tuszu przy włoskach. Gdy znajduję się w obecności dziewcząt w tym wieku, wieku magicznym, który Strane nauczył mnie mitologizować, czuję, że staję się nim. Na usta cisną się pytania obmyślane po to, aby przytrzymać takie istotki. Zagryzam mocno język, muszę się pohamować – jak macie na imię, ile macie lat, może chcecie papierosa na zapas, a może piwo albo trawkę? Tak łatwo postawić mi się w jego sytuacji, w sytuacji desperata, który da dziewczynie wszystko, czego ona oczekuje, byleby zatrzymać ją przy sobie.

Rzucają mi krótkie słowa podziękowania przez ramię i ruszają zaułkiem, dotychczasowe ożywienie zastąpione wyluzowaną postawą dzięki papierosom w dłoniach. Kołysząc biodrami, skręcają za róg, posyłają mi ostatnie spojrzenie i już ich nie ma.

Patrzę na miejsce, w którym przed chwilą stały, a zachodzące słońce migocze w strużce wody wyciekającej z kontenera na śmieci i w szybie furgonetki dostawczej pozostawionej na jałowym biegu. Ciekawe, kogo zobaczyły we mnie te dwie licealistki, czy wyczuły jakieś pokrewieństwo? Czy ośmieliły się poprosić o papierosy dlatego, że pomimo różnicy lat zobaczyły we mnie jedną z nich?

Wydmuchując dym z płuc, biorę telefon i wyświetlam profil Taylor, ale niczego nie widzę. Mój umysł mnie opuścił, pędzi śladem dwóch dziewcząt, bo chce wiedzieć, co Strane by o nich pomyślał na widok wycyganionych papierosów i bojowej postawy. Zapewne uznałby, że są nazbyt toporne, aroganckie, niebezpieczne. „Jesteś taka uległa”, mawiał, gdy obracał mnie w dłoniach. Uznał to za zaletę, z mojej bierności uczynił rzadką i cenną cechę.

Co ona by zrobiła? To pytanie jest jak labirynt, w którym grzęznę na widok każdej nastolatki. Czy zareagowałaby tak, jak powinna, gdyby nauczyciel zaczął ją obmacywać, odtrąciłaby jego rękę i uciekła? Czy też wystawiłaby ciało, żeby dopiął swego? Czasem próbuję wyobrazić sobie, że inna dziewczyna postępuje tak, jak ja postąpiłam – zanurza się w tę rozkosz, buduje życie dokoła niej – ale nie potrafię. Mój umysł dociera do ślepego zaułka, do części labiryntu spowitej mrokiem. Nieprawdopodobne. Niewyobrażalne.

„Nigdy bym się tak nie zachował, gdybyś nie była taka chętna”, zapewniał mnie. Wygląda to jak rojenie. Jaka dziewczyna naprawdę chciałaby tego, co mi zrobił? Ale to prawda – bez względu na to, czy ktoś w to wierzy, czy nie. Pchało mnie do tego, pchało mnie do Strane’a; byłam taką dziewczyną, jaka w ogóle nie powinna istnieć – gotową oddać się w ręce pedofila.

Nie, to niewłaściwe określenie. Łatwa etykieta, podobnie jak etykietowaniem jest widzieć we mnie wyłącznie ofiarę i nikogo więcej. On nigdy nie był aż tak jednowymiarowy, ja też nie.

Obrawszy okrężną drogę z powrotem do recepcji, idę przez najniższy poziom hotelowego parkingu i dalej przez piwnicę, obok pralni wypełnionej szumem przemysłowych pralek i suszarek. Na schodach zatrzymuje mnie kierowniczką obsługi pięter, pyta, czy mogłabym zanieść dodatkowy komplet ręczników panu Goetzowi do pokoju 342, temu biznesmenowi na delegacji w co drugi poniedziałek.

– Na pewno nie ma problemu? – dopytuje się. – Bo facet ślini się obleśnie do moich sprzątaczek, ciebie chyba jednak po prostu lubi.

Pukam do pokoju 342, słyszę kroki, pan Goetz otwiera drzwi – bez koszuli, opasany ręcznikiem, mokre włosy, krople wody na ramionach, czarne kłaki ciągnące się z klatki piersiowej do brzucha.

Rozpromienia się na mój widok.

– Vanessa! Nie spodziewałem się ciebie. – Otwiera szerzej drzwi, kiwa głową, bym weszła. – Możesz położyć ręczniki na łóżku?

Waham się, oceniam odległość od progu do łóżka i od łóżka do kredensu, przy którym pan Goetz otwiera jedną ręką portfel, bo drugą wciąż przytrzymuje ręcznik w pasie. Nie chcę, żeby drzwi się zamknęły, nie chcę być z nim sam na sam. Muszę się uwinąć, doskoczyć do łóżka, rzucić ręczniki. Dobiegam z powrotem do drzwi, zanim zdążą się zamknąć.

– Moment – mówi i wyciąga dwadzieścia dolarów.

Kręcę głową, nie, to za duży napiwek za tak rutynową czynność jak dostarczenie dodatkowych ręczników, podejrzenie duży, dość, bym chciała natychmiast uciec. Macha banknotem do mnie, jakby machał ochłapem przed nosem nieufnego bezpańskiego kundla. Robię krok do przodu, biorę pieniądze, a wtedy on dotyka palcami mojej dłoni. I mruga.

– Dzięki, skarbie.

Z powrotem w lobby, bezpieczna za biurkiem w recepcji, wciskam pieniądze do torebki, obiecując sobie, że wydam je na gaz pieprzowy, scyzoryk, coś, co będę mogła nosić przy sobie, choć pewnie nigdy tego nie użyję. Żeby się zabezpieczyć.

Telefon brzęczy: nowy e-mail.

Do: vanessawye@gmail.com

Od: jbailey@femzine.com

Temat: sprawa w Browick

Cześć, Vanesso,

nazywam się Janine Bailey i pracuję w redakcji „Femzie”. Piszę w tej chwili artykuł na temat oskarżeń o molestowanie seksualne w liceum Browick w Norumbedze, do którego uczęszczałaś w latach 1999–2001.

Przeprowadziłam wywiad z Taylor Birch, która twierdzi, że była wykorzystywana seksualnie przez nauczyciela literatury Jacoba Strane'a. W rozmowie pojawiło się Twoje nazwisko jako potencjalnej drugiej ofiary tego mężczyzny. W trakcie zbierania materiałów otrzymałam anonimową informację o domniemanym molestowaniu seksualnym, którego Jacob Strane dopuścił się wobec Ciebie.

Vanesso, chciałabym z Tobą porozmawiać. Dołożę wszelkich starań, aby zachować należyte wyczucie, zarazem pragnęłabym dać pierwszeństwo relacjom ofiar i zmusić Jacoba Strane'a i liceum Browick do wzięcia odpowiedzialności za to, co się stało. Z uwagi na wzmożone zainteresowanie społeczeństwa przestępstwami na tle seksualnym mamy w tej chwili okazję zrobić coś dobrego, zwłaszcza gdyby udało się połączyć sprawę Taylor z Twoją sprawą. Oczywiście to Ty zdecydujesz, co pojawi się w artykule na temat Twoich przeżyć. Pomyśl o tym jako o sposobności, aby opowiedzieć swoją historię na własnych warunkach.

Możesz skontaktować się ze mną pod powyższym adresem e-mailowym lub telefonicznie: (385) 843-0999. Pisz albo dzwoń o każdej porze.

Z niecierpliwością czekam na Twoją odpowiedź,
Janine

2001

W tym roku zima daje się wszystkim we znaki. Mróz prawie nie odpuszcza, w nocy temperatura spada do minus dwudziestu, a gdy sięga powyżej zera, wtedy sypie śnieg – przez całe dni. Po każdej śnieżycy zaspy się piętrzą, aż kampus staje się białym labiryntem pod jasnoszarym niebem. Ubrania, które były nowe jeszcze w Boże Narodzenie, są poplamione solą i zmechacone i coraz realniejsza wydaje się perspektywa czteromiesięcznej zimy. Nauczyciele robią się niecierpliwi, nawet wredni, ich opisowe oceny naszych dokonań są tak surowe, że zebrań z wychowawcami wychodzimy zapłakani. Około Dnia Martina Luthera Kinga woźny w naszym internacie, mający nas powyżej uszu, po raz milionowy zamyka na klucz łazienkę z powodu kłaków zatykających odpływ, więc profesor Thompson musi otworzyć zamek spinaczem do papieru. Uczniom też odbija. Pewnego wieczoru na stołówce Deanna i Lucy wszczynają piekielną awanturę z powodu zaginionej pary butów. Lucy łapie Deannę garścią za włosy i nie chce puścić.

Opiekunowie internatów czujnie wypatrują oznak depresji, bo cztery lata wcześniej uczeń powiesił się w swoim pokoju. Profesor Thompson organizuje mnóstwo zajęć tematycznych, żeby rozproszyć złe emocje: wieczorne gry i robótki, konkursy kulinarne i seanse filmowe, a o każdym wydarzeniu informują barwne ulotki wsuwane pod nasze drzwi. Zachęca nas, abyśmy przychodziły do niej na terapię światłem, jeśli tylko poczujemy, „że dopadła nas choroba afektywna sezonowa”.

Przez cały ten czas jestem na wpół obecna. Umysł mam rozdwojony: jedna połowa żyje daną chwilą, druga – tym, co się wydarzyło między mną a Strane'em. Teraz, gdy uprawiamy seks, nie pasuję już do dawnych miejsc i sytuacji. Wszystko, co piszę, wydaje się puste. Przestałam chodzić na spacer z psem profesor Thompson. Podczas lekcji jestem rozkojarzona, jakbym na wszystko patrzyła z dystansu. Na zajęciach z literatury amerykańskiej widzę, że Jenny zmienia miejsce przy stole, przysiada się do Hannah Levesque, która patrzy na nią z baranim uwielbieniem, tak jak zapewne ja patrzyłam w zeszłym roku. Czuję niemałą dezorientację, jakbym oglądała film o zawikłanej fabule. Naprawdę wszystko postrzegam jako symulację, nierzeczywistość. Lecz nie mam wyboru, muszę udawać, że nadal jestem tą samą dziewczyną, jednak teraz od innych odgradza mnie mur. Nie wiem, czy ten mur wyrósł z powodu seksu, czy zawsze istniał, Strane zaś tylko pomógł mi go zobaczyć. On sam mówi, że to drugie. Że gdy ujrzał mnie po raz pierwszy, natychmiast dostrzegł moją inność.

– Nie jest przypadkiem tak, że od początku czułaś się autsajderką, samotnicą? – pyta. – Założę się, że zawsze uważano cię za osobkę dojrzałą jak na swój wiek. Mam rację?

Cofam się myślą do trzeciej klasy, kiedy przyszłam do domu z wpisem w dzienniczku: „Vanessa jest bardzo poważną dziewczynką, prawie jak dorosła kobieta”. Właściwie nie wiem, czy kiedykolwiek byłam dzieckiem.

Dwadzieścia minut przed ciszą nocną wchodzę z przyborami i ręcznikiem do łazienki i widzę, że przy umywalce stoi Jenny z namydloną twarzą. Mieszkamy w tym samym internacie, więc nieuchronnie wpadamy na siebie, lecz staram się ograniczać częstotliwość tych spotkań, wybieram tylną klatkę schodową, żeby nie przechodzić obok jej pokoju, a prysznic biorę o późnej porze. Widujemy się nieuchronnie na zajęciach z literatury amerykańskiej, lecz jestem tak bardzo skupiona na Stranie, że prawie jej nie zauważam. Właściwie nie rejestruję niczego.

Dlatego jej widok w tym samym wyświechtanym szlafroku co dawniej i japonkach zaskakuje mnie tak bardzo, że odruchowo wycofuję się na korytarz. Za późno.

– Nie musisz uciekać – mówi Jenny flegmatycznie, jakby była znudzona. – Chyba że naprawdę nie możesz mnie znieść.

Masuje twarz palcami, wcierając mydło w płynie. Przycięte na początku roku szkolnego włosy urosły jej na tyle, że splotła teraz kok u nasady wąskiego karku – udawała, że ma kompleks cienkiej szyi, mówiła, że przez to jej głowa wygląda jak kula armatnia balansująca na słonce, jak słonecznik na lodydze. Tak samo mówiła o swoich szczupłych dłoniach, drobnych stopach, wciąż zwracając uwagę na te swoje cechy, których najbardziej jej zazdrościłam. Czy nadal zazdrościsz? Zauważam, że czasem Strane przygląda się Jenny na lekcji, spojrzeniem śledzi krzywiznę jej pleców aż po włosy ciemnoblonde. Mała Kleopatra. „Masz idealną szyję, Jenny”, zapewniałam. „Wiesz przecież”. Owszem, wiedziała, na pewno. Po prostu chciała, abym potwierdziła.

– Mogę.

Zerka na mnie w lustrze, rzucając spojrzenie pełne powątpiewania.

– Akurat.

Zastanawiam się, czy poczułaby się urażona, gdybym wyznała, że nic już do niej nie czuję. Że nie rozumiem dziś, dlaczego koniec naszej przyjaźni był dla mnie końcem świata ani dlaczego ta relacja wydawała mi się tak głęboka, jakby żadna inna nigdy nie mogła jej dorównać. Teraz to żenujące, jak wszystko, z czego w końcu wyrastamy. Myślę o tym, jak się załamalam, gdy Jenny zaczęła randkować z Tomem, a on pojawiał się wszędzie, siedział z nami przy każdym posiłku, czekał przed salą matematyczną, żeby spędzić wspólnie dwie minuty, bo tyle zabierało przejście z jednego budynku do drugiego. Wypierałam się zazdrości, lecz oczywiście byłam zazdrosna – i o nią, i o niego. Chciałam mieć wszystko – chłopaka oraz najlepszą przyjaciółkę, która kochałaby mnie tak bardzo, że nikt nie mógłby nas rozdzielić. Było to przemożne, nienasycone pragnienie, którego nie potrafiłam opanować. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinno się czuć tak mocno, a tym bardziej tego okazywać, a jednak nie mogłam się pohamować i pewnego sobotniego popołudnia nawrzeszczałam na Jenny w śródmiejskiej piekarni, płacząc jak bezradne dziecko w przypływie złości. Obiecała wtedy, że spędzimy razem cały dzień, we dwie, jak to bywało przed nastaniem Toma, ale w ciągu godziny się pojawił, przysunął sobie krzesło do naszego stolika, usiadł i przytulił się policzkiem do policzka. Dłużej nie mogłam tego znieść. Coś we mnie pękło.

Stało się to pod koniec kwietnia, lecz gniew narastał we mnie od miesięcy, co chyba wyjaśnia, dlaczego Jenny nie była zaskoczona, gdy przelała się czara mojej goryczy. Po powrocie do internatu powiedziała: „Tom uważa, że za bardzo się do mnie przywiązałaś”. Spytałam, jak powinnam to rozumieć, ale próbowała mnie zbyć. „Po prostu tak powiedział”.

W nosie miałam, co Tom o mnie gada, był zwykłym chłopakiem, który prawie nigdy się nie odzywał, a jedyną interesującą jego cechą wydawały się T-shirty z nazwami zespołów. Załamało mnie to, że Jenny uznała jego uwagę za wartą powtórzenia. „Za bardzo się do mnie przywiązałaś”. Na myśl o podtekście, który krył się w słowach o nadmiernym przywiązaniu jednej dziewczyny do drugiej, włosy stanęły mi dęba. „To nieprawda”, odparłam, a Jenny spojrzała na mnie z powątpiewaniem tak samo jak teraz. „Taa, jasne. Mów, co chcesz”.

Skapitulowałam wtedy, zamknęłam się w sobie, przestałam z nią rozmawiać i w ten sposób obie zdecydowałyśmy się na milczące rozstanie, które trwało do tej pory. W głębi ducha zdawałam sobie sprawę, że Jenny miała rację: zbyt mocno ją kochałam i nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej. Ale proszę, nie minął nawet rok, a ja jestem już innym człowiekiem i mam to wszystko gdzieś.

Nachyla się nad umywalką, spłukuje mydło, wyciera twarz do sucha.

– Mogę ci zadać pytanie, Vanesso? Bo coś dziwnego słyszałam o tobie.

Mrugam powiekami, przywołana z krainy wspomnień.

– Niby co?

– Trudno mi o tym mówić. Bo to... Nie, to na pewno nieprawda.

– Gadaj.

Zaciska usta, szuka w głowie właściwych słów. A potem mówi półszepem:

– Ktoś mi powiedział, że masz romans z profesorem Strane'em.

Czeka na moją reakcję, na oczywiste zaprzeczenie, ale nagle znajduję się nazbyt daleko, aby się odezwać. Patrzę na nią przez niewłaściwy koniec teleskopu – ręcznik wciąż przyciśnięty do policzków, zaczerwieniona szyja. Wreszcie dukam z trudem:

– To nieprawda.

Kiwa głową.

– Tak myślałam.

Odwraca się do umywalki, odkłada ręcznik, bierze szczoteczkę do zębów i odkręca kran. W moich uszach szum płynącej wody urasta do ryku oceanu. Cała łazienka się rozplywa, falują ściany wyłożone kafelkami.

Jenny spluwa do umywalki, zakręca kran i patrzy na mnie wyczekująco.

– No i? – pyta.

Mówiła coś jeszcze? Kiedy, w trakcie mycia zębów? Wzruszam ramionami, rozdziawiając usta. Jenny wpatruje się we mnie, coś wзира głęboko z jej oczu.

– Bo w sumie to dziwne, że zawsze zostajesz z nim w klasie po lekcji.

Strane zaczyna być wszędobylski, jakby chciał mieć na mnie oko. Pojawia się w stołówce i obserwuje mnie zza stołu dla kadry pedagogicznej. W trakcie godziny prac indywidualnych kręci się po w bibliotece, szpera w książkach tuż przed moim nosem. Podczas lekcji francuskiego przechodzi obok otwartych drzwi do klasy i za każdym razem rzuca mi spojrzenie. Zdaję sobie sprawę, że mnie pilnuje, zarazem czuję się pożądana, a to jednocześnie przytłacza mnie i mi pochlebia.

W sobotę wieczorem leżę w łóżku, z włosami mokrymi po kąpieli, z pracą domową rozłożoną na kołdrze. W internacie panuje cisza – są halowe zawody lekkoatletyczne, wyjazdowy mecz koszykówki i konkurs narciarski w Sugarloaf. Przysypiam już, gdy nagle ze snu wyrывa mnie pukanie do drzwi, a podręcznik spada na podłogę. Otwieram, mglście spodziewając się Strane'a – złapie mnie za rękę i zabierze do swojego auta, domu, łóżka. Ale widzę tylko pusty rozświetlony korytarz z zamkniętymi drzwiami do pokojów.

Pewnego dnia Strane pyta mnie, gdzie poszłam na lunch. Minęła piąta po południu, znajdujemy się w jego gabinecie na tyłach klasy, w całym budynku wydziału nauk humanistycznych jest pusto i ciemno. Gabinet wydaje się niewiele większy od szafy wnękowej, miejsca wystarcza ledwie na stół, krzesło i obitą tweedem kanapę o wytartych podłokietnikach. Wcześniej był zagracony pudłami pełnymi starych podręczników i wypracowań uczniów z dawnych lat, lecz Strane uprzątnął to wszystko, abyśmy mieli więcej przestrzeni. To idealna kryjówka – od korytarza odgradza nas dwoje drzwi zamkniętych na klucz.

Wyciągam nogi na kanapie.

– Poszłam do siebie. Miałam do odrobienia pracę z biologii.

– A wydawało mi się, że widziałem, jak się z kimś wymykasz ze stołówki.

– Ależ skąd.

Zagnieżdża się na drugim końcu kanapy, kładzie sobie moje stopy na kolanach i zgarnia kartki z pliku wypracowań do sprawdzenia. Przez chwilę panuje milczenie, on ocenia eseje uczniów, ja czytam tekst na zajęcia z historii. Nagle Strane mówi:

– Chcę tylko mieć pewność, że honorujemy granice, które oboje ustanowiliśmy.

Zerkam na niego niepewna, do czego zmierza.

– Zdaję sobie sprawę, że może cię kusić, aby zwierzyć się przyjaciółce.

– Nie mam przyjaciółek.

Odkłada arkusz i długopis na biurko i bierze moje stopy w dłoń. Najpierw masuje, potem chwyta mnie palcami za kostki.

– Ufam ci, naprawdę. Rozumiesz, że to bardzo ważne, abyśmy zachowali wszystko w tajemnicy?

– Ehe.

– Musisz traktować to poważnie.

– Przecież traktuję poważnie.

Próbuję zabrać stopy, ale ściska mnie tak mocno, że nie mogę się ruszyć.

– Zastanawiam się, czy faktycznie uświadamiasz sobie, jakie ponieśliśmy konsekwencje, gdyby to się wydało.

Chcę odpowiedzieć, ale mi przerywa:

– Owszem, najprawdopodobniej by mnie wylali. Ale ty też byś wyleciała ze szkoły. Nie chcieliby cię tutaj trzymać po takim skandalu.

Posyłam mu sceptyczne spojrzenie.

– Mnie by nie wyrzucili – mówię. – Przecież to nie byłaby moja wina. – Zaraz jednak dodaję, bo nie chcę, abym wydawała się zbyt pewna siebie: – To znaczy formalnie, no bo jestem niepełnoletnia.

– Dla dyrekcji to nie miałyby znaczenia. Pozbywają się wszystkich, którzy sprawiają kłopoty. Tak funkcjonują podobne szkoły. – Odchyła głowę do tyłu i mówi dalej, zwracając się do sufitu: – Mielibyśmy szczęście, jeśli nie wyszłoby to poza mury Browick, ale gdyby prokuratura coś zwąchała, najprawdopodobniej trafiłbym do więzienia. A ty do rodziny zastępczej.

– Przestań! – pry cham drwiąco. – Nie trafię do żadnej rodziny zastępczej.

– Żebyś się nie zdziwiła.

– Zapomniałaś, że ja mam rodziców?

– Owszem, masz, ale władze nie lubią rodziców, którzy pozwalają swoim dzieciom zadawać się ze zbrojcami. Bo za takiego by mnie uznano, za sprawcę przestępstwa na tle seksualnym. Najpierw by mnie aresztowali, a twoim opiekunem zostałyby władze stanowe. Wysłaliby cię do jakiegoś piekła, do zakładu pełnego gówniarzy z poprawczaka, którzy robiliby z tobą Bóg raczy wiedzieć co. To przekreśliłoby całą twoją przyszłość. Gdyby tak się stało, w życiu nie poszłabyś na studia. Pewnie nie skończyłabyś nawet szkoły średniej. Możesz mi nie wierzyć, Vanesso, ale nie masz pojęcia, jak okrutny jest nasz system. Daj im tylko szansę, a zrobią wszystko, aby nam obojgu zrujnować życie...

Gdy Strane tak się nakręca, mój umysł nie nadąża za jego słowami. Mam wrażenie wyolbrzymienia, czuję się przytłoczona i już nie wiem, w co wierzę. On potrafi uprawdopodobnić nawet najgorsze rzeczy.

– Dobra, rozumiem – zapewniam. – Nikomu nigdy nie powiem. Póki żyję. Prędej bym umarła. Zadowolony? Prędej bym umarła. Możemy przestać o tym rozmawiać?

Od razu się przestawia, mruga powiekami, jakby właśnie się obudził. Wyciąga rękę, żebym wpełzła w jego objęcia, i przytula mnie do piersi.

– Przepraszam – powtarza bez końca, tyle razy, że słowo to traci sens. – Nie chciałem cię przestraszyć. Po prostu stawka zrobiła się bardzo wysoka.

– Wiem, nie jestem idiotką.

– Wiem, że nie jesteś. Wiem.

Klasy uczące się francuskiego jadą na wycieczkę do Quebecu. Wyruszamy wcześniej rano autokarem z pluszowymi fotelami i małymi ekranami telewizyjnymi. Wybieram miejsce w głębi przy oknie i wygrzebuję discmana z plecaka. Ładuję płytę i staram się mieć obojętną minę, jakbym się nie przejmowała, że tylko ja siedzę sama.

Przez pierwsze dwie godziny gapię się za okno, a autokar sunie wśród wzgórz i pól. Gdy docieramy do granicy z Kanadą, krajobraz się nie zmienia, tylko nazwy na tablicach drogowych są po francusku. *Madame* Laurent zrywa się ze swojego miejsca na przodzie i prosi nas o uwagę.

– *Regardez!* – Wskazuje na każdy mijany znak i zmusza nas do głośnego odczytywania. – *Quest, arrêt...*

Zatrzymujemy się na krótki postój pośród wiejskich terenów Quebecu. Przed barem jest budka telefoniczna, a ja mam w kieszeni dwie karty do aparatu od Strane'a, który polecił mi dzwonić, gdybym poczuła się samotna. Ze słuchawką w ręku wybieram numer, gdy nagle z baru wychodzi Jesse Ly, ubrany w długi czarny płaszcz, którego poły rozwiewają się na boki jak peleryna. Zaraz za nim pojawiają się bliźniacy Mike i Joe Russo, uśmiechnięci ironicznie, trącający się łokciami, niepróbujący nawet zniżyć głosów, gdy drwią z kolegi.

– Patrz, Książę Ciemności.

– Mafia Czarnego Trencza.

Nie wyzywają go od gejów, bo posunęliby się za daleko, ale odnoszę wrażenie, że właśnie homoseksualizm, a nie strój, jest powodem kpin.

Mina Jessego, wciągnięty podbródek i zaciśnięta szczęka, nie pozostawia wątpliwości, że słyszy docinki, ale jest zbyt dumny, aby zareagować. Odwieszam słuchawkę i podchodzę szybko.

– Ej! – Uśmiecham się do Jessego, jakbyśmy byli zakolegowani.

Bliźniacy milkną z tyłu, lecz to raczej nie moja zasługa, tylko Margo Atherton, która właśnie ściga bluzę obok autokaru, odsłaniając sporo gołego brzucha, bo zadarła się jej koszulka, mam jednak poczucie, że zrobiłam coś dobrego. Jesse milczy, gdy wsiadamy z powrotem i zajmujemy miejsca. Zanim ruszamy, zgarnia swoje rzeczy, idzie przejściem i podchodzi do mnie.

– Mogę? – pyta, wskazując pusty fotel.

Ściągam słuchawki i kiwam głową, usuwam plecak. Jesse siada, wzdychając, odchyła głowę do tyłu. Trwa w tej pozycji, aż autokar ożywa i wytacza się z parkingu z powrotem na szosę.

– Kretyni – mówię.

Otwiera gwałtownie oczy i wciąga powietrze w płuca.

– Nie są tacy źli – odpowiada.

Bierze książkę i odwraca się lekko plecami do mnie.

– Ale zachowują się jak kutasy – stwierdzam, jakby nie był tego świadomy.

– E tam, nie ma spawy – mruczy, nie podnosząc głowy znad powieści.

Ścisną kartki palcami z obłupanym czarnym lakierem na paznokciach.

Po przyjeździe do Quebecu *madame* Laurent prowadzi nas po wybrukowanych uliczkach i pokazuje zabytki – katedrę Notre Dame, Château Frontenac. Za cichym porozumieniem Jesse i ja odłączamy się od pozostałych, żeby obejrzeć występy mimów stojących na dużych granitowych podestach, pojechać kolejką z Haute-Ville do Basse-Ville i z powrotem. Jesse kupuje tandetne pamiątki: akwarelkę Château Frontenac oferowaną przez starą kobietę na ulicy i łyżkę z wytrawionym na spodzie widoczkim z zimowego karnawału, którą daje mi w prezencie. Po godzinie doganiamy naszą grupę i spodziewam się reprimendy, jednak nikt nie zauważył naszej nieobecności. Na resztę popołudnia znowu się ulatniamy, włączymy się po Starym Mieście, prawie nie rozmawiając, trącając się łokciami, gdy jedno chce zwrócić uwagę

drugiego na jakąś dziwną lub zabawną atrakcję.

Nazajutrz dzwonię do Strane'a z publicznego aparatu, ale nikt nie odbiera. Boję się nagrać wiadomość. Jesse nie pyta mnie, z kim próbuję się skontaktować – nie musi.

– Pewnie poszedł na kampus – mówi. – Dzisiaj w bibliotece jest otwarty mikrofon. Cała kadra z wydziału humanistycznego powinna być obecna.

Gapię się na niego i wsuwam kartę telefoniczną do kieszeni.

– Nie bój się, nikomu nie powiem.

– A skąd w ogóle wiesz?

Posyła mi takie spojrzenie, jakbym zadała najgłupsze pytanie na świecie.

– Spędzacie ze sobą cały czas. To jasne, co się dzieje. Mam oczy, umiem patrzeć.

Od razu myślę o tym, co Strane mi nagadał o więzieniach i rodzinach zastępczych. Nie wiem, czy sama się czymś zdradziłam, więc dla pewności zaprzeczam:

– To nie tak.

Moje słowa brzmią żałośnie, dlatego znowu posyła mi to samo spojrzenie. „Błagam cię”.

Wracamy w sobotę rano. Po godzinie jazdy autokarem Jesse wzdycha, odkłada książkę na kolana, zerka na mnie i kiwa ręką, żebym zdjęła słuchawki z głowy.

– Zdajesz sobie sprawę, że to kompletna głupota? – pyta. – Największy kretynizm na świecie.

– Ale co?

– To, co jest między tobą a twoim ukochanym nauczycielem.

Rozglądam się po sąsiednich fotelach, ale wszyscy wydają się zajęci sobą – śpią albo czytają ze słuchawkami na głowach.

– Nie mówię o żadnej moralności – ciągnie. – Chodzi mi o to, że facet prawdopodobnie zrujnuje ci życie.

Jego słowa trafiają mnie w sam środek, ale próbuję to zignorować i odpowiadam, że gra jest warta świeczki. Zastanawiam się, jakie sprawiam wrażenie – wydaję się otumaniona czy odważna, jedno i drugie? Jesse kręci głową.

– Co? – pytam,

– Idiotka z ciebie. Tylko tyle.

– Dzięki.

– Nie chciałem cię obrazić. Ze mnie też idiota na swój sposób.

Idiotka. Przypomina mi się, że Strane nazwał mnie mroczną romantyczką – oba określenia zdają się wskazywać na skłonność do podejmowania błędnych decyzji. Któregoś dnia stwierdził, że jestem „depresyjna”, więc zajrzałam do słownika. Okazało się, że jedno ze znaczeń to „mająca skłonność do melancholii”.

Wielka śnieżycą uderza na Norumbegę i budzimy się w roziskrzonym świecie kampusu skutego centymetrową warstwą lodu. Konary drzew uginają się pod ciężarem śniegu, sięgając ku ziemi, a lodowa skorupa jest tak gruba, że buty nie dotykają asfaltu. W sobotnie popołudnie, na kanapie u Strane'a, po raz pierwszy kochamy się przy dziennym świetle. Potem unikam widoku jego ciała, wpatrując się w kłaczki kurzu wirujące w słabym zimowym słońcu zabarwionym na zielono przez okienną szybę. Strane kreśli palcem na moim ciele mapy złożone z niebieskich żył, mówi, że zaostzam jego apetyt, że dosłownie by mnie zjadł, gdyby mógł. Bez słowa podsuwam ramię do jego ust. „Śmiało”. Gryzie łagodnie, i dobrze, bo pewnie pozwoliłabym się rozszarpać na strzępy. Pozwoliłabym mu na wszystko.

Nastaje luty, a ja coraz lepiej i zarazem gorzej radzę sobie z ukrywaniem prawdy. Przestaję wspominać o Stranie w niedzielnych rozmowach telefonicznych z rodzicami, ale nie potrafię trzymać się z dala od jego klasy. Teraz jestem tam stałym gościem. Nawet gdy inni

uczniowie przychodzą na konsultacje w trakcie godzin dodatkowych, siedzę za stołem konferencyjnym, udając, że jestem pochłonięta swoją pracą, ale w istocie podsłuchuję tak pilnie, że aż uszy mnie pieką.

Pewnego popołudnia, gdy jesteśmy sami, Strane wyjmuje polaroid z aktówki i pyta, czy może mi zrobić zdjęcie przy stole.

– Chciałbym zapamiętać, jak wyglądasz, gdy tak siedzisz.

Wybucham śmiechem, ale to nerwy. Dotykam twarzy, poprawiam włosy. Nie cierpię być fotografowana.

– Możesz się nie zgodzić – mówi, ale widzę pragnienie w jego oczach, widzę, że to dla niego ważne. Odmowa złamałaby mu serce.

Zatem pozwalam, żeby pstryknął mi kilka fotek, za stołem i za jego biurkiem, jeszcze jedno na kanapie w gabinecie, nogi zadarte, na kolanach otwarty zeszyt. Jest ogromnie wdzięczny, z uśmiechem patrzy, jak zdjęcia wywołują się samoczynnie. Mówi, że do śmierci będzie je traktował jak najcenniejszy skarb.

Innego popołudnia przynosi mi kolejną książkę – *Błady ogień* Nabokova. Zaczynam kartkować, gdy tylko mi ją podaje, ale to w ogóle nie wygląda jak powieść: na stronach widnieje długi poemat z serią przypisów.

– To trudna lektura – mówi. – Mniej przystępna niż *Lolita*. Literatura, która wymaga od czytelnika wyzbycia się kontroli. Należy raczej doświadczać niż rozumieć. Postmodernizm... – Zawiesza głos, widząc rozczarowanie na mojej twarzy.

Chciałam kolejnej *Lolity*.

– Coś ci pokażę. – Odbiera mi książkę, wertuje, wskazuje strofy na stronie. – Zobacz, jakby pisał o tobie.

*Chodź, daj się wielbić, moja Vanesso, motylu
Ciemny w szkarłatne pręgi, mój ty od lat tylu
Wiernie admiirowany admira! Powiedz,
Jakże mogłaś pozwolić, by w Alejce Bzowej
John Shade, bliski hysterii ciapa-nastolatek,
Obśliniał ci twarz, ucho i jedną z łopatek?**

Zapiera mi dech w piersiach, na policzki buchają rumieńce.

– Niesamowite, co? – Strane uśmiecha się do książki. – Daj się wielbić, daj się pieścić, moja ciemna Vanesso.

Gładzi mnie po głowie, nawija kosmyk na palec. Szkarłatne pręgi, klonoworude włosy. Myślę o tym, co powiedziałam, gdy pokazał mi poemat Jonathana Swifta, o nieuchronnych uczuciach. Wtedy nie mówiłam szczerze. Chciałam mu tylko pokazać, jak chętna, jak szczęśliwa jestem. Lecz teraz, widząc swoje imię na kartach książki, czuję, jakbym spadała bezwładnie, utraciła wszelką kontrolę. Może to rzeczywiście było z góry przesądzone? Może właśnie do tego jestem stworzona?

Wciąż stoimy pochyleni nad *Bładym ogniem*, dłoń Strane'a na moich plecach, gdy nagle do klasy wchodzi stary łysiejący profesor Noyes. Odskakujemy w przeciwnych kierunkach, ja do stołu, Strane za biurko, przyłapani na gorącym uczynku. Ale profesor Noyes wydaje się niewzruszony. Parska śmiechem i mówi:

– Widzę, Jacob, że masz pupilkę wśród uczniów.

Jakby to nie było nic wielkiego.

Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście musimy się pilnować, żeby tajemnica nie wyszła na jaw. Może to nie byłby wcale koniec świata, gdyby w szkole dowiedzieli się o nas? Może tylko pogroziliby Strane'owi palcem i kazali mu się wstrzymać, dopóki nie skończę

osiemnastu lat?

Profesor Noyes wychodzi.

– Czy inni nauczyciele i uczennice też to robią?

– Co?

– No to.

Strane podnosi twarz znad biurka.

– Słyszało się o takich przypadkach – odpowiada.

Powraca do czytania, a mnie ciśnie się na usta kolejne pytanie. Zanim jednak je zadam, spoglądam na swoje dłonie. Wyobrażam sobie, że Strane ma odpowiedź wypisaną wyraźnie na twarzy, lecz nie chcę jej poznać. Nie chcę wiedzieć.

A jednak.

– A ty? Robiłeś? Z inną uczennicą.

– Tak myślisz?

Podnoszę wzrok zaskoczona. Nie wiem, co myślę. Wiem, w co chcę wierzyć, w co muszę wierzyć, ale nie mam pojęcia, jak sprawy układały się w poprzednich latach, przed moim przyjazdem. W końcu Strane pracuje jako nauczyciel prawie tyle lat, ile ja żyję.

Patrzy na mnie, gdy szukam właściwych słów. Na jego twarz wpełza uśmiech.

– Nie, nie robiłem – mówi wreszcie. – Jeśli nawet miałem chwilowe pokusy, ryzyko wydawało się zbyt wielkie. Dopiero z tobą jest inaczej.

Wywracam oczami, żeby ukryć, jak bardzo uszczęśliwiają mnie te słowa, jak bezgranicznie otwiera się moje serce, czyniąc mnie bezbronną istotą. Nic już nie powstrzyma go od wyciągnięcia rąk i wzięcia tego, na co ma ochotę. Jestem wyjątkowa, wyjątkowa, wyjątkowa.

Czytam *Blady ogień*, kiedy profesor Thompson puka do drzwi w trakcie obchodu przed ciszą nocną. Zagląda do środka, twarz bez makijażu, włosy spięte gumką; widzi mnie i stawia ptaszek przy moim nazwisku na liście.

– Ej, Vanesso. – Wpycha się do pokoju. – Pamiętaj, żeby się wymeldować przed wyjazdem w piątek, dobrze? W Boże Narodzenie zapomniawsz.

Podchodzi bliżej, więc zaginam róg czytanej strony i zamykam książkę. Jestem odurzona, bo znalazłam więcej o sobie w poemacie Nabokova. Miasteczko, w którym mieszka główny bohater, nazywa się New Wye.

– Jak tam praca domowa?

Nigdy nie wypytywałam Strane'a o profesor Thompson. Od imprezy halloweenowej nie widziałam ich razem, pamiętam też, że po naszym pierwszym razie powiedział, że od jakiegoś czasu nie przeżywał z nikim „takiej intymności”. Skoro nie poszli do łóżka, to są tylko kolegami z pracy, więc nie ma powodu do zazdrości. Wiem to. A jednak w obecności profesor Thompson ogarnia mnie wredne pragnienie, pokusa, żeby dać jej aluzyjnie do zrozumienia, na co się poważylam, do czego jestem zdolna.

Odkładam *Blady ogień* w taki sposób, żeby zobaczyła okładkę.

– To nie jest praca domowa – odpowiadam. – No, jakby nie do końca. To od profesora Strane'a.

Posyła mi irytująco łagodny uśmiech.

– On jest twoim nauczycielem od literatury amerykańskiej?

– Ehe. – Spoglądam spod rzęs. – Nie rozmawiał nigdy z panią o mnie?

Pogłębiają się zmarszczki na jej czole. Trwa to tylko ułamek sekundy. Gdybym nie była czujna, nie dostrzegłabym.

– Muszę przyznać, że nie.

– To dziwne – mówię. – Bo my jesteśmy ze sobą dość blisko.

Patrzę, jak na jej twarzy odmalowuje się podejrzliwość, przecucie, że dzieje się coś złego.

Nazajutrz po południu, gdy Strane idzie na radę pedagogiczną, siadam za jego biurkiem – nie ośmieliłabym się na to w jego obecności. Drzwi są zamknięte, nie ma żadnych świadków, którzy widzieliby, jak szperam w stertach ocenianych wypracowań i planach lekcji, jak wysuwam długą płytkę szufladę, która kryje osobliwą zawartość: otwarta paczka żelków, medalik ze Świętym Krzysztofem na urwanym łańcuszku i lek przeciwbiegunkowy, który z odrazą wciskam jak najgłębiej.

W jego komputerze nie ma nic interesującego, ot, kartoteki ze szkolnymi dokumentami i rzadko używana poczta elektroniczna, ale gdy budzę wygaszacz ekranu, na pasku zadań pojawia się powiadomienie: „Nowa wiadomość od melissa.thompson@browick.edu”. Otwieram jednym kliknięciem. List jest odpowiedzią na inny, ogółem są trzy.

Do: jacob.strane@browick.edu
Od: melissa.thompson@browick.edu
Temat: Powód do niepokoju?
Cześć, Jake.

Chciałam porozmawiać z Tobą osobiście... ale pomyślałam, że najpierw napiszę, może tak będzie lepiej. Któregoś dnia miałam bardzo dziwną rozmowę z Vanessą Wye... na Twój temat. Odrabiała lekcje na zajęcia z amerykańskiej i pochwaliła się, że „jesteście sobie bliscy”. Powiedziała to w taki sposób... że poczułam bijącą od niej niechęć, może nawet była to oznaka zaborczości. Najwyraźniej się w Tobie podkochuje. Powinieneś być tego świadomy... Wspominałaś, że dziewczyna często się kręci pod Twoim gabinetem. Uważaj :-)

Melissa
Do: melissa.thompson@browick.edu
Od: jacob.strane@browick.edu
Temat: Re: Powód do niepokoju
Melisso,
dzięki za przestrożę. Będę się pilnował.
JS

Do: jacob.strane@browick.edu
Od: melissa.thompson@browick.edu
Temat: Re:Re: Powód do niepokoju

W porządku. Mam nadzieję, że to nie było wścibskie z mojej strony. Po prostu wyraźnie coś wyczułam. Udanych ferii na wypadek, gdybyśmy się nie widzieli :-)

Melissa

Zaznaczam ostatni e-mail jako nieprzeczytany i zamykam pocztę elektroniczną. Lakoniczność odpowiedzi Strane'a budzi we mnie śmiech, podobnie nerwowość profesor Thompson, jej emotikony, niepełne zdania łączone wielokropkami. Przychodzi mi do głowy, że być może ona jest mało rozgarniętą osobą, a przynajmniej nie tak rozgarniętą jak ja. Nigdy dotąd nie myślałam tak o żadnym nauczycielu.

Strane wraca z rady pedagogicznej w kiepskim humorze, rzuca bloczek żółtego papieru na biurko i na pół wzdycha, na pół pojękuje.

– Ta szkoła schodzi na psy – mruczy. Zerka na monitor. – Dotykałaś mojego komputera? – pyta.

Kręcę głową.

– Hm. – Chwyta za myszkę, klika parokrotnie. – Może powinienem założyć sobie hasło.

Pod koniec wolnej godziny, gdy Strane pakuje swoje rzeczy do aktówki, odzywam się tak

boleśnie nonszalanckim tonem, że w moich uszach brzmi to jak obcy głos:

– Wiesz, że profesor Thompson jest moją opiekunką w internacie?

– Tak, wiem.

Zasuвам zamek błyskawiczny po samą szyję.

– Jesteście przyjaciółmi?

– Pewnie.

– Bo pamiętam, że widziałam cię z nią na imprezie halloweenowej.

Zerkam na niego. Wyciera krawatem okulary i zakłada je z powrotem na nos.

– A więc jednak czytałaś moje e-maile.

Milczę. Strane krzyżuje ręce na piersi i posyła mi jedno ze swoich nauczycielskich spojrzeń. „Przestań się wypierać”.

– Byliście kimś więcej niż przyjaciółmi?

– Vanesso.

– Pytam po prostu.

– Owszem, pytasz. Ale to pytanie z podtekstami.

Rozsuвам i zasuwam kilka razy zamek błyskawiczny.

– Wszystko mi jedno, chciałabym tylko wiedzieć.

– A dlaczego chciałabyś wiedzieć?

– Dlatego, że jeśli ona wyczuje, że między nami coś jest, może być zazdrosna i...

– I co?

– Nie wiem. Zemścić się?

– To niedorzeczne.

– A te e-maile?

Strane wyprostowuje się na krześle.

– Myślę, że najlepszym rozwiązaniem tego problemu byłoby, gdybyś nie czytała moich listów.

Wywracam oczami. Zachowuje się wykrętnie, co oznacza, że prawda jest inna, niżbym chciała. Najpewniej Strane'a i profesor Thompson łączyło coś więcej niż przyjaźń. Sypiali ze sobą.

Zarzucam plecak na ramię.

– Wiesz co, widziałam ją bez makijażu – mówię. – Wcale nie jest taka ładna. Poza tym trochę gruba.

– Ejże. Bardzo nieładnie.

Patrzę na niego wściekła. Oczywiście, że nieładnie, o to właśnie chodzi.

– Idę. Zobaczymy się chyba za tydzień.

– Nie powinnaś być zazdrosna – mówi, zanim zdążę otworzyć drzwi.

– Nie jestem zazdrosna.

– Jesteś.

– Nie jestem.

Wstaje, okrąża biurko i podchodzi do mnie. Sięga ręką ponad moim ramieniem i gasi światło, bierze moją twarz w dłonie, całuje mnie w czoło.

– No dobrze – szepcze łagodnie. – Zgoda, nie jesteś zazdrosna.

Daję się przytulić, opieram policzkiem o jego klatkę piersiową. W uchu słyszę dudnienie jego serca.

– Ja nie jestem zazdrosny o twoje ewentualne miłości z czasów, zanim się poznaliśmy – mówi.

„Miłości”. Wypowiadam bezgłośnie to słowo, zastanawiam się, czy ono oznacza to,

czego bym chciała – że jeśli robił to z profesor Thompson, to już przestał, i że to, co robił, nigdy nie było niczym ważnym, w przeciwieństwie do tego, co robi ze mną.

– Nie dam rady cofnąć tego, co było, zanim los nas zetknął – dodaje. – Ty też nie dasz.

W moim życiu nie było niczego, zanim los nas zetknął, zdaję sobie jednak sprawę, że rzecz jest w czym innym. On potrzebuje czegoś ode mnie. Nie tyle przebaczenia, ile raczej całkowitego rozgrzeszenia, a może rezygnacji. Chce, żeby mnie nie obchodziło, co robił wcześniej.

– Dobrze – wzdyham. – Nie będę zazdrosna. – To zakrawa na wielkoduszność, jakbym poniosła ofiarę dla niego. Nigdy dotąd nie czułam się tak dorosła.

*

Zeszłego lata, gdy byłam na dnie załamania, mama próbowała wygłosić mi pogadankę o chłopcach. Nie rozumiała tego, co się wydarzyło między mną a Jenny. Myślała, że chodzi wyłącznie o Toma, o to, że go polubiłam, a on wybrał moją przyjaciółkę kosztem mnie – lub o coś równie szablonowego. Chłopcom potrzeba sporo czasu, żeby mogli spojrzeć dalej niż koniec własnego nosa, powiedziała mama, a potem rozsunęła alegorię: jabłka spadają z drzewa, a chłopcy zbierają te, po które najłatwiej sięgnąć, dopiero później dociera do nich, że najlepsze owoce są warte większego zachodu.

– A więc twierdzisz, że dziewczyny są po to, żeby dogodzić chłopakom? – spytałam. – Seksistowskie.

– Nie, nie, wcale tak nie twierdzę.

– I sugerujesz, że jestem zgniłym jabłkiem, tak?

– Nie. To te inne są zgniłymi jabłkami.

– Dlaczego w ogóle uznajemy, że jakieś dziewczęta są zgniłymi jabłkami? Dlaczego w ogóle obowiązują takie porównania?

Mama wzięła głęboki wdech i stuknęła się w czoło nasadą dłoni.

– Mój Boże, ciężko się z tobą rozmawia. Zamierzałam tylko powiedzieć, że chłopcy dojrzewają wolniej. Nie chcę, żebyś była sfrustrowana.

Próbowała podnieść mnie na duchu, ale nietrudno było podążyć tokiem jej rozumowania: chłopcy nie zwracają na mnie uwagi, a to znaczy, że nie jestem ładna, a skoro nie jestem ładna, muszę poczekać w kolejce, zanim ktoś mnie dostrzeże, no bo chłopcy najpierw muszą dojrzeć, dopiero potem mogą się poważnie zaangażować. Na razie więc jedyną drogą postępowania dla mnie jest uzbroić się w cierpliwość. Jak dziewczyny siedzące na trybunach podczas meczów męskiej koszykówki albo na kanapie, gdy chłopcy grają w gry wideo.

Aż dziw bierze, jak bardzo mama myliła się w tych sprawach. Dla odważnych serc jest inna droga postępowania: dać sobie spokój z chłopcami i skierować się w stronę mężczyzn. Mężczyzn, którzy nigdy nie każą ci czekać, mężczyzn, którzy są wygłodniali i wdzięczni za wyżebrane ochłapy uwagi, którzy zakochują się tak mocno, że padają ci do nóg.

Podczas pobytu w domu z okazji ferii zimowych idę z mamą do spożywczego i w ramach eksperymentu patrzę na każdego mężczyznę, który się nawinie, nawet na brzydali, zwłaszcza na brzydali. Kto wie, ile czasu minęło, odkąd dziewczyna ostatni raz zerknęła na nich w ten sposób? Współczuję im – jakże zdesperowani muszą być, jakże samotni i smutni. Gdy zauważają moje spojrzenie, wyraźnie się peszą, ściągają brwi, próbując mnie rozgryźć. Zaledwie kilku rozpoznaje we mnie dziewczynę, którą jestem, i twarz im tężeje, gdy wytrzymują mój wzrok.

Strane mówi, że nie przeżyje tygodnia bez kontaktu ze mną. Dlatego pewnego wieczoru w połowie ferii, gdy rodzice już śpią, zabieram bezprzewodowy telefon do swojego pokoju i układam poduszki pod drzwiami, żeby stłumić dźwięki. Ścisza mnie w żołądku, kiedy

wybieram numer. Strane odzywa się zaspanym głosem, a ja milcząco przerażona nagłą myślą, że przekreślił się na bok i odebrał połączenie jak starzec, który chodzi spać o dziesiątej.

– Halo – powtarza z coraz większym zniecierpliwieniem. – Halo.

Przełamuję się.

– To ja.

Wzdycha i wypowiada moje imię – „s” syczy między zębami. Tęskni za mną. Chce, żebym mu opowiedziała, jak spędzam czas, chce usłyszeć o wszystkim. Relacjonuję wypadki ostatnich dni najlepiej, jak potrafię – spacer z Babe, wypadki na zakupy w mieście, jazda na łyżwach, gdy słońce zachodzi nad zamrożonym jeziorem. Unikam wspomnienia o rodzicach, bo chcę, aby wyglądało, że jestem samodzielna.

– A co teraz robisz?

– Siedzę w swoim pokoju. – Czekam na następne pytanie, ale Strane milczy. Może zasnął z powrotem? – A ty co robisz?

– Rozmyślam.

– O czym?

– O tobie – odpowiada Strane. – O tym, jak leżałaś tutaj, w tym łóżku. Pamiętasz, jak to było?

Tak, zapewniam go, chociaż zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie doznawałam czegoś zupełnie innego niż on. Gdy zamknę oczy, czuję flanelową pościel, ciężar jego koldry. Jego palce zaciśnięte na moim przegubie, prowadzące moją rękę do celu.

– Co masz na sobie, Vanesso?

Zerkam szybko na drzwi i wstrzymuję oddech, nasłuchując dźwięków od strony drugiej sypialni.

– Piżamę.

– Podobną do tej, którą ci kupiłem?

Nie, odpowiadam i parskam śmiechem na myśl, że nosiłabym coś takiego na oczach rodziców.

– Opisz mi ją.

Patrzę na wzór psich pyszczków, hydrantów przeciwpożarowych i kości.

– Brzydka jest. Nie spodobałaby ci się.

– To ją zdejmij.

– Za zimno – odpowiadam lekkim tonem, z udawaną naiwnością, ale wiem, czego Strane chce.

– Zdejmij.

Czeka.

Nie ruszam się.

– Zdjęłaś? – pyta po chwili.

– Tak – kłamię.

No i się zaczyna, on mówi mi, co mam robić, a ja tego nie robię, ale udaję, że jestem posłuszna. Czuję obojętność i lekką irytację, aż nagle słyszę:

– Jesteś dzieckiem, małą dziewczynką.

Wtedy coś się odmienia, nie dotykam się wprawdzie, ale zamykam oczy i wczuwam się w trzepot motyli w brzuchu, wyobrażam sobie, co on tam wyprawia, myśląc o mnie.

– Chciałbym, żebyś coś powiedziała. Dobrze? Trzy słowa. Zrobisz to dla mnie? Powiesz tych kilka słów?

Otwieram oczy.

– Tak.

– Tak? To świetnie, świetnie. – Słysząc szmery, jakby przekładał telefon z ręki do ręki. – Chcę, żebyś powiedziała: „Kocham cię, tatusiu”.

W pierwszej sekundzie się śmieję. No bo to niedorzeczne. „Tatusiu”? Nawet własnego ojca tak nie nazywam, nie pamiętam, abym kiedykolwiek tak się do niego zwracała, ale zaraz potem umysł mnie opuszcza i już nie wydaje mi się to zabawne. Czuję się pusta, nieobecna.

– No, powiedz – nalega. – Kocham cię, tatusiu.

Milczę wpatrzona w drzwi.

– Tylko raz – doprasza się Strane. Ma chrapliwy, starty głos.

Poruszam ustami, ale głowę wypełniają mi szmery, biały szum tak donośny, że ledwo słyszę wypowiedane przez siebie słowa i odgłosy wydawane przez Strane’a – ciężki oddech i jęki. Prosi, bym powtórzyła, i moje usta znowu układają się do słów, ale funkcjonuje tylko moje ciało, nie umysł.

Jestem daleko stąd. Szybuję uwolniona, unoszę się jak wtedy, gdy dotknął mnie pierwszy raz, gdy wleciałam nad kampus jak kometa zostawiająca rudy ogon za sobą. Teraz wyfruwam z rodzinnego domu prosto w noc, ponad sosny i zamrożone jezioro, gdzie pod lodem porusza się i szmerze woda. Znowu prosi, abym wypowiedziała te słowa. Widzę siebie w nausznikach i łyżwach, ślizgam się po tafli ścigana pod grubym lodem przez cień – to Strane płynie po mrocznym dnie, a jego stłumione krzyki to tylko jęki.

Jego rwany oddech cichnie, a ja osiadam z powrotem w swoim pokoju. Skończył, skończone. Próbuje sobie wyobrazić, jak to jest, gdy robi to sam, spuszcza się w dłoń, na ręcznik, prosto w pościel? Jakie to wstrętne w przypadku mężczyzn, zawsze muszą napaskudzić w finale. Przepelnia mnie myśl: „Jesteś kurewskim oblechem”.

Gdy Strane się rozłącza, rzucam telefon, obudowa rozpada się, baterie toczą się po podłodze. Leżę w łóżku przez długi czas, czujna, lecz nieruchoma, wpatrzona w niebieskie cienie, umysł pusty, szklisty i zastygły tak bardzo, że można by się po nim ślizgać na łyżwach.

Dopiero podczas odwożenia mnie do Browick mama mówi, że słyszała moją rozmowę przez telefon. Zszokowana chwytam za klamkę, jakbym chciała otworzyć drzwi i wyskoczyć w biegu do przydrożnego rowu.

– Wyglądało na to, że pogadujesz z jakimś chłopcem. Czy tak?

Patrzę przed siebie. Głównie to Strane wtedy mówił, ale może coś do niej doleciało i zaczęła podsłuchiwać? Rodzice nie mają telefonu w sypialni, a ja używałam jedyne go bezprzewodowego aparatu. Czy zesłała z pietra, ja zaś w ogóle się nie zorientowałam?

– Nic nie szkodzi, jeśli tak było – zapewnia mama. – To dobrze, skoro masz chłopaka. Nie musisz tego ukrywać.

– Co słyszałaś?

– Właściwie to nic.

Przypatruję się jej kątem oka. Nie potrafię się zorientować, czy mówi prawdę. Skąd pomyśl, że rozmawiałam ze swoim chłopakiem, skoro niczego nie słyszała? Mam gonitwę myśli, jakby umysł ścigał się z naszym samochodem. Zapewne złowiła parę słów, jednak nie na tyle dużo, aby podejrzewać coś nienormalnego. Gdyby usłyszała głęboki, wyraźnie męski głos Strane’a, natychmiast dostałaby szału, wparowała do mojego pokoju i wyrwała mi telefon z ręki. Nie czekałaby z tą delikatną rozmową do chwili, aż znajdziemy się same w aucie.

Wypuszczam powoli powietrze z płuc i rozluźniam palce zaciśnięte na klamce.

– Tylko nie mów tacie.

– Nie powiem – zapewnia mnie mama różnym tonem. Wydaje się zadowolona, wręcz uszczęśliwiona, że się przyznałam, że uchyliłam rąbka tajemnicy. A może odczuła ulgę, że znalazłam chłopaka, że jestem osobą towarzyską, obcuję z ludźmi? – Ale musisz mi o nim

opowiedzieć, córciu.

Pyta mnie o imię i nagle mam pustkę w głowie – nigdy nie zwracam się do Strane’a po imieniu. Mogłabym wymyślić fałszywe imię, prawdopodobnie powinnam to zrobić, ale pokusa jest zbyt silna.

– Jacob – mówię głośno.

– Aha, po prostu. Przystojny?

Wzruszam ramionami, nie wiem, co odrzec.

– Nieważne. Uroda to nie wszystko. Ważniejsze, żeby był dla ciebie miły.

– Jest miły.

– To dobrze. Tylko to mnie interesuje.

Opieram się o zagłówek i zamykam oczy. Czuję się, jakbym podrapała swędzące miejsce – oto reakcja na słowa mamy, że bycie miłym ma większe znaczenie od urody. Bo skoro tak, to ma także większe znaczenie niż różnica wieku i to, że Strane jest moim nauczycielem.

Zaczyna zadawać mi pytania – w której klasie uczy się ten chłopak, skąd przyjechał, czy chodzimy razem na te same lekcje – a ja czuję dławienie w piersi. Kręcę głową.

– Nie chcę o tym mówić – syczę.

Na moment zapada cisza.

– Uprawiacie seks?

– Mamo!

– Bo jeśli tak, to powinnaś brać pigułki. Zapiszę cię do lekarza. – Urywa, po czym mówi cicho, bardziej do siebie niż do mnie: – No nie, przecież ty masz dopiero piętnaście lat. Jesteś za młoda. – Zerka na mnie, marszcząc brwi. – Tam chyba wszyscy są pod nadzorem. To nie jakaś wolna amerykanka.

Siedzę nieruchomo, nie mrugając powiekami, i nie wiem, czy mama naprawdę chce, żebym rozproszyła jej obawy. Owszem, jesteśmy pod nadzorem. Nauczyciele nas pilnują. Niedobrze mi się nagle robi od tej rozmowy, oszukiwania, traktowania wszystkiego jak zabawy.

Czy jestem potworem? – zastanawiam się. Na pewno. Inaczej nie potrafiłabym tak kłamać.

– To mam cię zapisać do lekarza?

Myślę o tym, jak Strane naciskał moje biodra, przygwałdział mnie, myślę o jego zabiegu, wazektomii. Kręcę głową przecząco i mama oddycha z ulgą.

– Chcę po prostu, żebyś była szczęśliwa. Szczęśliwa i otoczona ludźmi, którzy są dla ciebie mili.

– Jestem – odpowiadam. Drzewa umykają do tyłu, a ja wyznaję: – Uważa mnie za ideał.

Mama zaciska usta, pohamowując się od szerokiego uśmiechu.

– Pierwsza miłość to coś wyjątkowego – stwierdza. – Nigdy jej nie zapomnisz.

Pierwszego dnia po powrocie Strane jest w kiepskim nastroju, na lekcji ledwo spojrzy w moim kierunku i ignoruje mnie, gdy zgłaszam się do odpowiedzi. Czytamy *Pożegnanie z bronią* i kiedy Hannah Levesque nazywa powieść flakami z olejem, Strane odwarkuje, że ją Hemingway pewnie też uznałby za flaki z olejem. Straszy Toma Hudsona naganą za niewłaściwy ubiór z powodu niezapiętej bluzy, odsłaniającej T-shirt Foo Fighters. Po dzwonku chcę się ulotnić razem z innymi, bo wyjątkowo nie mam ochoty zostać. Zanim jednak zdążę dotrzeć do drzwi, Strane woła mnie po imieniu. Zatrzymuję się, wymijana przez pozostałych uczniów jak kamień przez wodę w rwącej rzece, przez Toma z zaciśniętymi wściekle zębami, Hannah z urażoną miną, Jenny zerkającą na mnie, jakby chciała coś powiedzieć, bo na usta ciśnie jej się mnóstwo słów.

Kiedy w klasie robi się pusto, Strane zamyka drzwi, gasi światło i prowadzi mnie do

gabinetu, gdzie kaloryfer jest odkręcony do oporu, a zielona szyba zaparowana. Zamiast usiąść obok mnie na kanapie, opiera się o stolik, ostentacyjnie, jakby dawał coś do zrozumienia. Włącza czajnik elektryczny, milcząc uparcie do momentu, gdy woda wrze. Zaparza sobie herbatę, mnie nie proponuje.

Wreszcie, z parującym kubkiem w dłoni, odzywa się szorstkim, oficjalnym tonem:

– Wiem, że jesteś zaniepokojona tym, o co cię poprosiłem przez telefon.

Praktycznie zapomniałam o tej rozmowie i jego zachowaniu. Teraz usiłuję to sobie przypomnieć, lecz nie potrafię. Mój umysł umyka przed tym wspomnieniem, spłoszony czymś poza moją kontrolą.

– Nie jestem – odpowiadam.

– Wyraźnie jesteś.

Marszczę brwi. Odbieram to jako manipulację – to on się niepokoi, nie ja.

– Nie musimy o tym mówić.

– Owszem, musimy, Vanesso.

Znowu się nakręca i nadaje o tym, jak to z powodu ferii miał czas porozmyślać i doszedł do wniosku, że pod wieloma względami wciąż pozostaje dla niego tajemnicą. Że tak naprawdę wcale mnie nie zna. Że zaczął się zastanawiać, czy nie projektuje czegoś na mnie, wmawiając sobie, że łączy nas więź, a w istocie widzi odbicie własnego „ja”.

– Nie jestem nawet pewien, czy rzeczywiście lubisz się ze mną kochać, czy po prostu robisz to ze względu na mnie.

– Lubię.

Wzdycha głęboko.

– Chciałbym ci wierzyć. Bardzo bym chciał.

Rozemocjonowany krąży po ciasnym gabinecie.

– Czuję wielki pociąg do ciebie – mówi. – Czasem boję się, że aż szlag mnie trafi od tego. Nigdy nie czułem nic tak silnego do żadnej kobiety. To zupełnie inna płaszczyzna doznań. – Milknie i patrzy na mnie. – Czy przeraża cię, gdy słyszysz takiego mężczyznę jak ja mówiącego o tobie w ten sposób?

„Mężczyznę jak ja”.

– Co wtedy czujesz?

Patrzę na sufit, usiłując znaleźć właściwe słowa.

– Czuję się władczo.

Rozluźnia się trochę, odpręża na myśl o tym, że mam nad nim moc. Mówi, że piętnaście lat to osobliwy wiek, paradoksalny. Że w okresie dorastania człowiek staje się tak odważny jak nigdy wcześniej ani potem, a to z powodu tego, jak funkcjonuje umysł – mariaż plastyczności i arogancji.

– W tej chwili czujesz się prawdopodobnie bardziej dojrzała, niż będziesz się czuła jako osiemnasto- albo dwudziestolatka. – Śmieje się, kuca przede mną i ściska moje dłonie. – Mój Boże, wystarczy wyobrazić sobie siebie za pięć lat. – Zakłada mi kosmyk włosów za ucho.

– I ty tak się czuleś? – pytam. – Kiedy byłeś... – „W moim wieku”. Nie kończę zdania, bo zabrzmiałoby jak wypowiedź dziecka, ale Strane rozumie.

– Nie, z chłopcami jest inaczej. Nastoletni chłopcy są niekonsekwentni. Prawdziwymi ludźmi stają się dopiero wtedy, gdy dorosną. Dziewczęta są prawdziwe znacznie wcześniej. W wieku czternastu, piętnastu, szesnastu lat. Wtedy włącza się umysł. Wspaniale, gdy można to obserwować.

W wieku czternastu, piętnastu, szesnastu lat. Strane jest jak Humbert Humbert, przypisuje mityczne znaczenie określonej wiekowi.

– A nie od dziewięciu do czternastu? – pytam.

Drocę się z nim przekonana, że wychwyci aluzję, ale patrzy na mnie, jakbym oskarżyła go o największą potworność.

– Dziewięciu? – Odrzuca głowę do tyłu. – W życiu. Jezu, dziewięć? Nie.

– Żartuję. No wiesz, tak jest w *Lolicie*. Ile lat mają nimfetki?

– Tak o mnie myślisz? Masz mnie za pedofila?

Nie odpowiadam. Wstaje, znowu zaczyna krążyć po gabinecie.

– Zbyt dosłownie traktujesz tę książkę. Nie jestem taki. To nie nasza historia.

Policzki pieką mnie od reprimendy. Odczuwam jego zachowanie jako niesprawiedliwość – przecież to on podsunął mi tę powieść. Czego się spodziewał?

– Nie pociągają mnie dzieci – zapewnia. – No, przyjrzyj się sobie, swojemu ciału. Nie jesteś już dzieckiem.

Mrużę oczy.

– Co to niby znaczy?

Natychmiast przystaje wyrwany z gniewnych rozmyślań, a ja czuję, że odzyskałam przewagę.

– Chodzi mi o to, jak wyglądasz – odpowiada. – Jesteś...

– No, jaka jestem?

Patrzę na niego z kanapy – biedak rozpaczliwie szuka właściwych słów.

– No, w pełni rozwinięta. Już prawie kobieta.

– Czyli jestem gruba?

– Nie, Boże, skąd. Nic takiego nie powiedziałem. W życiu. Popatrz na mnie, to ja jestem gruby.

Klepie się po brzuchu, próbując mnie rozśmieszyć, a ja nawet miałabym ochotę zachichotać, lecz w tej chwili czuję się dobrze, bo on czuje się niedobrze. Siada obok, ujmując moją twarz w dłoń.

– Jesteś ideałem – mówi. – Ideałem, ideałem, ideałem.

Milczymy przez chwilę, on wpatrzony we mnie, ja skrzywiona, ze wzrokiem utkwionym w sufit, bo nie zamierzam zbyt szybko wyzbywać się przewagi. W końcu zerkam na Strane'a i widzę kroplę potu sunącą po jego policzku. Ja też się pocę – pod pachami, piersiami.

Zagłada mi w oczy.

– A to, o co cię poprosiłem przez telefon... To była taka fantazja. Nie zrobiłbym nic takiego. Nie jestem taki.

Nie odpowiadam, znowu spoglądam na sufit.

– Wierzysz mi? – pytam.

– Nie wiem. Chyba tak.

Wyciąga ręce, sadza mnie sobie na kolanach, obejmuje i przytula, a ja dotykam twarzą jego piersi. Czasem tak łatwiej nam się rozmawia – gdy nie patrzymy na siebie.

– Wiem, że jest we mnie mrok – ciągnie. – Nic na to nie poradzę. Zawsze taki byłem. To skazuje człowieka na samotność, ale pogodziłem się z tym. Wszystko się zmieniło, gdy ty się pojawiłaś. – Ciągnie mnie za włosy. „Ty”. – Kiedy zaczęłaś mi przynosić wiersze i biegać za mną, w pierwszej chwili pomyślałem, że no dobra, dziewczyna się we mnie podkochuje. Wielkie rzeczy. Pozwolę jej poflirtować ze mną, przesiadywać w klasie, ale nic więcej. Ale im częściej się widywaliśmy, tym częściej myślałem, że, mój Boże, jest taka sama jak ja. Żyje z dala od innych, łąknie mroku. Zgadza się? Jesteś taka, prawda?

Czeka na odpowiedź, przytaknięcie, na słowa: owszem, masz rację, jestem właśnie taka, lecz mój portret nakreślony przez niego nie pasuje do tego, co zawsze o sobie myślałam,

a wspomnienie, że się za nim uganiałam, też wydaje mi się nieprawdziwe. Przecież to on pierwszy dawał mi książki, dopiero potem ja mu dawałam wiersze. To on powiedział, że pragnąłby mnie pocałować na dobranoc, że mam włosy koloru czerwonych klonowych liści. To wszystko wydarzyło się, zanim dotarło do mnie, co się dzieje. Myślę o tym, jak powiedział, że to ja decyduję, że nie obchodzą go nieistniejące miłości, które miałam wcześniej. No tak, musi wierzyć w pewne rzeczy, żeby móc z tym żyć, okrucieństwem więc byłoby zaprzeczać.

– Przypomnij sobie, jak zareagowałaś, gdy dotknąłem cię pierwszy raz – mówi. – Twoje koleżanki z klasy byłyby tym przerażone. Ale nie ty.

Chwyta mnie dłonią za włosy i pociąga do tyłu, aby zajrzeć mi w twarz – nie zrobił tego mocno, ale delikatnie też nie.

– Gdy jesteśmy razem, mam wrażenie, że mój mrok wychodzi na wierzch i splata się z twoim mrokiem.

Głos mu drży z emocji, oczy ma wielkie i szkliste, przepelnione miłością. Wpatruje się w moją twarz, a ja wiem, czego szuka: wspólnoty, zrozumienia, zapewnienia, że nie jest sam.

Myślę o jego kolanie wciskającym się w moje udo za biurkiem, dłoni głaszczącej nogę. Nie przejęłam się, że nie spytał, czy się na to godzę, nie obchodziło mnie, że jest moim nauczycielem, że w klasie siedzi dziewięć innych osób. Gdy tylko to się stało, zapragnęłam, żeby stało się znowu. Normalna dziewczyna nie zareagowałaby w ten sposób. To prawda, jest we mnie coś mrocznego, zawsze było.

Mówię, że tak, że też to czuję – tę ciemność w nim, ciemność w sobie – a on nagle nie posiada się z wdzięczności i uwielbienia, ciągnie mnie mocniej za włosy. Za szklami okularów widzę jego oczy rozszerzone z pożądania. Pragnie, pragnie, pragnie. Czasem, gdy leży na mnie, gdy pojękuje z zaciśniętymi powiekami, nie zwracając uwagi, czy jestem podniecona, smutna, a może znużona, odnoszę wrażenie, że zależy mu tylko na tym, aby zostawić odrobinę siebie w moim wnętrzu, zawłaszczyć mnie, nie zapłodnić, nic z tych rzeczy, lecz dokonać czegoś bardziej fundamentalnego. Chce zyskać pewność, że zawsze tam będzie, bez względu na wszystko. Chce zostawić na moim ciele odciski swoich palców, na każdym kawałeczku mięśnia i kości.

I znów wbija się we mnie, oparty nogami o poręcz kanapy, i stęka mi do ucha. Dziwnie się czuję, bo wiem, że ilekroć pomyślę o sobie w wieku piętnastu lat, będę myślała właśnie o tym.

2017

W hotelu urządzamy Oktoberfest, na dziedzińcu jest pełno beczek, plastikowych kufli i par w średnim wieku zażerających się kielbaskami. Ja tymczasem siedzę na portierni i rozrywam palcami miękkiego precla, bo goście są zbyt pijani, żeby czegokolwiek chcieć ode mnie.

Większość personelu też jest pijana. Gdy zjawiłam się w pracy, kierownik restauracji ledwo trzymał się na nogach. Żłopie teraz czarną kawę na zapleczu, żeby trochę przetrzeźwieć przed wieczorną krzątaniem. Parkingowi odprowadzają auta na miejsce, mając nieskoordynowane ruchy i rozbiegane oczy, a w recepcji siedemnastoletnia córka właściciela hotelu ukradkiem popija alkohol z wysokiej szklanki. Ja łyknęłam dwa sazeraki, to wystarczy, żeby czuć lekki rausz.

Leniwie klikając myszką, krążę po błędnym kole e-mail-Twitter-Facebook-e-mail-Twitter-Facebook. Dziennikarka znowu do mnie napisała, utrzymana w uprzejmym tonie, ale dość namolna przypominajka: „Cześć, Vanesso, zgłaszam się ponownie, aby podkreślić, jak bardzo zależy mi na ukazaniu Twojej prawdy”. W tych słowach pobrzmiwa napięcie, jakby próbowała odwołać się do mojej chęci odwetu, którą uważa za oczywistość.

Kątem oka widzę pijanego gościa wtaczającego się do lobby, więc z większą uwagą wpatruję się w ekran komputera, ściągając ramiona i krzywiąc się, bo wiem, że odechce mu się zaczepiać mnie, jeśli będę wyglądać na jędzę.

– Cześć, złotko.

Gdy to słyszę, natychmiast czuję ucisk w dołku, ale on patrzy na siedemnastoletnią Inez siedzącą za biurkiem w recepcji.

Odwracam się z powrotem do komputera i czytam e-mail od dziennikarki. „Ukazaniu Twojej prawdy”. Mojej prawdy. Jakbym wiedziała, co to jest.

Inez próbuje ukryć szklankę pod blatem, ale mężczyzna ją dostrzega.

– A co tam chowamy? – Zgląda za biurko. – Uuuu, pijemy w pracy? Niegrzeczna dziewczynka.

Czuję, jakby to obca dłoń poruszyła myszką wiodącą kursor do prawego górnego rogu ekranu, aby wybrać komendę „prześlij dalej”.

Inez reaguje głośnym spiętym chichotem. Mężczyzna odbiera to jako zachętę i opiera się łokciami na biurku, nachyla do dziewczyny. Zerka na jej plakietkę.

– Inez. Jakie śliczne imię.

– Eee, dziękuję.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

Facet kręci głową i macha palcem.

– Akurat, w życiu tyle nie masz. Czuję, że za samo patrzenie na ciebie można trafić do pudła.

Przebieram palcami po klawiszach, wpisuję „jacob.strane@browick.edu” do rubryki odbiorcy, przysłuchując się, jak pijany mężczyzna mówi Inez, że jest piękna, że chciałby mieć trzydzieści lat mniej. Dziewczyna rozgląda się desperacko po lobby, na twarzy przyklejony niepewny uśmiech, na moment zerka na mnie, gdy poruszam myszką, przesuwam kursor na komendę „wyślij” i klikam.

E-mail zostaje przekierowany, potwierdzenie miga u góry ekranu i – nic się nie dzieje. Nie wiem, czego się spodziewałam. Że rozlegnie się alarm, *crescendo* syren? Lecz w lobby nic się nie zmienia, zawiany facet ciągle się ślini, a Inez ciągle zerka na mnie w niemym wołaniu o pomoc, ja zaś patrzę na nią i myślę: czego chcesz ode mnie? Naprawdę szukasz ratunku? To nic wielkiego. Jesteś bezpieczna, gość stoi po drugiej stronie biurka, nie dopadnie cię. Jeżeli aż tak bardzo się boisz, idź na zaplecze albo powiedz mu bez ogródek, żeby się odczepił. Powinnaś umieć sobie radzić z takimi sytuacjami.

Z tyłu otwierają się drzwi windy i wychodzi houseman z wózkiem załadowanym kartonami wina na Oktoberfest. Inez dostrzega szansę, więc wyskakuje zza biurka.

– Pomóc ci, Abdel? – pyta.

Houseman kręci głową, lecz ona i tak chwyta za koniec wózka. Pijany mężczyzna patrzy z rękami zwieszonymi bezwładnie po bokach, a Inez znika w głębi korytarza. Potem zerka przez ramię i dostrzega mnie po raz pierwszy.

– Na co się gapisz? – pyta i człapie z powrotem na dziedziniec.

Wzdycham przeciągle i odwracam się do komputera, znowu błędzę w zaklętym kręgu e-mail-Twitter-Facebook, gdy nagle mój telefon zaczyna wibrować, bo dzwoni Strane. Patrzę, jak aparat drży na biurku, w końcu następuje przekierowanie na pocztę głosową. Strane próbuje jeszcze raz, jeszcze raz i znowu. Z każdym kolejnym nieodebrany połączeniem coś we mnie wzbiera – poczucie zadowolenia, doznanie triumfu. Może ta dziennikarka ma jednak rację? Może gdzieś we mnie drzemie chęć zemsty?

Po skończeniu zmiany idę do baru. Przycupnięta w biurowej garsonce na stołku sączę whisky z wodą i przewijam listę kontaktów w komórce. Wysyłam esemesy, żeby się dowiedzieć, kto miałby ochotę przyłączyć się do mnie kwadrans po jedenastej w poniedziałek. Ira ignoruje moją wiadomość, podobnie mężczyzna, którego ściągnęłam do siebie kilka tygodni temu i który wyszedł tak szybko, jak tylko mógł, a więc zaraz po tym, jak zrobiłam się milcząca i nieczuła pod nim, zwijając się w kłębek i zakrywając twarz dłońmi. Tylko jeden chwyta przynętę: pięćdziesięcioletni rozwodnik, z którym przespałam się kilka miesięcy wcześniej. Nie podobało mi się, jak ze mną rozmawiał i że różnicę wieku między nami traktował jak zagrywkę z pornosa, nazywając siebie tatuśkiem i pytając mnie, czy chcę lanie w pupę. Starłam się mu powiedzieć, żeby się odprężył i zachowywał normalnie, ale nie chciał słuchać, zatkał mi tylko usta dłonią i warknął: „Chcesz tak, sama dobrze wiesz, że tak właśnie chcesz”.

Ja: Piję sama.

On: Dziewczeta nigdy nie powinny pić same.

Ja: Czyżby?

On: Mhm. Powinnaś mnie posłuchać. Wiem, co dla ciebie najlepsze.

Między esemesami dzwoni Strane – siódmy raz od chwili, gdy przekierowałam do niego e-mail od dziennikarki. Wciskam komendę „ignoruj” i wysyłam rozwodnikowi adres lokalu. Nie mija nawet kwadrans, gdy popalamy razem papierosa w zaułku za barem. Pytam go, jak się miewa, a on pyta mnie, czy byłam grzeczną dziewczynką.

Spoglądam na niego, zaciągając się papierosem, próbując ocenić, czy to żart, czy może powinienam odpowiedzieć.

– Bo wygląda, jakbyś nie była – mówi.

Milczę i spoglądam na telefon. Właśnie dostałam esemesa od Strane’a: „Nie wiem, co chciałaś dać mi do zrozumienia, przysyłając ten e-mail”. Gdy czytam, pojawia się następny: „Vanesso, nie mam w tej chwili siły na żadne gierki. Bądź łaskawa zachowywać się jak dorosła osoba”. Rozwodnik rusza do ataku, przypiera mnie do ściany baru. Zasłonięty kontenerami na śmieci wciera się ciałem w moje ciało, próbuje mi wepchnąć rękę w spodnie. W pierwszej chwili

parskam śmiechem i usiłuję się wyslizgnąć. On nie przestaje, więc odpycham go obiema rękami. Cofa się, ale nadal stoi nade mną zdyszany, poruszając ramionami w rytm oddechu. Strząsam popiół z papierosa, iskry sypią się na jego buty.

– Przyhamuj, co? – mówię. – Zachowuj się ładnie.

Mój telefon dzwoni. Ponieważ rozwodnik stoi obok albo ponieważ wiem, że wywołałam u Strane'a atak paniki, a właśnie na tym mi zależało, albo ponieważ jestem pijana, a więc głupia, przesuwam kciukiem po ekranie komórki i odbieram.

– Czego chcesz?

– Czego ty chcesz? – ripostuje Strane. – Naprawdę zamierzasz tak pogrywać?

Upuszczam papierosa i zgniatam go podeszwą, choć jest dopiero w połowie wypalony, i natychmiast szperam w torebce w poszukiwaniu następnego, zbywając rozwodnika machnięciem ręki, bo podsunął mi zapalniczkę.

– Dobra, zostawiam cię. Pojąłem aluzję.

– Kto to? – pyta Strane przez telefon. – Ktoś jest z tobą?

– Nieważne – odpowiadam. – To nikt.

Rozwodnik prycha, obraca się na pięcie, jakby chciał wrócić do baru, i zerka przez ramię, żeby sprawdzić, czy zamierzam go zatrzymać.

– Dlaczego przesłałaś mi ten e-mail? – pyta Strane. – Co planujesz zrobić?

– Niczego nie planuję. Chciałam tylko, żebyś go przeczytał.

Obaj milczą – Strane w telefonie, rozwodnik przy otwartych drzwiach, czekając, żebym go zatrzymała. Ubrany w to samo, co miał na sobie, gdy spiknęliśmy się pierwszy raz: czarne dzinsy, czarny T-shirt, czarna skórzana kurtka, czarne wojskowe buty – strój podstarzałego punka, a właśnie z takimi zadaję się w tych czasach, z mężczyznami, którzy twierdzą, że podnieca ich siła, ale potrafią sobie radzić tylko z kobietami zachowującymi się jak podlotki.

– Rozumiem, że może cię korcić – mówi Strane, starannie dobierając słowa – aby dołączyć do tej historii, która się teraz rozpętała. I wiem, że łatwo mogłabyś przedstawić to, co stało się między nami, jako... zachowanie niewłaściwe z mojej strony, krzywdzące czy jakiegokolwiek inne zgodnie z twoim obecnym samopoczuciem. Nie mam wątpliwości, że mogłabyś ze mnie zrobić, kogo byś chciała... – Zawiesza głos, bierze wdech. – Ale, mój Boże, Vanesso, naprawdę chcesz, żeby to się za tobą ciągnęło do końca życia? Bo jeśli się na to poważysz, jeśli pójdziesz z tym do mediów, przyłgnie to do ciebie...

– Posłuchaj, nie zamierzam nic robić – odpowiadam. – Nie zamierzam jej odpisać, nic jej nie powiem. Okej? Nic. Chciałam tylko, żebyś wiedział, co się dzieje u mnie. Powinieneś mieć świadomość, że to nie dotyczy wyłącznie ciebie.

Czuję, że po drugiej stronie wzbiera przypyły emocji, nagła kumulacja uczuć. Strane zdobywa się na gorzki śmiech.

– A więc o to chodzi? – pyta. – Potrzebujesz uwagi i współczucia? Właśnie teraz, w samym środku tej gównoburzy, postanowiłaś odgrywać rolę skrzywdzonej kobiety?

Zaczynam przeproszać, ale mi przerywa:

– Porównujesz to, przez co ja przechodzę, do kilku e-maili?! – ciągnie, praktycznie wrzeszcząc. – Odpierdoliło ci?!

Przypomina mi, że w tej sytuacji jestem górą. Czy nie uświadamiam sobie, jak wielką mam moc? Jeśli nasza historia by się wydała, nikt by mnie o nic nie winił, o nic, kurwa! Cała odpowiedzialność spadłaby na niego!

– Sam muszę dźwigać to brzemień – mówi. – I proszę cię tylko o jedno, a mianowicie żebyś mi tego nie utrudniała.

Kończy się na tym, że wybucham płaczem, przywarłszy czołem do muru z cegieł.

Przepraszam, nie wiem, co ze mną jest nie tak. Przepraszam, masz rację, masz rację. On też płacze. Mówi, że się boi, bo to wszystko wygląda bardzo źle. Owszem, wrócił do pracy, ale połowa uczniów przeniosła się do innej klasy, odebrali mu wychowawstwo, nikt nie patrzy mu w oczy. Czekają tylko na pretekst, żeby się go pozbyć.

– Proszę, bądź po mojej stronie – mówi. – Potrzebuję cię.

Wracam do środka, siadam przy barze i zwieszam głowę, aż nagle rozwodnik dotyka mojego ramienia. Zabieram go do domu, pozwalam mu zobaczyć mój bajzel, pozwalam zrobić wszystko, czego chce. Mam to gdzieś. Rano wypala porcję mojej trawki, a ja udaję, że wciąż śpię. Nawet gdy wychodzi, nie otwieram oczu, nie poruszam się. Leżę w łóżku, aż zostaje dziesięć minut do rozpoczęcia mojej zmiany.

Na artykuł natykam się dopiero w pracy, kiedy siedzę za biurkiem. Wydrukowany na pierwszej stronie gazety portlandzkiej: „Wieloletni nauczyciel zawieszony wskutek kolejnych zarzutów o molestowanie seksualne”. Podobno oskarża go już pięć kobiet. Taylor Birch i cztery inne: dwie niedawne absolwentki liceum i dwie obecne uczennice, a wszystkie były nieletnie w czasie popełnienia domniemanych przestępstw.

Przez resztę zmiany moje ciało machinalnie wykonuje obowiązki: używam pamięci mięśniowej, żeby telefonować do restauracji, potwierdzać rezerwacje i pisać wskazówki dla gości, życzyć każdemu miłego wieczoru. Po drugiej stronie lobby portierzy pchają wózki obciążone bagażami, a przy recepcji Inez mówi do telefonu swoim słodkim piskliwym głosem:

– Dziękuję za kontakt z hotelem Old Port.

Zagnieżdżona w kącie jestem cała sztywna i mam pustkę w głowie, gapię się tępo przed siebie. Obok przechodzi właściciel hotelu, zauważa, że sprawiam profesjonalne wrażenie. Podoba mu się moja postawa, dyżurna łagodność w oczach.

W artykule napisano, że Strane ugłaskiwał dziewczęta. „Ugłaskiwał”. Powtarzam w nieskończoność to słowo w myśli, próbując zrozumieć jego sens, ale czuję tylko ciepłe miłe doznanie, które mnie ogarniało, gdy głąskał mnie po głowie.

* Vladimir Nabokov, *Blady ogień*, przekład Stanisław Barańczak, Michał Kłobukowski, Warszawa 2011.

2001

– Vanesso, musisz pokazywać tok swojego myślenia – mówi profesor Antonova, wyglądając arkusz z moją pracą domową z geometrii w trakcie cotygodniowych konsultacji. – W przeciwnym razie skąd wiem, jak dotarłaś do właściwego rozwiązania?

Mruczę pod nosem, że to nie ma znaczenia, skoro odpowiedź jest poprawna. Profesor Antonova posyła mi wymowne spojrzenie znad okularów. Powinam rozumieć, że to ma znaczenie, przecież tłumaczyła mi wielokrotnie.

– Jak się czujesz przed sprawdzianem w następnym piątek? – pyta.

– Jak zawsze przed każdym sprawdzianem.

– Vanesso, co to za stosunek do nauki? Nie poznaję cię. Usiądź prosto, bądź poważna.

Wyciąga rękę i stuka długopisem w mój zeszyt, którego dotąd nie otworzyłam. Wzdycham i otrząsam się z odrętwienia, sięgam po zeszyt.

– Może powinniśmy jeszcze raz omówić twierdzenie Pitagorasa? – pyta.

– Jeśli pani profesor uważa, że musimy...

Zdejmuje okulary i wtyka je zausznicami we włosy przypominające watę cukrową.

– Konsultacje nie polegają na tym, że to ja mam ci mówić, co powinniśmy robić.

Omawiamy to, co jest dla ciebie trudne, tak? To musi być... – Szuka właściwego słowa. – Konsensus między nami.

Po spotkaniu zgarniam swoje rzeczy, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć przez kampus do wydziału nauk humanistycznych i zobaczyć się ze Strane'em przed rozpoczęciem rady pedagogicznej, ale profesor Antonova mnie zatrzymuje.

– Chcę cię o coś spytać, Vanesso.

Zagryzam policzek od środka, tymczasem ona zbiera podręczniki, segregator i płócienną torbę.

– Jak ci idzie z innych przedmiotów? – pyta, zdejmując z oparcia krzesła swój szalik z kaszmiru. Owija nim ramiona, przyczesuje grzywkę palcami.

Mam wrażenie, że umyślnie wszystkie czynności wykonuje bardzo powoli.

– Dobrze.

Otwiera drzwi, żeby mnie przepuścić.

– A jak stoisz z literatury amerykańskiej?

Mocniej ściskam podręcznik.

– Dobrze – powtarzam.

Idziemy korytarzem. Udaję, że nie dostrzegam baczego spojrzenia profesor Antonovej.

– Pytam, bo podobno spędzasz sporo czasu u profesora Strane'a. Czy tak?

Przełykam ślinę, odliczam stawiane kroki.

– Trochę.

– Chodziłaś na kółko pisarskie, ale tylko w jesiennym semestrze, prawda? Jesteś dobra z literatury, więc chyba nie potrzebujesz dodatkowych zajęć z nauczycielem?

Wzruszam ramionami, udając bez troskę.

– Profesor Strane i ja się zakolegowaliśmy.

Przypatruje mi się uważnie, a nad ściągniętymi brwiami pogłębiają się zmarszczki.

– Zakolegowaliście? On też tak uważa?

Skręcamy za róg, dwuskrzydłowe drzwi są już w zasięgu wzroku.

– Przepraszam, pani profesor, ale muszę iść, mam mnóstwo pracy domowej do

odrobienia.

Na pożegnanie rzucam „dziękuję”, doskakuję do wyjścia i zbiegam szybko po schodach.

Nie mówię Strane'owi o rozmowie z profesor Antonową, bo boję się, że gdybym to zrobiła, uznałby, że musimy zachowywać większą ostrożność, a umówiliśmy się już, że przyjdę do niego w dniu otwartym dla nowo przyjętych uczniów, a więc w sobotę, kiedy to stada ośmioklasistów i ich rodziców będą się włóczyć z wybałuszonymi oczami po kampusie. Strane mówi, że to dobry dzień na schadzkę po kryjomu, bo uroczyste wydarzenia powodują wiele zamieszania, więc łatwiej się prześlizgnąć przez sito.

O dziesiątej wieczorem odbywam ten sam rytuał co ostatnim razem: zaglądam do profesor Thompson tuż przed ciszą nocną i wymykam się tylnym wyjściem, z nieczynnym alarmem. Biegając przez kampus, słyszę odgłosy dochodzące od strony stołówki – furgonetki dostawcze, zatraskiwane metalowe drzwi, męskie głosy w ciemności. Na parkingu przy wydziale nauk humanistycznych znowu stoi kombi ze zgaszonymi reflektorami. Strane wygląda bezbrinnie, czekając na mnie w samochodzie, usidlony w małej przestrzeni. Gdy stukam lekko w okno, podskakuje i chwyta się za serce, a ja przez moment patrzę na niego i myślę, że mógłby dostać zawału i kofnąć.

Po przyjeździe do jego domu siadam przy blacie w kuchni, uderzając piętami o nogę krzesła, a on przygotowuje dla mnie jajecnicę z tostem. Powoli nabieram pewności, że nic innego nie potrafi przyrzucić.

– Myślisz, że ktoś nas może podejrzewać? – pytam.

Spogląda na mnie zdziwiony.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem, tak sobie.

Słychać „dzyng!” tosterów i ze szpary wyskakują wypieczone kromki. Za bardzo zbrązowiałe, praktycznie przypalone, ale nic nie mówię. Strane nakłada jajecnicę na chleb i stawia przede mną talerz.

– Nie, nie myślę – odpowiada w końcu. Wyjmuje piwo z lodówki i zaczyna pić, obserwując mnie podczas jedzenia. – A chciałabyś, żeby ktoś podejrzewał?

Odgryzam spory kawałek tosta, żeby zyskać chwilę na przemyślenie odpowiedzi. Niektóre pytania Strane'a są normalne, inne to sprawdziany. Tak właśnie brzmi to ostatnie. Przełykam jedzenie.

– Chciałabym, aby wiedzieli, że jestem dla ciebie kimś wyjątkowym.

Uśmiecha się, wyciąga rękę i zgarnia palcami odrobinę jajecznicy z mojego talerza. Wrzuca ją sobie do ust.

– To akurat wiedzą – mówi. – Możesz mi wierzyć.

Zaskakuje mnie filmem, który mamy razem obejrzeć – to *Lolita* w starej wersji, w reżyserii Kubricka. Czuję, jakby w ten sposób chciał mnie przeprosić za to, że powiedział, iż zbyt dosłownie traktuję tę powieść. W trakcie oglądania pozwala mi wypić piwo, a potem, gdy idziemy do łóżka, znowu mam na sobie piżamę w truskawki. Jestem na tyle wstawiona, że gdy prosi mnie, abym osunęła się na czworaki, bo chce mnie lizać od tyłu, wcale nie jestem speszona, tylko posłusznie wykonuję jego prośbę. Po seksie Strane idzie do pokoju i wraca z polaroidem.

– Nie ubieraj się jeszcze – mówi.

Kręcę głową i zasłaniam piersi rękoma, wybałuszając oczy.

Uśmiecha się łagodnie. Zapewnia mnie, że nikt oprócz niego nie zobaczy tych fotek.

– Chcę uwiecznić tę chwilę – wyjaśnia. – To, jak teraz wyglądasz.

Pstryka. Potem owijam się kołdrą, a Strane rozkłada zdjęcia na prześcieradle. Razem

patrzemy, jak się wywołują, jak z mroku wyłania się łóżko i moje ciało.

– Mój Boże, spójrz na siebie – mówi, biegnąc wzrokiem między mną a moim wizerunkiem.

Jest zahipnotyzowany, jak w transie.

Wciąż patrzę na zdjęcia, próbując zobaczyć to, co on widzi, ale wyglądam dziwnie – nieznosnie blada na tle zmierzwionej pościeli, wzrok rozkojarzony, włosy potargane od seksu. Gdy Strane pyta, co myślę, odpowiadam:

– Przypomina mi się jeden wideoklip Fiony Apple.

– Kogo? – mruczy, nie podnosząc wzroku.

– Fiony Apple. To moja ulubiona piosenkarka. Pamiętasz, puszczałam ci ją kiedyś.

Kilka tygodni wcześniej na kartce wyrwanej z zeszytu napisałam słowa z jej utworu, złożyłam ją i wychodząc z klasy, zostawiłam na biurku Strane'a. Akurat pokłóciliśmy się wtedy o moje studia – powiedziałam, że nie chcę się dalej uczyć, a on odparł, że nie powinnam tracić zapału z żadnego powodu, nawet przez niego, na co się rozplakałam. Myślałam, że ten tekst pomoże mu zrozumieć, jak się czuję, ale w ogóle o nim nie wspomniał. Może wcale go nie przeczytał?

– A tak, racja. – Zgarnia zdjęcia. – Trzeba to schować w dobrym miejscu.

Wychodzi z sypialni i idzie na dół, a ja nagle robię się tak poirytowana, że czuję pieczenie w piersi, na twarzy, w nogach i rękach. Naciągam kołdrę na głowę, wdycham gorące powietrze, przypominam sobie, jak parę tygodni wcześniej bąknęłam coś o Britney Spears, a on nie miał bladego pojęcia, o kim mówię. „To jakaś gwiazdka pop?”, spytał. „Nie wiedziałem, że twoje upodobania idą w tę stronę”. Zabrzmiało tak, jakbym była głupią gówniarą, a on mędrce, bo nie wie, kim jest cholerna Britney Spears.

Podczas kwietniowej przerwy kończę szesnaście lat. Babe łąduje u weterynarza na sterylizacji i wraca do domu odurzona, z wygolonym i pozszywanym podbrzuszem. Pokazuję rodzicom listę wyższych uczelni przygotowaną dla mnie przez Strane'a. Jedziemy do południowego Maine, żeby odwiedzić kilka z nich. Gdy spacerujemy po kampusie, ojciec patrzy osłupiały na budynki, a mama odczytuje informacje znalezione w sieci: „Czterdzieści procent studentów Bowdoin kontynuuje studia za granicą; jeden na czterech absolwentów odbywa studia podyplomowe”.

– A jaka jest tutejsza cena? – pyta ojciec. – To też wydrukowałaś?

W połowie tygodnia przyjeżdża Strane, żeby się ze mną zobaczyć, gdy rodzice są w pracy. Parkuje swoje kombi w zachwaszczonym zaułku do wodowania jachtów i idzie na piechotę przez las do naszego domu. Stoję w salonie, zza drzwi zaglądam do kuchni, czekam, żeby ukazał się w oknie, a gdy w końcu go dostrzegam, piszczę cichutko, jakbym się bała, ale wcale tak nie jest – dlaczego miałabym się bać? W marynarce khaki i okularach z przeciwsłoneczną nakładką wygląda jak czyjś tatulo, pospolity tłuk w średnim wieku, mdły jak mleko.

Gdy osłania oczy stulonymi dłońmi i zagląda przez okno do środka, chwytam Babe za obrożę i otwieram drzwi na oścież. Strane wchodzi, a suczka wrywa mi się z rąk. Krzywi się, bo Babe skacze na niego, wywijając różowym jęzorem sterczącym z pyska. Mówię, żeby krzyknął „nie”, a wtedy suczka przestanie, ale odpycha ją mocno. Babe łąduje na grzbiecie i nadąsana umyka na swoje posłanie, błyskając białkami ślepi. W tej chwili nienawidzę Strane'a.

Rozgląda się po wnętrzu, z dłońmi splecionymi na plecach, jakby bał się dotknąć czegokolwiek, i nagle widzę wszystko jego oczami, bo tutaj nie jest tak czysto jak w jego domu: warstwa psich kłaków na dywanie, stara kanapa z zapadłymi poduszkami. Krążąc po parterze, zatrzymuje się przy małych drewnianych chatkach stojących na okiennym parapecie. To kolekcja

mamy – daję jej jedną w prezencie na każde Boże Narodzenie. Strane patrzy na chatki, a ja wyobrażam sobie, co myśli: po co zbierać takie ohydne durnostojki? Przypominam sobie bibeloty na jego półkach z książkami – każdy z obcego kraju, z określoną historią w tle. Przypominam też sobie, co powiedział o moich rodzicach po spotkaniu w Browick. „Przyzwoici ludzie”, stwierdził. „Sól tej ziemi”. Kojarzy mi się to ze słowami, jakimi określił inną stypendystkę liceum, absolwentkę, którą przyjęto do Wellesley, ale która zrezygnowała, bo nie stać jej było na chesne. Czuł się okropnie z tego powodu, ale co mógł zrobić? „Biedaczce się nie przelewa”, powiedział.

– Nudno tutaj – mówię i chwytam go za rękę. – Chodźmy na górę.

Wciąga głowę w ramiona, gdy przekracza próg mojego pokoju. Jest tak wysoki, że dominuje w ciasnej przestrzeni, ociera się czerepem o spadzisty sufit, chłonąc wzrokiem plakaty na ścianach i niezasałane łóżko.

– Och – wzdycha. – To takie cenne.

Z powodu mojego wyjazdu do Browick czas się tutaj zatrzymał. Pokój bardziej wyraża mnie sprzed trzech lat niż teraz. Boję się, że to wszystko może się wydać Strane'owi królestwem małej dziewczynki, ale to najwyraźniej mu nie przeszkadza. Przygląda się książkom na półce, literaturze dla starszych dzieci, z której wyrosłam, kredensowi, na którym roi się od buteleczek z wyschniętym lakierem do paznokci i zakurzonych maskotek. Podnosi wieczko szkatułki na biżuterię i uśmiecha się, gdy balerina wstaje i zaczyna wirować w tańcu. Rozsupluje woreczek i wytrząsa na dłoń laleczki na zmartwienia wykonane z brązowego papieru i sznurka. Wszystkiego dotyka bardzo delikatnie.

Przed seksem każe mi udawać, że śpię, aby mógł się wślizgnąć ukradkiem do łóżka, a ja niby się budzę. Wpycha się we mnie i zatyka mi dłonią usta.

– Musimy być cicho – szepcze, jakby w domu byli inni ludzie.

Tryka mnie gorączkowo i szybko, a ja czuję, że mózg grzechocze mi w czaszce, kończyny drętwieją, umysł znów mnie opuszcza, ucieka na dół, gdzie na swoim posłaniu skamle Babe, wciąż nieświadoma, co zrobiła niewłaściwego. Kiedy jest po wszystkim, Strane znowu bierze aparat fotograficzny, upozowuje mnie na łóżku, układa włosy na piersiach i podnosi zasłonę w oknie, aby smuga światła padła na moje ciało.

Później wybieramy się na przejażdżkę jego kombi, włączymy po szosach, które wiją się wśród lasów na wschodzie. Okno ma otwarte, wystawił łokieć na zewnątrz. Jak na kwiecień jest ciepło, dwadzieścia stopni, na gałęziach pąki kwiatów, chwasty coraz wyższe przy poboczach.

– Latem też przyjadę do ciebie. Zgarnę cię i pojedziemy na wycieczkę.

– Jak Lolita i Humbert – odpowiadam bez zastanowienia i zaraz się krzywię z obawy, że zgani mnie za to porównanie, ale reakcją jest uśmiech.

– Chyba można tak to ująć. – Zerka na mnie, kładzie mi dłoń na udzie. – Podoba ci się to, co nie? Może pewnego dnia nie odwiozę cię do domu, tylko będę jechał i jechał. Uprowadzę cię.

Im bardziej zbliżamy się do wybrzeża, tym większy panuje ruch na drogach. Strane najwyraźniej się nie boi, więc ja też nie. Dwoje zbiegów na wolności, para śmiałych przestępców jadących na wschodni kraniec stanu, do wioski rybackiej, której mieszkańcy nawet nie mrugną okiem, gdy zatrzymamy się po napoje na targu i pójdziemy na molo, trzymając się czule za ręce.

– Szesnaście lat. – Kręci głową. – Praktycznie jesteś już kobietą.

Nastawiamy samowyzwalacz i kładziemy polaroid na masce samochodu. Zdjęcie jest nieco prześwietlone – Strane obejmuje mnie ramieniem na tle oceanu. To jedyne istniejące zdjęcie nas obojga. Mam ochotę poprosić go, aby mi je dał, ale boję się, że odmówi, więc gdy zatrzymujemy się po benzynę, po kryjomu wydajemy fotkę ze schowka i wsuwam ją do torebki. Zostawiam mu zdjęcie ze mną na łóżku. Przecież i tak tylko na tym mu zależy.

W drodze powrotnej mówi, że chciałby mnie jeszcze pocałować, i skręca z szosy na

szutrówkę. Kombi kołysze się po zwirowej nawierzchni, błoto tryska na przednią szybę. Jedziemy kilka kilometrów przez gęsty las, aż wreszcie drzewa rzedną i znikają zupełnie, a ukazują się pofałdowane pola porośnięte krzakami jagód, zielony kobierzec upstrzony białymi głazami. Strane parkuje, gasi silnik i odpina pas bezpieczeństwa, wyciąga rękę i odpina moją klamrę.

– Chodź tu.

Gramolę się do niego między fotelami. Ocierając się plecami o kierownicę, wciskam niechcący klakson i płoszę stado wron na krańcu pola. Łapie mnie za tyłek, sukienka zadarta na biodra, dokoła słychać szum. Za oknem samochodu w odległości kilkudziesięciu kroków widzę pasiekę obsiadłą przez pszczoły. Jesteśmy daleko od wszystkiego i wszystkich, możemy robić to, na co mamy ochotę, a nasze osamotnienie wydaje się tak samo bezpieczne, jak niebezpieczne. Nie umiem już czuć jednego bez drugiego.

Odciąga mi majtki. Dwa palce we mnie. Ciągle jestem lepka po seksie w moim pokoju, uda zaczynają swędzieć. Wciskam się czołem w zagłębienie jego szyi, gorący oddech na obojczyku, gdy próbuje doprowadzić mnie do szczytowania. Mówi, że wyraźnie czuje, gdy dochodzę. Twierdzi, że niektóre kobiety kłamią, udają, ale tego, jak zachowuje się moje ciało, nie sposób symulować. Że jestem szybka. Taka szybka, aż nie do wiary. Dlatego chciałby mnie doprowadzić do końca ponownie, żeby zobaczyć, ile razy z rzędu potrafię wytrzymać. To mi się nie podoba. Brzmi, jakby seks był jakimś sportem, który on uprawia.

Gdy tylko zaczyna się dziać, mówię, żeby przestał. Wystarcza jedno słowo, Strane zabiera rękę, jakbym płonęła żywym ogniem. Odsuwam się, przełażę przez środek na swój fotel, uda oślizłe, pierś falująca. Podnosi dłoń, tę, którą mnie pieścił, i przysuwa ją do twarzy, wdycha mój zapach. Zastanawiam się, ile razy dotąd doprowadził mnie do orgazmu. „Gratuluję”, mam ochotę powiedzieć, „znowu ci się udało”. Odchylam głowę do tyłu i patrzę na rój pszczoł i wierzchołki iglaków kołyszące się w oddali.

– Nie wiem, jak przeżyję lato bez ciebie – wyznaję.

Nie wiem nawet, czy naprawdę tak myślę. W końcu dotąd radziłam sobie podczas rozłąk z powodu przerw w nauce. To on mówi, że nie wytrzyma tygodnia bez spotkania ze mną albo choćby telefonu. Ech, to takie słowa, które się wypowiada po seksie, gdy jestem rozklejona. Lecz Strane traktuje je poważnie. Jest wyczulony na każdą oznakę, że zbytnio się do niego przywiązałam, w sposób, który mógłby mieć długotrwałe konsekwencje.

– Będziemy się często widywać – zapewnia. – Znudzę ci się do lipca.

– Zobaczysz, znudzę ci się – powtarza, gdy wracamy na szosę. I dodaje: – To ty złamiesz mi serce, nie odwrotnie. Masz mnie w swoich małych rączkach.

Złamię mu serce? Próbuję sobie wyobrazić, że rzeczywiście mam taką moc, że skradłam jego serce i mogę z nim zrobić, co mi się żywnie podoba, ale nawet gdy widzę je pulsujące w moich dłoniach, tętniące życiem, ono pozostaje moim władcą, wie gdzie mnie na postronku, prowadzi bezwolną w tę i tamtą stronę, a ja lgnę bezradnie, nie mogę się oprzeć.

– Może ty mi złamiesz – odpowiadam.

– Niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo podobne historie tak się nie kończą.

– Dlaczego w ogóle muszą się kończyć?

Przenosi spojrzenie z szosy na mnie i z powrotem na szosę, brwi ściągnięte w wyrazie niepokoju.

– Vanesso, gdy w końcu się rozstaniemy, to cię nie zaboli. Będiesz gotowa, żeby się ode mnie uwolnić. Będziesz miała całe życie przed sobą. Ruszysz dalej, to będzie ekscytujące.

Patrzę przed siebie w milczeniu. Wiem, że się rozplączę, jeśli tylko spróbuję coś odrzec lub się poruszyć.

– Życie ma ci mnóstwo do zaoferowania – ciągnie Strane. – Będziesz robić niewiarygodne rzeczy. Pisać książki, wędrować po świecie.

Przepowiada mi przyszłość, mówi, że zaliczę kilkudziesięciu kochanków, zanim skończę dwadzieścia lat. W wieku dwudziestu pięciu wciąż będę bezdzietna, o wyglądzie dziewczęcia, ale w wieku trzydziestu stanę się kobietą, przepadną dziecięce policzki, wokół oczu pojawią się drobniutkie zmarszczki. I, dodaje, wyjdę za mąż.

– Nigdy nie wyjdę za mąż – odpowiadam. – Nie nadaję się do małżeństwa. Tak samo jak ty, pamiętasz?

– Nie chcesz takiego życia.

– Owszem, chcę.

– Nie chcesz – stwierdza beznamiętnie głosem belfra. – Nie jestem wzorem do naśladowania.

– Nie mówmy już o tym.

– Nie denerwuj się.

– Nie denerwuję.

– Denerwujesz. Widać. Zbiera ci się na płacz.

Skulona odwracam się plecami do Strane'a i przyklejam czoło do bocznej szyby.

– Tak po prostu jest – tłumaczy. – Nie zawsze będziemy do siebie pasować tak, jak pasujemy teraz.

– Proszę cię, przestań już.

Przejechany kolejny kilometr, warkot tirów, długie półkole ozu i bagnistego jeziora poniżej, w oddali brązowoczarna masa czegoś, co może być łosiem albo niczym.

– Vanesso, gdy spojrzysz na mnie z perspektywy czasu, zobaczysz mnie jako kogoś, kto cię kochał. Jednego z wielu. Zapewniam cię, że twoje życie pomieści znacznie więcej niż Strane'a.

Rwie mi się oddech. Może on ma rację? Może w tym, co mówi, jest bezpieczeństwo, szansa, aby to przeżyć i odejść, bez szwanku i spętania? Czy to naprawdę niemożliwe, żebym wyszła z tego jako osoba obyta i mądra, jako dziewczyna z ciekawą historią do opowiedzenia? Gdy w przyszłości ludzie będą mnie pytać o pierwszą miłość, prawda wyróżni mnie spośród innych. Nie, to nie był zwykły chłopiec, lecz starszy mężczyzna, mój nauczyciel. Kochał mnie tak rozpaczliwie, że musiałam go porzucić. Tragiczne to, ale nie miałam wyboru. Takie jest życie.

Prowadząc auto, Strane wyciąga rękę, przesuwa dłonią po moim kolanie. Zerka na mnie ukradkiem, próbuje czytać z mojej twarzy. Chce się upewnić, że nie mam nic przeciwko pieszczocie. Czy to miłe? Czy jest ci przyjemnie? Mrugam powiekami, gdy dłoń wędruje po udzie. Jacob Strane żyje po to, aby sprawiać mi rozkosz. Gdybyśmy rozstali się w tej chwili, nadal by mnie wielbił – swoją mroczną Vanessę. To powinno wystarczyć. Szczęściara ze mnie, że to mam, że jestem tak bardzo kochana.

*

Po przerwie w kwietniu rozpoczyna się zjazd po równi pochylej. Ciepłe dni sprzyjają lekcjom na dworze i weekendowym wypadom do Mount Blue. Kwitną żonkile, rzeka przepływająca przez Norumbegę przybiera, zalewa niżej położone ulice. Kiedy powracają zajęcia kółka pisarskiego, z drukarni nadchodzą nowe numery magazynu literackiego, a Jesse i ja porządkujemy zawartość kartonów, zastanawiając się, gdzie dostarczyć egzemplarze, wtedy

Strane woła mnie do swojego gabinetu i całuje namiętnie, wypełniając językiem całe moje usta. To lekkomyślne, zaskakująco lekkomyślne, przecież Jesse jest tuż obok, drzwi są niedomknięte. Gdy wracam do klasy, z piekącymi wargami i zarumienioną twarzą, Jesse udaje, że niczego nie zauważył, lecz na następnych zajęciach się nie pojawia.

– Gdzie Jesse? – pytam.

– Zrezygnował – odpowiada Strane. Uśmiecha się, wydaje zadowolony.

Na rozszerzonych zajęciach z literatury amerykańskiej zaczynamy segment, w ramach którego porównujemy słynne obrazy do książek przeczytanych w ostatnim roku. *Śniadanie wioślarzy* Renoira to *Wielki Gatsby*, wszyscy są rozleniwieni i pijani. *Guernica* Picassa to *Pożeganie z bronią*, chaos i potworności wojny. Gdy Strane pokazuje nam reprodukcję *Świata Christiny* Andrew Wyetha, wszyscy w klasie są zgodni, że to prawdopodobnie *Ethan Frome* – z tą mroczną samotnością, domem mającącym na wzgórzu. Po zajęciach mówię Strane'owi, że w obrazie Wyetha widzę *Lolite*, próbuję to wyjaśnić – bo kobieta wygląda na pokonaną, te chude kostki, ta nieprzebyta odległość między nią a domem przypomina mi opis Lo na samym końcu: blada, w ciąży, skazana na śmierć. Strane kręci głową i po raz tysięczny mówi, że przypisuję tej powieści zbyt dużą wagę.

– Musimy ci znaleźć inną ulubioną książkę – stwierdza.

Zabiera naszą klasę na wycieczkę do miasteczka, w którym mieszkał Andrew Wyeth. Jedziemy na wybrzeże tak dużą furgonetką, że gdy siedzę obok niego w fotelu pasażera, ledwie uzmysławiam sobie obecność pozostałych uczniów. To ekscytujące, wyrwać się ze Strane'em z kampusu szkoły, mimo że mamy na karku nieświadomych zakładników. A gdybyśmy postanowili wykorzystać okazję i uciec razem? Resztę zostawilibyśmy na parkingu przy stacji benzynowej, a wiatr nawiewałby Jenny włosy do oczu, gdy patrzyłaby, jak nikniemy w oddali.

A jednak to kiepski czas na wycieczkę, bo właśnie się pokłóciliśmy o kolejną noc, którą miałabym spędzić w jego domu przed nadejściem wakacji. Strane mówi, że powinniśmy się wstrzymać, unikać ryzyka, przecież będziemy się często widywać latem, lecz gdy pytam go o konkretne daty, odpowiada, że muszę przestać ustawiać całe swoje życie pod niego. Tak więc w trakcie wypadu karzę go uporczywym milczeniem i robię rzeczy, które nieuchronnie go irytują – gmeram przy radiu, opieram stopy o deskę rozdzielczą. Usiłuje mnie ignorować, ale dostrzegam zaciśnięte zęby, dłonie wściekle ściskające kierownicę. Mówi, że gdy jestem taka, gdy zachowuję się jak dziecko, wtedy w ogóle nie można przemówić mi do rozsądku.

Po dotarciu do Cushing zwiedzamy Olson House, dom na wzgórzu ze *Świata Christiny*. W pokojach jest pełno zakurzonych staroświeckich mebli i obrazów Wyetha. Ale to nie oryginały, wyjaśnia przewodnik, lecz kopie. Nie można powiesić oryginałów, gdyż słone powietrze jest zbyt ostre, zniszczyłoby płótna.

Osiemnaście stopni, zrobiło się na tyle ciepło i słonecznie, żeby zjeść lunch pod gołym niebem. U podnóża pagórka Strane rozkłada koc i zerka na dom z tej samej perspektywy, z której patrzy na obrazie Christina. Po posiłku urządzamy sesję spontanicznego pisania, a on chodzi dokoła z rękami założonymi z tyłu. Nadal podsycam w sobie gniew, nie chcę się dostosować, nie dotykam nawet długopisu i zeszytu leżących na ziemi, kładę się na wznak i gapię w niebo.

– Usiądź, Vanesso, i bierz się do pracy – mówi Strane.

Powiedziałby tak do każdego innego ucznia, który próbowałby się stawiać, ale w tym wypadku w jego głosie słychać niepewność, błagalny ton, który z pewnością złowili pozostali. „Proszę cię, nie rób mi tego”.

Nie ruszam się.

Kiedy wszyscy ładują się do furgonetki przed odjazdem do Browick, Strane chwyta mnie za ramię i prowadzi za auto.

– Masz przestać!

– Puszczaj!

Próbuję się wyrwać, ale trzyma mnie mocno.

– Na pewno nie stanie się po twojej myśli, jeśli będziesz się zachowywać w ten sposób.

Szarpie mnie za ramię tak gwałtownie, że o mało się nie przewracam.

Zerkam na tylne okienka w furgonetce, rozdarta na dwoje, jedna połowa tutaj z nim, druga z pozostałymi w środku, zapinająca pas, wciskająca torbę pod siedzenie. Gdyby któreś z nich wyjrzało, zobaczyłoby jego palce zaciśnięte mocno na moim miękkim przedramieniu, a to by wystarczyło, żeby zrodziły się podejrzenia – bardziej niż wystarczyło. Dopada mnie myśl, która kłuje jak żądło – może Strane chce, żeby ktoś zobaczył? Zaczynam rozumieć, że im dłużej udaje nam się coś ukryć, tym bardziej lekkomyślni się stajemy, jakbyśmy chcieli zaliczyć wpadkę.

Wieczorem Jenny puka do mojego pokoju i pyta, czy mogłybyśmy porozmawiać. Patrzę z łóżka, jak wchodzi i zamyka drzwi za sobą. Ogarnia wzrokiem bałagan, ubrania porozrzucone na podłodze, na biurku warstwy luźnych kartek i kubki z niedopitą spleśniałą już herbatą.

– Owszem, ciągle jestem wstrętną bałaganiarą – mówię.

Kręci głową.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale pomyślałaś.

– Nie pomyślałam.

Przysuwa sobie krzesło, ale leży na nim sterta prania sprzed tygodnia, którego nie uporządkowałam.

– Zrzuć na podłogę.

Pociąga za spód i wszystko spada.

– Chcę z tobą porozmawiać o poważnej sprawie. Tylko się na mnie nie wściekaj.

– Dlaczego miałabym się wściekać?

– Przecież zawsze się na mnie wściekasz, a ja nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam. –

Zerka na swoje dłonie i dodaje: – Byłyśmy przyjaciółkami.

Krzywię się, chcę zaprotestować, ale ona wzdycha i dodaje:

– Widziałam dzisiaj na wycieczce, jak profesor Strane cię dotykał.

W pierwszej chwili nie rozumiem, o czym gada. „Widziałam, jak profesor Strane cię dotykał”. Brzmi to erotycznie. Przecież Strane wcale mnie nie dotykał na wycieczce, przez cały czas byliśmy na siebie pogniewani. Ale potem przypominam sobie, jak chwycił mnie za ramię.

– Ach, to – mruczę. – To nic...

Przygląda mi się.

– To nic takiego – powtarzam.

– Dlaczego to zrobił?

Kręcę głową.

– Nie pamiętam.

– A robił to wcześniej?

Nie wiem, co odpowiedzieć, bo tak naprawdę nie wiem, o co Jenny pyta. Czy uwierzyła w plotki o moim romansie ze Strane'em? Ma minę, jakby rozmawiała z osobą zagubioną – robiła ją zawsze, gdy wyczuwała, że czegoś nie wiem, co wie ona, o muzyce, filmach i ogólnym funkcjonowaniu świata.

– Coś mi zaświtało.

– Co ci zaświtało?

– Nie powinnaś mieć do siebie pretensji. To nie twoja wina.

- Co nie jest moją winą?
- Wiem, że on cię krzywdzi.
- Podnoszę gwałtownie głowę.
- Krzywdzi mnie?
- Vanesso...
- Kto ci to powiedział?

– Nikt. To znaczy słyszałam plotki, że sypiasz z nim za dobre stopnie, ale w to nie wierzę. Nie wierzyłam nawet wcześniej, zanim rozmawialiśmy. Nie jesteś taka... nie zrobiłabyś nic podobnego. Ale dzisiaj widziałam, jak się zachował wobec ciebie, jak cię chwycił, i wreszcie dotarło do mnie, co się dzieje.

Ona mówi, a ja kręcę głową.

– Mylisz się.

– Posłuchaj, Vanesso. To straszny człowiek. Moja siostra mówiła mi, że to zjeb, że molestuje dziewczyny, jak noszą spódniczki, takie tam, ale nie miałam pojęcia, że jest aż tak źle. – Nachyla się, patrzy na mnie z przejęciem. – Możemy doprowadzić do wylania go z pracy. W tym roku mój tata zasiada w radzie szkoły. Jeśli mu o tym powiem, Strane wyleci na zbity pysk.

Zszokowana mrugam gwałtownie powiekami – „wyleci na zbity pysk”, „zjeb”, „molestuje dziewczyny”, „Strane”. To straszne słyszeć, jak Jenny mówi o nim w ten sposób.

– Dlaczego miałabym chcieć, żeby go wylali? – pytam.

– Jak to? – Jest autentycznie zdezorientowana. Po chwili jej twarz łagodnieje, widzę ściągnięte usta i uniesione brwi. – Wiem, że pewnie się boisz, ale nie musisz się bać. Więcej cię nie skrzywdzi.

Patrzy na mnie, uosobienie współczucia, a ja zastanawiam się, jak to możliwe, że dawniej miałam dla niej tyle serca, że pragnęłam być z nią jak najbliżej, mimo że spała w tym samym małym pokoju, zaledwie dwa metry dalej. Myślę o jej granatowym szlafroku wiszącym na drzwiach, małych pudełkach rodzynek zawiniętych w celofan, stojących na półce nad biurkiem, i jak wieczorami smarowała nogi balsamem o zapachu bzu, o mokrych plamach na jej T-shircie od wody ze świeżo umytych włosów. Czasem obżerała się pizzami z mikrofalówki, wstyd wypisany na twarzy, gdy jadła. Zauważałam wszystko, nawet najdrobniejsze jej cechy, ale po co? Co w niej było takiego? Teraz wydaje mi się niewiarygodnie pospolita, z umysłem zbyt ciasnym, żeby zrozumieć cokolwiek w sprawie mojej i Strane’a.

– Dlaczego ty się tak bardzo tym przejmujesz? – pytam. – To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Oczywiście, że ma! On nie powinien tu uczyć. Nie powinno się go do nas dopuszczać. To drapieżca.

Parskam śmiechem w reakcji na to słowo. „Drapieżca”.

– Wyluzuj, Jenny.

– Posłuchaj, mnie zależy na tej szkole, okej? Nie śmieję się ze mnie tylko dlatego, że chcę, aby tutaj było jak należy.

– Czyli twierdzisz, że mnie Browick nie obchodzi?

– Nie – odpowiada z wahaniem. – Ale to... to nie to samo. Nikt z twojej rodziny nie chodził wcześniej do tej szkoły, rozumiesz? Dla ciebie to tylko kilka lat, potem skończysz naukę i sprawa zamknięta. Nigdy więcej o tym nie pomyślisz. Nic tutaj nie wnosisz.

– Nic nie wnoszę? Chodzi ci o czesne?

– Nie – zaprzecza szybko Jenny. – Nic takiego nie powiedziałam.

Kręcę głową.

– Ale z ciebie snob.

Próbuje zatrzeć złe wrażenie, ale ja już nasuwam słuchawki na głowę. Nie są do niczego podłączone, wtyczka zwisa z łóżka, lecz to wystarczy, żeby Jenny zamilkła. Patrzę, jak wstaje, zgarnia pranie z podłogi i kładzie je na krześle. To właściwie akt życzliwości, ale w tej chwili doprowadza mnie do szału, zrywam słuchawki z głowy.

– Jak tam z Hannah? – pytam.

Zastyga.

– O co ci chodzi?

– No wiesz, jesteście teraz psiapsiółki, nie?

Jenny mruga powiekami.

– Musisz być taka wredna?

– To ty zawsze byłaś wredna wobec niej – odpowiadam. – Śmiałaś się jej prosto w twarz.

– Myślałam się – odwarkuje. – Hannah jest w porządku. Ty natomiast potrzebujesz pomocy.

Podchodzi do drzwi.

– Między mną a nim nic nie ma – mówię. – To głupie plotki.

– Nie chodzi o to, co słyszałam, tylko co widziałam. Dotykał cię.

– Nic nie widziałaś.

Patrzy na mnie zmrużonymi oczami i kładzie dłoń na kłance.

– A właśnie, że widziałam.

Strane każe mi powtórzyć słowo w słowo rozmowę z Jenny, a gdy wspominam, że nazwała go zjebem, wybałusza oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek określa go w taki sposób.

– A to mała kołtuńska dziwka – mruczy.

Ścina mnie chłód. Nigdy nie słyszałam, żeby tak mówił.

– Wszystko będzie w porządku – zapewnia. – Pod warunkiem że oboje będziemy wszystkiemu zaprzeczać. Wtedy będzie dobrze. Muszą być dowody, żeby można było serio potraktować plotki.

Wskazuję, że to już nie tylko plotki, bo Jenny widziała, jak chwycił mnie za ramię. Strane prychna lekceważąco.

– To niczego nie dowodzi – stwierdza.

Nazajutrz na lekcji literatury amerykańskiej zadaje pytanie o *Szklaną menażerię* i wyznacza Jenny do odpowiedzi, mimo że nie przejawiała chęci, aby się zgłosić. Czerwona jak burak wbija wzrok w zeszyt. Jest rozkojarzona, najprawdopodobniej nie usłyszała pytania. Duka coś niepewnie, lecz zamiast poprosić innego ucznia, Strane siada na krześle i splata ręce na piersi, jakby był gotów czekać cały dzień.

Tom się odzywa, ale Strane podnosi rękę.

– Chcę usłyszeć, co Jenny ma do powiedzenia.

Siedzimy wszyscy w milczeniu przez kolejne boleśnie długie dziesięć sekund. Wreszcie Jenny mówi cichym głosem:

– Nie wiem.

Strane unosi brwi i kiwa głową. „Tak myślałem”.

Po skończonej lekcji widzę, że Jenny wychodzi z Hannah, szepcząc coś z przejęciem. Hannah zerka na mnie przez ramię. Podchodzę do Strane’a, ścierającego tablicę.

– Nie powinieneś jej tak traktować.

– A łudziłem się, że to ci się spodoba.

– Upokarzanie jej tylko pogorszy sprawę.

Mruga powiekami świadom mojego sprzeciwu.

– Od trzynastu lat uczę takie dzieciaki jak ona. Wiem, jak sobie z nimi radzić. – Odkłada gąbkę na półeczkę i wyciera dłonie. – Wolałbym, abyś nie krytykowała moich metod nauczania.

Przepraszam go, ale nieszczerze, i on o tym wie. Mówię, że muszę iść, bo mam pracę domową do odrobienia. Nie próbuje mnie zatrzymać.

Po powrocie do internatu kładę się na brzuchu i oddycham z nosem w poduszkę, żeby opanować nienawiść do Strane'a. W tej chwili to właśnie czuję – nienawiść. Nienawidzę, gdy jest na mnie wściekły, bo właśnie wtedy dopada mnie to, czego w ogóle nie powinno być – wstyd i strach, rozlega się głos, który każe mi uciekać.

Wszystko rozpada się w ciągu tygodnia. Zaczyna się w środę, kiedy mam lekcję francuskiego. Strane otwiera drzwi i pyta *madame* Laurent, czy może mnie zabrać na chwilę.

– Weź plecak – szepcze.

W trakcie drogi przez kampus do wydziału administracji wyjaśnia, co się stało, choć to już i tak jest oczywiste. Od dwóch dni Jenny nie pojawia się na lekcjach literatury amerykańskiej, a przecież wiem, że nie jest chora, bo ją widziałam. Poprzedniego wieczoru podczas kolacji obserwowałam ją w towarzystwie Hannah, głowy blisko siebie. Gdy odsunęły się, żeby zaczerpnąć powietrza, obie odwróciły się w moją stronę.

Strane mówi, że ojciec Jenny przysłał list do szkoły, ale to wszystko tylko pogłoski, żadnych dowodów. Nic z tego nie wyniknie. Musimy robić dokładnie to, o czym mówiliśmy – zaprzeczać wszystkiemu. Nic nam nie zrobią, jeśli zaprzeczymy. W moich uszach ryczy ocean. Im dłużej Strane gada, tym odległej brzmią jego słowa.

– Powiedziałem już dyrektorze Giles, że to wszystko nieprawda, ale ważniejsze, żebyś to potwierdziła. – Przypatruje mi się, gdy idziemy. – Dasz radę?

Kiwam głową. Zostało pięćdziesiąt kroków do drzwi wejściowych, może mniej.

– Jesteś bardzo spokojna – stwierdza Strane.

Zagląda mi w oczy, szuka pęknięć; tak samo patrzył na mnie w swoim kombi po naszym pierwszym razie. Otwiera drzwi.

– Przetrywamy to – dodaje.

Dyrektorka szkoły, pani Giles, zapewnia, że chciałaby uwierzyć nam, a nie temu, co napisano w liście – patrzy zza swojego ogromnego biurka, gdy Strane i ja siedzimy na drewnianych krzesłach, jak dwoje gówniarzy wezwanych na dywanik.

– Przyznam szczerze, że nie wyobrażam sobie, aby to była prawda – ciągnie, biorąc w palce kartkę, którą zapewne jest list z oskarżeniami. Przebiega wzrokiem linijki tekstu. – „Trwający związek o charakterze seksualnym”. Jak to możliwe, że nikt nie zauważyłby czegoś takiego?

Nie rozumiem, o co jej chodzi. To przecież oczywiste, że ktoś zauważył. Właśnie dlatego ojciec Jenny napisał donos – bo zauważono.

– To absurd – mówi siedzący obok Strane.

Pani Giles wyznaje, że domyśla się, co się za tym kryje. Raz na jakiś czas pojawiają się plotki tego rodzaju i bez względu na to, jak niewiarygodnie brzmią, niektórzy uczniowie, rodzice i nauczyciele uznają je za prawdę.

– Wszyscy uwielbiają skandale – stwierdza, wymieniając ze Strane'em wymowne uśmiechy.

Dodaje, że plotki biorą się z zazdrości albo opacznie interpretowanej niewinnej przychylności danego pedagoga. Że w trakcie wieloletniej pracy nauczyciel styka się z setkami uczniów, którzy są, z braku lepszego słowa, niespójni. Bystre, wyrobione z nich jednostki, owszem, lecz to wcale nie oznacza, że nawiąże z nimi wyjątkową więź. Zdarza się jednak, że

pojawia się uczeń, z którym nauczyciel czuje szczególną bliskość.

– W końcu kadra pedagogiczna to też ludzie, tacy sami jak wy – zwraca się do mnie pani Giles. – Przecież nie możesz powiedzieć, że lubisz identycznie wszystkich swoich nauczycieli, prawda, Vanesso?

Kręcę głową.

– No właśnie. Niektórych wolisz bardziej od innych. Tak samo jest z nauczycielami. Dla nich też niektórzy uczniowie są szczególnie ważni. – Odchyła się w fotelu i krzyżuje ręce na piersi. – Podejrzewam, że Jenny Murphy zazdrości ci szczególnego traktowania na lekcjach z literatury.

– Vanessa wyznała mi coś istotnego – wtrąca Strane. – W zeszłym roku mieszkały razem w internacie i niezbyt im się układało. – Spogląda na mnie. – Tak było?

Kiwam powoli głową.

Dyrektorka podnosi ręce.

– No i mamy wyjaśnienie! – mówi. – Dobrze, sprawa zamknięta. – Podaje mi list od ojca Jenny. – Proszę, abyś to przeczytała, a potem podpisała, o tutaj.

Przysuwa kolejną kartkę, z jednym wydrukowanym zdaniem: „Strony zaprzeczają zarzutom zawartym w liście Pana Patricka Murphy’ego z 2 maja 2001 roku”. Pod spodem są miejsca na dwa podpisy, mój i Strane’a. Przebiegam oczami po tekście, ale nie mogę skupić wzroku. Składam podpis i podsuwam kartkę Strane’owi, a on robi to samo.

Sprawa zamknięta.

– To powinno wystarczyć – stwierdza dyrektorka, obdarzając nas uśmiechem. – Najlepiej załatwiać takie rzeczy bez niepotrzebnej zwłoki.

Rozdygotana mimo poczucia ulgi, czując, że za chwilę zwymiotuję, wstaję i ruszam do drzwi, ale pani Giles zatrzymuje mnie w połowie drogi.

– Vanesso, będę musiała zadzwonić do twoich rodziców i ich o tym poinformować. Więc najlepiej ty pierwsza z nimi porozmawiaj dziś wieczorem, dobrze?

Żółć podchodzi mi do gardła. Nie pomyślałam o tym. To przecież jasne, że ona musi im powiedzieć. Zastanawiam się, czy zadzwoni do domu i nagra się na automatycznej sekretarce, czy zatelefonuje do pracy – do taty w szpitalu albo do mamy w biurze agencji ubezpieczeniowej.

Wychodząc, słyszę, jak dyrektorka zwraca się do Strane’a:

– Dam ci znać, gdybym czegoś jeszcze od ciebie potrzebowała, ale to powinno wystarczyć.

Dzwonię wieczorem do rodziców i zasypuję ich wytartymi frazesami: „Wszystko w porządku”, „Nic się nie dzieje”, „To dęta sprawa”, „Głupie plotki”, „Jasne, że to nieprawda”.

Rozmawiają z dwóch aparatów.

– Po pierwsze, musisz przestać spotykać się z tymi nauczycielami – mówi mama.

Nauczycielami? Jest ich więcej niż jeden? Nagle przypominam sobie kłamstwo, które zaserwowałam matce w Święto Dziękczynienia – to nauczyciel wychowania obywatelskiego powiedział, że mam włosy koloru klonowych liści.

– Chcesz, żebym cię stamtąd zabrał? – pyta ojciec.

– Nie, nic mi nie jest. Nic się nie dzieje. Wszystko w porządku.

– Powiedziałaś nam, gdyby ktoś cię skrzywdził, prawda? – dociska mama.

Oboje czekają, żebym stanowczo przytaknęła.

– No jasne – odpowiadam. – Ale nic się nie stało. W ogóle nie mogłoby się stać. Przecież wiecie, że nas pilnują. Jenny Murphy to zmyśliła. Pamiętacie ją? Pamiętacie, jaka wredna była?

– Ale po co miałyby zmyślać coś takiego? I jeszcze mieszać w to swojego ojca? – pyta mama.

– Coś tu nie gra – stwierdza tata.
– Ona nie cierpi i mnie, i profesora Strane’a. Chce się na nim zemścić. Jest jedną z tych ważniaczek, które uważają, że jeśli ktoś się im nie podlizuje, należy mu zrujnować życie.
– Nie podoba mi się to wszystko, Vanesso – wzdycha tata.
– Nic złego się nie dzieje – zapewniam. – Przecież powiedziałabym, gdyby stało się coś poważnego.

Milkniemy, czekamy na reakcję mamy.

– Niedługo koniec roku szkolnego. Chyba nie ma sensu zabierać cię teraz z Browick. Ale, Vanesso, musisz nam obiecać, że będziesz się trzymać z daleka od tego nauczyciela. Zgoda? Jeśli będzie chciał z tobą rozmawiać, powiadom dyrektorkę.

– Mamo, to mój nauczyciel. Musi ze mną rozmawiać.

– Przecież wiesz, co mam na myśli. Przychodzisz tuż przed lekcją i wychodzisz zaraz po lekcji.

– To nie on jest problemem.

– Vanesso! – syczy tata. – Masz się słuchać mamy.

– Chcę, żebyś dzwoniła do nas co wieczór. O wpół do siódmej. Będę czekać na twój telefon. Zrozumiałaś?

Patrzę tępo przed siebie, MTV na ekranie przyciszonego telewizora w świetlicy, spiczasta czupryna i pomalowane na czarno paznokcie Carsona Daly’ego.

– Tak, psze pani – odburkuję.

Mama wzdycha. Nie cierpi, gdy odzywam się do niej w ten sposób.

Strane mówi, że powinniśmy dać sobie na wstrzymanie przez moment, mieć świadomość optyki. Żadnych spotkań późnymi popołudniami w jego gabinecie, długich godzin we dwoje.

– Nawet to jest ryzykowne – dodaje, mając na myśli, że opuściłam lunch, aby spędzić wolną chwilę w jego klasie przy otwartych drzwiach.

Musimy być ostrożni, przynajmniej przez pewien czas, choć zdystansowanie się będzie dla niego męczarnią.

Jest jednak pewien, że sprawa szybko ucichnie. Ciągłe używa tego określenia – „ucichnie”, jakby chodziło o jakiś hałas. Wkrótce nadejdzie lato, a wraz z nim przejażdżki kombi z otwartymi oknami, słonawe nadmorskie powietrze. Mówi, że powinnam mu zaufać, że do jesieni rzecz pójdzie w zapomnienie. Nie wiem, czy mu wierzę. Mija parę dni i wydaje się, że wszystko wróciło do normy, lecz ilekroć natykam się na Jenny, posyła mi ona spojrzenie pełne nieskrywanej niechęci. Strane uważa, że dała za wygraną, bo przeniosła się do innej klasy, ale ja widzę, że jest wściekła.

Na tablicy ogłoszeń obok nazwisk uczniów najstarszego rocznika wywieszane są nazwy wybranych przez nich wyższych uczelni. Idę na kolację i gdy stoję w kolejce do bufetu z kanapkami, zauważam Jenny i Hannah krążące metodycznie po stołówce. Jenny trzyma notes i długopis i gdy podchodzą do kolejnego stolika, Hannah mówi coś do siedzących, czeka na odpowiedź, a Jenny ją zapisuje. Zauważam też, że wiele osób zerka przy tym na mnie, a zaraz potem w bok, żebym ich nie przyłapała.

Wychodzę z kolejki i ruszam do wyjścia, gdy nagle słyszę głos Hannah:

– Kto z was słyszał plotkę, że Vanessa Wye i profesor Strane mają romans?

Przy stoliku siedzą uczniowie czwartej klasy. Brandon McLean, którego nazwisko widziałam przypisane do Dartmouth na tablicy ogłoszeniowej, pyta:

– A kim jest Vanessa Wye?

Dziewczyna siedząca obok – Alexis Cartwright, zdecydowana studiować w Williams College – wskazuje mnie palcem.

– To chyba ta, nie?

Wszyscy przy stole odwracają się w moją stronę. Jenny i Hannah też. Zerkam na notes, zanim Jenny zdąży przycisnąć go do piersi.

Dwadzieścia sześć. Tyle nazwisk znalazło się na liście sporządzonej przez Jenny Murphy. Siedzę naprzeciw pani Giles – tym razem jesteśmy we dwie, nie ma sekretarki, nie ma Strane’a. Podaje mi listę, a ja czytam nazwiska, w większości to uczennice drugiej klasy, koleżanki, dziewczyny z tego samego piętra w internacie. Z żadną nigdy nie rozmawiałam o Stranie. I nagle dostrzegam ostatnie nazwisko w spisie: Jesse Ly.

– Jeśli chciałabyś mi coś powiedzieć, Vanesso, to teraz jest właściwa pora.

Nie wiem, czego ode mnie oczekuje, czy nadal uważa, że plotki są wyssane z palca, czy może zmieniła zdanie z powodu listy nazwisk i teraz jest wściekła, że ją okłamałam. Jedno nie ulega wątpliwości – jest wściekła.

Podnoszę głowę znad kartki.

– Co mam powiedzieć?

– Pragnęłabym, żebyś była ze mną szczerą.

Milczę, nie chcę zrobić kroku w żadnym kierunku.

– A gdybym ja ci powiedziała, że rozmawiałam z jedną osobą z tej listy i ta osoba wyznała, że stwierdziłaś jednoznacznie, że masz związek z profesorem Strane’em?

Dopiero po chwili dociera do mnie, że słowo „jednoznacznie” odnosi się do „stwierdzenia”, nie do „związku”. Wciąż zwlekam. Nie wiem, czy dyrektorka mówi prawdę. Wydaje mi się, że to błąd z rodzaju tych, które w filmach stosują policjanci, żeby wydusić z podejrzanego przyznanie się do winy. Najrozsądniejszą reakcją jest milczenie, telefon do adwokata – choć nie mam pojęcia, kto byłby odpowiednikiem adwokata w mojej sprawie. Strane? Rodzice?

Pani Giles bierze głęboki wdech, pociera skronie palcami. Widać, że nie ma ochoty się tym zajmować. Ja też nie. „Powinniśmy o wszystkim zapomnieć”, to chciałabym powiedzieć. „Zapomnijmy”. Ale nie możemy, bo Jenny narobiła szumu, a jej ojciec to ważna persona. Struktura hierarchiczna Browick staje się nagle jasna, to oczywisty system władzy i pieniądza, a jedni ludzie liczą się bardziej od innych – zawsze to czułam, ale nigdy dotąd nie doświadczyłam tego tak wyraźnie.

– Musimy przeświecić sprawę do końca.

– Przecież prześwieciliśmy – odpowiadam. – To wszystko nieprawda.

– A jeśli przyprowadzę tutaj tego ucznia, czy wtedy zmienisz swoją wersję?

Mrugam gwałtownie powiekami świadoma nagle, że dyrektorka próbuje przyprzeć mnie do ściany.

– To nieprawda – powtarzam.

– W porządku – rzuca i wychodzi z gabinetu, zostawiając otwarte drzwi.

Sekretarka wsuwa głowę do środka i zerka na mnie z uśmiechem.

– Trzymaj się – mówi.

W gardle mnie ścisną w reakcji na ten drobny akt życzliwości. Zastanawiam się, czy ona mi wierzy i co myślała podczas mojego ostatniego spotkania z dyrektorką i Strane’em, gdy siedziała obok i zapisywała każde nasze słowo na bloczku żółtego papieru.

Po kilku minutach do gabinetu wchodzi pani Giles, a za nią Jesse Ly. Chłopak siada na krześle obok, ale nawet na mnie nie spojrzy. Jest czerwony jak burak, twarz, uszy, szyja. Oddycha gwałtownie.

– Jesse, zadam ci to samo pytanie, które zadałam ci wcześniej. A więc czy Vanessa mówiła ci, że ma romans z profesorem Strane’em?

On kręci głową.

– Nie, nigdy tego nie powiedziała.

Ma piskliwy, spanikowany głos, taki, jakim mówimy, gdy rozpaczliwie chcemy ukryć prawdę i nie obchodzi nas, jak oczywiste jest, że kłamiemy.

Pani Giles znów pociera skronie.

– Pięć minut temu mówiłeś coś zgoła innego.

Jesse uparcie kręci głową. Nie, nie, nie. Wydaje się zgnębiony tak bardzo, że czuję przytłaczającą litość dla niego. Wyobrażam sobie, że wyciągam rękę i kładę ją na jego dłoni, mówię: „W porządku, możesz powiedzieć, jak było”. Ale tylko siedzę i patrzę, zastanawiam się, czy jestem winna tego, że chłopak przeżywa teraz katusze, i czy liczy się to, że ja mam do stracenia znacznie więcej.

– Co jej powiedziałaś? – pytam półszepem.

Jesse zerka na mnie. Wciąż kręci głową.

– Nie wiedziałem, że tak się stanie. Chciała tylko...

– Jesse! – krzyczy pani Giles. – Czy Vanessa kiedykolwiek mówiła ci, że ma romans z profesorem Strane'em?

Biedak patrzy to na nią, to na mnie. Wreszcie wbija spojrzenie w podłogę, a ja wiem, co się szykuje. Zamykam oczy.

– Tak.

Gdybym była słabsza, oznaczałoby to koniec. Zostałam schwytana w sidła, skonfrontowana z własną niekonsekwencją. Dyrektorka patrzy na mnie, nie ulega wątpliwości, że uważa to za ostateczne rozstrzygnięcie, czeka, żebym się załamała. Ale z tego tunelu wciąż jeszcze jest wyjście. Widzę promyk światła. Muszę tylko głębiej kopać.

– Skłamałam – stwierdzam. – To wszystko były kłamstwa. To, co nagadałam Jessemu o Stranie... Profesorze Stranie – poprawiam się. – To wszystko nieprawda.

Patrząc dyrektorce prosto w oczy, zaczynam wyliczać powody: byłam znudzona i samotna, podkochiwałam się w nauczycielu, mam wybujałą wyobraźnię. Im dłużej mówię, tym więcej nabieram śmiałości, obwiniam siebie, rozgrzeszam Strane'a. To świetna wymówka, tłumacząca wszystko, co naopowiadałam Jessemu. Oraz plotki, które słyszało dwadzieścia pięć pozostałych osób z listy. Tego należało się trzymać od samego początku.

– Wiem, że niedobrze jest kłamać – ciągnę, spoglądając na Jessego, potem na dyrektorkę. – Przepraszam za to. Ale taka jest cała prawda. Nic więcej się w tym nie kryje.

To odurzająco przyjemne, jak zaczerpnięcie powietrza w płuca po spędzeniu długiej chwili z głową pod kołdrą. Jestem sprytna i silna – bardziej, niż ktokolwiek podejrzewa.

Rezygnuję z lunchu i idę prosto do klasy Strane'a. Pukam do drzwi. Nie otwiera, choć widzę, że za teksturowaną szybą w drzwiach pali się światło. Wmawiam sobie, że wciąż boi się tej całej optyki, ale to coś poważniejszego, bo zamiast niego zajęcia z literatury amerykańskiej prowadzi profesor Noyes, który po lekcji informuje mnie, że mam iść do wydziału administracji.

– A co się stało? – pytam.

Rozkłada ręce.

– Nie wiem, jestem tylko posłańcem – odpowiada, lecz widać, że coś przewąchał, bo patrzy na mnie, jakby obawiał się, że go ugryzę.

Ruszam przez kampus niepewna, czy lepiej się śpieszyć, czy powłóczyć nogami, a gdy docieram do schodów przed budynkiem administracji, spoglądając na filary i godło Browick na dwuskrzydłowych drzwiach, przez główny wjazd wtacza się pikap mojego taty. Osłaniam oczy ręką i dostrzegam, że są oboje, ojciec za kierownicą, mama w fotelu obok, z dłonią na ustach. Skręcają na parking, zatrzymują się i wysiadają.

Zbiegam ze schodków.

– Co wy tu robicie?! – wołam.

Na dźwięk mojego głosu mama odwraca się gwałtownie i wskazuje groźnie palcem ziemię przed sobą, jak to robi zawsze, gdy Babe coś przeszkobie. „Do mnie!” Podobnie jak nasza suczka zatrzymuję się w odległości dziesięciu kroków i nie zamierzam podejść bliżej.

– Co wy tu robicie? – powtarzam pytanie.

– Jezu, dziecko, a jak myślisz? – odwarkuje matka.

– Dyrektorka do was dzwoniła? Niepotrzebnie przyjechaliście.

Tata jest w roboczym ubraniu, szarych spodniach i niebieskiej koszuli w prążki z imieniem „Phil” wyszytym na kieszeni. Mimo trudnej sytuacji czuję przede wszystkim przyływ palącego wstydu. Nie mógł się przebrać?

Zatraskuje drzwi pikapa i maszeruje w moją stronę.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

– Tak, wszystko w porządku.

Chwyta mnie za rękę.

– Mów, co się stało.

Patrzy na mnie błagalnie, ale ja niczego nie daję po sobie poznać. Nawet nie zadrzy mi dolna warga.

– Chodźmy, Phil – rzuca mama.

Idę za nimi do budynku, po schodach i dalej do małego pomieszczenia przed gabinetem dyrektora Giles, obsadzonego przez znaną mi już sekretarkę. Zerkam na nią w oczekiwaniu na kolejny uśmiech, ale ignoruje mnie, tylko przepuszcza nas dalej machnięciem ręki. W gabinecie przy biurku stoi Strane, ręce w kieszeniach, plecy wyprostowane. Serce mnie boli z nagłego pragnienia, aby się do niego przytulić. Wtarłabym się w jego ciało, żeby mnie wchłonęło.

Dyrektorka wyciąga do moich rodziców rękę na powitanie. Strane robi to samo, tata podaje mu dłoń. Mama siada bez słowa, ignorując Strane’a, jakby był powietrzem.

– Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli Vanessa wyjdzie – mówi pani Giles. Zerka na Strane’a, a on szybko kiwa głową. – Możesz poczekać w sekretariacie.

Wskazuje drzwi, lecz ja patrzę na Strane’a, zauważam, że ma mokre włosy po kąpieli, tweedową marynarkę i krawat.

Chyba się przyzna, myślę. Podłoży się.

– Nie! – rzucam na odchodnym, lecz ledwo mnie słysząc.

– Wyjdź, Vanesso! – rozkazuje matka.

Spotkanie trwa pół godziny. Wiem, bo sekretarka włączyła radio, prawdopodobnie po to, żebym nie mogła niczego podsłuchać z rozmowy toczącej się w gabinecie.

– Jest wpół do trzeciej, przerwa na kawę – mówi didżej. – Trzydzieści minut spokojnych hitów.

Gdy sekretarka nuci sobie pod nosem, ja myślę o tym, że już zawsze będę pamiętała te piosenki, bo były grane, gdy Strane przyznał się do winy i poświęcił się dla mnie.

Kiedy spotkanie wreszcie dobiega końca, wszyscy wychodzą jednocześnie. Dyrektorka i moi rodzice zatrzymują się w sekretariacie, Strane rusza dalej. Znika, nie zaszczyciwszy mnie nawet szybkim spojrzeniem. Widzę, że matka ma napięte nozdrza i rozszerzone oczy, tata zaciska usta, wygląda tak samo jak wtedy, gdy miał mi zakomunikować, że w nocy zdechł nasz stary pies.

– Chodźmy – szepcze, biorąc mnie za rękę.

Siadamy na ławce przed budynkiem. Mama patrzy w ziemię, z rękami skrzyżowanymi ciasno na piersi. Tata przejmuje inicjatywę. To, co mówi, jest tak dalekie od tego, czego się

spodziewam, że dopiero po dłuższej chwili przytomnieję i zaczynam uważnie słuchać. Nie mówię, że wszystko wiedzą i że to nie moja wina. Mówię, że w Browick obowiązuje kodeks etyczny, którego uczniowie są zobowiązani przestrzegać. Ja zaś złamałam zasady, bo skłamałam i oczerniałam nauczyciela.

– Tutaj poważnie traktuje się takie rzeczy.

Patrzę na rodziców.

– A więc... – dukam. – On nie...

Mama podnosi gwałtownie głowę.

– Co on nie?

Przełykam ślinę, wzruszam ramionami.

– Nie, nic.

Następuje wyliczanka ustaleń. Wcześniej skończę rok szkolny. I tak zostało tylko kilka tygodni. Rodzice zatrzymają się na noc w śródmiejskim zajeździe, a rano, jak to ujął tata, „będę musiała naprawić wyrządzone krzywdy”. Dyrektorka szkoły chce, abym powiedziała wszystkim z listy Jenny, że pogłoski o moim romansie z profesorem Strane'em to kłamstwo, które sama rozpowszechniałam.

– Znaczący mam iść po kolei do każdego? – pytam.

Tata kręci głową.

– Wygląda na to, że zwołają wszystkich, żebyś mogła załatwić to za jednym zamachem.

– Ale nie musisz tego robić – wtrąca mama. – Możesz się spakować i jeszcze dziś wrócimy do domu.

– Muszę, skoro Giles tego chce – odpowiadam. – Jest dyrektorką.

Mama ściąga usta, jakby zamierzała się spierać.

– Ale w przyszłym roku wracam do szkoły, tak?

– Zobaczymy. Postępujemy powoli, krok po kroku.

Zabierają mnie na kolację do włoskiej restauracji w śródmieściu. We troje nie możemy uporać się nawet z jedną pizzą, skubimy swoje kawałki. Mama bierze serwetkę za serwetkę, żeby ścierać tłuszcz. Nie patrzają na mnie.

Chcą mnie odwiedzić na kampus, ale mówię, że wolę się spacerować. Zobaczcie, jaki piękny wieczór, ciepło, choć się zmierzcha.

– Przyda mi się kilka minut spokoju przed powrotem – dodaję.

Spodziewam się, że będą nalegać, lecz są zbyt skołowani, więc pozwalają mi odejść.

Przytulają mnie na pożegnanie przed restauracją.

– Kocham cię, Nessa – szepcze mi tata do ucha.

Skręcają w lewo w stronę zajazdu, a ja w prawo – w kierunku kampusu i biblioteki publicznej.

W kierunku domu Strane'a.

– Wiem, że to idiotyczne – zaczynam, gdy otwiera drzwi – ale musiałam cię zobaczyć.

Patrzy nad moim ramieniem, na ulicę i chodnik.

– Vanesso, nie wolno ci tu przychodzić.

– Wpuść mnie. Tylko pięć minut.

– Musisz stąd iść.

Czuję się tak sfrustrowana, że wrzeszczę i odpycham go z całej siły obiema rękami, od czego ani drgnie, ale rozsierdza się na tyle, że robi krok do przodu, zatrząskuje drzwiami i ciągnie mnie za dom, żeby nie było nas widać z ulicy. Gdy tylko znajdujemy się za rogiem, zarzucam mu ręce na szyję i przytulam się do niego jak najmocniej.

– Każą mi jutro wyjechać.

Cofa się odrobinę, odrywa moje dłonie z szyi. Milczy. Czekam, żeby na jego twarzy coś się odmalowało – gniew, panika, żal, że doprowadziliśmy do tej sytuacji – ale widzę tylko pustkę. Wciska ręce do kieszeni i znowu zerka nad moim ramieniem, na dom. Przedemną stoi obcy człowiek.

– Chcą, żebym wystąpiła przed uczniami – dodaje. – Mam ogłosić, że kłamałam.

– Wiem – odpowiada wreszcie.

Nadal na mnie nie patrzy, marszczy tylko czoło.

– Nie wiem, czy potrafię się na to zdobyć.

W reakcji na te słowa Strane spuszcza wzrok na mnie, odnoszę drobne zwycięstwo, więc napieram dalej:

– Może powinnam jednak powiedzieć prawdę?

Odchrząkuje, lecz wciąż ma kamienną twarz.

– Z tego, co zdążyłem się zorientować, prawie już to zrobiłaś. Powiedziałaś matce o mnie. Powiedziałaś jej, że jestem twoim facetem.

W pierwszej chwili w ogóle tego nie pamiętam, a potem: no tak, powrót z ferii zimowych, gdy usłyszała, jak w środku nocy rozmawiałam przez telefon. Spytała wtedy o imię, a za oknem samochodu przemykały ośnieżone pola i szkielety drzew. Jacob, odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Ale przecież to tylko imię, pospolite słowo, nie żadne wyznanie. Matka nie dowiedziała się niczego na podstawie imienia. Niemożliwe. Gdyby poznała prawdę, nie pozwoliłaby wyjść Strane'owi z gabinetu dyrektorki ani nie zgodziłaby się, żebym wygłosiła publiczne przeprosiny.

– Nie mogę cię powstrzymać, jeśli postanowiłaś mnie zniszczyć – mówi Strane. – Mam jednak nadzieję, że jesteś świadoma, co się stanie, jeżeli to zrobisz.

Chcę odpowiedzieć, że nie mam takiego zamiaru, że go nie wydam, ale jego głos zatyka mi usta.

– Twoje nazwisko i zdjęcie pojawią się we wszystkich gazetach. Będą o tobie trąbić w wiadomościach. – Mówi powoli, starannie, jakby chciał się upewnić, że zrozumie każde słowo. – Ta sprawa będzie się za tobą ciągnąć do grobowej deski. Zostaniesz napiętnowana na resztę życia.

„Za późno”, mam ochotę powiedzieć. I dodać, że codziennie wstaję, czując się naznaczoną przez niego, ale może to niesprawiedliwe? Czy nie starał się ze wszystkich sił mnie ocalić? Wymusić na mnie obietnicę, że wyjadę na studia, wytłumaczyć, że mój świat jest znacznie większy niż profesor Strane? Pragnie dla mnie o wiele więcej – nieskrępowanej przyszłości, a nie zamkniętej wąskiej drogi, to zaś może się ziścić tylko pod warunkiem, że nasz związek pozostanie tajemnicą. Bo w momencie, gdy prawda się wyda, Strane zdefiniuje całe moje życie i nic innego nie będzie miało znaczenia. Widzę jakby wspomnienie, obraz ze snu: hybrydową dziewczynę, w połowie siebie, w połowie profesor Thompson – a może przypomniał mi się reportaż o Monice Lewinsky? – młodą kobietę ze łzami na policzkach, próbującą zachować twarz pod kanonadą upokarzających pytań o to, co się stało: „Proszę dokładnie opowiedzieć, co on pani zrobił?”. Nietrudno sobie wyobrazić, że moje życie stałoby się długim szlakiem zniszczenia, który zaczął się w chwili, gdy wyjawiałam prawdę.

– Wolalbym umrzeć w tej chwili niż przez to przechodzić – mówi Strane. Patrzy na mnie z wysoka, nadal z rękami w kieszeniach. Zachowuje swobodną postawę nawet wtedy, gdy stoi w obliczu katastrofy. – Ale może ty jesteś silniejsza ode mnie.

Na to wybucham płaczem, prawdziwym płaczem, jeszcze nigdy tak nie beczałam w jego obecności – czkanie i okropne, brzydkie szloch z gilem dyndającym z nosa. Dzieje się to tak szybko, że kompletnie zwala mnie z nóg. Opieram się o ścianę domu, kładę dłonie na udach,

próbuję odzyskać oddech. Płacz nie ustaje. Obejmuję się ramionami i kucam na trawie, walę potylicą o mur, jakbym chciała wybić sobie mózg z głowy. Strane klęka przede mną, wsuwa dłonie między mnie a dom, aż w końcu przestają się szamotać i otwieram oczy.

– No, nareszcie – mówi.

Wciąga i wypuszcza z płuc powietrze, a moja pierś faluje do rytmu jego oddechu. Dłońmi wciąż obejmuje moją głowę, jest na tyle blisko, że moglibyśmy się pocałować. Łzy schną na moich policzkach, skóra się napina, a on kciukiem masuje mi miękkie miejsce za uchem. Mówi, że jest wdzięczny za to, co zrobiłam do tej pory. Że to akt odwagi wziąć wszystko na swoje barki, rzucić siebie wilkom na pożarcie. Że to dowód miłości. Że prawdopodobnie kocham go bardziej niż ktokolwiek w całym jego życiu.

– Nie powiem im – zapewniam. – Nie chcę. Nigdy tego nie zrobię.

– Wiem. Wiem, że nie zrobisz.

Ustalamy, co mam mówić nazajutrz na spotkaniu z uczniami, że mam wziąć odpowiedzialność za powstałe plotki, przeprosić za kłamstwa, stwierdzić wyraźnie, że Strane nie zrobił nic złego. To nie *fair*, wzdycha, że jesteś zmuszona do tego, ale oczyszczenie jego nazwiska to jedyny sposób, żeby wyjść z tego bez szwanku. Cmoka mnie w czoło i kąciki ust, tak samo jak wtedy, gdy całowaliśmy się pierwszy raz w klasie, skuleni za jego biurkiem.

Odchodząc, zerkam przez ramię i widzę go stojącego na ciemnym trawniku, sylwetka oświetlona blaskiem wylewającym się z okna dużego pokoju. Wdzięczność promieniuje od niego, zalewa mnie miłością. Oto, myślę, co znaczy bezinteresowność, dobro. Jak to możliwe, że kiedykolwiek sądziłam, iż jestem bezbronna, skoro mam moc ocalenia Strane'a w pojedynkę?

Nazajutrz rano dwadzieścia sześć osób z listy Jenny gromadzi się w klasie profesora Sheldona. Brakuje ławek, więc niektórzy stoją oparci o ścianę w głębi. Nie potrafię rozpoznać twarzy, widzę tylko kołyszące się i podskakujące białe plamy, ocean boi. Pani Giles stoi ze mną na przodzie. Odczytuję oświadczenie, które przygotowałam ze Strane'em poprzedniego wieczoru.

– Wszystkie niestosowne plotki, które być może słyszeliście, o mnie i profesorze Stranie są nieprawdziwe. Rozповідаłam o nim kłamstwa, na co w ogóle nie zasłużył. Bardzo przepraszam za swoje oszczerstwa.

Widzę wpatrzone we mnie nieprzekonane twarze.

– Czy ktoś ma pytanie do Vanessy? – odzywa się dyrektorka.

Ręka strzela w górę. Deanna Perkins.

– Nie rozumiem, dlaczego kłamałaś – mówi. – To bez sensu.

– Hm. – Zerkam na panią Giles, ale ona tylko spogląda na mnie w milczeniu. Wszyscy się gapią. – To nie jest pytanie.

Deanna wywraca oczami.

– Chodzi mi o to, dlaczego to zrobiłaś.

– Nie wiem – odpowiadam.

Ktoś inny pyta, dlaczego ciągle przesiaduję w klasie profesora Strane'a.

– Wcale nie przesiaduję – zaprzeczam.

To kłamstwo jest tak oczywiste, że kilka osób parska śmiechem.

Kolejne pytanie: czy ze mną jest coś nie tak, „no, jakby umysłowo”?

– Nie wiem, być może.

Przepytywanie trwa, a ja uświadamiam sobie, że nie będę mogła wrócić do Browick w przyszłym roku. Nie po czymś takim.

– Dobrze, wystarczy – stwierdza pani Giles.

Wszyscy otrzymują kartki z trzema pytaniami. Pierwsze: „Od kogo usłyszałeś/łaś

plotki?”. Drugie: „Kiedy je usłyszałeś/łaś?”. Trzecie: „Czy powiedziałeś/łaś o tej sprawie swoim rodzicom?”.

Gdy wychodzę, wszystkie głowy z wyjątkiem jednej są pochylone nad kartkami. Jenny siedzi z rękoma skrzyżowanymi na piersi, wpatrzona w biurko.

Wracam do internatu, a tam zastaję rodziców przy pakowaniu moich rzeczy. Łóżko jest ogołocone, szafa pusta. Mama na oślep wciska różności do worka na śmieci – szpargały, papiery, wszystko, co leży na podłodze.

– Jak poszło? – pyta ojciec.

– Co poszło?

– No wiesz... – Milknie, nie wiedząc, jak to nazwać. – Spotkanie.

Nie odpowiadam. Nie wiem, jak poszło, nie potrafię nawet ogarnąć tego, co się wydarzyło. Patrzę na mamę.

– Wyrzucasz ważne dla mnie rzeczy.

– To śmieci.

– Nie, to szkolne papiery. Są mi potrzebne.

Mama robi krok do tyłu i pozwala mi przejrzeć zawartość worka. Odnajduję esej z uwagami Strane’a, *handout* na temat Emily Dickinson. Przyciskam papiery do piersi, bo nie chcę, aby rodzice zobaczyli, co próbuję ocalić.

Tata zasuwą zamek w mojej dużej walizce wypełnionej ubraniami.

– Zacznę to znosić do auta – mówi i wychodzi na korytarz.

Odwracam się do mamy.

– Wyjeżdżamy już?

– Chodź, pomóż mi to sprzątnąć.

Mama otwiera dolną szufladę biurka i wzdycha. Pełno tam śmieci: zgniecione kartki, opakowania po słodyczach, brudne chusteczki, szerniała skórka od banana. Wepchnęłam do szuflady to wszystko w panice tuż przed inspekcją pokojów w internacie, a potem zapomniałam wyrzucić.

– Vanesso, na miłość boską!

– Wolę sama to zrobić, jeśli masz na mnie wrzeszczeć – mówię i wyrywam matce worek z rąk.

– Dlaczego po prostu nie wyrzucasz śmieci? Jezu Chryste, córca, to są brudy, odpadki!

Kto trzyma śmieci w szufladzie biurka?

Skupiam się na oddechu i wygarniam wszystko do worka.

– To niehigieniczne i nienormalne – ciągnie matka. – Czasem aż mnie przerażasz, wiesz?

Tym, jak się zachowujesz. To bez sensu.

– Proszę bardzo! – Wpycham szufladę z powrotem. – Wszystko sprzątnięte.

– Trzeba by zdezynfekować.

– Mamo, jest w porządku.

Rozgląda się po pokoju. Dokoła nadal panuje bajzel, choć trudno powiedzieć, w jakiej części jest to wina mojego bałaganiarstwa, a w jakiej wyprowadzki.

– Skoro zaraz wyjeżdżamy, to muszę najpierw iść i coś zrobić.

– Gdzie iść?

– Potrzebuję dziesięciu minut.

Mama kręci głową.

– Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz tutaj i pomożesz nam wszystko sprzątnąć.

– Muszę się pożegnać.

– A niby z kim? Cholera, nie masz tu żadnych przyjaciół!

Do oczu nabiegają mi łzy. Mama patrzy na mnie niewzruszona, wygląda, jakby na coś czekała. Wszyscy tak na mnie patrzyli przez ostatni tydzień – czekali, żebym się załamała. Odwraca się i wyciąga górną szufladę komody, pełną skotłowanych ubrań. Wygarnia rzeczy i nagle coś upada na podłogę. Zdjęcie przedstawiające mnie i Strane’a na molu. W pierwszej chwili obie jesteśmy tak samo zszokowane, patrzymy w milczeniu na fotkę leżącą między nami.

Mama pochyla się i wyciąga rękę.

– Co... Co to niby...

Błyskawicznie chwytam zdjęcie z podłogi i przyciskam je do piersi.

– To nic.

– Pokaż.

Robi krok w moją stronę.

Odskakuję.

– To nic.

– Vanesso, daj mi to! – Trzyma wyciągnięte ramię, jakby sądziła, że ulegnę jak małe dziecko.

Powtarzam, że to nic, nic, okej? Spanikowana podnoszę coraz bardziej głos, aż krzyczę wściekle i mama się cofa. Mój piskliwy wrzask przebrzmiewa powoli, odbijając się echem po ogołoconym pomieszczeniu.

– To był on! I ty z nim!

– Nie – szepczę, rozdygotana własną reakcją, wpatrzona w podłogę.

– Przecież widziałam!

Zaciskam palce na zdjęciu. Wyobrażam sobie, że Strane stoi z nami w pokoju, uspokaja moją matkę. „To nic”, zapewnia głosem kojącym jak balsam. „To nie jest tak, jak się pani zdaje”. Mógłby jej wmówić wszystko, tak samo jak mnie. Posadziłby ją na krześle i zaparzył dla niej filiżankę herbaty. A zdjęcie wsunąłby do kieszeni, tak szybko i dyskretnie, że nawet by nie zauważyła.

– Dlaczego ty go chronisz? – pyta mama. Oddycha ciężko, przewierca mnie spojrzeniem. To nie jest pytanie zadane w gniewie. Ona naprawdę nie rozumie. Czuje się zdezorientowana – moim postępowaniem, całą tą sprawą. – Przecież cię skrzywdził.

Kręcę głową; mówię prawdę:

– Nie skrzywdził.

Nagle wraca ojciec z twarzą mokrą od potu. Zarzuca na ramię płócienną torbę pełną książek i rozgląda się za kolejnym ładunkiem, zauważa wreszcie, że stoimy obie jak do pojedynku, a ja przyciskam wciąż zdjęcie do piersi.

– Wszystko w porządku? – zwraca się do mamy.

Zapada głucha cisza, przed południem w internacie nie ma nikogo oprócz nas. Mama odrywa ode mnie wzrok.

– Tak, wszystko w porządku – odpowiada.

Pakujemy resztę rzeczy. Po czterech kursach na dół wszystko ładuje w aucie. Tuż przed odjazdem czuję, jak palą mnie stopy, jak nogi rwą się do biegu – pognałabym przez kampus i dalej ze wzgórze do miasteczka, do domu Strane’a. Wyobrażam sobie, że włamuję się do środka, wślizguję do jego łóżka, chowam pod kołdrę. Moglibyśmy uciec we dwoje. Powiedziałam mu to poprzedniego wieczoru, zanim się pożegnaliśmy. „Wsiądźmy po prostu do twojego samochodu i wyjedźmy stąd”. Odmówił, stwierdził, że to się nie uda. „Jedyny sposób, żeby przez to przejść, to ponieść konsekwencje do końca”.

Gdy tata wrzuca ostatni worek ze śmieciami na pakę samochodu, mama chwytam mnie za ramię.

– Jeszcze możemy pójść i im powiedzieć – szepcze. – Jeszcze teraz, w tej chwili, jest czas. Możemy...

Tata otwiera drzwi i pakuje się za kierownicę.

– Gotowe? – pyta.

Wrywam ramię z uścisku i wsiadam do pikapa pod baczynym spojrzeniem matki.

Przez całą drogę do domu leżę na tylnym siedzeniu. Spoglądam na drzewa, liście srebrzyste od spodu, linie wysokiego napięcia i tablice międzystanówki. Na pace trzepocze brezent zakrywający moje rzeczy. Rodzice patrzą przed siebie, a ich gniew i żal są na tyle wyraźne, że roztaczają woń. Otwieram usta i połykam te emocje w całości. W moim żołądku zmieniają się w poczucie winy.

2017

Dzwoni mama, akurat gdy wracam ze sklepu do domu, z torbą obciążoną pojemnikami lodów i butelkami wina.

– Przyjedziesz na Święto Dziękczynienia? – rzuca poirytowanym tonem, jakby sto razy zadawała mi to pytanie, choć w ogóle o tym nie rozmawialiśmy.

– Myślałam, że chcesz.

– Sama zdecyduj.

– Nie chcesz, żebym przyjechała?

– Nie, no chcę.

– To o co chodzi?

Długa chwila milczenia.

– Nie chce mi się gotować.

– Nie musisz.

– Nie będę się czuła dobrze, jeśli nic nie ugotuję.

– Mamo, naprawdę nie musisz gotować. – Poprawiam torbę na ramieniu, mając nadzieję, że nie słyszy pobrzękiwania butelek. – Wiesz, co powinnyśmy zrobić? Kupić mrożonego kurczaka, tego w niebieskim pudełku. To wystarczy. Pamiętasz, jak jedliśmy to co piątek?

Parska śmiechem.

– Od lat nie miałam tego w ustach – odpowiada.

Idę Congress Street, mijam pętlę autobusową, pomnik Longfellowa patrzącego na przechodniów. W tle słyszę serwis informacyjny, głos komentatora, potem Trumpa.

Mama stęka i hałas w tle cichnie.

– Zawsze go wyłączam – wyjaśnia.

– Wiem, wiem.

Ukazuje się mój budynek. Chcę zakończyć rozmowę, gdy nagle mama mówi:

– Wiesz co, w wiadomościach było ostatnio o twojej dawnej szkole.

Nie przestaję iść, ale przestaję myśleć, przestaję widzieć. Mijam swoją kamienicę, przecinam ulicę, maszeruję dalej. Wstrzymuję oddech, czekam, czy mama będzie drażnić. Powiedziała „twoja dawna szkoła”, a nie „ten mężczyzna”.

– No cóż – wzdycha – to liceum zawsze było jednym wielkim pieprznikiem.

W następstwie artykułu o innych dziewczętach władze Browick zawieszają Strane'a w czynnościach bez prawa do wynagrodzenia i wszczynają kolejne postępowanie wyjaśniające. Tym razem do sprawy włącza się policja. A przynajmniej tak mi się wydaje, taką wersję wydarzeń składam z okrucich informacji zamieszczanych przez Taylor Birch na Facebooku oraz z komentarzy, w których potwierdzone fakty mieszają się z plotkami, tyradami i wyrazami ubolewania. Ludzie wrzeszczą: „TO PROSTE, NALEŻY WYKASTROWAĆ WSZYSTKICH PEDOFILÓW!!!”, inni wskazują na zasadę domniemania niewinności, zamieszczają wypowiedzi w rodzaju: „Za przestępcę można uznać osobę skazaną przez sąd, niech więc wymiar sprawiedliwości się tym zajmie, nie wszystkie oskarżenia tego rodzaju są prawdziwe, zwłaszcza jeśli ich autorki to nastolatki o wybujałej wyobraźni i niestabilnej emocjonalności”. I tak w nieskończoność, aż można dostać kręcka. Nie wiem, co naprawdę się dzieje, bo Strane się nie odezwał. Mój telefon milczy od wielu dni.

Trzeba całej mojej siły woli, żebym się z nim nie skontaktowała. Piszę esemesy i zaraz je kasuję, i piszę znowu. Układam treść e-maili, wybieram numer, żeby zadzwonić, ale się

powstrzymuję. Pomimo wieloletniego treningu, pozwalania, aby pouczał mnie, co jest prawdą, co purytańską histerią, co oczywistym kłamstwem, wciąż potrafię przejrzeć na oczy i dostrzec rzeczywistość. Nie zostałam zmanipulowana aż po bezrozumność. Zdaję sobie sprawę, że powinnam pałać gniewem, więc choć to uczucie znajduje się na drugim krańcu świata, poza moim zasięgiem, staram się postępować tak, jakbym pałała. Stoję cicho z boku, niech za mnie przemawia moje milczenie, i tylko patrzę, jak Taylor raz po raz udostępnia na swoich stronach ten artykuł, opatrując go emotikonem uniesionej pięści i słowami, które są jak gwóźdź do trumny: „Chowaj się, gdzie chcesz, ale prawda i tak cię dopadnie”.

Gdy w końcu Strane się odzywa, jest wczesny ranek, telefon dzwoni pod poduszką, materac drży od wibracji, a w moim śnie brzmi to jak warkot motorówki na jeziorze, głębokie stłumione dudnienie, które słyszę, płynąc pod wodą. Odbieram, wciąż przebywając po tamtej stronie, smak wody z jeziora w ustach, widok promieni słońca przebijających się przez mrok, na sam dół, do zgniłych liści i odłamanych gałęzi, całego tego niekończącego się mułu.

W telefonie słyszę rwany oddech Strane’a, roztrzęsiony jak po długim płaczu.

– To już koniec. Ale wiedz, że cię kochałem. Jeśli nawet byłem potworem, to naprawdę cię kochałem.

Znajduje się na dworze, wieje wiatr, ściana dźwięku zagłusza jego słowa.

Siadam i patrzę w okno. Jest przed wschodem słońca, niebo w stadium przejściowym między czernią a fioletem.

– Czekałam na twój telefon.

– Wiem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? Musiałam o wszystkim dowiadywać się z artykułu. Mogłeś zadzwonić.

– Nie wiedziałem, co się szykuje – odpowiada Strane. – Pojęcia nie miałem.

– Co to za dziewczyny?

– Nie wiem. Po prostu dziewczyny. Nikt ważny. Vanesso, ja nie wiem, o co chodzi. Nawet nie wiem, o co się mnie oskarża.

– Podobno je molestowałaś.

Milczy, prawdopodobnie niemile zaskoczony, że takie słowo padło z moich ust. Przez długi czas obchodziłam się z nim jak z jajkiem.

– Powiedz, że to nieprawda – mówię. – Przysięgnij.

Słyszę biały szum wiatru.

– A ty myślisz, że to może być prawda. – Jego słowa nie brzmią jak pytanie, lecz konstatacja, jakby cofnął się o krok i nagle zobaczył zwątpienie podgryzające moją dotychczasową lojalność.

– Co im zrobiłeś?

– A jak sobie wyobrażasz? Do czego według ciebie jestem zdolny?

– Coś zrobiłeś. W przeciwnym razie dlaczego by cię oskarżały?

– To jak epidemia. Nie ma w tym żadnej logiki.

– Przecież to zwykle dziewczyny. – Głos mi się łamie, dławi mnie szloch, czuję, jakby płakał ktoś inny, kobieta grająca moją rolę. Przypominam sobie koleżankę z internatu, Bridget, której opowiedziałam o mnie i Stranie, a ona skwitowała wtedy, że moje życie jest jak film. Nie pojmowała potworności kryjącej się w obserwowaniu własnego ciała uczestniczącego w scenach, na jakie umysł się nie godzi. To miał być komplement. Czy nie o tym marzą wszystkie nastolatki? Skrajnie znudzone, spragnione poklasku.

Strane mówi, że bym nie próbowała doszukiwać się w tym sensu, bo dostanę obłądu.

– W czym? – pytam. – Co to jest?

Potrzebuję konkretnego, którego mogłabym się przytrzymać, potrzebuję opisu. Czy to było w klasie, za biurkiem Strane'a, czy przy stole, jakie światło, której ręki używał, ale w tej chwili rozbeczałam się już na całego, a on każe mi słuchać uważnie, przestać płakać i słuchać.

– Z nimi to nie było to samo, rozumiesz? Z tobą było inaczej. Kochałem cię, Vanesso, kochałem.

Rozłącza się, a ja wiem, co się stanie w następnej kolejności. Pamiętam, jak zareagowałam, gdy poirytowany moją bezwolnością Ira zagroził, że sam doniesie na Strane'a. „Jeśli to zrobisz – powiedziałam beznamiętnym, opanowanym głosem – jeśli komukolwiek piśniesz słówko, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Zniknę”.

Wpatrzona w telefon powtarzam sobie, że impuls, aby zadzwonić pod 911, jest nieracjonalny, nieuzasadniony. Lecz naprawdę się boję. Nie wiem, jak to wytłumaczyć – wyjaśnić, kim jestem, kim jest on – i zarazem uniknąć wsypy. Wmawiam sobie, że to by nic nie pomogło, bo nawet nie wiem, gdzie Strane znajduje się w tej chwili – w miejscu, w którym wieje wiatr. To trochę za mało. Nagle widzę esemes od niego, wysłany tuż przed naszą rozmową. „Możesz zrobić, co chcesz. Jeśli chcesz mnie wydać, to powinnaś”.

Piszę odpowiedź, przebijając palcami: „Nie chcę. Nigdy Cię nie wydam”. Widzę, że wiadomość dociera do adresata, lecz pozostaje nieprzeczytana.

Zapadam z powrotem w sen, najpierw niespokojny, potem głęboki jak śmierć. Budzę się dopiero kwadrans po jedenastej, gdy już przeczesali rzekę w poszukiwaniu zwłok. O piątej po południu w portlandzkiej gazecie ukazuje się artykuł:

Utonięcie wieloletniego nauczyciela z liceum Browick

NORUMBEGA – Jacob Strane, lat 59, wieloletni nauczyciel w liceum Browick, zginął w sobotę rano.

Biuro szeryfa okręgu Norumbega donosi, że zwłoki Strane'a znaleziono w rzece w pobliżu Narrows Bridge.

„Mężczyzna skoczył z mostu. Ciało wyłowiliśmy dziś rano”, poinformowało biuro szeryfa. „O 6.05 otrzymaliśmy zgłoszenie. Świadek widział skaczącego mężczyznę. Nie ma dowodów na udział osób trzecich”.

Strane urodził się w Butte w stanie Montana i przez trzydzieści lat uczył literatury amerykańskiej w prywatnym liceum w Norumbedze. Był dobrze znanym członkiem miejscowej społeczności. W ubiegły czwartek pisaliśmy, że Jacob Strane został objęty dochodzeniem w wyniku oskarżeń o molestowanie seksualne wytoczonych przez pięć uczennic, do którego jakoby doszło w latach 2006–2016.

Choć śmierć Strane'a uznano wstępnie za samobójstwo, biuro szeryfa prowadzi postępowanie wyjaśniające.

Artykuł opatrzone zdjęciem z niedawnej akademii szkolnej – Strane siedzi na niebieskim tle, ma krawat, który poznaję i którego fakturę dobrze pamiętam – granatowy z małymi wyszywanymi diamentami. Wygląda staro, siwe przerzedzone włosy, gładko ogolona biała twarz, obwisła szyja, oklapnięte powieki. Drobna postura. Nie wygląda jak chłopiec, lecz jak ramol, słaby i sterany życiem. Nie patrzy w obiektyw, tylko gdzieś w lewą stronę, ma zaintrygowaną minę i lekko rozchylone usta. Zdezorientowany, jakby nie pojmował, co się dzieje albo co zrobił.

Nazajutrz dostaję paczkę ze stemplem z dnia poprzedzającego skok z mostu. W środku są polaroidy, listy, kartki i kserokopie esejów, które pisałam na zajęcia z literatury, wszystko zagnieżdżone w ściółce z poźółklej bawełny – to piżama w truskawki, którą kupił mi z okazji

naszej pierwszej nocy. Nie ma notki, ale nie potrzebuję żadnych wyjaśnień. To wszystko to jedno wymowne świadectwo.

Sprawa zostaje rozdmuchana na cały stan. Miejscowa telewizja emituje reportaż z szybkimi przebitkami ukazującymi kampus Browick, uczniów na ścieżkach w cieniu sosen, internaty z białą oblicówką, budynek administracji z kolumnami od frontu. A potem dłuższe ujęcie wydziału nauk humanistycznych. No i to samo zdjęcie Strane'a, a pod spodem przekręcone nazwisko: JACOB STRAIN.

Czas staje. Przewijam do komentarzy, wpisów na Facebooku, wątków na Twitterze, a mój aparat co chwilę dźwięczy od powiadomień, bo ustawiłam Google Alert na nazwisko Strane'a. Mam w laptopie otwartych równocześnie piętnaście okien, przeskakuję między nimi, a po przeczytaniu wszystkiego znowu oglądam reportaż. Gdy oglądałam za pierwszym razem, pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam, ale potem zmusiłam się, żeby wysiedzieć do końca wiele razy. Jestem otępiała. Żadnej reakcji, kiedy na ekranie pojawia się zdjęcie Strane'a. Nawet się nie krzywię, gdy prezenter mówi o oskarżeniach „ze strony pięciu różnych dziewcząt”.

Po mniej więcej dwudziestu czterech godzinach sprawę rozdmuchują na południu. Podejmują ją gazety w Bostonie i Nowym Jorku, dziennikarze zaczynają snuć rozważania. Próbuje pohamować kulturowy pęd do obwiniania, artykułom nadają tytuły w rodzaju: „Czy rozliczenia nie poszły za daleko?”, „Kiedy zarzuty sięgają śmierci”, „Pora zatrzymać gołosłowne pomówienia”. Pojawiają się zdjęcia Taylor Birch ze Strane'em – z jej postaci zostaje wykuty archetyp nadgorliwej oskarżycielki, należącej do pokolenia Y bojowniczkii o sprawiedliwość nieświadomej konsekwencji własnych działań. Niektórzy bronią kobiety w mediach społecznościowych, ale donośniejsze są głosy ją szkalujące. „Egoistka”, „babsztyl bez serca”, „morderczyni” – takie określenia padają, bo przecież śmierć Strane'a to jej sprawa, doprowadziła go do samobójstwa. Facet prowadzący podcast o prawach mężczyzn poświęca sprawie jeden odcinek, nazywając Strane'a ofiarą feministycznego terroryzmu, a jego zwolennicy ruszają do ataku na Taylor. Zdobywają numer jej telefonu, adres e-mailowy i adres pracy. Taylor publikuje na Facebooku zrzuty ekranu ukazujące wiadomości od anonimowych mężczyzn grożących jej gwałtem, śmiercią, poćwiartowaniem. Kilka godzin później znika. Jej profil zostaje zamknięty, wszystkie upublicznione treści wyparowują. Zawrotne tempo.

Ja tymczasem wciąż zwalniam się z pracy, całe dni marnuję przed ekranem laptopa, stolik zawalony papierkami po jedzeniu i pustymi butelkami. Piję, palę, wpatruję się w swoje zdjęcia zrobione przez Strane'a, zdjęcia chudej nastolatki o pulchnej dziecięcej buzi. Wyglądam na nich niewiarygodnie młodo, na jednym uśmiechnięta i na w pół obnażona, wyciągająca rękę do obiektywu. Na innym siedzę skulona w kombi, posyłam spojrzenie w stronę aparatu. Na kolejnym leżę na brzuchu u niego w domu, kołdra podciągnięta do talii. Pamiętam, jak dawniej przyglądałam się ostatniemu zdjęciu, bo zdziwiło mnie, że Strane uznał je za seksowne. Starłam się zobaczyć to samo. Wmówiłam sobie, że to ujęcie z wideoklipu.

Chwytam laptopa, wpisuję do wyszukiwarki „Fiona Apple Criminal” i wyświetlam klip, no i proszę, nastoletnia Fiona, nadąsana i gibka. Śpiewa o byciu niegrzeczną dziewczynką i przypominam sobie pytanie, które zadał mi rozwodnik w zaułku za barem. „Byłaś grzeczną dziewczynką?” „Bo wygląda, jakbyś nie była”. Pamiętam, jak Strane lamentował, że zrobiłam z niego kryminalistę. Dostrzegałam w tym wielką moc. Mogłam wsadzić go do więzienia. W najwredniejszych chwilach wyobrażałam sobie, że to robię – Strane samotny w ciasnej celi, niemający nic do roboty oprócz rozmyślenia o mnie.

Klip się kończy, zgarniam zdjęcia i wrzucam je z powrotem do kartonu. Ten pierdolony karton. Zwykle dziewczyny trzymają pudełka po butach pełne listów miłosnych i wysuszonych bukietów – ja mam plik fotek z dziecięcą pornografią. Gdybym była mądra, spaliłabym

wszystko, zwłaszcza zdjęcia, bo zdają sobie sprawę, jak wyglądałyby w oczach normalnej osoby, jak towar skonfiskowany szajce handlującej żywym towarem, oczywisty dowód popełnionego przestępstwa – ale nie potrafiłabym tego zrobić, nigdy. To byłoby jak samospalenie.

Zastanawiam się, czy można mnie aresztować za posiadanie tych zdjęć. Zastanawiam się, czy sama nie zmieniam się w seksualnego drapieżcę. Czy świadczy o mnie to, jak reaguję na nastolatki? Myślę o tym, że ci, którzy krzywdzą, byli krzywdzeni w dzieciństwie. Podobno to błędne koło – można się wyrwać, jeśli odwali się ciężką pracą nad sobą. Lecz jestem zbyt leniwa, żeby zająć się własnymi brudami, żeby zainicjować proces oczyszczania. Zresztą to mnie nie dotyczy. Nie byłam krzywdzona jako dziecko.

Przestać myśleć, poczuć żalobę – ale jak czuć żalobę, skoro nie ma nekrologu, żadnej informacji o pogrzebie, są tylko te artykuły napisane przez obcych ludzi? Nie wiem, kto w ogóle zadba o pogrzeb, może siostra z Idaho? Ale jeśli nawet będzie pogrzeb, kto na niego pójdzie? Ja nie mogę. Ludzie by mnie zobaczyli, a wtedy wszystko by się wydało. Zaczęliby mnie nagabywać. „Powiedz, co się stało, powiedz, co ci zrobił”.

W moim umyśle szwankują tryby, wydaje się, że w pokoju pali się światło stroboskopowe, więc biorę lorazepam, wypalam marychę i się kładę. Zawsze czekam, żeby zadziałała pigułka, dopiero potem podejmuję decyzję, czy powtórzyć. Nigdy nie przekraczam miary, uważam, stąd wiem, że nie mam wielkiego problemu, jeśli w ogóle mam, bo może nie mam.

Jest w porządku. Alko, trawka, lorazepam, nawet Strane – jest idealnie. To nic, normalka. Wszystkie interesujące kobiety miały starszych kochanków, gdy były młode. To rytuał przejścia. Wchodzisz jako dziewczę, a wychodzisz prawie jako kobieta, nie całkiem, ale prawie, jako bardziej świadoma siebie i swojej mocy. Samoświadomość to dobra rzecz. Daje ufność we własne siły, poczucie swojego miejsca w świecie. Strane sprawił, że zobaczyłam siebie w taki sposób, w jaki nigdy bym siebie nie zobaczyła dzięki żadnemu chłopcu w moim wieku. Nikt mnie nie przekona, że wyszłabym na tym lepiej, gdybym była taka sama jak inne dziewczęta w szkole, robiła to szczeniakom ręką i ustami, cały ten niekończący się mozół, żeby ostatecznie zyskać opinię puszczalskiej i pójść w odstawkę. Strane przynajmniej mnie kochał. Przynajmniej poznałam, co dziewczyna czuje, gdy jest wielbiona. Padł mi do stóp, zanim choćby mnie pocałował.

Kolejna rundka – alko, trawka, pigułka. Chcę się zgłuszyć na tyle, żeby zanurzyć się pod powierzchnię i pływać bez potrzeby oddychania. On był jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek rozumiał to pragnienie. Nie chodzi o to, żeby umrzeć, ale żeby już być martwym. Pamiętam, że pewnego razu usiłowałam to wytłumaczyć Irze. Sam przedsmak wystarczył, żeby biedak zaczął się martwić, a zamartwianie się nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Zamartwianie się sprawia, że ludzie wpychają się tam, gdzie nie ich miejsce. Gdy słyszałam słowa: „Vanesso, martwię się o ciebie”, moje życie zawsze było w rozsypce.

Whiskey, trawka, ale już bez lorazepamu. Znam swoje możliwości. Mam głowę na karku – pomimo dawnych przeżyć. Potrafię się o siebie zatroszczyć. Wystarczy spojrzeć – wszystko w porządku, nic mi nie jest.

Sięgam po laptopa, ponownie odtwarzam wideoklip. Nastolatki wiją się w kusych ubrankach, a pozbawieni twarzy mężczyźni przesuwają im ręce i głowy w dół. Fiona Apple została zgwałcona, gdy miała dwanaście lat. Pamiętam, że wspominała o tym w wywiadach, kiedy ja też miałam dwanaście lat. Mówiła o tym otwarcie, słowo na „g” wypowiadała z taką samą swobodą jak inne. Stało się to na zewnątrz jej mieszkania – przez cały czas, gdy mężczyzna to robił, Fiona słyszała szczekanie swojego psa po drugiej stronie drzwi. Pamiętam, że przy tej części historii rozbeczałam się i przytuliłam naszego starego owczarka niemieckiego, wypłakując

gorące łyzy w jego sierść. W tamtym okresie nie miałam powodu przejmować się gwałtami – byłam szczęśliwym dzieckiem, bezpiecznym i kochanym – a jednak ta historia mocno mnie poruszyła. Chyba już wtedy przeczuwałam, co mnie czeka. Bo tak naprawdę która dziewczyna nie przeczuwa? To wisi nad nami, ta groźba przemocy. Wbijają nam tę perspektywę niebezpieczeństwa do głowy, aż wydaje się nieuchronne. Dorastamy, zastanawiając się, kiedy wreszcie to się stanie.

Wpisuję do Google'a „wywiady z Fioną Apple” i czytam, aż litery się zamazują. Na wspomnienie o tym wideoklipie w artykule na łamach „Spin” z 1997 roku z mojego gardła wyrывa się zduszony ni to śmiech, ni to szloch. „Oglądając go, człowiek się czuje obleśnie jak Humbert Humbert”. Jeśli pociągnę mocno za jakikolwiek luźny koniec, z płataniny zawsze wyłoni się *Lolita*. W późniejszej części artykułu Fiona zadaje dziennikarzowi serię pytań o swojego gwałciela i gwałt: „Ile trzeba mieć siły, żeby skrzywdzić nieletnią dziewczynę?”. „Ile trzeba mieć siły, żeby dziewczyna otrząsnęła się po czymś takim?” „Według ciebie które z nich dwojga jest silniejsze?” Pytanie zawisa w powietrzu, odpowiedź wydaje się oczywista – to ona jest silniejsza. Ja też jestem silna, silniejsza, niż ktokolwiek kiedykolwiek sądził.

Ale mnie nie zgwałcono. Nie zgwałcono-zgwałcono. Owszem, Strane sprawiał mi czasem ból, ale nie w tym sensie. Chociaż mogłabym stwierdzić, że mnie zgwałcił, i jestem pewna, że by mi uwierzono. Mogłabym dołączyć do krucjaty kobiet wypisujących na sztandarach całe zło, jakie im uczyniono, ale nie zamierzam kłamać tylko po to, żeby się dopasować. Nie uznaję siebie za ofiarę. Kobiety pokroju Taylor znajdują ukojenie w przypisaniu siebie do tej kategorii, i dobrze, ale to do mnie Strane dzwonił, gdy stanął na skraju przepaści. Sam to powiedział – ze mną było inaczej. Kochał mnie, kochał.

Gdy wchodzę do gabinetu, Ruby zerka na mnie i od razu mówi:

– Kiepsko wyglądasz.

Próbuję podnieść wzrok, żeby spojrzeć jej w oczy, ale docieram tylko do pomarańczowego swetra z kaszmiru otulającego ramiona.

– Co się stało, Vanesso?

Oblizuję wargi.

– Jestem w żałobie – odpowiadam. – Umarł ktoś, kto był dla mnie ważny.

Chwyta się za serce.

– Chyba nie mama?

– Nie. Chodzi o kogoś innego.

Ruby czeka na wyjaśnienie – w miarę upływu sekund pogłębiają się zmarszczki na jej czole. Zwykle zachowuję się bezpośrednio, przychodzę z garścią tematów, które chcę omówić. Nigdy dotąd nie musiała ze mnie nic wyciskać.

Wzdycham.

– Jeśli powiem ci o czymś, co jest przestępstwem, czy pójdziesz na policję? – pytam.

Zwleka z odpowiedzią kompletnie zaskoczona.

– To zależy. Jeśli wyznasz mi, że kogoś zabiłaś, będę zmuszona zameldować.

– Nikogo nie zabiłam.

– Tak też myślałam.

Ruby czeka na więcej. Nagle całe moje wahanie wydaje się niedorzeczne.

– Ta żałoba związana jest z molestowaniem seksualnym – zaczynam. – Albo też z działaniami, które inni uznają za molestowanie seksualne. Bo ja nie uważam, że tak było. Chcę po prostu mieć pewność, że wbrew mojej woli nikomu nie powiesz.

– Czy to molestowanie dotyczy ciebie?

Kiwam głową wpatrzona w okno nad ramieniem Ruby.

– Bez twojej wyraźnej zgody nie wolno mi zdradzać nikomu, o czym rozmawiamy.

– A jeśli to się działo, gdy byłam nieletnia?

Oczy ożywają, gwałtowne mruganie powiekami.

– To nie ma znaczenia. Teraz jesteś dorosła.

Wyjmuję telefon z torebki i podaję go Ruby. Na ekranie jest wyświetlony artykuł o Stranie. Ruby zaczyna przewijać, jej twarz ciemnieje.

– To ma związek z tobą? – pyta po chwili.

– Ten nauczyciel, to był ten, który... – Głos mi się łamie, chcę wyjaśnić, ale brakuje mi słów. Bo słowa nie istnieją. – Raz o nim wspomniałam. Nie wiem, czy pamiętasz.

To było sporo miesięcy wcześniej, dopiero się wtedy poznawałyśmy. W tamtym okresie pod koniec sesji Ruby zadawała mi zdawkowe pytania, ot, taka leniwa przebieżka, żeby ochłoniąć po intensywnym sprincie – gdzie się urodziłam, w co lubiłam się bawić, zwykle nudy. Pewnego razu zagadnęła mnie o pisanie i studia, chciała wiedzieć, w jakim wieku chwyciłam za pióro. „Zachęcili cię do tego nauczyciele?”, spytała. Niewinna ciekawość, ale rozdziawiłam usta. Nie z płaczu, lecz od zawrotu głowy – nastąpiło łapczywe chwytnie powietrza ustami, nastoletni chichot. Schowałam się za dłońmi, zerknęłam zza palców, a Ruby patrzyła na mnie zszokowana.

W końcu wydukałam: „Był jeden nauczyciel, który mnie bardzo zachęcał, ale to dość skomplikowane”. Po tych słowach powietrze zrobiło się ciężkie w gabinecie. Jakby Strane się pojawił za pośrednictwem mojego ciała. „A więc z tym wiąże się jakieś przeżycia”, odparła Ruby. Kiwnęłam głową, wciąż mrużąc oczy.

Cichym głosem spytała: „Zakochałaś się w tym mężczyźnie?”. Nie pamiętam, co odpowiedziałam, zapewne, że tak, w taki czy inny sposób, a potem przeszłyśmy dalej, do rozmów o mniej drażliwych sprawach, lecz to pytanie mnie poruszyło. Nadal porusza. Zasugerowana sprawczość – zakochałam się w nim? Chyba nikt, komu się zwierzyłam, nie zadał mi nigdy tego pytania. Pytano tylko o to, czy sypiałam ze Strane'em, jak to się zaczęło i jak skończyło. Ale nigdy, czy go kochałam. Po tamtej sesji nie wróciłyśmy już do tego tematu.

Naprzeciwko Ruby rozdziawia usta.

– To był on?

– Przepraszam, że nagle wyjeżdżam z czymś takim.

– Nie przepraszaj. – Czyta jeszcze przez chwilę, potem odkłada aparat ekranem do dołu na mały stolik między nami i patrzy mi w oczy. Pyta, od czego chciałabym zacząć.

Słucha cierpliwie, gdy słowa skapują z moich ust. Staram się streścić całą historię jak najlepiej – jak się zaczęła, jak trwała. Nie mówię o uczuciach, o tym, jak to mnie odmieniło, same fakty wystarczają, żeby Ruby była przerażona. Chociaż nie wiem, czy dostrzegłabym to przerażenie, gdybym z biegiem miesięcy nie nauczyła się czytać z jej twarzy. Wszystko ogranicza się do oczu.

Pod koniec sesji mówi, że jestem odważna – bo się zwierzyłam, zaufałam jej.

– Czuję się zaszczycona, że postanowiłaś mi o tym powiedzieć – stwierdza.

Wychodząc z gabinetu, zastanawiam się, kiedy podjęłam tę decyzję, czy faktycznie powzięłam postanowienie, żeby się wywnętrzyć, czy taki akt woli był w mojej mocy.

W drodze powrotnej do domu niesie mnie uwalniająca siła wyznania, nagła lekkość zrodzona z wypowiedania się. Omijam grupkę turystów, a jeden z nich zwraca się do drugiego:

– Nigdy w życiu nie widziałem tylu niedopałków. A miało tu być pięknie.

Myślę o tym, że przez całą sesję Ruby traktowała mnie jak płochliwe zwierzątko gotowe do ucieczki, a jej ostrożność była jak echo nieśpieszności Strane'a. Jakże powściągliwy był, najpierw przysunął kolano do mojej nogi, drobniutki ruch, który równie dobrze mógł być przypadkowy, potem dłoń na udzie, lekkie poklepanie, przyjacielski gest, ludzie zachowują się

tak wobec siebie. Klep-klep-klep. Wielkie rzeczy, przecież widziałam, jak nauczyciele przytulają uczennice. Potem sprawy nabrały przyśpieszenia, bo Strane zorientował się, że nie mam nic przeciwko – czy nie na tym właśnie polega wyrażenie zgody? Gdy druga strona daje znać, czego chce. Czy chciałam, żeby mnie pocałował? Żeby mnie dotykał? Czy chciałam się z nim pieprzyć? Powoli wiedziona w ogień – dlaczego wszyscy tak bardzo boją się przyznać, że to rozkoszne uczucie? Być podpuszczaną oznacza być kochaną, traktowaną jak delikatna drogocenna rzecz.

Gdy oddycham stęchłym powietrzem swojego pokoju, uniesienie przygasa, opuszcza mnie, bo chłonę wzrokiem prozaiczny bałagan w postaci niezasałanego łóżka, opakowań po jedzeniu na blacie w kuchni, kalendarza na drzwiach lodówki, który przed miesiącami kazała mi założyć Ruby, każdy dzień oznaczony zawstydzająco przyziemnymi obowiązkami – pranie, wyrzucenie śmieci, zakupy, opłacenie czynszu – których wypełnianie normalnym ludziom przychodzi prawdopodobnie bez najmniejszego trudu. Gdybym nie widziała zadań wypisanych czarno na białym, chodziłabym w brudnym ubraniu i żywiła się czipsami ze spożywczaka za rogiem.

Polaroidy ciągną się szeregiem po podłodze w dużym pokoju, a na kaloryferze wisi pizama w truskawki. Zastanawiam się, jaki poziom szaleństwa osiągnęłam i jak daleko jeszcze zabrnę, ile kroków dzieli mnie od stania się kobietą, która zabije okna deskami, żeby żyć samotnie w syfie z przeszłości. Powiedziałam Ruby, że wyobrażałam to sobie wcześniej – że Strane umiera, w jakich okolicznościach i co wtedy czuję. Był dwadzieścia siedem lat starszy ode mnie – przygotowałam się więc na tę ewentualność. Lecz w moim umyśle widziałam go pomarszczonego i bezradnego, patrzącego na mnie z łoża śmierci. Myślałam, że zostawi mi coś konkretnego po sobie: dom, samochód albo po prostu pieniądze. Jak Humbert na samym końcu, dający Lo kopertę pełną pieniędzy, namacalne wynagrodzenie za to, przez co przeszła z jego powodu.

W pewnej chwili podczas sesji Ruby powiedziała, że w jej odczuciu nagromadziłam w sobie takie mnóstwo, że mnie rozsadzi. Że umysł mi „płonie” z potrzeby zwierzenia się.

„Musimy uważać”, stwierdziła. „Postępujmy ostrożnie, powoli”.

Stoję w swoim pokoju i wyobrażam sobie, że zdobywam się na szaleństwo. Aż zatyka mnie na myśl, co by się stało, gdybym poląła to wszystko benzyną, te świadectwa moich przeżyć od piętnastego do trzydziestego drugiego roku życia. Ach, to zniszczenie, którego bym dokonała, gdybym rzuciła płonąca zapalną.

Jest początek czerwca, pierwszy słoneczny dzień po dwóch tygodniach deszczów. Mszyce już nie ma, ale w powietrzu gęsto od komarów, roją się wokół, gdy taszczy my z tatą ponton z podwórka nad jezioro. Siadamy po przeciwnych stronach, każde z wiosłem, i kierujemy się poza głazy, na głębiny, gdzie tata zarzuca kotwicę i stawia boję. Trwamy tak przez chwilę, on z jedną nogą w wodzie, ja z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej, zasłaniając stary obwisły kostium kąpielowy, elastik przegniły, powyciągane ramiączka podwiązane na supeł, żeby się nie zsunęły. Na brzegu biega w kółko zdyszana Babe, na smyczy przypiętej do drzewa. Nie śpieszy się nam z powrotem do domu. Za mało ciepłych dni, woda wciąż zimna.

Rozglądając się po jeziorze, które aż po dno przeszywają promienie słońca, widzę zatopione bale sprzed stu lat, z czasów, gdy jezioro i okoliczne lasy należały do tartaku. Bliżej brzegu samogłowy strzegą swych gniazd z ikrą, mozolnie mącąc tylnymi płetwami idealne koła z piasku. Ważki przemykają nad taflą, długie opływowe sylwetki szukające bezpiecznego miejsca do spółkowania. Dwie osiadają na moim przedramieniu, elektryczne niebieskie kadłubki, przeźrocyste skrzydła.

– Wygląda na to, że czujesz się lepiej – stwierdza tata.

Teraz w ten sposób rozmawiamy o Stranie, Browick i wszystkim, co się wydarzyło – za pomocą niedomówień. Większa dosłowność jest wykluczona. Tata obserwuje Babe na brzegu, nawet na mnie nie zerknie, aby zobaczyć moją reakcję. Zauważam, że często się tak zachowuje, unika mojego wzroku. Wiem, że to z powodu tego, co się stało, a jednak powtarzam sobie, że to dlatego, że przez dwa lata mieszkałam w internacie, że jestem starsza, no i który ojciec chciałby patrzeć na nastoletnią córkę w porozciąganym kostiumie kąpielowym?

Nie odpowiadam, spoglądam na ważki. Owszem, czuję się lepiej, a przynajmniej lepiej niż miesiąc temu, gdy wyjeżdżałam z Browick, lecz przyznać się do tego oznaczałoby przyznać się, że „żyję dalej”.

– Warto by już się otrząsnąć – mówi tata i nurkuje do jeziora. Wystawia głowę i prycha. – Kurde blaszka, ale zimna! – Spogląda na mnie. – Wskakujesz?

– Zaczekam parę minut.

– Jak chcesz.

Patrzę, jak płynie do brzegu, gdzie czeka Babe, gotowa zlizać krople wody z jego puszczeli. Zamykam oczy i słyszę plusk przy burcie pontonu, di-di-di sikorek, drozdów i turkawek żalobnych. Gdy byłam mała, rodzice mówili, że przypominam turkawkę żalobną, zawsze posępna, zawsze piekielnie smutna.

Nurkuję, a woda okazuje się tak paraliżująco zimna, że przez ułamek sekundy nie jestem w stanie płynąć, nie mogę się poruszyć, osuwam się ku zielonoczarnemu dnu, ale zaraz potem łagodne wynurzenie, twarz skierowana do góry, ku słońcu.

Wracam, idę przez podwórko i wtedy ściska mnie w dołku na widok samochodu mamy na podjeździe. Już w domu po pracy, po drodze kupiła pizzę.

– Weź sobie talerz – mówi tata.

Składa swój kawałek na pół i bierze wielki kęs.

Mama rzuca torebkę na blat, skopuje buty ze stóp, zauważa mnie w kostiumie kąpielowym i z mokrymi włosami.

– Vanesso, na miłość boską, wytrzymaj się ręcznikiem. Kapie z ciebie na całą podłogę.

Nie zwracam uwagi, przyglądam się pizzy, strzępom kiełbasy i sera. Jestem głodna i ręce

mi drżą, ale się krzywię.

– Ble. Ile tłuszczu. Ohyda.

– Świetnie, nie musisz jeść – odpowiada mama.

Wyczuwając zbliżającą się awanturę, tata wychodzi z kuchni do dużego pokoju, żeby schronić się w świetle telewizji.

– A co mam zjeść? Nic w tym domu nie nadaje się do jedzenia.

Matka przykłada sobie dwa palce do skroni.

– Vanesso, proszę cię, nie jestem w nastroju.

Wysuwam gwałtownie szufladę z szafki i wydaję puszkę.

– Mielona wołowina... – Sprawdzam datę. – Przeteterminowana dwa lata. Rany, co za pycha.

Wrywa mi puszkę z rąk i wrzuca ją do pojemnika na śmieci. Odwraca się, wychodzi i znika w łazience, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Później, gdy leżę w łóżku i zapisuję sceny, które wciąż odtwarza mój umysł – Strane dotykający mnie po raz pierwszy za biurkiem, noce spędzone w jego domu, popołudnia w gabinecie – wchodzi mama z dwoma kawałkami pizzy. Stawia talerz na stoliku i siada na skraju łóżka.

– Może wybrałybyśmy się w weekend nad morze.

– Po co? – odburkuję.

Nie podnoszę wzroku znad notesu, wyczuwam jednak, że jest urażona. Próbuje sprowadzić mnie z powrotem do czasów dzieciństwa, do dni, gdy nie musiałyśmy nic robić, gdy po prostu wsiadałyśmy do auta i jechałyśmy, szczęśliwe z powodu bycia razem.

Zerka na strony, przekręca głowę, żeby zobaczyć, co piszę. Wszędzie powtarzają się słowa „biurko”, „Strane” i „klasa”.

Zamykam notes.

– Wypraszam sobie.

Matka wzdycha.

– Vanesso.

Patrzemy na siebie, jej przenikliwe spojrzenie błądzi po mojej twarzy, szukając zmian, a może czegoś znajomego. Ona wie. Tylko o tym myślę, gdy tak się we mnie wlepia – wie. Z początku bałam się, że zadzwoni do Browick lub na policję, a przynajmniej powie tacie. Przez całe tygodnie na dźwięk dzwoniącego telefonu moje ciało natychmiast tężało w oczekiwaniu na nieuchronną wpadkę. Ale tak się nie stało. Matka dochowuje tajemnicy.

– Jeśli nic się nie wydarzyło, to powinnaś się zastanowić nad tym, jak dać sobie z tym spokój – mówi.

Wstaje i poklepuje mnie po dłoni, ignoruje to, że odskakuję poza zasięg jej rąk.

Wychodzi, nie domykając drzwi, więc podnoszę się i je zatrzaszukuję.

„Dać sobie spokój”. Gdy uświadomiłam sobie, że matka nikomu nie powie, poczułam ulgę, lecz teraz to doznanie ostygło do temperatury mdławego rozczarowania. Bo wydaje się, że postawiono mi następujący warunek: „Jeśli chcesz, żebym dotrzymała twojej tajemnicy, musimy udawać, że do niczego nie doszło”. A tego warunku spełnić nie potrafię. Będę pamiętać za wszelką cenę. Będę żyła tymi wspomnieniami do chwili, gdy znowu spotkam Strane’a.

Lato się ciągnie. Nocą leżę w łóżku i słucham pohukiwań nurów. Za dnia, gdy rodzice są w pracy, wędruję szutrową drogą i zrywam maliny, żeby potem robić z nimi naleśniki, które polewam syropem i zjadam, aż robi mi się niedobrze. Kładę się na brzuchu pośród paluszników w ogrodzie i słucham, jak Babe brodzi w jeziorze, polując na ryby. Kropelki wody rozpryskiwane na moich plecach, gdy otrząsa się po wyjściu na brzeg i dźga mnie nosem w kark, jakby chciała

spytać, czy wszystko ze mną w porządku.

Postanawiam potraktować to wszystko jako zastój w mojej historii, okres banicji, który stanowi sprawdzian mojej lojalności i który w ostatecznym rozrachunku doda mi sił. Pogodziłam się z tym, że straciłam kontakt ze Strane'em, przynajmniej na razie. Rodzice sprawdzają tożsamość dzwoniących i rachunki telefoniczne, lecz nawet gdyby tak nie było, to wyobrażam sobie, że linia jest na podsłuchu, e-maile podczytywane. Jeden telefon ode mnie i Strane straciłby pracę. Do jego drzwi zapukaliby policjanci. Dziwne myśleć o sobie jako o kimś stanowiącym aż tak wielkie zagrożenie, ale wystarczy spojrzeć, co się dotąd wydarzyło – właściwie nie puściłam pary z ust, a i tak przywiodłam nas na skraj przepaści.

Pozostaje przecierpieć. A więc popłynąć kajakiem na środek jeziora i pozwolić, aby zdryfował z powrotem do brzegu, przeczytać *Lolite* tysięczny raz i przejrzeć wyblakłe już komentarze Strane'a. Wlepić wzrok w stronę 140, na której Humbert i Lo jadą rano samochodem po swojej pierwszej nocy i na której jedno zdanie jest podkreślone jakby świeższym atramentem: „Było to doprawdy szczególne uczucie: dręczące, ohydne skrępowanie, jakbym siedział przy jednym stole z małym duszkiem kogoś, kogo przed chwilą zabiłem”*. Myślę o Stranie odwożącym mnie na kampus po naszej pierwszej nocy w jego domu, o tym, jak mi się przypatrywał i pytał, czy wszystko w porządku. Zapisuję w notesie: „»Lolotka« oznacza właściwie osobę mającą moc zrobienia z mężczyzny przestępcy jedynym pstryknięciem palców”.

Lękam się nadejścia sierpnia, bo kiedy upłynie dzień meldowania się w Browick, nie będę już mogła udawać, że sprawa sama się wyklaruje, że obudzi mnie wołanie rodziców: „Niespodzianka! Wszystko załatwione, oczywiście, że tam wracasz!”. Na dworze zaś będzie czekał pikap z moimi spakowanymi rzeczami. Tego ranka budzę się w pustym domu, mama i tata są w pracy. Liścik na blacie w kuchni przypomina mi, że mam odkurzyć, pozmywać naczynia, wyczesać Babe, podlać krzaki pomidorów i cukinii. Wciąż w szortach i T-shircie służących mi za piżamę wsuwam adidas na stopy i biegnę do lasu. Kieruję się na urwisko, podszycie drapie mnie po goleniach. Po dotarciu na szczyt stoję zdyszana i patrzę na jezioro, górę, to długie niskie wypiętrzenie przypominające grzbiet wieloryba. Niekończące się lasy, poprzerywane tylko tu i ówdzie wstęgą szosy, tiry sunące jak zabawkowe samochodziki po torze. Wyobrażam sobie, że wchodzę do pustego pokoju w internacie, materac skąpany w promieniach słońca, na parapecie wydrapane inicjały obcej osoby. Wyobrażam sobie, że w klasie przy stole konferencyjnym zasiadają nowi uczniowie, a Strane patrzy na nich tępo, myśląc o mnie.

Moje nowe liceum mieści się w długim parterowym budynku, który postawiono pośpiesznie w latach sześćdziesiątych, aby miało się gdzie uczyć pokolenie wyżu demograficznego, i którego dotąd nie odremontowano. Parking jest wspólny z centrum handlowym składającym się z dyskontowego supermarketu, pralni samoobsługowej, agencji telemarketingowej sprzedającej karty kredytowe i kawiarni, w której nadal wolno palić.

To przeciwieństwo Browick pod każdym względem. Klasy wyłożone wykładzinami, odprawy przedmeczowe, dzieciaki w dżinsach i T-shirtach, zajęcia przysposobienia zawodowego, tace ze skrzydełkami kurczaka i porcjami pizzy, tłok w salach taki, że nie da się wstawić choćby jednej ławki więcej. W trakcie odwożenia mnie rano matka mówi, że to dobrze, że wracam do nauki pierwszego dnia nowego roku szkolnego, że od razu wchłonę mnie bieżące życie, lecz gdy chodzę po korytarzach, nie ulega wątpliwości, że jestem napiętnowana. Dzieciaki, które pamiętam z podstawówki, uciekają wzrokiem w bok, inne gapią się bezczelnie. Na lekcji rozszerzonego francuskiego dla różnych roczników – podręcznik z materiałem, który już przerobiłam – dwaj chłopcy siedzący za mną szepczą o nowej dziewczynie, o której słyszeli, przeniesionej przymusowo, bo puszczalska rznąła się z nauczycielem.

W pierwszej chwili mrugam tylko bezradnie powiekami nad zeszytem. Rznąła?

Potem dopada mnie gniew. Bo oni nie wiedzą, że ta, o której plotkują, znajduje się tuż obok, bo do wyboru mam dwie drogi postępowania i żadna nie jest dobra – siedzieć cicho albo zrobić scenę i w ten sposób się zdemaskować. Może ci chłopcy sądzą, że wspomniana skandalistka to ostatni rocznik tak jak oni, ale najprawdopodobniej nie chodzi o wiek – do głowy im nie przyszło, że to ja mogę być dziewczyną, o której mowa. Na pierwszy rzut oka wydaję się zwyczajna i szczerą, ubrana w sztruksy rozmiar dziesięć. „To ty?”, spytaliby z niedowierzaniem, nie umiając pogodzić mojego wyglądu z puszczałką, którą sobie wyobrażali.

Mojego czwartego dnia w szkole dwie dziewczyny podchodzą do mnie w drodze na stołówkę. Jade Reynolds znam jeszcze z podstawówki. Brązowe włosy przefarbowała na krzykliwy oranż i pozbyła się noszonych dawniej dzwonów i naszyjników ze sztangą, nie rozstała się jednak z czarnym eyelinerem. Druga dziewczyna, Charley, chodzi razem ze mną na chemię. Jest wysoka i cuchnie papierosami, a włosy ma tak rozjaśnione, że prawie białe. Z powodu haczykowatego nosa wydaje się lekko zezowata, jak kot syjamski.

Jade uśmiecha się do mnie, lecz to bardziej sondowanie niż wyraz uprzejmości.

– Cześć, Vanessa – mówi, wyraźnie przeciągając sylaby. – Zjesz z nami?

Odruchowo kulę ramiona. Kręcę głową, bo wyczuwam pułapkę.

– Niekoniecznie.

Jade wciska głowę w tułów.

– Na pewno nie? – pyta, wciąż z tym osobliwym baczynym uśmiechem.

– Ej, nie wygłupiaj się – wtrąca obcesowo Charley. – Nikt nie lubi jeść sam.

W stołówce dziewczyny kierują się prosto do stolika w kącie. Ledwo siadam, Jade nachyla się do mnie, szeroko otwierając brązowe oczy.

– No to dlaczego się do nas przeniosłaś? – pyta.

– Nie podobało mi się tam – odpowiadam. – Poza tym szkoły z internatem dużo kosztują.

Jade i Charley wymieniają spojrzenia.

– A myśmy słyszały, że sypiałaś ze swoim nauczycielem – mówi pierwsza. – To prawda?

Pod pewnym względem odczuwam ulgę, że zadano mi to pytanie bezpośrednio – ulgę także dlatego, że wyobrażam sobie, iż ta afera przedziera się z powrotem na drugi koniec stanu, za nic nie chce przycichnąć. Moi rodzice mogą udawać, że nic się nie stało, ale stało się. Stało.

– Ciacho był? – pyta Charley. – Oj, pieprzyłabym się z takim nauczycielem.

Wpatrują się we mnie zaaferowane, a ja próbuję sformułować odpowiedź. Podobnie jak w przypadku dwóch chłopców na lekcji francuskiego wiem, że ich wyobrażenia nijak się mają do rzeczywistości – młody przystojny nauczyciel, jakby rodem z filmu. Ciekawe, co by o mnie pomyślały, gdyby zobaczyły Strane’a – z tym jego brzuchem i w lenonkach.

– A więc to prawda? – dopytuje się Jane z tonem niedowierzania w głosie. Nie jest przekonana.

Wzruszam lekko ramionami, ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam. Charley kiwa głową, jakby rozumiała.

Dziewczyny zaczynają jeść ciasteczka przekładane masłem orzechowym, które Jade wyjęła z plecaka. Obie odrywają połówki i wyskrobują zębami nadzienie ze środka. Podążają wzrokiem za nauczycielem patrolującym stołówkę. Gdy mężczyzna pochyla się, żeby porozmawiać z kimś przy jednym ze stolików, zrywają się na nogi.

– Chodź – mówi Charley. – Weź plecak.

Wypadają na korytarz, skręcają za róg w kierunku mniejszego skrzydła budynku i wychodzą na łącznik prowadzący do prowizorycznej klasy. Nurkują pod poręczą i zeskakują na trawnik.

Waham się, więc Charley wyciąga rękę i klepie mnie mocno w kostkę.

– Szybciej, bo ktoś cię zauważy!

Biegniemy po trawie na parking i dalej do centrum handlowego, gdzie ludzie pchają wózki obciążone torbami z supermarketu. Mężczyzna oparty o pustą taksówkę obserwuje nas, zaciągając się papierosem.

Charley chwytając mnie za rękaw i prowadzi do dyskontu. Ciągnę posłusznie za nimi, podążając między alejkami. Pracownicy zerkają na nas. To oczywiste, że jesteśmy uczennicami z liceum, nasze plecaki są aż nadto wymowne. Charley i Jade włączają się przez chwilę po alejkach, po czym kierują do działu z kosmetykami.

– Podoba mi się – mówi Jade, przyglądając się szmince od dołu.

Podsuwa sztyft Charley pod nos, a ta przekręca go i odczytuje kolor:

– Wino ze wszystkim.

Jade wciska mi szminkę.

– Ładna – stwierdzam i ją oddaję.

– Nie – szepcze. – Schowaj do plecaka.

Zaciskam dłoń na pomadce, nagle świadoma, o co chodzi. Jednym płynnym ruchem Charley wrzuca do swojego plecaka trzy buteleczki lakieru do paznokci. Jane wciska do kieszeni dwie szminki i kredkę do oczu.

– Dobra, wystarczy – mówi Charley.

Idę za nimi przez cały sklep, z powrotem do drzwi. Gdy podchodzimy do pustych kas, wrzucam szminkę do pojemnika z batonami czekoladowymi.

W równoległym świecie wciąż mieszkam w Browick. Znowu mam pojedynek w Gould, tym razem większą, bardziej słoneczną. Zamiast chemii, historii Stanów Zjednoczonych i algebry wybieram fizykę gwiazd, socjologię rock and rolla, sztukę matematyki. Mam kurs czytania ze zrozumieniem pod kierunkiem Strane'a, więc spotykamy się popołudniami w jego gabinecie, żeby omawiać lektury, które mi wyznaczył. Myśli płyną wprost od niego do mnie, nasze umysły i ciała są połączone.

Grzebię w swojej szafie i odnajduję kolorowe prospekty, które przywiozłam z Browick jako ośmioklasistka mająca świetlaną przyszłość. Tnę kartki i przyklejam wycinki na okładkę swojego pamiętnika – stoły w jadalni nakryte obrusami z okazji odwiedzin rodziców, uczniowie pochyleni nad książkami w bibliotece, kampus skąpany jesienią w złotym świetle i zasnuty liśćmi o ognistych kolorach, klonową czerwienią. Poczta przychodzi katalog L.L.Bean, więc nożyczki znowu idą w ruch. Modele ubrani w tweedowe marynarki, flanelowe koszule i buty górskie są substytutami Strane'a, trzymają nawet kubki z parującą czarną kawą. Tęsknię za nim tak bardzo, że mnie to fizycznie wyczerpuje. Wlokę się z klasy do klasy, każdy dzień dzielę na strawne porcje. Na minuty, jeśli godziny to za dużo. Gdy myślę o tym, ile pustych dni rozciąga się przede mną, zaczynam obsesyjnie dumać o sprawach, o których nie powinnam. Na przykład o tym, że może lepiej nie żyć. Nie byłoby to najgorsze rozwiązanie.

W trzecim tygodniu padają dwie wieże i przez cały dzień w szkole oglądamy wiadomości. Miniaturowe amerykańskie flagi zaczynają się pojawiać na samochodach, są przypinane do klap marynarek, w ogólnospółczych czekają na klientów obok kasy. W stołówce telewizor nastawiony jest na Fox News, a rodzice co wieczór oglądają przez kilka godzin CNN – te same kłęby dymu buchające z wieżowców, George W. gadający przez megafon w strefie zero, eksperci spekulujący, kto wysłał listy z wąglikiem. Moja nowa nauczycielka angielskiego zawiesza na swoim biurku wizerunek płaczącego łysego orła, a w rogu tablicy pisze zdanie: „NIGDY NIE ZAPOMNIMY”. Ale ja mogę myśleć tylko o Stranie, będącym moją osobistą stratą. W pamiętniku odnotowuję: „Zaatakowano naszą ojczyznę. To tragiczny dzień”. Otwieram go znowu i na jednej z pierwszych stron dopisuję: „A jednak mnie obchodzi tylko mój

los. Jestem samolubna i zła”. Mam nadzieję, że te słowa, widoczne czarno na białym, wzbudzą we mnie wstyd. Nic z tego.

Na dużej przerwie Charley, Jade i ja palimy papierosy na tyłach centrum handlowego, schowane między dwoma kontenerami na śmieci załadowanymi po brzegi pudłami tekturowymi. Jade chce, żeby Charley opuściła lekcję chemii, to będą mogły skoczyć gdzieś razem – może do sklepów? Nie wiem, właściwie nie słucham. Tak naprawdę Jade chce, żeby Charley darowała sobie lekcję, bo jest zazdrosna o mnie, zazdrosna, że chodzimy razem na zajęcia bez niej. Całe pięćdziesiąt minut, gdy nie ma wpływu na przyjaciółkę.

– Nie mogę nie iść – odpowiada Charley, pstrykając niedopałek. Na środkowym palcu ma wytatuowane małe serduszko – „dziara”, jak stwierdziła. Facet jej matki to zrobił. – Dziś klasówka, co nie, Vanessa?

Robię ruch głową, ni to kiwam, ni to kręcę. Pojęcia nie mam.

Jade patrzy na rampy załadownicze przed supermarketem, na zaparkowane tyłem tiry z żywnością.

– Jasne – burczy.

– Jezu, wyluzuj. – Charley się śmieje. – Pójdziemy po lekcjach. Boże, ale jesteś kurewsko spięta.

Jade wydmuchuje kłąb dymu papierosowego przez nadęte nozdrza.

Na lekcji chemii Charley szepcze do mnie, że kręci ją Will Coviello, tak mocno na niego leci, że chętnie zrobiłaby mu loda, a ona nigdy tego nie robi. Ledwo słyszę, bo jestem całkowicie pochłonięta pisaniem z pamięci planu lekcji Strane’a na wewnętrznej stronie okładki mojego notesu. W tej chwili ma zajęcia z drugą klasą, siedzą przy stole konferencyjnym, ktoś zajął moje miejsce.

– Czy to nie smutne? – pyta Charley. – Uważasz, że jestem żałosna?

Nie podnoszę wzroku.

– Uważam, że powinnaś zrobić to, na co masz ochotę, z tym, z kim masz ochotę – odpowiadam.

Czekam z wytęsknieniem na następne zajęcia Strane’a – to wolna godzina. Wyobrażam go sobie w gabinecie, półleżącego na kanapie obitej tweedem, na kolanach plik prac do sprawdzenia, jego myśli biegnące ku mnie.

– Widzisz, dlatego cię lubię – mówi Charley. – Jesteś taka wyluzowana. Powinniśmy gdzieś razem skoczyć. Ale tak naprawdę, po lekcjach.

Zerkam wreszcie znad notesu.

– Może w piątek? Skoczyłybyśmy na kręgielnię.

– Nie lubię kręgli – odpowiadam.

Wywraca oczami.

– Przecież nie będziemy grać!

Pytam więc, co tam się robi, lecz Charley tylko uśmiecha się pod nosem, schyla głowę do zaworu gazowego, ściąga usta i chce go odkręcić. Chwytam ją za rękę. Chichocze głośno i chrapliwie.

W piątek wieczorem Charley przejeżdża szmat drogi aż do naszego domu, żeby mnie zgarnąć. Wchodzi do środka i przedstawia się moim rodzicom. Włosy ma spięte w staranny koński ogon, a na palcu pierścionek zakrywający tatuaż.

Mówi mamie, że prawo jazdy dostała rok temu, a kłamstwo wychodzi jej tak gładko, że nawet ja daję się nabrać. Widzę, że rodzice wymieniają spojrzenia, mama jest załamana, ale wiem, że nie zamierzają zakazać mi wyjścia. Wreszcie nawiązuję przyjaźnie, zaczynam się asymilować.

Gdy idziemy we dwie podjazdem, poza zasięgiem słuchu rodziców, Charley mówi:

– Chryste, ty naprawdę mieszkasz na pieprzonym zadupiu.

– Wiem, nie cierpię tego.

– Nie dziwię się, też bym nie cierpiała. W zeszłym roku chodziłam z jednym facetem z tych okolic. – Wymienia nazwisko, ale nie kojarzę. – Był trochę starszy.

Auto rzeźi, gdy wyjeżdżamy na ulicę, i wyobrażam sobie, że mama krzywi się w reakcji na ten hałas.

– Taa, wiem – rzuca Charley. – Przepraszam, tłumik się zepsuł.

Kieruje jedną ręką, w drugiej trzyma papierosa, okno od jej strony uchylone, żeby wylatywał dym. Ma na sobie rękawiczki z odciętymi palcami, palto całe w kocich kłakach. Wypytuje mnie o moje sprawy, o to, co myślę o różnych ludziach z naszego liceum, o naukę w Browick. Wyznaje, że ma obsesję na punkcie szkół z internatem.

– Szał tam pewnie był, nie? Mnóstwo gówniarzy z bogatych domów.

– Nie wszyscy byli bogaci.

– Ale dragów pełno, co?

– Nie. Wcale nie. Było... – Myślę o budynkach z białą oblicówką, dębach jesienią, zaspach śnieżnych wyższych od człowieka, nauczycielach w dżinsach i koszulkach flanelowych, o Stranie spowitym cieniem, gdy przypatrywał mi się zza biurka. Kręcę głową. – Wiesz, to trudno wyjaśnić.

Charley wystawia koniec papierosa za okno.

– Szczęściara z ciebie – stwierdza. – Nieważne, że byłaś tam tylko dwa lata. Moja matka nie poszłaby na coś takiego.

– Dostałam stypendium.

– No tak, ale nawet wtedy nie pozwoliłaby mi jechać. Za bardzo mnie kocha. No pomyśl: puścić dziecko z domu w wieku czternastu lat? W pierwszej klasie? Obłąd. – Zaciąga się, wypuszcza dym z ust i dodaje: – Przepraszam, wiem, że twoja matka na pewno cię kocha. Po prostu u nas jest inaczej. Jesteśmy sobie bardzo bliskie. Tylko ja i ona.

Macham ręką lekceważąco, mówię, że nic się nie stało, ale jej słowa mnie zabolowały. Może czuję ukłucie, bo to prawda? Może rodzice nie kochają mnie wystarczająco? Może ten niedostatek miłości zrodził osamotnienie, które dostrzegł we mnie Strane?

– Will tam dzisiaj będzie.

Zmiana tematu jest tak nagła, że otwieram usta, aby spytać, co za Will, lecz zaraz przypominam sobie zwierzenia Charley na lekcji chemii. „Will Coviello to niesamowite ciacho, zrobię mu loda. Zapamiętaj moje słowa, zrobię”. Znam Willa od przedszkola. Jest o rok starszy, ostatnia klasa w liceum, mieszka w dużym domu z kortem tenisowym od frontu. W podstawówce dziewczyny nazywały go Księciem Williamem.

Dojeżdżamy do kręgielni, a tam czeka Jade, ubrana w satynowy top bez stanika. Pomieszczenie jest nagle oświetlone, długie stoły pod ścianami, z dala od torów, a przy stołach grupki dzieciaków z liceum, znajome twarze, ale zapomniane nazwiska. Po sąsiedzku jest bar sportowy, oddzielony tylko otwartymi drzwiami, więc dolatują muzyka z szafy grającej i woń piwa.

Charley siada obok Jade.

– Widziałaś Willa? – pyta.

Jade kiwa głową i wskazuje drzwi. Charley zrywa się i biegnie w tamtą stronę tak szybko, że o mało nie wywraca krzesła.

Sam na sam Jade nie raczy ze mną rozmawiać. Patrzy wymownie nad moim ramieniem, za nic na mnie nie spojrzy. Zakończone ostro kreski eyelinera na powiekach. Wcześniej nie

widziałam u niej takiego makijażu.

Z baru wchodzi do kręgielni mężczyźni z drinkami w rękach, penetrują wzrokiem słabo oświetlone pomieszczenie. Facet w kurtce moro dostrzega nasz stolik i kiwa na swojego kolegę. Ten drugi kręci głową i podnosi kapitulanko ręce, jakby chciał powiedzieć, że nie zamierza mieć z tym nic wspólnego.

Obserwuję, jak mężczyzna w moro skupia spojrzenie na Jade i jej zdzirowatym ubranku. Przysuwa sobie krzesło z boku, stawia szklankę na stoliku.

– Nie przeszkadza wam, że się dosiadę? Taki tłok, że nie ma miejsca.

To oczywiście żart, bo dokoła pełno wolnych krzeseł. Jade powinna się roześmiać, ale nawet na niego nie spojrzy. Siedzi wyprostowana, jakby połknęła kij, z rękoma założonymi na piersi.

– Nie ma problemu – odpowiada cichym głosem.

Mężczyzna jest dość przystojny, choć ma spracowane łapska. Właśnie na kogoś takiego wyrosną chłopcy z naszej szkoły – gruby akcent z Maine i pikap.

– Ile masz lat? – zwracam się do niego.

Pytanie brzmi bardziej bezpośrednio, niż zamierzałam, wręcz zaczepnie, ale on najwyraźniej się nie przejmuje. Obraca się w moją stronę, natychmiast zapominając o Jade.

– Czuję, że powinienem cię spytać o to samo – odpowiada.

– Ja byłam pierwsza.

Uśmiecha się pod nosem.

– Dam ci wskazówkę, ale sama musisz wykombinować. Szkołę średnią skończyłem w osiemdziesiątym trzecim.

Zastanawiam się przez chwilę. Strane skończył w 1976 roku.

– Trzydzieści sześć.

Mężczyzna unosi brwi, pije ze szklanki.

– Zniechęcona?

– Dlaczego mam być zniechęcona?

– Bo trzydzieści sześć lat to dużo. – Śmieje się. – A ty ile masz?

– A jak myślisz?

Przygląda mi się.

– Osiemnaście.

– Szesnaście.

– Aż tak fatalnie?

Głupia odzywka. Oczywiście, że fatalnie. Całą tę fatalność mam wypisaną na twarzy. Zerkam na Jade, a ona gapi się na mnie, jakbyśmy spotkały się pierwszy raz w życiu, jakby nie miała pojęcia, kim jestem.

Czwartoklasistka siedząca przy naszym stoliku nachyla się do mężczyzny.

– Ej, mogę łyknąć twojego drinka? – pyta.

On krzywi się lekko – ostentacyjny wyraz świadomości, że to nie w porządku – ale podsuwa jej szklankę.

– Dobra, wystarczy – mówi po chwili, wyciągając rękę. – Nie chcemy, żebyś się skuła.

– Jak masz na imię? – pytam.

– Craig. – Popycha szklankę w moją stronę. – Chcesz spróbować?

– A co to?

– Whiskey z colą.

Wyciągam rękę.

– Uwielbiam whiskey.

– A jak ty masz na imię, szesnastoletnia koneserko whiskey?

Odgarniam włosy z twarzy.

– Vanessa.

Wzdycham przy tym lekko, jakbym była śmiertelnie znudzona, jakby nie płonął we mnie ogień. Zastanawiam się, czy to się liczy jako zdrada, czy Strane byłby wściekły, gdyby wszedł i zobaczył tę scenę.

Wraca Charley z wypiekami na twarzy i potarganymi włosami. Bierze długi łyk napoju z puszki należącej do Jade.

– Co się stało?

Macha ręką, nie chce o tym rozmawiać.

– Wynośmy się stąd. Chcę wrócić do domu i się zmulić. – Zerka na mnie, jakby nagle coś sobie przypomniała. – Cholera, przecież muszę cię odwiedzić.

Craig uważnie się przysłuchuje.

– Potrzebujesz podwózki? – zwraca się do mnie.

Zapominam języka w gębie, czuję łaskotanie w kończynach.

– A ty to kto? – pyta Charley.

– Craig.

Mężczyzna wyciąga rękę na powitanie, lecz ona tylko mierzy go wzrokiem.

– Wykluczone, nie pojedziesz z nim – stwierdza. – Odwiozę cię.

Posyłam Craigowi potulny uśmiech, starając się nie okazać ulgi.

– Ona zawsze mówi ci, co masz robić? – pyta Craig.

Kręcę głową i wtedy nachyla się do mnie.

– No, a gdybym kiedyś chciał z tobą pogadać? Jak to zrobić?

Chce dostać numer mojego telefonu, ale wiem, że na dźwięk jego głosu rodzice od razu wezwaliby policję.

– Używasz instant messenger? – pytam.

– Coś w rodzaju AOL? Jasne.

Charley patrzy, jak wyjmuję długopis z dna torby i na dłoni Craiga piszę swoją nazwę użytkownika.

– Naprawdę lubisz starszych facetów, co? – rzuca, gdy ruszamy do drzwi. – Przepraszam, jeśli zepsułam ci randkę. Nie wiedziałam, że naprawdę chcesz z nim jechać.

– Nie chciałam. Podobało mi się, że zwrócił na mnie uwagę. Ale to frajerzyna.

Parska śmiechem, otwiera drzwi, wsiada, pochyła się w bok i odblokowuje drzwi od strony pasażera.

– Wiesz co, Vanessa? Jesteś nieźle stuknięta.

W drodze do mojego domu Charley puszcza ciągle tę samą piosenkę Missy Elliott, rapując do wtóru, a poblask z deski rozdzielczej barwi jej twarz na niebiesko. „Zero wstydu, panie, róbcie swoje. Tylko bądźcie górą”.

W poniedziałek wszyscy już wiedzą, że Charley zrobiła Willowi loda, lecz on przestał z nią gadać. Jade usłyszała od Bena Sargenta, że Will nazwał Charley białą wywłoką.

– Faceci to mendi – stwierdza Charley, gdy palimy papierosy za supermarketem, skulone między kontenerami.

Jade kiwa potakująco głową. Ja też, ale tylko dla świętego spokoju. W sobotę do późna i przez całą niedzielę czatowałam z Craigiem, w głowie ciągle szumi mi od tych wszystkich komplementów, którymi mnie obsypał. Jestem taka śliczna, taka ponętna, niewiarygodnie seksowna. Odkąd poznaliśmy się w piątek, myśli tylko o mnie. Za wszelką cenę chce mnie znowu zobaczyć.

Charley mówi, że faceci to mendy, ale tak naprawdę ma na myśli chłopców. Ociera łyż, zanim spłyną po policzkach. Wiem, że jest wściekła, że czuje się piekielnie zraniona, ale gdzieś w głębi ducha pojawia się nieuchronna myśl: a czego się spodziewałaś?

*

Craig i Strane to dwa różne światy. Weteran, brał udział w Pustynnej Burzy, a teraz pracuje jako budowlaniec. Nie czyta książek, nie studiował, nie ma nic do powiedzenia, gdy zaczynam mówić o ważnych dla mnie sprawach. Najgorsze w nim jest zamiłowanie do broni – nie chodzi o sztucery myśliwskie, ale o pistolety. Kiedy stwierdzam, że dla mnie broń to idiotyzm, odpisuje: „Zmieniłabyś zdanie, gdyby ktoś włamał się w środku nocy do twojego pokoju. Wtedy spluwa pod ręką to całkiem dobry pomysł”.

„Kto niby ma się włamać – ripostuję. – Ty?”

„Może”.

Tylko czatujemy w sieci, więc jest w porządku nawet wtedy, gdy Craig zaczyna się zachowywać jak oblech. Nie widziałam go od tamtego wieczoru w kręgielni, nie śpieszy mi się do następnego spotkania, on powtarza jednak, że musi się ze mną zobaczyć. Przez cały czas nadaje, że chce gdzieś ze mną wyskoczyć.

„Niby gdzie?” – pytam. Jestem głupia. Ilekroć rozmowa zbacza w stronę, która mi się nie podoba, zgrywam kretynkę, a to znaczy, że kretynkę zgrywam tak często, że on mnie za taką uważa.

„Jak to gdzie? – odpisuje. – Do kina, knajpy. Nie chodziłaś do tej pory na randki?”

„No dobra, ale ja mam szesnaście lat”.

„Wyglądasz na osiemnaście”.

Nie rozumie, jak to funkcjonuje, nie dociera do niego, że nie chcę uchodzić za osiemnastolatkę, że nie mam ochoty iść z nim do kina, jakby był moim rówieśnikiem.

Dni stały się chłodne i szare. Liście zmieniają kolor i spadają, w rzednących lasach stoją szkielety drzew. Dowiaduję się sporo o sobie: jeśli ograniczę sen do pięciu godzin na dobę, jestem zbyt zmęczona, aby przejmować się tym, co dzieje się wokół mnie, jeśli wstrzymam się z jedzeniem aż do kolacji, dojmujący głód zagłusza inne bolesne uczucia. Nadchodzi i mija Boże Narodzenie, rozpoczyna się kolejny rok. W wiadomościach nadal donoszą o węgliku i wojnie. W szkole plotki o mnie dawno już ucichły. Rodzice przestali co wieczór zamykać bezprzewodowy telefon w sypialni.

Wciąż czatuję z Craigiem, ale jego komplementy się zdewaluowały, a emocje, które poczułam na pierwszym spotkaniu, prysły. Teraz, gdy wymieniamy teksty, myślę tylko o tym, co Strane by o nim sądził oraz co by sądził o mnie, skoro spędzam czas w ten sposób.

Craig207: Mogę się do czegoś przyznać? W sobotę zaliczyłem szybki numer.

mrocna_vanessa: Po co mi to mówisz?

Craig207: Bo chciałbym, żebyś wiedziała, że wtedy cały czas myślałem o Tobie.

mrocna_vanessa: Hm.

Craig207: Wyobrażałem sobie, że ona to Ty.

Craig207: Ciągle żadnych wieści od tego nauczyciela?

mrocna_vanessa: Kontakt byłby ryzykiem.

Craig207: My się przecież kontaktujemy. Co to za różnica?

mrocna_vanessa: Ale my nic nie zrobiliśmy. Tylko gadamy.

Craig207: Wiesz, że chciałbym, aby nie kończyło się na gadaniu.

Craig207: Naprawdę nie byłeś z żadnym facetem oprócz niego?

Craig207: Ej, jesteś tam?

Craig207: Słuchaj, byłem cierpliwy do tej pory, ale moja cierpliwość się kończy. Mam dosyć tej ciągłej pisaniny.

Craig207: Kiedy się zobaczymy?

mroczna_vanessa: Hm, nie wiem, może w przyszłym tygodniu?

Craig207: Mówiłaś, że w przyszłym tygodniu zaczynają się ferie.

mroczna_vanessa: Aha, no tak. No, nie wiem, to nie takie łatwe.

Craig207: Może być bardzo łatwe. Możemy się spotkać nawet jutro.

Craig207: Pracuję z kilometr od Twojej szkoły. Zgarnę Cię.

mroczna_vanessa: To się nie uda.

Craig207: Uda się. Udowodnię Ci to.

mroczna_vanessa: Jak mam to rozumieć?

Craig207: Przekonasz się.

mroczna_vanessa: Co to niby znaczy???

Craig207: Ze szkoły wychodzisz około drugiej, co nie? Zawsze wtedy widać te wasze żółte autobusy czekające w kolejce.

mroczna_vanessa: I co chcesz zrobić? Przyjechać?

Craig207: Zobaczysz, jakie to proste.

mroczna_vanessa: Nie rób tego, proszę.

Craig207: Nie podoba Ci się to, że facet, którego podpuszczasz od dawna, może przejść od słów do czynów?

mroczna_vanessa: Poważnie mówię.

Craig207: Do zobaczenia, widzimy się.

Blokuję jego nazwę użytkownika, kasuję wszystkie wpisy i e-maile, a nazajutrz udaję chorą, czując ulgę, że nie powiedziałam mu, gdzie dokładnie mieszkam, więc mnie nie odnajdzie. Dzień później wracam do szkoły i w ręku trzymam klucz, sterczący wyraźnie między palcami, gdy pokonuję drogę od wyjścia do autobusu. Wyobrażam sobie, że Craig chwytą mnie od tyłu, wpycha brutalnie do swojego pikapa, a potem to już Bóg raczy wiedzieć. Najprawdopodobniej gwałci mnie i morduje. I idzie z moimi zwłokami do kina, żeby w końcu zaliczyć tę głupią randkę, o której ciągle gadał. Mija tydzień i nic się nie dzieje, więc przestaję nosić klucz jak broń i odblokowuję Craiga, żeby zobaczyć, czy próbował się ze mną skontaktować. Nie próbował. Zniknął. Wmawiam sobie, że czuję ulgę.

W marcu z mojego pokoju znika egzemplarz *Lolity*. Przeszukuję dokładnie wszystkie kąty – myśl, że ją straciłam, rodzi we mnie niepokonaną panikę. To nie tylko moja książka, to książka od Strane'a! – z jego komentarzami na marginesie, śladami jego palców na stronach.

Nie wierzę, że rodzice ją zabrali, nie wiem jednak, co innego mogło się stać. Na dole mama siedzi sama przy stole. Na blacie leżą rachunki i kalkulator z rolką papieru. Tata pojechał do miasteczka, żeby kupić rzeczy potrzebne do weekendowego gotowania soku klonowego na piecu, co wypełni dom słodką parą.

– Wchodziłaś do mojego pokoju? – pytam.

Mama podnosi znad kalkulatora pogodną twarz.

– Bo coś mi zginęło. Brałaś coś?

– A co ci zginęło?

Biorę wdech.

– Książka.

Mruga powiekami i spuszcza z powrotem wzrok na rachunki.

– Jaka książka?

Zaciskam zęby, czuję gulę w gardle. Odnoszę wrażenie, że mama poddaje mnie

sprawdzianowi, chce zobaczyć, czy ośmielę się wyjawić tytuł.

– Nieważne jaka. Jest moja. Nie miałaś prawa jej zabierać.

– Córcia, nie wiem, o czym mówisz. Nie wzięłam nic z twojego pokoju.

Patrzę z mocno bijącym sercem, jak matka przekłada papierki. Pisze słupek cyfr, a potem wbija wartości w kalkulator. Wzdycha na widok wyświetlonej sumy.

– Wydaje ci się, że mnie chronisz – mówię – ale jest za późno.

Znowu podnosi wzrok, ostre spojrzenie oznacza nagły wyłom w pozornie swobodnej postawie.

– Być może ty też ponosisz część winy – dodaję. – Przyszło ci to do głowy?

– Nie zamierzam teraz o tym z tobą dyskutować.

– Większość matek nie puszcza swoich czternastoletnich dzieci w świat. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie poszłaś w świat. Pojechałaś do szkoły.

– Wszystkie moje przyjaciółki uważają, że to dziwne, że mnie puściłaś. Większość matek za bardzo kocha swoje dzieci, żeby pozwolić im tak wyjechać. Ale chyba nie ty.

Patrzy na mnie, twarz trupio blada, zaraz potem zarumieniona. Wściekle czerwona, nozdrza napięte. Chyba nigdy nie widziałam jej w takim gniewie. Przez chwilę wyobrażam sobie, że wyskoczy zza stołu i chwyci mnie za gardło.

– Błagałaś, żebyśmy pozwolili ci wyjechać – odpowiada drżącym głosem, usiłując zachować zimną krew.

– Wcale nie błagałam.

– Urządziłaś tę cholerną prezentację.

Kręcę głową.

– Przesadzasz, mamó – stwierdzam, ale to nieprawda. Błagałam i urządziłam prezentację.

– Tak nie wolno. Nie można wypaczać faktów tylko po to, żeby dopasować wszystko do własnej wersji.

– Co to niby znaczy?

Bierze wdech, jakby chciała wygłosić przemówienie. Ale wypuszcza powietrze z płuc i rezygnuje. Wstaje i rusza do kuchni – żeby uciec ode mnie. Wiem o tym, lecz idę za nią. Po kilku krokach znowu pytam:

– Co to niby znaczy?

Żeby zagłuszyć moje słowa, matka odkręca kran do oporu i stuka naczyniami w zlewie, ale ja nie daję za wygraną. Pytania wylewają się ze mnie, napastliwe, poza moją kontrolą, poza mną.

Talerz wyślizguje się jej z dłoni. A może zrobiła to celowo? Tak czy owak jest stłuczony – skorupy grzechoczą w zlewie. Milknę, palce mnie swędzą, jakbym to ja rozbiła talerz.

– Okłamałaś mnie, Vanesso – odzywa się nagle matka. Zakręca kran ręką czerwoną od gorącej wody i śliską od płynu do zmywania. Palce zaciska w pięść. Zaczyna bić się w piersi, a od mokrej dłoni ciemnieje koszula. – Powiedziałaś, że masz chłopaka. Okłamałaś mnie bezczelnie, myślałam...

Urywa i zasłania oczy ręką, jakby te wspomnienia były ponad jej siły. Droga powrotna do Browick, mama mówiąca: „najważniejsze, żeby był dla ciebie miły”. Pytała, czy uprawiam seks, bo jeśli tak, powinnam brać pigułkę. „Pierwsza miłość to coś wyjątkowego”, stwierdziła. „Nigdy jej nie zapomnisz”.

– Okłamałaś mnie – powtarza.

Czeka, spodziewa się przeprosin. Słowa zawisają w powietrzu między nami. Czuję się

pusta i obnażona, ale nie czuję żalu. O nic.

Matka ma rację – kłamałam. Siedziałam tutaj i wmawiałam jej to, w co chciała wierzyć. Żadnych wyrzutów sumienia. Wydawało mi się, że nie tyle kłamię, ile wypaczam lekko prawdę, żeby brzmiała miło dla matczynych uszu – był to akt zniekształcenia, którego nauczyłam się od Strane'a, nauczyłam tak dobrze, że faktami manipulowałam niezauważenie, aż mama nie miała pojęcia, co się dzieje. Może potem powinnam mieć poczucie winy, ale pamiętam, iż czułam tylko dumę z tego, że mi się udało, że wiem, jak chronić ją, jego, siebie, wszystkich.

– Nie wyobrażałam sobie, że jesteś zdolna do czegoś takiego, Vanesso.

Wzruszam ramionami.

– Może wcale mnie nie znasz – odpowiadam chrapliwym głosem.

Mruga powiekami, zdając sobie sprawę z tego, co powiedziałam i czego nie powiedziałam.

– Może masz rację. Może nie znam.

Wyciera ręce i odchodzi od zlewu pełnego brudnych naczyń i kawałków rozbitego talerza. Rusza do pokoju, ale zatrzymuje się w drzwiach.

– Wiesz, czasem wstyd mi, że jesteś moją córką.

Stoję w kuchni, nasłuchując skrzypienia schodów, bo matka idzie na górę, otwiera i zamyka drzwi do sypialni, jej kroki bezpośrednio nad moją głową, trzask metalowej ramy, kiedy kładzie się do łóżka. Ściany i podłogi w tym domu są cienkie, zbudowane po tanioci, więc słyhać wszystko wyraźnie, jeśli nastawi się ucha – nieustanna groźba demaskacji.

Wsadzam rękę do zlewu i szperam na oślep w poszukiwaniu kawałków rozbitego talerza, nie obchodzi mnie, czy się zatnę. Ociekające wodą i mydlinami skorupy układam po kolei na blacie. Później, gdy leżę już w łóżku i szukam w sobie bólu – czy to, co powiedziała, było takie straszne? straszniejsze, niż zasłużyłam? – ona wrzuca odłamki do kubła na śmieci, w swoim pokoju na poddaszu słyszę brzęk ceramiki. Nazajutrz egzemplarz *Lolity* wraca na półkę.

Matka Charley dostaje pracę w New Hampshire, będzie to ich trzecia przeprowadzka w ostatnich czterech latach. Ostatniego dnia w szkole Charly przemyca piwo w plecaku i pijemy za supermarketem, a beknięcia odbijają się echem między kontenerami. Po lekcjach odwozi mnie do domu, wciąż podchmielona, wałąc przez wszystkie czerwone światła, a ja śmieję się, oparta głową o szybę, myśląc, że jeśli umrę w ten sposób, to wcale nie będzie źle.

– Szkoda, że wyjeżdżasz – mówię, gdy skręcamy na drogę do jeziora. – Nie mam przyjaciółek oprócz ciebie.

– Jest Jade – odpowiada Charley, wpatrując się w ciemną drogę, próbując wymijać wertepy.

– O nie, dzięki. Jade to koszmar.

Jestem zaskoczona własną obcesowością – nigdy wcześniej nie obmawiałam Jade, ale teraz to nie ma znaczenia.

Charley uśmiecha się pod nosem.

– Fakt, czasem taka jest. I chyba cię nie cierpi. – Zatrzymuje samochód przy podjeździe do naszego domu. – Weszłabym, ale nie chcę, żeby twoi starzy poczuli piwo ode mnie. Chociaż od ciebie też pewnie czuć.

– Poczekaj. – Szperam po plecaku w poszukiwaniu pasty do zębów, którą noszę ze sobą, odkąd zaczęłam palić papierosy. Wyciskam odrobinę do ust, rozprowadzam językiem.

– No proszę. – Charley się śmieje. – Nieźle stuknięta i do tego sprytna!

Biorę ją w ramiona na długą chwilę i, podpita, mam ochotę pocałować, ale się powściągam, zmuszam, żeby wysiąść z auta. Chcę zatrasnąć drzwi, lecz najpierw pochylam się i wsuwam jeszcze głowę do środka.

– Dzięki, że nie pozwoliłaś mi wtedy jechać z tamtym facetem – mówię.
Marszczy czoło, nie kojarząc. Potem unosi brwi.

– Ach, tamto. Nie ma problemu. Na pewno by cię zamordował.
Cofając auto na ulicę, otwiera okno i woła:

– Jesteśmy w kontakcie!

Kiwam głową i odkrzykuję:

– Jasne!

Ale to nic nie znaczy, nie mam przecież jej adresu ani numeru telefonu. Nawet w późniejszym okresie, w czasach Facebooka i Twittera, nie uda mi się jej odnaleźć.

Przez moment Jade i ja próbujemy się zaprzyjaźnić, na dużej przerwie łązimy razem za supermarket, namawiamy siebie nawzajem na kradzieże w sklepie, poirytowane coraz bardziej, gdy druga odmawia. Pewnego ranka siedzę na świetlicy przed pierwszą lekcją, w popłochu odrabiając zadania z algebry, gdy nagle Jade podchodzi do mnie.

– W sobotę spotkałam się z tym Craigiem z kręgielni – mówi.

Podnoszę wzrok. Uśmiecha się, nie może powstrzymać ust. Wygląda, jakby chciała o tym wykrzyknąć całemu światu.

– Kazał ci powiedzieć, że głupia cipa z ciebie.

Wybałuszając oczy, czeka na moją reakcję. Czuję, jak piecze mnie twarz, widzę siebie rzucającą w nią podręcznikiem, przewracam ją na podłogę, ciągnę za te wściekle rozjaśnione kudły.

Ale tylko wywracam oczami i mrużę, że Craig to zakochany w broni palnej pedofil, po czym wracam do odrabiania pracy domowej. Odtąd Jade zadaje się z innym towarzystwem, dziećmiakami poznanymi jeszcze w podstawówce. Farbuje włosy na brązowo i dołącza do drużyny tenisowej. Gdy mijamy się na korytarzu, patrzy przed siebie.

Zamiast postarać się o znalezienie nowego miejsca w stołówce, daję sobie spokój i duże przerwy spędzam w kawiarni w centrum handlowym. Codziennie zamawiam szarlotkę z kawą, czytam albo odrabiam lekcje, wyobrażając sobie, że wyglądam tajemniczo i dorośle, sama w łoży barowej. Czasem czuję na sobie spojrzenia mężczyzn siedzących na stołkach, czasem podnoszę śmiało wzrok, ale na tym koniec.

*

W domu, głęboko w lesie pośrodku niczego, internet jest moim jedynym oknem na świat. Przesiaduję w sieci, szperam, w różnych kontekstach wpisuję do wyszukiwarki „Strane” i „Browick”, w cudzysłowie i bez, ale znajduję tylko profil zawodowy i wzmiankę o zgłoszeniu się do programu rozwoju czytelnictwa w 1995 roku. A potem, w połowie marca, pojawiają się nowe wyniki: zdobył nagrodę dla najlepszego nauczyciela, wziął udział w ceremonii w Nowym Jorku. Jest zdjęcie ze Strane’em na scenie, odbiera medal, szeroko uśmiechnięta twarz, w gąszczu czarnej brody połyskują białe zęby. Nie rozpoznaję jego butów, a włosy ma krótsze, niż kiedykolwiek widziałam. Czuję dreszcz rozczarowania, bo uświadamiam sobie, że w tamtej chwili w ogóle o mnie nie myślał. A przecież ja myślę o nim przez cały czas.

Wieczorami rozmawiam do późna z nieznanymi na instant messengerze. Do wyszukiwarki wpisuję te same ciągi słów – „lolita”, „nabokov”, „nauczyciel” – i kontaktuję się z mężczyznami, którzy pojawiają się jako wyniki. Wylogowuję się jednak, gdy zaczynają się ślinić jak Craig. Bo nie o to mi chodzi. Lubię, jak czytają uszczęśliwieni o moich przeżyciach ze Strane’em. „Jesteś wyjątkową dziewczyną – stwierdzają – bo potrafisz docenić miłość takiego faceta”. Jeśli proszą mnie o zdjęcie, wysyłam im fotkę Kirsten Dunst z filmu *Przekleństwa niewinności* i dotąd żaden mi tego nie wytknął, więc zastanawiam się, czy mam do czynienia

z kretynami, czy nie przeszkadza im, że jestem oszustką. Gdy z kolei oni przysyłają mi swoje zdjęcia, stwierdzam, że są przystojni – wierzą w to nawet brzydale. Wszystkie zdjęcia trzymam w katalogu nazwanym „Matma”, żeby rodzice do nich nie zajrzeli. Czasem klikam po tych fotkach, jedna prostolinijna smutna twarz po drugiej, i myślę, że gdyby Strane przysłał mi swoje zdjęcie, zanim go poznałam, pasowałoby idealnie do tej kolekcji.

Pora błota przechodzi w porę mszyc. Lód na jeziorze powoli topnieje, najpierw na szaro, potem na niebiesko, wreszcie przemienia się w zimną wodę. Znika śnieg na podwórku, ale głęboko w lesie pod głazami wciąż gnieźdzą się zasy, chrupka biała powłoka upstrzona igliwem i szyszkami. W kwietniu, tydzień przed moimi urodzinami, mama pyta, czy chciałabym urządzić przyjęcie.

- I niby kogo miałabym zaprosić?
- Koleżanki i kolegów.
- Jakie koleżanki i kolegów?
- No, przecież masz w szkole koleżanki i kolegów.
- Pierwsze słyszę.
- Masz, masz – powtarza mama z uporem.

Niemal jej współczuję, gdy myślę o tym, jak wyobraża sobie moje życie w liceum, uśmiechnięte twarze na korytarzu, przy stole na dużej przerwie paczka uczennic z celującymi ocenami, a w rzeczywistości wbijam wzrok w podłogę, gdy przechodzę z klasy do klasy, i piję kawę w kawiarni pośród emerytów.

Kończy się na tym, że z okazji moich urodzin idziemy na kolację do Olive Garden – klocek lasagne, po nim klocek tiramisu przebitego świeczką. Prezentem jest dwumiesięczny kurs prawa jazdy, co pokazuje, że epoka Browick oddala się coraz bardziej.

- No i może wykombinujemy dla ciebie jakieś auto, gdy zdasz – mówi tata.

Zdziwiona mama podnosi brwi.

- Z czasem – dodaje szybko ojciec.

Dziękuję rodzicom, starając się nie okazywać emocji na myśl o tym, dokąd mogłabym dojechać samochodem.

*

Tego lata ojciec załatwia mi pracę archiwistki w swoim szpitalu – osiem doliczanych godzin za godzinę, trzy dni w tygodniu. Przydzielają mnie do oddziału urologicznego – długie pozbawione okien pomieszczenie, w którym od podłogi po sufit ciągną się półki obładowane dokumentacją medyczną przysyłąną z całego stanu. Gdy przychodzę rano do pracy, na zarchiwizowanie czeka już nowy plik kart oraz lista pacjentów, których papiery muszę przygotować, bo mają zaplanowaną wizytę u lekarza lub umarli, a wtedy dane można usunąć.

W szpitalu brakuje personelu, więc przez całe dni nikt mnie nie nadzoruje. Większość czasu spędzam na czytaniu dokumentacji medycznej, czego nie powinnam robić. Jest jej mnóstwo – gdybym nawet miała pracować w tym miejscu do końca swoich dni, nie zdołałabym przeczytać wszystkiego. Odszukanie interesujących przypadków to gra w ciemno polegająca na obmacywaniu palcami kodów w postaci kolorowych nalepek – wyciągam daną kartę w nadziei, że czeka mnie interesująca historia. Naprawdę trudno przewidzieć, która okaże się ciekawa. Zawartość grubych kopert czyta się jak powieść, całe lata symptomów, operacji, powikłań uwiecznionych na kalkach i kartkach pokrytych wyblakłym atramentem. Czasem skąpa treść jest najbardziej poruszająca – ludzka tragedia zamknięta w sekwencji kilku wizyt i zwieńczona czerwoną pieczętką: „ZGON”.

Prawie wszyscy pacjenci oddziału urologii to mężczyźni, przeważnie w średnim wieku

lub starsi. Jedni sikają krwią lub nie sikają w ogóle, inni wydzielają kamienie i hodują w sobie guzy nowotworowe. W kopertach tkwią niewyraźne obrazy rentgenowskie nerek i pęcherzy rozjaśnionych środkami kontrastowymi, charakterystyki prącia i jąder z adnotacjami lekarzy. W jednej kopercie znajduję zdjęcia trzech kamieni z pęcherza moczowego na dłoni w rękawiczce przypominających kanciaste ziarnka piasku. W zapisie wizyty widnieje pytanie lekarza: „Od kiedy ma pan krew w moczu?”. „Od sześciu dni”, odpowiedział pacjent.

W przerwie obiadowej idę do stołówki uzbrojona w książkę, więc mam pretekst, żeby nie siadać z tatą. Czuję się lepiej, gdy między nami jest trochę wolnej przestrzeni, bo w szpitalu ojciec staje się jakby inną osobą. Mówi z wyraźniejszym akcentem, słyszę, jak śmieje się z chamskich żartów, którymi byłby zniesmaczony w obecności mamy. W dodatku ma rzeszę przyjaciół. Ludzie rozpromieniają się na jego widok. Nie wiedziałam, że jest aż tak lubiany.

Pierwszego dnia, gdy zapoznawał mnie chyba z każdym pracownikiem szpitala, spytałam, jakim cudem wszyscy go znają. Roześmiał się i odpowiedział, że pomaga, gdy nosisz imię wyszyte na koszuli. Wskazał „PHIL” widniejące nad kieszenią na piersi, ale to coś więcej – nawet lekarze się uśmiechają, gdy go mijają, a oni prawie nigdy się nie uśmiechają, poza tym niektórzy wiedzieli już o mnie to i owo, ile mam lat i że lubię pisać. Myślą, że nadal uczę się w Browick, no i nic dziwnego. Zapewne pochwalił się wszystkim, gdy mnie przyjęto, a potem nie łaził przecież od jednego do drugiego, aby powiadomić, że zostałam wyrzucona.

Tata i ja nie mamy sobie zbyt wiele do powiedzenia, i dobrze. Gdy jedziemy razem pikapem, nastawia radio tak głośno, że nie da się rozmawiać, a po powrocie do domu siada w fotelu i włącza telewizor. Popołudniami lubi oglądać programy ze swojego dzieciństwa, *The Andy Griffith Show* i *Bonanzę*, a ja wybieram się z Babe na długie spacery dokoła jeziora i na urwisko, do pieczary, w której nadal butwieje prycza. Staram się pozostawać poza domem aż do przyjazdu mamy. Przebywanie w jej obecności wcale nie jest łatwiejsze, jednak gdy rodzice są razem, zapominają o mnie, więc wślizguję się do swojego pokoju i zamykam drzwi.

Tata mówi, że powinnam zacząć oszczędzać na studia, ale pieniądze z pierwszych dwóch wypłat wydaję na aparat cyfrowy i w wolne dni fotografuję siebie w lesie, ubrana w kwieciste sukienki i podkolanówki. Na zdjęciach paprocie ocierają się o moje uda, a słońce prześwieśla mi włosy, przez co wyglądam jak leśna nimfa, Persefona przechadzająca się po łąkach w oczekiwaniu na nadejście Hadesa. Piszę do Strane’a e-mail z załączonymi kilkunastoma plikami JPEG i krążę kursorem wokół komendy „Wyślij”, ale reflektuję się, gdy tylko wyobrażam sobie katastrofę, jaką bym tym na niego ściągnęła.

W połowie lata Strane pojawia się znowu pod postacią medycznej dokumentacji do zarchiwizowania, zawartej w przesyłce z zachodniego Maine. „STRANE JACOB, UR. 10 LISTOPADA 1957”. Wewnątrz jest opis wazektomii z 1991 roku, notatki z pierwszej konsultacji sporządzone przez lekarza: „Pacjent w wieku 33 lat, kawaler zdecydowany na bezdzietność”. Są także uwagi dotyczące samego zabiegu i wizyty pozabiegowej. „Pacjentowi zalecono okładać moszną lodem raz dziennie i przez dwa tygodnie nosić specjalną obcisłą bieliznę”. „Specjalną obcisłą bieliznę”? Zamykam kopertę przerażona tym określeniem, choć nie wiem, jak coś takiego w ogóle wygląda.

Potem znowu otwieram i czytam wszystko do końca – charakterystyka narządów rozrodczych, dane, 192 centymetry wzrostu, 127 kilogramów wagi. W trzech miejscach widnieje jego podpis. Odczepiam dwie kartki sklejone razem dziesięcioletnim kleksem i wyobrażam sobie, jak atrament wycieka Strane’owi z pióra na dłoń. Widzę jego palce, bąble, płaskie obgryzione paznokcie. Widzę rękę spoczywającą na moim udzie, gdy dotknął mnie pierwszy raz.

Historia wyłaniająca się z dokumentacji medycznej Strane’a jest mało burzliwa, a mimo to surrealistyczna, zwłaszcza uwagi dotyczące zdrowienia, opis przykładania torebki z lodem do

krocza. Próbuję to sobie wyobrazić – zabieg miał w lipcu, więc lód musiał topnieć, na szortach ciemne plamy, oszroniona szklanka napoju z boku, proszki przeciwbólowe z grzechotem wysypywane z pomarańczowej buteleczki na dłoń. Ile miałam wtedy lat? Liczę w myśli: sześć, pierwszoklasistka, ledwie osoba, dziewięć lat przed pójściem z nim do łóżka, gdy wiłam się w jego dłoniach, a on mówił mi, abym się uspokoiła, nie zajdę w ciążę, bo miał wazektomię.

Mam ochotę ukraść tę dokumentację, ale gdy mnie zatrudniono, musiałam podpisać zobowiązanie do zachowania poufności, z wyraźnie zaznaczonymi wytłuszczonym drukiem konsekwencjami prawnymi ujawnienia informacji medycznych. Zadowolam się więc zaglądaniem do tej koperty każdego dnia, biorę ją ze stałego miejsca na najniższej półce i przepisuję treść do swojego pamiętnika, podkreślając zdanie „kawaler zdecydowany na bezdzietność”. Przywodzi mi to na myśl jedyny fragment *Lolity*, którego nie cierpię, w którym Humbert najpierw wyobraża sobie, że ma córki z Lo, a potem z córkami płodzi wnuczki. Przypomina mi też to, o czym prawie zapomniałam – że przez telefon Strane prosił, abym nazywała go tatusiem, gdy walił konia po drugiej stronie.

Lecz myśli te są jak kamienie wygładzone przez wodę, które podnoszę i oglądam chłodnym wzrokiem, a potem wrzucam z powrotem do jeziora. W zaciszu szpitala obracające się wentylatory poruszają moimi włosami, a myśli opadają na dno świadomości, nikną pod mułem. Zamykam dokumentację, biorę inną kopertę, archiwizuję.

* Vladimir Nabokov, *Lolita*, przekład Michał Kłobukowski, Warszawa 2012.

2017

Jeden z recepcjonistów zachorował, więc Inez została sama na posterunku w sobotę, gdy mamy komplet gości, porzucam zatem swoje stanowisko, żeby jej pomóc. Gdy zatrudniono mnie w hotelu osiem lat wcześniej, trafiłam właśnie na recepcję, dlatego wciąż pamiętam podstawy. Inez musi mnie jednak nauczyć uaktualnionego systemu komputerowego – przemawia z intonacją pytającą, gdy pokazuje mi sekwencję wymaganą do sporządzenia rezerwacji i zameldowania. Nie potrafię powiedzieć, czy jest podenerwowana moją obecnością, czy poirytowana zaistniałą sytuacją. Gdy po popełnieniu błędu rzucam kilka słów samokrytyki, Inez szybko wypluwa z siebie ciąg zapewnień: „Świetnie ci idzie, świetnie, naprawdę świetnie”.

Godziny ulatują pomimo mojego umyślowego przymulenia, a może właśnie dzięki niemu. Barman przynosi mi dark and stormy, a Inez rozciąga usta w uśmiechu, gdy oferuję jej łyk, obie skulone za biurkiem podajemy sobie szklankę z rąk do rąk. Zdążyłam zapomnieć, jak to jest, kiedy pracuje się razem z kimś – to poczucie koleżeństwa płynące ze wspólnego obsługiwania gości: stała klientka, która z uporem twierdzi, że tym razem przydzieliliśmy jej inny pokój, chociaż pozwalamy jej zajrzeć za biurko i zobaczyć historię rezerwacji, wykazując, że to zawsze był numer 257, para, która ignoruje naszą przestrożę, że w tańszym pokoju od ulicy będzie głośno, i która godzinę później wraca, uskarżając się na hałasy. Inez świetnie sobie radzi z upierdliwcami, mruga rzęsami i chwyta się za serce, powtarzając: „Tak mi przykro, oj, tak mi przykro”. Jest na tyle wylewna, że goście tracą rezon, prawie zawsze kończy się na ich zapewnieniach, że wszystko okej, że to nie tragedia. Gdy odchodzą, Inez mruczy stek przekleństw pod nosem.

– Myślałam, że jesteś po prostu córką szefa – mówię. – A ty rzeczywiście znasz się na tej robocie.

Zerka na mnie przymrużonymi oczami, zastanawiając się, czy powinna to odebrać jako obrazę.

– Znasz się lepiej ode mnie – dodaję. – Ja nie umiem udawać życzliwości.

W reakcji na pochlebstwa napiętą twarz rozpromienia uśmiech.

– Gdy ludzie są rozczłosczeni, szukają zaczepki – stwierdza Inez. – Jak okażesz uległość, to zaraz ochłoną.

– Tak, tę samą taktykę stosuję wobec mężczyzn. – Zerkam, żeby zobaczyć, czy uśmiechnie się konspiracyjnie, ale tylko marszczy czoło, lekko zdezorientowana.

Obserwuję, jak klika w klawisze, a blask ekranu oświetla jej twarz. Ma siedemnaście lat, wygląda jednak na starszą, makijaż natryskowy i obcięte topornie równo włosy spod prostownicy. W białej jedwabnej bluzce pod żakietem i w naszyjniku z pereł wydaje się poskładaną osobą – już teraz lepiej gra rolę kobiety niż ja.

– Jesteś przenikliwa – dodaję. – Dojrzała jak na swój wiek.

Spogląda na mnie z ukosa, wciąż schowana za półgardą.

– O, dzięki.

Odwraca się do komputera i pochyla, żebym nie widziała ekranu.

O wpół do dziesiątej, gdy ruch słabnie, do recepcji podchodzi mężczyzna – czterdzieści parę lat, przystojny, niskawy osobnik. Ma jednodniową rezerwację na apartament z jacuzzi i widokiem na patio. Zamówił specjalne powitanie: przygaszone światła, kąpiel z bąbelkami, na łóżku rozsypane płatki róż, szampan w kubelku z lodem.

Mężczyzna melduje się, a ja zapewniam, że wszystko jest gotowe, pokój czeka.

– Pod warunkiem że wciąż zależy panu na szczególnej oprawie – dodaję, rozglądając się po lobby.

Facet najwyraźniej jest sam. Obdarza Inez uśmiechem. Szczerzy się do niej, odkąd się zjawił, choć to ja go obsługuję.

– Tak, jest idealnie – stwierdza.

Wkłada do kieszeni kartę magnetyczną i rusza do wind. Inez odwraca się, żeby włożyć kartę meldunkową do segregatora, a ja patrzę, jak tamten przystaje na środku lobby i wyciąga rękę. Z fotela wstaje kobieta. Zerka przez ramię w stronę recepcji, nasze spojrzenia się spotykają i nagle widzę, że to nie kobieta, lecz nastolatka w trampkach i za dużym swetrze z rękawami zakrywającymi dłonie. Czekają na windę, mężczyzna muska ustami jej szyję, ona wybucha rwanym śmiechem.

– Widziałaś? – pytam, gdy wsiadają do windy. – Tę dziewczynę, z którą tu przyjechał. Wyglądała na czternaście lat.

Inez kręci głową.

– Nie, nie widziałam – odpowiada. Patrzy na listę meldunkową, całość podświetlona na zielono. Wszyscy goście są w swoich pokojach, możemy się wreszcie odprężyć. – Pójdę coś zjeść.

Myślę o wypicowanym apartamencie, o płatkach róż na łóżku, szemrzących bąbelkach w wannie, niepewnym chichocie nastolatki, gdy on ściąga z niej workowaty sweter. Inez rusza do kuchni, a ja wyobrażam sobie, że dorabiam klucz i jadę na górę, wparowuję do pokoju, wbijam pazury facetowi w plecy i ściągam go z dziewczyny. Ale co bym osiągnęła, zrobiłabym tylko scenę i wyleciała z roboty. Gówniara wyglądała na chętną, uszczęśliwioną. Nie zaciągnął jej tam za włosy. Stojąc za biurkiem, wypijam ostatni łyk drinka i patrzę na Inez wracającą z talerzem makaronu. W marszu wkłada porcję do ust, kropki czerwieni pstrzą białą bluzkę.

Gdy zajada na zapleczu, do recepcji podchodzi mężczyzna i mówi, że ma rezerwację. Szukam w systemie, a on stoi nade mną, z rękami skrzyżowanymi na piersi, całą twarz zajmują krzaczaste brwi i nos siny od wody. Wzdycha teatralnie, aby mi uświadomić, jak bardzo jest poirytowany, a ja niekompetentna. Ja zaś myślę: zdaje pan sobie sprawę, że w tej chwili na górze gwałcą dziewczynę i nikt nic na to nie poradzi?

– Nie ma rezerwacji na pańskie nazwisko – oznajmiam. – Na pewno chodzi o nasz hotel?

– Na pewno. – Wyjmuje z kieszeni złożoną kartkę. – Proszę zobaczyć.

Zerkam i widzę potwierdzenie rezerwacji w hotelu w Portland. Ale w Oregonie. Uświadamiam mu błąd skruszonym tonem, jakby to była moja wina, a on gapi się to na świstek, to na mnie, potem na swoją żonę, siedzącą po drugiej stronie lobby w otoczeniu walizek.

– Przylecieliśmy z Florydy – duka. – Co teraz zrobimy?

Tego dnia całe miasto jest zarezerwowane, udaje mi się jednak znaleźć dla nich pokój w hotelu przy lotnisku. Facet, zbyt oszołomiony, aby mi podziękować, gna żonę do wyjścia, z powrotem do parkingowego, który przyprowadza ich wynajęty samochód. Odjeżdżają, a ja osuwam się na biurko. Głowa łąduje w dłoniach. Głęboki wdech.

Dzwoni telefon, podnoszę słuchawkę, nie otwierając oczu. Recytuję dyżurne powitanie.

– Halo – odzywa się z wahaniem kobiecy głos. – Czy to pani Vanessa Wye?

Przytomnieję od razu, patrzę po spokojnym lobby. Z zaplecza wychodzi Inez i macha do mnie – „Chwila” – kierując się do toalety dla personelu.

– Halo – powtarza głos. – Czy to pani Vanessa Wye?

Wyciągam rękę do czerwonego guzika na centralce, żeby przerwać połączenie.

– Proszę mnie wysłuchać. Mówi Janine Bailey z „Femzine”. Wysłałam pani kilka e-maili, mając nadzieję na nawiązanie kontaktu. Uznałam, że spróbuję ostatni raz i zadzwonię do pani

w pracy.

Trzymam palec przy czerwonym guziku, ale go nie naciskam.

– Już raz pani dzwoniła – odpowiadam łamiącym się głosem. – Zostawiła pani wiadomość na poczcie głosowej.

– Owszem, dzwoniłam.

– I teraz znowu pani dzwoni. Do pracy.

– No tak. Rozumiem, że jestem natrętna, ale proszę pozwolić mi zadać jedno pytanie. Czy śledziła pani tę sprawę?

Milczę, bo nie jestem pewna, o co jej chodzi.

– Sprawę Taylor... Zna pani Taylor Birch? Ona przechodzi piekło od paru tygodni. Widziała pani te ataki na nią? Ci prawicowcy, trolle na Twitterze. Grożą jej śmiercią...

– Tak, coś tam widziałam – przyznaję.

Słysząc kliknięcie, a potem słowa stają się wyraźniejsze, czystsze, jakby nastąpiło przełączenie z zestawu głośnomówiącego.

– Będę szczerą. Znam pani sprawę. I choć nie mogę pani zmusić, żeby się pani zgłosiła, chciałabym, żeby miała pani świadomość, jak bardzo mogłaby pomóc Taylor. To znaczy pomóc całemu ruchowi.

– Jak to zna pani moją sprawę?

Jej głos wznosi się o pół oktawy.

– Taylor mówiła mi, że wiedziała... słyszała plotki. Szczegóły, które Jacob Strane wyjawiał jej w przeciągu lat.

Szarpię gwałtownie głową. W przeciągu lat?

– No i... – Janine parska śmiechem. – Taylor przysłała mi też linka do bloga. Powiedziała, że to pani blog. Poczytałam. Właściwie to nie mogłam przestać czytać. Fascynujące. Cudownie pani pisze.

Oszołomiona wprowadzam do wyszukiwarki stary URL. Po tym, co stało się na studiach, utajniłam blog, dostęp możliwy był tylko na hasło. A jednak teraz wszystko się ładuje, wpisy są widoczne, status jakby cofnięty do poprzedniego, publiczny. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz sprawdzałam ustawienia prywatności – może blog jest jawny od wielu lat? Przewijając stronę, widzę tekst usłany dużymi literami „S” – mój oczywisty szyfr oznaczający Strane’a.

– Ten blog nie powinien być dostępny dla osób postronnych – mówię, przechodząc do rubryki z loginem, próbując przypomnieć sobie hasło sprzed dziesięciu lat. – Nie wiem, co się stało.

– Chciałabym się odnieść do niego w swoim artykule, pani Vanesso.

– Nie zgadzam się. Mogę się nie zgodzić, prawda?

– Wolalabym mieć pani pozwolenie. Ale w końcu blog został upubliczniony.

– I tak wszystko w tej chwili kasuję.

– Proszę bardzo, ale mam zrzuty ekranu.

Gapię się na ekran komputera – tryb odzyskiwania hasła wymaga sprawdzenia poczty elektronicznej Atlantica College, do której nie mam dostępu od lat.

– Że co?

– Wolalabym mieć pani zgodę – powtarza dziennikarka – ale moją powinnością jest napisać jak najlepszy artykuł. Mogłybyśmy razem przy tym popracować, prawda? Powie mi pani to, z czym czuje się pani najswobodniej, od tego zaczniemy. Czy to dla pani do przyjęcia, pani Vanesso?

Na język cisną mi się różne słowa – „niech pani przestanie do mnie wydzwaniać”, „niech pani przestanie do mnie pisać”, „przestań wymawiać moje imię, jakbyśmy się znały” – ale nie

mogę reagować ostro, skoro czytała mój blog, na którym własnymi słowami opisałam historię ze Strane'em.

– Może, nie wiem – odpowiadam. – Muszę to przemyśleć.

Janine Bailey wypuszcza z płuc strumień powietrza jakby wprost do mojego ucha.

– Mam nadzieję, że się pani zgodzi, pani Vanesso. Powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, jesteśmy to sobie winne. To dotyczy każdej z nas.

Patrzę przed siebie. Zmuszam się, aby przytaknąć.

– Jasne, no pewnie, ma pani rację.

– Wiem, jakie to trudne, proszę mi wierzyć. – Ścisza głos: – Ja też jestem ofiarą.

Och, to słowo naładowane lepkiem współczuciem – to protekcyjne, przesadne i zarazem redukcyjne słowo, od którego bez względu na kontekst wzdryga się całe moje ciało. Wyszczierzam zęby jak pies i warczę:

– Nic pani o mnie nie wie.

Odkładam słuchawkę i gnam przez lobby do pustej toalety dla personelu, wymiotuję do sedesu, obejmując muszlę rękami, aż w końcu nudności mijają, żołądek jest pusty, kaszlę żółcią.

Wciąż zdyszana i na kolanach sprawdzam, czy nie obrzygałam żakietu, gdy nagle drzwi się otwierają i ktoś mnie woła po imieniu.

Inez.

– Vanesso, dobrze się czujesz?

Ocieram usta wierzchem dłoni.

– Tak, wszystko w porządku – odpowiadam. – Brzuch trochę mi dokucza.

Drzwi się zatraskują i zaraz znów otwierają.

– Na pewno w porządku?

– Tak.

– Bo jakby co, to mogłabym zastąpić...

– Kurwa mać, dajże mi trochę przestrzeni!

Przytulona policzkiem do metalowej kabiny słyszę oddalające się pośpiesznie kroki, z powrotem w kierunku recepcji, gdzie przez resztę zmiany załżawione oczy Inez będą groziły wybuchem płaczu.

Kilka lat wcześniej zobaczyłam twarz Taylor na słupie latarni ulicznej, gdy czekałam na krawężniku, żeby przeciąć Congress Street. Była to ulotka, ogłoszenie o wieczorku poetyckim w barze. Wiedziałam, że Taylor pisze wiersze, że nawet coś wydała. Czytałam wszystko, co udało mi się zdobyć, zamawiałam egzemplarze czasopism literackich, regularnie zaglądałam do jej rzadko uaktualnianej witryny internetowej. W twórczości Taylor szukałam śladów Strane'a, ale znalazłam tylko dyskretne obrazy księżycówek ciągnących do jarzącego się światła i sześcizwrotkową kontemplację własnej macicy. Nigdy nie potrafiłam ogarnąć tego rozumem – jak mogła iść przez życie, pisząc o czymkolwiek innym niż Strane, skoro podobno wyrządził jej wielką krzywdę?

Nie rozumiałam jej, chociaż z całych sił próbowałam zrozumieć. Kilka lat wcześniej dowiedziałam się, gdzie pracuje i na którym osiedlu mieszka. Kierując się opublikowanym na Instagramie widokiem z okna w kuchni, wytypowałam nawet właściwy budynek. Ale nigdy jej nie nękałam, nie w potocznym sensie tego słowa – najbardziej zbliżyłam się do niej wtedy, gdy przespacerowałam się obok miejsca jej pracy, przeszłam obok budynku w porze lunchu, zaglądając w oczy wszystkim wchodzącym i wychodzącym blondynkom. Lecz czy w ogóle były chwile, kiedy jej nie wypatrywałam, zerkając na twarze w restauracjach, kawiarniach, supermarketach i sklepach osiedlowych? Czasem wyobrażałam sobie, że Taylor depcze mi po piętach, gdy idę przez miasto. Na myśl o byciu obserwowaną czułam swędzenie od stóp do

głowy – to samo doznanie ogarniało mnie, gdy wyobrażałam sobie, że Strane na mnie patrzy.

Poszłam na ten wieczorek poetycki i stanęłam na końcu słabo oświetlonego baru, rude włosy zgarnięte i ukryte pod czapką. Zostałam tylko do momentu, gdy Taylor podeszła do mikrofonu i zaczęła deklamować. Wielki, szeroki uśmiech i dziko gestykulujące ręce. Jest w świetnej formie – tak uznałam, kiedy szłam do domu, z policzkami zarumienionymi od zazdrości zmieszanej z ulgą. Wyglądała na zwykłą, zadowoloną, nieupośledzoną kobietę. Tego wieczoru przekopałam się przez stare segregatory, odnalazłam ocenione eseje ze studiów, wiersze z liceum. Tekst, który napisałam o roli gwałtu w *Tytusie Andronikusie* z uwagą Henry’ego Plougha na końcu: „Vanesso, piszesz zachwycająco”. Pamiętam, że zbagatelizowałam otrzymany stopień świadoma, że nie należy go brać poważnie, ot, kolejna porcja pochwał od nauczyciela, który chce się do mnie zbliżyć. A może naprawdę tak myślał? I może Strane – z tymi swoimi komplementami, uporczywym powtarzaniem, że w sposób szczególny postrzegam świat – też mówił poważnie? Mimo swoich wad był dobrym nauczycielem, wyćwiczonym w dostrzeganiu potencjału u uczniów.

Zaglądam na Twittera w poszukiwaniu nazwiska Strane’a, lecz trafiam głównie na nazwisko Taylor, na mieszkankę seksistowskich ataków i feministycznej samoobrony. Jeden tweet zawiera jej zdjęcie, gdy miała czternaście lat – chuda, uśmiecha się w aparacie na zębach, w stroju do hokeja na trawie, a tekst głosi całemu światu: „OTO JAK WYGLĄDAŁA TAYLOR BIRCH, GDY JACOB STRANE JĄ NAPASTOWAŁ!”. Wyobrażam sobie, że podobnymi słowami opatrzona jest kolekcja polaroidów, które Strane mi zrobił, gdy miałam piętnaście lat, ciężkie powieki i spuchnięte usta, a także zdjęcia, które sama sobie pstryknęłam jako siedemnastolatka, na tle brzoź, podnosząc spódniczkę wpatrzona w obiektyw, wyglądając jak lolitka, wiedząc dokładnie, czego chce i kim jestem. Zastanawiam się, ile przeżytej krzywdy inni byliby gotowi przypisać takiej dziewczynie jak ja.

2002

Zaczyna się ostatni rok liceum i w ciągu pierwszego tygodnia zjawiam się w gabinecie pedagoga szkolnej z wypełnionymi kwestionariuszami i zarysem eseju na egzaminy wstępne, który przygotowywałam przez całe lato. Zachowałam listę uczelni sporządzoną dla mnie przez Strane'a, ale pedagog każe mi ją rozszerzyć. Mówi, że muszę być bardziej przewidująca. Może przyjrzymy się kilku stanowym uczelniom? Zamknięto kawiarnię w centrum handlowym, więc jadłam teraz w szkolnej stołówce, w towarzystwie Wendy i Marii, z którymi chodzę na zajęcia z angielskiego. Maria przyjechała z Chile na wymianę, mieszka z rodziną Wendy. Właśnie z takimi dziewczynami powinnam się zaprzyjaźnić zdaniem moich rodziców – pilne i miłe uczennice niezadające się z chłopakami. Na lunch jemy jogurt o niskiej zawartości tłuszczu i kawałki jabłka z dwiema odmierzonymi łyżkami masła orzechowego, przepytując się nawzajem z wiedzy za pomocą kart dydaktycznych, porównując prace domowe i rozprawiając obsesyjnie o dalszej nauce. Wendy celuje w Uniwersytet Vermont, Maria chciałaby zostać w Ameryce i też pójść na studia. Marzy jej się cokolwiek w Bostonie.

Życie toczy się dalej. Dostaję prawo jazdy, ale samochodu nie. Babe wraca do domu z pyskiem najeżonym kolcami ursona, więc trzymamy ją z mamą, a tata wyciąga wszystkie po kolei szczypczykami. Został wybrany na szefa związku zawodowego w szpitalu. Mama dostaje celującą ocenę z kursu wiedzy historycznej w *community college*. Liście zmieniają kolor. Otrzymuję niezłe oceny z testów kompetencyjnych i kończę drugą wersję eseju na egzaminy wstępne. Na zajęciach z literatury amerykańskiej czytamy znowu Roberta Frosta, lecz nauczyciel ani słowem nie wspomina o seksie. Na lunchu Maria i Wendy dzielą się bajgłem, szarpiąc pieczywo na strzępy. Chłopak, z którym chodzę na zajęcia z fizyki, zaprasza mnie na imprezę, a ja się zgadzam powodowana ciekawością, lecz z ust wali mu cebulą i aż pragnę śmierci na myśl o tym, że mógłby mnie dotykać. Gdy w zaciemnionej sali nachyla się do pocałunku w trakcie tańczenia pościelówki, kłamię, że mam chłopaka.

– Od kiedy? – pyta, unosząc brwi.

Od początku, myślę. Nic o mnie nie wiesz.

– Jest starszy – dodaję. – Nie znasz go. Przepraszam, powinnam cię uprzedzić.

Przez resztę tańca milczy, natomiast po skończonym wieczorze mówi, że nie może odwiedzić mnie do domu, bo mieszkam daleko, a on jest zmęczony. Muszę więc zadzwonić po tatę. W drodze powrotnej nagabuje mnie, co poszło nie tak, co się stało, czy chłopak czegoś próbował, skrzywdził mnie?

– Nic się nie stało – odpowiadam, mając nadzieję, że nie uświadomi sobie, jak znajomo brzmią jego pytania i moje zaprzeczenie.

Po całej serii cienkich kopert przysłanych z uczelni wyższych, jednoznacznych odmów i nieprzekonujących powiadomień o trafieniu na listę rezerwową w marcu nadchodzi gruby pakiet z Atlantica College, jednej z uczelni, które pedagog szkolna kazała mi włączyć do listy. Rozrywam papier, a rodzice patrzą uśmiechnięci i dumni. „Gratulacje, jesteśmy zachwyceni”. Ze środka wysypują się broszurki i formularze z pytaniami, czy chcę mieszkać na kampusie, czy mam jakiegokolwiek preferencje w sprawie akademika, który zestaw posiłków wolę. Jest zaproszenie na dzień otwarty dla przyjętych kandydatów oraz odręcznie napisany list od mojej przyszłej opiekunki roku, profesor literatury mającej w dorobku kilka wydanych tomików poezji. „Twoje wiersze są nadzwyczajne – pisze. – Cieszę się na naszą współpracę”. Drżącymi rękami przeglądam wszystkie papiery. I choć Atlantica to formalnie uczelnia stanowa, niezbyt

prestżowa w dodatku, przyjęcie mnie rodzi to samo uczucie jak dawniejsze przyjęcie do Browick. Aż cofam się w czasie.

Tego wieczoru, gdy rodzice kładą się spać, chwytam telefon bezprzewodowy i wychodzę na zaśnięzone podwórko, a księżyc oświetla zamarznęte wciąż jezioro.

Nic dziwnego, że Strane nie odbiera. Gdy uruchamia się automatyczna sekretarka, chcę się rozłączyć i spróbować ponownie. Jeśli nie dam za wygraną, może w końcu zareaguje poirytowany? Przynajmniej usłyszę jego głos, nawet jeżeli zacznie wrzeszczeć, żebym zostawiła go w spokoju. Wyobrażam sobie, że widzi identyfikator dzwoniącego, na ekranie błyska „WYE PHIL & JAN”. Skąd miałby wiedzieć, że to nie moi rodzice telefonują, aby wykrzyczeć, że wiedzą o wszystkim i pociągną go do odpowiedzialności, poślą za kratki? Mam nadzieję, że jest przerażony, choćby przez moment. Kocham go, lecz gdy pomyślę o tym zdjęciu ukazującym przyjmowanie nagrody w Nowym Jorku – Stowarzyszenie Szkół Prywatnych Nowej Anglii uznaje Jacoba Strane’a za Nauczyciela Roku – to pragnę sprawić mu ból.

Słysząc jego nagrany głos – „Jacob Strane...” – i już go widzę stojącego w dużym pokoju: bosi, T-shirt, wypukłość brzucha pod bielizną, spojrzenie białe w aparat. Piknięcie przesywa mi ucho, patrzę na jezioro, długi łańcuch fioletowych gór na tle granatowoczarne nieba.

– To ja. Wiem, że nie możesz ze mną rozmawiać, ale chciałam ci powiedzieć, że przyjęli mnie do Atlantica College. Zaczynam dwudziestego pierwszego sierpnia, wtedy tam jadę. I będę już miała osiemnaście lat, więc...

Milknę, słyszę przesuw taśmy. Wyobrażam sobie, że jest odtwarzana jako materiał dowodowy na sali sądowej. Strane siedzi obok swojego adwokata, z głową zwieszoną nisko w poczuciu kompromitacji.

– Mam nadzieję, że czekasz na mnie – dodaję. – Bo ja na ciebie czekam.

Ociepla się i wszystko wydaje się łatwiejsze, ponieważ mam miejsce na Atlantica College w kieszeni. To osłoda na gorycz wygnania z Browick, światelko na końcu tunelu z gówna. Pomimo ostrzeżeń ze strony nauczycieli, że przyjęcie na studia można teoretycznie cofnąć, moje ceny w nauce spadają do wątych czwórek i trójek. Raz, dwa razy w tygodniu opuszczam popołudniowe lekcje, żeby spacerować po lesie między liceum i międzystanówką, a błoto przecieka mi do adidasów, gdy obserwuję samochody przemykające za ogołoconymi z liści drzewami i palę papierosy, które kupuje dla mnie za moje pieniądze kolega z klasy. Pewnego popołudnia widzę, że z lasu wypada na szosę sarna i pięć aut, jedno za drugim, szepia się w karambolu. Wystarczyły sekundy.

W kwietniu, dwa dni przed moimi urodzinami, sprawdzam e-maile i widzę powiadomienie: „jenny9876 wysłał(a) prośbę o czat”. „Tak”, klikam z całej siły, aż myszka wyslizguje mi się z dłoni.

jenny9876: Cześć, Vanessa. To ja, Jenny.

jenny9876: Ej, jesteś?

Jenny9876: Proszę, odpowiedz, jak jesteś.

Patrzę na pojawiającą się wiadomość, migającą na dole okienka linijkę tekstu: „jenny9876 pisze...”. Potem nic. Próbuje ją sobie wyobrazić – krzywiznę szyi, połyskliwe brązowe włosy. Jest kwiecień, w Browick mają przerwę, Jenny zapewne wróciła do domu w Bostonie. Trzymam palce nad klawiaturą, nie chcę jednak zacząć, póki nie będę gotowa, nie chcę, aby widziała, że piszę, przerywam, piszę, waham się – wyraźna oznaka, że się miotam.

mroczna_vanessa: Co?

jenny9876: Hej!

jenny9876: Tak się cieszę, że jesteś!

jenny9876: Co u Ciebie?

mroczna_vanessa: Dlaczego się ze mną kontaktujesz?

Pisze, że zdaje sobie sprawę, iż nie cierpię jej za to, co wydarzyło się w Browick. Minęło jednak sporo czasu. Być może przestało to mieć dla mnie znaczenie, lecz ona wciąż czuje się winna. Zbliżają się studia, więc sporo ostatnio o nas myślała. Mnie tam nie ma, a on jest – co za niesprawiedliwość.

jenny9876: Musisz wiedzieć, że gdy poszłam do dyrektorki, to nie miałam pojęcia, jak to się skończy.

jenny9876: Może to brzmi naiwnie, ale naprawdę myślałam, że wywalą go z roboty.

jenny9876: Zachowałam się tak tylko dlatego, że bardzo się o Ciebie martwiłam.

Powtarza, że bardzo jej przykro, ale mnie obchodzi tylko Strane. Ona przeprasza, a ja próbuję wysłać pytania, nie przejmując się już, że widać moje wahanie, kłopoty z doбором słów. Potem plecie o studiach – wybiera się na Brown, ale słyszała sporo dobrego o Atlantica College – lecz ja nie chcę o tym rozmawiać; pragnę spytać o długość jego włosów, czy urosły, są potargane, czy ciągle nosi niemodne ubrania – to jedyne widoczne oznaki jego stanu duchowego, jakie przychodzą mi do głowy, bo przecież Jenny nie powie mi tego, co naprawdę chciałabym wiedzieć: czy jest przybity? Czy tęskni za mną? W końcu walę prosto z mostu: „Często go widzisz?”, a wtedy ona wybuchła nienawiścią do Strane’a, wyczuwalną przez łącza.

jenny9876: Tak, widuję. Wolałabym nie. Nie cierpię typa. Chodzi po kampusie jak skrzywdzony człowiek, tyle że nie ma powodu tak się czuć. Przecież to Ty się nacierpiałas, nie on.

mroczna_vanessa: Jak to? Jest smutny?

jenny9876: Mocno nieszczęśliwy. Absurdalne, biorąc pod uwagę, że zrobił z Ciebie kozła ofiarnego.

mroczna_vanessa: Jak to?

jenny9876 pisze... jenny9876 pisze...

jenny9876: Nie wiesz?

mroczna_vanessa: Czego?

jenny9876: Że to on doprowadził do tego, że wywalono Cię ze szkoły. Naciskał dyrektorkę, żeby to zrobiła.

jenny9876: Chyba nie powinnam Ci mówić.

Jenny9876: Właściwie nie powinnam tego wiedzieć.

mroczna_vanessa: ???

jenny9876 pisze... jenny9876 pisze...

jenny9876: No dobra. W zeszłym roku ja i kilkoro innych założyliśmy kółko o nazwie Uczniowie na rzecz Sprawiedliwości Społecznej. Jedną z ważniejszych rzeczy, którymi chcieliśmy się zająć, było wprowadzenie do Browick konkretnej polityki przeciwdziałającej molestowaniu seksualnemu, bo nie mieli żadnej z prawdziwego zdarzenia (co jest nieodpowiedzialne i formalnie niezgodne z prawem). No więc zeszłej zimy spotkałam się z dyrektorem Giles w tej sprawie, ponieważ władze szkoły nijak nie chciały nam pomóc, no i na tym spotkaniu wykorzystałam Ciebie trochę jako przykład sytuacji, którym chcielibyśmy zaradzić.

jenny9876: No bo wiesz, niby było to zebranie, na którym wzięłaś całą winę na siebie, ale wszyscy wiedzą, jak było naprawdę. Wiedzą, że to Ty byłaś ofiarą, a on sprawcą.

jenny9876: W każdym razie gdy się spotkałyśmy, dyrektor Giles powiedziała, że nie mam racji, że wcale nie zostałam skrzywdzona, a szkoła nie ma sobie nic do zarzucenia. Pokazała mi

kilka notatek, które Strane napisał na Twój temat, twierdząc w zasadzie, że wszystko zmyśliłaś.

jenny9876: No i to jest dla mnie mocno frustrujące, bo wiem, że nie zmyśliłaś. Nie wiem, co dokładnie zaszło między wami, ale widziałam, jak Cię wtedy złapał.

mroczna_vanessa: Kilka notatek?

jenny9876: No tak. Dwie właściwie. Jedna była o tym, że zniszczyłaś jego reputację, a w Browick nie ma miejsca dla nałogowych kłamców. Pamiętam, że określił Cię jako „bystrą, ale emocjonalnie niezrównoważoną dziewczynkę”. Napisał, że złamałaś kodeks etyczny szkoły, więc powinnaś zostać usunięta z grona uczniów.

jenny9876: Druga notatka była wcześniejsza. Chyba ze stycznia 2001. Że się w nim podkochujesz i ciągle wysiadujesz w jego klasie. No i że woli to zgłosić natychmiast, mieć na papierze w razie, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli. Jakby chciał w ten sposób zyskać alibi, gdyby go przyłapano.

Mój umysł ulatuje w powietrze, do lasu, potrzebuje przestrzeni, żeby zrozumieć. Styczeń 2001 roku. Kiedy jechaliśmy przez migające żółte światła do jego domu, kiedy dał mi piżamę w truskawki – wtedy właśnie donosił na mnie kłamliwie w szkole. Ja byłam w stanie nieważkości, nie pojmowałam, co się dzieje, a on miał gotową strategię, planował dziesięć ruchów do przodu. Na końcu, gdy wszystko się posypało, przekonał mnie, żebym stanęła przed ludźmi i wzięła całą winę na siebie. Jak on to powiedział? „Vanesso, oni postanowili cię relegować i nic nie zmieni tej decyzji. To przesądzone”. Myślałam wtedy, że „oni” oznacza dyrektor Giles, władze szkoły, Browick. Myślałam, że choć wszyscy są przeciwko mnie, to Strane’a mam po swojej stronie.

Przed wylogowaniem się Jenny pyta, co naprawdę się wydarzyło. Drżącymi dłońmi zaczynam pisać: „Wykorzystał mnie, a potem się mnie pozbył”. Reflektuję się jednak i kasuję te słowa, bo upiorna perspektywa policyjnego śledztwa i kary więzienia dla Strane’a wciąż jest zbyt przerażająca.

mroczna_vanessa: Nic.

*

Dzień po swoich urodzinach mówię mamie i tacie, że muszę wybrać się do biblioteki w miasteczku, aby odrobić zadanie szkolne, które naprawdę nie istnieje. Wtedy po raz pierwszy proszę, aby pożyczyli mi samochód. Rodzice akurat uwijają się na dworze, czyszczą ogród przed posadzeniem corocznych roślin, ręce mają ubrudzone ziemią po łokcie. Mama się waha, ale tata wzrusza ramionami. „Jasne, bierz”.

W drodze do auta, z kluczykami w dłoni, słyszę wołanie mamy. Moje serce zamiera w nadziei, że jednak nie pozwolą mi jechać.

– Kupisz mleko?

W trakcie podróży cała misterna logika, którą sobie ułożyłam na wygnaniu z Browick, chwieje się pod brzemieniem nowej świadomości, grożąc kompletnym zawaleniem. Nie wiem, co oprócz desperacji kazało mi wierzyć, że Strane chce utrzymać ze mną więź, że czeka, póki nie skończę osiemnastu lat. Nie złożył mi żadnej wyraźnej obietnicy, nawet w trakcie naszej ostatniej rozmowy. Zapewnił wyłącznie, że wszystko będzie okej. Dla mnie „okej” znaczyło tylko jedno, ale co znaczyło dla niego? „Okej” mogło być po prostu wyjściem z tego bez zadrażnienia, bez utraty pracy, wyroku więzienia. Dłonie mi się pocą na kierownicy. Jak łatwo dajemy się oszukać, jak łatwo potrafimy upleść historię z własnych złudzeń, z niczego.

Po dotarciu do miasteczka skręcam na wąską szosę prowadzącą na zachód, do Norumbegi. Szukam we wspomnieniach czegokolwiek, co wydawałoby się realne. Ach te czasy, gdy w sekrecie mówiłam znajomym ze szkoły, że mam starszego chłopaka – wzdrygam się cała,

gdy teraz o tym myślę. Wiem, że to nie była do końca prawda, a jednak wydawało się prawdą na tyle, że mogłam bez wahania o tym kłamać. Strane czekał przecież na mnie, choć etykieta „chłopaka” niezbyt do niego pasowała. W rzeczywistości byłam niechciana, porzucona. Może jest już na całkiem innym etapie, zakochał się i sypia z inną, z kobietą, może uczennicą?

Mam zwarcie w mózgu na tę myśl – błysk białego światła i ból. Auto odbija na miękkie pobocze, ściągam je kierownicą z powrotem na jezdnię.

Norumbega się nie zmieniła, rzeka między szpalerem drzew, księgarnia, trafika, pizzeria, piekarnia, kampus Browick na wzgórzu połyskujący nad śródmieściem. Parkuję na podjeździe, za kombi. Za tym samym, którym przyjechaliśmy z liceum do jego domu, a potem wyruszyliśmy na przejażdżkę, jego wolna ręka między moimi udami. Minęło mnóstwo czasu, ale czuję, jakby to było dziś – mam na sobie to samo ubranie, wyglądam identycznie. A może stałam się dojrzalsza, tylko tego nie zauważyłam? Czy możliwe, że mnie nie pozna? Pamiętam, jak po jego twarzy przemknął cień rozczarowania, gdy skończyłam szesnaście lat. „Praktycznie kobieta już z ciebie”. Może się zahartowałam i postarzałam? Czuję, że jestem twarda, w każdym razie twardsza niż wtedy. Ale dlaczego? Przecież od tamtej pory właściwie nic nie przeżyłam. Widziałam karambol z za drzew, flirtowałam z mężczyznami w sieci, o mało nie zostałam porwana przez frajera kolekcjonującego broń, zjadłam mnóstwo szarlotki w samotności przy stole w kawiarni. Może to wszystko składa się na jakąś mądrość? Zastanawiam się, czy gdyby teraz Strane był moim nauczycielem, równie łatwo wpadłabym w sidła.

Nie pukam do drzwi, walę pięścią jak policja, bo chcę go nastraszyć. Zakładam, że może nie otworzyć, że zastygnie na środku pokoju, wstrzymując oddech, póki nie zrezygnuję i nie odjadę. Możliwe, że w ogóle nie chce mnie widzieć; może właśnie o to mu chodziło, gdy wymusił decyzję o relegowaniu ze szkoły, może chciał usunąć mnie ze swojego życia – wraz ze wszystkimi następstwami, które mogły zrujnować mu karierę i które ucieleśniałam.

Ale nie – od razu otwiera drzwi, jakby czekał po drugiej stronie. Otwiera szeroko, pełna odsłona: wygląda starzej i jednocześnie młodziej, broda mocniej poprzetetykana siwizną, dłuższe włosy. Ręce opalone. Ma na sobie T-shirt i szorty, mokasyny bez skarpetek, blade nogi są pokryte ciemnymi kłaczkami.

– Mój Boże – wzdycha. – To ty.

Wprowadza mnie do środka, kładąc dłoń na plecach. Mój umysł wypełniają wonie jego domu, ta cecha, za którą nie tęskniłam we wspomnieniach. Podnoszę ręce w geście obrony. Strane pyta, czy chcę się czegoś napić, wskazuje duży pokój, prosi, żebym usiadła. Otwiera lodówkę, wyjmując dwie butelki piwa. Jest kilka minut po dwunastej.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – mówi, podając mi butelkę.

Nie biorę.

– Wiem o wszystkim.

Staram się podsycić uczucie gniewu, ale moje słowa brzmią jak pisk. Jestem szarą myszką bliską łez. Dotyka mojej twarzy, żeby mnie udobruchać. Odskakuję i w tej samej chwili przypomina mi się zdanie z *Lolity*, kiedy Humbert i Lo spotykają się po wielu latach: „Umrę, jeżeli będziesz mnie dotykać”*

– To przez ciebie. To ty wymogłeś decyzję na dyrektorce.

Spodziewam się, że zblednie, rozdziawi usta, zrobi minę człowieka zdemaskowanego, lecz jemu ledwie drgnie mięsień. Mruga powiekami kilka razy, jakby próbował znaleźć wylom w szajcach mojego gniewu. Wślizguje się i uśmiecha.

– Jesteś zdenerwowana.

– Wkurwiona.

– W porządku.

– To przez ciebie wyleciałam. Właściwie ty mnie wyrzuciłeś.
– Nie wyrzuciłem cię – odpowiada łagodnym tonem.
– Kazałeś im wykopać mnie ze szkoły.
– Oboje jesteśmy za to odpowiedzialni. – Uśmiecha się, marszcząc czoło, jakby był zdezorientowany, bo zachowuję się niedorzecznie. – Zapomniałeś?

Próbuje pobudzić moją pamięć, twierdzi, że zapewniłam, że wszystkim się zajmę, że wciąż widzi moją zdecydowaną minę, postanowienie odmalowujące się na mojej twarzy, żeby ściągnąć ogień na siebie.

– Nie powstrzymałbym cię, nawet gdybym chciał.
– Nie przypominam sobie, żebym tak mówiła.
– Ale mówiłaś. Ja pamiętam doskonale. – Pociąga łyk piwa, nadgarstkiem ociera usta i dodaje: – Byłaś bardzo dzielna.

Usiłuję przypomnieć sobie nasze ostatnie spotkanie przed moim wyjazdem z Browick – na jego podwórku w objęciach gęstniejącej nocy. Byłam koszmarnie spanikowana, błagałam go, aby zaręczył, że wszystko będzie okej, że nie zepsułam niczego. Wydawał się przerażony moim zachowaniem – z tamtej rozmowy to właśnie najsilniej wryło mi się w pamięć: wstręt odmalowujący się na jego twarzy, gdy rozpadałam się na kawałki, czkawka i gile wiszące z nosa. Nie przypominam sobie, abym mówiła, że wszystkim się zajmę. Pamiętam tylko, że powtarzał, że wszystko będzie okej.

– Nie wiedziałam, że mnie wyrzucą. Nie uprzedzałeś, że tak się stanie.
Wzrusza ramionami. „No dobra, mój błąd, trudno”.
– Jeśli nawet nie powiedziałem ci tego jasno i wyraźnie, oczywiste przecież było, że to jedyny sposób, aby uniknąć całego tego piekła, które mogło się rozpętać.
– Masz na myśli, że to był jedyny sposób, abyś uniknął więzienia?
– Owszem – przyznaje. – To także stanowiło część moich kalkulacji. Oczywiście, że tak.
– A co ze mną?
– Co z tobą? Spójrz na siebie. Wyglądasz świetnie. Pięknie.
Ciało reaguje wbrew mojej woli. Gwałtowny wdech, aż powietrze świszcze między zębami.

– Posłuchaj – ciągnie Strane. – Rozumiem, że jesteś wściekła i czujesz się zraniona. Ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Byłem przerażony, wiesz? Dlatego instynkt samozachowawczy wziął górę. Tak, chciałem się ratować, ale jednocześnie ciągle myślałem przede wszystkim o tobie. Wyjazd z Browick uchronił cię od dochodzenia, które mogłoby cię zniszczyć. Twoje nazwisko dostałoby się do gazet, zła sława ciągnęłaby się za tobą jak cień i nie miałabyś na to żadnego wpływu. Nie chciałabyś tego, nie przetrwałabyś. – Błądzi spojrzeniem po mojej twarzy. – Przez cały ten czas sądziłem, że rozumiesz, dlaczego tak się zachowałem. Myślałem nawet, że mi wybaczyłaś. Płonne nadzieje, jak widzę. Zdaje się, że przeceniłem twoją dojrzałość. Wiem, że czasem tak robiłem.

Po plecach przebiegają mi zimne ciarki – zażenowanie, wstyd. Może jestem głupią prostytutką?

– Masz. – Wciska mi butelkę piwa w dłoni.
Odpowiadam drętwo, że jestem za młoda na alkohol. Uśmiecha się.
– Nie jesteś.

Siedzimy w dużym pokoju, na przeciwnych końcach kanapy. Drobne rzeczy uległy zmianie – sterta przesyłek reklamowych przeniosła się z blatu w kuchni na stolik do kawy, a przy drzwiach leżą pośpiesznie zrzucone z nóg nowe buty górskie. Poza tym wszystko po staremu – meble, ryciny na ścianie, porządek książek na półkach, wonie. Nie potrafię uciec przed zapachem

Strane'a.

– A więc niedługo jedziesz do Atlantica – mówi. – To dobre miejsce dla ciebie.

– Co to znaczy? Że jestem za głupia na dobrą uczelnię?

– Vanesso.

– Nie mogłam się dostać na żadną z tych, które dla mnie wybrałeś. Nie wszyscy możemy studiować na Harvardzie.

Patrzy, jak pociągam długi łyk piwa. Do gardła splywa znajoma gazowana strużka. Nie piłam alkoholu, odkąd wyjechała Charley.

– A co będziesz robiła latem? – pyta Strane.

– Pracowałam.

– Gdzie?

Wzruszam ramionami. W szpitalu okrojono budżet, nie mogę tam wrócić.

– Tata ma kolegę, który może mnie przyjąć do swojego magazynu samochodowych części zamiennych.

Stara się ukryć zdziwienie, widzę jednak gwałtownie uniesione brwi.

– Uczciwa praca – stwierdza. – Nic w tym złego.

Znowu łykam piwo.

– Co tak milczysz, Vanesso?

– A co mam mówić?

– Cokolwiek.

Kręcę głową.

– Stałeś się dla mnie obcym człowiekiem.

– Zawsze będę dla ciebie taki sam. Nie zmieniłem się. Za stary jestem na to.

– Ja się zmieniłam.

– Z pewnością.

– Nie jestem już taka naiwna jak wtedy, gdy się poznaliśmy.

Przekrzywia głowę.

– Nie pamiętam, żebyś była naiwna.

Znowu piję, jedna trzecia butelki wchłonięta kilkoma łykami, on kończy swoje piwo i idzie do kuchni po następne. Bierze dwa.

– Jak długo zamierzasz się na mnie boczyć? – pyta.

– A co, może nie mam powodu?

– Chciałbym, żebyś mi wytłumaczyła, dlaczego tak czujesz.

– Bo straciłam coś, co było dla mnie ważne – odpowiadam. – A ty nie straciłeś nic.

– To nieprawda. W oczach wielu ludzi straciłem dobre imię.

Prycham lekceważąco.

– Wielkie mi rzeczy. Ja też straciłam dobre imię i o wiele, wiele więcej.

– Na przykład?

Wciskam butelkę między uda i zaczynam odliczać na palcach.

– Straciłam miejsce w Browick. Straciłam zaufanie rodziców. Gdy pojechałam do nowej szkoły, czekały już tam na mnie plotki. Nie miałam żadnej możliwości być normalną dziewczyną. To była dla mnie trauma.

Krzywi się w reakcji na ostatnie słowo.

– Gadasz, jakbyś właśnie wyszła od psychiatrii.

– Próbuję ci tylko uświadomić, przez co przesłam.

– W porządku.

– Wcale nie w porządku.

– Co jest nie w porządku?
– To, że ja musiałam przejść przez to wszystko, a ty nie.
– Zgadzam się, to nie w porządku, że musiałas tyle przecierpieć. Ale gdybym ja cierpiał razem z tobą, nie miałabyś teraz wcale poczucia, że jest w porządku. Różnicą byłoby tylko więcej cierpienia.

– A sprawiedliwość?
– Sprawiedliwość – cedzi ostrym tonem. – Chcesz mnie postawić przed obliczem sprawiedliwości? Złotko, żeby to zrobić, musisz mieć przekonanie, że rozmyślnie cię skrzywdziłem. Masz?

Wbijam spojrzenie w nietkniętą oszronioną butelkę piwa na stoliku.

– Bo jeśli masz to przekonanie – ciągnie Strane – to mi powiedz, a sam się zgłoszę. Jeśli uważasz, że powinienem trafić do więzienia, utracić wszystkie swobody obywatelskie, zostać napiętnowany na resztę życia jako potwór tylko dlatego, że miałem pecha i zakochałem się w nastolatce, to proszę, powiedz mi to teraz prosto w oczy.

Nie mam. Co innego rozumiem przez sprawiedliwość. Chcę tylko wiedzieć, że czuł się podle, że jest nieszczęśliwy tak, jak to opisała Jenny. Bo teraz, gdy stoi przede mną, wcale nie wygląda na nieszczęśnika. Wygląda na mężczyznę zadowolonego z życia, z tą cholerną nagrodą dla najlepszego nauczyciela prężącą się na półce biblioteczeki.

– Jeśli sądzisz, że w moim przypadku obeszło się bez bólu, to głęboko się mylisz – mówi, jakby czytał w moich myślach. Może czyta, zawsze czytał. – To była udręka.

– Nie wierzę ci.

Nachyla się, dotyka mojego kolana.

– Coś ci pokażę.

Wstaje i rusza na piętro. Sufit skrzypi, gdy Strane idzie korytarzem do sypialni. Wraca z dwiema kopertami. W jednej z nich jest list do mnie datowany na lipiec 2001 roku. Już na widok pierwszych słów serce mi przyśpiesza: „Vanesso, nie wiem, czy pamiętasz, jak w listopadzie jęczałem z głową na twoich udach, że Cię zniszczę? Teraz nie daje mi spokoju pytanie, czy naprawdę to zrobiłem. Czy czujesz się zniszczona? Nie ma bezpiecznego sposobu, żeby wysłać ten list do Ciebie, ale być może poczucie winy skłoni mnie do podjęcia ryzyka. Muszę wiedzieć, czy z Tobą w porządku”. W drugiej kopercie jest karta urodzinowa. W środku słowa: „Z wyrazami miłości, JS”.

– Zbierałem się w sobie, żeby w tym tygodniu wysłać Ci tę kartkę – mówi Strane. – Zaplanowałem, że pojedę do Augusty i tam wrzucę ją do skrzynki pocztowej, żeby twoi rodzice nie widzieli stempla z Norumbegi.

Odkładał obie koperty na stolik, jakby w ogóle nie wywarły na mnie wrażenia, zmuszam się do wywrócenia oczami. Za mało. Potrzebuję więcej świadectw jego udręki – wielu, wielu kartek.

Siada obok mnie na kanapie.

– Nessa, zastanów się. Odchodząc ze szkoły, uciekłaś od tego. Tymczasem ja musiałem spędzać każdy dzień w miejscu, które mi o tobie przypominało. Codziennie uczyłem w sali, w której się spotykaliśmy, patrzyłem, jak inni uczniowie zajmują twoje miejsce przy stole. Nie używam już nawet swojego gabinetu.

– Nie?

Kręci głową.

– Zrobiłem z niego graciarnię. Gdy wyjechałaś.

To szczególnie, którego nie potrafię zlekceważyć. Nieużywany gabinet zdaje się świadczyć o mocy mojego ducha z przeszłości. A zatem każdego dnia go nawiedzałam? W dodatku ma

rację, mój wyjazd oznaczał ucieczkę – klasy i korytarze państwowego liceum w żaden sposób nie przypominały mi o Stranie, nad czym bez końca ubolewałam, tymczasem być może było mi łatwiej, ponieważ zostałam wrzucona w obce środowisko. Może w mojej niedoli kryły się pewne zalety w porównaniu z tym, co on musiał znosić?

Wypijam drugie piwo. Gdy stawia trzecie na stoliku, odmawiam, stwierdzam, że muszę wrócić autem do domu, ale i tak pociągam spory łyk. Moja tolerancja na alkohol jest obniżona – po dwóch piwach mam zarumienioną twarz, zmętniały wzrok. Im więcej wchłaniam piwa, tym bardziej oddalam się od gniewu, z którym tutaj przyszłam. Moja wściekłość została na brzegu, a ja jestem wciągana na głęboką wodę, unoszę się na plecach, drobne fale chlupią przy uszach.

Pyta, co robiłam przez ostatnie dwa lata, i – ku swemu przerażeniu – słyszę, jak opowiadam mu o Craigu i mężczyznach, z którymi czatowałam w internecie, o chłopcu, który zabrał mnie na imprezę.

– Rzygać mi się od nich chciało.

Uśmiecha się szeroko. W jego reakcji nie ma śladu zazdrości – jakby się ucieszył, że próbowałam bez powodzenia.

– A ty? – pytam wyraźnie łamiącym się głosem.

Milczy przez chwilę. Potem uśmiechnięty od ucha do ucha udziela wymijającej odpowiedzi:

– Wiesz, jak jest u mnie. Robię to co zawsze. Zawsze tutaj.

– Ale ja pytam, z kim ewentualnie to robisz. – Biorę łyk piwa, cmokam ustami w szyjkę butelki. – Profesor Thompson ciągle uczy?

Strane posyła mi to dobrze znane życzliwe i zarazem protekcyjne spojrzenie. Jestem czarująca, moje naciski przecudowne.

– Podoba mi się twoja sukienka. Chyba ją poznaję.

– Wkładałam ją dla ciebie. – Nie cierpię siebie za te słowa. Nie muszę być aż tak szczerą, a jednak nie potrafię się powstrzymać. Wyznaję, że miałam kontakt z Jenny, że nazwała go nieszczęśnikiem. – To od niej wiem, że nalegałeś, aby mnie wykopali ze szkoły. Ona wszystko wie. Czytała list, który o mnie napisałeś do dyrektorki. Że niby jestem emocjonalnie niezrównoważona – dodaję, zakrzywionymi palcami robiąc znak cudzysłowu.

Gapi się na mnie.

– Co czytała?

Uśmiecham się, nie mogę się pohamować. Wreszcie coś go dotknęło.

– Jakim cudem czytała ten dokument? – pyta Strane.

Parskam chichotem. Dokument!

– Podobno dyrektor Giles jej pokazała.

– To oburzające. Całkowicie nie do przyjęcia.

– A ja uważam, że dobrze się stało. Bo teraz wiem, jak kombinowałeś.

Wpatruje się we mnie, próbuje ocenić, ile wiem i jak poważnie to traktuję.

– Napisałeś, że jestem niezrównoważona. Zgadza się? Jakbym była wariatką. Głupią gówniarą. Kapuję, dlaczego to zrobiłeś. To był sposób, żeby chronić siebie, prawda? Nastolatki mają nasrane w głowie. Wszyscy o tym wiedzą.

– Chyba za dużo wypijaś.

Ocieram usta wierzchem dłoni.

– Jeszcze czegoś się dowiedziałam.

Znowu patrzy na mnie w milczeniu. Szczęki zaciśnięte ze zniecierpliwienia. Jeśli będę napierać, uciszy mnie, wyrwie mi butelkę z ręki i wyrzuci z domu.

– Chodzi o ten drugi list – ciągnę. – Ten, który napisałeś na samym początku. Że się

w tobie zabujałam, że chciałeś to zgłosić na wszelki wypadek, gdybym zrobiła coś niestosownego, gdyby to się wymknęło spod kontroli. Dopiero mnie wtedy zerznąłeś, a już myślałeś o tym, żeby mieć alibi.

Być może pobladł, ale nie widzę, bo wzrok mam rozmyty, nie mogę skupić spojrzenia.

– Ale to też rozumiem. Potraktowałeś mnie jak rzecz...

– Nieprawda.

– Zużyta rzecz, którą trzeba wyrzucić.

– Nie.

Czekam, ale najwyraźniej nie ma nic więcej do powiedzenia. Nie. Wstaję i ruszam do drzwi, lecz Strane zatrzymuje mnie po kilkunastu krokach.

– Puszczaj – mówię.

Blefuję nieprzekonująco, bo nawet nie włożyłam z powrotem butów.

– Kochanie, jesteś pijana.

– Aj waj.

– Musisz się położyć.

Prowadzi mnie na górę i dalej korytarzem do sypialni. Ta sama powłoczka khaki i kraciaste poszewki.

– Nie powinieneś używać latem flanelowej pościeli – rzucam i padam na wznak, znowu unoszę się na wodzie, łóżko kołysze się od fal. – Nie dotykaj mnie – syczę, gdy próbuje zsunąć mi ramiączko sukienki. – Umrę, jeżeli będziesz mnie dotykać.

Obracam się na bok, plecami do Strane'a, twarzą do ściany. Słyszę, że wstaje. Niekończące się minuty jego westchnień i „kurew” rzucanych pod nosem. Potem skrzypi podłoga. Strane wraca na dół.

Nie, myślę. Wracaj.

Chcę, żeby mnie pilnował, trzymał wartę. Przychodzi mi do głowy, żeby wstać i udać omdlenie, runąć na podłogę, wyobrażam sobie, że Strane wbiega, podnosi mnie, głaszcze po policzku, próbując ocucić. Mogłabym też się rozplakać. Wiem, że mój szloch sprowadziłby go z powrotem, rozczulił, nawet jeśli ta czułość byłaby zapowiedzią sztywności, wzrodu wciskającego mi się w udo. Pragnę chwil poprzedzających seks. Chcę, żeby się o mnie zatroszczył. Lecz jestem zbyt ospała, moje ciało za ciężkie, abym mogła zrobić cokolwiek oprócz zapadnięcia w sen.

Budzę się, bo pakuje się do łóżka. Otwieram gwałtownie oczy i widzę, że światłocienie przesunęły się po ścianie. Gdy się poruszam, Strane zastyga, ale zaraz potem zaciskam powieki i leżę jak trusia, więc osuwa się na materac. Oczy mam zamknięte, wyraźnie słyszę i czuję wszystko, jego oddech, ciało.

Kiedy znowu się budzę, leżę na wznak, sukienka zadarta nad talią, majtki zdjęte. On klęczy na podłodze, z głową między moimi nogami, z zagnieżdżoną we mnie twarzą. Trzyma za uda, żebym nie mogła się odsunąć. Podnosi wzrok, nasze spojrzenia się krzyżują. Odchylam głowę, on nie przestaje.

Widzę swoje ciało z lotu ptaka, małe jak mrówka, blade kończyny unoszą się na tafli jeziora, woda chlupie mi w uszach. Przepląta przy policzkach, prawie wdziera się w usta, prawie mnie zalewa. Poniżej są potwory, pijawki i węgorze, zębiaste ryby, żółwie ze szczękami na tyle mocnymi, że odgryzłyby nogę. Strane nie przestaje. Chce, żebym doszła, nawet jeśli skończyłoby się otarciem do krwi. W moim umyśle rozkręca się fotoplastikon, seria obrazów wyświetlanych pod powiekami: rosnące ciasto na bochenki chleba na ciepłym kuchennym blacie, zakupy spożywcze na taśmie przy kasie pod okiem mojej matki trzymającej książeczkę czekową, upływ czasu pozwalający korzeniom wnikać w glebę. Rodzice obmywający brudne ręce,

patrzący na zegar, żadne nie śmie jednak spytać głośno, gdzie jest Vanessa, bo przyznając, że nie ma mnie zbyt długo, dopuściliby do siebie przedsmak strachu.

Gdy Strane podsuwa się wyżej i wciska we mnie, dłonią naprowadzając członek, projekcja obrazów pryska. Otwieram oczy.

– Nie.

Zamiera.

– Chcesz, żebym przestał?

Obracam głowę na poduszce. Odczekuje chwilę, a potem zaczyna się poruszać wte i wewte.

Fale odciągają mnie coraz dalej od brzegu. Utrzymujący się rytm znowu rodzi serię obrazów. I ta uporczywa praca tłoka. Zawsze był taki ciężki i powolny? Z jego ramion na moje policzki spadają kropelki potu. Nie pamiętam, żeby wcześniej tak było.

Zamykam oczy i znowu widzę bochenki chleba, zakupy sunące w nieskończoność do przodu, niezliczone torebki cukru, pudełka płatków owsianych, kwiaty brokułów, kartony mleka niknące za widnokrzem. „Kupisz mleko?” Mamie się to spodobało, pierwszy raz poprosiła, żebym załatwiła sprawę na mieście. Może w ten sposób łatwiej zgodziła się, abym wzięła auto. Wszystko będzie dobrze, wrócę bezpiecznie do domu. Nie ma innej możliwości, przecież pojechałam po mleko.

Strane stęka. Dotąd podparty na rękach, teraz zwała się na mnie całym ciałem. Wsuwa mi ręce pod plecy, dyszy w ucho.

– Chcę, żebyś doszła – mówi między jednym i drugim oddechem.

Chcę, żebyś przestał, myślę. Nie mówię jednak tego głośno, nie mogę. Nie mogę rozmawiać, nie mogę patrzeć. Jeśli nawet siłą woli otworzę oczy, nie mogę skupić wzroku. W głowie wata, w ustach żwir. Czuję pragnienie, czuję mdłości, czuję, że jestem niczym. Strane się mozoli coraz szybciej, co znaczy, że zaraz skończy, została może minuta. Dopada mnie myśl: czy to jest gwałt? Czy on mnie gwałci?

Dochodzi wreszcie i kilka razy powtarza moje imię. Wysuwa się ze mnie, przewraca na plecy. Jest cały śliski od potu, nawet przedramiona, nawet stopy.

– Niebawem – mówi. – Nie tak wyobrażałem sobie ten dzień.

Wychyłam się z łóżka i wymiotuję na podłogę, rozbryzgi rzygowin na drewnianych klepkach. Piwo i żółć. Byłam zbyt spięta, żeby choćby coś przegryźć przez cały dzień.

Strane unosi się na łokciach i patrzy na wymiociny.

– Jezu, Vanesso.

– Przepraszam.

– No nie, nic, nic, wszystko w porządku.

Dźwiga się z łóżka, wciąga spodnie i okrąża kałużę. Idzie do łazienki, wraca ze ścierką i butelką ze spryskiwaczem, osuwa się na czworaki i sprząta z podłogi. Zaciskam powieki w reakcji na woń amoniaku i sosny, żołądek ciągle wzburzony, pode mną falujące łóżko.

Strane znowu wsuwa się do łóżka i kładzie na mnie, mimo że przed chwilą puściłam pawia. Jego dłonie pachną środkiem czyszczącym.

– Nic ci nie będzie – stwierdza. – Upiłeś się, nic więcej. Zostań, prześpij się.

Chłonie mnie ustami i rękoma, sprawdza, co się zmieniło. Szczypie w brzuch, tam gdzie zrobiłam się miększa, a mój mózg przywołuje pokawałkowane wspomnienie, a może tylko obraz senny – w gabinecie, na tyłach klasy, ja naga na kanapie, on ubrany, dokonujący oglądu mojego ciała z beznamiętnym obiektywizmem naukowca, obmacujący mi brzuch, przesuwający palcami po szlakach żył. Bolało wtedy i boli teraz, jego ciężkie kończyny i dłonie jak papier ścierny, kolano rozsuwające mi uda. Jak to możliwe, że znowu jest gotów? Buteleczone viagry w apteczce,

wymiociny sklejące kosmyk moich włosów. Ja pod nim, zmiażdżyłby mnie, gdyby nie był ostrożny. Ale jest ostrożny i dobry i kocha mnie, i chcę tego. Wciąż czuję się rozdarta na dwoje, gdy wciska się we mnie, pewnie zawsze tak będę czuć, a jednak chcę tego. Muszę chcieć.

Do domu wracam dopiero piętnaście minut przed północą. Wchodzę do kuchni, a tam czeka mama. Wrywa mi kluczyki z dłoni.

– Pierwszy i ostatni raz.

Stoję z rękami opuszczonymi bezwładnie po bokach, włosy potargane, zaczerwienione oczy.

– Nie spytasz nawet, gdzie byłam?

Patrzy na mnie, przebija wzrokiem na wskroś. Widzi wszystko.

– A powiedziałaś prawdę, gdybym spytała?

*

Podczas wręczania świadectw płaczę tak jak wszyscy, ale moje łzy biorą się z poczucia ulgi, że przetrwałam to, co wciąż odbieram jako wygnanie. Uroczystość zorganizowano w sali gimnastycznej i w świetle jarzeniówek wyglądamy jak chorzy na żółtaczkę. Dyrektor nie pozwala klaskać, gdy wchodzimy po kolei na scenę, mówi, że to by za długo trwało, poza tym to nie fair, że jedni uczniowie dostaliby większe brawa, a inni może wcale. W Browick wręczają świadectwa w ten sam dzień, w sobotę po południu, i wyobrażam sobie krzesła ustawione na trawniku przed tamtejszą jadalnią, dyrektorka i całe ciało pedagogiczne przed zagajnikiem białych sosen, w oddali biją kościelne dzwony. W rzeczywistości wchodzę w ciszy na podest, żeby odebrać świadectwo. Zamykam oczy i wyobrażam sobie promienie słońca na twarzy, wyobrażam sobie, że jestem ubrana w browickową białą szatę z karmazynową szarfą. Dyrektor ściska mi dłoń zwiotczalymi palcami, gratuluje mi jednym słowem, „brawo”, jak każdemu. Wszystko wydaje się bezsensowne, ale to bez znaczenia. Mnie tu nie ma, w tej dusznej sali gimnastycznej wypełnionej skrzypieniem składanych krzeseł i odchrząkiwaniem, szelestem broszur wachlujących twarze sperłone potem. Stąpam po kobiercu suchego pomarańczowego igliwia, przyjmuję gratulacje od nauczycieli Browick, nawet od dyrektora Giles. W mojej fantazji ona nigdy nie usunęła mnie ze szkoły, nie ma powodu źle o mnie myśleć. Strane wręcza mi świadectwo, stoi przy tym samym drzewie, gdzie dwa i pół roku wcześniej powiedział, że chciałby mnie położyć do łóżka i pocałować na dobranoc. Dotykamy się palcami, gdy podaje mi świadectwo – niedostrzegalnie dla nikogo, lecz mnie przesywa prąd, katapultuje w ten stan beczasowej i bezpodmiotowej nieważkości, w który popadałam, gdy wychodziłam z gabinetu, do czerwoności rozpalona żarem naszego sekretu.

W sali gimnastycznej ściskam świadectwo w dłoni i wracam na swoje miejsce. Buty szurają po podłodze. Dyrektor rzuca wymowne spojrzenie rodzicowi, który ośmielił się klasnąć w dłonie.

Po uroczystości wszyscy wysypują się na parking i robią sobie zdjęcia, ustawiając się tak, żeby nie było widać centrum handlowego w tle. Tata każe mi się uśmiechnąć, ale ja nie potrafię zmusić mięśni twarzy do posłuszeństwa.

– Ej, no chociaż poudawaj przez chwilę, że jesteś szczęśliwa – mówi.

Rozsuwam usta, odsłaniam zęby i kończy się tym, że wyglądam jak zwierzątko chcące kąsać.

Przez całe lato pracuję z magazynie samochodowych części zamiennych, realizując zamówienia na rozruszniki i wahacze, a dokoła dudni rock klasyczny, zagłuszając biały szum pasów transmisyjnych. Dwa razy w tygodniu, pod koniec mojej zmiany, Strane czeka na mnie na parkingu. Staram się wydlubać drobinki brudu spod paznokci, zanim wsiądę do jego kombi. Lubi

moje buty z metalowymi czubkami i umięśnione teraz ramiona. Twierdzi, że przyda mi się kilka miesięcy pracy fizycznej, że dzięki temu jeszcze bardziej będę cenić studia wyższe.

Co pewien czas dopada mnie gniew, ale powtarzam sobie, że co się stało, to się nie odstanie – Browick, rola Strane’a w usunięciu mnie ze szkoły, wszystko to należy już do przeszłości. Z całych sił staram się nie czuć urazy, gdy przypominam sobie, co mówił o pomocy w ubieganiu się o letni staż w Bostonie, albo gdy widzę jego harwardzką togę wiszącą na drzwiach szafy, pozostawioną po wręczeniu świadectw w Browick. Atlantica to rozsądny wybór, powtarza Strane, nie ma się czego wstydzić.

W piątek po południu w pracy gra Jackson Browne, a ja zajmuję się paletą z częściami podwozia. Mężczyzna realizujący zamówienia w sąsiedniej sekcji wyrzaskuje słowa piosenki, gdy po *The Load-Out* zaczyna się *Stay*. Mój nożyk się obsuwa, gdy rozcinam foliowe opakowanie i chlastam się po przedramieniu, z dziesięciocentymetrowego czystego rozstępu skóry tryska krew, bezbolesny wgląd pod spód. W pewnej chwili facet z sąsiedniej sekcji zerka na mnie, widzi, że zatykam ranę dłonią, czerwień przecieka przez palce i skapuje na betonową podłogę.

– Cholera!

Podbiega, nieporadnie rozpinając suwak swojej bluzy. Owija nią moją rękę.

– Skaleczyłam się – mówię.

– Poważnie? – Kręci głową w reakcji na moją głupotę, zaciska mocniej bluzę. Kłykcie ma usmolone czarnym kurzem. – Długo zamierzałaś tak stać bez słowa?

W te dni, kiedy Strane zgarnia mnie z pracy, jeździmy po okolicy bez celu jak nastolatki, a gdy odwozi mnie do domu, wysiadam u wlotu szutrowej drogi. Mama pyta, gdzie byłam, a ja odpowiadam, że z Marią i Wendy. Z koleżankami, z którymi chodziłam na stołówkę i z którymi nie miałam kontaktu od wręczenia świadectw.

– Nie wiedziałam, że tak się przyjaźnicie – mówi mama.

Mogłaby naciskać, zapytać, dlaczego one nigdy nie zajrzą, gdy podwożą mnie do domu, dlaczego dotąd ich nie poznała. Mam osiemnaście lat i pod koniec sierpnia wyjeżdżam na studia, co natychmiast bym wskazała, gdyby ośmieliła się urządzić mi przesłuchanie. Ale nigdy tego nie robi. Okej, odpowiada i kończy temat. Ta swoboda jest dla mnie dezorientująca, nie wiem, czego mama się domyśla, co podejrzewa.

– Nie chcę odgrzewać starych kotletów – mówi, gdy dzwoni jej siostra, żeby rozliczyć się za jakąś sprawę z dzieciństwa.

Otoczyła się murem. Ja też zbudowałam mur wokół siebie.

Strane pyta mnie, czy wciąż jestem wściekła. Leżymy w jego łóżku, flanelowa pościel wilgotna pod naszymi spoconymi ciałami. Patrzę w otwarte okno, wsłuchana w odgłosy samochodów i przechodniów, w domu idealny spokój. Mam dość tych pytań, dość jego niezaspokojonej potrzeby zapewnień. „Nie, nie jestem wściekła”, „Tak, wybaczyłam ci”, „Tak, chcę tego”, „Nie, nie uważam, że jesteś potworem”.

– Chyba nie byłoby mnie tutaj, gdybym tego nie chciała, prawda? – mówię, jakby odpowiedź była oczywista.

Nie zwracam uwagi na to, co wisi w powietrzu nad nami, na swój gniew, upokorzenie i ból. To one wydają się prawdziwymi potworami, te wszystkie niewypowiedziane emocje.

* Vladimir Nabokov, *Lolita*, przekład Michał Kłobukowski, Warszawa 2012.

2017

Podczas następnej sesji, zanim nawet usiądę, pytam Ruby, czy ktoś się z nią kontaktował, żeby zdobyć informacje na mój temat. Poprzedniego dnia wieczorem zatelefonowałam do Iry i spytałam go o to samo, tymczasem jego nowa dziewczyna skrzeczała w tle. „To ona?” „Dlaczego do ciebie dzwoni?” „Ira, rozłącz się!”

– A kto miałby zbierać informacje o tobie? – odparła zdziwiona Ruby.

– Na przykład dziennikarze.

Patrzy zdumiona, gdy wyjmuję telefon i wyświetlam e-maile.

– Nie jestem paranoiczką, okej? To naprawdę się dzieje. Spójrz, proszę.

Bierze moją komórkę i zaczyna czytać.

– Nie rozumiem...

Wrywam jej aparat z dłoni.

– Może to nie wydaje ci się żadną wielką aferą, ale na samych e-mailach się nie kończy.

Ona do mnie wydzwaniała, nęka mnie.

– Uspokój się, Vanesso.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę. Ale opowiedz wszystko powoli i po kolei. Co się dzieje?

Siadam, pocieram oczy dłońmi i najlepiej, jak potrafię, przedstawiam historię e-maili, telefonów i odrzebanego bloga, który wreszcie udało mi się skasować. Dodaję, że dziennikarka ma zrzuty ekranu. Umysł mam znarowiony, nie potrafię się skupić na choćby jednym zdaniu. Ruby jednak rozumie istotę sprawy, na jej twarzy maluje się współczucie.

– Co za natrętność – stwierdza. – Nieetyczne postępowanie jak na dziennikarkę.

Sugeruje, abym napisała do szefowej Janine, a nawet doniosła na policję, ale na wzmiankę o gliniarzach chwytam za podłokietniki krzesła i krzyczę:

– Nie!

Przez moment Ruby jest autentycznie przerażona.

– Przepraszam – reflektuję się. – Jestem spanikowana. Nie poznaję sama siebie.

– W porządku. To zrozumiała reakcja. Jedna z twoich największych obaw stała się rzeczywistością.

– Widziałam ją nawet. Stała przed hotelem, w którym pracuję.

– Tę dziennikarkę?

– Nie, tę drugą. Taylor, tę, która oskarżyła Strane’a. Ona też mnie nęka. Może powinnam zjawić się u niej w pracy, żeby poczuła, jak to jest.

Relacjonuję, co widziałam minionego wieczoru, gdy zaczął zapadać zmierzch. Taylor stała po drugiej stronie ulicy, gapiała się na hotel, prosto w okno lobby, prosto na mnie, kosmyki jasnych włosów rozwiane po twarzy. Gdy opowiadam, Ruby patrzy na mnie zbolałym wzrokiem, jakby chciała uwierzyć, ale nie może.

– Sama już nie wiem – wzdycham. – Może mi się przywidziało. Czasem tak się dzieje.

– Dzieje? Potrafi ci się coś przywidzieć?

Wzruszam ramionami.

– Mam wrażenie, jakby mój umysł widział w obcych ludziach znajome twarze, które chcę zobaczyć.

Ruby mówi, że to musi być dla mnie trudne, a ja znowu wzruszam ramionami. Pyta, jak często to się dzieje. Zależy, odpowiadam. Mijają miesiące bez żadnego takiego przypadku,

a potem zdarza się dzień w dzień i ciągnie tygodniami. Tak samo jest z koszmarami – nadchodzą fala za falą przywołane przez coś, co nie zawsze łatwo przewidzieć. Trzymam się z daleka od książek i filmów, których akcja osadzona jest w internatach, ale czasem dopada mnie coś tak niewinnego jak nawiązanie do klonów albo flanela ocierająca się o skórę.

– Wiem, że zachowuję się jak wariatka – mówię.

– Nie – zaprzecza Ruby. – Po prostu przeżywasz traumę.

Zastanawiam się, czy powinnam jej powiedzieć o reszcie, o picciu i paleniu, dzięki którym dociągam do końca dnia, o nocach, kiedy moje mieszkanie wydaje się labiryntem nie do przebycia, więc śpię na kafelkach w łazience. Zdaję sobie sprawę, jak łatwo suma moich dziwnych zachowań doprowadziłaby do określonej diagnozy. Niejedną noc spędziłam na czytaniu o zespole stresu pourazowego, odhaczając w głowie kolejne symptomy, lecz odczuwam osobliwe rozczarowanie na myśl, że całe moje wnętrze można określić jedną kategorią. A co potem? Leczenie, dawkowanie farmaceutyków, wyzdrowienie? Być może dla niektórych byłby to szczęśliwy koniec, lecz dla mnie istnieje tylko krawędź kanionu i woda kotłująca się niżej.

– Myślisz, że powinnam pozwolić tej dziennikarce, aby o mnie napisała? – pytam.

– To ty musisz dokonać wyboru.

– Oczywiście. Już zdecydowałam. Za nic się nie zgodzę. Chcę tylko wiedzieć, co ty o tym myślisz.

– Myślę, że naraziłabyś się na wielki stres, gdybyś się zgodziła – odpowiada Ruby. – Bałabym się, że objawy, które opisałaś, nasiliłyby się do tego stopnia, że trudno byłoby ci funkcjonować na co dzień.

– Ale ja mówię o etycznej stronie całej sprawy. Czy to niewarte całego tego stresu? Tak ludzie twierdzą. Że należy za wszelką cenę ujawniać takie przypadki.

– Nie – odpowiada Ruby stanowczym tonem. – Nie mają racji. To niebezpieczne narażać kogoś, kto przechodzi traumę, na tak wielką dodatkową presję.

– No to dlaczego ciągle to słyszysz? Nie tylko od tej dziennikarki. Od każdej kobiety, która się zgłasza. A jeśli ktoś nie chce się zgłosić i opowiedzieć światu o całym złu, które mu się przytrafiło, to co? To znaczy, że jest słabym człowiekiem? Egoistką? – Wymachuję dziko ręką. – To wszystko gówno prawda. Kurewsko tego nienawidzę.

– Jesteś rozszoszczona – stwierdza Ruby. – Chyba nigdy wcześniej nie widziałam cię naprawdę wścieklej.

Mrugam powiekami, oddycham przez nos. Wyznaję, że czuję się atakowana. Pyta, co przez to rozumiem.

– Czuję się przyparta do muru – wyjaśniam. – Nagle okazuje się, że ponieważ nie chcę się zgłosić, to staję po stronie gwałcicieli. A ja nawet nie powinnam być stroną w tym konflikcie! Nie zostałam wykorzystana tak, jak podobno zostały wykorzystane inne kobiety.

– A czy rozumiesz, że kobieta mogła być w relacji podobnej do twojej i uważać, że była molestowana?

– No jasne – odpowiadam. – Nie wyprano mi mózgu. Wiem, dlaczego nastolatki nie powinny się wiązać ze starszymi mężczyznami.

– No właśnie, dlaczego? – pyta Ruby.

Wywracam oczami i zaczynam wyliczać.

– Nierównowaga sił, nastoletni mózg nie w pełni rozwinięty i tak dalej. Całe to pierdolenie.

– A dlaczego to się do ciebie nie stosuje?

Zerkam na Ruby z ukosa, aby dać jej do zrozumienia, że wiem, co chce zasugerować.

– Słuchaj, prawda jest taka, jaka jest, okej? Strane był dla mnie dobry. Był uważny,

życzliwy, dobry. Ale oczywiście nie wszyscy mężczyźni są tacy. Niektórzy są bezwzględni, zwłaszcza wobec dziewcząt. Ale miałam mało lat i związek z nim okazał się dla mnie naprawdę trudny, mimo że doświadczyłam dobroci.

– Dlaczego trudny?

– Bo cały świat był przeciwko nam! Musieliśmy kłamać i się ukrywać. Poza tym Strane nie mógł mnie uchronić przed wszystkimi konsekwencjami.

– A przed czym nie mógł?

– Na przykład wypieprzyli mnie ze szkoły.

Na to Ruby mruży oczy i marszczy brwi.

– Wypieprzyli?

Uświadamiam sobie, że przecież jej nie powiedziałam. Zdaję sobie sprawę, że słowo „wypieprzyć” ma mocny wydźwięk i tworzy błędne wrażenie. Bo sugeruje, że nie miałam żadnej siły sprawczej w tej sytuacji. Że zostałam przyłapana na czymś złym i usunięta. A przecież miałam wybór. I zdecydowałam się kłamać.

Tak więc mówię, że sprawa była dość skomplikowana, że słowo „wypieprzyć” być może nie oddaje istoty rzeczy. Opowiadam Ruby całą historię: plotki i spotkania, lista Jenny, ostatni dzień, klasa pełna uczniów, ja przed tablicą. Nigdy nie opowiadałam tego tak szczegółowo, nawet nie wiem, czy wcześniej myślałam o tym w ten sposób – chronologicznie, jedno zdarzenie prowadzące do drugiego. Na ogół te wspomnienia były pokawałkowane jak rozbite szkło.

Ruby przerywa mi kilka razy.

– Co zrobili?

– Że jak?

Jest przerażona, że dotąd nie zwracałam uwagi na niektóre kwestie: na przykład, że to Strane zabrał mnie z lekcji na pierwszą rozmowę z dyrektorem Giles, że nikt nie doniósł o sprawie władzom stanowym.

– Ale komu? Jakimś instytucjom zajmującym się ochroną dzieci? Daj spokój, to nie było aż tak.

– Gdy nauczyciel podejrzewa, że dziecko jest molestowane, ma obowiązek to zgłosić.

– Zajmowałam się ochroną dzieci, gdy przeprowadziłam się do Portland – odpowiadam. – Dzieci, które trafiają do tych instytucji, były naprawdę krzywdzone i molestowane. Przeżyły straszne rzeczy. Mnie nic takiego się nie przydarzyło. – Wyprostowuję się, krzyżuję ręce na piersiach. – Dlatego tak nie cierpię o tym gadać. Bo zaczyna wyglądać, jakby to było o wiele gorsze, niż naprawdę było.

Ruby wpatruje się we mnie, marszcząc czoło.

– Znam cię, Vanesso, więc myślę, że prędzej coś minimalizujesz, niż wyolbrzymiasz.

Zaczyna mówić autorytatywnym tonem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam, perswaduje. Mówi, że w Browick potraktowano mnie w sposób poniżający. Że zmuszenie mnie do oczerniania siebie przed rówieśnikami wystarczy, aby spowodować zespół stresu pourazowego bez względu na to, co przeżyłam oprócz tego.

– Obnażenie się w ten sposób przed jedną osobą jest czymś okropnym – stwierdza. – A takie poniżenie na oczach tłumu... Nie mówię, że to gorsze przeżycie, ale inne. Okrutnie odczłowieczające, zwłaszcza dla dziecka.

Gdy wskazuję, że słowo „dziecko” jest być może nie na miejscu, Ruby natychmiast koryguje.

– Dobrze, to dla osoby, której mózg nie jest jeszcze w pełni rozwinięty.

Patrzy mi w oczy, czeka, czy zakwestionuję własne słowa użyte wcześniej. Milczę, więc pyta, czy Strane został potem w Browick i czy wiedział, jak przebiegło to nieszczęsne spotkanie.

– Tak, wiedział – potwierdzam. – Pomógł mi obmyślić, co mam mówić. To był jedyny sposób, żeby uratować jego reputację.

– A czy wiedział, że wywałą cię ze szkoły?

Wzruszam ramionami, bo nie chcę kłamać, zarazem nie czuję się na siłach, żeby powiedzieć prawdę: wiedział, chciał, aby tak się stało.

– Słuchaj, Vanesso, wcześniej wskazałaś tę okoliczność jako coś, przed czym ten mężczyzna nie mógł cię uchronić. Tymczasem wygląda na to, jakby on to spowodował.

Na moment zatyka mnie kompletnie, ale szybko się otrząsam i znowu wzruszam ramionami, że to niby drobnostka.

– Sytuacja była skomplikowana – odpowiadam. – Zrobił wszystko, co w jego mocy.

– Miał potem poczucie winy?

– Z tego powodu, że wyleciałam ze szkoły?

– Nie tylko. Także z tego, że zmusił cię, abyś kłamała i wzięła wszystko na siebie.

– Uważał chyba, że pechowo się złożyło, ale że należało tak postąpić. No bo jaka była alternatywa? Albo to, albo on w więzieniu.

– Owszem – przytakuje Ruby stanowczym tonem – taka była alternatywa, i to alternatywa sprawiedliwa, bo to, co z tobą zrobił, jest przestępstwem.

– Żadne z nas nie przeżyłoby, gdyby trafił do więzienia.

Ruby wpatruje się we mnie i w głębi jej oczu następuje zmiana perspektywy, widać, że usiłuje odhaczyć coś w myśli. To bardziej subtelne niż prowadzenie zapisków w notesie – jak to robią psychoterapeuci w telewizji – a jednak dostrzegalne. Obserwuje mnie bacznie, wszystko, co mówię, umieszcza w szerszym kontekście, co oczywiście przypomina mi Strane’a – no bo jak mogłoby nie przypominać? To, jak świdrował mnie spojrzeniem na lekcjach, bez przerwy kalkulując. Pewnego razu Ruby powiedziała mi, że jestem jej ulubioną klientką, bo zawsze znajdzie się kolejna warstwa, pod którą trzeba wnikać, coś do odsłonięcia, a gdy to usłyszałam, poczułam się tak samo jak wtedy, gdy usłyszałam: „Jesteś moją najlepszą uczennicą”. Tak samo jak wtedy, gdy Strane nazwał mnie wartościową i wyjątkową osobą, gdy Henry Plough powiedział, że jestem niepojętą zagadką.

Potem Ruby pyta mnie o to, o co w moim przekonaniu chciała spytać od samego początku.

– Wierzysz dziewczynom, które go oskarżają?

Nie, odpowiadam bez najmniejszego wahania. Zerkam na nią, dostrzegam powieki mrugające w wyrazie zaskoczenia.

– A więc uważasz, że kłamią?

– Nie do końca. Uważam, że dały się ponieść.

– Jak to dały się ponieść?

– Na fali tej hysterii, która się teraz rozpętała – mówię. – Te ciągłe oskarżenia. To jak ruch społeczny, co nie? Ludzie nawet tak to nazywają. A gdy widzimy, jak taki ruch nabiera rozpędu, to naturalne, że mamy ochotę się do niego przyłączyć. Natomiast żeby stać się częścią tego konkretnego ruchu, trzeba wcześniej przeżyć coś strasznego. Więc przesada jest nieuchronna. Poza tym to wszystko wydaje się mocno niewyraźne. Bardzo łatwo manipulować kategoriami, którymi się posługujemy. Wszystko może być molestowaniem. Wystarczy, że poklepał którąś po nodze albo coś.

– Ale skoro według ciebie był niewinny, to dlaczego odebrał sobie życie? – pyta Ruby.

– Zawsze powtarzał, że woli umrzeć niż żyć z piętnem pedofila. Gdy te oskarżenia padły publicznie, wiedział, że wszyscy z góry uznają go za winnego.

– Jesteś na niego zła?

– Za to, że popełnił samobójstwo? Nie. Rozumiem, dlaczego to zrobił. I wiem, że przynajmniej częściowo ponoszę za to winę.

Ruby kręci głową, chce zaprzeczyć, ale jej przerywam:

– Wiem, wiem, to nie moja wina. Kapuję. Ale to z mojego powodu od początku zaczęły o nim krążyć te wszystkie plotki. Gdyby nie miał wcześniej opinii nauczyciela, który sypia z uczennicami, wątpię, aby Taylor oskarżyła go o cokolwiek. A gdyby ona się nie zgłosiła, inne też by się nie zgłosiły. Kiedy nauczyciel zostaje oskarżony o coś podobnego, to wszystko, co mówi i robi, jest postrzegane przez określony filtr aż do tego stopnia, że nawet najniewinniejsze zachowanie interpretuje się jako coś nagannego. – Nadaję jak nakręcona, papugując Strane’a w tej argumentacji, zachowana we mnie jego postać nagle uobecniona i w pełni żywa. – Pomyśl, Ruby. Jak normalny facet poklepie dziewczynę po kolanie, to nie ma sprawy. Ale jeśli to samo zrobi taki, którego wcześniej oskarżono o pedofilię? Wtedy ludzie reagują przesadnie. A więc nie, nie jestem na niego wściekła. Jestem wściekła na nich, na świat, który zrobił z niego potwora, kiedy cała jego zbrodnia polega na tym, że miał pecha i zakochał się we mnie.

Ruby siedzi z rękami założonymi na piersi wpatrzona w swoje kolana, jakby z trudem zachowywała spokój.

– Zdaję sobie doskonale sprawę, jak to wszystko brzmi – dodaję. – Na pewno uważasz, że jestem straszna.

– Nie uważam, że jesteś straszna – odpowiada cicho, wciąż ze spuszczonym wzrokiem.

– To co myślisz?

Bierze głęboki wdech i spogląda mi w oczy.

– Tak szczerze, Vanesso, to z tego, co słyszę, wynika, że to był bardzo słaby człowiek i nawet jako młoda dziewczyna wiedziałas, że jesteś od niego silniejsza. Wiedziałaś, że nie przeżyłby zdemaskowania, dlatego się podłożyłaś. I nadal próbujesz go bronić.

Gryzę policzek od środka, bo nie chcę, aby moje ciało zareagowało samowolnie – zwinęło się w kłębek, zapadło do środka tak bardzo, że pękłyby mi kości.

– Nie mam ochoty dłużej o nim rozmawiać.

– Dobrze.

– Ciągle jeszcze jestem w żałobie, rozumiesz? To dla mnie wielka strata.

– Rozumiem. To musi być bardzo trudne dla ciebie.

– Jest. Nie do wytrzymania. – Przełykam ślinę w ściśniętym gardle. – Pozwoliłam mu umrzeć. Powinnas to wiedzieć na wypadek, gdyby zrobiło ci się mnie żal. Zadzwoił do mnie tuż przed tym. Wiedziałaś, co zamierza, i nie zrobiłam nic, żeby go powstrzymać.

– To nie twoja wina, Vanesso.

– Tak, bez przerwy to powtarzasz. Najwyraźniej nic nigdy nie jest moją winą.

Milczy, patrzy tylko na mnie z tym samym zbolałym wyrazem twarzy. Wiem, co myśli. Że jestem żalosna, zdecydowana doprowadzić do własnego upadku.

– Torturowałam go – ciągnę. – Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo przyczyniłam się do tego wszystkiego. Jego życie stało się piekłem z mojego powodu.

– Był dorosłym mężczyzną, a ty miałaś piętnaście lat – stwierdza Ruby. – Co takiego zrobiłaś, że było to dla niego torturą?

Przez moment brak mi słów, nie potrafię odpowiedzieć nic poza tym, że weszłam do klasy Strane’a, że żyję, że się urodziłam.

Odchylam głowę do tyłu i mówię:

– Był we mnie tak zakochany, że po lekcji siadał na moim krześle. Kładł głowę na ławce i wdychał to, co po mnie zostało. – To karta, którą zagrywałam już wcześniej, zawsze po to, aby dowieść niepokohowanej miłości Strane’a do mnie, lecz teraz własne słowa odbieram tak samo,

jak je odbiera Ruby: rojenia i obłąd.

– Posłuchaj, Vanesso – mówi łagodnym tonem. – Ty wcale się o to nie prosiłaś. Poszłaś do szkoły, żeby się uczyć.

Patrzę w okno ponad jej ramieniem, na port, stada mew, stalowoszarą wodę i niebo, lecz widzę tylko siebie, ledwie szesnastolatka ze łzami w oczach, stojąca w klasie przed tłumem ludzi, nazywająca samą siebie kłamczuchą, zła dziewczucha zasługująca na karę. Głos Ruby pyta mnie z oddali, gdzie jestem myślami. A przecież ona wie, że to właśnie prawda mnie przeraża, jej ogrom, jej bezwzględność. W jej świetle nie miałabym się gdzie ukryć.

2006

Jest początek września, zaraz rozpocznie się ostatni rok studiów, a ja sprzątam mieszkanie przy szeroko otwartych oknach. Ze śródmiejskich ulic poniżej napływają odgłosy zmieniającej się pory roku, zajawki z głośników w autobusach wycieczkowych zmieszane ze zgrzytaniem hamulców furgonu do przeprowadzek, ostatnia fala turystów korzystających z resztek ciepłej pogody i tańszych pokojów w hotelach. Centrum miasta przesunęło się w kierunku kampusu i aż do maja cała Atlantica będzie własnością *college*'u. Nazajutrz z Rhode Island ma przyjechać Bridget, moja współlokatorka, a zajęcia zaczną się dzień później. Spędziłam tutaj całe lato, sprząając pokoje hotelowe za gotówkę, wieczorem ćpając i tracąc czas online – z wyjątkiem tych chwil, kiedy zjawiał się Strane, co zrobił zaledwie kilkakrotnie. Wymiguje się długą drogą, ale tak naprawdę nie cierpi tego obskurnego mieszkania. Za pierwszym razem, gdy wpadł, potoczył wzrokiem dokoła i powiedział:

– Vanesso, to taka nora, gdzie ludzie popełniają samobójstwa.

Ma teraz czterdzieści osiem lat, a ja dwadzieścia jeden, ale między nami jest właściwie tak samo, jak było sześć lat temu. Wielkie zagrożenia minęły – nikt nie trafi do więzienia ani nie straci pracy – ale wciąż okłamuję rodziców. Bridget jest jedyną moją koleżanką, która wie o istnieniu Strane'a. Spotykamy się albo w jego domu, albo w tym mieszkaniu, przy zaciągniętych zasłonach. Czasem zabiera mnie do publicznych miejsc, ale tylko takich, gdzie zachodzi małe prawdopodobieństwo, że zostaniemy rozpoznani – sekretność, dawniej będąca przymusem, dziś jest skutkiem ubocznym wstydu.

Stoję w łazience, wycieram boki kabiny prysznicowej, co robię tylko przed wizytą Strane'a, gdy nagle telefon świergocze, powiadamiając mnie o przychodzącym połączeniu: „JACOB STRANE”.

Wciskam „odbierz” palcami pomarszczonymi od środka czyszczącego.

– Cześć, jesteś już...

– Nie dam rady dzisiaj – przerywa mi. – Zagęściło mi się tutaj.

Wchodzę do pokoju, a on opowiada, że mianowali go dziekanem wydziału, więc piętrzą się obowiązki.

– Tam jest kompletny bałagan – ciągnie. – Jedna osoba na urlopie macierzyńskim, a nowy nauczyciel, którego przyjęli, nie ma o niczym bladego pojęcia. Na domiar złego wprowadzają jakiś nowy powszechny program pedagogiczny, zatrudnili dziewczę niewiele starsze od ciebie, żeby nas instruowało, jak mamy radzić sobie z uczuciami naszych uczniów. To wręcz obraźliwe. W końcu robię w tym zawodzie od dwudziestu lat.

Zaczynam krążyć po pokoju, podążając ścieżką wytyczaną przez obracający się wentylator. Jedyne meble, jakie mamy, są posklejane taśmą fotel papasan, stolik do kawy z kartonów po mleku i stary stolik pod telewizor od moich rodziców. Niedługo wzbogacimy się o kanapę: Bridget mówi, że zna kogoś, kto chce się jednej pozbyć za darmo.

– Ale to ostatnia możliwość, żebyśmy pobyli razem.

– A co, wybierasz się na długą wędrowkę, o której nic nie wiem?

– Nie, koleżanka jutro wraca i nie będę sama.

– Aha. – Cmoka językiem. – Masz przecież sypialnię. Drzwi się zamykają.

Z mojego gardła wydobywa się lekkie westchnienie.

– Nie nabzdyczaj się – mówi Strane.

– Nie nabzdyczam.

Ale owszem, jestem nadąsana, kończyny ciężkie, dolna warga wysunięta do przodu. Przez cały ranek wynosiłam puste butelki i kubki po kawie ze swojego pokoju, zmywałam naczynia, wygarniałam kłaki z odpływu w wannie. Poza tym chcę z nim pobyc. To jest prawdziwy powód mojego rozczarowania. Minęły dwa tygodnie.

– Jestem potrzebowska – mruczę do aparatu.

To najbliższe prawdy o tym, jak się czuję. Rzecz nie w tym, że jestem napalona, bo w istocie nie chodzi o seks. Chodzi o niego, o to, żeby na mnie patrzył, wielbił mnie, mówił o mnie, dawał to, czego potrzebuję, aby przetrwać codzienną mordęgę udawania, że jestem taka sama jak wszyscy inni.

Słyszę, że się uśmiecha – szybki wydech, cichy dźwięk z głębi gardła.

„Jestem potrzebowska”. Spodobało mu się.

– Niedługo się wyrwę – mówi.

Bridget zjawia się nazajutrz po południu, rzuca bagaże na środek pokoju.

– On jest? – pyta z błyskiem w oku.

Pali się, żeby poznać Strane'a, Nie wiem, czy wierzy, że on rzeczywiście istnieje. Opowiedziałam jej ogólnie o nas zeszłej wiosny w barze, gdy podpisałyśmy umowę na wynajem mieszkania. Studiuje anglistykę, tak samo jak ja, przez trzy lata chodziłyśmy razem na zajęcia, ale się nie zaprzyjaźniłyśmy. Zamieszkanie razem było podyktowane wyłącznie wygodą. Ona znalazła dwupokojową norę, a ja potrzebowałam kąta dla siebie. A jednak w ciągu jednego wieczoru spędzonego w barze zaczęłam od wspominek, że uczyłam się w Browick „przez mniej więcej rok” – na ogół tymi słowami najbardziej zbliżałam się do prawdy – a pięć drinków później skończyłam na tym, że zrelacjonowałam mało składnie całą tę aferę. Wyznałam, że wybrał mnie spośród innych, że się zakochał, że wyrzucono mnie ze szkoły, bo nie chciałam go zdradzić, ale się zesłiśmy, bo pomimo różnicy wieku, pomimo wszystkiego, nie możemy bez siebie wytrzymać. Bridget potrafi słuchać, siedziała cicho, wybałuszając oczy przy najbardziej gwałtownych zwrotach akcji, kiwając głową z przejęciem w najbardziej wzruszających momentach, nie okazując żadnej skłonności do osądzania. Potem nigdy pierwsza nie wspomniała o Stranie, zawsze tylko reagowała. Nawet teraz spytała, czy on jest, bo dzień wcześniej uprzedziłam ją esemesem: „Mam nadzieję, że nie będziesz przerażona, jeśli przyjedziesz jutro i zastaniesz u nas starszego mężczyznę”. Po raz pierwszy spróbowałam zażartować ze swojego związku ze Strane'em i poczułam się z tym dobrze, zaskakująco dobrze.

„Jest tutaj?” Kręcę głową, ale nie wyjaśniam, dlaczego go nie ma, a Bridget nie pyta.

Wnosimy resztę jej rzeczy, czarne worki na śmieci pełne ubrań, poduszek i prześcieradeł, blaszany śmietnik zapchany butami, wolnowar z płytami DVD. Zgarniamy kanapę – dosłownie zgarniamy, niesiemy przez cztery przecznice, a samochody mijają nas i trąbią. W połowie drogi robimy sobie odpoczynek, stawiamy kanapę na chodniku i opadamy na nią, wyciągając nogi i osłaniając oczy od słońca. Wreszcie wtaszczyamy ją do mieszkania i podsuwamy pod ścianę w dużym pokoju i resztę popołudnia spędzamy na picciu słodkawego wina i oglądaniu *The Hills*. Pijemy z gwinta, każda ze swojej butelki, ocieramy usta wierzchem dłoni i nucimy główny motyw muzyczny, odcinek po odcinku.

Gdy niebo ciemnieje i kończy się wino, idziemy do spożywczaka na rogu, żeby kupić więcej i pić podczas szykowania się do baru. Z pokoju Bridget po drugiej stronie mieszkania dudnią Rilo Kiley, a ja biorę sprej do prostowania włosów i podmalowuję oczy. W pewnej chwili zagłada do mnie z nożyczkami.

– Ciachnę ci grzywkę – mówi.

Siadam na krawędzi wanny, a ona przycina mi włosy nożyczkami upakcanymi farbą, obok w laptopie zdjęcie Jenny Lewis na wzór.

– Idealnie – ocenia i odsuwa się na bok, żebym mogła spojrzeć w lustro.
Wyglądam jak mała dziewczynka, para dużych oczu patrzących spod topornej grzywki.
– Wyglądasz niesamowicie – dodaje Bridget.
Obracam się z boku na bok i zastanawiam, co Strane by pomyślał.

W barze przysiadam na stołku i żłopię piwo za piwem, a Bridget robi się rozkojarzona z powodu chłopców, którzy pod pretekstem powitania biorą ją w ramiona i obmacują. Jest piękna: wysokie kości policzkowe i długie włosy w kolorze pszenicy, taka szpara między przednimi zębami, jaka kręci mężczyzn, widziałam to wiele razy. Tymczasem ja jestem ładna, ale nie piękna, inteligentna, ale nie *cool*. Zgryźliwa, uszczypliwa, za ostra. Gdy narzeczony Bridget mnie poznał, powiedział, że sama moja obecność sprawia, że czuje się, jakby dostał kopa w jaja.

*

Atlantica College to poranna mgła i przesycone solą powietrze, mewy wygrzewające swoje cętkowane ciała na granitowym brzegu i rezydencje wielorybników zamienione w sale wykładowe, w stołówce na ścianie gigantyczna czaszka humbaka. Maskotką uczelni jest skrzypłocz i wszyscy jesteśmy świadomi, jakie to niedorzeczne, w księgarni cały asortyment bluz z napisem „JA OD SKRZYPLÓCZA” na plecach. Nie ma żadnych drużyn sportowych, studenci zwracają się do rektora po imieniu, a profesorowie noszą sandały Teva i T-shirty, na zajęcia przyprowadzają swoje psy. Uwielbiam ten *college*, nie chcę skończyć studiów, nie chcę stąd wyjeżdżać.

Strane mówi, że muszę dokonać kontekstualizacji swojej niechęci do dorobienia, że wszystkich w moim wieku pociąga autowiktymizacja.

– Taka mentalność jest atrakcyjna szczególnie dla młodych kobiet – stwierdza. – Świat ma żywy interes w tym, aby utrzymać cię w poczuciu bezradności.

Dodaje, że w naszej kulturze bycie ofiarą traktujemy jak przedłużenie dzieciństwa. Więc kiedy kobieta wybiera bycie ofiarą, zostaje uwolniona od osobistej odpowiedzialności, co z kolei zmusza innych, aby się nią zaopiekowali, dlatego gdy już raz kobieta dokona takiego wyboru, będzie go powielać.

Nadal czuję się inna od reszty, mroczna i z gruntu zła, tak samo jak czułam się w wieku piętnastu lat, próbuję jednak lepiej zrozumieć powody tego stanu rzeczy. Stałam się ekspertką od toposu różnicy wieku, pochłaniając książki, filmy i wszystko, co opowiada o romansie między osobą dorosłą a nieletnią. Szukam niestrudzenie, lecz nie znajduję niczego, co byłoby naprawdę trafne. Dziewczeta w tych historiach zawsze są ofiarami, a ja ofiarą nie jestem – i nie ma to nic wspólnego z tym, co Strane mi zrobił lub nie zrobił, gdy byłam młodsza. Nie jestem ofiarą, bo nigdy nie chciałam nią być. Nie chciałam, więc nie jestem. Tak wygląda zależność. Różnicą między gwałtem a seksem jest stan umysłu. „Nie da się zgwałcić chętnej, prawda?”, powiedziała moja współlokatorka na pierwszym roku, kiedy próbowałam ją powstrzymać od powrotu po pijaku do domu z jakimś facetem poznanym na zabawie. Nie da się zgwałcić chętnej. Przyznaję, kiepski żart, ale ma to sens.

A jeśli nawet Strane wyrządził mi krzywdę, to przecież wszystkie dziewczyny mają zadawnione rany. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Atlantica, zamieszkałam w żeńskim akademiku, który przypominał Browick, tyle że był bardziej roz hulany, alkohol i trawka łatwo dostępne, nadzór zupełnie minimalny. Wzdłuż ścian korytarza ciągnęły się pootwierane drzwi, dziewczyny snuły się między pokojami do późnego wieczoru, wyznając sobie sekrety, obnażając dusze. Dziewczyny, które poznałam zaledwie kilka godzin wcześniej, wypłakiwały mi się na ramieniu, opowiadały o wycofanych matkach i wrednych ojcach, o zdradzających je chłopakach i ogólnie o tym, że świat jest strasznym miejscem do życia. Żadna nie miała romansu ze starszym

mężczyzną, a mimo to były popierdolone. Gdybym nawet nigdy nie spotkała Strane'a, to i tak wątpię, aby wyrosła ze mnie inna kobieta. Jakiś chłopak by mnie wykorzystał, potraktował jak przedmiot, złamał mi serce. Strane przynajmniej stanowi lepszą historię do opowiadania, niż mają moje koleżanki.

Czasem łatwiej tak o tym myśleć – jako o historii. Zeszłej jesieni zapisałam się na warsztaty literackie i przez cały semestr tłukłam teksty o Stranie. Gdy były omawiane w klasie, zapisywałam wszystkie uwagi, wszystkie komentarze, nawet te najgłupsze, najwredniejsze. Jeśli ktoś mówił: „No, chodzi mi o to, że ona jest zwykłą puszczałką, no bo kto idzie do łóżka z nauczycielem? Kto robi coś takiego?”, szybko notowałam każde słowo i dodawałam od siebie: „(Dlaczego to zrobiłam? Bo jestem puszczałką?)”.

Po tych warsztatach czułam się zmaltretowana i posiniaczona, ale wydawało się to odpowiednią pokutą, upokorzeniem, na które zasłużyłam. Być może istnieje jakieś podobieństwo między spokojnym wysłuchiowaniem tych wszystkich brutalnych komentarzy na zajęciach a wejściem do sali w Browick i wystawieniem się na grad pytań, lecz staram się nie grzęznąć w takich rozmyślaniach. Głowę mam nisko, trzymam kurs.

Profesor, który prowadzi moje zajęcia magisterskie, jest nowy. Henry Plough. Któregoś dnia zauważyłam tabliczkę z jego nazwiskiem na drzwiach obok gabinetu naszej pedagog, otwarte drzwi ukazywały pusty pokój z biurkiem i dwoma krzesłami. Na pierwszym zebraniu seminaryjnym siedzę po przeciwległej stronie stołu, skacowana, może ciągle pijana, włosy i skóra cuchnące piwskim.

Patrzę na wchodzących studentów, każda twarz znajoma, a mój umysł miota się w spazmach, błyski światła i ściana dźwięku, natychmiastowy ból głowy tak silny, że wciskam palcami gałki oczne. Kiedy unoszę powieki, w sali widzę Jenny Murphy – Jenny, dawna koleżanka z tego samego pokoju, przez moment najlepsza przyjaciółka, naprawiaczka świata. Siedzi przy stole, broda podparta ręką, brązowe włosy obcięte na boba i linia długiej szyi dokładnie takie same jak dawniej. Co jest, przeniosła się? Dygoczę, czekając, żeby mnie zauważyła. Dziwne, że żadna z nas się nie postarzała. Nie wyglądam na choćby jeden dzień więcej niż piętnaście lat, ta sama piegowata twarz i rude włosy.

Wciąż jestem jak zahipnotyzowana, gdy do sali wchodzi Henry Plough z podręcznikiem w rękę i skórzaną torbą na ramieniu. Odrywam wzrok od Jenny i chłonę jego postać, tego nowego profesora. Na pierwszy rzut oka to Strane, tylko broda i okulary, ciężki krok i szerokie ramiona. Lecz zaraz potem następuje korekta: wzrost wcale nie taki dominująco wysoki, raczej średni, włosy i broda jasne, nie ciemne, oczy piwne, nie szare, okulary w rogowych oprawkach, nie drucianych. Jest szczuplejszy, mniejszy, no i młody – to zauważam na ostatku. Zero siwizny, pod zarostem gładka skóra, ze trzydzieści pięć lat. To Strane w stadium poczwarki, wciąż miękkie.

Henry Plough rzuca podręcznik na stół i rozlega się głośny huk, aż wszyscy się krzywią.

– Przepraszam, nie chciałem.

Podnosi podręcznik, trzyma go w dłoniach przez chwilę, niepewnie, wreszcie odkłada znowu, ostrożnie.

– No to chyba możemy zacząć – mówi – skoro moje niezręczne wejście mamy już za sobą.

Od pierwszej chwili jego zachowanie jest niewłaściwe – układny i autoironiczny, niczym nie budzi przerażenia, jakie budził Strane już na pierwszej lekcji, gdy zapisał całą tablicę uwagami na temat wiersza, którego nikt nie przeczytał i nie miał odwagi się do tego przyznać. A jednak gdy Henry Plough sprawdza listę obecności, błędząc spojrzeniem dokoła stołu, przyglądając się każdemu z nas po kolei, z powrotem przenoszę się do klasy w Browick, czuję, jak Strane pożera mnie wzrokiem. Przez otwarte okno wpada wietrzyk, a słone powietrze pachnie

spalonym kurzem z kaloryfera w gabinecie Strane'a. Pohukiwania mew zmieniają się w bicie dzwonów w Norumbdze odmierzających półgodziny.

Przy drugim końcu stołu Jenny podnosi w końcu na mnie wzrok. Nasze spojrzenia się spotykają i widzę, że to wcale nie ona, tylko pewna dziewczyna o okrągłej twarzy i brązowych włosach, z którą chodziłam wcześniej na zajęcia.

Henry Plough dociera do końca listy. Jak zwykle jestem ostatnia.

– Vanessa Wye.

Tego pierwszego dnia seminarium brzmi to jak błagalne pytanie: „*Vanessa, why?*”.

Podnoszę dwa palce, zbyt wstrząśnięta, żeby unieść całą rękę. Naprzeciwko dziewczyna wzięta za Jenny odtyka długopis i burza szalejąca we mnie przemija, zostają po niej śmieci i płatanina gnijących wodorostów. Czuję znajomy strach: może jestem nienormalna, trawiona narcystycznymi urojeniami? Do tego stopnia usidlona we własnym umyśle, że w niewinnych przechodniach widzę duchy przeszłości?

Henry Plough wpatruje się w moją twarz, jakby chciał ją zapamiętać. W kapowniku stawia znaczek przy moim nazwisku.

Przez resztę zajęć siedzę zgarbiona na krześle i ledwo mam śmiałość zerknąć na niego od czasu do czasu. Mój umysł dryfuje do okna; nie wiem, czy chce uciec, czy zyskać większą perspektywę. Po zajęciach wracam do domu ścieżką nad morzem, mgła puszy mi włosy. Wieczorem ciemno choć oko wykol, a ja mam słuchawki douszne, muzyka podkrecona tak głośno, że byłabym bez szans, gdyby ktokolwiek chciał mnie dopaść od tyłu – bezsensownie idiotyczne zachowanie. Nigdy bym się do tego nie przyznała, ale myśl o oddechu jakiegoś potwora na moim karku przyprawia mnie o dreszczyk. Napędza mnie, ot, klasyka igrania z ogniem.

Strane przyjeżdża do mnie w piątek wieczorem. Czekam na niego przed budynkiem, siedzę na schodach prowadzących do sandwiczerii z bajglami, która co rano wypełnia nasze mieszkanie wonią drożdży i kawy. Jest ciepło – dziewczęta w letnich sukienkach idą do barów, chłopak, z którym chodzę na zajęcia z poezji, prześlizguje się obok na longboardzie, popijając piwo. Pojawia się Strane w swoim kombi, skręca w zaułek, nie parkuje przy ulicy, bo można byłoby go łatwiej zobaczyć. Ciągle ma paranoję, chociaż w Atlantica nie uczą się żadni absolwenci Browick.

Po minucie wyłania się z ciemnego zaułka, uśmiecha w poświęcie latarni i wyciąga rękę do przodu.

– Chodź do mnie.

Ma na sobie fabrycznie sprane dzinsy i białe tenisówki. Ubiór tatula. Kiedy od naszego ostatniego spotkania upływają całe tygodnie, okazuję się na to nieprzygotowana i natychmiast przyciskam twarz do jego piersi, żeby nie patrzeć na czerwony nos, siwiejącą brodę i brzuch wiszący nad paskiem.

Prowadzi mnie po ciemnej klatce schodowej na górę, jakby to on tutaj mieszkał, nie ja.

– O, kanapa – mówi, gdy wchodzimy do środka. – Jest poprawa.

Odwraca się z uśmiechem, patrzy na mnie i natychmiast poważnieje. Na dworze, w półmroku, nie widział, jak ładnie się prezentuję w letniej sukience, z nową grzywką, oczy zrobione, usta pociągnięte czerwoną szminką.

– Ale wyglądasz. Jak Francuzka z sześćdziesiątego piątego.

Jego komplement wystarczy, żebym się roztopiła jak masło, jego brzydkie ubranie nie jest już takie brzydkie, a przynajmniej straciło znaczenie. On zawsze będzie stary. Musi być. To jedyny sposób, żebym ja zawsze była młoda i „skąpiana we własnym pięknie”.

Ruszam, żeby otworzyć drzwi do swojego pokoju.

– Nie zdążyłam posprzątać, więc się nie czepiaj – ostrzegam go.

Zapalam światło. Ogarnia wzrokiem bałagan: sterty ubrań, kubki po kawie i butelki po winie na podłodze przy łóżku, pęknięta paleta cieni do powiek wtarta w dywan.

– Nigdy nie zrozumieć, jak można tak żyć – mówi.

– A ja tak lubię – odpowiadam, obiema rękami zrzucając ciuchy z łóżka.

To nieprawda, jednak nie mam ochoty na wykład o nieuporządkowanych przestrzeniach będących odzwierciedleniem nieuporządkowanych umysłów.

Kładziemy się, on na wznak, ja na boku, ściśnięta między nim a ścianą. Wypytuje mnie o zajęcia, więc relacjonuję po kolei, ale waham się, gdy docieram do Henry’ego Plougha.

– No i seminarium magisterskie.

– Kto prowadzi?

– Niejaki Henry Plough. Jest nowy.

– Gdzie zrobił doktorat?

– Pojęcia nie mam. Nie informują nas o tym w programie studiów.

Strane marszczy czoło, jest lekko niezadowolony.

– Zastanawiałaś się, co potem?

Co potem? Studia podyplomowe. Rodzice chcą, żebym przeniosła się na południe, do Portland, Bostonu, może jeszcze dalej. „Nic tu po tobie – żartuje tata – same domy opieki i ośrodki odwykowe, bo wszyscy na północ od Augusty to albo stare pierdziele, albo uzależnieni”. Strane też chce, abym wyjechała, twierdzi, że powinnam poszerzyć horyzonty, wyruszyć w świat, ale potem dodaje coś w rodzaju: „Nie wiem, co bez ciebie zrobię. Pewnie ulegnę swoim bardziej prymitywnym instynktom”.

Kołyszę głową niezobowiązująco.

– Tak trochę. Ej, chcesz zapalić?

Pełzam po nim na drugą stronę i chwytam szkatułkę, w której trzymam trawkę. Patrzy ze zmarszczonym czołem, jak ładuję porcję do fajeczki, ale gdy mu proponuję, bierze i zaciąga się głęboko.

– Nie myślałem, że związek z dwudziestojednoletnią dziewczyną będzie dla mnie oznaczał nadużywanie niedozwolonych substancji – mówi głosem piskliwym od wydychanego dymu. – Chociaż chyba powinienem był to przewidzieć.

Sztacham się, zaciągam tak mocno, że drapie mnie w gardle. Nie cierpię tego, że ekscytuję się jak idiotka, gdy Strane nazywa mnie swoją dziewczyną.

Wypalamy porcję i wypijamy prawie całą butelkę wina, która ostała się na podłodze przy łóżku. Zapalam mały telewizor i przez pięć bolesnych minut oglądamy reportaż o mężczyznach aresztowanych za próby umawiania się na czacie z nastoletnimi dziewczynami, którymi w rzeczywistości są podstawieni policjanci. Dosyć, puszczam film. Problem w tym, że wszystkie moje filmy zahaczają o ten sam temat – obie wersje *Lolity*, *Ślicznotka*, *American Beauty*, *Między słowami* – ale przynajmniej koncentrują się na pięknie takich relacji, przedstawiają je jako historie o miłości.

Gdy Strane zdejmuje mi sukienkę i przewraca mnie na plecy, jestem już tak naćpana, że świat staje się zamazany, przypomina kłęby dymu, ale kiedy czuję język tam na dole, wszystko skupia się w wyraźny obraz. Zwieram mocno uda.

– Nie chcę.

– Ej, Nessa, przestań. – Przytula twarz do moich zaciśniętych nóg i podnosi na mnie wzrok. – Pozwól mi.

Patrzę na sufit i kręcę głową. Od przynajmniej roku, a może dłużej, nie pozwalam mu dobrać się do mnie ustami. Nie zabiłoby mnie to ani nic, ale oznaczałoby swoistą porażkę.

– Odmawiasz sobie rozkoszy – stwierdza Strane.

Napinam wszystkie mięśnie w ciele. Jestem lekka jak piórko i sztywna jak deska.

– Czy ty chcesz się w ten sposób ukarać? – pyta.

Moje myśli wciskają się do jamy, wszędzie zmatowiałe krawędzie, łagodne łuki. Widzę ocean nocą, fale uderzają w granitowy brzeg. Strane tam jest, stoi na tafli różowego granitu, z dłońmi stulonymi przy ustach. „Pozwól mi!” „Pozwól, żebym dał ci rozkosz!”, woła i woła, ale znajduję się poza zasięgiem. Jestem cętkowaną foką pływającą poza falochronem, ptakiem morskim o rozpiętości skrzydeł tak ogromnej, że mogę frunąć wiele mil bez odpoczynku. Jestem księżycem w nowiu, bezpiecznym, ukrytym przed nim, przed wszystkimi.

– Uparciuch z ciebie – mówi, kładąc się na mnie i rozsuwając mi nogi kolanem. – Głupi uparciuch.

Próbuje się wcisnąć do środka, ale musi sięgnąć i się podotykać, bo ostatnio trochę flaczeje – mogłabym mu pomóc, jednak wciąż jestem zwiewna jak piórko, sztywna jak deska. Poza tym to nie mój problem. Jeśli blisko pięćdziesięciolatce nie staje do dwudziestojednoletniej dziewczyny, to czy stanie mu do kogokolwiek? Może do piętnastolatki? Czasem w jego domu w Norumbedze udajemy, że to znowu jest nasz pierwszy raz. „Odpręż się, skarbie. Nie dam rady wejść w ciebie, jak się nie odprężysz. Oddychaj głęboko”.

Zaczyna poruszać się we mnie, a ja zamykam oczy, żeby obejrzeć dobrze znane zapętlone obrazy: rosnące bochenki chleba, zakupy spożywcze na taśmie przy kasie, upływ czasu pozwalający białym korzeniom zagnieździć się w miękkiej glebie. Im dłużej odtwarza się ta klisza, tym bardziej swędzi mnie skóra. Klatka piersiowa faluje. I nawet gdy otwieram oczy, te obrazy wciąż tam są. Wiem, że Strane leży na mnie, rucha mnie, ale go nie widzę. To się powtarza. Gdy ostatnim razem próbowałam mu wyjaśnić, co czuję, odparł, że to wygląda na zaburzenia dysocjacyjne. „Uspokój się. Musisz się odprężyć, skarbie”.

Chwytam się za gardło. Powinien mnie przydusić – tylko w ten sposób może sprowadzić mnie do rzeczywistości.

– Ale mocno – mówię. – Naprawdę brutalnie.

Robi to tylko wtedy, gdy go ubłagam, gdy usłyszy ciąg zdyszanych „proszę”, dopiero wtedy ustępuje, naciska bez przekonania moją krtani. To wystarczy, żeby wszystko powróciło, mieszkanie, jego twarz majacząca nade mną, pot spływający po policzkach.

Potem wzdycha.

– Nie lubię tego, Vanesso.

Siadam prosto, wyskakuję z łóżka i zgarniam sukienkę z podłogi. Muszę się wysikać, poza tym nie cierpię łaźnić nago na jego oczach, w dodatku nie wiem, kiedy wróci Bridget.

– W tym jest coś mocno niepokojącego.

– W czym dokładnie? – pytam, wsuwając sukienkę przez głowę.

– W przemocy, której ode mnie oczekujesz. To... – Krzywi się. – To cholernie mroczne, nawet jak dla mnie.

Bridget wraca z baru, zanim zdążymy zasnąć przy zgaszonych światłach i ze ściszoną *Ślicznotką*. Słuchamy, jak krąży po dużym pokoju, potem wtacza się do łazienki. Kran odkręcony do oporu nie do końca zagłusza odgłosy torsji.

– Może jakoś jej pomóc? – szepcze Strane.

– Nic jej nie będzie – odpowiadam, chociaż gdyby go tutaj nie było, zajrzałabym do łazienki. Nie wiem, czy nie chcę, żeby on zbliżał się do niej, czy odwrotnie.

Po chwili Bridget idzie do kuchni. Otwiera drzwi szafki, słysząc stukot kartonu, gdy sięga po płatki owsiane. To taka noc, kiedy zwykle wylegujemy się obie na kanapie i do snu oglądamy bloki reklamowe.

Pod kołdrą Strane przesuwa dłonią po moim udzie.

– Ona wie, że tu jestem? – pyta szeptem.

Dobiera się do mnie palcami, leżymy oboje zasłuchani w wędrownki Bridget po mieszkaniu.

Rankiem budzę się w łóżku sama. Myślę, że już pojechał, ale nagle słyszę kroki w dużym pokoju i otwierają się drzwi do łazienki.

– Och, przepraszam – piszczy zaskoczona Bridget, po czym dobiegają mnie gorączkowe słowa Strane’a:

– Nic nie szkodzi, nie szkodzi, właśnie wychodzę.

Słucham, jak się sobie przedstawiają. „Jacob”, mówi Strane, jakby był normalnym facetem, jakby to wszystko było normalne, ja tymczasem leżę sparaliżowana w łóżku, przerażona nagle jak dziewczynka w horrorze na widok szponów wypełzających zza drzwi szafy. Gdy Strane wraca do pokoju, udaję, że śpię. Nie otwieram oczu, mimo że woła mnie po imieniu i dotyka w ramię.

– Wiem, że się obudziłaś. Poznałem twoją koleżankę. Wygląda na miłą dziewczynę. Podoba mi się ta szpara między zębami.

Wciskam nos głębiej w kołdrę.

– Idę. Mogę dostać buziaka na do widzenia?

Wygrzebuję rękę z pościeli i podnoszę ją wysoko do przybicia piątki, ale zostaję zignorowana. Słyszę ciężkie kroki zmierzające do wyjścia, a gdy Strane żegna się z Bridget, ukrywam twarz w dłoniach.

Otwieram oczy, ona stoi w progu pokoju, z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej.

– Ale tu wali seksem – mówi.

Siadam, podciągając wyżej kołdrę.

– Jest paskudny, wiem.

– Wcale nie jest paskudny.

– Ale stary. Okropnie stary.

Bridget śmieje się, zarzuca włosami.

– Oj, przestań, wcale nie jest taki zły – odpowiada.

Ubieram się i idziemy do sandwiczerii na dole, żeby uraczyć się bajglami z jajkiem i bekonem oraz czarną kawą. Zza stolika przy oknie patrzę na parę spacerującą z ogromnym kudłatym psem, różowy jęzor sterczy z dyszącego pyska.

– A więc jesteś z nim, od kiedy miałaś piętnaście lat? – pyta Bridget.

Wsysam kawę przez zęby, parząc sobie gardło. Takie wścibstwo to nie w jej stylu. Dajemy sobie nawzajem przestrzeń, nazywamy to żartobliwie „strefą bezkrytyczną”, mamy układ, na mocy którego ja nie komentuję jej zadawania się z chłopakami, mimo że ma narzeczonego na Rhode Island, i robię swoje ze Strane’em.

– Z przerwami – odpowiadam.

– Pierwszy, z którym poszłaś do łóżka?

Kiwam głową, ze spojrzeniem utkwionym w okno, śledzę parę z kosmatym psikiem.

– Pierwszy i ostatni.

Wybałusza oczy.

– Ej, poważnie? Żadnego innego nie było?

Wzruszam ramionami i łykam kawę, znowu parząc sobie przelyk. Odczuwam satysfakcję, gdy widzę, że koleje mojego losu wywołują na twarzach innych ludzi grymas szoku i zgrozy, ale trwa to o sekundę za długo i zmienia się w tępe spojrzenie.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak to jest – mówi Bridget.

Próbuję ukryć, że oczy zachodzą mi łzami. Nie powinnam się rozklejać. To nic. Ona jest po prostu ciekawska. Na tym polega przyjaźń. Gadki o chłopakach, o szaleństwach młodości.

– Bałaś się?

Kręcę głową, skubiąc bajgla. Dlaczego miałabym się bać? Przecież był wobec mnie taki uważny. Myślę o Browick, o Charley, którą Will Coviello nazwał białą wywłoką i z którą nie zamienił słowa, gdy już zrobiła mu loda. O tym, jak wszedł do kręgielni, z tym cwany uśmiechem na gębie, zadowolony, bo dostał to, czego chciał. Bałabym się przeżywania właśnie takich upokorzeń. Ale nie Strane’a, który osuwał się na kolana przede mną i powtarzał, że jestem miłością jego życia.

Kieruję spojrzenie na Bridget, patrzę jej prosto w oczy.

– Ubóstwiał mnie. Miałam szczęście.

Znienacka nastaje jesień. Hotele się zamykają, pracownicy sezonowi wracają do domu. W drugim tygodniu września drzewa zmieniają kolor, gęstwiny żółtych liści odcinają się ostro na tle zachmurzonego nieba. Ranki są chłodne, wilgotne od mgły, budzę się w mokrej pościeli owiniętej wokół moich kostek.

Pod koniec września, w przerwie tuż przed rozpoczęciem zajęć magisterskich z Henrym Ploughem, dziewczyna, z którą od pierwszego roku chodzę na warsztaty pisarskie, siada przy stole i stawia na nim stertę książek. Nosi kowbojki i krótkie spódniczki, wysyła swoje teksty do magazynów literackich, a mój pedagog określił ją kiedyś jako „kandydatkę do Iowa”. Na samej górze tej sterty widzę *Blady ogień*, autor: Vladimir Nabokov. Zastygam.

„Chodź, daj się wielbić, moja Vanesso”.

Henry wskazuje książkę palcem.

– Świetny wybór – stwierdza. – To jedna z moich ulubionych.

Dziewczyna szczyrzy zęby w uśmiechu i natychmiast rumieni się w reakcji na pochwałę.

– To na zajęcia z literatury dwudziestego wieku – wyjaśnia. – Piszę o tym tekst, temat jest – wybałusza oczy – trochę wstydlawy.

Siedzący obok chłopak pyta, o czym jest książka, a ja słucham z zapartym tchem, już cała rozpalona, jak ona próbuje wyjaśnić bez powodzenia. Henry chce coś powiedzieć, lecz przerywam mu obcesowo:

– Właściwie nie ma żadnej tradycyjnej fabuły. Albo raczej nie tak należy czytać tę książkę. To poemat z przypisami, a przypisy tworzą jakby oddzielną historię. Tyle że postać, która je dołącza, jest niewiarygodna, więc całość też jest niewiarygodna. To tekst, który wymyka się ostatecznej interpretacji, wymaga od czytelnika rezygnacji z...

Nadaję jak nakręcona, czując przyływ niepokoju, jaki dopada mnie zawsze, ilekroć dam się ponieść w ten sposób – jakby to Strane rzucał wyzwanie za moim pośrednictwem. W jego ustach taka gadka brzmi błyskotliwie, ja zaś wychodzę na wyniosłą i przemądrzałą sukę.

– No tak – odpowiada dziewczyna – to nie jest moja ulubiona książka Nabokova. Przeczytałam *Autentyczne życie Sebastiana Knighta*. O wiele bardziej mi się podobało.

– *Prawdziwe życie* – poprawiam ją szeptem.

Wywraca oczami i pokazuje mi plecy, ale po drugiej stronie stołu, gdy pozostali uczestnicy seminarium wchodzi i zajmują miejsca, lekko uśmiechnięty Henry chłonie mnie wzrokiem.

Wracam po zajęciach do domu, robię sobie kolację i czytam *Tytusa Andronikusa* na zajęcia w następnym tygodniu, bo zaczynamy blok Szekspirowski. To brutalny, krwawy dramat o odciętych rękach i głowach, gotowanych w cieście. Lavinia, córka generała, pada ofiarą zbiorowego gwałtu i zostaje okaleczona. Oprawcy odcinają jej język, żeby nie mogła mówić, i ręce, żeby nie mogła pisać. A jednak jest tak zdeterminowana, aby prawda wyszła na jaw, że

patykiem trzymany w ustach pisze na ziemi imiona sprawców.

Gdy docieram do tej części dramatu, przestaję czytać i chwytam z biblioteczki stary egzemplarz *Lolity* od Strane'a. Wertuję, aż trafiam na poszukiwany fragment na stronie 165: Lo śmieje się z artykułu w gazecie, w którym radzi się dzieciom, że gdy nieznajomy częstuje je cukierkiem, powinny odmówić i napisać na poboczu numer rejestracyjny jego samochodu. „Lavinia?”, dopisuję ołówkiem na marginesie i zaginam róg kartki. Wracam do lektury *Tytusa Andronikusa*, ale nie mogę skupić myśli.

Otwieram laptopa i wyświetlam blog, który założyłam trzy lata wcześniej. Formalnie jest dostępny dla wszystkich, ale anonimowy – używam pseudonimów i co kilka tygodni wpisuję siebie kontrolnie w Google'a, aby mieć pewność, że nie pojawię się w wynikach wyszukiwania. Prowadzenie tego bloga to jak spacer w słuchawkach ciemną nocą, jak pójście do baru ze stanowczym zamiarem schłania się tak, żeby nie można było myśleć, a więc to, co w moim podręczniku do psychologii nazywa się „zachowaniem ryzykownym”.

28 września 2006

Dziś wspomniał o Nabokowie, więc czuję, że powinnam odnotować to, co kielkuje.

Nie wiem, jak to nazwać. Tak naprawdę to jakaś narracja, która zrodziła się w moim zdeprawowanym umyśle – ale jak mogłabym nie uchwycić się tej dobrze znanej historii, kiedy postacie, styl, oprawa i wiele szczegółów są takie same? (W klasie profesor biegnie spojrzeniem na koniec stołu, do rudowłosej dziewczyny, której głos drży, ilekroć jest wezwana do odpowiedzi).

To niedorzeczne, ja jestem niedorzeczna, projektuję to wszystko na mężczyznę, o którym nic nie wiem oprócz tego, jak wygląda, gdy stoi przed tablicą, oraz oprócz najbardziej banalnych faktów, które można znaleźć w Google'u. Czuję się, jakbym go wytypowała, jakbym robiła mu to, co S. zrobił mnie. Ale czy nie jest tak, że w tym scenariuszu profesor ma być S.?

Kiedy wiem, że go zobaczę, ubieram się tak, jak ubierałam się, mając piętnaście lat – laleczka w converse'ach i z warkoczykami – jakby widok mnie grającej rolę nimfetki mógł mu uświadomić, kim jestem i do czego byłabym zdolna, a więc... Prawdopodobnie jestem dokumentnie ŚWIRNIĘTA.

„Jedna z moich ulubionych”, powiedział dzisiaj o Bładym ogniu (nie o Lolicie, ach, gdyby to powiedział o Lolicie!). Wielkie rzeczy. Zwykła niewinna uwaga. Wszyscy profesorowie literatury uwielbiają tę książkę. Ale ja usłyszałam, że powiedział to ten profesor, ten, którego uznałam za wyjątkowego mężczyznę, i nagle to jest jak objawienie.

Gdy słyszę te dwa słowa, „błady ogień”, natychmiast myślę o S. dającym mi swój egzemplarz, mówiącym, żebym otworzyła na stronie 37. Myślę o tym, jak się poczułam, gdy zobaczyłam swoje imię czarno na białym. „Moja Vanesso, motylu ciemny”.

Mój umysł wytycza powiązania między postaciami. Czasem naprawdę odczuwam to jak klątwę, to, że wszystkim potrafię nadać znaczenie.

*

W Atlantica są trzy bary: bar z piwami rzemieślniczymi z kija i czystą podłogą, dokąd zaglądną studenci, tawerna ze stołami do bilarda i słoikami jajek w marynacie i rudera z hodowanymi ostrygami przy molu, gdzie pijani rybacy walczą na noże. Chodzimy z Bridget tylko do „studenckiego”, ale ona słyszała, że w tawernie są potańcówki w sobotę.

– Nikt nas tam nie zna – mówi. – Pełna swoboda.

Ma rację, jesteśmy jedynymi studentkami z Atlantica, w dodatku prawdopodobnie dziesięć lat młodsze niż wszyscy, chociaż światła są tak przygaszone, że trudno powiedzieć. Wychylamy kieliszki schłodzonej tequili i z butelkami piwa wychodzimy na parkiet, popijając

z gwinta, gdy kołyszymy się do muzyki Kanye, Beyoncé, Shakiry. Jesteśmy tak podpite, że podtrzymujemy siebie nawzajem, pszeniczne i rude włosy wciskają się w oczy, wpadają do butelek. Pewien mężczyzna pyta, czy wszystko robimy razem, a my bawimy się tak dobrze, że wcale nie czujemy się urażone.

– Może?! – odpowiadamy ze śmiechem.

Gdy didżej zaczyna grać techno, schodzimy z parkietu, żeby odsapnąć. Dobijamy do baru, gdzie serwują nam więcej kieliszków, kupionych przez faceta w czapce Red Soxów i kurtce moro.

– Podobało mi się, jak tańczycie – zwraca się do nas i przez jedną przeraźliwie długą sekundę wydaje mi się, że to Craig, ten oblech z kręgielni.

Mrugam jednak oczami i przede mną stoi obcy mężczyzna ze śladami ospy na policzkach i paskudnym oddechem. Kręci się przy nas, więc znowu ruszamy na parkiet, żeby się od niego uwolnić. Pod koniec wieczoru, gdy Bridget idzie do łazienki, a ja stoję oparta o bar, wławszy w siebie tyle tequili, że wzrok mam rozmyty, facet znowu się pojawia. Nie widzę go, ale czuję nosem – piwo i papierosy, i coś jeszcze, jakaś zgnilizna, którą cuchnie, gdy przesuwam dłoń po moim tyłku.

– Twoja koleżanka jest ładniejsza – mówi – ale coś mi się widzi, że z tobą byłaby lepsza zabawa.

Odczekuję sekundę, dwie, trzy, przepełniona tym samym uczuciem, które mnie dopadło, gdy miałam dziesięć lat i przytrzasnęłam sobie palce drzwiami matczynego samochodu, gdy zamiast wrzasnąć z bólu, stałam tylko i myślałam: „Ciekawe, jak długo wytrzymam?”. Potem strząsam jego rękę i każę mu spierdalać. Nazywa mnie dziwką. Bridget wraca z łazienki i wyjmując kluczyki, wywija małą butelkę Mace przed nosem tamtego. Facet nazywa ją stukniętą dziwką. Przez całą drogę powrotną do domu jesteśmy półprzytomne ze strachu, trzymamy się za ręce i oglądamy co chwila przez ramię.

W mieszkaniu Bridget odpływa w niebyt na kanapie, tuląc miskę z niedojedzoną serową zapiekanką. Ja zamykam się w łazience i dzwonię do Strane’a. Włącza się poczta głosowa, więc dzwonię jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie odbiera i odzywa się zaspianym głosem.

– Przepraszam, wiem, że to późno – mówię.

– Jesteś pijana?

– Co to znaczy „pijana”?

Wzdycha.

– A więc jesteś.

– Ktoś mnie obłapiał.

– Co?

– Jeden facet mnie obłapiał. Złapał za tyłek.

Po drugiej stronie zapada cisza, jakby czekał, bym przeszła do sedna.

– Nie pytał, czy może. Po prostu złapał.

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Jesteś młoda. Masz prawo się bawić.

Pyta, czy w tej chwili nic mi nie grozi, i prosi, żebym zatelefonowała do niego rano, traktuje mnie jak rodzic, zna mnie lepiej niż moi prawdziwi rodzice, częstowani przeze mnie wyłącznie ogólnikami podczas naszych dwudziestominutowych rozmów telefonicznych w niedzielne wieczory.

Wyciągnięta na kafelkach, z ręcznikiem zwiniętym pod głową, mruczę do telefonu:

– Przepraszam, że jestem taka nieogarnięta.

– Nic nie szkodzi – odpowiada Strane.

Ale ja chcę, żeby zaprzeczył, żeby stwierdził, że nie jestem nieogarnięta, tylko piękna,

wartościowa, jedyna w swoim rodzaju.

– A wiesz, że to twoja wina?

Milczenie.

– W porządku, moja.

– Wszystko, co ze mną jest nie tak, zaczęło się wtedy z tobą.

– Słuchaj, darujmy to sobie teraz, dobrze?

– To przez ciebie.

– Kochanie, idź spać.

– A co, może nie mam racji? – pytam. – No proszę, powiedz, że nie mam racji. – Gapię się na plamę wody rozkwitłą na suficie.

Wreszcie Strane odpowiada:

– Wiem, że tak właśnie myślisz.

Na zajęciach, w trakcie dyskusji o *Burzy*, Henry każe nam się połączyć w pary. W ciągu zaledwie kilku sekund wszyscy się dobierają za pomocą ledwo dostrzegalnych gestów i spojrzeń. Przysuwają krzesła, a ja stoję i rozglądam się za kimś bez partnera. I wtedy nadziewam się na wzrok Henry'ego, patrzącego na mnie z czułością.

– Vanesso, tutaj! – Amy Doucette macha ręką.

Kiedy siadam, nachyla się do mnie i szepcze:

– Nie przeczytałam. A ty?

Wzruszam ramionami.

– Przejrzałam – kłamię.

Tak naprawdę przeczytałam dwa razy i zadzwoniłam do Strane'a, żeby o tym porozmawiać. Zasugerował, że jeśli chcę zaimponować profesorowi, powinnam uznać ten dramat za tekst postkolonialny albo zażartować, że w istocie napisał go Francis Bacon. Gdy spytałam, kim był Francis Bacon, nie chciał powiedzieć.

– Nie będę odwalał za ciebie całej pracy – rzekł. – Sprawdź sobie.

Teraz, gdy przedstawiam Amy fabułę, widzę kątem oka, że Henry krąży wśród par. Zbliża się, a ja zaczynam nadawać donośnie, mój głos nienaturalnie wysoki i dźwięczny:

– Ale tak naprawdę nieważne, o czym jest ten dramat, bo to nie Shakespeare go napisał, tylko Francis Bacon!

Henry parska śmiechem – prawdziwym, głośnym, z brzucha.

Po lekcji zatrzymuje mnie w drzwiach i oddaje mi esej o *Lavinii z Tytusa Andronikusa*. Skupiałam się na jej wyrwanym języku i odciętych rękach, jej milczeniu, na bezradności mowy w obliczu gwałtu.

– Świetna robota – mówi Henry. – Podobał mi się też twój żart. Dziś na zajęciach, nie w eseju. – Ciągnie zarumieniony: – W eseju nie dostrzegłem żadnych żartów, ale może po prostu przegapiłem.

– Nie, nie było żadnych.

– No tak – mruczy, zaczerwieniony aż po uszy.

Jestem tak podenerwowana w jego obecności, że moje ciało pragnęłoby dać dyla. Wciskam esej do kieszeni kurtki i zarzucam plecak na ramię, ale Henry znów mnie zatrzymuje i pyta:

– To twój ostatni rok, prawda? Chcesz się starać o studia podyplomowe?

Pytanie jest tak nieoczekiwane, że śmieję się zaskoczona.

– No nie wiem, nie myślałam jeszcze o tym.

– A powinnaś – odpowiada Henry. – Już na podstawie tego – wskazuje palcem esej w mojej kieszeni – mogę stwierdzić, że miałybyś spore szanse.

W drodze powrotnej do domu czytam znowu swój tekst, w pierwszej kolejności wyławiając uwagi Henry'ego na marginesie, potem dopiero skomentowane zdania. Szukam tego potencjału, o którym mówił. Esej napisałam w pośpiechu, trzy literówki w pierwszym akapicie, wnioski mało przekonujące. Strane dałby mi za to najwyższą czwórkę.

W pierwszym tygodniu listopada Strane rezerwuje stół w drogiej restauracji na wybrzeżu i wynajmuje dla nas pokój w hotelu. Każe mi się wystroić, więc włożyłam czarną jedwabną sukienkę na cienkich ramiączkach, jedyną ładną rzecz w mojej garderobie. Restauracja ma gwiazdkę Michelina, chwali się Strane, a ja udaję, że wiem, co to znaczy. To odnowiona stodoła, drewniane ściany i odsłonięte krokwie, białe obrusy i klubowe fotele obite brązową skórą. W menu potrawy takie jak przegrzebki z tartą szparagową, polędwica obtoczona pasztetem strasburskim. Przy niczym nie widać ceny.

– Kompletnie nie wiem, co jest co – mówię.

Chcę, żeby zabrzmiało to nonszalancko, ale on odbiera moje słowa jako wyraz onieśmienia. Gdy przychodzi kelnerka, Strane zamawia dla nas obojga – comber króliczy w prosciutto, łosoś w musie z granatów, na deser panna cotta skropiona szampanem. Wszystko przyjeżdża na ogromnych białych talerzach, pośrodku idealna mała kulinarna konstrukcja, ledwo wygląda na jedzenie.

– I jak smakuje? – pyta.

– Chyba dobre.

– Chyba?

Strane posyła mi takie spojrzenie, jakbym była niewdzięczna, no bo jestem, lecz nie mam siły zgrywać teraz dziewczęcia o sarnich oczach, oczarowanego posmakiem wielkiego świata. Z okazji moich urodzin zabrał mnie do podobnego lokalu w Portland. Wtedy zgrywałam słodką idiotkę, zachwycałam się potrawami, szeptałam nad talerzem, że czuję się luksusowo. Teraz dżgam łyżeczką deser panna cotta i dygoczę w letniej sukience, na moich ramionach wysypka gęsiej skórki.

Dolewa wina do obu kieliszków.

– Myślałaś o tym, co będziesz robić po studiach?

– Co za okropne pytanie.

– Okropne tylko wtedy, gdy nie masz żadnych planów.

Wysuwam łyżeczkę z ust.

– Muszę mieć więcej czasu na zastanowienie – odpowiadam.

– Masz siedem miesięcy.

– Nie, nie, chodzi mi o to, że potrzebuję dodatkowego roku. Może powinnam zawalić wszystkie przedmioty, żeby zyskać czas.

Znowu posyła mi wymowne spojrzenie.

– Tak sobie pomyślałam – zaczynam, obracając łyżeczką w panna cocie, robiąc z deseru papkę. – Czy jak nic nie wykombinuję, to mogłabym pobyć z tobą? No wiesz, to byłby taki plan B.

– Nie.

– Nie? Odmawiasz tak od razu, bez namysłu?

– Nie muszę się namyślać. To niedorzeczny pomysł.

Wyprostowuję się, krzyżuję ręce na piersiach.

Strane się nachyla, wyciąga szyję i mówi cichym głosem:

– Nie możesz się do mnie wprowadzić.

– Nic nie mówiłam o wprowadzaniu się.

– Co pomyśleliby twoi rodzice?

Wzruszam ramionami.

– Nie musieliby o tym wiedzieć.

– Nie musieliby o tym wiedzieć – powtarza, kręcąc głową. – Ale ludzie w Norumbedge na pewno by zauważyli. Co by pomyśleli, gdyby zobaczyli, że żyjesz ze mną? Ciągle próbuję się uwolnić od tej afery, która się wtedy wydarzyła, nie chcę ugrzęznąć jeszcze głębiej.

– Dobra, świetnie.

– Dasz sobie radę – zapewnia. – Nie potrzebujesz mnie.

– Dobra, nie było rozmowy.

Pod powierzchnią słów Strane gotuje się ze zniecierpliwienia. Zirytował się, że spytałam o to, że w ogóle mogę chcieć czegoś podobnego. Ja też się zirytowałam – bo wciąż jestem mu tak oddana, wciąż jestem gówniarą. Jak najdalsza od spełnienia przepowiedni, którą wygłosił wiele lat temu: kilkunastu kochanków, gdy będę mieć dwadzieścia lat, życie, w którym on będzie jednym z wielu moich mężczyzn. Mam dwadzieścia jeden lat i jest tylko on.

Przynoszą rachunek i chwytam go pierwsza, żeby zobaczyć kwotę: trzysta siedemnaście dolarów. Aż mnie mdli na myśl o wydaniu takiej sumy na jeden posiłek, ale w milczeniu podsuwam Strane'owi tackę.

Po kolacji idziemy do koktajlbaru za rogiem przy hotelu. Są tam przyciemnione okna, masywne drzwi i przygaszone oświetlenie. Siadamy w kącie, przy małym stoliku, a kelner tak długo wpatruje się w mój dowód tożsamości, że w końcu Strane wzdycha i syczy:

– Dobra, chyba wystarczy.

Dwie pary w średnim wieku rozmawiają po sąsiedzku o zagranicznych podróżach, Skandynawia, kraje nadbałtyckie, Sankt Petersburg. Jeden mężczyzna powtarza do drugiego:

– Musicie tam jechać. To nie tak jak tutaj. Tutaj to grajdół. Musicie tam jechać.

Nie mam pojęcia, co uważa za grajdół: Maine, Amerykę czy może ten koktajlbar?

Strane i ja siedzimy blisko siebie, dotykamy się kolanami. Gdy podsluchujemy rozmowę tamtych, kładzie mi rękę na udzie.

– Dobre? – pyta.

Zamówił dla nas po sazeracu. Mnie to smakuje jak whiskey.

Wsuwa głębiej dłoń, pociera mi kciukiem majtki w kroku. Ma wzwód. Poznają po tym, jak się wierci i odchrząkuje. Wiem też, że lubi mnie dotykać w towarzystwie mężczyzn w swoim wieku i ich starych żon.

Wypijam drugi sazerac, trzeci, czwarty. Dłoń Strane'a wciąż na mojej nodze.

– Masz gęsią skórę – mruczy. – Co za dziewczyna nie nosi pończoch w listopadzie?

Chcę go poprawić, powiedzieć, że teraz nosi się rajstopy, to nie połowa dwudziestego wieku, ale zanim zdążę otworzyć usta, odpowiada na własne pytanie:

– Niegrzeczna dziewczynka, ot co.

W hotelowym lobby trzymam się z tyłu, a on się melduje. Przyglądam się pustemu stanowisku portiera i przypadkiem strącam plik folderów na podłogę. W windzie, w drodze do pokoju, Strane mówi:

– Wydaje mi się, że recepcjonista mrugnął do mnie okiem.

Całuje mnie w chwili, gdy „ding!” obwieszcza nasze piętro, jakby chciał, żeby zobaczył to ktoś stojący po drugiej stronie, ale gdy drzwi się rozsuwają, widzimy pusty korytarz.

– Niedobrze mi – mówię. Chwytam za klamkę, naciskam. – Szybko, otwieraj.

– To nie nasz pokój. Dlaczego musiałaś się tak upić?

Prowadzi mnie w głąb korytarza, do naszego pokoju, gnam do łazienki, osuwam się na podłogę i obejmuję rękoma sedes. Strane patrzy z progu.

– Sto pięćdziesiąt dolarów wyrzygane do kibla – mówi.

Jestem zbyt pijana na seks, ale on mimo to próbuje. Głowa opada mi bezwładnie na poduszkę, a on rozsuwa mi nogi. Ostatnie, co pamiętam, to, że mówię mu, aby mi nie robił minety. Chyba usłuchał, bo budzę się w bieliźnie.

Rankiem, gdy odwozi mnie z powrotem do Atlantica, z radia leci Bruce Springsteen, *Red-Haired Woman*. Strane rzuca mi ukradkowe spojrzenia, uśmiechnięty chytrze w reakcji na tekst, próbuje mnie rozweselić.

*Posłuchaj, ogierze,
Życie marnowałeś,
Dopóki na kolanach nie posmakowałeś
Jednej takiej rudej.*

Pochyliłam się i wyłączam radio.

– Obrzydliwe.

Po kilku kilometrach milczenia Strane mówi:

– Zapomniałem ci powiedzieć, że nowa pedagog w Browick jest żoną profesora z twojego college'u.

Za duży kac, żebym się tym zainteresowała.

– Ekscytujące – mruczę z policzkiem przyklejonym do szyby, a za oknem wybrzeże śmiga do tyłu.

Gabinet Henry'ego znajduje się na trzecim piętrze najokazalszego budynku na kampusie, betonowy brutalizm, największe szkaradztwo Atlantica. Mieści się tam większość wydziałów: trzecie piętro należy do profesorów anglistyki, w otwartych drzwiach widoczne biurka i fotele, zapchane biblioteczki. Każdy pokój przypomina mi Strane'a – chropawa kanapa i szyby w morskim kolorze. Ilekroć idę tym korytarzem, czas wydaje się spłaszczony, jakby kartka papieru złożona na cztery, w żurawia.

Drzwi do gabinetu są uchylone i przez kilkucentymetrową szparę widzę, że Henry siedzi za biurkiem, ogląda coś w laptopie. Podskakuje, gdy pukam lekko we framugę, i wciska pauzę, żeby zatrzymać odtwarzane wideo.

– Vanessa.

Otwiera szerzej drzwi. W jego głosie słychać nutę zadowolenia, jakby ucieszył się, że to ja stoję w progu, a nie ktoś inny. W gabinecie jest niby tak samo pusto jak wtedy, gdy zajrzałam do środka przed rozpoczęciem semestru. Goła podłoga, gołe ściany, ale tu i ówdzie zaczyna się gromadzić nieład. Luźne kartki rozsypane na biurku, książki rzucone od niechcenia na półki, z szafki kartotekowej zwisa na jednym pasku zakurzony czarny plecak.

– Jeśli jest pan zajęty, mogę przyjść kiedy indziej.

– Nie, nie, próbowałem tylko trochę nadgonić robotę. – Oboje zerkamy na zatrzymane wideo na ekranie laptopa, gitarzysta zastygł w akcie szarpania strun. – Z naciskiem na „próbowałem” – dodaje i wskazuje wolne krzesło.

Siadając, oceniam odległość między krzesłem a biurkiem – blisko, ale nie na tyle, żeby mógł wyciągnąć rękę i mnie dotknąć.

– Mam pomysł na pracę zaliczeniową – mówię. – Ale uwzględniłabym tekst, którego nie przerabialiśmy na zajęciach.

– Jaki tekst?

– Nabokova. Chciałabym napisać o tym, jak Shakespeare przewija się w *Lolice*.

Na pierwszym roku, gdy omawialiśmy temat niewiarygodnego narratora, nazwałam *Lolite* historią miłosną. Profesorka natychmiast mi przerwała i stwierdziła, że uznanie tej powieści za historię miłosną dowodzi skandalicznego niezrozumienia tekstu. Nawet nie pozwoliła mi dokończyć tego, co chciałam powiedzieć. Odtąd nie miałam odwagi poruszyć tej kwestii na

żadnych zajęciach.

Henry krzyżuje ręce na piersi i wyprostowuje się w fotelu. Pyta, jakie związki widzę między *Lolity* a dramatami, które czytaliśmy, więc zwracam uwagę na paralele, które dostrzegłam: Lavinia z *Tytusa Andronikusa* pisząca patykiem imiona gwałcicieli na ziemi i zgwałcona, osierocona Lo kpiąca z sugestii, że powinna zrobić to samo, jeśli obcy mężczyźni spróbują poczęstować ją cukierkiem; Falstaff z *Henryka IV* odciągający Henryka od rodziny w taki sam sposób, jak pedofil wabi kapryśne dziecko; symbolika dziewictwa w postaci chusteczki haftowanej w truskawki w *Otelli* i piżama w truskawki, którą Lo dostaje od Humberta.

Przy ostatnim punkcie Henry marszczy brwi.

– Nie pamiętam tej piżamy – stwierdza.

Urywam, w myśli wertuję książkę, szukam właściwej sceny: czy to było przed śmiercią matki Lo, czy w tym pierwszym hotelu, w którym zatrzymuje się z Humbertem, na samym początku podróży. I nagle moje ciało dygocze. Przypominam sobie, że to Strane wyjął piżamę z szuflady, czuję materiał między palcami, przymierzam ją w łazience, ostre światło i zimne kafelki na podłodze. Jak scena z filmu, który oglądałam wiele lat temu, coś widzianego z bezpiecznej odległości.

Mrugam powiekami zdezorientowana. Henry patrzy na mnie z fotela łagodnym wzrokiem, z rozchylonymi ustami.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Chyba coś źle zapamiętałam – odpowiadam.

Mówi, że nie szkodzi, że całość zapowiada się świetnie, wspaniale, sto razy lepiej niż zaproponowane dotąd tematy, a zgłosili się już prawie wszyscy.

– Wiesz, mój ulubiony fragment z *Lolity* to zdanie o mleczach.

Usiłuję skojarzyć... mlecze... mlecze... Aha, wyobrażam sobie to zdanie na stronie, blisko początku powieści, kiedy są w Ramsdale, matka Lo ciągle żyje. „Mlecze w większości zdążyły się już przeobrazić ze słońc w księżyce”*.

– Księżyce – mówię.

Kiwa głową.

– Ze słońc w księżyce – dodaje.

Przez sekundę jest tak, jakby nasze mózgi były połączone, jakby z mojego wypełził przewód i zagnieździł się w nim, oboje widzimy ten sam obraz, zakorzeniony i rozkwitły w naszych głowach. Dziwne mi się wydaje, że z całej tej bezwstydną powieści wybrał zdanie mówiące o czymś tak czystym. Nie żaden opis jędrnego ciała Lolity ani szukanie przez Humberta samousprawiedliwień, lecz niespodziewany czysty obraz pospolitej rośliny na trawniku.

Henry kręci głową i połączenie między naszymi umysłami zostaje zerwane, ta chwila pryska.

– Nieważne – mruczy. – Tak czy owak to fajne zdanko.

17 września 2006

Właśnie wróciłam po półgodzinnej rozmowie z Profesorem o Lolicie. Mówił o swoim ulubionym zdaniu („Mlecze w większości zdążyły się już przeobrazić ze słońc w księżyce”, str. 73). W pewnej chwili powiedział „nimfetka” i na to słowo zapragnęłam dopaść go i zjeść.

Zwrócił uwagę na pewną osobliwość, a mianowicie że bardzo dobrze znam tę powieść. Gdy wspomniałam o jakimś szczególe – chyba o zauroczeniu Humberta pierwszą żoną z powodu widoku jej stopy w czarnym aksamitnym pantofelku – Profesor spytał, czy czytam znowu tę książkę na inne zajęcia, czy co. Chodziło mu o to, jakim cudem znam Lolitę do tego stopnia.

Powiedziałam, że jest moja. Że należy do mnie.

– Wie pan, jak bywa. Czasem czujemy, że jakaś książka jest nasza.

Kiwnął głową, jakby doskonale rozumiał.

Jestem pewna, że ma czyste intencje, że uważa mnie za bystrą, rozgarniętą studentkę, ale zdarzają się dziwne chwile, jak ta tuż przed wyjściem z jego gabinetu, kiedy patrzył, jak wkładam kurtkę. Nie mogłam trafić w rękaw, szamotałam się trochę, macając dokoła. Poruszył się lekko, jakby chciał mi pomóc, ale się powstrzymał, opanował. Miał takie łagodne spojrzenie, takie łagodne. S. to jedyny inny dorosły, który patrzył na mnie w ten sposób.

Jestem nienasycona czy mam urojenia? Romans z kolejnym nauczycielem, co za pomysł. Piorun nie uderza dwa razy itd. Ale gdyby to się stało, czy byłoby traktowane jak tamto? Podstawowe fakty byłyby o wiele łatwiejsze do przełknięcia: lat dwadzieścia jeden zamiast piętnastu, trzydzieści cztery zamiast czterdziestu dwóch. Obopólna zgoda dwojga dorosłych. Skandal czy związek, kto może wiedzieć?

Oczywiście wybiegam myślami do przodu, ale przecież wiem, kim jestem i kim mogę być.

W ramach stażu w czasopiśmie literackim przygotowujemy się na wizytę znanego poety, który przyjedzie z nowym tomikiem do naszego miasta. Ja i Jim, drugi stażysta, przez dwa tygodnie opracowujemy materiały prasowe, pokazujemy je naszemu szefowi, po czym przeprojektowujemy bez końca. Spytana, czy chcę pojechać do Portland, żeby przywieźć poetę z lotniska, bez wahania przyjmuję propozycję. Obmyślam, co na siebie włożę, sporządzam listę tematów do rozmowy podczas godzinnej jazdy na kampus. Drukuję nawet swoje najlepsze wiersze w płonnej nadziei, że facet się mną zainteresuje, chociaż wydaje się to żenująco bezczelne.

Dzień przed przylotem poety Eileen, naczelna pisma, dopada mnie w kuchni przy nalewaniu wody do czajnika elektrycznego.

– Cześć, Vanesso – mówi, rozciągając samogłoski, aż brzmi to jak słowa pocieszenia w tragicznej sytuacji.

Nawet nie wiedziałam, że pamięta, jak mam na imię. Nie zamieniła ze mną słowa od rozmowy kwalifikacyjnej zeszłej wiosny.

– No więc jutro zjawi się Robert. Wiem, że miałaś go zgarnąć z lotniska, ale on potrafi być... No wiesz. – Patrzy na mnie wyczekująco.

Spoglądam na nią niewinnie, więc szepcze:

– Bywa trochę śmiały. No wiesz, nie trzyma rąk przy sobie.

Zaskoczona mrugam powiekami, z czajnikiem w ręku.

– Aha.

– Zdarzył się pewien incydent, gdy ostatni raz robiliśmy z nim imprezę, chociaż może to za mocne słowo. Właściwie bzdura. Ale lepiej będzie dla ciebie, żebyś trzymała się od niego z daleka. Na wszelki wypadek. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Dostaję wypieków na twarzy. Kiwam głową tak gwałtownie, że woda chlupocze w czajniku. Eileen też się rumieni. Jest przerażona, że musi mi o tym powiedzieć.

– A więc co, mam go nie odbierać? – pytam, sądząc, że powie, że skąd, nie, oczywiście, że powinnaś, ale tylko się krzywi, jakby nie chciała podejmować tej decyzji, lecz musi.

– Tak chyba będzie lepiej. Pomyślałam, że poproszę Jamesa, aby cię wyręczył.

„Jamesa?”, chcę zapytać, ale uświadamiam sobie, że ma na myśli Jima.

– Dzięki, że rozumiesz sytuację, Vanesso. To ważne.

Przez resztę popołudnia przeglądam teksty złożone do redakcji, czytam, ale niczego nie przyswajam, serce mi bije jak oszalałe, dzwonię zębami. „Lepiej będzie dla ciebie, żebyś trzymała się od niego z daleka”. Skóra mnie swędzi od tego, jak Eileen to powiedziała. Wciąż to

słyszę. „Dla ciebie”. Jakbym to ja ponosiła odpowiedzialność.

Przez resztę semestru nie uzupełniam zapasów trawki i ograniczam picie. Nagle, jakby przypadkiem, dociera do mnie, że bez większych starań chodzę trzeźwa od dziesięciu dni. Zmywam naczynia, sprzątam łazienkę. Zaczynam nawet prac regularnie i nie dochodzę już do etapu, gdy za bieliznę muszą mi służyć majtki od bikini.

Przez cały czas widuję Henry’ego Plaugha na kampusie. Trzy razy w tygodniu mijamy się w domu studenckim. Gdy odkładam książki na półki, dorabiając jako bibliotekarka, on wyłania się zza rogu i prawie wpada na mój wózek. Na parterze mojego domu stoi trzy osoby dalej w kolejce po kawę i aż mięknię w brzuchu na myśl, że znalazł się tak blisko miejsca, w którym śpię. Czasem, gdy spotykamy się przypadkiem, obskakuję go, zadaję głupie pytania, na które znam odpowiedzi. Pewnego dnia się mijamy i daję mu figlarnego kuksańca w ramię, a on uśmiecha się zaskoczony. Ale są też takie dni, kiedy czuję, że zachowuję się desperacko, więc go ignoruję, udaję, że go nie znam. Gdy rzuca mi „cześć”, mrużę tylko oczy.

Praca zaliczeniowa dla Henry’ego jest moją ostatnią, skończoną w ostatnim tygodniu nauki. Z tekstem wciąż ciepłym od drukarki idę szybko przez kampus, obok pustych parkingów i budynków z ciemnymi oknami, żeby złapać Henry’ego w gabinecie. Na wydziale anglistyki ciągnie się teraz rząd pozamykanych drzwi – ale wiem, że Henry jest u siebie. Sprawdziłam wcześniej, widziałam zapalone światło.

Zamiast zapukać, wsuwam esej pod drzwi, mając nadzieję, że go zobaczy, zobaczy moje nazwisko na pierwszej stronie i doskoczy do drzwi. Wstrzymuję oddech. Klamka się porusza, drzwi się otwierają.

– Cześć, Vanesso. – Wymawia moje imię z przejęciem. Podnosi esej z podłogi i pyta: – Jak ci poszło? Czekałem z niecierpliwością.

Wzruszam ramionami.

– Niech pan się nie spodziewa za dużo.

Przerzuca kilka pierwszych kartek.

– Oczywiście, że się spodziewam. Wszystkie twoje prace są świetne.

Ociągam się w drzwiach, nie wiem, co robić. Teraz, gdy praca jest napisana, semestr zakończony, nie mam już pretekstu, żeby z nim rozmawiać. Siedzi zwrócony w moją stronę, lekko pochylony, mowa ciała wskazuje, że chce, abym została. Ale muszę to usłyszeć. Patrzymy na siebie.

– Usiądź, proszę.

To wyraźne zaproszenie, jednak decyzja wciąż należy do mnie.

Postanawiam usiąść, zostać. Milczymy przez chwilę, aż w końcu – z sympatią, jak mi się wydaje – wskazuję obładowane książkami półki nad biurkiem.

– Niezły bałagan – mówię z uśmiechem.

Odręcza się.

– Owszem.

– Nie powinnam krytykować, sama też jestem bałaganiarą.

Rozgląda się – sterta szarych kopert grożąca runięciem, niepodłączona drukarka z płataniną kabli na krawędzi biurka.

– Powtarzam sobie, że wolę w ten sposób, ale może oszukuję sam siebie.

Przygryzam dolną wargę, bo przypominam sobie te niezliczone razy, gdy to samo mówiłam Strane’owi. Toczę wzrokiem dokoła, moje spojrzenie pada na najwyższą półkę, na której oprócz książek stoją dwie nieotwarte butelki piwa.

– Oho, ukrywa pan tutaj alkohol.

Biegnie spojrzeniem za moim palcem.

– Widać kiepsko ukrywam – odpowiada.

Wstaje i odwraca butelki, żebym zobaczyła etykiety: „Shakespeare Stout”.

– Aha – mówię. – Piwo dla jajogłowych.

Uśmiecha się.

– Na swoją obronę powiem, że to prezent.

– I na jaką okazję pan to trzyma?

– Chyba na żadną.

Jest oczywiste, jakie słowa padną za chwilę z moich ust. Wydaje się, że Henry z zapartym tchem czeka, żeby to usłyszeć.

– Może teraz jest dobry moment?

Mówię to tonem żartu, więc bez trudu mógłby odpowiedzieć, że to kiepski pomysł. Może by odpowiedział, gdyby na moim miejscu była inna studentka. Nawet nie udaje, że się zastanawia. Podnosi tylko bezradnie ręce, jakbym go obezwładniła, więc musi skapitulować.

– Dlaczego nie?

W następnej chwili wyjmuję klucze, bo przy breloczku mam otwieracz do butelek, i już stukamy się szkłem, gaz z ciepłego piwa uderza mnie w nos. Patrząc, jak pije, czuję się, jakbym zaglądała za kurtynę. Widzę go w barze, w domu, siedzi na kanapie, leży w łóżku. Zastanawiam się, czy wieczorem ocenia prace, czy moją trzyma na samym końcu, zostawia ją sobie na deser.

Nie – on nie jest taki. Jest dobry, wprost chłopięcy, posyła mi potulny uśmiech i znowu przechyla butelkę. To ja mam ukryte motywy. To ja deprawuję, wabię go w pułapkę. Pragnę mu powiedzieć, żeby zmądrzał, żeby nie był taki naiwny. „Henry, nie możesz pić w swoim gabinecie alkoholu ze studentką. Nie rozumiesz, jakie to głupie, jak łatwo mógłbyś sobie napytać biedy?”

Pyta, czy w przyszłym półroczu wybieram się na jego seminarium o powieści gotyckiej, a ja odpowiadam, że jeszcze nie wiem, nie zapisałam się na nic.

– Powinnaś się zdecydować – mówi. – Zostało mało czasu.

– Ech, zawsze zwlekam do ostatniej chwili – odpowiadam. – Jestem pojebana. – Przynoszę butelkę do ust i pociągam duży łyk. „Pojebana”. Lubię wydźwięk tego słowa w odniesieniu do mnie samej po tym, gdy Henry tak długo chwalił moje zdolności intelektualne. – Przepraszam za ordynarność.

– Nic nie szkodzi – odpowiada Henry.

Dostrzegam zmianę w wyrazie jego twarzy, cień zaniepokojenia.

Wypytuje mnie o inne zajęcia, o moje plany. Czy zastanawiałam się nad studiami podyplomowymi? Już za późno, żeby coś zacząć jesienią, ale jak się teraz do tego zabiorę, będę miała wszystko gotowe na przyszły rok.

– Ciężka sprawa – odpowiadam. – Moi rodzice nie studiowali.

Nie wiem, co to ma wspólnego z czymkolwiek, lecz Henry kiwa głową, jakby rozumiał.

– Moi też nie.

Mówi, że jeśli zdecyduję się ubiegać o przyjęcie, to pomoże mi przepłynąć przez rafy całego procesu. Mój umysł rejestruje użytą metaforę – „przepłynąć rafy”. Widzę mapę rozłożoną na stole, my oboje nad nią, z zetkniętymi głowami. „Wykombinujemy coś, Vanesso. Ty i ja”.

– Pamiętam, jak czułem się zniechęcony, gdy pierwszy raz myślałem o kształceniu podyplomowym – ciągnie Henry. – Jakbym wyruszał w nieznane. Wiesz, przed przyjazdem tutaj uczyłem przez rok w prywatnej szkole i to było dziwne, praca z takimi dzieciakami. Czasem wydawało mi się, że rodzą się już uprzywilejowane.

– Chodziłam do takiej szkoły. Przez parę lat.

Pyta, do której, a gdy odpowiadam, że do Browick, jest wyraźnie poruszony. Odstawia piwo na biurko i klaszcze w dłonie.

– Browick w Norumbedze?

– Słyszał pan o niej?

Kiwa głową.

– Dziwny zbieg okoliczności – mruczy. – Ja... ech.

Czekam, w moich ustach osadza się piwo, przez moment mam ściśniętą krtań i nie mogę przełknąć.

– Ktoś z moich znajomych tam pracuje – mówi.

Mdłości podchodzą mi do gardła, ręce okropnie drżą. Odstawiam butelkę na podłogę, ale się przewraca. Jest prawie pusta, jednak odrobina wylewa się na dywan.

– O Boże, bardzo przepraszam – mówię, podnoszę butelkę, znowu ją przewracam, w końcu daję za wygraną i wrzucam ją do kosza na śmieci.

– Nic się nie stało.

– Napaskudziłam trochę.

– Jest w porządku, naprawdę.

Śmieje się, jakbym zachowywała się niemądrze, ale gdy odgarniam włosy z twarzy, widzi, że płaczę. Nie jest to normalny płacz. Po prostu łzy polały się po policzkach. Nie mam nawet pewności, że pochodzą z moich oczu, gdy płaczę w ten sposób. Czuję raczej, jakby ktoś mnie wyżywał, jak ścierkę.

– Wstyd mi – mówię, wycierając nos wierzchem dłoni. – Idiotka ze mnie.

– Ej! – Kręci głową skonsternowany. – Nie mów tak. Nie jesteś idiotką.

– I co ten pański znajomy robi w Browick? Jest nauczycielem?

– Nie. Ona...

– Ona? Aha, to kobieta?

Kiwa głową, ma tak zatroskaną minę, że odnoszę wrażenie, iż mogłabym zwierzyć mu się ze wszystkiego, a on wysłuchałby tego ze zrozumieniem. Czuję wyraźnie jego życzliwość, zanim wypowiem byle słowo.

– A zna pan tam jeszcze kogoś?

– Nie, nikogo. Vanesso, co się stało?

– W Browick zgwałcił mnie nauczyciel – wypalam. – Miałam piętnaście lat. – Jestem zszokowana tym, jak gładko to kłamstwo spływa mi z ust, jakbym sama nie wiedziała, czy kłamię, czy tylko nie mówię całej prawdy. – On ciągle tam pracuje. Więc jak pan powiedział, że zna tam pan kogoś... No po prostu spanikowałam.

Henry podnosi ręce do twarzy, do ust. Bierze butelkę i zaraz ją odstawia.

– Jestem wstrząśnięty.

Otwieram usta, żeby doprecyzować, wyjaśnić, że trochę przesadziłam, nie powinnam użyć tego słowa, ale Henry mnie ubiega.

– Mam siostrę – mówi. – Przeżyła coś podobnego.

Spogląda na mnie, duże smutne oczy, każdy rys jego twarzy jest łagodniejszą wersją Strane'a. Nietrudno wyobrazić sobie, jak osuwa się na kolana, kładzie mi głowę na kolanach, ale nie po to, aby lamentować, że nieuchronnie mnie zniszczy, lecz aby ubolewać, że zniszczył mnie inny mężczyzna.

– Tak mi przykro, Vanesso – mówi Henry. – Choć wiem, że to tylko słowa. Tak mi przykro, naprawdę.

Milczymy przez moment, on nachylony do przodu, jakby chciał mnie pocieszyć – jego dobroć, jak woda w wannie, obmywa mi ramiona, mleczna i ciepła. Nie zasługuję na aż tyle.

– Proszę, niech pan nie mówi o tym tej swojej znajomej – szepczę ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Henry kręci głową.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

*

Dzień po świętach Bożego Narodzenia jadę do Strane'a, Fiona Apple nastawiona jak najgłośniejsz, zdzieram gardło do wtóru. Skulona w fotelu przejeżdżam ulicami w śródmieściu Norumbegi. Zostawiam auto na pustym parkingu przed biblioteką naprzeciw jego domu. Do drzwi dobiegam w kapturze zasłaniającym moje charakterystyczne rude włosy – środki ostrożności narzucone przez Strane'a, których przestrzegam od tak dawna, że dzieje się to machinalnie.

W środku zachowuję się niejednoznacznie, uciekam przed jego rękami, nie patrzę mu w oczy. Boję się, że wie o tym, co mówiłam Henry'emu. Możliwe, że Henry jednak powiedział znajomej, znajoma powiedziała jeszcze komuś w Browick. Nie trzeba wielkiego kręgu plotkarzy, żeby dotarło do Strane'a. I jeszcze coś, co oczywiście jest niemożliwe, ale w co trochę wierzę: że on wie wszystko, co mówię i robię, że potrafi wnikać w mój umysł.

Gdy zaskakuje mnie opakowanym ładnie prezentem, w pierwszej chwili się waham, obawiam się, że to pułapka, że otworzę pudełko i zobaczę karteczkę ze słowami: „Wiem, co zrobiłaś”. Nigdy dotąd nie dawał mi nic na Gwiazdkę.

– No, dalej – mówi ze śmiechem, wciskając mi prezent w brzuch.

Patrzę na spore pudełko zawinięte w złoty papier i przewiązane czerwoną wstążką, dzieło sprzedawcy w sklepie detalicznym.

– Ale ja nic dla ciebie nie mam.

– Nie szkodzi, nie spodziewałem się podarków.

Odpakowuję. W środku jest gruby sweter, ciemnogrnatowy, ze wzorem Fair Isle przy karczku.

– Rany. – Wyjmuję z pudełka. – Śliczny.

– Wyglądasz na zaskoczoną.

Wciągam sweter przez głowę.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że zwracasz uwagę na to, jak się ubieram.

Co za idiotyzm. Oczywiście, że zwraca uwagę. Wie o mnie wszystko, wie, kim zawsze byłam i kim zawsze będę.

Gotuje nam makaron z czerwonym sosem – chociaż raz nie ma jajek i tostów – i stawia talerze na blacie, układa sztucce i złożone serwetki, jakby to była randka. Pyta, jakie zajęcia wybrałam na następny semestr, powstrzymuje się od krytycznych uwag na temat kursów i list lektur. Przerywa mi w końcu, gdy opowiadam o pracach zaliczeniowych i eseju napisanym na zajęcia z Henrym:

– To właśnie ten profesor. Specjalizuje się w brytyjskiej, przyjechał z Teksasu? To on. Jego żona to ta nowa pedagog, którą zatrudnili dla uczniów.

Z całej siły gryzę się w język.

– Żona?

– Penelope. Świeżo po studiach podyplomowych, ma jakiś certyfikat pracownika społecznego.

Zatyka mnie, jestem usidlona między wdechem i wydechem.

Strane stuka widelcem w brzeg mojego talerza.

– Ej, w porządku?

Kiwam głową, zmuszam się do przełknięcia śliny. „Ktoś z moich znajomych tam pracuje”. Znajomych. Tak przecież powiedział. A może źle zapamiętałam? Ale dlaczego

skłamał? Może zrobiło mu się mnie żal tak bardzo, że nie chciał wspominać o żadnej innej kobiecie? Ale przecież wspomniał o swojej siostrze – a poza tym to kłamstwo padło, zanim powiedziałam o gwałcie. No więc dlaczego skłamał?

– Jaka ona jest?

Najbardziej banalne pytanie, jakie przyszło mi do głowy, bo nie mam odwagi zadać tych, które zadać bym chciała – jak wygląda, czy jest inteligentna, jak się ubiera, czy mówi o nim? – ale choć się pohamowuję, Strane wie. Widzi to we mnie: strzygę uszami, sierść mam zjeżoną na grzbiecie.

– Vanesso, trzymaj się od niego z daleka.

Krzywię się, udaję oburzoną.

– O czym ty gadasz?

– Bądź grzeczną dziewczynką. Sama najlepiej wiesz, do czego jesteś zdolna.

Po kolacji, gdy naczynia są już w zlewie, ruszam do schodów, żeby pójść do sypialni na piętrze, ale Strane mnie zatrzymuje.

– Muszę ci coś powiedzieć. Chodź tutaj.

Prowadzi mnie do salonu, a ja myślę, że stało się, że zaraz nastąpi konfrontacja z powodu tego, co powiedziałam Henry’emu. Dlatego właśnie Strane o nim wspomniał – przygotował grunt, działa stopniowo, powoli. Sadza mnie na kanapie i uprzedza, że to, co zaraz usłyszę, zabrzmi gorzej, niż wygląda w rzeczywistości, że to nieporozumienie, sprawa bardzo niefortunna.

Jest to tak odległe od tego, czego się spodziewałam, że mu przerywam:

– Czekaj, czyli nie chodzi o to, co zrobiłam?

– Nie, Vanesso. Nie wszystko zawsze kręci się wokół ciebie. – Wzdycha, przeczesuje włosy dłonią. – Przepraszam, jestem zdenerwowany, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. W końcu jeśli ktoś może mnie zrozumieć, to tylko ty.

Mówi, że w Browick zdarzył się pewien incydent. Jeszcze w październiku, podczas jego zajęć dodatkowych. Spotkał się sam na sam z uczennicą, która miała pytania dotyczące zadanej pracy. Ta dziewczyna zawsze pytała o wszystko. Z początku myślał, że jest po prostu zagubiona, że boi się złych ocen, lecz zaczęła się kręcić w pobliżu jego klasy i wtedy zrozumiał, że się w nim podkochuje. Szczerze mówiąc, przypominała mu mnie – dość swobodna postawa, nieskrywana adoracja.

Tamtego popołudnia w październiku siedzieli obok siebie przy stole, omawiali pierwszą wersję jej eseju. Była dziwnie wytrącona z równowagi, właściwie dygotała z niepokoju – z powodu zbliżającego się terminu, z powodu jego obecności – i w pewnym momencie podczas tego spotkania wyciągnął ramię i poklepał ją po kolanie. Chciał jej dodać otuchy. Próbował okazać życzliwość. Lecz uczennica zinterpretowała to inaczej i zrobiła z tego okropną aferę. Zaczęła opowiadać koleżankom, że próbował się do niej dobrać, że chciał ją przelecieć, że molestował.

Podnoszę gwałtownie dłoń, żeby mu przerwać.

– Którą ręką?

Mruga powiekami, nie rozumiejąc.

– Którą ręką jej dotknąłeś? – wyjaśniam. – No, którą?

– Co to ma za znaczenie?

– Pokaż – mówię. – Chcę zobaczyć, co dokładnie zrobiłeś.

Każę mu zademonstrować, tam, na kanapie. Odsuwam się, zachowuję bezpieczną odległość, zaciskam kolana i się wyprostowuję – ta nerwowa postawa, którą moje ciało pamięta z tych czasów, kiedy siadałam przy nim na samym początku. Patrę na jego dłoń sunącą ku mnie,

klepiącą po kolanie. To takie znajome, że się krztuszę.

– Niewinny odruch – zapewnia Strane.

Odrzucam jego rękę.

– Niewinny, akurat – odpowiadam. – Dokładnie tak samo zaczęło się ze mną, dotknąłeś mnie w nogę.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Nieprawda. Między nami zaczęło się na długo przed tym, zanim cię dotknąłem.

Mówi z takim przekonaniem, że widzę, iż sobie to wielokrotnie powtarzał. Ale skoro to nie zaczęło się wtedy, gdy dotknął mnie pierwszy raz, to kiedy? Kiedy podpity na przyjęciu halloweenowym powiedział, że chciałby położyć mnie do łóżka i pocałować na dobranoc? Czy kiedy zaczęłam wymyślać powody, żeby z nim rozmawiać po lekcjach, abyśmy zostali sami, abym czuła na sobie jego spojrzenie? Czy kiedy jeden z moich wierszy skomentował słowami: „Vanesso, to mnie trochę przeraża”? A może pierwszego dnia roku szkolnego, gdy patrzyłam, jak wygłasza mowę powitalną, spocony na twarzy? Może początku w ogóle nie można wskazać? Może to wszechświat nas połączył, czyniąc ludźmi bezwolnymi, a tym samym bez winy?

– Tego się nie da porównać – stwierdza Strane. – Ta uczennica nic dla mnie nie znaczy. Ten tak zwany kontakt fizyczny był niewinnym gestem. Trwało to sekundę, nie zasługuję na to, żeby mieć przez to zniszczone życie.

– Dlaczego miałbyś mieć zniszczone życie?

Wzdycha, wyprostowuje się na kanapie.

– No bo władze szkoły o tym usłyszały. Mówią, że muszą przeprowadzić postępowanie wyjaśniające. Jezu, w sprawie poklepania po kolanie?! To jakaś purytańska histeria. Równie dobrze moglibyśmy żyć w Salem!

Wbijam w niego wzrok, chcę, żeby się speszył, ale ma niewinną minę – czoło zmarszczone w wyrazie niepokoju, oczy wielkie za szklami okularów. A jednak pragnę poczuć wściekłość. Twierdzi, że to dotknięcie nic nie znaczyło, ale wiem, jak brzemienisty w skutki może być taki gest.

– Dlaczego w ogóle mi o tym mówisz? – pytam. – Chcesz, bym powiedziała, że wszystko w porządku? Że ci wybaczam? Nie.

– Nie, nie proszę, żebyś mi wybaczyła. Bo nie ma nic do wybaczenia. Powiedziałem ci o tym, bo chcę, byś wiedziała, że ciągle ponoszę konsekwencje tego, że cię kocham.

Na ułamek sekundy wywracam oczami. Powstrzymuję się natychmiast, ale Strane to dostrzega.

– Drwij ze mnie, ile chcesz, ale gdyby nie ty, nikt nie wyciągałby dziś takich pochopnych wniosków. W życiu nie uwierzyliby słowom tej dziewczyny, tylko moim. To są moi koledzy, ludzie, z którymi pracuję od dwudziestu lat. Ten czas nic teraz nie znaczy, bo moje nazwisko zostało zszargane. Wszyscy podejrzewają mnie o najgorsze. Ciągle czuję na sobie spojrzenia, czuję się podglądany. Afera z powodu czegoś takiego? Mój Boże, poklepałem ją przyjacielsko po kolanie, zrobiłem to bezwiednie. Ale okazuje się, że to dowód mojego zepsucia moralnego.

A tak dokładnie to ilu dziewczyn dotykałeś? To pytanie pali mnie w język, lecz milczę. Przełykam, teraz pali mi gardło, coraz głębiej, żar w żołądku.

– Miłość do ciebie napiętnowała mnie jako zbrodnicę – mówi. – Dla nich już nic innego się nie liczy. Jedno wykroczenie zdefiniuje mnie na resztę życia.

Siedzimy w milczeniu, odgłosy jego domu nagle stają się wyraźniejsze – szum lodówki, syk pary w kaloryferze.

Przepraszam, mówię. Nie mam ochoty, ale czuję, że powinnam to powiedzieć, bo tak mu

na tym zależy, że prawie wyciąga mi te słowa z ust. Przepraszam, że nie udało ci się uwolnić od tego długiego cienia, który na ciebie rzucam. Przepraszam, że to, co zrobiliśmy, jest tak okropne, że nie ma już od tego żadnej ucieczki.

Wybacza mi, mówi, że w porządku, potem wyciąga rękę i klepie mnie po kolanie, lecz nagle uświadamia sobie, co robi, i przestaje, zaciska dłoń w pięść.

W końcu idziemy do łóżka, kładziemy się we flanelowej pościeli, ale jesteśmy ubrani, a ja myślę o tej uczennicy, której dotknął, pozbawionej twarzy i ciała, zjawa, cień oskarżenia, zwiastun tego, co oczywiście: że przybywa mi lat, że każdego dnia na świecie przybywa dziewcząt, które są młodsze ode mnie, które prędzej czy później mogą wylądować w klasie Strane'a. Wyobrażam je sobie, jasne włosy i pokryte meszkiem ramiona, aż wreszcie czuję się wykończona, ale gdy tylko mój umysł wyhamowuje, przypominam sobie, co powiedział o Henrym, o jego żonie. Kolejne skrzydło labiryntu, w którym mogę się zagubić z kretesem, bo przecież pamiętam, co mówiłam Henry'emu o Stranie, użyłam słowa na „g”, a on na pewno poszedł wieczorem do domu i zrelacjonował wszystko żonie. Wymogłam na nim obietnicę, aby zachował to w dyskrekcji, lecz ta obietnica była tylko przedłużeniem jego kłamstwa. Miał nie mówić znajomej. Żonie na pewno powie. Będzie musiał – a komu ona powie potem? Jest pedagogiem, czy nie powinna tego zgłosić? Czuję suchość w ustach na myśl o tym, jak to może do mnie wrócić ze zdwojoną siłą. Nie wywinę się. Co za idiotka ze mnie, wydawało mi się, że mogę coś powiedzieć, cokolwiek, co prędzej czy później nie doprowadzi mnie znowu do Strane'a.

Około północy słychać syreny. Najpierw ledwo, potem coraz wyraźniej, aż nagle to brzmi, jakby stali przed jego domem. Przez moment jestem przekonana, że przyjechali po nas, że policjanci zaraz wyważą drzwi. Strane wstaje z łóżka i wygląda przez okno w noc.

– Nic nie widać – mówi.

Chwyta sweter i wychodzi z sypialni, schodami idzie do drzwi wejściowych. Gdy otwiera, do środka razem z mroźnym powietrzem wdzierają się kłęby dymu, tak gryzącego, że swąd dociera na piętro, wypełnia całą przestrzeń.

– Pożar przy mojej ulicy! – woła z dołu Strane. – Duży.

Po kilku minutach wraca ubrany w kangurkę i buty.

– Chodź, zobaczmy.

Ubieramy się w tyle warstw, że stajemy się anonimowi, widać tylko oczy nad szalikami. Idziemy chodnikiem w śniegu, możemy być kimkolwiek, możemy być zwykłymi ludźmi. W stronę wyjących syren i dymu, ale pożar odnajdujemy dopiero za rogiem, widzimy czteropiętrową świątynię wolnomularską stojącą w ogniu i zarazem skutą lodem. W kręgu dookoła stoi sześć wozów strażackich, wszystkie węże odkręcone do oporu, lecz noc jest mroźna. Woda, każda kropla, zamarza, gdy tylko spada na mury z wapienia, a w środku szaleją płomienie. Im dłużej strażacy polewają budynek, tym grubsza skorupa lodu go oblepia.

Gdy tak patrzymy, Strane bierze mnie za dłoń w rękawiczce i ściska mi mocno palce. Strażacy w końcu dają za wygraną i podobnie jak my gapią się bezradnie na pożar – gromadzi się mały tłumek, przyjeżdża kolejny zastęp straży pożarnej. Zostajemy ze Strane'em dość długo, trzymając się za ręce, oboje mruganiem powiek powstrzymujący łzy, które formują się jako kryształki na naszych rzęsach.

Później, z powrotem w łóżku, ciało i umysł zmęczone, pytam:

– Czy w związku z tą dziewczyną jest coś jeszcze, czego mi nie powiedziałaś?

Milczy, więc dodaję płaczącym głosem:

– Zerznąłeś ją?

– Chryste, Vanesso.

– W porządku, jeśli to zrobiłeś – odpowiadam. – Wybaczę ci, ale muszę wiedzieć.

Obraca się do mnie, ujmuje moją twarz w dłonie.

– Tylko jej dotknąłem. Nic więcej.

Zamykam oczy, a on głaszcze mnie po włosach i wyzywa dziewczynę: „kłamczucha”, „mała dziwka”, „niezrównowazona emocjonalnie dziewczucha”. Zastanawiam się, jak nazwałby mnie, gdyby wiedział, jak ja go nazywałam w myśli przez te wszystkie lata, gdyby wiedział, co powiedziałam Henry’emu. Ale milczę. A moje milczenie jest bardzo wiarygodne. Strane nie ma powodu, żeby mi nie ufać.

O trzeciej nad ranem budzę się i wyslizguję spod jego ciężkiego ramienia, stąпам bosu po drewnianej podłodze, idę z sypialni na dół do kuchni, gdzie na blacie stoi laptop. Otwieram, wyszukiwarka od razu ładuje jego pocztę elektroniczną. Cotygodniowe biuletyny, protokoły z zebrań rady pedagogicznej – przewijam, aż widzę temat „Molestowanie uczennicy: raport”. Zastygam, bo słyszę jakiś odgłos, czekam z dłonią wzniesioną nad panelem dotykowym, z drugą gotową do zatrzaśnięcia pokrywy laptopa. Gdy znowu zapada cisza, otwieram e-mail i szybko przebiegam wzrokiem tekst. To od zarządu szkoły, napisane językiem prawniczym do tego stopnia, że niezrozumiałe, ale nie chcę znać szczegółów. Szukam tylko nazwiska. Przewijam w górę i w dół, spojrzeniem latam po ekranie i wreszcie widzę, druga linijka – „Taylor Birch, uczennica stawiająca zarzuty”. Zamykam pocztę elektroniczną i zakradam się z powrotem na górę, wślizguję do łóżka, pod ramię Strane’a.

* Vladimir Nabokov, *Lolita*, przekład Michał Kłobukowski, Warszawa 2012.

2017

Taylor pracuje w nowym budynku pięć przecznic od mojego hotelu, napór szkła i stali pośród wapienia i cegły. Znam nazwę firmy – Creative Coop – tak zwana twórcza przestrzeń do pracy, ale pojęcia nie mam, co tam się robi. W środku naturalne światło i skórzane kanapy, ogromne stoły, przy których siedzą ludzie z otwartymi laptopami. Wszyscy są młodzi i uśmiechnięci, a jeśli nie, to są *cool* w taki sposób, który uchodzi za młodość – fryzury na czasie, ekscentryczne okulary, nowomodne ciuchy. Stoję w progu, ściskając torebkę.

– Szuka pani kogoś? – pyta dziewczyna w okrągłych okularach w drucianych oprawkach.

Chłonę widok. Za duża przestrzeń, za dużo ludzi. Słyszę własny głos:

– Taylor Birch.

– Taylor? Momencik. – Dziewczyna odwraca się i rozgląda. – O, jest tam.

Patrzę we wskazanym kierunku: pochylona nad laptopem, wąskie ramiona, jasnawe włosy.

– Taylor! – woła dziewczyna.

Taylor podnosi głowę. Szok malujący się na jej twarzy wystarczy, bym zaczęła się wycofywać w popłochu.

– Przepraszam – mówię. – To pomyłka.

Jestem już na zewnątrz, pół przecznicy dalej, gdy słyszę swoje imię. Ona stoi na środku chodnika, uplecione w warkocz jasnoblond włosy zwisają na ramię. Ma na sobie gruby golf z rękawami tak długimi, że zakrywają dłonie, ale żadnej kurtki. Patrzymy na siebie. Podnosi rękę, opuszki palców teraz widoczne, i ciągnie się w rozkojarzeniu za warkocz. Nagle widzę ją oczami Strane’a w dawnych czasach – niepewna siebie czternastolatka, skubiąca włosy, gdy on obserwuje ją zza biurka.

– Nie wierzę, że to ty – mówi.

Przyszłam z przygotowanym tekstem, z ostrymi słowami, które miały ją zranić do krwi, ale teraz zbyt wiele adrenaliny we mnie pulsuje. Z tego powodu mój głos jest drżący i piskliwy, kiedy jej mówię, że musi mnie zostawić w spokoju.

– Ty i ta dziennikarka. Ciągłe do mnie wydzwania.

– Dobra, rozumiem. Nie powinna tego robić.

– Nie mam jej nic do powiedzenia.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam. Tłumaczyłam jej, że nie powinna być natrętna.

– Nie chcę być w tym artykule, jasne? Powiedz jej to. I nie wolno jej pisać o tym blogu.

Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Patrzy na mnie, luźne kosmyki włosów fruują dokoła jej twarzy.

– Macie mnie zostawić w spokoju – powtarzam. Wkładam w te słowa całą swoją stanowczość, ale brzmią jak błaganie. To wszystko nie tak. Zachowuję się jak dziecko.

Odwracam się na pięcie, żeby odejść. Znowu mnie woła.

– Możemy chwilę porozmawiać?

Idziemy do kawiarni, tej samej, w której spotkałam się ze Strane’em trzy tygodnie wcześniej. Stojąc w kolejce, przyglądam się Taylor z bliska, cienkim srebrnym pierścionkom na palcach, smudze tuszu pod lewym okiem. Jej ubranie pachnie drzewem sandałowym. Drżącymi rękoma wyjmuję kartę kredytową z torebki i płaci za swoją i moją kawę.

– Nie trzeba – mówię.

– Trzeba – odpowiada.

Barista włącza maszynę, odgłos mielenia i syk pary i po chwili nasze filiżanki wjeżdżają na ladę, jedna obok drugiej, na powierzchni identyczne tulipany z pianki. Siadamy przy oknie, dokoła kordon z pustych stolików.

– A więc pracujesz w hotelu – odzywa się Taylor. – To pewnie fajne zajęcie.

Parskam śmiechem, a na jej twarzy natychmiast rozkwitają rumieńce.

– Przepraszam, głupio zaczęłam.

Tłumaczy, że jest zdenerwowana, dlatego zachowuje się nieporadnie. Ręce wciąż jej drżą, wzrok ma rozbiegany, nie patrzy na mnie. Siłą woli muszę się powstrzymać od sięgnięcia po jej dłoń i zapewnienia, że nic złego się nie dzieje.

– A ty? – pytam. – Co to właściwie jest, ta twoja firma?

Błyska zębami w uśmiechu, bo łatwe pytanie przynosi ulgę.

– To nie firma. To kooperatywna przestrzeń dla artystów.

Kiwam głową, jakbym zrozumiała.

– Nie wiedziałam, że jesteś artystką.

– Właściwie to nie artystką. Jestem poetką.

Podnosi kawę i pije, a na krawędzi filiżanki zostaje różowy ślad po szmince.

– A więc piszesz wiersze? Zarabiasz na tym?

Przysuwa dłoń do ust, jakby się sparzyła w język.

– No nie – odpowiada. – Z tego nie ma pieniędzy. Dorabiam na boku. Opracowywanie tekstów, projektowanie stron internetowych, konsultacje językowe. Różne rzeczy. – Odstawia filiżankę, składa dłonie. – No dobra, walę prosto z mostu. Kiedy to się skończyło między tobą a nim?

Jestem nieprzygotowana na to pytanie, tak dosadne i zarazem banalne.

– Nie wiem – odpowiadam. – Ciężko wskazać.

Taylor ściga ramiona, jakby była zawiedziona.

– Ze mną skończył siódmego stycznia – mówi. – Gdy w szkole zaczęły krążyć plotki. Zawsze się zastanawiałam, czy z tobą też zerwał w podobnych okolicznościach.

Biegnę myślą do tamtego stycznia, próbując zachować cierpliwy uśmiech na twarzy. Pamiętam jego wyznanie i płonąca świątynię skutą lodem.

– Oczywiście ja nie miałam tak źle jak ty – ciągnie Taylor. – Nie doprowadził do tego, że wyrzucili mnie ze szkoły ani nic. Ale kazał mi się przenieść do innej klasy, przestałam dla niego istnieć. Czulałam się porzucona. To było dla mnie okropne, trauma.

Kiwam głową, nie bardzo wiedząc, jak reagować na to, co mówi, i czy łatwo przychodzą jej te zwierzenia.

– A więc nie miałaś z nim kontaktu przez ostatnie dziesięć lat? – pytam.

Znam odpowiedź: nie miała.

Krzywi się.

– Boże, oczywiście, że nie! A ty?

Na to właśnie czekałam, na tę sposobność, żeby się od niej odróżnić, nakreślić granicę między nami, pokazać wyraźnie, że jesteśmy inne.

– Utrzymywaliśmy kontakt do samego końca – wyznaję. – Zadzwoił do mnie tuż przed tym, jak skoczył. Właściwie mam pewność, że byłam ostatnią osobą, z którą rozmawiał.

Taylor się nachyla, stolik drży.

– I co ci powiedział?

– Że zdaje sobie sprawę, że był potworem, ale mnie kochał.

Czekam, aby na jej twarzy pojawiło się zrozumienie, że myliła się co do Strane'a, co do mnie, co do wszystkiego. Ale ona tylko prychnęła.

– Tak, cały on. – Łyka kawę, przechylając filiżankę, jakby piła wódkę z kieliszka. – Przepraszam, nie chciałam ironizować. Tylko że to takie typowe, wiesz? Obwinił się, żeby mu współczuć.

Głowa opada mi do tyłu, jakby nagle mózg zaczął ciążyć. Fakt, tak właśnie robił. Przez cały czas. Chyba nigdy dotąd nie scharakteryzowałam go tak trafnie.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

Ledwo ją słyszę, umysł mam zajęty przywracaniem równowagi temu, co właśnie wywróciła do góry nogami. To zapewne tylko domysł, to, co powiedziała, wywnioskowane w jakiejś chwili, kiedy Strane wypadł z roli nauczyciela i się odsłonił. W sumie to dość powierzchowne opisywać go w ten sposób. Samobiczowanie w nadziei na współczucie. Co z tego, chyba każdy tak czasem postępuje?

– Co wiedziałaś o mnie wtedy? – pyta Taylor.

– Nic.

Wciąż przebywam daleko myślami.

– Nic?

Mrugam i jej twarz nabiera wreszcie ostrości, rysy są tak wyraźne, że aż bołą mnie oczy.

– Wiedziałaś, że istniejesz. Ale powiedział, że to... – „Nic” znowu ciśnie się na usta. – Że to tylko plotki.

Kiwa głową.

– O tobie też tak na początku mówił. – Wciąga podbródek i ścisza głos, żeby sparodiować Strane’a. – „Plotki, które ciągną się za mną jak czarna chmura”.

Szokujące, jak bardzo go przypomina, ta sama dobrze mi znana intonacja i metafora, której używał do opisania naszego związku, ten obraz, który wbijał mi do głowy, wmawiając, że wciąż wisi nad nim chmura gradowa.

– A ty wiedziałaś o mnie?

– No jasne – potwierdza Taylor. – Wszyscy o tobie wiedzieli. Właściwie to byłaś szkolną legendą. Dziewczyną, z którą miał romans i która zniknęła bez śladu, gdy wszystko się wydało. Ale historia była dość mglista. Nikt nie wiedział, jak było naprawdę. Więc z początku mu uwierzyłam, bo mówił, że to wszystko nieprawda. Aż głupio się teraz do tego przyznawać, no bo oczywiście okazało się inaczej. Ja nie byłam pierwsza. Po prostu byłam... – Wzrusza ramionami. – Byłam taka młoda.

Opowiada dalej, stwierdza, że w końcu Strane przyznał się do romansu ze mną, ale dopiero gdy była już „oswojona”. Nazwał mnie podobno swoją najgłębszą tajemnicą, wyznał, że mnie kocha, ale „wyrosłam”, nie pasowaliśmy już do siebie, inaczej niż wtedy, kiedy miałam piętnaście lat.

– Wyglądało, że naprawdę ma złamane serce – ciągnie Taylor. – To mocno porąbane, ale na samym początku kazał mi przeczytać *Lolite*. Też czytałaś, tak? Gadał o tobie w taki sposób, że przypominała mi się pierwsza dziewczyna, w której zakochał się Humbert Humbert, ta, która umiera i z której powodu on jakoby staje się pedofilem. W tamtym czasie taki zraniony mężczyzna wydawał mi się bardzo romantyczny. Z perspektywy czasu widzę, że to było chore.

Próbuję wziąć filiżankę, lecz dygoczę tak bardzo, że wysuwa mi się z dłoni, kawa rozlewa się po palcach. Taylor podskakuje i chwyta serwetki, wciąż gada, wycierając stolik. Opowiada o swoich podejrzeniach, że Strane wciąż się ze mną spotykał – że zajrzała do jego telefonu, zobaczyła połączenia i esemesy, odgadła prawdę.

– Byłam strasznie zazdrosna, gdy się z tobą widywał – wyznaje.

Stoi nade mną, zamiata namokłą serwetką po blacie, koniec jej warkocza muska mi ramię.

– Spałaś z nim? – pytam.

Patrzy na mnie nieruchomymi oczami.
– To znaczy – poprawiam się – czy on spał z tobą? Zmusił cię? – Kręcę głową. –
Właściwie nie wiem, jak to nazwać.
Wrzuca serwetki do kosza na śmieci.
– Nie. Nie zmusił.
– A inne dziewczyny?
Zaprzecza ruchem głowy.
W poczuciu ulgi wypuszczam głośno powietrze z płuc.
– Więc co tak naprawdę ci zrobił?
– Wykorzystał.
– Ale... – Rozglądam się, jakbym oczekiwała pomocy od ludzi siedzących przy innych stolikach. – Ale co to konkretnie znaczy? Całował cię czy...
– Nie chcę mówić o szczegółach. To nieprzydatne.
– Nieprzydatne?
– Dla sprawy.
– Jakiej sprawy?
Przechyla głowę i mruży oczy. Tak samo robił Strane, gdy kluczył. Przez chwilę myślę, że ona znowu go parodiuje.
– Sprawy poniesienia przez niego odpowiedzialności.
– Przecież on nie żyje. Co chcesz mu zrobić: wykopać trupa z grobu i przewlec go po ulicach?
Wybałusza oczy.
– Przepraszam – reflektuję się. – Źle to zabrzmiało.
Zaciska powieki i wciąga powietrze w płuca, po chwili wydycha.
– Nic się nie stało. Ciężko o tym mówić. Obie robimy co w naszej mocy.
Zaczyna opowiadać o artykule, którego celem jest wykazanie, że system oświaty zawiódł nas na wiele sposobów.
– Oni wszyscy wiedzieli – stwierdza – a jednak nie zrobili nic, żeby go powstrzymać.
Podejrzewam, że ma na myśli Browick, administrację szkoły, lecz milczę. Taylor nadaje tak szybko, że trudno za nią nadążyć. Drugim celem artykułu, dodaje, jest nawiązanie kontaktu z innymi skrzywdzonymi dziewczętami.
– Znaczą tak ogólnie?
– Nie. Skrzywdzonymi przez niego.
– Są jeszcze inne?
– Na pewno. Przecież był nauczycielem przez trzydzieści lat. – Taylor obejmuje palcami pustą filiżankę, wydyma wargi. – Mówiłaś, że nie chcesz być wymieniona w tym artykule. Wiem o tym.
Otwieram usta, ale ona ciągnie niezrażona:
– Możesz pozostać anonimowa. Nikt nie będzie wiedział, że to ty. Wiem, że się boisz, ale pomyśl, jak wiele dobrego może zdziałać ten artykuł. Vanesso, to, przez co przeszłaś... –
Pochyla się, patrzy mi głęboko w oczy. – Taka historia może zmienić ludzkie myślenie.
Kręcę głową.
– Nie mogę.
– Wiem, że się boisz. Ja byłam przerażona na początku.
– Nie – odpowiadam. – Nie o to chodzi.
Czeka na wyjaśnienie, ma rozbiegany wzrok.
– Nie uważam, że byłam wykorzystana – mówię. – Odbieram to zdecydowanie inaczej

niż ty i inne dziewczyny.

Zaskoczona unosi jasne brwi.

– Nie uważasz?

Jakby powietrze uszło z kawiarni, wszystkie odgłosy stają się głośniejsze, kolory matowieją.

– Nie postrzegam siebie jako ofiary – dodaje. – Wiem, w co się pakowałam. I chciałam tego.

– Miałaś piętnaście lat.

– Mimo to wiedziałam.

Tłumaczę, usprawiedliwiam się, słowa bez trudu spływają mi z ust, dobrze znany, wyćwiczony tekst. On i ja byliśmy dwojgiem ludzi o mrocznych ciągach, pragnęliśmy tego samego, nasza relacja okazała się okropna, ale nigdy nie polegała na krzywdzeniu. Im bardziej zatrwożoną minę ma Taylor, z tym większym uporem brnę dalej. Gdy mówię, że związek taki jak mój ze Strane'em to temat wielkich historii miłosnych, przykładą dłoń do ust, jakby za chwilę miała zwymiotować.

– Będę z tobą całkowicie szczerą – dodaje. – Uważam, że to, co robisz ty i ta dziennikarka, jest mocno pojebane.

Zastyga z niedowierzania jak sparaliżowana.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Wydaje mi się to nieuczciwe. Podajesz o nim szczegóły, które nie odpowiadają temu, co ja wiem.

– Uważasz, że kłamię?

– Uważam, że robisz z niego gorszego człowieka, niż był.

– Jak możesz tak mówić, skoro wiesz, co mi zrobił?

– Nie wiem, co ci zrobił. Przecież nie chcesz mi powiedzieć.

Zaciska powieki. Wciera dłonie w blat stołu, jakby z największym trudem próbowała zachować spokój.

– Wiesz, że był pedofilem – cedzi.

Natychmiast zaprzeczam:

– Nie był.

– Miałaś piętnaście lat. Ja miałam czternaście.

– To nie jest pedofilia.

Patrzy na mnie oniemiała. Odchrząkuje.

– Właściwszym terminem byłaby efebofilia – dodaje ostrożnie.

Wszelka linia porozumienia między nami zostaje zerwana. Taylor podnosi ręce jakby w wyrazie kapitulacji. Mówi, że musi wracać do pracy. Nie patrząc na mnie, zgarnia ze stołu swoją pustą filiżankę i telefon komórkowy.

Wychodzę za nią z kawiarni, potykam się lekko w progu. Czuję nagłą chęć, aby wyciągnąć rękę i chwycić ją za warkocz, nie pozwolić jej odejść. Na dworze jest pusto, z wyjątkiem mężczyzny, który z rękami w kieszeniach kurtki i spojrzeniem wbitym w chodnik zbliża się do nas, gwizdząc uparcie jeden ton. Taylor patrzy na niego, ma tak wściekłą minę, że chyba warknie, aby się zamknął, ale kiedy on nas mija, ona odwraca się i dźga mnie palcem.

– Myślałam cały czas o tobie, kiedy mnie krzywdził – mówi. – Myślałam, że ty jedyna na całym świecie zrozumiałabyś, przez co przechodzę. Myślałam... – Wciąga powietrze nosem, opuszcza ręce. – Kogo to obchodzi, co myślałam. Pomyliłam się, mocno się pomyliłam. – Rusza przed siebie, przystaje. – Gdy to zgłosiłam, zaczęłam dostawać pogróżki, grożono mi śmiercią. Wiesz o tym? Wrzucili do internetu mój adres, pisali, że mnie zgwałcą i zamordują.

– Tak, wiem.

– To egoistyczne stać z założonymi rękami i patrzeć, jak nam się nie wierzy. Gdybyś się zgłosiła, nikt nie mógłby tego zignorować. Musieliby ci uwierzyć. A wtedy uwierzyliby i nam.

– Ale nie rozumiem, co chcesz zyskać. On nie żyje. Nie przeprosi. Nigdy już się nie przyzna, że zrobił coś złego.

– Nie chodzi o niego. Gdybyś się zgłosiła, władze Browick musiałyby przyznać, że to się stało. Musieliby wziąć za to odpowiedzialność. Może zmieniliby zasady w szkole.

Taylor patrzy na mnie wyczekująco. Wzruszam ramionami, a ona wzdycha sfrustrowana.

– Żal mi cię, Vanesso.

Chce odejść, ale wyciągam rękę, muskam palcami jej plecy.

– Powiedz mi, co ci zrobił. Nie mów, że cię wykorzystał. Powiedz, co zrobił.

Odwraca się, ma dziki wzrok.

– Całował cię? – pytam. – Przyprawiał do swojego gabinetu?

– Do gabinetu? – powtarza.

Zamykam oczy, czuję ulgę z powodu jej zdezorientowania.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

Otwieram usta. „Bo” na końcu mojego języka. Bo bez względu na to, co ci się przydarzyło, to nie mogło być aż tak straszne. Bo to niedorzeczne, że oczekujesz tak wiele, skoro to ja byłam głównym celem Strane’a. Bo to ja zostałam naznaczona na całe życie.

– Obmacywał mnie, zadowolona? – pyta. – W klasie, za biurkiem.

Wzdycham i wiotczeję, słaniem się na środku chodnika. Jak Strane pod świerkiem na zabawie halloweenowej. „Wiesz, co chciałbym zrobić w tej chwili?” W tamtym okresie tylko mnie dotykał, obmacywał za biurkiem.

– Ale pogwałcił moją intymność jeszcze inaczej – dodaje Taylor. – Krzywdzić można nie tylko przez fizyczny dotyk.

– A inne dziewczyny?

– Też je obmacywał.

– To wszystko?

Prycha.

– Tak, chyba wszystko.

A więc dotykał. Przecież przyznawał się do tego przez cały czas, zaczynając tamtego wieczoru w swoim domu, gdy wziął moją twarz w dłoń i powiedział: „Tylko jej dotknąłem. Nic więcej”. Wtedy poczułam ulgę. Teraz czekam, aby ta ulga mnie odnalazła, ale jej nie ma, nie ma niczego, nie ma nawet wzburzenia ani szoku. To, że usłyszałam o tym teraz od Taylor, nie ma znaczenia. Bo wiedziałam wcześniej.

– Vanesso, zdaję sobie sprawę, że z tobą wyglądało to zupełnie inaczej. Ale zaczęło się tak samo, rozumiesz? Kazał ci podejść do biurka. Sama o tym napisałaś na swoim blogu. Pamiętam, jak pierwszy raz o tym przeczytałam. Jakbym czytała o sobie.

– Czytałaś to wtedy?

Kiwa głową.

– Znalazłam go w zakładkach w jego komputerze. Czasem zostawiałam u ciebie anonimowe komentarze. Za bardzo się bałam, żeby podpisać się swoim nazwiskiem.

Mówię, że nie miałam o tym pojęcia – o tym, że czyta i komentuje.

– No to co wiedziałaś? Naprawdę nic o mnie nie wiedziałaś?

Zadała już wcześniej to pytanie, a ja udzieliłam odpowiedzi, lecz teraz to znaczy coś innego. Pyta, czy wiem, co Strane jej zrobił.

Niech usłyszy prawdę.

– Wiedziałam. Wiedziałam o tobie.

Przyznał się wtedy, ale przecież zarzekał się, że to nic, a ja uwierzyłam. Przebaczyłam mu, ofiarowałam nawet wybaczenie gorszych grzechów, których nie popełnił. Czym jest dłoń na kolanie w porównaniu z tym, co mi zrobił? Uważałam, że tamto nie ma znaczenia, i nawet teraz, widząc Taylor stojącą przede mną, trudno mi sobie wyobrazić, jaką ten gest mógł wyrządzić krzywdę. Czy to, co ci zrobił, naprawdę było takie okropne? Czy warto jest tego całego szumu?

– Być może wydaje ci się, że to nic wielkiego, Vanesso. Ale mnie to zniszczyło.

Odchodzi, warkocz kiwa się na plecach w rytmie kroków. Idę do domu przez plac, gigantyczna choinka bożonarodzeniowa przybrana girlandami światełek, dokoła kręcą się licealiści korzystający z dużej przerwy, chłopcy w kapturach, grupki dziewcząt w kurtkach dzinsowych i znoszonych adidasach. Paznokcie z obłupanym lakierem, mysie ogonki, śmiech i – zaciskam powieki tak mocno, że widzę iskry i gwiazdy. On ciągle we mnie siedzi, próbuje mnie zmusić, abym patrzyła na te dziewczyny jego oczami, bezimienne uczennice siedzące przy stole konferencyjnym w klasie. Chce, abym pamiętała, że nic nie znaczą. Że ledwo odróżniał jedną od drugiej. Że się nie liczą. W porównaniu ze mną były niczym.

„Kochałem cię”, mówi. „Moja mroczna Vanesso”.

W gabinecie pytam:

– Uważasz, że jestem egoistką?

Jest późno, nietypowy dzień i pora na moją sesję psychoterapeutyczną. Wysłałam Ruby esemesa z informacją, że mam pilną sprawę. Zawsze mi powtarzała, że w razie czego mogę się z nią w ten sposób skontaktować, a ja dotąd nie przypuszczałam, że będę musiała z tego skorzystać.

– Uważam, że są sposoby, aby pójść naprzód bez bolesnego obnażania się. Lepsze sposoby.

Patrzy na mnie z fotela, czeka, ech, ta jej niewyczerpana cierpliwość. Za oknem niebo jest paletą błękitu, od lazuru przez kobalt po granat. Odchylam głowę, żeby włosy zsunęły mi się z twarzy, i mówię, zwracając się do sufitu:

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Nie, nie uważam, że jesteś egoistką.

Pochylam z powrotem głowę.

– A powinnaś. Przez cały czas wiedziałam, co on zrobił tej dziewczynie. Jedenaście lat temu przyznał mi się, że jej dotykał. Nie kłamał. Nie ukrywał tego przede mną. Ale mnie to nie obchodziło.

Ruby zachowuje kamienną twarz, tylko ruch powiek zdradza, że moje słowa ją poruszyły.

– O innych dziewczynach też wiedziałam – ciągnę. – Wiedziałam, że nie trzymał rąk przy sobie. Przez całe lata dzwonił do mnie wieczorami i rozmawialiśmy... Rozmawialiśmy o tym, co robiliśmy razem, gdy byłam młodsza. O seksie. Ale o innych dziewczynach też wtedy mówił, o swoich uczennicach. Opisywał, jak przyzywa je do biurka. Opowiadał, co robi. A mnie to nie obchodziło.

Ani jeden mięsień nie drgnie na twarzy Ruby.

– Mogłam położyć temu kres – dodaję. – Wiedziałam, że on nie może się powstrzymać. Gdybym zostawiła go samego, być może udałoby mu się przestać. Zmuszałam go, żeby to przeżywał od nowa, choć tego nie chciał.

– Vanesso, to, co on zrobił tobie i innym dziewczynom, nie idzie na twoje konto. To nie twoja wina.

– Ale wiedziałam, że jest słabym człowiekiem! Pamiętasz, sama tak powiedziałaś. I masz rację. A ja wiedziałam o tym. Mówił, że nie może przebywać w mojej obecności, bo

wydobywam z niego mrok. A jednak nie zostawiłam go w spokoju.

– Czy ty słyszysz, co mówisz?

– Mogłam go powstrzymać.

– Dobrze, jeśli nawet mogłaś go powstrzymać, nie było to twoją rolą, zresztą dla ciebie to niczego by nie zmieniło. Bo powstrzymanie go nie zmieniłoby tego, że byłaś molestowana.

– Nie byłam molestowana.

– Vanesso...

– Nie, czekaj, posłuchaj. Nie zachowuj się tak, jakbym nie wiedziała, co mówię. Nigdy do niczego mnie nie zmuszał, rozumiesz? Zawsze mnie pytał o zgodę, zanim cokolwiek się stało, zwłaszcza gdy byłam młoda. Był uważny. Był dobry. Kochał mnie.

Powtarzam to w nieskończoność, tę mantrę, która błyskawicznie traci sens. Kochał mnie, kochał mnie.

Kryję twarz w dłoniach, a Ruby każe mi głęboko oddychać. Zamiast jej głosu słyszę Strane'a, proszącego o to samo, bo chce we mnie wejść. „O, jak miło, jak miło”.

– Kurwa, jak ja mam tego dosyć – szepczę.

Kuca przede mną na podłodze, kładzie mi dłonie na ramionach, dotyka mnie po raz pierwszy.

– Czego? – pyta.

– Ciągle go słyszę, widzę, wszystko, co robię, łączy się z nim.

Zapada cisza. Mój oddech się uspokaja, Ruby wstaje, cofa ręce.

– Gdy myślisz o pierwszym incydencie... – zaczyna łagodnym głosem.

– Nie, nie mogę – przerywam jej. Odchylam głowę, wciskam się w oparcie fotela. – Nie mogę wracać do tego dnia.

– Nie musisz. Możesz zostać tutaj. Pomyśl tylko o jednej chwili, pierwszej chwili, która może być nazwana intymnym momentem między wami. Kiedy sobie ją przypomnisz, to co widzisz? Kto był inicjatorem? Ty czy on?

Czeka, ale ja nie mogę tego powiedzieć. On. Przywołał mnie do swojego biurka i dotknął, a reszta klasy odrabiała lekcje. Usiadłam przy nim, popatrzyłam w okno i pozwoliłam mu na to, czego chciał. Nie rozumiałam tego, nie prosiłam o to.

Wypuszczam powietrze z płuc, opuszczam głowę.

– Nie mogę – szepczę.

– W porządku, powoli. Nie śpiesz się.

– Po prostu czuję... – Wcieram dłonie w uda. – Czuję, że nie mogę stracić tego, czego trzymam się kurczowo od tak dawna. Rozumiesz? – Twarz mam wykrzywioną z bólu. – To musi być historia miłosna. Potrzebuję tego. Rozumiesz? Tak bardzo tego potrzebuję.

– Wiem.

– Bo jeśli to nie była miłość, to co?

Patrzę w jej szkliste oczy, na jej twarz pełną współczucia.

– To moje życie – mówię. – To było całe moje życie.

Znowu do mnie podchodzi, bo mówię, że jest mi smutno, tak strasznie smutno, małe, zwykłe słowa, jedyne, które mają sens, gdy chwytam się za pierś jak dziecko i palcem pokazuję, gdzie mnie boli.

2007

W semestrze wiosennym znowu zaczynam pić, na stoliku zbiera się kolekcja butelek. Gdy nie jestem na zajęciach, leżę z laptopem w łóżku, wentylator szumi, ekran jarzy się do późnej nocy. Przewijam zdjęcia załamanej nerwowo Britney Spears, widzę, że ogoliła głowę, atakuje paparazzich parasolką, oczy jak u zaszczutego zwierzątka. Na blogach plotkarskich zamieszczane są te same fotki z nagłówkami w rodzaju: „Była nastoletnia księżniczka pop w szale”, a poniżej całe strony kołtuńskich komentarzy: „Ale z niej wrak”. „Takie smutne, że one zawsze kończą w ten sposób”. „Założę się, że w ciągu miesiąca kopnie w kalendarz”.

Nocą trzymam telefon komórkowy na parapecie obok łóżka, a po przebudzeniu rano od razu sprawdzam, ile razy dzwonił Strane. Gdy siedzę w barze z Bridget i czuję w kieszeni wibrujący aparat, wyjmuję go i pokazuję jej, żeby zobaczyła nazwisko migające na wyświetlaczu.

– Źle się z tym czuję – tłumaczę – ale nie mogę z nim rozmawiać.

Opowiedziałam jej o postępowaniu wyjaśniającym, stwierdziłam, że to „polowanie na czarownicę”, tak jak określił to Strane, podkreśliłam, że nie zrobił nic złego, mimo to wciąż jestem wściekła. A co, nie mam prawa tak się czuć?

– Oczywiście, że masz – zapewnia Bridget.

Codziennie sprawdzam profil facebookowy Taylor Birch, przeglądam upublicznione zdjęcia, zniesmaczona zarazem i zadowolona, że wygląda pospolicie z tym aparatem na zębach i kręconymi jasnymi włosami. Tylko jedno zdjęcie zwraca moją uwagę: uśmiechnięta w stroju hokeistki na trawie, spódniczka sięgająca do połowy opalonych ud, na płaskiej klatce piersiowej bordowy napis „Browick”. Przypominam sobie, jak Strane opisywał moje piętnastoletnie ciało, jak mówił, że jest prawie w pełni rozwinięte, bardziej kobiece niż dziecięce. Myślę o profesor Thompson i jej kobiecym ciele. Nie powinnam tak pochopnie robić z niego potwora.

Nie potrzebuję zaliczać dodatkowych fakultetów, ale i tak zapisuję się na seminarium z powieści gotyckiej prowadzone przez Henry’ego. Na zajęciach odwraca się do mnie, kiedy inni studenci ledwo coś dukają. W sali zapada cisza, on toczy spojrzeniem dokoła i zawsze potem wpatruje się w moją twarz.

– Vanesso? – wywołuje mnie do odpowiedzi. – A ty co myślisz?

Liczy na mnie, wierzy niezachwianie, że będę miała coś interesującego do powiedzenia o trawionych obsesją kobietach i potwornych mężczyznach.

Po każdym zajęciach znajdujemy pretekst, żebym poszła z nim do jego gabinetu – chce mi pożyczyć książkę, zgłosił mnie do nagrody studenckiej, zamierza ze mną porozmawiać o asystenturze, która będzie do wzięcia w przyszłym roku – miałabym zajęcie w trakcie przygotowywania się do studiów podyplomowych – ale gdy już jesteśmy sami, kończy się na rozmowach i śmiechu. Śmiechu! Z Henrym śmieję się o wiele więcej, niż śmiałam się ze Strane’em, którego wciąż ignoruję, który telefonuje do mnie co noc, którego głos nagrany na pocztce prosi mnie, prosi, prosi, żebym oddzwoniła, ale ja nie chcę słuchać o tym, jak jego życie wisi na włosku. Chcę Henry’ego, chcę siedzieć w jego gabinecie, chcę, żeby wskazywał na widokówkę przyczepioną pinezką do ściany, żeby pytał mnie, jaka wiąże się z nią historia, żeby mówił mi, że to Niemcy, że pojechał tam na konferencję, zgubili mu bagaż i musiał paradować w spodniach od dresu. Chcę, by mówił mi, że jestem zabawna, czarująca, błyskotliwa, że nigdy nie miał lepszej studentki, żeby opisywał, jaką przyszłość dla mnie widzi.

– Jak zaczniesz podyplomówkę – mówi – będziesz jedną z tych wziętych doktorantek,

która spotyka się ze studentami w kawiarni.

To niby drobnostka, ale aż zatyka mi dech w piersiach. Widzę siebie przy tablicy, mówię studentom, co mają czytać i pisać. Może właśnie o to chodziło od początku – wcale nie pragnęłam tych mężczyzn, tylko pragnęłam być taka jak oni?

Na blogu odnotowuję wszystko, co Henry mi mówi, każde spojrzenie, każdy uśmiech. Zafiksowana na pytaniu o sens, podsumowuję to wszystko, jakby z całości miała wypłynąć konkretna odpowiedź. Jemy razem lunch w stołówce związku studentów, odpisuje na moje e-maile o pierwszej w nocy, na żart zawsze reaguje żartem, wiadomości oznacza jako Henry, tymczasem w listach wysyłanych do wszystkich seminarzystów występuje jako „H. Plough”. „Może to nic nie znaczy, ale powinno”, stukam w klawisze, powtarzam to zdanie w nieskończoność na swoim blogu, aż wypełnia cały ekran. Mówi mi, że gdy miał dziesięć lat, dla zgrywy nauczył się na pamięć *Jabberwocky*. Widzę go jako chłopca, w sposób, w jaki nigdy nie wyobrażałam sobie Strane’a. Ale on właśnie taki jest, co najmniej chłopięcy, jeśli nie całkiem chłopiec, uśmiecha się, kiedy się z nim droczę, rumieniec spowija mu twarz. W e-mailach nawiązuje do różnych odcinków *Simpsonów*, wspomina o jakimś przeboju ze swoich studenckich czasów. „Nie znasz *Belli i Sebastiana*?”, pyta zdziwiony. Wypala dla mnie płytę CD, a gdy wsłuchuję się w teksty piosenek, żeby wychwycić aluzje, odsłania się Vanessa, która żyje w jego umyśle.

Ale mnie nie dotyka. Nie robi nic, co zakrawałoby na dotyk, nie podaje nawet ręki. Jest tylko niekończące się patrzeć – w gabinecie, na zajęciach. Gdy tylko otwieram usta, żeby coś powiedzieć, Henry rozczuła się, wszystko, co mówię, chwali do tego stopnia, że pozostali studenci wymieniają poirytowane spojrzenia – „Znowu to samo”. To wszystko wydaje się jakże znajome, trajektoria tak dobrze mi znana, że muszę zaciskać pięści, aby powstrzymać się od dopadnięcia go, gdy jesteśmy sami. Powtarzam sobie, że to dzieje się tylko w mojej głowie, że tak właśnie normalni nauczyciele traktują swoich najlepszych studentów, poświęcają im odrobinę szczególnej uwagi, to nic takiego, z powodu czego trzeba by tracić rozsądek. Po prostu jestem zdeprawowana, mój umysł tak wypaczony przez Strane’a, że niewinne faworyzowanie odbieram jako pociąg seksualny. No, ale... przecież wypalił dla mnie tę płytę. Codziennie woła mnie do swojego gabinetu. Moje ciało nie odczuwa tego jako normalności, a ciało wie lepiej, umysł jest zdeorientowany. Czasem odnoszę wrażenie, jakby czekał, żebym się zbliżyła, nie mam jednak odwagi, jaką miałam w wieku piętnastu lat. Boję się odtrącenia, poza tym nie daje mi żadnych podstaw, nie było dłoni na kolanie, liścia przysuniętego do głowy. Moje najbardziej bezwstydnym zachowaniem dotąd: pewnego dnia poszłam do niego w jedwabnej bluzeczce bez stanika, ale byłam zniesmaczona, gdy się gapił – więc czego ja w końcu chcę? Nie wiem, nie wiem.

Późną nocą, gdy jestem zbyt pijana, aby się powstrzymać, otwieram laptopa i wpisuję do wyszukiwarki adres Browick, wyświetlam profile kadry pedagogicznej. Penelope Martinez jest absolwentką Uniwersytetu Teksasńskiego z roku 2004, a więc ma chyba dwadzieścia cztery lata. W takim wieku była profesor Thompson, kiedy robiła ze Strane’em to, co być może robiła. Dlaczego wówczas nikt nie uważał tego za naganne, dwudziestoczworoletnia dziewczyna i czterdziestodwuletni mężczyzna? Tak, dziewczyna, bo wtedy była raczej dziewczyną niż kobietą, z tymi jej gumkami do włosów i bluzami z kapturem. Penelope też wygląda dziewczęco – połyskliwe ciemne włosy, płaski nos i wątle ramiona. Świeża, młodzieńcza twarz, w typie Strane’a. Wyobrażam sobie, jak on idzie z nią przez kampus, ręce splecione na plecach, humor dopisuje. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby spróbował jej dotknąć? Co zrobiła, gdy Henry dotknął jej pierwszy raz? Nie wiem, kiedy się spiknęli, ale bez względu na wszystko był wtedy o dziesięć lat starszy, duże nieporadne ręce i gorący oddech bijący z gąszczu brody.

Pewnego popołudnia Henry i ja rozmawiamy w gabinecie, gdy nagle dzwoni jego telefon.

Odbiera, a ja od razu wiem, że to ona. Odwraca się ode mnie, odpowiada zdawkowo na pytania, w jego głosie słyszę napięcie, które sprawia, że czuję się intruzem, ale kiedy wstaję, żeby wyjść, wyciąga rękę i mówi bezgłośnie, żebym zaczekała.

– Muszę kończyć – rzuca poirytowany do aparatu. – Mam spotkanie ze studentką.

Rozłącza się bez pożegnania, a ja traktuję to jako swój osobisty triumf.

Nigdy nie wyjawiał, że ona jest jego żoną, a nie kimś „ze znajomych”. W ogóle o niej nie wspomina – dlaczego miałby? A dlaczego nie? Nie widzę żadnych oznak jej istnienia, żadnej obrączki na palcu, żadnego zdjęcia na biurku. Może ona jest dla niego wredna, może nudna, może on czuje się nieszczęśliwy? Może, odkąd mnie poznał, miewa chwile, gdy dochodzi do wniosku, że powinien był zaczekać z ożenkiem? Zmuszam się do myślenia o niej, bo wydaje mi się to obowiązkiem moralnym, lecz jest tylko zamazaną postacią na peryferiach. Penelope. Ciekawe, czy Henry tak się do niej zwraca, czy używa jakiegoś zdrobnienia? Znowu zaglądam do profili kadry pedagogicznej Browick, wyobrażam sobie, że być może dokładnie w chwili, gdy ja rozmawiam z Henrym, ona rozmawia ze Strane'em. Ze Strane'em, który wydzwaniał do mnie bez przerwy, który powtarza, że mnie potrzebuje, że moje milczenie na łączach jest okrutne i niesprawiedliwe. Może z powodu braku mojej reakcji czuje się taki samotny, że musi się ratować flirtowaniem z ładną młodą pedagog? Pewnie łatwo się z nią rozmawia, łatwiej niż ze mną. Wyobrażam sobie, że ona wysłuchuje cierpliwie jego tyrad, z niezmiennym uśmiechem na twarzy. Idealna słuchaczka. Uwielbiałby to. Mój umysł nakręca się tak bardzo, że prawie zapominam, iż to wszystko dzieje się w mojej głowie: Strane rozśmieszający Penelope tak samo, jak ja rozśmieszam Henry'ego; Henry u siebie w salonie późną porą, pisze do mnie e-mail, a Penelope siedzi w sypialni i pisze do Strane'a.

A jednak wszystko zawsze powraca do twardej rzeczywistości: Henry na pewno wie, że pozwoliłabym się dotknąć, ale nigdy nie próbuje tego zrobić. To, zdaję sobie sprawę, jest najistotniejsze. Neguje wszystko inne.

13 lutego 2007

Minęło półtora miesiąca, odkąd ostatni raz rozmawiałam z S., kiedy powiedział mi, że niektórzy starają się go dopaść i ktoś z jego wrogów może spróbować się ze mną skontaktować. Zapewniłam go o swojej lojalności, przyrzekłam, że będę lojalna do końca (jaki mam wybór? wystąpić przeciwko niemu? nie do pomyślenia), ale od tamtej nocy w jego domu nie potrafię go znieść. Całą pocztę głosową mam wypełnioną wiadomościami od niego. Chce mnie zabrać na kolację, chce wiedzieć, co u mnie, chce się ze mną spotkać, chce mnie. Słucham każdego nagrania przez kilka sekund i rzucam telefon w cholerę. Po raz pierwszy czuję, jakby mnie prześladował. To nie przypadek, że stało się to po wyznaniu, jego wyznaniu, że zachował się źle.

Nie potrafię zmusić się, żeby napisać, co zrobił, choć niedomówienia sprawiają, że jego postępowanie może wydawać się straszne. Przecież nikogo nie zabił. Właściwie nikogo nawet nie skrzywdził, mimo że „krzywda” to takie subiektywne określenie. Przypomnijmy sobie cały ten ból, który bezmyślnie zadaliśmy innym. Komar na ramieniu. Bez wahania zabijamy go pacnięciem ręki.

Po zajęciach Henry mówi, że musi mnie o coś spytać.

– Myślałem, że wyślę ci e-mail, ale potem uznałem, że lepiej, byśmy porozmawiali.

Gdy wchodzimy do gabinetu, natychmiast zamyka drzwi. Widzę, że pociera dłonią twarz, wzdycha głęboko.

– To dla mnie trochę krępujące – stwierdza.

– Powinam się bać? – pytam.

– Nie – odpowiada szybko. – A właściwie to nie wiem. Po prostu doszły mnie słuchy

o pewnej sprawie w twoim dawnym liceum, o nauczycielu angielskiego, który zachowywał się niewłaściwie wobec uczennicy. Słyszałem to z drugiej ręki, nie znam faktów, ale pomyślałem... Hm, nie wiem, co myśleć.

Przełykam ciężko ślinę.

– Czy to ta znajoma panu mówiła? Ta, która pracuje w tej szkole?

Kiwa głową.

– Tak, ona.

Odczekuję długą chwilę – to mnóstwo czasu, aby wyznał prawdę.

– Chyba czuję się odrobinę winny – mruczy. – Winny, że o tym wiem.

– To nie pańska sprawa.

Patrzy na mnie zdumiony, więc szybko dodaję:

– Mówię to w pozytywnym sensie. Nie musi się pan tym martwić. To nie pański problem.

Próbuję się uśmiechnąć, jakbym nie miała ściśniętego gardła, jakbym nie łapała z trudem powietrza. Wyobrażam sobie Taylor Birch płaczącą na kanapie, wyznającą Penelope, pani pedagog pełnej współczucia, że „profesor Strane mnie dotknął, dlaczego to zrobił?”, ale mój umysł odpływa daleko, ląduje w gabinecie Strane’a. Syczący kaloryfer, szyba w zielononiebieskim kolorze.

Zaczynam tłumaczyć:

– Proszę posłuchać. To szkoła z internatem. Ciągłe krążą takie plotki. Jeśli pańska znajoma pracuje tam od niedawna, to nie wie, co traktować poważnie, a co zignorować. Naucz się.

– To, co słyszałem, brzmi poważnie.

– Sam pan mówił, że słyszał pan z drugiej ręki. Ja wiem, co tak naprawdę się stało.

W porządku? Powiedział mi. Powiedział, że dotknął jej kolana, to wszystko.

– Och – wzdycha Henry zaskoczony. – Nie myślałem... to znaczy... Nie sądziłem...

Masz z nim ciągły kontakt?

Od razu uświadamiam sobie, że popełniłam błąd. Zasycha mi w gardle. Prawdziwa ofiara nie utrzymywałaby kontaktu ze swoim gwałcicielem. To, że Strane i ja wciąż mamy styczność, rzuca cień wątpliwości na wszystko, w co kazałam wierzyć Henry’emu.

– To skomplikowane – odpowiadam.

– Tak, jasne. Rozumiem.

– Bo to, co mi zrobił, nie było gwałtem przez duże „g”.

– Nie musisz się tłumaczyć.

Siedzimy w milczeniu, ja ze wzrokiem utkwionym w podłogę, on wpatrzony we mnie.

– Naprawdę nie powinien się pan tym martwić – powtarzam. – To, co przydarzyło się tej dziewczynie, jest niczym w porównaniu z tym, co przydarzyło się mnie.

Dobra, mówi. Dodaje, że mi wierzy, i na tym zamykamy temat.

W pierwszym tygodniu marca ze swojej skrzynki na listy wyjmuję szarą kopertę zaadresowaną przez Strane’a jego charakterystycznym klockowatym pismem. W środku znajduję trzystronicowy list i spięty zszywaczem plik dokumentów: kserokopia oświadczenia, które oboje podpisaliśmy w dniu, gdy nasza sprawa wyszła na jaw, datowana na 3 maja 2001 roku, odręczne zapiski z rozmów jego i dyrektor Giles z moimi rodzicami, mój wiersz o syrenie i wyspie pełnej żeglarzy, o którego istnieniu prawie zapomniałem, kopia mojego podania o zwolnienie ze szkoły z podpisem na dole, list o mnie, Stranie i plotkach na nasz temat napisany przez kogoś, kogo charakteru pisma nie poznaję, ale pod wszystkim widzę podpis, Patrick Murphy, ojciec Jenny. To list, który rozpętał całą aferę.

Rozkładam wszystkie papiery na łóżku, jeden po drugim. W liście do mnie Strane pisze:

Vanesso,

niedobrze ze mną. Nie wiem, jak traktować Twoje milczenie i czy przez brak komunikacji chcesz mi coś zakomunikować, czy jesteś na mnie zła, czy chcesz mnie w ten sposób ukarać. Powinnaś wiedzieć, że sam bardzo mocno się w tej chwili karzę.

Afera z rzekomym molestowaniem trwa. Mam nadzieję, że wkrótce wszystko się wyjaśni, ale zanim to się stanie, sprawy mogą przybrać zły obrót. Możliwe, że ktoś będzie próbował się z Tobą skontaktować, aby Cię wykorzystać przeciwko mnie. Mam nadzieję, że wciąż mogę na Ciebie liczyć.

Może głupiec ze mnie, że piszę o tym wszystkim. Wciąż masz nade mną ogromną moc. Zastanawiam się, jak to jest żyć codziennie, udając przeciętną studentkę, gdy wiesz, że możesz zniszczyć mężczyznę jednym odpowiednim telefonem. Jednak nadal Ci ufam. Nie pisałbym tego obciążającego mnie listu, gdyby tak nie było.

Spójrz na dokumenty, które załączyłem, na cały ten bajzel sprzed sześciu lat. Byłaś wtedy taka dzielna, bardziej wojownicza niż dziewczyna. Byłaś moją Joanną d'Arc, nie poddałaś się nawet wtedy, gdy płomienie już lizały Ci stopy. Czy wciąż jesteś taka dzielna? Popatrz na te dokumenty, na te świadectwa Twojej wielkiej miłości do mnie. Rozpoznajesz w tym siebie?

Przepisuję list i zamieszczam go na swoim blogu bez żadnego komentarza ani wyjaśnienia oprócz jednego zdania na samym dole: „Wyobrażacie sobie, co się czuje, gdy dostaje się taką przesyłkę?”. Pytanie postawione w próżni. Rzadko ktoś komentuje moje wpisy, nie mam regularnych czytelników, ale nazajutrz rano budzę się i widzę anonimową wiadomość z drugiej dwadzieścia jeden w nocy: „Wyrzuć go ze swojego życia, Vanesso. Nie zasłużyłaś na to”.

Usuwa komentarz, lecz wtedy pojawia się więcej, zawsze w środku nocy, czekają na mnie, gdy budzę się rano. Uwagi krytyczne przy każdej linijce niedopracowanego wiersza, który zamieściłam, słowo „wspaniałe” w reakcji na serię samejebek. „Kim jesteś?”, pytam, ale nie dostaję odpowiedzi. Potem komentowanie ustaje.

*

– Idziesz? – pyta Bridget z progu mojego pokoju.

Zaczyna się powitanie wiosny, tydzień picia i wagarów. Tego popołudnia będzie przyjęcie na molu.

Podnoszę głowę znad laptopa.

– Ej, popatrz. – Obracam komputer w jej stronę, pokazuję najnowsze zdjęcie Taylor Birch, selfie cyknięte z bliska, usta w podkówkę, oczy podkreślone czarną kreską.

Bridget nie reaguje, więc mówię:

– To ona go oskarża.

– O co?

– Absurd – odpowiadam ze śmiechem. – Ale stroi miny! Aż mam ochotę napisać jej, żeby się rozchmurzyła.

Bridget posyła mi wymowne spojrzenie i wydyma wargi.

– Vanesso, to jeszcze dziecko – mówi w końcu.

Odwracam z powrotem laptopa. Policzki mnie pieką, zamykam Facebooka.

– Po co ty ciągle zaglądasz na jej profil? – pyta Bridget. – Tylko się przez to nakręcasz.

Zatrząskuję pokrywę komputera.

– Poza tym kpiny z niej wydają mi się wredne.

– Dobra, rozumiem – odpowiadam. – Dzięki za radę.

Zaczynam łązić po pokoju, przetrząsam sterty ubrań leżących na podłodze. Bridget patrzy na mnie.

– Idziesz czy nie? – pyta.

Jest osiemnaście stopni, jak na kwiecień w Maine to prawie lato. Skrzynki piwa ustawione na molu, hot dogi smażone na grillach. Dziewczyny opalają się w stanikach bikini, trzej faceci w bermudach gramolą się po różowym granicie i brodzą w lodowatej wodzie. Bridget znajduje tacę z drinkami jello i wypijamy po trzy, wysysając wódkę przez zęby. Ktoś pyta mnie, co będę robiła po magisterium, więc udzielam ulubionej odpowiedzi: „Będę miała asystenturę u Henry’ego Plougha i jednocześnie składała podania o studia podyplomowe”. Gdy pada to nazwisko, jedna z dziewcząt odwraca się w moją stronę i dotyka mnie w ramię – Amy Doucette, z seminarium dyplomowego.

– Powiedziałaś „Henry Plough”? – pyta. Jest podpita, oczy ma rozbiegane. – Boże, ale on jest boski. Nie chodzi o urodę, oczywiście, ale o intelekt. Najchętniej roztrzaskałabym mu czaszkę i odgryzła porządny kawałek mózgu. Wiesz? – Klepie mnie ze śmiechem w ramię. – Tak, tak, Vanessa wie najlepiej.

– Co to niby znaczy? – pytam, ale ona już odwróciła się plecami, pochłonięta widokiem olbrzymiego arbuza, który właśnie rozłupano w taki sam sposób, w jaki chciała postąpić z głową Henry’ego.

– Właliśmy w miąższ dwie butelki wódki! – krzyczy ktoś.

Nikt nie ma noża ani talerzy, więc każdy wyrywa garścią kawałek, sok zmieszany z alkoholem skapuje na molo.

Żłocię ciepłe piwo z puszkii i patrzę na fale widoczne w odstępach między deskami. Podchodzi Bridget, w obu dłoniach po hot dogu, podaje mi jednego. Kręcę głową i mówię, że muszę iść, a ona zwiesza ramiona.

– Nie możesz raz w życiu dobrze się zabawić? – pyta, lecz widzi grymas na mojej twarzy, rozumie, że przeholowała.

Odchodzę, słyszę jej krzyk:

– Żartowałam, Vanesso, nie gniewaj się!

W pierwszej chwili kieruję się do domu, ale na myśl o kolejnym popołudniu spędzonym po pijaku z laptopem w łóżku skręcam od razu w stronę wydziału, na którym pracuje Henry. Wiem, że jest na kampusie w poniedziałkowe popołudnia. Znam na pamięć rozkład jego dnia: kiedy uczy, kiedy pracuje w swoim gabinecie, najczęściej sam.

Drzwi są uchylone, w środku nikogo. Na biurku leży sterta papierów, obok stoi otwarty laptop. Wyobrażam sobie, że osuwam się na fotel, zaglądam do szuflad, przeglądam wszystko.

Zastaje mnie stojącą przy biurku.

– O, to ty.

Odwracam się. W rękach taszczy mnóstwo kołonoratników, esejów z seminarium z kompozycji tekstu, których najbardziej nie znosi czytać i oceniać. Dużo o nim wiem. To nienormalne widzieć tak dużo.

Kładzie zeszyty na biurku, a ja siadam na krześle i kryję twarz w dłoniach.

– Coś się stało? – pyta.

– Nie, po prostu się upiłam.

Podnoszę głowę i widzę uśmiech na jego twarzy.

– Upiłaś się i intuicja podszeptała ci, żeby przyjść tutaj? Pochlebia mi to.

Jęczę, wciskam nasady dłoni w oczy.

– Nie powinien pan być miły. Zachowuję się niestosownie.

Cień bólu przemyka po jego twarzy. Niepotrzebnie to powiedziałam. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że zwracanie nadmiernej uwagi na to, co robimy, może wszystko zepsuć.

Sięgam do kieszeni, wydajmuję telefon i wyciągam rękę. Wyświetlam nieodebrane

połączenia.

– Widzi pan? Tyle razy do mnie dzwonił. Nie chce zostawić mnie w spokoju. Zaczynam świrować.

Nie mówię, kim jest ten ktoś, bo nie muszę. Henry prawdopodobnie przywołuje w myślach Strane'a, ilekroć na mnie patrzy. Ciekawe, czy kiedykolwiek się poznali. Wyobrażam sobie, że podają sobie ręce, ślady po moim ciele pozostawione na ciele Strane'a przedostają się na ciało Henry'ego – w ten sposób najbardziej się do niego zbliżam.

Henry wpatruje się bacznie w ekran mojego telefonu.

– Przecież on cię nęka – stwierdza. – Nie możesz zablokować jego numeru?

Kręcę głową, chociaż nie mam pojęcia, czy nie mogę. Pewnie bym mogła, ale chcę, aby te połączenia przychodziły. Są oddechem na moim karku. Wiem zarazem, że współczucie Henry'ego zależy od mojego postępowania, od tego, abym robiła i mówiła to, co należy, podejmowała wszelkie kroki, aby chronić samą siebie.

– A to jakby pan nazwał? – pytam. – Kilka tygodni temu przysłał mi plik dokumentów z tych czasów, gdy wywalono mnie z Browick...

– Co?! – krzyczy. – Nie wiedziałem, że cię wywalono...

Czy to moje kolejne kłamstwo? Oficjalnie sama się wypisałam... Przecież Strane nawet przysłał mi kopię mojego oświadczenia. A jednak bardziej prawdziwe wydaje się stwierdzenie, że mnie wywalono, bo to nie był mój wybór, jeśli nawet wina była moja.

Słucham własnego głosu, relacjonuję całą historię, jak to wzięłam odpowiedzialność na siebie, bo nie chciałam, żeby Strane trafił za kratki, opowiadam o zebraniach u dyrektorki i publicznym wystąpieniu przed całą klasą, o przyznaniu się do kłamstw, o zasypywaniu mnie pytaniami, jakby to była konferencja prasowa. Henry słucha z otwartymi ustami, pełen współczucia, a im żywszą widzę reakcję, tym większej nabieram ochoty do zwierzeń. Rozpędzam się, wzbiera we mnie wołanie o sprawiedliwość, poczucie, że przeżyłam coś strasznego, tragedię tak wielką, że złamała mi życie. Teraz, po wstrząsie wywołanym przetrwaniem, do głosu dochodzi potrzeba wyznania. Czy nie wolno mi opowiedzieć o sobie, skoro tego pragnę? Nawet jeśli manipuluję prawdą i zacieram szczegóły, to czy nie zasługuję na to, żeby zobaczyć na zdjętej współczuciem twarzy drugiego człowieka świadectw tego, co Strane mi zrobił?

– Dlaczego on tak się zachowuje? – pyta Henry. – Czy teraz coś się dzieje, co skłania go do kontaktowania się z tobą?

– Ignoruję go właśnie z powodu tego, co się teraz dzieje – odpowiadam.

– Chodzi o skargi na niego?

Kiwam głową.

– Boi się, że na niego doniosę.

– A byłabyś gotowa?

Milczę, co właściwie oznacza odpowiedź odmowną. Obracam telefon w dłoni.

– Pewnie pan myśli, że jestem okropna.

– Nie myślę tak.

– To wszystko takie skomplikowane.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Nie chcę, żeby pan uważał mnie za egoistkę.

– Nie uważam. W moich oczach jesteś bardzo silną osobą. Niewiarygodnie, niewiarygodnie silną.

Henry stwierdza, że Strane cierpi na urojenia, że próbuje mnie kontrolować, sprawić, abym poczuła, że znowu mam piętnaście lat, że to, co mi zrobił i nadal robi, przekracza wszelkie

granice. Słyszając to, widzę nagie białe niebo i bezmiar spalonej ziemi, sylwetkę ledwo widoczną za zasłoną dymu, Strane przesuwa palcem po niebieskich żyłach na jasnej skórze, drobinki kurzu wirują w słabym świetle zimowego słońca.

– Nigdy na niego nie doniosę – mówię. – Bez względu na to, jak złym jest człowiekiem.

Twarz Henry’ego łagodnieje jeszcze bardziej – i smutnieje, aż czuję, że gdybym w tej chwili zbliżyła się do niego, pozwoliłby mi na wszystko, czego chcę. Nie odmówiłby mi. Siedzi blisko, na wyciągnięcie ręki, czeka, kolano zwrócone w moją stronę. Wyobrażam sobie, że otwiera ramiona, przytula mnie. Moje usta centymetry od jego szyi, drży na całym ciele, gdy dotykam go wargami. Pozwoliłby mi. Na wszystko.

Nie poruszam się.

Wzdycha.

– Vanesso, martwię się o ciebie – mówi.

W piątek przed przerwą wiosenną Bridget przychodzi do domu z kotką zawiniętą w ręcznik. Maść calico, zielonooka, brzuszek zapchlony, krzywy ogon.

– Znalazłam ją w zaułku przy kontenerze sandwiczerii – mówi.

Przysuwam palce do kosmatego łepka, pozwalam, żeby ząbki ugryzły mnie w kciuk.

– Cuchnie rybą.

– Miała głowę w kubie z wędzonym łososiem.

Kąpiemy kotkę, nadajemy jej imię Minou. Gdy zachodzi słońce, jedziemy do Wal-Martu w Ellsworth po kuwetę i karmę, wcisnąwszy zwierzaka do płóciennej torby, którą Bridget zarzuca sobie na ramię, bo boimy się zostawić go samego w domu. W drodze powrotnej, gdy Minou miauczy mi na kolanach, mój telefon zaczyna dzwonić. Dzwoni i dzwoni.

Strane.

Bridget parska śmiechem, gdy po raz czwarty z rzędu wciskam komendę „Ignoruj”.

– Ale jesteś wredna – mówi. – Prawie mi go żal.

Aparat obwieszcza krótkim sygnałem kolejną wiadomość nagraną na poczcie głosowej. Jesteśmy tak podekscytowane kotką, że wszystko wydaje się prawdopodobne, możemy się droczyć o cokolwiek i tylko śmiać się i śmiać.

– Nawet nie przesłuchasz? – pyta. – A jak to coś ważnego?

– Gwarantuję ci, że nie.

Aby udowodnić, że mam rację, odtwarzam nagranie pewna, że usłyszę gruby głos błagający mnie, abym oddzwoniła, zmartwiony i zdenerwowany, bo nie ma ode mnie sygnału – czy dostałam papiery, które mi wysłał? Zamiast tego słychać napór zniekształconego dźwięku, wiatr i szum, a spod spodu dobiegają słowa wypowiedane z wściekłością:

– Vanesso, jadę do ciebie. Odbierz ten pierdolony telefon.

Kliknięcie, nagranie skończone.

– A jednak wygląda, że to coś ważnego – mówi niepewnie Bridget.

Wybieram numer Strane’a. Odbiera w połowie pierwszego sygnału.

– Jesteś w domu? Będę za pół godziny.

– Tak – odpowiadam. – To znaczy nie, w tej chwili mnie nie ma. Znalazłyśmy kotkę, musiałyśmy kupić dla niej kuwetę.

– Że co?

Kręcę głową.

– Nic, nieważne. Po co przyjeżdżasz?

Parska ironicznym śmiechem.

– Chyba się domyślasz.

Bridget zerka co chwila w bok, jej spojrzenie biega między mną a szosą.

„Wszystko w porządku?”, pyta, bezgłośnie poruszając ustami w blasku tablicy rozdzielczej.

– Nie, nie domyślam się – odpowiadam do aparatu. – Nie mam pojęcia, co się dzieje. Ale nie możesz tak po prostu sobie wpaść...

– On ci nie mówił, co się stało?

Wbijam spojrzenie w przednią szybę, w świetlisty tunel utworzony przez reflektory na ciemnej szosie. Od „on” wyplutego przez Strane jeżą mi się włoski na karku.

– Kto?

Znowu się śmieje. Widzę go: twarde spojrzenie, zaciśnięte zęby, zapiekły gniew, który dotąd kierował przeciwko innym, nie mnie. Teraz czuję, jakby sypka ziemia usuwała mi się spod nóg.

– Nie zgrywaj idiotki, Vanesso. Będę za dziesięć minut.

Chcę wskazać, że przed chwilą mówił o półgodzinie, ale już się rozłączył, na wyświetlaczu błyska informacja o zakończeniu rozmowy.

– W porządku? – pyta Bridget za kierownicą.

– Jedzie do nas.

– Po co?

– Pojęcia nie mam.

– Co się stało?

– Nie wiem, Bridget – odwarkuję. – Jestem pewna, że słyszałaś całą tę pierdoloną rozmowę, to po co pytasz? Nie zasypał mnie szczegółami.

Jedziemy dalej w milczeniu, nasze swobodne kumplostwo rozwiane jak dym. Minou wciąż pomiaukuje na moich kolanach, wydaje żalosne ciche dźwięki, które rozwścieczyłyby tylko potwora – no i chyba właśnie potworem jestem, bo najchętniej złapałabym ją za łeb i wrzasnęła do niej, do Bridget, do wszystkich ludzi na świecie, żeby się zamknęli na chwilę i dali mi pomyśleć w spokoju.

Bridget mówi, że ulotni się na noc, abyśmy mieli ze Strane'em mieszkanie tylko dla siebie. Widać wyraźnie, że chce być jak najdalej ode mnie i mojego dziwnego starego amanta, od tej chmury zmartwień, która wciąż nade mną wisi. Słyszałam, jak powiedziała do faceta, którego przyprowadziła do domu kilka tygodni temu: „Och, Vanessa zawsze przeżywa kryzys, to dziewczyna, która przyciąga dramaty”.

Po jej wyjściu siadam na kanapie, z Minou na kolanach, z laptopem otwartym na stoliku. Co kilka minut pochylam się i odświeżam stronę, jakby miał pojawić się e-mail, który wyjaśni mi całą sytuację. Gdy słyszę, że otwierają się drzwi do klatki schodowej i rozlegają się ciężkie kroki, spycham Minou z nóg i chwytam za telefon. Strane wali pięścią do drzwi, kotka umyka pod kanapę, a ja przesuwam kciukiem po klawiszach – myśl o zadzwonieniu na policję jest taką samą fantazją jak nadzieja, że w mojej skrzynce pocztowej nagle pojawi się list od Henry'ego. Telefon niczego by nie rozwiązał. Wołanie o pomoc oznaczałoby konieczność odpowiedzi na pytania, na które nie sposób odpowiedzieć, wyjaśnienia tego, czego wyjaśnić nie można. „Kim jest mężczyzna stukający do pani drzwi?”, spytałby dyżurny dyspozytor. „Skąd pani go zna?” „Co panią z nim łączy?” „Muszę znać tło, proszę pani”. Mam wybór: przebrnąć przez siedem lat tego bagna i zdać się na łaskę sceptycznej osoby trzeciej, która być może nawet mi nie uwierzy, albo otworzyć drzwi z nadzieją, że jakoś to będzie.

Gdy go wpuszczam, jest zziębnięty, garbi się w progu, dłonie wsparte na udach, każdy oddech jak świst. Robię krok w jego stronę, boję się, że padnie jak kłoda. Wysuwa rękę do przodu.

– Nie zbliżaj się – mówi.

Wyprostowuje się i rzuca kurtkę na fotel, rozgląda się, patrzy na brudne ręczniki widoczne za uchylonymi drzwiami łazienki, na stoliku miseczka oblepiona wyschniętym makaronem z serem. Wchodzi do kuchni, otwiera szafki.

– Nie masz czystej szklanki? – pyta. – Ani jednej?

Wskazuje stosik plastikowych kubków na blacie. Strane rzuca mi spojrzenie – „co za bałaganiara z ciebie” – i do jednego nalewa wody z kranu. Patrę, jak pije, odliczam sekundy do chwili, gdy wściekłość znowu w nim rozgorzeje, ale po opróżnieniu kubka stoi spokojnie, oparty o blat, sflaczały.

– Naprawdę nie wiesz, dlaczego tu jestem?

Wbija we mnie spojrzenie, a ja kręcę głową. Nie widziałam go od Bożego Narodzenia, kiedy to powiedział mi o Taylor Birch. W ciągu tych miesięcy zmienił się, twarz wydaje się jakby inna. Szukam i znajduję: okulary. Ma teraz szkła bez oprawek, prawie niewidoczne. Czuję ukłucie w sercu na myśl o tym, że bez porozumienia ze mną zdecydował się zmienić tak istotną cechę swojego wyglądu.

– Przyjechałem prosto z Browick – mówi. – Mieliśmy zebranie. Czy raczej kwestę. Cholera, sam nie wiem, co to było. Nawet nie miałem zamiaru iść. Wiesz, jak nie cierpię takich imprez, ale pomyślałem, że jeszcze jeden wieczór w areszcie domowym kompletnie mnie załamie. – Wzdycha, pociera dłońmi oczy. – Mam już powyżej grdyki, że traktują mnie jak trędowatego.

– Co się stało?

Opuszcza rękę.

– Siedziałem z kolegami z pracy, wśród nich była Penelope. – Patrzy na mnie w oczekiwaniu na reakcję, widzi, że zaparło mi dech w piersiach. – Ano właśnie, wiesz, co zamierzam powiedzieć. Nie zgrywaj przede mną idiotki. Nie... – Grzmoci dłońmi w blat i rusza w moją stronę, wyciąga ręce, jakby chciał mnie chwycić za ramiona, zatrzymuje się jednak i zaciska pięści.

Zasłony są odsunięte, a potrzebę chronienia nas mam wdrukowaną tak głęboko, że tylko o tym myślę – że ktoś przechodzący ulicą może spojrzeć w górę i zobaczyć nas wyraźnie w środku. Ruszam więc, żeby zaciągnąć zasłony, ale wtedy Strane chwyta mnie za rękę.

– Powiedziałaś jej mężowi. Swojemu profesorowi. Powiedziałaś mu, że cię zgwałcił.

Odpycha mnie. Niezbyt silnie, ale potykam się i walę tyłem w śmietnik, który powinien stać pod zlewem, ale od nie wiadomo jak dawna sterczy na środku kuchni. Upadam i okap nad palnikami drży tak, jak to się dzieje w wietrzne dni. Dźwigam się na nogi, Strane stoi nieruchomo. Pyta, czy bolało.

Kręcę głową.

– Nic się nie stało – zapewniam, chociaż obiłam sobie kość ogonową. Znowu spoglądam w kierunku okna, wyobrażam sobie zachwyconą widownię w mroku na ulicy.

– Dlaczego ona rozmawiała z tobą o mnie? – pytam. – To znaczy żona, Penelope.

– Ona nic o tobie nie mówiła. To jej mąż. Mąż, który gapił się na mnie przez półtorej godziny, a potem poszedł za mną do łazienki...

Osiągam punkt krytyczny, nagle coś we mnie pęka.

– Henry tam był? Poznałeś go?

Strane zastyga zdumiony tym, jak wymawiam imię drugiego mężczyzny, wydecham je właściwie, to jak westchnienie po seksie. Przez chwilę na jego twarzy maluje się boleść.

– Co mówił? – pytam.

Po tych słowach znowu ma zaciętą minę, czoło zmarszczone, oczy miotające pioruny.

– Nie – odpowiada beznamiętnie. – To ja tutaj zadaję pytania. Gadaj, dlaczego to zrobiłaś.

Dlaczego musiałaś powiedzieć facetowi, którego żona jest moją koleżanką z pracy, że cię zgwałciłem? – Przy ostatnim słowie głos mu się załamuje, krztusi się z odrazy. – Mów, dlaczego to zrobiłaś.

– Próbowałam mu wyjaśnić, co się stało, gdy wyjechałam z Browick. Nie wiem, tak jakoś wyszło.

– A po co w ogóle musiałaś coś wyjaśniać?

– Powiedział, że kiedyś uczył w prywatnej szkole. Ja na to, że chodziłam do takiej. No to on się pochwalił, że ktoś z jego znajomych uczy w Browick. No i tak od słowa do słowa, w porządku?

– A więc ktoś wspomina o Browick, a ty od razu zaczynasz paplać o gwałcie? Na miłość boską, Vanesso, co się z tobą dzieje?

Kulę się, a on nadaje dalej. Czy nie rozumiem, że takie oskarżenia mogą go pogrążyć? To pomówienie, gwałt jest przestępstwem, dość, by załatwić każdego mężczyznę, a co dopiero takiego, którego życie już wisi na włosku. Gdyby to dotarło do nieodpowiednich ludzi, byłby skończony, trafiłby do więzienia na resztę życia.

– Wiesz o tym. Dlatego nie mogę zrozumieć twojego postępowania. Wiesz, co takie oskarżenie dla mnie oznacza, a jednak... – Podnosi ręce. – Nie pojmuję tego, tej nikczemności i okrucieństwa, których trzeba, żeby to zrobić.

Pragnę się bronić, ale czy Strane nie ma racji? Jeśli nawet słowo „gwałt” wyrwało mi się z ust, nigdy później nie sprostowałam tego, co powiedziałam. Mało tego, nakręcałam to kłamstwo, pokazując Henry’emu dziesiątki nieodebranych połączeń, słuchając bez sprzeciwu, że „ma urojenia”, „że przekroczył wszelkie granice”, a wszystko dlatego, że chciałam być skrzywdzona i delikatna, chciałam być dziewczyną zasługującą na czułość. Ale myślę też o tych notatkach, które Strane napisał w Browick, aby być krytym. Byłam wtedy nieświadoma, podążałam za nim potulnie jak owieczka, a on nie widział problemu w tym, żeby mnie zrobić, przedstawić światu jako niezrównoważone emocjonalnie dziewczę zakochane w swoim nauczycielu, choć doskonale zdawał sobie sprawę, jak to się dla mnie skończy. Jeśli jestem nikczemna i okrutna, to tak samo jak on.

– Dlaczego czekałeś tyle miesięcy, żeby mi powiedzieć o tamtej dziewczynie? – pytam.

– O nie. Nie wykręcaj kota ogonem.

– Ale przecież właśnie o to chodzi, prawda? Jesteś wściekły, bo masz kłopoty przez to, że obmacywałeś inną uczennicę...

– Obmacywałem? Jezu, co za słowo!

– Tak to się nazywa, jak mężczyzna dotyka nieproszony dziewczyny.

Strane chwyta plastikowy kubek i odkręca kran.

– Nie ma z tobą rozmowy, gdy jesteś taka – stwierdza. – Gdy robisz ze mnie łotra.

– Przykro mi – odpowiadam. – Trochę trudno tego uniknąć.

Pije, wyciera usta wierzchem dłoni.

– Masz rację. Łatwo zrobić ze mnie złego człowieka. To najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Ale to twoja wina tak samo jak moja. Chyba że naprawdę wmówiłaś sobie, że cię zgwałciłem. – Wrzuca kubek z niedopitą wodą do zlewu, otrząsa się przy blacie. – Zgwałcona, gdy wiałaś się w orgazmie? Nie żartuj, kurwa.

Zaciskam pięści, aż paznokcie wbijają mi się w dłonie, wysiłkiem woli powstrzymuję umysł od ucieczki, każę mu zostać w ciele.

– Dlaczego nigdy nie chciałeś mieć dzieci?

Odwraca się.

– Co?

– Miałaś po trzydziestce, gdy zdecydowałaś się na wazektomię. Dość młodo.

Mrużąc gwałtownie powiekami, próbuje się zorientować, czy kiedykolwiek mówił mi, w jakim wieku poszedł na zabieg, i skąd wiem, skoro mi nie mówił.

– Widziałam twoją kartę medyczną – wyjaśniam. – Jak w liceum dorabiałam sobie w szpitalu, wtedy znalazłam twoje papiery w archiwach.

Rusza na mnie.

– Lekarz napisał, że stanowczo nie chciałeś mieć dzieci.

Zbliża się, więc wycofuję się do sypialni.

– Dlaczego mnie o to wypytyujesz? Do czego zmierzasz?

W swoim pokoju uderzam łydkami o ramę łóżka. Siadam. Nie chcę tego powiedzieć. Nie wiem, jak powiedzieć. To nie jest jedno pytanie, raczej plątanina niewypowiedzianych słów: że nie rozumiem, dlaczego dotykał innej dziewczyny tak samo, jak dotykał mnie, skoro nie pragnął jej tak samo, jak mnie pragnął. Dlaczego ręce mu drżały, gdy dawał mi piżamę w truskawki, dlaczego odnosiłam wrażenie, że w tamtej chwili zdradza się z czymś, co przez całe życie próbował ukryć? Odczułam to jako sprawdzian, gdy prosił mnie przez telefon, abym nazywała go tatusiem. Usłuchałam, bo nie chciałam oblać, nie chciałam okazać się osobą pruderyjną i o ciasnym umyśle, a potem zaraz się rozłączył, jak gdyby za bardzo się odsłonił. Tamtej nocy czułam, że wyrwa się z niego wstyd. Przepłynął między telefonami wprost we mnie.

– Nie rób ze mnie potwora tylko dlatego, że chcesz się wykręcić – mówi Strane. – Wiesz, że nie jestem potworem.

– Nie wiem już, co wiem.

Przypomina mi, co zrobiłam. To niesprawiedliwie myśleć, że jestem bez winy. To ja wróciłam do niego, stanęłam w progu jego domu po dwóch latach. Mogłam o nim zapomnieć, żyć dalej.

– Dlaczego wtedy znowu się zjawiłaś, skoro cię skrzywdziłem?

– Bo wydawało mi się, że to nie jest skończone. Wciąż byłam do ciebie przywiązana.

– Ale nie zachęcałem cię do tego. Nawet gdy zadzwoniłaś. Pamiętasz? Twój cichy głos nagrany na automatycznej sekretarce. Stałem tam, nie reagowałem. – I nagle zaczyna płakać, jakby na rozkaz przekrwione oczy wypełniają się łzami. – Powiedz: czy nie byłem ostrożny? Zawsze starałem się dopilnować, żeby nic złego ci się nie stało.

– Tak, byłeś ostrożny.

– Opierałem się. Nie wiesz, jak bardzo. Ale ty byłaś taka pewna siebie. Wiedziałaś, czego chcesz. Pamiętasz? Poprosiłaś, żebym cię pocałował. Starałem się dowiedzieć, czy naprawdę tego chcesz. Złościłaś się na to, ale ja i tak starałem się najpierw mieć pewność.

Po policzkach spływają łzy, nikną w brodzie. Co za widok. Próbuję się opanować pod naporem czułości.

– Zgodziłaś się – mówi.

Kiwam głową.

– Tak, zgodziłam – przyznaję.

– No więc kiedy cię zgwałciłem? Powiedz, kiedy to zrobiłem. Bo przecież... – szlocha, ociera oczy nasadą dłoni – przecież tak się starałem, więc nie rozumiem...

Opada razem ze mną na łóżko, wtula we mnie twarz, czuję na piersiach mokry rwany oddech, aż nagle to uczucie gaśnie i pojawia się nowe, usta mówią coś do mojej szyi, ręce zadzierają mi sukienkę. Pozwalam mu na to, czego chce – zdejmuje ze mnie wszystko i układa mnie na łóżku – choć przecież boli każdy jego dotyk. Rozsuwa mi nogi i zagnieżdża we mnie twarz, no i te łzy, teraz w moich oczach i na policzkach. Za dwa dni są moje urodziny. Siedem lat mojego życia zdefiniowane przez to coś. Gdy patrzę w przeszłość, nie widzę nic innego.

W połowie słyszę otwierające się drzwi na dole i człapanie dwóch par nóg. Po klatce schodowej niesie się śmiech Bridget i odgłos potknięcia.

– W porządku? – pyta chłopak, gdy uchylają się drzwi do mieszkania. – A może cię zanieść?

– Ale się spałam – odpowiada Bridget, a jej śmiech wypełnia całą przestrzeń. – Spałam, spałam, spałam!

Słysząc brzdęk kluczy upadających na podłogę, chłopak idzie za nią do jej sypialni, trzaskają zamykane drzwi. Próbuję uchwycić się śmiechu Bridget, ale nastawiają muzykę tak głośno, że nie usłyszeliby nawet, gdybym krzyczała.

Gdy Strane dalej naciera, połowa mnie wychodzi z pokoju, idzie do kuchni, gdzie w zlewku leży rzucony przez niego kubek. Z kranu kapie, szumi lodówka. Kotka przemyka z salonu, chce, żeby ją przytulić. Odłupana połowa mnie staje przy oknie i bierze Minou na rękę, wygląda na ulicę. Rozpętała się burza, w pomarańczowej poświacie latarni widać strugi deszczu, odłupana połowa mnie patrzy, nuci sobie pod nosem, żeby zagłuszyć odgłosy dochodzące z sypialni. Jednak co chwila wstrzymuje oddech i sprawdza. Gdy słyszy miarowe skrzypienie metalowej ramy łóżka, ocieranie się skóry o skórę, przytula mocniej kotkę i odwraca się do deszczu.

Rankiem Strane idzie do sandwiczerii po kawę. Wraca, siedzę w łóżku, trzymam parujący kubek, patrząc przed siebie, on tymczasem relacjonuje mi szczegółowo wszystko, co stało się podczas kwesty w Browick – rodzice, absolwenci, rada pedagogiczna, wszyscy popijają wino i zagryzają przystawkami w auli. Zauważył, że Henry się w niego wpatruje, ale nic nie podejrzewał, dopóki nie poszedł się odlać i chwilę później nie natknął się w holu na niego, czekającego jak pijak szukający zwady w barze.

– Powiedział, że znamy tę samą studentkę – ciągnie Strane. – I wymienił twoje nazwisko. Powiedział, że wie, że cię nękam. Pchnął mnie na ścianę. I że wie, co ci zrobiłem. Nazwał mnie gwałcicielem.

Po ostatnim słowie zaciska wargi i bierze nosem głęboki wdech.

Przysuwam kubek do ust, próbuję sobie wyobrazić Henry'ego tracącego zimną krew.

– Powinnaś mu wszystko wyjaśnić, Vanesso.

– Dobrze.

– Bo jeśli on powiedział żonie...

– Wiem, wytłumaczę mu, jak było naprawdę.

Kiwa głową, bierze łyk kawy.

– Chciałem ci również powiedzieć, że wiem o tym blogu, który piszesz.

Mrugam powiekami, w pierwszej chwili nie rozumiem. Mówi, że widział na ekranie mojego komputera. Rozglądam się, ale go nie ma. Przecież zostawiłam go na stoliku w dużym pokoju. Zakradł się tam w nocy? Nie, wyjaśnia, to było kilka lat temu. Wie od dawna.

– Jestem świadomy, że zawsze korciło cię do zwierzeń – dodaje Strane. – I że ten blog wydawał ci się nieszkodliwym sposobem zaspokajania tej potrzeby. Zaglądałem tam czasem, aby się upewnić, że nie używasz mojego nazwiska, ale potem o nim zapomniałem. Przypomniałem sobie ostatnio. Powinienem był kazać ci go zamknąć, gdy zaczął się ten bezsens w grudniu, te oskarżenia o molestowanie.

Kręcę głową.

– Jak to możliwe, że wiedziałeś i nic nie mówiłeś?

Moje niedowierzanie bierze za przeprosiny.

– W porządku, nie jestem zły. Chcę jednak, żebyś skasowała blog. To chyba rozsądna prośba?

Gdy kończy się kawa, idę za Strane'em do dużego pokoju, czuję, jakbym opuściła własne ciało i umysł. Drzwi do pokoju Bridget wciąż są zamknięte – jest dość wcześnie, nie wstanie jeszcze przez kilka godzin. Strane wskazuje na kotkę skuloną na kanapie.

– Skąd to się wzięło?

– Z kontenera za rogiem.

– Aha. – Zasuwa zamek kurtki, wciska ręce w kieszenie. – Wiesz, szczerze mówiąc, z tym profesorem to nieświadomie dotknęłaś bolesnej struny. Podejrzewam, że jego reakcja miała w pewnym sensie związek z jego własnym małżeństwem. Ciemna karta.

– Co masz na myśli?

– Penelope była jego studentką. Nie uczennicą, tylko studentką, ale jednak. Jest tylko kilka lat starsza od ciebie, a on... Co, ma już pod czterdziestkę? Mówiła mi chyba, że związali się, kiedy miała dziewiętnaście lat. Gdybym był bardziej przytomny, zwróciłbym mu uwagę na tę jego hipokryzję. To by mu zatkało gębę.

Być może gdyby nie wyznał mi wcześniej, że od lat wiedział o moim blogu, gdybym nie była tak zdjeta odrazą i posiniaczona przez to, co stało się w nocy, jego słowa by mną wstrząsnęły. Lecz czuję się okropnie wyczerpana, więc opieram się o ścianę i tylko parskam śmiechem. Śmieję się tak bardzo, że z trudem oddycham.

No jasne, że była jego studentką. No jasne.

Strane ściąga brwi wpatrzony we mnie.

– To takie zabawne?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, wcale – odpowiadam z chichotem.

Idę z nim na dół, do wyjścia z budynku, a gdy otwiera drzwi, pytam, czy ciągle jest na mnie wściekły – za to, że pomówiłam go o gwałt, że mam długi język. Spodziewam się westchnienia, pocałunku w czoło. „Oczywiście, że nie”. Lecz on zastyga na moment, zastanawia się, po czym mówi:

– Czuję raczej smutek, nie złość.

– Dlaczego smutek?

– No bo się zmieniłaś.

Blokuję drzwi dłonią.

– Wcale się nie zmieniłam.

– Oczywiście, że tak. Przerosłaś mnie.

– Nieprawda.

Bierze moją twarz w dłonie.

– Vanesso, musimy to skończyć. Przynajmniej na pewien czas. Zgoda? To nie służy ani tobie, ani mnie.

Jestem tak zszokowana, że tylko stoję bezwładnie, pozwalam, by trzymał moją głowę.

– Musisz sobie zbudować nowe życie. Takie, które nie będzie się skupiało na mnie.

– A mówiłeś przed chwilą, że nie jesteś wściekły.

– Bo nie jestem. Popatrz na mnie. Nie jestem.

To prawda, wcale nie wygląda na rozgniewanego, acy ma spokojne za tymi szklami bez oprawek.

Przez dwa tygodnie nie wychodzę z domu, koczuję przed telewizorem, z przytuloną do mnie Minou. Oglądam na DVD wszystkie odcinki *Twin Peaks*, a potem wracam do niektórych i oglądam jeszcze raz i jeszcze raz. Czasem Bridget przysiadła się do mnie, ale gdy puszczałam sceny pełne przemocy i wrzasków, te, w których zacy obywatel zostaje opanowany przez sadystycznego ducha i jest zmuszony do gwałcenia i mordowania nastoletnich dziewcząt, idzie

do swojego pokoju i zamyka drzwi.

W tamtym okresie mówi się sporo w wiadomościach o czternastoletniej Katrinie, która zaginęła w Oregonie. Ładna, biała, fotogeniczna, wszędzie widać jej buzię, nagłówki zlewają się w serial telewizyjny: „Kto porwał Katrinę?“, „Kto zabił Laurę Palmer?“. Obie po raz ostatni widziano uciekające do zagajnika daglezji. Oczywistym sprawcą zaginięcia Katriny jest jej ojciec, który żył osobno, miał zaburzenia psychiczne i nie był widziany od tygodni. W odróżnieniu od kilkunastu zdjęć Katriny media pokazują tylko jedno zdjęcie ojca: rozczochrana mężczyzna zatrzymany za jazdę pod wpływem alkoholu. W końcu oboje odnajdują się w Karolinie Północnej, żyją w chacie bez prądu i bieżącej wody. Gdy ojciec został aresztowany, donoszą media, powiedział podobno, że cieszy się, że to już się skończyło. Później pojawia się więcej szczegółów – Katrina zrobiła się wątpią, gdy była z tatusiem na gigancie, mieszkając w chacie, jadła dzikie kwiaty, żeby przeżyć. Sama w pokoju rozświetlonym niebieskim blaskiem z telewizora mamrocze słowa tak straszne, że nie nadają się dla niczyich uszu:

– Założę się, że gdzieś w głębi ducha kochała to i nie chciała zostać odnaleziona.

Bridget zapuszcza się wreszcie do dużego pokoju i zastaje mnie naćpaną na kanapie, targaną szlochem. Karmi kotkę, zgarnia puste butelki, na stoliku kładzie rachunek za prąd z połową należnej kwoty oraz zaadresowaną kopertę ze znaczkiem. Domyśla się, że stało się coś złego tamtego wieczoru, gdy przyjechał Strane, ale daje mi przestrzeń, żebym sama sobie z tym poradziła. Nie pyta, nie chce wiedzieć.

*

Do: vanessa.wye@atlantica.edu

Od: henry.plough@atlantica.edu

Temat: Nieobecność na seminarium

Vanesso,

wszystko w porządku? Opuściłaś dziś zajęcia.

Henry

Do: vanessa.wye@atlantica.edu

Od: henry.plough@atlantica.edu

Temat: Martwię się

Zaczynam się naprawdę niepokoić. Co się dzieje? Nie musisz pisać, możesz do mnie zatelefonować, jeśli tak byłoby Ci łatwiej. Albo możemy się spotkać na kampusie. Martwię się o Ciebie.

Henry

Do: vanessa.wye@atlantica.edu

Od: henry.plough@atlantica.edu

Temat: Duży niepokój

Vanesso,

jeszcze jedna nieobecność i nie będę mógł Ci dać zaliczenia. Niezaliczenie nie jest końcem świata, możemy razem potem coś wymyślić, ale musisz przyjść i napisać podanie. Możesz przyjść jutro? Nie złość się, tylko martwię. Daj znać.

Henry

Gdy stoję w drzwiach, twarz Henry'ego rozciąga się w uśmiechu.

– Jesteś wreszcie. Tak bardzo się martwiłem. Co się działo?

Oparta o framugę patrzę groźnie na niego. Spodziewałam się, że zasypie mnie przeprosinami. To niewyobrażalne, że dotąd nie powiązał jednego z drugim. Ta impreza

w Browick była trzy tygodnie temu, nie tak dawno, żeby zapomnieć.

Macham formularzem ze swoją rezygnacją.

– Podpisze mi pan?

Zdumiony szarpie głową do tyłu.

– Może najpierw porozmawiajmy.

– Przecież twierdzi pan, że nie zdam.

– Nie przychodziłaś na zajęcia. Musiałem jakoś zwrócić twoją uwagę.

– A więc to manipulacja? Super. No, świetnie po prostu.

– Przestań, Vanesso. – Śmieje się, jakbym zachowywała się niedorzecznie. – O co chodzi?

– Dlaczego pan to zrobił?

– Co zrobiłem?

Z miną niewiniątka buja się w fotelu wpatrzony we mnie. Wygląda jak dziecko przyłapano na kłamstwie.

– Zaatakował go pan.

Nieruchomieje.

– Czekał pan na niego przed łazienką, złapał go...

Zrywa się z fotela i zatrzaskuje drzwi tak mocno, że framuga dygocze. Wyciąga rękę, jakby chciał mnie uspokoić.

– Posłuchaj, przepraszam cię. Nie powinienem był tego robić. To oczywiste. Nie ma usprawiedliwienia. Ale ja go nie zaatakowałem.

– Mówił, że pchnął go pan na ścianę.

– Niby jak miałbym to zrobić? To wielki facet.

– Mówił, że...

– Vanesso, prawie go nie dotknąłem.

Czuję gulę w gardle. „Prawie go nie dotknąłem”. „Tylko jej dotknąłem. Nic więcej”. Jedno i drugie sprowadza się do tego, że zareagowałam przesadnie, że jestem zdeterminowana, aby zrobić z tych mężczyzn potwory.

– Dlaczego pan nigdy nie powiedział mi o swojej żonie? – pytam. – Przecież musiał pan wiedzieć, że w końcu domyślę się, że to pańska żona.

Mruga powiekami zaskoczony atakiem z flanki.

– To moja prywatna sprawa. Nie lubię opowiadać studentom o swoim osobistym życiu.

Nieprawda. Wiem o nim sporo, znam szczegóły, które sam mi zdradził – gdzie się wychował oraz to, że jego rodzice nigdy się nie pobrali, że jego siostrę skrzywdził starszy mężczyzna tak samo, jak Strane skrzywdził mnie. Znam jego ulubione zespoły z czasów licealnych i dzisiejszych. Na studiach czuł się wypalony, w jednym semestrze opuszczał zajęcia przez kilka miesięcy. Wiem, ile czasu zabiera mu jazda z domu na kampus, a gdy ocenia prace, moją odkłada na tę chwilę, kiedy będzie chciał zrobić sobie przerwę, kiedy poczuje, że ma zmęczony umysł. Tylko o żonie nic nie wiem.

– Ożenić się z własną studentką to nieźle pojebane – mówię.

Zwiesza głowę i wzdycha. Spodziewał się, że ten moment nadejdzie.

– Okoliczności były zupełnie inne – odpowiada.

– Był pan jej nauczycielem.

– Profesorem na studiach.

– Wielka mi różnica.

– To jest różnica. Wiesz o tym.

Pragnę mu powiedzieć to samo, co powiedziałam Strane'owi: że już nie wiem, co wiem.

Kilka miesięcy temu napisałam na blogu, że z Henrym czuję się inaczej, że tym razem nie zostanę wykorzystana. Teraz ta inność wydaje się zbyt nieuchwytna, aby ją wskazać. Chciałabym, aby ktoś wytyczył dla mnie granicę, która oddziela mężczyznę o dwadzieścia siedem lat starszego od mężczyzny starszego o lat trzynaście, nauczyciela od profesora, przestępstwo od zachowania akceptowanego społecznie. A może powinnam tę różnicę po prostu uosabiać. Sporo lat po osiągnięciu pełnoletniości jestem kobietą do wzięcia, osobą dorosłą, która świadomie o sobie decyduje.

– Powinnam donieść na pana za to, co pan mu zrobił – mówię. – Władze uczelni muszą wiedzieć, jakich ludzi zatrudniają.

Trafiam w czuły punkt. Henry czerwienieje i właściwie wrzeszczy:

– Donieść na mnie?! – Na ułamek sekundy widzę gniew, którego posmakował Strane. Lecz potem Henry słyszy kroki ludzi przechodzących korytarzem i ścisza głos do szeptu: – Vanesso, wiedziałaś, jak ten mężczyzna postąpił z tą drugą dziewczyną, a kiedy o tym wspomniałem, zareagowałaś tak, że poczułem się jak idiota. Potem przyszałaś i stwierdziłaś, że cię nęka, krzywdzi. Czego się spodziewałaś?

– On nic nie zrobił tej dziewczynie. Dotknął tylko jej kolana, wielka afera, kurwa mać.

Błądzi spojrzeniem po mojej twarzy, jego gniew przygasa. Mówi, tonem delikatnym jak do dziecka, że słyszał coś jeszcze, że Strane poważił się na znacznie więcej niż położenie ręki na kolanie. Nie wyjaśnia jednak, a ja nie pytam. Bo jaki jest sens? Nie da się o tym wszystkim rozmawiać, a gdy próbuję, wychodzę na wariatkę, w jednej chwili nazywam to gwałtem, w następnej wyjaśniam, że to nie był gwałt przez duże „g”. Tylko mącą wodę.

– Wychodzę – mówię.

Henry wyciąga rękę, ale powstrzymuje się od dotknięcia mnie. Nagle robi się niespokojny. Być może boi się, że naprawdę doniosę na niego. Czy naprawdę chcę, żeby podpisał moją rezygnację z seminarium? Powinnam przychodzić na zajęcia. Zostało tylko kilka tygodni. Zapomnimy o moich nieobecnościach.

– Chcę, żeby z tobą wszystko było dobrze – mówi.

Ale nie jest dobrze. Przez następne dni chodzę jak śnięta, nie mogę otrząsnąć się z uczucia, że zostałam zgwałcona. Podczas spotkania z pedagog uniwersytecką pada pytanie, jak sobie radzę. Kobieta spodziewa się typowej oględnej odpowiedzi, ale ja zaczynam relacjonować własną wersję niedawnych wydarzeń. Próbuję nie podawać szczegółów, bo nie chcę mieszać w to Strane'a, w efekcie czego historia jest fragmentaryczna i niespójna, jakby opowiedziana przez wariatkę.

– Czy masz na myśli Henry'ego? – pyta pedagog szeptem, bo gabinet ma cienkie ściany. – Henry'ego Plougha?

Szanowny profesor pracuje na uczelni niecały rok i ma nieposzlakowaną opinię.

Splatając dłonie, pedagog starannie dobiera słowa:

– W ciągu tych lat, czytając twoje teksty, zorientowałam się, że coś ci się przydarzyło w szkole średniej. Czy nie myślisz, że to właśnie dlatego jesteś tak wytrącona z równowagi?

Czeka z uniesionymi brwiami, jakby chciała skłonić mnie do potwierdzenia. Oto właśnie koszt zwierzeń – nawet pod płaszczykiem fikcji – bo gdy już się na to zdecydujemy, odtąd tylko to będzie dla innych wyznacznikiem naszego życia. Zdefiniuje nas na zawsze, czy tego chcemy, czy nie.

Pedagog uśmiecha się, wyciąga rękę i klepie mnie po kolanie.

– Trzymaj się, moja droga.

Wychodząc, pytam:

– Wie pani, że ożenił się z jedną ze swoich studentek?

W pierwszej chwili wydaje mi się, że odpaliłam bombę. Ale ona tylko kiwa głową, że tak, wie. Rozkłada bezradnie ręce.

– To się czasem zdarza – odpowiada.

Mówię Henry’emu, że mu wybaczam, choć właściwie nie zdobył się na żadne porządne przeprosiny. Chce, żeby przez resztę semestru było jak dawniej. Na zajęciach nadal stara się mnie angażować, ale ja nie mam nic do zaoferowania, a w jego gabinecie wiercę się i odpowiadam wymijająco, więc biedak próbuje różnych sposobów, żeby odtworzyć więź. Powtarza, że jestem najlepszą studentką, jaką kiedykolwiek miał (ciekawe, czy lepszą od jego żony), że zachował się tak wobec Strane’a, bo martwił się o mnie. Pokazuje mi list polecający, który napisał i który chce dołączyć do moich podań o przyjęcie na studia podyplomowe, dwie i pół strony z pojedynczą interlinią o tym, jaka to wyjątkowa osoba ze mnie. A potem, w ostatnim tygodniu zajęć, prosi, abym poszła z nim do jego gabinetu. Wchodzimy, Henry zamyka drzwi i mówi, że musi się do czegoś przyznać: czytywał mój blog. Przez całe miesiące, zanim w końcu go skasowałam.

– Zaniepokoiłem się, gdy nagle zniknął, a ty przestałaś przychodzić na zajęcia – mówi. – Nie wiedziałem, co myśleć. Chyba nadal nie wiem.

Pytam, jak na niego trafił, a on odpowiada, że nie pamięta. Może wyszukał w internecie mój adres e-mailowy albo wpisał kluczowe słowa, nie wie. Wyobrażam sobie, jak późną porą siedzi pochylony przed laptopem, wklepuje moje nazwisko do wyszukiwarki, szpera, tymczasem żona śpi za ścianą. O czymś takim fantazjowałam przez cały ostatni rok, o świadectwach, że wtargnęłam do jego życia. Teraz, gdy moje rojenia stały się rzeczywistością, czuję mdłości.

Mówi, że czytał, bo chciał sprawdzić, co się ze mną dzieje. Że niepokoił się o mnie.

– No i wydawało mi się, że bardzo się przywiązałaś – dodaje. – Dlatego chciałem mieć na to oko.

– Przywiązałam? Do czego?

Henry unosi brew, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że dobrze wiem, co ma na myśli. Patrzę w milczeniu, więc w końcu odpowiada:

– Do mnie.

Nie reaguję, on natychmiast robi się asekurancki.

– Czy niesłusznie tak uznałem? – pyta. – No bo byłaś tak bezpośrednia. Czuję się tym trochę przytłoczony.

Gapię się na niego tępym wzrokiem. W pierwszej chwili jestem zakłopotana – czy nie wybrał mnie spośród wszystkich tak samo, jak ja wybrałam jego? – ale zaraz potem pojawia się wstyd, bo pewnie Henry ma rację. Przecież wcześniej też tak było.

– A więc to tak postępuje pan ze studentkami, które się jakoby w panu podkochują? Podgląda je pan w internecie?

– Nie podglądałem cię. Blog był upubliczniony.

– I pan myślał, że co? Że wpadnę tutaj i zacznę się do pana dobierać?

– Nie wiedziałem, co myśleć. Gdy opowiedziałas mi o sobie i tym nauczycielu, próbowałem dociec twoich intencji.

– Nie musi pan mówić o nim „ten nauczyciel”. Przecież zna pan jego nazwisko.

Henry zaciska usta, obraca się w fotelu, żeby spojrzeć w okno. Zastyga na tak długą chwilę wpatrzony w dziedziniec poniżej, że wydaje mi się, iż zakończył rozmowę, ale gdy ruszam do drzwi, mówi:

– Nie powiedziałem tego, żeby cię zawstydzić.

Staję z ręką na klamce.

– Myślałem, że jeśli ci o tym powiem, pojawi się jakieś otwarcie i będziemy mogli być wobec siebie szczerzy. Bo może jest coś, co chciałabyś mi wyznać. – Odwraca się do mnie. –

A ja chętnie wysłucham wszystkiego, co masz do powiedzenia.

Kręcę głową.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Czytając twój blog, pomyślałem, że może chciałabyś mi coś powiedzieć.

Przypominam sobie wpisy o Henrym, wyznania, że pragnę go tak bardzo, aż ciało mnie boli, komentarze, które czasem pojawiały się w środku nocy – od niego? Przełykam głośno ślinę, drżą mi kolana i ręce. Umysł mi drży.

– Skoro pan to przeczytał, dlaczego pan chce, żebym to teraz na głos wyznała? – pytam.

Milczy, a ja znam odpowiedź. Musi wiedzieć, że jestem chętna. Tak samo postępował Strane, skłaniał mnie do wywalania kawy na ławę, mówienia otwarcie, czego chcę, bo wtedy brałam na swoje barki brzemię odpowiedzialności. „Przegadanie tego, Vanesso, to jedyny sposób, żebym mógł z tym żyć”. „Nigdy bym się na to nie poważył, gdybyś nie była taka chętna”.

– Jesteś niepojętą zagadką – mówi Henry. – Nie można cię zrozumieć.

I znowu mam poczucie, że mogłabym go dotknąć, że pozwoliliby mi na to. Gdybym choćby musnęła go dłońmi, skoczyłby jak zwierzę uwolnione z klatki. „Nareszcie”, powiedziałaby. „Vanesso, czekałem na to od pierwszego dnia”. Wybiegam myślą do następnego roku, pracuję jako jego asystentka, oboje zamknięci w gabinecie, nieuchronny przeciągający się romans. Nadal nie poszłam do łóżka z żadnym innym mężczyzną oprócz Strane’a, ale bez trudu wyobrażam sobie, jaki byłby Henry. Ciężkie ciało, głęboki oddech, obwisła szczęka.

Nagle mgła się unosi i widzę wyraźnie – jest odrażający, siedzi tam i próbuje wydusić ze mnie wyznanie. „Masz żonę”, chciałabym powiedzieć. „Co z tobą?”

Mówię, że w przyszłym roku nie będę dalej studiować na Atlantica.

– Tę asystenturę proszę dać komuś innemu.

Zaskoczony mruga powiekami.

– A studia podyplomowe? Będziesz się ubiegać?

Znowu patrzę w przyszłość i widzę to – inna klasa, inny mężczyzna za stołem konferencyjnym wyczytujący moje nazwisko, chłonący mnie wzrokiem. W reakcji na tę wizję ogarnia mnie tak wielkie zmęczenie, że czuję tylko jedno – nie dam rady znów przejść przez coś takiego.

Dzień przed wręczeniem dyplomów Henry zabiera mnie na obiad, żeby się pożegnać. Jako prezent daje mi powieść jednej z sióstr Brontë – nawiązanie do jakiegoś naszego prywatnego żartu – z dedykacją podpisaną „H.”. Po mojej wyprowadzce z Atlantica jego nazwisko pojawia się w mojej skrzynce e-mailowej regularnie co pół roku i za każdym razem żołądek mi się wywraca. W końcu zaprzyjaźniamy się na Facebooku i raczę się odsłonami życia, które przez tak długi czas sobie wyobrażałam: zdjęcia Penelope z córeczką, Henry siwiejący, starzejąca się twarz, każdy kolejny rok coraz bardziej upodabnia go do Strane’a. Ze mnie upływ czasu robi podejrzliwą cyniczkę. Wyzbywam się swoich fantazji, powtarzam sobie, że gdy się poznaliśmy, Henry Plough był znudzony i przeżywał ostatnie lata młodości, ja zaś byłam młoda i go ubóstwiałam. Starszy mężczyzna wykorzystał młodą kobietę, aby poczuć się lepiej sam ze sobą – jak łatwo taka historia staje się banałem, gdy nie patrzymy na nią przez różowe okulary romantyczności.

Któregoś roku w dniu swoich urodzin dostaję od niego e-mail wysłany o drugiej w nocy. „Pamiętam Cię jako jedną z moich najlepszych studentek i tak już zostanie”. Zaczynam odpisywać: „Henry, a co to w ogóle znaczy?”, ale się reflektuję, kasuję e-mail i ustawiam filtr, żeby kolejne listy od niego trafiały od razu do kosza.

„Jedną z moich najlepszych studentek”. Dziwny komplement od faceta, który wśród

studentek znalazł sobie żonę.

*

Po skończeniu studiów Bridget przeprowadza się z powrotem na Rhode Island. Zabiera kotkę. Ubiegam się o każdą możliwą posadę sekretarki/recepcjonistki/asystentki w Portland, ale odpowiedź dostaję tylko od władz stanu Maine. Oferują mi stanowisko urzędniczki w instytucji obrony praw dziecka, dziesięć dolców za godzinę, no, raczej dziewięć po odliczeniu składki związkowej. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej kobieta pyta mnie, czy wytrzymam czytanie przez cały dzień pięć dni w tygodniu raportów o krzywdzeniu dzieci.

– Dam sobie radę – odpowiadam. – Nie miałam takich przeżyć.

Znajduję kawalerkę na półwyspie. Z łóżka widzę przepływające zatoką tankowce i statki wycieczkowe. Praca jest odmóżdżająca i jem tylko raz dziennie, bo inaczej nie byłoby mnie stać na zapłacenie czynszu, ale powtarzam sobie, że to rozwiązanie na najbliższy rok, może dwa, dopóki się nie pozbieram.

W biurze, ze słuchawkami na głowie, porządkuję akta i czuję się, jakbym wróciła do archiwizowania w szpitalu, takie same metalowe szafki i kod w postaci kolorowych naklejek, włosy rozwiewane przez klimatyzator. A jednak w tych teczkach są zawarte potworne historie, o wiele gorsze od nowotworu, gorsze nawet od śmierci. Opisy dzieci oblepionych własnym gównem w łóżeczkach, noworodków z odłazającą skórą z powodu zanurzania ich w wybielaczu. Staram się nie rozmyślać o tym. Nikt wyraźnie nie zakazał mi czytania, a jednak chłonięcie szczegółów wydaje mi się nietaktem większym niż czytanie o sflaczałych fiutach u mężczyzn. Akta niektórych dzieci to wiele szarych kopert pełnych niekończącej się dokumentacji – przesłuchania w sądzie, opinie biegłych, protokoły policyjne.

Natykam się na przypadek pewnej dziewczynki – dziesięć opasłych teczek spiętych gumkami. Z jednej teczki wystają kawałki wypłowiałego fioletowego papieru do wycinania i kartki z kolorowanki – przedszkolne przybory. Znajduję drzewo genealogiczne narysowane dziecięcą ręką, a dalej na kawałku brystolu dziewczynka wyznała swoje pragnienia: „Chciałam mieć mamę i tatę, no i psa, i małego braciszka”. Na dole kartki dodano wielkimi literami: „I BEZ ŻADNYCH KRYCYCANTÓW”.

Pod spodem dostrzegam list napisany odręcznie na białej kartce, litery małe, kobiece, dorosłe. Nie mogę się powstrzymać. Autorką jest matka dziewczynki, trzy strony pełne przeprosin. Są nazwiska różnych mężczyzn, wyjaśnienia, który z nich wciąż odgrywa rolę w jej życiu, a który nie, ale nie wyjmuję dokumentacji, tylko stoję przy szafce, przytrzymuję otwartą szufladę, bo nie chcę, aby ktoś przyłapał mnie na podczytywaniu, więc dostrzegam zaledwie połowę strony.

„Gdybym wiedziała, że jesteś molestowana, molestowana seksualnie – napisała matka – nigdy w życiu...” Reszty nie widzę. Na ostatniej stronie matka kończy słowami: „Z miłością głęboką jak ocean, Twoja Mama”. Pod spodem narysowano buzię zapłakanej dziewczynki, łzy zlewają się, tworzą strzałkę wskazującą „ocean”.

*

Strane tylko raz odwiedza mnie w Portland. Główny powód jego przyjazdu to udział w jakimś warsztacie rozwoju osobistego, a ja jestem zbyt podenerwowana, aby spytać, czy zamierza zostać na noc. Gdy się zjawia, oprowadzam go po swoim małym mieszkaniu, czekam z wytęsknieniem, żeby pochwalił czystość, naczynia są zmyte i pochowane, podłoga odkurzona. Stwierdza, że jest przytulnie, podoba mu się wanna na lwich nogach. W dużym pokoju/sypialni rzucam słabo zawołowaną aluzję:

– Łóżko wygląda zachęcająco, nie?

Od prawie roku nie miałam mężczyzny, potrzebuję dotyku, spojrzeń. Jestem naga pod sukienką, gładka i miękka, bez rajstop. To sygnał, który Strane powinien wychwycić. Przez całe dnie wyobrażałam sobie westchnienie, które wydobędzie się z jego gardła, gdy zorientuje się, że nie mam na sobie bielizny.

Mówi, że musimy się zbierać. Zarezerwował stolik w restauracji z owocami morza w Starym Porcie. Jedziemy. Zamawia dla nas supkę rybaka, makaron z homarzami ogonami i butelkę białego wina. To największy posiłek, jaki zjadłam, odkąd ostatni raz pojechałam w odwiedziny do rodziców. Wcinam bez opamiętania, a Strane patrzy na mnie, marszcząc czoło.

– Jak praca? – rzuca.

– Gówniana. Ale to rozwiązanie tymczasowe.

– Jakież dalekosiężne plany?

Zaciskam zęby w reakcji na to pytanie.

– Studia podyplomowe – odpowiadam zniecierpliwiona. – Mówiłam ci przecież.

– Złożyłaś jakieś podania na semestr jesienny? Niedługo będzie nabór.

Kręcę głową, macham ręką.

– Za rok. Muszę się trochę pozbierać, zaoszczędzić pieniądze na czesne.

Marszczy brwi, bierze łyk wina. Wie, że pieprzę od rzeczy, że nie mam żadnych planów.

– Powinnaś zawalczyć o coś lepszego – mówi.

Domyślałam się, że gnębi go poczucie winy. Martwi się, że jest odpowiedzialny za to, że marnuję swój potencjał, a to chyba prawda. Problem w tym, że jeśli czuje się winny, nie będzie chciał iść ze mną do łóżka.

– Znasz mnie – wzdycham. – Posuwam się do przodu we własnym tempie.

Posyłam mu swój najlepszy łobuzerski uśmiech, chcę dać do zrozumienia, że to wyłącznie mój problem.

Po kolacji odwozi mnie do domu, ale gdy zapraszam go do środka, odmawia. Czuję się trafiona w sam środek, przecięta na pół, jakby moje flaki miały się wylać na siedzenie w aucie. Myślę tylko o tym, że za miesiąc będę miała dwadzieścia trzy lata, a pewnego dnia trzydzieści trzy, czterdzieści trzy. Taki wiek jest dla mnie niewyobrażalny jak śmierć.

– Zrobiłam się już za stara dla ciebie?

Rzuca mi wściekle spojrzenie, wyczuwa pułapkę. Ale potem widzi moją szczerą twarz.

– Pytam serio.

Patrzy na mnie uważnie pierwszy raz, odkąd przyjechał, może pierwszy raz od tamtej nocy w moim mieszkaniu w Atlantica, gdy mieliśmy konfrontację, bo miał konfrontację z Henrym, gdy chyba mnie zgwałcił, sama nie wiem.

– Nessa, staram się zachowywać przyzwoicie.

– Nie musisz zachowywać się przyzwoicie. Nie ze mną.

– Wiem, że nie muszę – odpowiada. – Na tym polega problem.

Uświadamiam sobie, że właśnie tak to zawsze musiało się skończyć. Pozwoliłam mu robić nieprawdopodobne rzeczy, których pragnął, złożyłam w ofierze swoje ciało jako pożywkę dla jego przestępczych skłonności, a on folgował sobie przez pewien czas, lecz w głębi serca nie jest kanałią. Jest mężczyzną, który chce być dobrym człowiekiem, a ja wiem nie gorzej od innych, że najłatwiejszy sposób, aby to osiągnąć, to odciąć się od tego, co czyni nas człowiekiem złym.

Z dłonią na klamce pytam, czy niedługo się zobaczymy, a on mówi, że jasne, ale szepcze tak cicho, że wiem, iż wystawi mnie do wiatru. Ucieka spojrzeniem w bok, jakbym była świadectwem czegoś, o czym chciałby zapomnieć.

Mijają lata bez niego. Tata ma pierwszy zawał, mama wreszcie robi dyplom. W letnie popołudnie, gdy akurat przyjechałam do domu z wizytą, Babe pęka tętniak w mózgu podczas brykania po podwórku – suka pada jak od kuli z karabinu. Próbuje z tatą ją ratować, jakby była człowiekiem, uciskamy klatkę piersiową, wtłaczamy powietrze do pyska, ale już po niej, ciało zimne, łapy ciągle mokre od wody z jeziora. Odchodzę z ośrodka ochrony praw dziecka i zaliczam kolejne stanowiska asystentki, choć nienawidzę tej pracy, sterylnych biur, spinaczy, karteczek samoprzylepnych i wykładzin dywanowych. Kiedy wpisuję do Google'a zdanie: „Co należy zrobić, jeśli praca budzi w tobie myśli samobójcze?“, uznaję, że najwyższy czas rzucić to w cholerę, świadoma, że ten sposób zarabiania na życie może mnie doprowadzić do śmierci. Zatrudniam się w recepcji w eleganckim hotelu. Płaca jest niska, ale przynajmniej to ucieczka od rozświetlonego jarzeniówkami załamania nerwowego.

Niektórzy mężczyźni nigdy nie zostaną moimi facetami, bo zerkają pod spód i widzą cały mój syf, dosłowny i metaforyczny: w mieszkaniu wąska ścieżka prowadząca między stertami ubrań i śmieciami z sypialni do łazienki, chłanie, niekończące się chłanie, aż film się urwie, potem seks i koszmary.

„Jesteś lekko porąbana”, powtarzają, najpierw ze śmiechem, postawa w rodzaju „może jednak będzie zabawnie”, ale gdy tylko wybełkoczę im historię swojego życia – nauczyciel, seks, piętnaście lat, lubiłam to, tęsknię za tym – natychmiast rezygnują. „Masz poważny problem”, stwierdzają w drodze do drzwi.

Z czasem dociera do mnie, że lepiej trzymać buzię na kłódkę, że lepiej być naczyniem, które oni zapełniają. Za pomocą randkowej apki znajduję mężczyznę pod trzydziestką. Nosi pulowery i sztruksowe spodnie, łysieje z przodu i ma tak owłosioną klatkę piersiową, że kłaki wystają znad koszuli, jakby sobowtór Strane'a. Na pierwszej randce przez cały czas tupię nogami i drę serwetki. Ledwo zaczynamy pić, pytam:

– Możemy sobie darować te pierdoły i iść do łóżka?

Krztusi się piwem, patrzy na mnie jak na wariatkę, odpowiada, że oczywiście, jasne, skoro tego chcę.

Na drugiej randce oglądamy film, w którym jest wątek o księżach pedofilach. Przez całe dwie godziny facet nie zauważa, że mam spocone dłonie, że z mojego gardła wydobywają się ciche jęki. Na ogół sprawdzam skrupulatnie, o czym jest film, który zamierzam obejrzeć, żeby nie natknąć się na nic, co mnie rozstroi, ale tym razem się nie przygotowałam. Potem, gdy idziemy Congress Street do mojego mieszkania, facet mówi:

– Tacy mężczyźni wiedzą, jak wybierać dziewczynki, wiesz? To prawdziwi drapieżcy. Patrzą na stado i selekcionują najsłabsze sztuki.

Widzę siebie, piętnaście lat, szeroko otwarte oczy, z dala od rodziców, biegnę spanikowana przez tundrę, a Strane ściga mnie i porywa w ramiona, nie zwalniając kroku. W uszach mi ryczy ocean, zagłusza dalsze komentarze tego faceta. Myślę, że może wszystko do tego właśnie się sprowadzało. Stanowiłam oczywisty cel. Wybrał mnie nie dlatego, że byłam wyjątkowa, lecz dlatego, że doskwierał mu głód, a ja łatwo dałam się złapać. Po powrocie do domu, gdy idę z tym facetem do łóżka, odpływam, jak nie robiłam tego od lat. Mężczyzna i moje ciało leżą w sypialni, a mój umysł włóczy się po mieszkaniu, kuli się na kanapie, patrzy na zgaszony telewizor.

Przestaję odpisywać na jego esemesy, nie spotykam się z nim więcej. Powtarzam sobie, że facet się mylił. W wieku piętnastu lat nie byłam słabą istotą. Byłam cwana. Silna.

Mam wtedy dwadzieścia pięć lat. Idę do pracy ubrana w czarny kostium i czarne półbuty, przecinam Congress Street i oto jest, stoi z kilkunastoma dziećmi przed muzeum sztuk pięknych, nastolatki, głównie dziewczyny. Patrzę z dystansu, przyciskając torebkę do piersi.

Prowadzi swoich uczniów do muzeum – pewnie wycieczka, może przyjechali na wystawę dzieł Wyetha – przytrzymuje drzwi, a oni wciskają się do środka, jedna dziewczyna za drugą.

Już chce wejść, ale zerka przez ramię i dostrzega mnie w tym moim mało atrakcyjnym stroju biurowym, wyblakłym i znoszonym. Przez całe lata pragnęłam tylko czuć na sobie jego wzrok, ale teraz za bardzo wstydzę się własnej twarzy, drobnych zmarszczek, oznak starzenia się, aby zbliżyć się choćby o krok.

Puszczone drzwi zamykają się za nim, a ja ruszam do pracy, siadam w recepcji i wyobrażam sobie, jak chodzi po salach w muzeum, sunie z dziewczętami o jasnych włosach. Podążam za nim w umyśle, nie spuszczam go z oka. Wydaje mi się, że to właśnie będę robiła do końca życia – uganiała się za nim, za tym, co mi dał. To moja wina. Przecież do tej pory powinnam już z tego wyrosnąć. Nigdy nie obiecywał, że będzie mnie kochał do końca świata.

Następnego wieczoru dzwoni. Jest późno, wracam akurat z pracy, jedyne okna rozświetlone w śródmieściu to bary i bistra sprzedające pizze w kawałkach. Na widok jego nazwiska na wyświetlaczu aparatu nogi mi się uginają. Muszę się oprzeć o mur. Odbieram.

Dźwięk jego głosu dławi mi gardło.

– Czy to ciebie widziałem? – pyta. – Czy ducha?

Zaczyna dzwonić co tydzień, o późnej porze. Rozmawiamy trochę o tym, kim teraz jestem – robota w hotelu, niekończąca się procesja facetów, matka ściągająca usta w wyrazie dezaprobaty nad moim życiem – ale najczęściej wspominamy to, kim byłam. Razem przywołujemy sceny z jego gabinetu na tyłach klasy, z jego domu, z kombi zaparkowanego przy starym szlaku drwali, dokoła pofałdowany teren porośnięty jagodzinami, wtedy gdy przelazłam z fotela na fotel, cykanie świerszczy i szum pasieki wpadające przez otwarte okno auta. Wspólne szczegóły zlewają się w wyraziste obrazy. Razem to odtwarzamy, namacalnie, zbyt namacalnie.

– Nie chciałem pamiętać tego wszystkiego z jednego określonego powodu – mówi. – Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby znowu stracić nad sobą kontrolę.

Widzę go w klasie, tkwi za biurkiem. Toczy wzrokiem po twarzach dziewcząt siedzących dokoła stołu. Jedna z nich podnosi wzrok, widzi jego spojrzenie, uśmiecha się.

– Możemy przestać – mówię.

– Nie – odpowiada. – W tym problem. Chyba nie umiem przestać.

Gdy zaczyna unikać wspominania mnie i opowiada o swoich uczennicach, podążam za jego słowami. Opisuje ich blade pachy, gdy podnoszą ręce, żeby zgłosić się do odpowiedzi, kosmyki włosów umykające spod gumki, rumieniec, który spływa aż na dekolt, gdy mówi im, że są wartościowymi, wyjątkowymi istotami. Przywołuje je do swojego biurka, kładzie im dłoń na kolanie. Twierdzi, że to aż nie do zniesienia, to, jak są skąpane we własnym pięknie.

– Udaję, że one to ty – wyznaje, a w moich ustach wzbiera ślina, jakby uderzono w dzwon głęboko zagrzebanej tęsknoty.

Przekręcam się na brzuch, wciskam poduszkę między uda.

Mów dalej, nie przerywaj.

2017

Tydzień przed Świętem Dziękczynienia ukazuje się artykuł Janine Bailey, ale tematem nie jest Strane. W jednym z pierwszych akapitów znajduje się wzmianka o Taylor i internetowych atakach na nią. Reszta opowiada o nauczycielu w szkole z internatem w New Hampshire, który wykorzystywał uczennice przez czterdzieści lat swojej pracy zawodowej. Przedstawiono profil ośmiu dziewcząt, podano ich prawdziwe nazwiska. Zamieszczono ich zdjęcia, z tamtych i dzisiejszych czasów, fotokopie zapisków w pamiętnikach, fragmentów listów miłosnych napisanych przez nauczyciela. Przez wszystkie lata używał tych samych określeń i zdrobnień wobec każdej swojej ofiary. „Moja malutka, jesteś jedyną, która mnie rozumie”. W nagłówku artykułu wymieniono nazwę szkoły – to rozpoznawalna, prestiżowa instytucja, gwarancja wielu odsłon w internecie. Ciężko nie być cyniczką, nie podejrzewać, że głównie o to chodzi.

Władze Browick publikują wyniki swojego postępowania w sprawie zarzutów stawianych Strane’owi, używając tego nieprzeniknionego języka, który zamazuje prawdę: „Doszliśmy do wniosku, że choć być może doszło do nagannego zachowania, nie znaleziono żadnych świadectw molestowania na tle seksualnym”. Wydają oświadczenie, w którym podkreślają zaangażowanie Browick w stworzenie kształcącego, bezpiecznego środowiska oświatowego. Obiecują, że z własnej inicjatywy będą okresowo uaktualniać szkolenia dotyczące niewłaściwych zachowań nauczycieli wobec uczniów. Jest numer telefonu, pod który mogą dzwonić zaniepokojeni rodzice. Chętnie odpowiemy na wszystkie pytania.

Czytając to, wyobrażam sobie, jak Strane bierze udział w takim szkoleniu, poirytowany, że musi wysiedzieć do samego końca – nic z tego nie zrobiłoby na nim wrażenia – w towarzystwie innych nauczycieli, którzy mnie widywali, na przykład tego, który nazwał mnie jego pupilką, w towarzystwie profesor Thompson i profesor Antonovej, która widziała niepokojące oznaki i nie zaprotestowała, gdy te oznaki zostały bałamutnie wykorzystane jako świadectwa mojego niezrównoważenia emocjonalnego. Wyobrażam sobie, jak siedzą na tym szkoleniu, kiwają zgodnie głowami, tak, tak, to bardzo ważne, musimy chronić naszych podopiecznych. Ale co zrobili, kiedy mogli zapobiec takiej sytuacji? Kiedy słyszeli o wycieczkach organizowanych dla uczniów przez nauczyciela historii albo kiedy pedagog sprowadzał uczennice do swojego domu? To wszystko odbieram jako teatr, bo widziałam, jak to jest, jak szybko ludzie rozkładają ręce i mówią, że no cóż, czasem tak się dzieje. „Jeśli nawet coś zrobił, to na pewno nie było nic aż tak strasznego”. „Przecież nie mogliśmy temu zapobiec”. Usprawiedliwienia, które dla nich wynajdujemy, są skandaliczne, ale nie dorównują usprawiedliwieniom, które wynajdujemy dla samych siebie.

Mówię Ruby, że czuję, jakbym od żałoby po stracie Strane’a przeszła do żałoby po stracie siebie. Że oplakuję własną śmierć.

– Część ciebie umarła razem z nim – stwierdza. – To raczej normalne.

– Nie, nie część. Cała umarłam. Wszystko, co mam, łączy się z nim. Jeśli wytnę z siebie tę truciznę, nic nie zostanie.

Odpowiada, że nie powinnam tak o sobie mówić, bo to oczywista nieprawda.

– Założę się, że już w wieku pięciu lat byłaś osobą o złożonej psychice. Pamiętasz siebie z tamtych czasów?

Kręcę głową.

– A gdy miałaś osiem lat? Dziesięć?

– Wydaje mi się, że nie pamiętam niczego z okresu, zanim poznałam Strane’a. – Parskam śmiechem, ocieram dłońmi twarz. – To mocno przygnębiające.

– Owszem – przyznaje Ruby. – Ale te lata nie są zmarnowane. Zaniedbałaś je tylko. Możesz się podnieść i do nich odwołać.

– Że niby co? Odnaleźć w sobie wewnętrzne dziecko? O Boże, lepiej mnie zabij.

– Wywracaj oczami, ile chcesz, ale warto spróbować. Bo jaki masz wybór?

Wzruszam ramionami.

– Ciągłe wlokę się przez życie z poczuciem, że jestem pustą skorupą, piję, żeby zapomnieć, poddaję się.

– No pewnie, można i tak – odpowiada Ruby. – Ale coś mi się widzi, że inaczej to się dla ciebie skończy.

Przyjeżdżam do domu na Święto Dziękczynienia i widzę, że mama obcięła krótko włosy, nad uszami.

– Wiem, że wyszło brzydko – mówi. – Ale niby komu mam się teraz podobać?

Dotyka palcami karku, gdzie włosy podgolono maszynką.

– Wcale nie brzydko – odpowiadam. – Wyglądasz świetnie, naprawdę.

Prycha i macha ręką. Nie nałożyła makijażu i naga skóra sprawia, że zmarszczki wydają się integralnym rysem twarzy, a nie objawem starości, który należy ukryć. Nad górną wargą widać cię przeoczonego wąsika, i to też jej pasuje. Zauważam odprężenie, jakiego nigdy u niej nie widziałam. Wszystko, co mówi, poprzedza długa pauza. Martwi mnie tylko to, że schudła. Gdy ją objęłam, wydawała się taka kruchutka.

– Ty coś w ogóle jesz? – pytam.

Jakby nie usłyszała, patrzy tylko ponad moim ramieniem, z dłonią wciąż przyłożoną do karku. Po chwili otwiera zamrażarkę i wyjmuje niebieskie pudełko z kawałkami kurczaka.

Siadamy przed telewizorem, wcinamy kurczaka i grube porcje sklepowego placka, pijemy kawową brandy zmieszaną z mlekiem. Żadnych świątecznych hitów, nic podnoszącego na duchu. Wybieramy filmy przyrodnicze i ten brytyjski *show* kulinarny, o którym mama pisała mi w esemesach. Pokładamy się na kanapie, pozwalam jej wsunąć stopy pode mnie i nawet nie budzę jej kopnięciem, gdy zaczyna chrapać.

W środku i na zewnątrz nasze rodzinne domostwo podupadło. Mama zdaje sobie z tego sprawę, ale przestała przeproszać. Kłaki kurzu gromadzą się przy listwach podłogowych, brudne ubrania wysypują się z łazienki, blokują drzwi. Trawnik skonał, jest cały brązowy, wiem jednak, że mama zrezygnowała latem z koszenia. Nazywa to „łakowieniem”. Mówi, że tak jest dobrze dla pszczół.

Rankiem, kiedy czeka mnie powrót do Portland, stoimy obie w kuchni, pijemy kawę i podgryzamy kawałki placka z jagodami prosto z blachy. Mama wygląda przez okno, patrzy na śnieg, który właśnie się rozpadał. Samochody okrywa już spora warstwa bieli.

– Może zostań na jeszcze jeden dzień – sugeruje. – Zadzwoń do pracy, powiedz, że drogi są zasypane.

– Mam zimówki. Dam sobie radę.

– A kiedy ostatni raz zmieniałaś olej w silniku?

– Auto jest zadbane.

– Trzeba to robić zawczasu.

– Mamo.

Podnosi rękę. „Dobra, dobra”. Odłamuję spieczoną skórkę z placka i kruszę ją w palcach.

– Chyba sprawię sobie psa.

– Nie masz podwórka.

– To co? Będę z nim chodziła na spacer.

– Mieszkanie jest małe.

– Pies nie musi mieć osobnej sypialni.

Gryzie placek, wsuwa widelec do ust.

– Jesteś jak ojciec – stwierdza. – On był szczęśliwy tylko wtedy, gdy wszystko oblażyło psią sierścią.

Gapimy się na śnieg.

– Dużo ostatnio myślałam – mówi mama.

Nie odrywam wzroku od okna.

– O czym?

– Och, no wiesz. – Wzdycha. – Gorzkie żale.

Pozwalam tym słowom zawisnąć między nami. Wkładam widelec do zlewu, ocieram usta.

– Czas się pakować.

– Śledziłam doniesienia. O tym mężczyźnie.

Dygot przeszywa moje ciało, ale tym razem umysł pozostaje na miejscu. Słyszę Ruby radzącą mi, abym liczyła oddechy – długi wdech, jeszcze dłuższy wydech.

– Wiem, że nie lubisz o tym rozmawiać – mówi mama.

– Ty też nigdy się do tego szczególnie nie paliłaś.

Wbija widelec w nierówną resztkę placka na blasze.

– Racja – przyznaje cicho. – Wiem, że mogłam lepiej się sprawić. Powinam była wyraźnie dać ci do zrozumienia, że możesz bezpiecznie się zwierzyć.

– Mamo, jest w porządku – zapewniam. – Nie musimy teraz tego międlić.

– Daj mi powiedzieć tylko to jedno. – Zamyka oczy, zbiera myśli. Bierze głęboki wdech. – Mam nadzieję, że cierpiał.

– Mamo.

– Mam nadzieję, że smaży się w piekle za to, co zrobił.

– Inne dziewczyny też skrzywdził.

Otwiera gwałtownie oczy.

– Nie obchodzą mnie inne dziewczyny. Tylko ty mnie obchodzisz. I to, co ci zrobił.

Zwieszam głowę, zasysam policzki. Dlaczego to dla niej ważne, co Strane mi zrobił? Tak wielu rzeczy nie wie: jak długo to trwało, jak bardzo nakłamałam, jak bardzo go ośmielałam. A jednak część tej historii mama rozumie – siedziała w gabinecie dyrektorki i słuchała, jak Strane nazywa mnie niezrównoważoną i rozchwianą dziewczyną, a potem przypatrywała się z bliska mojemu upadkowi. To wystarczy, by przez całe życie mieć poczucie winy. Nasze role się odwróciły, teraz to ja po raz pierwszy pragnęłabym jej powiedzieć, żeby to z siebie zrzuciła.

– Czasem rozmawialiśmy z tatą o tym, co ci zrobiono w tej szkole – ciągnie mama. – Chyba nigdy nie żalowaliśmy niczego tak bardzo jak tego, że pozwoliliśmy im potraktować cię w ten sposób.

– Nie pozwoliliście. Nie mieliście na to wpływu.

– Nie chciałam, żeby z tego zrobił się jakiś potworny *show* z tobą w roli głównej. Gdy przywieźliśmy cię do domu, myślałam, że cokolwiek się wydarzyło, sprawa jest definitywnie zamknięta. Nie miałam pojęcia...

– Mamo, proszę.

– Powinam była posłać tego mężczyznę za kratki, bo tam jego miejsce.

– Nie chciałam, żebyś to zrobiła.

– Czasem wydaje mi się, że próbowałam cię chronić. Policja, adwokaci, proces. Nie

chciałam, żeby cię rozszarpali na strzępy. Kiedy indziej myślę, że stchórzyłam.

Przykłada dłoń do ust, głos jej się łamie.

Patrzę, jak mama ociera policzki, choć są suche, choć wcale nie płacze, bo nie pozwoliłaby sobie na łzy. Czy kiedykolwiek widziałam, aby naprawdę płakała?

– Mam nadzieję, że mi przebaczysz – mówi.

Połowa mnie chciałaby parsknąć śmiechem, przytulić ją na długą chwilę. Przebaczyć? Niby co? Wszystko w najlepszym porządku, mamó. Spójrz na mnie, sprawa zamknięta, nic mi nie jest. W porządku. Gdy słyszę, jak mama się kaja, myślę o Ruby, o tym, co ona czuje, gdy godzinami wysłuchuje, jak nurzam się w poczuciu winy. Po chwili przestaje powtarzać te same słowa, bo wie, że nadchodzi taka chwila, gdy tracą znaczenie, bo wie, że to nie uniewinnienia potrzebuję, lecz wzięcia odpowiedzialności w oczach świadka, którym w tej chwili jest ona. Więc gdy pyta, czy jej przebaczę, odpowiadam, że oczywiście. Już nie próbuję tłumaczyć, że i tak nie mogłaby zapobiec temu, co się stało, że to nie jej wina i nie zasługuje na te katusze. Połykam te słowa. Może zagnieżdżą się głęboko w moich brzuchu, zakorzenia i zaczną wzrastać.

Nadal pada. Odśnieżam samochód, jak tylko się da, i jadę żwirówką, ale gdy doduszam silnik, żeby wjechać na wzgórze i dalej na szosę, koła buksują bezradnie. Zawracam, zostaję na jeszcze jedną noc. Oglądamy telewizję, są reklamy zbliżających się igrzysk olimpijskich, wytryski śniegu spod nart freestylowca, połyskliwy bobslej wchodzący w zakręt na lodowym torze, łyżwiarka figurowa wirująca w powietrzu, ręce mocno skrzyżowane, oczy zamknięte.

– Pamiętasz, jak jeździłaś na łyżwach? – pyta mama.

Zastanawiam się: rozmazane wspomnienia spękanej skóry białych butów, ból w kostkach po godzinnym balansowaniu na płozach.

– Przez pewien czas nie chciałaś robić nic innego – ciągnie. – Nie można cię było zapędzić do domu, a bałam się zostawiać cię samą na jeziorze. Bałam się, że lód się pod tobą załamie. Tata wziął szlauch i zalał wodą podwórko. Pamiętasz to?

Owszem, ale mgliście – jazda po zmroku, manewry między korzeniami drzew sterczącymi z lodu, zbieranie się na odwagę, żeby spróbować piruetu.

– Nie bałaś się niczego – stwierdza mama. – Wszyscy rodzice mówią tak o swoich dzieciach, ale ty naprawdę niczego się nie bałaś.

Patrzemy na łyżwiarkę sunącą po lodowisku. Wiruje na czubkach płóz, nagle hops do tyłu, ręce wyrzucone na boki, zebrane w koński ogon włosy chłuszczą twarz. Znowu zmiana kierunku i teraz jedzie na jednej nodze, zbiera się do ostrego piruetu, ręce wyprostowane nad głową, im szybsze wirowanie, tym wyższe wydaje się jej ciało.

Rankiem niebo jest błękitne, a śnieg tak jasny, że bołą oczy. Rozsypujemy na drodze koci żwirek i sól i tym razem koła mają przyczepność. Na szczycie wzniesienia przyhamowuję i patrzę, jak mama wraca powolnym krokiem do domu, ciągnąc za sobą sanki obciążone torbami kociego żwirku i soli.

*

Idę między rzędami klatek, powietrze przesiąknięte ostrą wonią amoniaku, betonowa podłoga w kolorze szpitalnej burej zieleni. Jeden pies zaczyna szczekać, dołączają pozostałe, gama głosów odbijających się od ścian ze sprasowanego żużlu. W dzieciństwie żartowałam z tatą, że gdy psy czekają, mówią tylko, że są psem, psem, psem! Ale to ujadanie jest rozpaczliwe i pełne strachu. Brzmi bardziej jak błagalna prośba.

Zatrzymuję się przed klatką, w której mieszka kundelka o masywnej głowie i upiornie szarej sierści. Wywieszka na drzwiach informuje, że to „krzyżówka pitbula z wyżłem weimarskim????”. Psina strzyże różowymi uszami, gdy przykładam rękę do siatki. Wącha moją

dłoń, liże ją dwa razy. Ostrożnie macha ogonem.

Gdy pierwszego wieczoru w nowym domu zadziera łeb i wyciem zaczyna wtórować piosence Dolly Parton, nazywam ją Jolene. Rankiem wyprowadzam ją na spacer, zanim choćby umyję zęby, idziemy z jednego końca półwyspu na drugi, od oceanu do oceanu. Kiedy czekamy przed przejściem dla pieszych, opiera się o moją nogę i z czystej radości trąca mnie pyskiem w rękę, a od jej przyspieszonego oddechu zaparowuje chłodne powietrze.

Ruszamy Commercial Street, za miejskie moło, gdy nagle widzę Taylor wychodzącą z piekarni, z kubkiem kawy i brązową papierową torebką w rękach. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to naprawdę ona, a nie jedno z moich urojeń.

Najpierw zwraca uwagę na Jo, rozpromienia się na widok ogona smagającego moją łydkę. A potem następuje spóźniona reakcja, bo widzi mnie. Jakby też musiała się upewnić, że umysł nie splątał jej figła.

– Cześć, Vanesso – odzywa się. – Nie wiedziałam, że masz psa.

Osuwa się na kolana, trzymając kubek z kawą nad głową, bo Jo wyrывa się do przodu i liże ją po twarzy.

– Dopiero sobie sprawiłam – wyjaśniam. – Jeszcze nie za bardzo umie się zachować.

– Nic nie szkodzi – odpowiada Taylor ze śmiechem. – Ja też czasem przesadnie reaguję. Więc nic nie szkodzi, nic nie szkodzi – ciągnie śpiewnie.

Na to Jo wygina grzbiet, cała się wiję. Taylor uśmiecha się do mnie, błyska małymi prostymi zębami. Kły ma lekko spiczaste, jak u zwierzęcia, trochę podobne do moich.

– Wiem, że cię zawiodłam – mówię nagle.

To efekt przypadkowego spotkania, po prostu muszę to powiedzieć, gdy niespodziewanie stanęła przede mną. Marszczy czoło, nie patrzy mi w oczy. Nie odrywa wzroku od Jo, drapie ją za uszami. Przez chwilę myślę, że całkowicie mnie zignoruje, uda, że tego nie słyszała.

– Nie. Nie zawiodłaś mnie. A jeśli tak, to ja też zawiodłam. Wiedziałam, że będzie krzywdził inne dziewczyny, a jednak dopiero po latach się przełamalam, żeby próbować coś zdziałać. – Wreszcie spogląda na mnie, jej źrenice są dwoma niebieskimi jeziorami. – Co mogłyśmy poradzić? Właściwie byłyśmy wtedy dziewczynkami.

Wiem, co ma na myśli – naszą bezradność. Ale nie z wyboru, to świat zrobił z nas bezradne istoty. No bo kto by nam uwierzył, kto by się przejął?

– Widziałam artykuł – mówię. – Był...

– Rozczarowujący? – Taylor poprawia ubranie, przesuwając torebkę. – Choć może nie dla ciebie.

– Wiem, że bardzo się zaangażowałaś.

– No cóż, myślałam, że to jakby zakończy sprawę, ale teraz jest we mnie jeszcze więcej gniewu niż wtedy. – Pociąga nosem, gmera przy wieczku kubka. – Szczerze mówiąc, ona była trochę szemrana, powinnam się połapać.

– Dziennikarka?

Taylor kiwa głową.

– Wątpię, że tak naprawdę się tym przejęła. Chciała się załapać na trend, zbić na tym kapitał. Niby wiedziałam o tym od początku, ale łudziłam się, że odzyskam poczucie sprawczości czy coś. Skończyło się na tym, że czuję się znowu wykorzystana. – Uśmiecha się, łaskocze Jo za uszami. – Zastanawiałam się, czy nie iść na terapię. Próbowałam już wcześniej, ale z marnym skutkiem. Coś jednak muszę ze sobą zrobić.

– Mnie to pomaga – mówię. – Ale nie wszystko da się tym załatwić. Dlatego pojawiła się ta suczka.

Taylor uśmiecha się do Jo.

– Może powinnam pójść w twoje ślady.

Wydaje się niespodziewanie krucha, inna niż wtedy, gdy rozmawialiśmy w kawiarni, inna, niż sprawiała wrażenie, gdy zamieszczała wpisy w internecie. Teraz widzę to, co od początku powinno być dla mnie oczywiste – że Taylor była zagubiona i szukała sposobu, żeby wszystko zrozumieć – jego, siebie, to, co zrobił, i dlaczego to wciąż dla niej takie ważne, mimo że zakrawa na błahostkę. Już słyszę Strane’a, jak zniecierpliwiony, mocno zniecierpliwiony, zadaje to pytanie, które niewątpliwie wciąż dźwięczy jej w uszach: „Kiedy w końcu to przebolejesz? Dotknąłem tylko twojego kolana”.

Taylor patrzy na mnie.

– Przynajmniej się staramy, prawda?

Czuję, że to jest chwila, kiedy powinnam rozewrzeć ramiona i objąć ją, zacząć o niej myśleć jak o siostrze. Może tak by się stało, gdyby nasze historie były bardziej podobne, gdybym była miłszą osobą – chociaż to chyba niedorzeczność oczekiwać, że dwie kobiety pokochają się tylko dlatego, że dobierał się do nich ten sam facet. Prędzej czy później wolno nam definiować siebie w innych kategoriach niż to, co nam zrobił.

Tuż przed pożegnaniem Taylor skrobie Jo za uszami ostatni raz i speszona macha do mnie ręką.

Patrzę, jak idzie ulicą, nie plotka, tylko rzeczywista osoba, kobieta, która dawniej była dziewczyną. Ja też jestem rzeczywista. Czy kiedykolwiek myślałam o sobie wyraźnie w ten sposób? To małe objawienie. Jo szarpie smyczą i po raz pierwszy wyobrażam sobie, jak to jest nie być jego własnością, nie być nim. Jak to jest, gdy czuje się, że można być dobrym człowiekiem.

Ze słońcem na twarzy i psem u boku mam w sobie mnóstwo zdolności do dobra.

Nie pozostaje nic innego jak zacząć z tego miejsca, z tym delikatnym szarpaniem smyczy w mojej dłoni, stukotem metalu i psich pazurów na chodniku. Ruby mówi, że trzeba czasu, aby zaszła prawdziwa zmiana, że powinnam pozwolić sobie na oglądanie świata swoimi, a nie jego, oczami. Ale już odczuwam różnicę. Jest więcej klarowności, lekkość.

Jo i ja docieramy na plażę, pustą poza sezonem, psi nos już w piachu.

– Kapałaś się kiedyś w morzu? – pytam, a ona patrzy na mnie, strzygąc uszami.

Odpinam smycz. W pierwszej chwili nie wie, nie rozumie, ale klepię ją po grzbiecie i zachęcam, więc śmiga po piasku prosto do wody, ujada na fale oblewające jej łapy. Nie zwraca uwagi, gdy ją przywołuję, nie zna jeszcze swojego imienia, lecz gdy widzi, że siadam na ziemi, doskakuje do mnie, jęzor wywalony, dzikość w ślepiach. Pada mi u stóp, słychać lekkie uszczęśliwione sapanie.

Idziemy do domu pod bladym zimowym niebem, a po powrocie Jo zagląda do wszystkich pomieszczeń, sprawdza każdy kąt. Wciąż zaznajamia się z nowym otoczeniem, z wolnością i przestrzenią. Kładę się na kanapie, ona zerka na puste miejsce przy moich nogach.

– Możesz – mówię.

Wskakuje, zwija się w kłębek i wzdycha.

– On cię nigdy nie pozna – dodaję.

To twarda prawda, w której kryją się smutek i radość. Jo otwiera oczy, nie podnosi łba, tylko patrzy na mnie. Bez przerwy chłonie moją twarz i ton głosu, odnotowuje wszystkie moje cechy. Gdy powieki zaczynają mi się kleić, grzmoci ogonem w kanapę, to jak rytm bębna, rytm serca, rytm zakorzeniania się. „Jesteś tu”, mówi Jo. „Jesteś tu, jesteś”.

Podziękowania

W pierwszej kolejności pragnę podziękować mojej agentce Hillary Jacobson i mojej wydawczyni Jessice Williams, dwóm wspaniałym kobietom, których wsparcie i uwielbienie dla tej książki wciąż budzą moje najwyższe zdumienie.

Dziękuję tym, którzy przyczynili się do tego, że moja powieść zaistniała w świecie, wszystkim z William Morrow/HarperCollins, Annie Kelly i wszystkim z 4th Estate/HarperCollins UK, a także Karolinie Sutton, Sophie Baker i Jodi Fabbri z Curtis Brown UK.

Dziękuję Stephenowi Kingowi za wsparcie na wczesnym etapie, za to, że zgodził się, gdy mój tata spytał go: „Ej, Steve, chciałbyś przeczytać powieść mojej córki?”.

Dziękuję Laurze Moriarty, która czytała jedną poprawioną wersję za drugą i której wspaniałomyślność i słowa zachęty pomogły przeobrazić rozwlekłą i mało konkretną historię w spójną opowieść.

Dziękuję organizatorom warsztatów literackich na Uniwersytecie Maine w Farmington, Uniwersytecie Indiana i Uniwersytecie Kansas za możliwość uczenia się i pisania. Jestem głęboko wdzięczna przyjaciółom, których poznałam w trakcie tych programów i którzy przeczytali i polubili wszystkie wersje Vanessy. Są to: Chad Anderson, Katie (Baum) O'Donnell, Harmony Hanson, Chris Johnson i Ashley Rutter. Szczególne podziękowania należą się mojej mentorce Patricii O'Donnell, która w 2005 roku następująco skomentowała na marginesie moje opowiadanie o dziewczynie i jej nauczycielu: „Kate, miałam wrażenie, że czytam prawdziwą historię”. Wtedy po raz pierwszy potraktowano mnie poważnie jako pisarkę. Te słowa zmieniły moje życie.

Dziękuję rodzicom, którzy nigdy nie nakłaniali mnie do zrezygnowania i znalezienia sobie porządnej pracy: tacie, którego natychmiastową reakcją na wieść o przyjęciu książki do druku były następujące słowa: „Nigdy ani przez sekundę w ciebie nie zwątpiłem”, mamie, która zappełniła nasz dom książkami, dzięki czemu wyrosłam w otoczeniu słowa pisanego.

Dziękuję Tallulah za to, że dała mi zakorzenienie i uratowała życie.

Dziękuję Austinowi. W tym miejscu brak mi słów, bo co można napisać partnerowi życiowemu, który nieustająco wspiera i zawsze jest dobry? Dziękuję ci za wszystko – nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Dziękuję internetowym przyjaciółom, którzy byli moimi pierwszymi czytelnikami, wspierali mnie i dodawali mi otuchy przez osiemnaście lat, bo tyle trwało pisanie tej książki. Niektórzy nadal są częścią mojego życia, inni z niego zniknęli, ale wdzięczna jestem im wszystkim za te lata pełne ekscytacji, wrażliwości i twardej miłości. Jesteście moimi najlepszymi, najdroższymi przyjaciółmi.

Szczególne podziękowania kieruję do wspaniałej poetki, mojej przyszywanej siostry i najlepszej pisarki świata Evy Delli Lany, która jest dla mnie nieustannym źródłem inspiracji i otuchy przez cały okres naszej przyjaźni. To, że poznałyśmy się jako dwie nastolatki wędrujące po własnych mrocznych światach, że przetrwałyśmy, w stanie niezmienionym zachowując własny głos, ducha i serce – Eva, czy jesteś świadoma, jakie to nadzwyczajne, jak niesłychanie rzadkie?

Na końcu dziękuję wszystkim samozwańczym nimfetkom poznanym w ciągu tych lat, Lolitkom, które noszą w sobie podobne historie pełne krzywdy przebranej za miłość, które postrzegają siebie jako Dolores Haze. Ta książka w pierwszej kolejności została napisana dla

was.

Spis treści:

Okładka Karta tytułowa 2017 2000 2017 2000 2017 2001 2017 2001 2017 2001 2017 2002
2017 2006 2017 2007 2017 Podziękowania Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *My Dark Vanessa*

Copyright © 2020 by Kate Elizabeth Russell

Copyright © for the translation by Robert Sudół

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter, Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Magdalena Drab

Adiustacja i korekta: Pracownia 12A

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: kobieta – Vladimir Serov / Getty Images Poland, ćma – Richard Newstead / Getty Images Poland

ISBN 978-83-8135-874-3



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink




woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Genialna i oszałamiająca.
Książka, którą musi przeczytać każdy.

Gillian Flynn

autorka *Zaginionej dziewczyny*



**MOJA
MROCZNA
VANESSA**

K A T E

E L I Z A B E T H

R U S S E L L

